

Wilczyński Albert

OPOWIADANIA

SĄD POLUBOWNY.

I

NIEDZIELA.

Dla gospodarza wiejskiego, każda niedziela jest prawdziwym dniem sądnym. Wszyscy może na świecie w ten dzień zażywają spoczynku, my przeciwnie, doświadczamy najwięcej kłopotów, przykrości i umęczenia, że doprawdy grzech wyznać; ale każdy z nas życzyłby sobie, ażeby ta niedziela przynajmniej raz na cztery tygodnie wypadła.

Otóż to samo kubek w kubek działo się i tej niedzieli, od której się opowiadanie rozpoczyna. Ledwie że mogłem odziać się jako-tako i połknąć szklankę herbaty, a już drzwi od kancelaryi ani się zamykają. Co wyjdzie jeden parobek, idzie drugi, za nim miłosiernie przez drzwi spogląda pasterz, oknem zaziera propinator, a obdarty majster rymarski kaszle tak głośno, że ten każdego mniej nerwowego odemnie człowieka, gotówby przywieść do desperacji. Być może, iż są ludzie, którym czekające tłumy nie robią żadnej dyskrecyi, lecz przy mojem usposobieniu gorączkowem, każda niezała7 twiona sprawa, jak kamień młyński cięży na sercu.

To wszystko nic, gdyby chodziło o gadanie samo; jestem z natury gaduła, i w wolnych chwilach mogę dwie godziny wypytywać żyda arendarza o różne różności nie mające żadnego związku z interesem; będę mu wykladał cały system polityczny bieżącej epoki, zmieniał kartę europejską—ale przy tych niedzielnych ga- wędkach, wszystko musi się kończyć na wypłatach, o które zwykle wiejskiemu szlachcicowi nie łatwo.

Namłóciło się trochę pszenicy lub żyta, Finkelsztejn zajechał z furmankami zabierać to zboże, a tu jak na złość spodobało się Maćkowi, Piotrowi, Wojciechowi i tym podobnym żądać ordynaryi. Grgdyby mieli delikatniejsze trochę poczucie potrzeb dziedzica, wstrzymaliby się jeszcze dni parę— ale gdzie tam od nich takich rzeczy wymagać.

— Nie mam, wielmożny panie, ani żdźbła mąki, baba nie wie co do garnka włożyć— i trudna rada, należy się i trzeba dać...

A z pieniędzmi jeszcze gorzej. Cały tydzień zbierasz zkąd można na opłatę tygodniową najemnika, rachujesz, że ci Pinkelsztejn da tyle, propinator tyle, że wreszcie można od żony, która ma swoje fundusze z indyków, pożyczyć tyle, i zdaje się, że wystarczy. Licha tam wystarczy, jeżeli ci, o których zapłaceniu najmniej się myślało, przychodzą pierwsi i wołają: daj!

Naprzykład ten gajowy safandula, pół roku nic nie brał, a gajowi zwykle mają pewne dochody, o których zdaje im się, że my nie wiemy; aż tu staje ci przy drzwiach i patrzy z głupowatą miną w twoje oczy.

— Wielmożny panie, jabym chciał pozwoleństwa jutro na jarmark do miasta...

— Idź, idź—mówię—tylko mi rano las obejść dokoła; tam od Zerdków widziałem przy drodze ściętych kilka dębków, a pnie ktoś mchem ponakrywał.

— Wielmożny panie, to te furmany, co wożą buraki do cukrowni: jedzie nocą, złamie mu się co u wo- za, to i drabuje wedle gościńca.

— Czemuż nie pilnujesz?...

i— Bogać tam, wielmożny panie, upilnuję! Taki sztuk lasu! Idziesz w tę stronę, a tam z drugiego końca słyszysz, że dzióbie jakiś szkodnik; lecisza głošem, a tu z nowu z tyłu: ciach... ciach...

— Et, mój kochany, od tego też jesteś, abyś był wszędzie.

•— Wielmożny panie, człowiek się nie rozerwie; | i tak już gule mi powyskakiwały pod kolanami z chodzenia—po nocach nie sypiam, a wszystkiemu temu ino wielmożny pan winien.

— Co, ja ci drzewo kradnę w lesie, ja?

— Eh, ta to z przeproszeniem nie o to idzie, ino że niema żadnego u ludu posłuchu. Co ja złapię kogo i przyniosę przyodziewek albo siekierę, to wielmożny pan odda wszystko... i grosza nie weźmie... a oni też ta gadają i mnie odgają: „Co ta będziesz się z ludźmi ujądał, pan nie chce krzywdy niczyjej.”

— Cóż chcesz? płaczą, narzekają, biadają...

— To ta już taka chłopska natura, wielmożny panie; oni ta nie mają na to wstydu, i już...

Ma rację, pomyślałem sobie, ale przeróźnie mię na innego człowieka. Przyjdzie taka baba, zacnie prosić, molestować, że nie ma czem do gotowania przetrącić drzewa, że w chałupie bieda, że to ostatni raz—i będzie tak chodzić za mną trop w trop przez parę godzin, a jak

i to nie pomoże, to dostanie się do żony i ją wymęczy. Zaraz protekcja, jak zwyczajnie kobieta za kobietą— tak, że mimo najsolenniejszych postanowień, każesz jej oddać siekierę.

— JN To idź, idź, Wincenty, a nie zabałamuć się w mieście.

— Czegóż stoisz?

— Bo to, wielmożny panie — mówi kłaniając się czapką ku ziemi—jabym chciał co grosza. Trafia mi się kupić jałówka...

— Kto kupuje bydlę na zimę?

— Zawsze, wielmożny panie, zbierało się trochę trawy, a to jałówka na ociełeniu od Szymona z Leśnik... I dzieciom cni się bez kapki mleka...

— Więc ile chcesz?

— A choćby ze sto złotych, wielmożny panie.

— Kiedyż tyła ci się nie należy?

— Ja to wiem, wielmożny panie, ino mię też wielmożny pan naprzód zaratuje. Moja trochę odrobi, a inaczej, to ja się nigdy na krowinę nie wspomogę.

I znowu wziął sto złotych, na które nie rachowałem. Jak tu nie dać, kiedy dobry, spokojny człowiek, i lasu pilnuje dobrze.

Spojrzę w okno, a gromada najemników zwiększa się coraz bardziej; poobsiadali sztachety, śmieją się, hałasują—dobrze im swawolić, kiedy mają brać pieniądze! Ale gdyby im przyszło płacić, tak jak mnie, toby się lepiej kręcili niż ja w tej chwili.

— Józef!—krzyknę na usługującego chłopaka gdzie Kielbiński? 'Jja

— A w spichlerzu, proszę pana, Finkelszteiniowi mierzy pszenicę.

— Biegnij, niech daje rachunek robocizny, kupiec poczeka trochę.

Jakoż za chwilę prowadzą się oba z kupcem; mój Kiełbiński, widzę, okropnie czegoś zirytowany, Finkelsztejn również giestykuluje rękami i głową tak, że mu długie pejsy na nos zlatują: ekonom trzęsie kluczami i spluwa raz po raz.

— Wielmożny panie—mówi już w progu — z tym Finkelszteinem rady sobie dać nie mogę.

— Cóż takiego?

— Pszenica mu mokra, stęchła, nie czyszczona.

— Pewnie cena spadła?—pytam kupca.

— Nu, spadła czy nie spadła, ja, wielmożny panie, nie jestem taki jak drudzy, ale jak brać gnój?

— Co znowu, gnój! Mój panie kupiec, sam oglądałem wczoraj przy młynkowaniu, pszenica ładna jak na ten rok.

— Niech wielmożny pan teraz zobaczy, jak to ładna?

I wysypuje mi z chustki od nosa na biórko próbkę pszenicy.

— A to co? zrosnięte; a to co? kąkol; a to nie stokłos, co? Niech wielmożny pan weźmie w rękę—no, woda cieknie.

— Ja zawsze wielmożnemu panu mówię, że najlepiej sprzedawać w mieście z fury—odzywa się ekonom.

•— Panu ekonomowi to najlepiej—przerywa żyd— bo jest korcowe, co? bo się namierzy na dużą ćwierć.

— Łżecie Finkelszteinie —odpowiada czerwieniąc się Kiełbiński.— Tylko to u was tak zawsze; jak zboże płaci, to wszystko dobrze, ładnie, pięknie, a jak tylko ceny klapną, to wszystko złe, niech dziedzic traci.

A. Wilczyński.—Tora IV.

— Jakto? — pyta z całą naturalnością Finkel- shtein—to kupiec ma tracić, co?
— Dlaczegożby i kupiec nie miał tracić — przerywam—jeżeli zawsze zarabia, niechże czasem i traci.

— Z przeproszeniem wielmożnego pana, to z cze- goby kupiec żył? Kupiec musi zarobić.

— A ja co?

— Nu, wielmożny pan, to jest dziedzic, ma wsiów, a biedny żyd, to ino zawsze żyd. Oto taka jest filozofia żydowska, i nikt go nie przekona, że powinno być inaczej: on potrzebuje zarobić, choćby się świat miał przewrócić do góry nogami, bo on na to kupiec, żeby zarabiał.

Podług mnie i Kielbińskiego, pszenicy nic zarzucić nie było można, ale żyd się upierał przy swoim. Nastąpiła kłótnia, ja się unosiłem, żyd krzyczał coraz głośniejsze, a ekonom stereotypowo powtarzał: „że najlepiej zboże na rynku sprzedawać.”

— Antosiu! — odzywa się żona, pokazując głowę z poza drzwi jadalnego pokoju— pójdzno tu, duszko.

Pośpieszyłem na wezwanie.

— Mój drogi, proszę cię, nie krzyczcie tak, ciotka i Marynia jeszcze śpią.

— Wszak już dziesiąta.

— One przywykły w mieście spać długo, a przez ścianę wszystko tam słyszeć... jakoś to nie delikatnie z naszej strony.

— Dobrze, dobrze — odpowiadam wracając do kancelaryi jeszcze bardziej zirygowany tem, że nawet we własnym domu krzyczeć nie mogę, kiedy chcę.

Sprawa z Finkelszteinem nie załatwiłaby się tak prędko. Gdyby nie czekała przed oknami gromada

ludzi, a ja nie potrzebowałem dla nich piejiędzy, które żyd miał obowiązek dziś mi dopłacić — wyrzuciłbym kupca, podług naszego zwyczaju, za drzwi i sprawa skończona; ale kiedy człowiek ma nóż na gardle, to musi zrzucić pychę z serca i parlamentować, musi znieść to i owo, a jak teraz, dodać na pięćdziesięciu korcach bezpłatnie cztery. I takie mamy zyski z gospodarstwa, my obdzierani po hotelach obywatele z tytułu tych wsi naszych i obywatelstwa!...

Pozbywszy się w ten sposób żyda, mówię do Kieł- bińskiego:

— No, daj że pan raz ten rachunek.

— Wielmożny panie — rzecze drapiąc się po głowie mój ekonom — kiedy jakaś bestya ukradła mi okulary...

— Więc nie ma wykazu?

— A nie ma! ale są rejestra, to ja może co dojdę. Pamiętam, położyłem je na oknie pozawczoraj wieczór, i nikt inny, tylko ten stary młynarz...

To mówiąc, z wielką powagą rozłożył na stole wysuniętą i zababraną atramentem księgę robocizny, gęsie pióro umaczał w kałamarzu i wielkimi literami wypisał na oddzielnym arkuszu: Numero 1.

— Kto tam pierwszy?

Naraz ruszyło się bab kilkanaście...

•— Motyczanka—mówię do ekonomy.

— W poniedziałek dzień, we wtorek dwojgiem, we środę...

— Ale razem ile?

— Razem będzie sześć dni.

— Osiem!— zawołała Motyczanka — byłem cały tydzień sama, a dwa dni z chłopakiem.

- U mnie stoi sześć, wielmożny panie...
- Ale ośm, niech ludzie powiedzą—oponuje energicznie kobieta i przywołuje świadków, którzy obok niej kopali.
- Jakże u licha pan zapisujesz?
- Wielmożny panie, może i była z tym chłopakiem, bo to w takiej gromadzie, gdzie człowiekowi dojrzeć; ażeby jeszcze ta bestya nie ukradła mi okularów.
- Proszę pana—szepczemi do ucha Józef lokaj— pani kazała prosie, żeby pan nie wpuszczał tyle ludzi do pokoju, bo podłogę na nic zawalają.
- Idź do kata!—krzyknę na chłopaka.
- Ależ, mój Antosiu—odzywa się ze drzwi moja jejmość — dopiero wczoraj kazałam wyczyścić. — Czyż oni nie mogą stać w sieni?
- No, wysuńcie się, wysuńcie...
- Stojący przy drzwiach, cofnęli się w tył.
- Mój panie Kiełbiński, ty jesteś do niczego!... Żadnego ładu, żadnego porządku, co się to znaczy? Jakże ja mogę płacić, nie wiedząc co się komu należy?...
- Niechno ja dostanę do moich rąk tego szelmę młynarza, to mu kości pogruhoczę za te okulary...
- Trzeba było zawołać gumienego, i tak dopiero z pamięci przypominali sobie obadwaj, ile każdego dnia było ludzi u kopania. Robotnicy się sprzecali że więcej, oni nic nie wiedzieli, i pokazało się, że zapłaciłem czterdzieści kilka złotych nad to, co było w registrach i zapisane. jgH
- Antosiu!—woła znów żona—chcemy jechać do kościoła, a już czas.
- To jedźcie; niech Józef pobiegnie do Francisz

ka, żeby założył do powozu; jak widzisz, ja nie mogę: jestem zajęty.

— Jakżeż my same kobiety pojedziemy... Ja się boję, a ciotka przy każdym nachyleniu się zaraz chce wysiadać...

— Trudna rada, jednak ja muszę pokonać rachunki.

— Przepraszam cię, nie gniewaj się, duszko; nie wypada cioci tak zaniedbywać: jest naszym gościem...

— Dajcież mi święty pokój, nie krępujcież mię tak ciągle...

— Gdzież my cię krępujemy; nie dość, że cały tydzień Boży nie siedzisz w domu, że nigdy cię na obiad w swoim czasie sprowadzić nie można, ale jeszcze w niedzielę do kościoła trudno cię wyciągnąć. Nie, Antosiu, musisz jechać...

— Pojadę, pojadę, niech zaprzęgają; ubierajcie się, ja zaraz będę gotów.

— I ja też jeszcze chciałem obrachować się z wielmożnym panem — mówi stojący od rana majster rymarski.

— Czy już zakończone reparacje?

— Zakończony—odpowiada Kiełbiński.

— Ale gdzieżtam zakończone¹—co miałem skóry, to wyrobiłem.

— Więc przyjdź majster po obiedzie.

—: Kiedy, wielmożny panie, chciałem żonie co zanieść do domu, i trzebaby skórę kupić do kręcenia na surowiec...

— Cóż, panie Kiełbiński, dalibóg, ty nic nie wiesz, co się dzieje na folwarku? Musimy raz ten nieporządek zakończyć. Jak Boga kocham, pań tu jesteś jak

malowany... Nie mam czasu teraz na rachunek—masz majster 50 złotych, kup co trzeba, weź dla siebie dziesięć złotych z tego i dasz mi rachunek...

— Wielmożny panie, ja już nie wytrzymam przy tej maltretacyi mego „honoru”—ręczę ekonom.

— Właśnie ja chciałbym, żebyś pan nie wytrzymał i poszedł sobie raz do licha...

— Wielmożny pan uwziął się na mnie, a to wszystkiemu winien ten młynarz, co mi ściągnął okulary.

— Antosiu, Antosiu!

— Zaraz idę...

— Prośba do ciebie, wielka prośba — mówi żona ciszej...

— No, mówże prędko!

— Coś ty taki zły dzisiaj, Antosiu!... Fe, wstydz się, i dla żony trzeba mieć troszeczkę względów.—Zdaje się, że coś więcej jestem warta od Maćków, Jaśków i tym podobnych.

— No, no, przepraszam cię, Emilko—jestem czegoś rozdrażniony, zmęczony...

— Biedny ty jesteś, mój kochany Antolku — ręczę, głaszcząc mię swoją rączką po twarzy. — Chodzi o to, żebyś zaprosił do nas na obiad dzisiaj Czerwińskiego.

— Był przecież pozawczoraj u nas.

— Co ci to szkodzi, mój Antolku: — ciocia sobie koniecznie życzy, dała mi to poznać... Mnie to^ jakoś nie wypada go prosić, myśleliby że go ciągniemy do Maryni.

— Bo tak jest!—odrzeknę prędko.—Co wy, u licha, widzicie takiego w tym Czerwińskim... Drażał, nudny, zarozumiały...

— Eh, ty zawsze każdemu jakąś łatkę przypiąć musisz! Może to nic z tego nie będzie, ale wiesz, cioci bardzo się podobał... "Więc tak sobie od niechcienia powiedz mu słówko... Proszę cię, bądź dla niego grzecznym, zrób to, jeżeli mię kochasz...

Na takie zakłęcie jakże tu odmówić żonie, zwłaszcza, jeżeli ta żona ładnie prosi, a jeszcze ładniej spogląda ci w oczy i głaszcze aksamitną rączką po twarzy? Ozłowiek nie z kamienia przecie.

Zajechała siarczyście czwórka przed ganek. Franciszek mój, był to stangret amator, a dla honoru domu i zadania szyku obywatelskiego tak umiał podcinać batem rumaki, że wsiadający do powozu nie mogli znaleźć kilku sekund czasu, żeby powóz nie robił naprzód i w tył nieustannych ewolucyi. Z wielką obawą i żegnaniem się jakby na śmierć, potrafiłem usadzić moje damy, a sam dla wszelkiego bezpieczeństwa usiadłem na koźle.

Skorzystajmy z czasu naszej podróży do kościoła aby powiedzieć parę słów o ciotce mojej żony i jej dwudziestoletniej córeczce pannie Maryni. Nie pójdzie to nam tak gładko, bo niechno się nachyli trochę powóz, niechno zatoczy się blisko rowu, już ze środka odzywają się strwożone głosy: ach, och, ich! a ręka mojej żony szarpie mię za połę surduta.

Otóż ciotka, pani referendarzowa, ma lat pewnie czterdzieści kilka; dziś jeszcze ślady piękności widać na miłej i delikatnej twarzy. Na przekór wszystkim ciotkom jest nadzwyczaj dobra, łagodna, gniewać się nie umie, a kiedy już przyjdzie do tego, nająka się, nająka, rozplacze i 'dostanie bicia serca. Życie jej upłynęło szczęśliwie; nie znała nigdy biedy ani większego zmartwienia. Kręcąc się w domowym kółku, pieszczona,

adorowana, spędziła spokojnie te dwadzieścia sześć lat małżeńskiego pożycia, i dopiero w tym czasie przyszły na nią kłopoty... Jedną córkę wydała za mąż za urzędnika w Warszawie... Razem z zięciem przybył jej jeden więcej usłużny i ugrzeczniomy przyjaciel — została Marynia jeszcze, a ta Marynia doszła do lat dwudziestu, i nikt, literalnie nikt na seryo nie myślał o pozyskaniu względów i serca dosyć posażnej nawet panienki. Biedna dziewczyna nie mało z tego powodu zniosła wyrzutów: „A, jesteś niezgrabna, bez życia, bez uczucia, bez powabu...” każda suknia źle na niej leżała, uczesanie było cudackie, chód niezręczny.

— A leż, moja mamó, ja nie będę inną, tylko tak, jak mię Bóg stworzył...

— To też jedyna odpowiedź twoja, gdy matka dobrze radzi. Czegóż ten stanik nosisz tak pod szyję jak jaki mundur wojskowy? Może jeszcze i brodę schowasz?...

— Mameczko, nigdy nie lubię wyciętych sukien.

— Nie mówię, żeby wyciętą zupełnie, ale tak trochę, kwadracik. I kołnierzyk lepiej się dobierze i tak jakoś...

— A, to już poczekam, jak się podstarzeję więcej... Widzi mameczka, tego wabika trzeba zachować na później...

— Niegodziwa jesteś... Z tobą zawsze taka rozmowa! Widzę, inne panienki wyglądają po ludzku.— U ciebie na przodzie ta suknia jakoś odskakuje, wyglądasz jak mężatka... Mówię tyle razy weź gorset... kupiłam francuzki...

Lecz Marynia tylko się śmiała z takich uwag

matki, co nie przeszkadzało wszakże do dalszych na* rzekań...

Co niedziela bywały w domu państwa referenda- rzów tygodniowe zebrania... Biedna Marynia cierpiała podczas takowych prawdziwie męki czyścowe... Nie mogła się ruszyć, żeby matka nie wodziła za nią okiem; nie mogła słowa powiedzieć, żeby potem nie nastąpiła reprimenda za każdy głośniejszy śmiech albo ruch nie- salonowy.

— Ty nie pójdziesz nigdy za mąż, Maryniu!

— To nie pójdę...

— Otóż wstydzisz się powinnas takiej mowy. Ja nie wiem, co się z dzisiejszą generacją dzieje... Mówi sobie najspokojniej, że nie pójdzie... Jakto można, żeby dziewczyna w twoim wieku była tyle obojętną? No, ma się rozumieć, że przy takim usposobieniu, kto się w tobie zakocha?...

Co karnawał pani referendarzowej zdawało się, że Maryni już kto się oświadczy. W tej nadziei kupowała na wyprawę jakąś sztukę płótna, coś z bielizny stołowej—to jakieś naczynie kuchenne... Szanowny małżonek miał polecenie uczęszczania na wszelkie licytacje kosztowności, gdzie tanio można kupić wcale gustowne precyoza..i "Wszystko to szło się w domu, znaczyło wielkiem gotyckiem M. W. z figlasami, układało niepra- ne w komodzie, a mimo to konkurenta nie było.

W miarę przybywających lat Maryni, pomnażały się potrawy na kolacyi przy tygodniowych zebraniach. Uniwersalna polędwica z włoskim makaronem dostawała do towarzystwa jakąś leguminę; referendarz wywlekał nawet buteleczki dawnego wina z piwnicy, młodzież jadła z ogromnym apetytem, spijała wino, paliła

cygara, tańczyła do rana samego, i ucałowawszy rączki szanownej gospodyni — wracała do domu, nie unosząc w swem sercu żadnych wyrazistszych wspomnień o córce gospodarza, prócz, że wyborną nalewa herbatę...

Ile razy przyjechaliśmy z żoną do Warszawy i byliśmy na takim wieczorku, słyszałem, że rozmowa kobiet toczyła się tylko około możebnych aspirantów do rączki Maryni. Kochana ciocia miała w zapasie zawsze dwóch albo trzech starających się niby, i z całym przekonaniem oczekiwała ich wizyty w inne dnię prócz niedzieli. Mnie do tych narad nie przypuszczano; „on się tylko wyśmieje” mówiła ciocia, więc też na to konto prześladowałem Marynię przy obiedzie, co uważałem, robiło przyjemność pani referendarzowej.

— Ten Bednarski coś bardzo się kręcił koło pani wczoraj...

— On tyle o mnie myśli, co o swojej kamizelce.

— A przepraszam; w kontredansie coś zaglądał pani bardzo w oczy, a przy balansach, pamięta pani, robił tak czułą minę...

— Prawda, i pan to zauważyłeś? — wtrącała rozpromieniona ciotka — bardzo przywoity chłopaczek; trochę zanadto wesoły, ale w towarzystwie to uchodzi.

— Wypił zawiele wina — mówi Marynia, śmiejąc się z tych nadziei matki—i w tem cały sekret tych czułości...

— Ty zawsze musisz oponować!

— Ależ zakochany, mameczko, szalenie zakochany, kiedy mama tak chce...

— Niegodziwa jesteś! — odpowiada referendarzowa, a trzeba wiedzieć, że ten wyraz „niegodziwy” Iw

„niegodziwa”, był całym i najcięższym już w ustach jej wyrzutem, którego bardzo często używała.

Marynia skończyła lat dwadzieścia, bywała już na większych zebraniach karnawałowych, dwa razy w resursie kupieckiej, w teatrze w lożach pierwszego piętra na każdej nowej sztuce; jeździła do Karlsbadu, z rodzicami była tydzień w Paryżu, wycięcie sukni z kwadratowego rozmiaru przeszło już w klinowate, a owego aspiranta jak nie było tak nie było. Panią referendarzową opuszczały już siły, codzień musiała chodzić na wszelkie spacer, nie darowała żadnemu koncertowi—aż wreszcie... dostała nie zięcia, ale palpi- taCyi serca ze zmartwienia...

Tymczasem Marynia nic sobie nie robiła z tych udręczeń matki. Było to dobre, flegmatycznego usposobienia dziewczątko, nieb rzydka, blondynka, o wielkich wyrazistych oczach, ale bez żadnej a żadnej pre- tensji. W domu rodziców było jej dobrze, serce drze- mało widocznie, nigdy się nie nudziła, nie szukała rozrywek; fortepian, książka, ro botki kobiece wyczerpywały jej wszelki wolny czas od zabaw i innych zajęć po za domem.

Z latami gorączkowa niespokojność pani refe- rendarzowej o przyszłość córki rosła w postępie geometrycznym. Na tym punkcie dostała jakby maleńkiej manii; żona moja, która ją nadzwyczajnie kochała, dzielając te utrapienia, perswadowała jak mogła, uspokajała, radziła, i ona jedna potrafiła chwilowo ukoić obawy ciotki. Pod poz orem odpoczynku i uży- cia świeżego powietrza, namówiła ją do wyjazdu na wieś; doktor, znajomy nasz i wtajemniczony we wszystkie sekreta domowe, formalnie zalecił wyjazd z Warsza-

wy, i skutkiem tego od dwóch tygodni mieliśmy ciocię w gościnie.

Między uczęszczającymi do naszego domu był młody Czerwiński, dzierżawca właśnie tego majątku, gdzie jechaliśmy do kościoła.

Wiadomo, że kawalerya obywatelska dla panien przybywających z wielkiego miasta stara się być nadzwyczaj grzeczną i uprzedzającą, aby nie postawić się niżej od młodzieży warszawskiej, więc też i mój Czerwińsiu, pełen zarozumiałości o sobie, od pierwszego poznania się z panią referendarzową roztoczył przed niemi cały zasób swych podbojowych zdolności, i tak nadszkakiwał mamie, zabawiał Marynię, że od razu uznała go ciotka za urzędowego konkurenta do ręki Maryni.

— Ależ, ciociu — mówię <— to okropnie pusta głowa!

— Wcale przyjemny chłopiec.

»— Szalaputa!

— Chciałeś, żeby wszyscy byli tacy sensaci jak ty. On mi się bardzo podobał: ugrzeczniony, salonowy młodzieniec...

— Co on za obywatel! Po całych tygodniach nie zajrzy do gospodarstwa, jeździ po wizytach tylko w sąsiedztwa, albo przesiaduje całe dni we dworze dziedzica swojego, rysując desenie dla pani Wietrzy-ckiej...

— Mój kochany Antosiu — przerwie żona — dar- f mo się nie sprzeczasz; przyjemny i wesoły chłopiec, może się podobać kobietom... Tobie się zdaje, że każdy na wsi powinien tak jak ty siedzieć po całych dniach

w owczarni, ujadać się ze służbą, albo się włóczyć po polach: prawda ciociu?

— Prawda—mówi referendarzowa, całując Emilkę—dziękuję ci, że mojego faworyta bierzesz w obronę.

Ha! kiedy tak, pomyślałem, to róbcie co chcecie!

0 cudzych gustach trudno dysputować, tem mniej o gustach kobiet, które podobno więcej są niedocieczone niż pogody jesienne. Widzimy to i wzruszamy nieraz ramionami, patrząc na różne sympaty i antypaty kobiece. Rozumna, dowcipna, jak anioł piękna, zakochuje się w niedoładze, który trzech zliczyć nie potrafi,

1 unosi się nad jego powierzchownością, rozumem, powagą, charakterem—a dalibóg, tam tego wszystkiego nie ma... Jużto szalapyty, utracjusze, hulaki, największe szczęście mają do kobiet; czy dlatego, że kłamią dobrze o swych szlachetnych uczuciach — może być; wszelkie kadzidło odurza, a kobiety są tak nerwowe...

Coś za wiele się rozgadaliśmy, a tu już nasz powóz zajeżdża przed bramę kościelnego cmentarza. Mój Franciszek jak się zamachnął, aby trzasnąć z bicia, tak aż czapkę zrzucił mi z głowy, a inni stangreci śmieją^z jego zgrabności.

Spóźniliśmy się cokolwiek, już było po kazaniu. Ja tam wprawdzie nie żałowałem tego, bo z góry mógłbym opowiedzieć całą treść znaną mi z przeszłego roku. Nasz proboszcz nie zadaje sobie wiele pracy z kazaniem; kupił sobie raz książkę, rozpruł ją w kawałki, i po kolei, od Nowego Roku począwszy, bierze arkusz za arkuszem, wkłada go do kajetu i od deski do deski odczytuje kazanie. Do tego poprawia się ciągle przekręcając wyrażenia, bo ma lat przeszło ośmdziesiąt, a okulary kupił przed piętnastu laty, i dotąd ich nie zmienił.

Moje kobiety nie mogły się już precyzyjnie do wielkiego ołtarza, musiały poprzestać na ławce bliżej kruchty kościelnej między ludem wiejskim. Uważałem, że pokora taka zwróciła powszechną uwagę sąsiadek ulokowanych bliżej Pana Boga, za co potem robiono mi bardzo przykre wymówki.

' - /

■. ■

NASZ PROBOSZCZ.

Honorowe miejsce w opisie moich sąsiadów należy się proboszczowi. Jako typ księdza dawnej daty, który osobiście widział Napoleona pierwszego a księcia Józefa przyjmował na probostwie w Radzyminie, nasz proboszcz zasługuje na bliższe zapoznanie. Zkąd pochodził, z jakiej rodziny, ile miał lat, trudno było się dowiedzieć. Czasami tylko przy pogadance na odpuście, przytaczając rozmaite zdarzenia swego życia, wygadał się od niechcienia, że za młodu służywał po domach wielkich panów na Litwie, że w ośmset dwunastym roku bawił się wojaczką, że nie wiedział gdzie jego rodzina, i że po śmierci proboszcza w Radzyminie, przy którym odbywał jeszcze za austriackich czasów swój wikaryat, otrzymał w darze sześć tysięcy złotych, które oddał ojcu dzisiejszego kolatora na lokację bez procentu, z obowiązkiem, aby ten na św. Michał wyprawiał odpust we dworze.

Od lat czterdziestu pięciu siedział na probostwie tutejszem, uprawiając trzydzieści morgów piaszczystego gruntu. Jak żył, z czego żył, nikt nie wiedział; nie przyjmował bowiem nikogo, a młodsza od niego o lat

kilka gospodyni, obdarzona była taką głuchotą, że niepodobna było z nią dojść do ładu w rozmowie.

Wysoki, barczysty, ksiądz Sosnowski, trzymał się jeszcze prosto, szedł śmiało i zamasztyło, a łagodna twarz jego z białą jak mleko czupryną i trochę figlarnie przymrużonemi oczyma, wyrażała łagodną dobroduszość i pozorną jakoby łatwowierność. Zapomniany przez konsystorz, za to uwielbiany przez włościan, ksiądz Sosnowski zakopał się w swej parafii, odwykł od świata i ludzi, trochę zdziczał, powierzchownie się zaniedbał, doprowadzając potrzeby Judzkie do minimum. W lecie tylko do kościoła ubierał się w sutannę, której koloru czarnego tylko domyślać się wypadało, zwyczajnie bowiem chodził w szarej płóciennej rewerendzie i słomianym prostej roboty kapeluszu. W zimie to lub barani pokryty sukniem i czapka rogatywka niezmiernej wysokości, znaną była całej okolicy. Jedyny paradny strój stanowiła prune- lowa świecąca sutanna, w którą się w razie potrzeby ubierał zimą czy latem, bez względu, że wyrósł z niej do tego stopnia, iż środkowa część na brzuchu, na ćwierć łokcia się nie schodziła.

Raz na rok jeździł do miasteczka z indykami na sprzedaż, za które kupował baryłkę wina i wracał tego samego dnia wieczorem do domu. Inne potrzeby zaspokajały się na miejscu u arendarza, nawet przemycaną tabakę, którą pasyami lubił, dostarczał mu pod wielkim sekretem Berko. Proboszcz nie kupował na raz jak ołówek funtowy, a i z tem w obawie wykrycia kontrabandy miał zanadto kłopotów.

Przeszłego roku przyjechał do mnie na wakacje brat żony, uczeń gimnazjum, amator konnej jazdy.

Po całych więc dniach zajeżdżał mi konie, robiąc dalekie wycieczki.

— Słuchaj-no Jasiu — mówię jednego dnia — jedziesz do Wietrzyć, tó proszę cię, wstąp do proboszcza i proś go o wydanie metryki, na którą daję notatkę.

Janek pojechał, a że miał na sobie mundurek szkolny, proboszczowi stojącemu w oknie, gdy ten z ulicy zakręcił ku plebanii, zdało się, że jedzie strażnik akcyzny.

Przekonany był, że to do niego na rewizję, i że nieszczęśliwa tabaka zagraniczna może wielkie za sobą pociągnąć nieszczęście.

Jaś uwiązał konia u płotu i zbliżał się do plebanii—drzwi zamknięte. Stuka, puka, woła—nikt się nie odzywa, a że również widział księdza w oknie, przypuszcza szturm coraz energiczniej. Po kwadransie może, słyszy pewien szelest w sieni, odsuwa się rygiel, a przestraszony proboszcz mówi:

— Przepraszam, wielmożny strażniku... nie słyszałem stukania.

— Schwagier kazał się kłaniać księdzu proboszczowi...

— Niechże wielmożny strażnik będzie łaskaw do pokoju — powtarza swoje proboszcz, nie patrząc się na Jasia, którego jednak znał bardzo dobrze...

W pokoju za to uderzył chłopca niezwykły zapach tabaki. Proboszcz bowiem wysypał cały funt i pomieszał z piaskiem...

— Co tu u księdza proboszcza tak czuć tabakę?— pyta chłopiec u proga—trzeba otworzyć okno...

— Wielmożny strażniku, to nie tabaka... tego...

A. Wilczyński.—Tora 17.

sumituje się starowina, rozdeptując nogami ów piasek pomieszany z tabaką i otwierając machinalnie okno...

— Ależ ja nie strażnik—przerywa Janek. —Cóż- to ksiądz proboszcz mię nie poznaje?... Jestem Jan Kawęczyński.

— Prawda, że ty Jaś... a bodajże cię! jakiego ty mię strachu nabawił i co gorsza Jakiej szkody narobił!... A ja zobaczywszy na komu człowieka w mundurze, myślałem, że to rewizya... Widzisz, są źli ludzie, mogli donieść. A bodajże cię!...

I zaczął zbierać ów piasek z tabaką na papier[^] i narzekać i żałować, że sobie taką szkodę wyrządził...

— Ale dziękować Bogu, żeś ty nie strażnik, sia- dajże... siadajże...

Sąsiedni księża nie bardzo lubili Sosnowskiego, a i on też nie wdawał się z nimi. Czasem już, gdy go bardzo proszono, pojechał na odpust, lub na pogrzeb jaki; lecz na każdej uroczystości tego rodzaju musiał albo powiedzieć, albo zrobić coś takiego, że to nie zachęcało do dalszych zaproszeń.

Umarła żona naszego wójta gminy... Biedaczysko, choć bez żadnych zasobów, chciał jej wyprawić ile możności suty pogrzeb, i zaprosił kilku księży. Pomiędzy tymi był nasz Sosnowski. Nabożeństwo się skończyło ze wszystkimi ceremoniami, wójt zaprosił księży i gości na obiad, i czem mógł częstował, zapraszał, dziękując ze łzami za tę usługę sąsiedzką.

— Przy pożegnaniu wsunął do rąk proboszcza trzyrublowy papierek... Ksiądz poczuwszy coś w ręku, skoczył jak oparzony wyrzucając na stół pieniądze. [^]

— Cóż ty sobie myślisz, że my swoje modlitwy tak4 drogo sprzedajemy? Jak żyję, jeszcze takiej sumy

brał od nikogo. Ty biedaku, nie dość, że straciłeś cnotliwą małżonkę, nie dość, że nas nakarmiłeś i napoiłeś po hrabsku, to jeszcze miałbyś płacić... Schowaj to na butynki dla dzieci... Trzebaby na to żyda, a nie kapłana Jezusowego, żeby brać coś od ciebie... Schowaj, mówię, i bądź zdrow, nie martw się robaku o to...

Ma się rozumieć, że po takim publicznym przemówieniu, inni odmówili również przyjęcia honorarium, a stary siadając do swej jednokonki śmiał się serdecznie:

— A co, zajechałem was panowie bracia, zajechałem, hę?

I rzeczywiście trudno było szukać u człowieka większej bezinteresowności. Chrzcziny kosztowały trzy grosze, ślub dziesięć, pogrzeb dziesięć, a mowa pogrzebowa pięć, literalnie mówię, pięć groszy. O dziesięćciny ani od chłopów, ani od dworów nigdy się nie upominał...

— Dzięki Bogu, nie potrzebuję— mówił, gdy kto z nas dla ceremonii wspominał o zaległościach.

Co do owych mów pogrzebowych za pięć groszy, to te najmniej mu robiły subiekcyi. Miał napisane z dawien dawna dwie: jedną dla włościan, drugą dla księdza proboszcza w Radzyminie, po którym owe sześć tysięcy złotych odziedziczył, i te mowy służyły mu przez całe lat czterdzieści pięć, aż do dnia dzisiejszego. Przy zamówieniu zapisywał sobie tylko imię zmarłego, i te we wszystkich miejscach manuskryptu poprawiał. Z czasem nie było już gdzie umieszczać tych zmian, więc przyczepiały się karteczki na tych wierszach, Macieja przykrywała Anna, Annę Barbara czy Jacenty, jak tam wypadło.

Dawniej kajeta tych mów były porządnie zszyte, miały okładki, ale po wielu latach użycia, okładki się

podarły, a papier tak się rozłaził, że niepodobna było tych ćwiartek zgromadzić razem i zeszyć. Naszego proboszcza nic to nie martwiło; gdzie się zeszyt otworzył, tam zaczynał czytać mowę pogrzebową i czytał ją dopóty, dopóki nie uczył znużenia, lub nie przypomniał sobie, że wrócił do tego miejsca, od którego rozpoczął czytanie. Ma się rozumieć, przemówienia takiego nikt nie rozumiał; chłopci płakali, jegomość czytał pożegnania od zmarłego dla całej rodziny — bliższej i dalszej, wychwalając bogobojne życie nieboszczyka, jego czystość żywota i szczodroblliwość, jeżeli mowa tyczyła się następcy proboszcza z Kadzimina.

— Moje dziateczki — kończył już swojemi słowami—wszyscyśmy po śmierci równi przed Panem Bogiem, a zatem mówcie za duszę Ignacego trzy razy wieczne odpoczywanie. Amen.

Obowiązki swoje wypełniał z największą skrupulatnością, żadnego pośpiechu, żadnych opuszczeń; Głos miał donośny choć drżący, i jego „Ite missa est” ze wszystkimi długo rozciągniętymi modulacjami, znane było na całą okolicę. Konserwatysta zakamieniały, nie mógł się zgodzić na zmianę nuty śpiewanych pieśni w kościele.

— Hej, hej... ty nowy panie organisto — wołał z kościoła podnosząc rękę ku chórowi— co to asan wygrywasz, j akieś kozaki czy co, w domu bożym? U nas tak się śpiewa!

I zaczynał po dawnemu pieśń nabożną, a cała ludność powtarzała za nim...

Po odczytanem kazaniu, w którym jako z epoki rewolucji francuzkiej pochodzącem, musiała być wzmian

ka o heretyku "Wolterze, robił swoje uwagi, karciał obyczaje parafian w tym guście:

— A coście-to tam za chałupą Szymka Pazdyki postavili, jakąś szubienicę, hę? (była to mowa o huśtawce); nie boicie wy się kary Pana Boga, żeby takie bezceństwa stawiać! Zamiast jeden, drugi i trzeci próżniaku iść na nieszpory, odśpiewać różaniec, to ty będziesz grzeszne ciało kołysał? A słyszę, i kobiety tam łążą... czy to nie wstyd, obraza Boska. Zburzyć mi to zaraz!

A taki był posłuch, że ową szubienicę tego samego dnia rozwalono.

Największym zmartwieniem proboszcza był odpust na święty Michał. Sute przyjęcia we dworze kolatora i solenizanta dnia tego, sprowadzały mnóstwo pobożnych i wyższych dygnitarzy kościelnych. Przy nabożeństwie jeszcze pół biedy— ale gdy przyszło jechać do dworu na obiad, biedny pleban nie wiedział co z sobą robić. Generalne życzenia składane solenizantowi kończyły się zawsze po fortunie: „koronę niebieską daj Panie Boże, daj Panie Boże...” A gdy zaczęto wznosić toasty, staruszek nie mógł się od dwóch przynajmniej wymówić i te dobijały go zupełnie. Stawał się gadatliwym, plótł niestworzone rzeczy w tonie i wyrażeniach drażniących pańskie uszy, a jeszcze bardziej obecnych pań na obiedzie.

Młoda i pretensjonalna pani kolatorka musiała się rumienić za swego proboszcza, ale na to nie było rady; księdza nie wypadało pomijać przy zaproszeniu, zwłaszcza, że owe sześć tysięcy zostawały na lokacyi u dziedzica bez żadnego procentu.

Rok temu, nowy dziekan, nieznający jeszcze oryginalności księdza Sosnowskiego, zjechał na¹ odpust z zamiarem urzędzenia Towarzystwa wstrzemięźliwości. Zobaczywszy tak zaniedbanego i ubogiego staruszka, nie uważał za rzecz potrzebną obznajomic go ze swojemi intencjami, ale po nabożeństwie wszedłszy na ambonę, w gorących słowach zachęcał lud do wyrzeczenia się wódki na zawsze, Skończył; ludzie płakali, bijąc się w piersi, i zdawało się, mowa dziekana trafiła do ich serc i przekonania —zatem urządzenie Towarzystwa było zapewnione. Tymczasem wysłuchawszy tego wszystkiego, nasz proboszcz gramoli się na ambonę i rzecze do parafian:

— Moje dzieciaczki! Nie frasujcie się bardzo kazaniem wielmożnego księdza dziekana; wy nie jesteście pijakami, ja was lepiej znam... Nie wyrzekajcie się wódki, bobyście nie dotrzymali przysięgi i jeszcze gorzej potem zgrzeszyli. Pijcie, moje dzieciaczki, tylko się nie * upijajcie... Dla was kieliszek jeden lub dwa jest posiłkiem, a czasami lekarstwem. Ja sam, pamiętam, w dwunastym roku, kiedyśmy wśród zimy cały tydzień ukrywali się po lasach, to tylko chlebem i wódką ratowaliśmy się od głodu i zamarznięcia. Gdyby nie ta wódka, chmara ludu wyginęłaby jak bydłota jakie bez świętej spowiedzi, a tak Pan Bóg nas wyratował. Oto widzicie, moje dzieciaczki, że wódka biednemu chłopu niekiedy i potrzebna do zdrowia i życia. Pijcie więc, jakeście pijali, tylko mało i skromnie, tylko się nie upijajcie... Tyle wam miałem powiedzieć, moje dzieciaczki.

Dziekan podobno strasznie się zirytował i obraził tą protestacją, oburzyła się niby i parafialna inteligencja, choó w duszy myśląc o propinacyi swojej, podziela

ła zdanie proboszcza. "Więc załagodzili jakoś tę sprawę, do zapisywań nie przyszło, a ksiądz Sosnowski powtarzał zawsze swoje: „Wielmożny dziekanie, chłop się bez wódki nie obejdzie."

Wypadek ten jednak zrobił pewną sensację i przy obiedzie był przedmiotem powszechnej rozmowy. Po spełnieniu pierwszego toastu, jak zwykle rozwiązały się usta naszemu proboszczowi.

— Ja, proszę asana — mówi do swego zwierzchnika, częstując go tabaką—nie jestem z tej modnej szkoły tegoczesnej, ja nie umiem po francuzku. Za moich czasów takich zapisywań się i wyrzekan wódki ludzie nie znali, a żyli po Bogu; co mówiłem o dwunastym roku, to święta prawda: kozacy plądrowali po wsiach, trzeba było uciekać do lasów...

— A fe, proboszczu, kto to mówi o uciekaniu — przerywa wesoło gospodyni, aby zwrócić rozmowę na inny przedmiot. — Ja jestem kobietą, ale nie rozumiem...

— Oj, zrozumiałabyś, jaśnie wielmożna pani kola- torko. zrozumiałabyś — odpowiada z uśmiechem politowania proboszcz — gdyby jaśnie pani, tak jak mnie, kozaki skórę obili... uciekałabyś jeszcze lepiej ode mnie...

Panią kolatorkę oblał rumieniec, panowie zatykali usta, aby nie parsknąć śmiechem, księża udali że nie słyszą, a gospodarz wniósł zdrowie szanownego duchowieństwa.

Jednak pani Michałowa długo nie mogła strawić owego przyrównania, ale poradźże tu co ze starcem ośmdziesięcioletnim i do tego proboszczem, używającym powszechnego szacunku w okolicy... Myślała i przemy- śliwała, w jaki sposób uchronić jaśnie wielmożne sąsiadki na drugi rok od takich argumentacyj proboszcza,

i w końcu zdawało jej się, że wynalazła. Pod pozorem ciasnoty w sali jadalnej, kazała nakryć w drugim pokoju oddzielny stolik, zaprosiła tam swego brata i proboszcza i sama usiadła z nimi do obiadu.

Staruszek z pokorną i dobrotliwą miną przyjął tę zmianę, jadł z apetytem, pił bardzo mało, zachowując się przy stole z największą powagą. Gospodyni nie szczędziła mu swych nadskakiwań, podawała potrawy, wiązała mu serwetę, namawiała, zachęcała, nalewała kieliszki — słowem, okazywała mu najwyższe uszanowanie.

Obiad się skończył, goście przeszli do innych pokojów, ksiądz podziękował, i biorąc udział w rozmowie panów, najmniejszym słówkiem nie dał poznać, żeby go takie postąpienie gospodyni mogło obrazić.

W następną niedzielę, jak zwykle po nabożeństwie uformowała się gromadka obywateli na cmentarzu kościelnym dla gawędki i udzielenia sobie tygodniowych nowości. Było kilka kobiet, a między nimi wesoła ko- latorka. Nadszedł proboszcz, przywitał wszystkich z uśmiechniętą twarzą i wmieszał się do rozmowy.

— A witamy kochanego proboszcza, witamy; jakże zdrowie dziadunia? — pyta pani Michałowa.

— Ja zdrów, jaśnie wielmożna pani—odpowiada, kłaniając się pokornie staruszek — po takim wspaniałym odpuscie człowiek nie tak prędko zachoruje...

— Zadowolony proboszcz z odpustu, co?

— A i jak jeszcze, dzięki łasce i hojności jaśnie- wielmożnych państwa... Ale na co to takie zbytki, na co? Nie warto się tyle ekspensować i tyle kłopotać, aby ludzie zjedli, a potem jeszcze obgadywali...

— Mówią co, proboszczu? — pyta żywo.

— Et, nie warto i powtarzać, jaśnie wielmożna kolatorko... zwyczajnie jak ludzie, gdzie im to dogodzisz.*

— Proszę jegomości, powiedz, umieram z niecierpliwości... I cóż mówią?

— Cóż mogą mówić, jak nie głupstwa— odpowiada uśmiechnięty proboszcz, częstując tabaką zgromadzonych dokoła obywateli. — Mnie to tam wszystko jedno; ja stary prostak, i czy tu, czytam, to wszystko dobrze... ale drudzy to zjedzą, wypiją, a potem ostrzą języki. Wierz mi, jaśnie pani, nie warto dla tych księży wyprawiać takie wspaniałe odpusty... nie warto...

■— Kochany proboszczu, chcesz mię, widzę, zamęczyć... Powiedzże raz, co mówią?

— No, kiedy jaśnie pani chce, to powiem: mówią, że ta pani Wietrzycka... ale to nie ja mówię, broń Boże... *

— Cóż pani Wietrzycka?

— Ze ta pani Wietrzycka musi być bez żadnego wychowania... ale to jeszcze gorzej mówili... kiedy mogła starego swojego proboszcza nie wpuścić do sali jadalnej, a posadziła go z sobą w jakimś karmniku... Otóż widzi jaśnie wielmożna kołat orka, co to za złe języki; warto ich prosić, co? warto karmić?... Taki ta świat teraz...

III.

PAN KOLATOR.

Kolatorem u nas była tylko firma nosząca to nazwisko, w rzeczy zaś samej pani Michałowa Wietrzycka jest dla okolicy i mężem i żoną.

Spojrzymy tylko na zaspaną i obrzękłą twarz niemłodego już człowieka, w rudej, źle założonej peruce, z potężnym brzuszkiem, na cienkich nóżkach — otóż to ma być kolator i dziedzic Wielkich Wietrzyć, Małych Wietrzyć i Wiaterków z przyległościami i przynależnościami. A jednakże tak jest, to on w swej własnej osobie, ubranej w popielaty, poplamiony od góry do dołu i dobrze na niego ciasny garniturek. Tak, to ten sam; syn wielkiego ojca, niegdyś posła na sejm warszawski, doktor prawa i administracyi.

Pocziwym z kośćcami, a dumnym ze swego rozumu i pochodzenia jest pan Michał, liczący obecnie lat sześćdziesiąt — istny obywatelski niedołęga. Pospolite nosi nazwisko, ale zawsze znajdziesz je na każdej karcie historyi, we wszystkich herbarzach, a jeżeli i temu nie wierzysz, to szereg zamaszystych portretów, rozwieszony po ścianach sali jadalnej, przekona cię, że są tam niektórzy z pałkami w ręku i obwieszeni orderami, a między kobietami tego rodu jedna prababka z mitrą ksi

żącą... „Ale była głuchoniemą” — dodaje figlarna kolator ka, gdy pan Michał zwraca uwagę na jej książęce pochodzenie.

Świętej pamięci poseł umiał chodzić koło fortuny; zostawił dzieciom szesnaście wsi i lasu, panie, ale to jakiego lasu—sześć tysięcy morgów! Po śmierci jego podzieliła się majątkiem familia, a pan Michał, jako najstarszy, osiadł w głównej rezydencji, starym modrzewiowym dworze, z dachem o dwóch kondygnacjach i z czterema murowanymi słupami przed gankiem.

Ale cóż na naszym bożym świecie może być trwałego? Pan Michał, jako prawnik, z początku zaczął urzędować w Warszawie, w nadziei, że odziedziczy kiedyś poselskie krzesło po ojcu. I wszystko szło dobrze; lecz skoro zachciało mu się nawracać żydów, którym w protokółach kazał się podpisywać krzyżem świętym, gdy sejm zwinięto... upadła nadzieja przyszłości pana Michała.

W Wielkich Wietrzycach powitano dziedzica ilu- minacją, spalono czterdzieści beczek smoły — pan Michał wydawszy wspaniałą ucztę sąsiadom i poddanym, przyrzekł, że ojczyzstego gniazda nie opuści, a odda się pracy obywatelskiej. Jakoż przez lat dziesięć majątek jego urósł w dwójnasób, nie w morgi, to prawda, ale w nomenklatury. Co parę lat przybywała kolonia niemiecka na gruntach po wyciętym lesie, i tym sposobem powstał Michałów, Heleno w, Kąty, Rozdroże i inne.

Póki żyła pani posłowa, pan Michał nie pomyślał o ożenieniu; lecz gdy na łożu śmierci wymogła ta matro- na przyrzeczenie jego, że się w ciągu roku ożeni, postanowił dotrzymać tego słowa, i w pięćdziesiątym roku życia poszukać dozgonnej towarzyszki.

Otoczył się młodzieżą, pan Michał, jeździł po okolicy na wszystkie tańczące uroczystości i szukał... Ale mimo takiej przeszłości, książęcego rodu i tylu wsi, fi- glarne panienki uciekały od jego łysiny. Sprawił pe- ruczkę — i to nie pomogło; miał tęgą czwórkę siwo* szów — panny nie chciały ich oglądać, a za to pokazywały sobie z chichotem okrągły brzuszek pana Michała, który, niestety, powiększał się coraz bardziej.

Desperacja brała naszego kandydata; oznaczony termin roczny się zbliżał, a on jeszcze nie był zdecydowany. Słowo się dało — powtarzał sobie — musi być żona.

W jednym z odleglejszych dworów przyjmowana go bardzo gościnnie. Dwie córki gospodarstwa już dawno były na wydaniu, a prócz tego bawiła tam jeszcze trzecia, daleka krewna, panienska sierota, bez posagu, lecz ze wszystkich najładniejsza i nadzwyczaj wesoła. Konkury pana Michała i każdy przyjazd jego dawały powód do tysiąca uciech trzpiotowatym paniątkom, które pan Michał jako dowód oczywistej dla siebie sympatyki przyjmował. Zwolennik starych obyczajów, postanowił prosić o rękę najstarszej córki, i w tym celu ubrawszy się we frak, pewnego wieczora zajechał szumnie przed dwór w Pokrzywach.

Panny zobaczyły go oknem i domyśliły się celu tej wizyty. Śmiechu i chichotów było podostatkiem, lecz pan Michał wierny swoim postanowieniom wystąpił do papy z oracją. Zawołano najstarszą Elżbietkę do kancelaryi ojca, za nią z ciekawości pobiegły i pozostałe dwie swawolnice...

— Elżuniu — wymówił z powagą ojciec P^a Michał oświadczył się o twoją rękę...

Pan Michał kłaniając się z całą lekkością pięćdziesięcioletniego kawalera, zdążył już do ucałowania rączek panienki. Elżunia jednak chowa je za siebie i rzecze z powagą, że nie czuje się godną tego zaszczytu.

Pan Michał nie traci miny i z kolei zapytuje Ja- dwinię:

— To może pani?

— A, panie Michale — rzecze, ukrywając śmiech Jadwinia — takiej zmienności jego serca wcalem się nie spodziewała!

— Bo ja obie panie jednakowo lubię — odrzekł niezmiyszany konkurent.

— Ale ja nie mogę! — Cóżby to był za mąż z pana, którego serce jest takiej obszerności.

— To może pani? — pyta, zwracając się do siostry Helenki.

Panna milczała zakłopotana...

— Odpowiedz-że, Helenko — wtrąca gospodarz domu.

— Ja przyjmuję — odrzekła Helena wbrew oczekiwaniu wszystkich.

— Kiedy pani przyjmuje, to zgoda! — woła uradowany pan Michał, całując rączki płonącej dziewczyny. — Nie bój się pani, ja nie taki stary, jak się wydaję, i będę panią kochał do śmierci...

Otóż tym sposobem ożenił się pan Michał — sprowadził żonę z wielką pompą do modrzewiowego dworu i rad był, że danemu słowu zadość uczynił.

Rozegzaltowana Helenka, której dostatki pana Michała obiecywały wygodny byt i niezależność, w pierwszym roku pożycia, jak dobra córka, otaczała niezwykłą troskliwością starego małżonka. Siedzieli na wsi we

dwoje, czytali książki, prowadzili się na spacer po polach i lasach, i tylko dla ceremonii kiedyniekiedy, w żółtej, na skrzypiących resorach bombie, odwiedzali sąsiedztwo.

Po roku takiego nowicyatu, skoro pani Michałowa poczuła własne siły, nastąpiła ogólna zmiana w pożyciu i urządzeniu domu w Wielkich Wietrzycach. Pan Michał codziennie wyjeżdżał do lasu z siekierą do cecho* wania drzewa—sosny padały jak kłosy, a gotówka płynęła jak woda na oporządzenie domu, na przyjęcie gości i inne drobnostki, niezbędne w życiu porządnego obywatelstwa.

Zawojowany pan Michał podpisywał kwity i re- wersa, a że lubił towarzystwo i buteleczkę, więc powoli, powoli, życie takie zmieniło się w nałóg do tego stopnia, że bez kilku lampeczek wina już obejść mu się było niepodobna.

W trzy lata przybyły dwie nowe kolonie po wyciętym lesie, które od imienia dwojga ich dzieci nazwano: Józefin i Magdusin...

Pani Michałowa zupełnie się wyemancypowała; jeździła konno, paliła papierosy, grała w karty, a pan Michał drzemiąc nad kolebką dzieci, śpiewał im różne mazurskie piosenki...

Nareszcie i zazdrość małżeńska'zajrzała do jego duszy; spostrzegł, że jego Helenka zanadto się przyjaźni j z młodymi paniczami: zaczął się bliżej przypatrywać j swoim dzieciom, i zdało mu się, że wcale do niego nie podobne... I

— Proszę cię, Helenko — mówił raz, trzymając na kolanach Magdusię — proszę cię, dlaczego ona * niebieskie oczy, kiedy ja i ty mamy czarne? -

— Eh, jeszcze zczernieją — mówiła śmiejąc się pani Helena—małe dzieci to zawsze mają kolor ocz nieokreślony...

— Ale spojrzyno—ona ma blado niebieskie...

— I to być może, bo często dzieci wyradzają się w dziadka, babkę, albo prababkę. Wierz mi, pan Tadeusz taki uczony, toż samo powiada... Spojrzyno na portret księżny babki—ma oczy niebieskie... nawet Ma- gdusia dużo z niej zarywa...

Pan Michał spojrział na portret, spojrział na córkę i rzeczywiście dostrzegł wielkiego podobieństwa — uspokoił się zatem, lecz postanowił nie odstępować żony na krok, i wszędzie musiał być przy niej...

— Michale, duszko, ależ ty nudny jesteś z tą twoją zazdrością. Ludzie się śmieją..

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże! — odpowiedział śmiejąc się filuternie pan Michał, i przysuwał sobie fotel do krzesła, na którym siedziała grająca w karty małżonka.

Współgrających również dobierał mąż sam, zwykle obywateli statecznych, których o romansowe inten- cje względem pani Heleny posądzać już było niepodobna. Uległy we wszystkim żonie, na tym punkcie upierał się do ostatka i gotów był zrobić formalną awan- turę, gdyby inaczej się stało.

Pociesznem też było patrzeć, jak biedny pan Michał przyzwyczajony iść spać o dziewiątej z wieczóra> walczył na swoim fotelu z Morfeuszem. Pani co chwila wstawiała z krzesła, stwarzając sobie różne potrzeby do , załatwienia w innych pokojach — mąż czekał, a jeżeli oczekiwanie wydawało się zadługie, włókł się sam na odszukanie małżonki. Nad ranem, gdy pan Michał dał

&a wygrane ospałości, figlarna kobieta usadzała innego partnera na swoje miejsce, a zazdrosny mąż, przebudzając się kiedy niekiedy, dotykał się ręką sąsiedniego krzesła, i znowu zasypiał w przekonaniu, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Takim był pan kolator w chwili naszego opowiadania, z tą tylko zmianą, że już rozpił się na dobre, i że nie mogąc dać sobie rady z gospodarstwem, wypuścił cały majątek w dzierżawę panu Czerwińskiemu.

Gdyby nie życzliwość i delikatne względy pani, dzierżawca nie wytrzymałby z nim i tygodnia. Nie mając żadnego zajęcia, bo i sosen do cechowania w lesie zabrakło, stary kolator włóczył się po całych dniach po gumnie i polach, gderając i krytykując na każdym kroku gospodarstwo dzierżawcy.

— Z torbami pójdzie, daję szlacheckie moje słowo! Kto widział, kto słyszał orać nie w zagony — będzie on tu miał dyabła a nie żyto... zobaczymy... Od żniwa płaci po dwa złote i daje wódkę... Jak Wietrzyce Wietrzycami, nie płaciło się więcej jak czterdzieści groszy, bez wódki, i ludzie szli...

Nigdy nie oglądał pan kolator z taką starannością swoich budowli jak teraz. Niechno się urwała gdzie zawiasa u drzwi, pan Michał zirytowany siadał przy biurku i wielkimi literami pisał odezwę do dzierżawcy, że mu rujnuje budynki. Wiatr zdarł czuprynę strzechy na stodole, zabrakło żerdzi w ogrodzeniu — posyłał reklamację. Lecz najgorsza sprawa była z trzodą chlewną i kurami dzierżawcy, które jako niepiśmienne, nie mogły czytać kontraktu dzierżawnego, a tein samem strzedz się terytoryów od dzierżawy wyłączonych..

Uzbrojony batem, pan Michał zaczął się przy furtce od dziedzińca i czekał, rychło pokaże się krząka- jący ryj we drzwiach.

— A tu nie wolno! a tu nie wolno! — krzyczał smagając batem z całą zapalczywością natrętne stworzenia.

— Każ zamykać furtkę—wołała śmiejąc się żona.

— Nie będę zamykał, a one tu chodzić nie powinny!

— Michale, zmiłuj się, głowa mię już boli od tego kwiku!

— Ja ich oduczę... muszę ich raz oduczyć!...

Ale wiadomy jest upór tego rodzaju stworzeń; pan Michał ćwiczył, a swoją drogą za pół godziny szły na dziedziniec, i nosami swemi próbowały orać po klombie...

Nad kurami w ogrodzie, które z niezmierną rozkoszą rozgrzebywały zasiane rzodkiewką grządki, miał dozór Staśko posługujący w pokojach. Za danym sygnałem, skoro czubata rzesza pokazała się na grządkach, pan Michał wydawał okrzyk: „A sio, kury, ha!” i następowała gonitwa ku folwarkowi. — Krzyki goniących, gdakanie kur, szczekanie kundli, powtarzały się również kilka razy na dzień, a pan Michał oblany potem, trzęsący się od gniewu wracał do pokoju, stylizował arkuszowy protest i opieczętowawszy go herbową pieczęcią, słał do oficyny.

Nareszcie zmarzła ziemia i nieprzyjaciele pana Michała nie mogli już przynosić szkody trawnikom dziedzińca i grządkom ogrodu. Pan Michał jednak nie zamknął księgi protestów, i od samego rana pilnował stróża rąbiącego drzewo dla dworu.

A. Wilczyński.—Tom IV.

— Gdzież takie kłody wejdą do pieca? rąb krótsze! Cóż to za drzewo? mokre jak woda... ja tego nie przyjmę... Niech sam takim pali, a mnie powinien dać suche... rozumiesz! Stróż kiwał głową i rąbał dalej...

— Ani mi się waży nosić to do pokoju!

Stróż usłuchał i nie nosił. W pokojach zimno, obiadu niema przy czym ugotować, dzieci leżą w łóżkach; przybiega żona, prosi, perswaduje, kucharz z desperacji zabiera się sam do noszenia. Pan Michał rozrzuca mu naręczko, zaciera ręce, a pisze protest i posyła do dzierżawcy.

— Niech zamarznię, a takiego gnoju nie wezmę!

— Michale, widzisz, ten człowiek traci na dzierżawie, nic mu się w tym roku nie urodziło, miej że sumienie.

— To niech słucha, skoro mu starsi i doświadczeni radzą. Mówiłem: nie psuj zagonów, nie orz głęboko na Rybniku... dobędziesz calizny, owies przepadnie... Ale to uczony gospodarz z Marymontu, drwił sobie z gadań starego i walił skiby jak płachty... Ma teraz owies, ma!

— Pamiętasz Michale, za ciebie orali dobrze, a tak samo nie było?

— To co innego, zły rok... Zresztą pał go kaci, niech orze jak chce, a tylko niech daje suche drzewo... "W kontrakcie stoi napisane jak wół: „suche drzewo na opał dziedzicowi" i basta!

Otóż krzyżowe męki przechodził biedny dzierżawca przy takiej dobroczynnej interwencji pana Michała. Z początku irytował się ciągle, parę razy przyszło do

ostrego przemówienia się, ale później oswoił się z gderaniem starego i z jego protestów nic sobie nie robił.

Czy z interesu, czy z prostej litości pani dziedziczka wzięła młodego chłopca w opiekę, a opieka nie musiała być ciężką dla posesora, skoro pan Czerwiński wszystkie wolne chwile od gospodarstwa przesiadywał we dworze, czytywał głośno książki pani Michałowej, rysował desenie do haftu, jeździł z nimi na wizyty, i zaniedbywał te domy, w których państwo Wietrzyccy nie bywali.

PAN SĘDZIA OŁOWIŃSKI.

Tytuł swój sędziego zawdzięcza wypełnieniu raz jeden posługi obywatelskiej na sądzie polubownym. Pan Michał tytułował się posłowiczem, a zatem i sąsiad Ołowiński z Czarnej musiał mieć jakiś tytuł, którego sobie pani Amelia koniecznie życzyła. Pierwszy proboszcz zatytułował go sędzią, i honor ten jakoś de facto wszedł w użycie powszechne.

Dla nas wszystkich Czarna, która była własnością pani Amelii, jest sobie zwyczajną podlaską wioszczyną z zimnemi, piaszczystemi i kamienistemi gruntami; — dwór... niezgrabnie przerobionym czworobokiem z przybudówką kuchni i jadalnego pokoju; ogród... kępą olszyny z kilkunastu drzewami owocowemi. Ale w oczach państwa Ołowińskich Czarna to perła Podlasia, prawdziwe złote jabłko; dwór—mały lecz bardzo wygodny pałacyk, (prawda, zapomniałem dodać, że miał jeden pokoik gościnny na górze, niby basztę jaką) kępa olszyny..* park angielski z labiryntem.

Państwo Ołowińscy na wszystko co swoje spoglądali zawsze przez różowe okulary. Na pozór szczęśliwi ludzie, nie mogli już nikomu i niczego zazdrościć%

w ustach pana sędziego siedział zawsze dwuwierny Kochanowski, który z czasów szkolnych zapamiętał:

Ten pan> zdaniem moim, Któ przestał na swoim.

Sam sędzia mógł mieć około lat czterdziestu, nosił przystryżoną brodę, wąsy jak wiecha, mówił wolno i z precyzją, a wielu utrzymywało i żona jego nawet to przyznawała, że ja mam wiele podobieństwa do niego.

— Rzeczywiście— mówiła pewnego razu—jak panów razem widzę, gotowam się pomylić i pana wziąć za męża.

— A jak jesteśmy oddzielnie?— spytałem na próbę pani Amelii.

— Powiem panu wtenczas, jak się zdarzy ten wypadek—odrzekła z figlarnym spojrzeniem.—Obecnie nie mogę przewidzieć, jakbym się znalazła.

Jakkolwiek podobieństwo to ze względu na panią Amelię mogłoby mi pochlebiać, to jednak nie mogę przystać nań bezwarunkowo. Nie roszczę sobie pretensyi uchodzić za przystojnego, jednak ten nos, prawdziwy nos tukana, jakim się odznacza twarz pana sędziego, stoi na przeszkodzie.

— Jaktó?— wołam z desperacją — ja mam mieć tak wielki nos, ja mam być podobny do Ołowińskiego!

A jednak musiało coś być prawdy w tem porównaniu, skoro jednego razu zdarzyła mi się z tego tytułu zabawna scena w sąsiednim miasteczku.

"Wyjeżdżałem już z miasta porobiwszy sprawunki, gdy na jednej z bocznych ulic wybiega jakiś żyd z do

mostwa i giestykuluje gwałtownie i krzyczy, aby się zatrzymać. Każę stanąć.

— Jaśnie panie (na Podlasiu wszyscy dziedzice dóbr są jaśni) co będzie z moim rzepakiem?

Kie sięję nigdy rzepaku, żyda nie znam, widocznie bierze mię za kogo innego. A że słyszałem coś od mojego pachciarza, iż Ołowinski sprzedał dwom kupcom jeden i ten sam rzepak, przysła mi ochota pożartować z kupca.

— Jest rzepak, przyjeżdżaj i zabieraj...

— Wiele jest, wiele?

— Coś siedm korcy—mówię na chybił trafił...

— Jakto siedm, kiedy ja zapłacił za trzydzieści!

— Może jest i więcej, nie pamiętam, ale trzydziestu nie będzie.

— Ny, z przeproszeniem jaśnie pana — ja słyszał co jaśnie pan sprzedał ten rzepak Mozłowi, co on go wziął i z mojemi workami?...

— Nieprawda, źleś słyszał... rzepak jest.

— Jakto jest?—mówi żyd głośniejsz — kiedy ja go widział u Mozła i moje znaczone worki... Kto taŁrobi, jaśnie panie?

Myślę sobie: źle—sprawa przybiera drażliwy charakter, tembardziej, że i małżonka kupca zbliża się do bryczki, i inni ciekawi żydkowie z przed domów nadstawiają ucha.

— Mój panie kupiec, ty się mylisz—rzeknę, chcąc mu pomyłkę wytłómaczyć, ale zirytowany syn Izraela nie da mi przyjść do słowa.

— Kto się mili... jaśnie pan się mili... co to jest?

— Czy to tak porządne obywatel robi? — dodaje żona, kładąc mi rękę z kłębkim bawełny na kolana.

— Za kogóż ty mię bierzesz?

— Ny, za kogo, za kogo? za obywatel, który mi sprzedał rzepak i wziął odemnie kierbel... Ny, co bęv dzie teraz?

— Niech pan zaraz odda pieniądze... Co to jest, rozbójstwo... Trzydzieści rublów! A nie, to ja zaskarżę do sąd... to jest oszustwo!— woła energiczniej żydówka i nie odstępuje od bryczki.

— Słuchajno kupiec, ty mię bierzesz za kogo innego, ja wiem o tej sprawie; ty myślisz, że ja Ołowiński, prawda?

— Ny, tak jest... pamięta pan, jak ja był z moją żoną w Czarny po wielgienocy...

— Otóż ja nie jestem Ołowiński... ja jestem ten a ten z Kosowa.

— Może brat?

— I to nie—tylko mówią, że jestem do niego podobny... Ale daję ci słowo, ja nie Ołowiński, spytaj mojego furmana...

Żydzi odstąpiwszy nieco od bryczki, zaczęli mi się uważnie przypatrywać. Po ździwionych spojrzaniach i zdekoncertowanej minie, łatwo było odgadnąć, że nie mogli się zorjentowac, czy ja to jestem ja, czy nie ja...

— Jestem z Kosowa...

— Morże byó — przemówił żyd — przepraszam... mnie się zdawało...

— Franciszku, jedź!—zawołam na furmana, a gdy już konie ruszyły parę kroków— mówię do zdumionego kupca: — Co tam, odbierzesz sobie rzepak na przyszły rok...

— To on! — krzyknęli naraz biegnąc z a bryczką. Awa! to oni., myszygenl...

I machali rękoma i wymyślali, gdy ja ledwo mogłem się utrzymać na bryczce od śmiechu.

Pomimo takich wypadków sprzedaży rzepaku i innych tego rodzaju figłów gospodarskich, pan Ołowiński bardzo często wspominał o leżących w biurku listach zastawnych, i na seryo zasięgał mojej rady, czyby się nie dało korzystniej gdzie zbywające fundusze ulokować.

Pani Amelia jest sobie młodą jeszcze, lat trzydzieści, nie więcej mającą, brunetką. Pełnych kształtów, które ile możności sukniami z przejrzystej materii okrywa jako czystej krwi warszawianka, swym haczykowatym nieco nosem przypomina pałace piękności Wschodnie. Rzeczywiście czarne jej wielkie oczy palą... a przynajmniej chciałyby palić każdego zbliżającego się do niej śmiertelnika. Nieograniczona chęć panowania nad wszystkimi i wszystkim, cechuje każdy czyn i słowo tej kobiety...

W domu ich znajduje się potrosze pretensyi do wielkiego tonu, do znajomości świata, do ostatniej mody,—a wszystko pokryte wyrafinowaną, ze stanu funduszów wypływającą oszczędnością. Słusznie powiedziała pani Michałowa, że urządzenie domu w Czarnej, jest miniaturą zamożności i komfortu. Wszyscy widzą tę śmie* szną pretensjonalność, prócz samych właścicieli. swoją wielkość biorą na seryo, a do zaprzeczenia, tak | w żywe oczy, nikt nie czuje odwagi.

• ^J

Zresztą, będziemy w przyszłą niedzielę w Czarnej na imieninach pani domu, od których zapewne, mimo całej niechęci wymówić się nie będzie można.

Y.

PRZED KOŚCIOŁEM.

Nabożeństwo się skończyło; inteligencja wiejska znalazła się na cmentarzu.

— Antosiu — szepnęła mi żona zaraz na progu kościoła — proś Czerwińskiego natychmiast, bo go albo Michałowa, albo Ołowińska zabierze do siebie.

■— A cóż to za szczęśliwy człowiek — powiedziałem sobie, odbywając czaty przed drzwiami kościoła — wszyscy go łapią, rozrywają... Prawda, kawaler, jedyny kawaler w okolicy...

Nie zważając, że pan sędzia szedł tuż za naszym bohaterem, trzymając się prawie jego poły zakietki, schwyciłem go pod rękę wprzód, nim sędzia mógł zejść ze schodów.

— Panie Adamie — rzeknę, odprowadzając go na bok — mam wielkie nieszczęście...

— No, cóż takiego?

— Ten gniady źrebak, znasz go pan?

— Cóż nie mam znać, z białą strzałką na czole.

— "Właśnie ten zachorował mi dzisiaj na gardło, że boję się, czy to nie nosacizna...

— Dzień dobry panom! — woła sędzia, goniąc za

nami.

— A, dzień dobry, dzień dobry... Musisz pan pojechać ze mną z kościoła — mówię dalej do młodego agronoma — pan jeden tylko możesz mnie zaspokoić...

— Ale pani Michałowa na obiad...

— Zjesz z nami obiadek.... No,-no, panie Adamie, nie odmawiaj sąsiedzkiej usługi... Szkoda konia, rasowy... Państwo Wietrzyccy mają pana codzień...

— Panie Czerwiński — rzecz natarczywie sędzia — zona moja liczy dziś na pana, czekamy z obiadem.

— Bardzo przepraszam — mówię do sędziego — właśnie pan Adam jedzie z nami.

— Rzeczywiście, przykro mi, ale dziś już służyć państwu nie mogę; bardzo przepraszam — dodaje, ściskając rękę sędziemu.

— Et... szkoda... będą pierogi z wiśniami i ze śmietaną, umyślnie sama Amelka je przyrządziła.

— Chyba się zamartwię — odpowiada sędziemu młody człowiek. — Koń chory u pana Antoniego... Ale wydzieliny z nosa jeszcze nie zielone?

— Przyznam się, nie uważałem.

— To ważna rzecz, proszę pana, wydzieliny...

Weterynaryja jest najsłabszą stroną pana Czerwińskiego;- wiedziałem o tem i liczyłem, że choroba konia będzie skuteczniejszym argumentem niż sam obiad.

Przybliżyliśmy się do grona pań, którym dyplomatycznej rozmowy mógłby najwprawniejszy ambasador pozazdrościć. Ma się rozumieć, że ciocia z Marynią były przedmiotem naj skrupulatniej szych oględzin pa® Amelii. Pani Michałowa, którą znów stroje najmniej • obchodziły, wydobyła papierosy, poczęstowała mężczy^

i bez ceremonii żartowała z męża, który nieustannie naglił ją do odjazdu...

— Poczekajże, niech się wygadam... ot, jesteś spocony, usiądź pod drzewem.

— To usnę — odpowiada małżonek.

— Nic nie szkodzi, ja cię obudzę, jak trzeba będzie jechać. Panie Adamie — mówi do Czerwińskiego — pan z nami na obiad.

— Nie, pani, przepraszam bardzo, muszę być w..

— Cóż znowu? ja na to nie pozwolę...

— Przyrzekłem — sumituje się biedaczysko, odsuwając się na bok z panią Michałową i przekładając jej dalsze tłumaczenie stłumionym głosem. Lecz pan Michał wciska się między szepczących.

Z drugiej strony znowu pan sędzia usprawiedliwia się przed żoną z nieudanej misji...

Pani się dąsa, on rozkłada rękami, wzrusza ramionami, pokazując na mnie.

— Antosiu, każ zajeżdżać — mówi żona, a ciszej pyta: •— cóż?

— Pojedzie — odpowiadam — zmyśliłem bajkę o chorym koniu.

— Wcale niepotrzebnie, wygląda to na podstępne łapanie, trzeba było poprostu zaprosić.

— A nie uważasz, jak na niego polują...

— Tem bardziej! Marynia wiedziałaby, że dla niej porzuca inne towarzystwo, a tak dla konia...

Dogodźże tu kobietom; ja myślałem, że zrobiłem coś najlepszego, że zaproszenie udało mi się oblec taką dyplomatyczną zręcznością, a tymczasem źle.

— Spodziewam się — przemówiła pani Ołowiń-

ska, żegnając nasze damy — że panie zrobią nam tę łaskę na przyszłą niedzielę.

— Nie wiem, bardzobyśmy rade — odpowie ciocia, jękając się — ale to podobno u państwa większe zebranie z tańcami, a wątpię, czy Marynia wzięła z sobą strój odpowiedni.

— Zawsze się znajdzie dla panienki jakaś toaleta na wieczorek... zresztą ja wpadnę do państwa' w ciągu tygodnia, to uradzimy, obejrzymy...

— Mamy tu nawet genialnego krawca we wsi. Jukiel wybornie zna się na strojach kobiecych — dodaje pani Michałowa.

— Fe, któżby tam udawał się do Jukla! — przerywa, machając parasolką sędzina.

— A wszakże tę bareżową suknię" robił pani, i wcale nieźle... Popatrzcie panie, wcale nieźle... Popatrzcie panie, wcale nieźle zrobiona — mówi wesoło pani Michałowa.

Sędzina okropnie się zapłoniła, bo właśnie przed chwilą upewniała moją żonę, że wczoraj przysłano jej z Warszawy od Włodkowskiego tę suknię...

— To jest... oglądał... myślałam, ale widząc, że zepsułby materiał, wołałam posłać do Warszawy...

— Czego pani chce być skromną — dodaje z do- broduszno-wesołą miną pani Michałowa — widziałam u niego przedwczoraj jeszcze... Kto robi, niech robi, aby dobrze!

— Może poprawiał — ratuje moja żpna.

— Ślicznie zrobiona! — dorzuca Marynia.

— Czego to wypierać się—rzeknie z powagą I P^o" woli sędzia — żona moja skrajała, dała dyspozycyfr" i tego nie można jej ująć, że ma gust...

Pani sędzina udawała że jest zajęta rozmową z Czerwińskim, lecz po błysku jej oczu widać było, że w drodze odpowie męża za nieproszoną interwencję, a pani Michałowa przy sposobności również dostanie za swoje...

Powozy nadjechały, zaczęliśmy wsiadać, i na tem się skończyło cmentarne posiedzenie. Pan Adam coś zanadto grzecznie podawał rękę moim damom, za co otrzymał nieznaczną pogroźkę palcem do swojej kawalerskiej bryczki.

— Proszę aspana dobrodzieja — odezwał się pan Michał — kiedy ja dostanę moje żyto? .

— Jutro już każę młócić...

— Bo, proszę państwa, słyszanaż to rzecz, żeby dziedzic nie miał chleba?

— Michale, co. ty pleciesz?

— Jak Boga kocham, tak niema... Wczoraj musiała żona posyłać do pachciarza...

— Michale, widocznie jesteś śpiący!.. Nie słuchaj pan — rzecz dziedziczka, ciągnąc męża za poły surduta — ja już sama wiem, co mam w spiżarni.

Bryczka ruszyła z nami, a zirytowany pan Michał jeszcze przekładał coś żonie, zapewne przekonując o braku mąki na chleb... » Tym tedy sposobem i trzeci mąż mógł się spodziewać porządnej od połowicy swej w drodze reprimendy...

Najlepiej teraz, mając obok siebie Adasia Czerwińskiego, opisać, wam, jak wygląda.

Z miny i czupryny tęgi chłopak; średniego wzrostu, blondyn, z porastającą delikatnie bródką i wdzięcznie zakręconemi wąsikami, ubrany z szykiem, choć nieco krzycząco, mógł się podobać z powierzchowności kobietom. Cóż z tego, kiedy w głowie okropne pustki; ca-

ły zasób jego rozmowy ogranicza się do nauk, które mu w Instytucie rolniczym w Marymoncie nakładzono; z tych jednak wyszczególnia weterynaryę, do której ma osobliwszą predylekcyę.

Całą drogę rozmawialiśmy o chorobie mojego konia. Na zapytanie jego o objawach choroby, odpowiadając, co mi tylko na myśl przyszło... Pan Adam się zapalał, przypuszczając coraz to nowszą dolegliwość, tak, że nim dojechaliśmy do domu, koń miał już nosaciznę, zapalenie płuc, zapalenie wątroby, ochwatę i zdaje się, choć tego nie był pewnym mój doktor... że i kołowaciznę...

KONKURY.

Moje kobiety zobaczywszy Czerwińskiego w wyłączonej swojej posiadłości, nie wiedziały, co z nim zrobić. Ciocia dostała rumieńców, moja żona zacierała ręczki z radości, a biedna ofiara, Marynia, wzruszała tylko ramionami, spoglądając na mnie znacząco. Siła się być grzeczną i uprzejmą, nie czując do konkurenta najmniejszej sympatii.

Zdawało się, że grunt jest 'jak można najlepiej przygotowany i że młodej parze nie przeszkadza nic do wynurzeń sercowych.

Przy obiedzie posadzono ich obok siebie. Czerwiński sadzi się na dowcipy, przy każdej potrawie targuje się formalnie, aby wszyscy przed nim brali, a skoro tylko krząknie pani referendarzowa, już chwyta karafkę z wodą, aby jej szklankę napęlić.

Gdyby nie ciocia, która nie spuszczała oczu z siedzącej naprzeciwko pary, być może, przyszłoby do jakichś komplementów sąsiedzkich, ale dozór taki widocznie krępował pana Adama— gawędka przerywała się co chwila i ja, przymuszany błagalnym spojrzeniem Emilii, musiałem co chwila, jak to mówią, nową beczkę otwierać.

Czerwiński próbował zawiązać hieroglificzną rozmowę, ustawiając wyrazy z kulek chlebowych; widziałem z daleka, ułożył słowo „kocham,” lecz Marynia z całą naturalnością zapewniała* że nie może go odczytać.'

— Trzeba pomyśleć troszeczkę — mówi Adam.

— Kiedy ja nie lubię myśleć — odpowiada panna.

— Ależ lubisz, moje serce, lubisz! — wtrąca matka.

— Mameczko, nawet nie umiem myśleć...

— Słyszaneż to rzeczy! • — odzywa się już ziryto-J wana ciotka — Maryniu, wstydz się, gdzież znajdziesz człowieka, któryby nie myślał?...

— Właśnie i ja należę do tych, co nie lubią myśleć — odzywa się Czerwiński seryo.

— Proszę mi wierzyć, jeszcze ani jednej szarady w życiu nie odgadłem. Już od dzieciństwa należałem do ludzi małowydających, a w Marymoncie zawsze mówił mi profesor matematyki: „Ty, Czerwiński, to najlepiej żebyś nigdy nic nie myślał.” I usłuchałem go, bo to człowiek bardzo uczony.

— A jak pan jesteś sam? — pyta figlarnie Marynia.

— To również nic nie myślę. Proszę pani, na co się zda myślenie? Myśl to „nic,” prawda? a z niczego trudno coś wy myśleć. Myśląc, to tylko nabija sobie człowiek głowę fantazyjami, z których idą zgryzoty, niepokoje, zawody... Ja sobie lubię żyć spokojnie; mam co wydać: wydaję, a nie mam: to się musi obejść. Cała filozofia moja: długów nie robić; najgorsza rzecz, jak si® j wlezie w te długi...

— Szczęśliwyś pan — przerywam.

— Nie mogę narzekać; dzięki Bogu, długów nie j mam, ludzie mię lubią, służba się boi, zdrowie i humo nigdy mię nie opuszczają...

— Zawołany gospodarz z pana! — rzecze ciotka i szepce ciszej do mnie: — porządny człowiek, długów nie robi; mój mąż uwielbia takich...

— Więc pan nikogo nie kocha, do niczego się nie przywiązuje? — wtrąca Marynia.

— Ale gdzieżtam, proszę pani, pasyami lubię konie i psy... Nie chwalać się, moja czwórka dobrana jak nie można lepiej... Uważała pani tę z lewej strony kasztankę ze strzałką na czole... cacko, prawdziwe cacko... Ze się znam na koniach, tego mi nikt nie zaprzeczy; prawda, panie Antoni?

— Prawda.

— A pies znowu, to najwierniejszy stróż i przyjaciel człowieka: nie przekupi go niczem. Mój Kastor to taki pojętny, że niech spojrzę, a on już rozumie moją myśl...

— Wszak pan nie myślisz nigdy?—rzecze Marynia.

— A, tak znowu nie jest. Ja myślałem o myślach poetycznych, o marzeniach... Co innego znowu myśli o obiedzie naprzykład, o spaniu, o zapłaceniu podatków... tu już muszę myśleć.

Szczyściem, że skończył się ten nudny obiad i żona zaproponowała spacer do ogrodu.

— A ten koń chory? — pyta Czerwiński.

— Dobrze, dobrze; każe go przyprowadzić przed ganek.

Panie usiadły na krzesłach przed domem, Franciszek przyprowadził pacyenta. Czerwińskiemu zaiskrzyły się oczy — znalazł się w swoim żywiole. Zakasawszy rękawy tużurka, z całą fantazyą znawcy obmacał i szyję, i uszy, i boki konia, zajrzał mu do nosa, ścisnął za gardło i koń kichnął.

A. Wilczyński. —Tom IV.

_ A co?—pyta z tryumfem spoglądając ku damom—chcecie panie, żeby jeszcze raz kichnął?

— Dobrze, niech kichnie—odpowiada zona.

I znowu ścisnął gardło źrebaka, i znowu toż samo kichnięcie.

— Ten koń, kochany panie, jest mocno chory/ zołzuje, w podejrzany sposób zołzuje! Ciepłe okłady pod szczęką, zawłokę na karku, obrok precz, otręby pszenne z siarką, nakadzanie... inaczej źle...

— Ależ ja nie widzę potrzeby zawłoki.

— Darujesz pan, ale na punkcie znajomości chorób zwierzęcych nikt mię nie przekona. Tylko spojrzg wiem, co mu jest... Pozwolisz pan, zrobię mu zawłokę.,. Czem prędej tem lepiej.

To mówiąc wydobywa z kieszeni pugilares z instrumentami weterynarskimi, kobiety zasłaniają oczy, a ja energicznym 'protestem ratuję biedne zwierzę od takiej operacyi. Koń rzeczywiście był zdrowiuteńki jak ryba, dla ceremonii kazałem go przyprowadzić, więc odmawiam, proszę, zaklinam, i ledwie przeledwie potrafiłem uchronić jego skórę od amatorskiej kuracyi.

Poszliśmy do ogrodu; ciocia i żona umyślnie puściły naprzód młodą parę, mnie dano znak, aby im 0 przeszkadzać. Chodzili więc z uliczki w uliczkę, p® Adam gestykulował żywo, pokazując na dłoni. jaM cięcia, jestem przekonany, że mówił o przyrządzaniu zawłoki; lecz, że Marynia śmiała się dość naturató a ciocie serce rosło z tak wesołej gawędki, mniezate^i paliła ciekawość podsłuchania tej rozmowy. Cóż, P J mię nie puszczały kobiety.

— Nie przeszkadzaj im — szepnęła żona ** ||j że mam zamiar zbliżyć się do młodych —
cioa%i

życzy, żeby się porozumieli... Jakże myślisz—pyta głośniejszym głosem—mamy jechać czy nie do Czarnej na te imieniny?

— Jechać, jechać, tam zawsze można się ubawić, patrząc na pretensyję Ołowińskich.

— I na panią sędzińkę—mówi żona.

— I na panią sędzińkę... oczy ma pałacę.

— Coś do wronich podobne.

— Przyjemna to widać kobieta—wtrąca ciotka— ona mi się podobała...

— Mężczyznom się również podoba; mój Antoś nawet, gdy na niego nie patrzę, takie słodkie miny jej robi...

— Ależ, co znowu!

— Nie bój się, ja niby nie patrzę a widzę dobrze; nadskakujesz, kochanku, nadskakujesz... Bo widzi ciocia, on to gustuje w takiej korpulencji, żeby to i tu było i tu było... Nie wypieraj się, Don Zuanie jakiś... Ja wiem, tybyś tam codzień jeździł...

— Niech i tak będzie, ale na ten raz chciałbym, żeby i ciocia poznała nasze sąsiedztwo i Marynia się rozerwie...

— Tylko jakże z tą suknią, Emilko?... W co ona się ubierze?...

— Ma czarną bareżową...

— Jakoś na wieczór w czarnej nie wypada.

— To może w popielatej?...

— Prędzej już w popielatej... tylko trzebaby stanik przerobić, dodać ubranie ze wstążek...

— Mam żurnale, damy jakąś wodę... ogarnirujemy raz czy dwa razy u dołu...

Skoro na plac rozmowy weszły suknie, wiedziałem, że moje panie nietylko o mnie, ale o całym bożym świecie

cie gotowe zapomnieć,—a że młoda para zajęła ławkę do- tykającą parkanu inspektowego, nieznacznie tedy wymykam się od rozprawiających pan moich, i boczną furtką dostaję do inspektów. Stąpając ostrożnie między grządkami, cichutko podsuwam się do tego miejsca, gdzie z drugiej strony siedzi romansująca para. Brzydko to jest, prawda, nawet może bardzo brzydko, podsłuchiwać cudze rozmowy, a szczególnie kochanków; ale trudno się zaprzeć, ciekawość przemogła skrupuły honoru, więc przycupnąwszy na ziemi, nadstawiam ucha.

9

— Żeby nie poznał profesor, przebieram się inaczej; kładę eleganckie buty z wysokimi cholewami, całe ze skóry lakierowanej... Nie chwałę się, proszę pani, ale wyglądały jakby je kto w oliwie umaczał... nikt nie miał takich.

— Prawda, że musiały świetnie wyglądać—przerywa Marynia.

— Trudno opowiedzieć dzisiaj, jaki to był efekt; co ruszę nogą, to zdaje się płomień idzie za mną... naturalnie, profesor mię nie poznał.

— I egzamen przyjął?

— Musiał przyjąć... Potem zdawałem jeszcze raz z agronomii za innego kolegę... dostał piątkę... A po egzaminach jaką mieliśmy bibę u Józi na Długiej ulicy, to aż strach! Kocioł, ale to półkorcowy kocioł postawiło się na stole, do niego dziesięć butelek araku, dziesięć butelek wina, głowę cukru i to się wszystko zapala ło, trochę wody potem się dołało, i mówię pani, jaki to był poncz?!... Odpić się nie było można...

Tu nastąpiła pauza w rozmowie kochanków, aj doznałem bolesnego zawodu podsłuchując bohaterów

opowiadań pana Czerwińskiego z ławy szkolnej, które już kilka razy przedtem słyszałem.

Marynię bolał palec u ręki, aby go nie zaziębió wzięła z pokoju mufkę tumakową i obecnie bawiła się nią przesuając z jednej ręki do drugiej.

— Czy to jest futro gronostajów? — pyta konkurent głaszcząc ręką delikatny włos zarękwawka.

— Nie, to są tumaki.

— Proszę pani, czy to drogie futro tych tuma- ków?...

— Nie powiem panu, bo to ojciec mi kupił gdyśmy byli w "Wrocławiu, dał podobno trzydzieści talarów.

— Zaraz sobie myślałem, że musi byó drogie, że zagraniczne. U nas tumaki się nie znajdują.

— Owszem, podobno są to krajowe kuny...

— Doprawdy, nie słyszałem o kunach?... może byó, że są gdzie... pani Michałowa ma coś podobnego, tylko, znacznie większa jej mufka...

— Teraz nie modne już wielkie mufki!...

— A pani mulka się nie pierzy? — pyta naiwnie konkurent.

— Co to znaczy?

— To jest, czy nie wyłazi puch przez podszewkę?

— O, nie, zobacz pan.

— Prawda, bo pani Michałowej to ciągle się pierzy...

— A bodajże się, twój mózg kiedy „wypierzył”— pomyślałem sobie wysłuchawszy tej rozmowy i żalując mojej niewygodnej pozycji.

— Cóż panowie robicie na wsi podczas zimy?— pyta znów po niejakim odpoczynku Marynia.

— Cały dzień przy gospodarstwie...

•— Musi być nudno?

— Nie, proszę pani; zajrzy się parę razy do stodoły, gdzie młóca, zajrzy się do obory, do stajni, i zejdzie tak do obiadu. Na wsi, proszę pani, jest ciągła praca, ciężka praca... Po obiedzie przedrzymie się trochę...

— Fe, panie, kto to sypia' po obiedzie! a cóż wieczór?

— Wieczór się czyta... i to, powiem pani, dopiero ja tu wprowadziłem ten zwyczaj... Namówiłem panią Michałową i zapnumerowaliśmy wspólnie książki z Siedlec, Daleko posyłać, to prawda, opętane cztery mile, ale dla nauki trzeba coś robić...

■— I cóż państwo czytacie?

— Tylko same zagraniczne rzeczy...

•— Powieści?...

— Ma się rozumieć, że powieści, ale historyczne... Nasi pisarze, to przyznam się pani, tak nudnie piszą, że szkoda czasu. Opisują mi jakąś wieś, księdza starego, często i chłopów... a my to wszystko lepiej od nich znamy. Co innego takie dzieło jak „Barbara Ubryk” albo „Tajemnice dworu Madryckiego:” czytała pani tę „Izabelę?...”

— Nie, nie czytałam...

— Ależ to grzech, proszę pani... Ja, co nigdy nie myślę już z zasady, to jak się dorwę „Izabeli,” jednym tchem... A całą noc to mi stoi przed oczyma ten Prim, Olozaga, Serrano i inni spiskowcy... Wystaw sobie pani, w jakimś starym zamku schadzka: po jednemu przychodzą sprzysiężeni w maskach, w ogromnych płaszczach... nic... milczą. A tu krzyż na stole w lochu, i przysięgaj. Włosy stają na głowie, jak się to

czyta... Strach pomyśleć, jakie tam zaklęcia... „żeby się uziemia zapadła podemną, żeby mi robak serce stoczył," coś jeszcze gorzej...

— A poważniejszych rzeczy nie czytacie państwo? coś z literatury, z nauk przyrodniczych...

— Ja to wszystko umiem; w Marymoncie do ostatecznego egzaminu mieliśmy coś dwadzieścia siedm przedmiotów, była tam i zoologia i chemia i historia różna—z każdego mam piątkę w patencie...

— Pani Michałowa czy to przyjemna osoba?...

— O, bardzo przyjemna... tylko jak czytamy coś takiego czulego, zaraz płacze...

— A pan Michał?

— Pan Michał, to sobie stary zazdrośnik, powiedziawszy prawdę; ciągle mu się zdaje, że ja się kocham "w jego żonie.

— Może to i prawda! Wszyscy mówią.

— Już i pani słyszała o tem?...

— I jeszcze o kimś więcej...

— Cha, cha, cha, pewnie o sędzinie z Czarnej.

•— Tak, coś nakształt tego...

— Hm... przyznam się pani, bo czegoż się mam napierać, że one rzeczywiście zakochane we mnie... Widzę ja to, ale ja...

— Pan jesteś nieczuły...

— Jak tu być czułym, kiedy te panie... jakby to powiedzieć otwarcie, takie, takie... no... kompletne parafianki. Człowiek przecie ma i jakie takie wykształcenie, i szyk inny, jak pani uważa, i bywało się tu i tam... zwiedziło się kawał świata... Trzeba pani wiedzieć, że byłem czas jakiś w Poznaniu, i we Wrocławiu pod Gęsią stałem coś trzy dni... A to, proszę pani, czysto sobie wiejskie gą-

sęczki. Cała rozmowa o sługach, o strojach niby, bo> i o tem nie mają wyobrażenia... A jak wszystko wygadają, to plotki, same plotki: ta powiedziała to, ta na. panią znowu to...

— Żałuję pana, żeś się dostał w tak nieszczęśliwą, okolicę...

— Rzeczywiście, proszę pani, jestem tu nie na, swoim miejscu, w niewłaściwej strefie. Jak pani widzi, nie jestem zarozumiały o sobie, ale przyzna pani również, że głupi znowu nie jestem... i znam coś lepszego... Wiele można mi zarzucić, ale przynajmniej szyk mam, tego mi nikt nie zaprzeczy... więc jakże się tu zachować w takich domach! Co innego pani siostra... a, to warszawianka, całą gębą warszawianka. I pan Antoni, uczony człowiek, choć nie gospodarz... jak idzie o jakąś radę, zaraz do mnie. Naprzykład dziś z tym koniem... przepadłby gdyby nie ja... I on trochę zarozumiały na swoją naukę, ale przyznaje, że i drudzy coś warci... Będzie pani na imieninach w Czarnej? — pyta po chwili.

— Nie wiem, jak mama zdecyduje.

— A, niech pani będzie... Zobacz pani, jak ja będę dyrygował mazurem... Mam swoje własne figury, bezemnie radyby sobie nie dali... Widzi pani, że wcale, nie jestem zarozumiały... ale coś przecie wymyślę... jeżeli pani będzie, to proszę panią do pierwszego kontre- dansa i do wszystkich mazurów...

— Dziękuję panu bardzo, tańczę źle, i nie jestem wielką amatorką tańców...

— I ja toż samo, tylko robię wyjątki; jak z kim/ i gdzie... Zobacz pani, nasze damy pękać będą z zazdrości.

— Jak widzę, pan jesteś niebezpiecznym i złośliwym! Jak można krwawić serca tych pań, które mu sprzyjają...

Nie mogłem dojrzeć tryumfalnej miny, jaką musiał zrobić mój konkurent, słysząc dobrodusze żarty panienki; musiałem domyśleć się jej z odpowiedzi.

— Trudna rada, proszę pani, niech raz się dowiedzą, że moje gusta wyżej sięgają... każdy człowiek, nawet tyle niezrozumiały jak ja, ma przecież poczucie własnej wartości. Jeżeli spaść, to już z dobrego konia.

— Może już pójdziemy do mamy?...

— Czy znudziłem panią? — pyta wstając z ławki i postępując obok Maryni.

•— Broń Boże, ubawiłam się, jak nie pamiętam.

— A widzi pani, że i na wsi można znaleźć młodzież, która warszawskiej nie ustąpi: prawda? "Wyjątki są, ale są..."

Nie słyszałem już dalszej odpowiedzi Maryni, zresztą, to co napisałem, sądzę że wystarczy do oceny wartości naszego bohatera.

Do późnej nocy zabawiał rozmową swoją Czerwiński moje damy, i ani sposób zmusić go do odjazdu. Widzę, ciocia ziewa, Marynia wzdycha, żonie mojej oczy się kleją ze znużenia — on tego wszystkiego nie dostrzega i siedzi jak najęty. Rozpowiedział nam przygody swojego życia, począwszy od szóstego roku, aż do dnia wczorajszego — poznaliśmy i ocenili kurację wszystkich jego koni, jakie miał i ma, dowiedzieliśmy się, że pija zimną kawę rano, a gorącą herbatę wieczór — i to bez cukru, że jest zwolennikiem hydropatyi, że lubi słuchać rady wszystkich, a robi po swojemu, że nie jest wcale zarozumiałym, choć dobrze zna swoją wartość.

Nareszcie zaczął się żegnać, wziął kapelusz do ręki, lecz tu przypomniał sobie jeszcze zajmującą anegdotę i tę nam opowiedział. W przedpokoju zatrzymała go nowina o awanturze pana Michała z wójtem gminy, w ganku zapowiedział przyjazd swój na wtorek, aby się dowiedzieć o zdrowiu konia i dopiero na stopniu bryczki zakończył tę przyjemną dla mnie wizytę, a z bramy jeszcze krzyknął coś o lekarstwie dla konia, czego już nie dosłyszałem.

— Spodziewam się, że ciocia zadowolona ze mnie? ■— spytałem wracając do pokoju. Za całą odpowiedź rozpromieniona ciotunia pocałowała kilkakrotnie moje czoło.

•— Jakże, Maryniu, doszło do czego?

— Och, doszło— odpowiedziała śmiejąc się wesoło— dowiedziałam się, że mufka pani Michałowej bardzo się pierzy.

— Bo też i ty, moja droga, jesteś dla niego tak obojętną jak lód— rzecze matka. — Tak, albo nie, i na tem kończy się twoja rozmowa. Wstyd mi tylko robisz, pomyśli sobie, że tak cię wychowałam... Naprzykład z tem myśleniem, powiedziałaś, że nic nie myślisz.

— Naprawdę, ja bardzo mało myślę...

— Cóż ty jesteś, idyotka, czy co?

— Nie podoba mi się ten pan =— odpowiada już zniecierpliwiona córka — i nie mam chęci prowadzenia z nim rozmowy.

— Cóż mu możesz zarzucić? Emilko, powiedz ty sama—pyta zwracając się do żony— czy on jest tak źle, że rozmawiać z nim nie warto?

— Dobry chłopiec, grzeczny...

— Może być najlepszy, ale nie czuję do niego żadnej sympatii i dlatego niepotrzebnie sobie państwo robicie subiekcyę...

— Otóż taka zwyczajnie odpowiedź kochanej córeczki. Ja się staram, robię co mogę, Emilka powie ci, ile się napłaczę, widząc twoją obojętność...

— Proszę cioci—wtrącam— nie widzę tu wielkiego nieszczęścia, przyjdzie czas i na Marynię, zakocha się...

— Na miłość boską, kiedyż ten czas przyjdzie!... Mówiąc między nami, skończyła dwadzieścia dwa. "Wszystkim powiadam, że dopiero dwadzieścia, ale nie długo będzie dwadzieścia i trzy... — kończy zniżonym głosem.

— Zostanę starą panną... przecież to nie zbrodnia, i — Niegodziwa jesteś!—zawoła ciotka na pół zpla*

czem. — Otóż, jaka wdzięczność za wszystkie moje po* święcenia...

I ciotka rozplakała się na prawdę, z płaczem poruszyło się serce... słabo, niedobrze... wody... octu... do łóżka... i caluteńką noc musieliśmy dozorować chorej, bo ataki sercowe ze wszystkimi szykanami łkań, nerwowego śmiechu i tym podobnych symptomatów, powtarzały się do samego rana.

Naturalnie, Marynia się także rozplakała, żona się rozplakała— nastąpiły przeproszenia, obietnice, wyrzuty, całowania, potem zamknięcie okiennic i sen do drugiej po południu.

Żal mi się zrobiło tej biednej dziewczyny, którą dla uspokojenia nerwowo-rozstrojonej ciotki, chciano poświęcić bałwanowi; postanowiłem pogadać z żoną aby jakoś wpłynęła na ciocię referendarzową i namówiła do

taktownego odwrotu. Ale jejmość moja źle przyjęła podobną interwencję.

— Rzec ułożona, mój drogi, ciocia powiada że to ostatnia jej stawka, i gdyby się nie udała, ona ten cios życiem przyplaci. Proszę cię, nie mieszaj się, nie znasz kobiet; dziś nie chcą, a jutro będą przepadać za tym samym... mówię ci, nigdy nie wierz kobietom.

— Śliczna rada...

— Bo one same nie wiedzą, jakimi będą jutro...

— I to ty utrzymujesz, ty, kobieta żona?

— Jestem otwarta z tobą, mówię co myślę; inne się maskują z pretensyi; dziewięć dziesiątych czułości okazywanych przez kobiety jest fałszem... wierz mi.

— Więc i Marynia?

— Marynia jest uparta i kobieta. Dlatego, że chcą, to ona nie chce, a niechbyśmy jej wzbraniali widywania się z Czerwińskim, zaręczam ci, byłaby zakochana...

— Ha, może to i prawda—pomyślałem sobie—jednak ja muszę ratować biedną Marynię; wy macie swoje plany, popróbuje ja swoich—zobaczmy...

I MIENINY,

Na trzy dni przed ową niedzielą, nie mogłem znaleźć sposobnej chwili, aby trzy minuty pomówić z żoną. Wszystkie pokoje, a szczególnie stoły założone były po- prutemi sukniami, nad które radziły moje panie, głuche na wszystko, co się koło nich dzieje. Stangret Franciszek nie zsiadał z konia, przywożąc i odwożąc z miasteczka rozmaite sprawunki.

Większa część kobiet jest skąpą z natury, moje liczyły się do tej kategorii ze wszystkimi oznakami tej wady czy też zalety. Same były w miasteczku, zrewidowały wszystkie sklepy żydowskie, nakupiły wstążek, tiulów, guzików, koronek i tym podobnych łachmanów bez liku, a pokazało się w rezultacie, że wszystkiego zamało.

— Franciszku, jedź! Słuchaj, co mówię.

— Słucham, proszę pani.

— Pójdiesz do Berkowej i niech ci da ćwierć łokcia tej popielatej wstążki, którąśmy wczoraj kupowały.

— Niechże weźmie już łokieć — wtrącam, usłyszawszy ćwierć łokcia.

— Proszę cię, nie przeszkadzaj—mówi żona, i dalej do Franciszka:—Jeżeli nie będzie chciała dać ćwierć,

to weź półtorej ćwierci; masz tu kawałek na próbkę. To jedno. Dalej, niech ci da muślinu na podszycie spódnicy jedwabnej... Ciociu, ile będzie potrzeba? sześć łokci wystarczy?

— Na co muślinu? — rzecze Marynia — i tak suknia będzie dobrze wyglądać, materia dość sztywna.

— Ale gdzieżtam, nic nie odstaje... trzeba koniecznie muślinu, tylko nie wiem ile łokci; możeby zmierzyć?

— Weź dwa łokcie więcej, taki tani materiał, ho podobno piętnaście groszy łokieć.

— Tak, weź więcej — powtarza żona — u was tylko weź, a jak przyjdzie brać od ciebie, to się krzywisz.

— No, już o dwa łokcie muślinu nie będę się krzywił.

— Na co brać, kiedy nie potrzeba. Ciociu, sześć łokci będzie dosyć, prawda?

— Może i będzie: to idzie w kliny...

— Więc sześć łokci białego muślinu; ona wie, jakiego potrzeba pod suknię, takiego sztywnego, w kratki.

Franciszek kiwa głową na znak że rozumie.

— Ponsowej wstążki, Emilko...

— Ach, prawda, ponsowej wstążki szerokiej; ale to już nie u Berkowej, ale u Itli; wiesz, tam koło zajazdu.

— Wiem.

— Ileż ciocia chce tej wstążki?

— Trzy ćwierci łokcia będzie dosyć, bo to na pół kokardy.

— Mameczko, nie wystarczy...

— Więc niech mu przypuści na dwa cale. Rozumiesz: trzy ćwierci i dwa cale — mówi żona. —f Cóżto jeszcze więcej?

- Aksamitki — odpowiada Marynia,
- Prawda, aksamitki czarnej wążutkiej, ot takiej na pół palca, dwanaście łokci.
- Na cóż tyle? — przerywa ciotka — ośm będzie dosyć.
- Mało, proszę cioci; obszyło dwa razy rękawy...
- Weź dziesięć...
- Mówię ci, za dużo.
- Niech będzie ośm... pamiętaj: ośm.
- Proszę pani, kucharz prosi o masło do kotletów — rzecze Maryśka, stając przy drzwiach.
- Ale ktoby tam wtedy słuchał o maśle; interpelacja Maryśki przeszła bez odpowiedzi.
- Jedwabiu popielatego, tylko cienkiego; pamiętaj Franciszku, nie takiego jakieś to raz przywiózł... cieniutkiego, za pięć groszy...
- Gdzież on to wszystko spamięta! — wtrącam nieśmiało — napiszcież mu na kartce...
- Tylko pan nie przeszkadzaj — mruknie moja Emilka — jeszcze mamy tyle rozumu i wiemy, że trzeba napisać: napiszemy i bez twojej rady...
- Jedwab' znajdziesz u Kopiowej w rynku; sama wczoraj brałam; tylko niech ci da moteczek większy, ba ona lubi oszukać.
- Ja się tam nie dam, proszę pani — rzecze z zaufaniem w swoją mądrość Franciszek.
- Cóż więcej?
- Grlasy na formę — mówi Marynia.
- Szkoda glasy, chyba, żeby z tej formy potem dać podszewkę pod stanik. Dobrze, więc glasy popielatej półczwarta łokcia.
- Czegóż ty tu stoisz, Maryśka! — krzyknie, wpa-

dając do pokoju zaczerwieniony kucharz — posłałem cię po masło, kotlety mi się palą...

Maryśka za całą odpowiedź pokazała tylko głową na panią.

— Proszę wielmożnej pani, masła potrzebuję...

— Niech kucharz poczeka...

— Patelnia się przepali...

— Mówię, że czekać, to czekać...

— Ależ, serce moje, ja czekam na owe kotlety od godziny, mam jechać na folwark...

— Uwziąłeś się na mnie dzisiaj — rzecze z gniewem małżonka. — Jak codzień my czekamy po parę godzin na ciebie, to nic... a jak raz przyjdzie ci poczekać minutkę, to zaraz awantury robisz...

— Daj klucze, Emilko — mówi Marynia — ja pój-, dę i wydam masło.

•— Nie możesz, bo mi tu jesteś potrzebna.

— To ja pójdę — dodaje, podnosząc się z krzesła ciocia referendarzowa.

— Ciocia nie znajdzie... Albo on to nie może poczekać; Maćki i Bartki nie zatęsknią za nim; zresztą, jak mu pilno, niech sam idzie... Masz klucze, idź, daj... Tylko, Mateuszu, pamiętaj nie brać mi dużo... łyżka dosyć... i z tej faski co stoi pod oknem, z tej co zaczęta...

Kucharz, Maryśka i ja z pękiem kluczy wynieśliśmy się tedy z wielką pociechą radców. Masło wydałem, wstąpiłem do ogrodu, obszedłem pasiekę, przywiązałem do pali sześć szczepków, które wiatr odwiązał, i wróciwszy do pokoju, zastałem jeszcze Franciszka w tej samej postawie, z otwartymi ustami i wiązką próbek w ręce. Przed nim stały wszystkie trzy kobiety i kła

dły mu w głowę, i powtarzały te same dyspozycje o sprawunki.

— Napisałyście już kartkę? — pytam.

— Albo co?

— Chciałem i ja dopisać, żeby mi przywiózł paczkę tytoniu.

— Eh! mój drogi, daj że mu pokój i nie zawracaj głowy. Jutro pojedzie ekonom do Garwolina, to każesz kupić.

— Nie wystarczy mi do jutra...

— Wielkie rzeczy, jak ci raz nie wystarczy; przecież nie umrzesz z tego...

— Już ja, wielmożny panie, wezmę od Berka — odzywa się z litości nade mną, Franciszek.

— Jak tam chcesz — dodaje żona—tylko pamiętaj, żebyś mi się dobrze spisał; jak wrócisz, a przywieziesz wszystko jak mówiłam, dostaniesz ode mnie wódki, a panienka uszyje ładny czepeczek dla twojej dziewczyny...

Franciszek skłonił się zadowolony, nasunął czapkę czemprędzej, widocznie bojąc się, żeby mu nakładzione informacje z głowy nie wywietrzały, skoczył na konia i kopnął się na główną drogę.

— Maryśka, Maryśka! — słyszę głos żony — biegnij i zawróć Franciszka.

Szczyściem, że było już daleko i posłaniec nie mógł dosłyszeć.

— Już nie mogłam się go dowołać, proszę pani.

— Bo jesteś niezdara — rzecze Emilka z irytacją — nim się ty ruszysz z miejsca, nim drzwi otworzysz, to onby już do Paryża dojechał... Będzie musiał

A. Wilczyński.—Tom IV.

jechać znów jutro—mówi do ciotki—bez sznurka się nie obejdzie, czemże suknię objąć u dołu?

Ciocia i Marynia potwierdziły tę wątpliwość i pokazało się wreszcie, że mnóstwo jeszcze będzie nowych sprawunków, o których zapomniano.

Jak powiedziałem, przez owe trzy dni, cały nasz dom był zrewoltowany; krajały, przymierzały, zdejmowały—i znowu krajały. Pokojówka, żona ekonoma, moje trzy panie, szyły od rana do późnej nocy i zachodziła wielka obawa, czy skończą na niedzielę wieczór.

— Ciekawa jestem, jaką Michałowa będzie miała suknię? — odzywa się Emilka — bo co do sędziny to wiem już...

— Jakąż, jakąż?—pyta ciocia.

— Z ciężkiej materii czarnej w rzucik z kwiatów... ale to nie nowa. Wujenka z Warszawy darowała jej przeszłego roku tę suknię, ona chowała, i teraz przerobili z krawcem żydem... Wiem, ekonomowa widziała u krawca... ma być wycięta tak... Jestem przekonana, powie, że ją sprowadziła od Kunków z Warszawy... no, zobaczycie... Ale ta Michałowa, ta Michałowa...

— Może Antoś wie?—wtrąca ciocia.

— Co, on?—rzecze śmiejąc się Emilka—on nigdy nie wie, jaką ja mam suknię.

— Przepraszam cię, jak co ładnego, to i ja dostrzegę...

— Chyba u innych. Wie ciocia, jemu to tak jest obojętnem, czy jego żona brzydko czy ładnie wygląda, że chyba bym przyszła zupełnie bez ubrania, toby dopiero zwrócił uwagę... Dobry, kochający — mówi dalej, głaszcząc mię po twarzy i całując w czoło — ale obojętny...

— Przesadzasz, Emilko—rzeknie w obronie mojej ciotka—no, przypatrz się Antosiu, jak ci się podoba ta popielata Maryni?... Maryniu, przynieśno swoją suknię.

Marynia pobiegła do drugiego pokoju i podnosząc wysoko coś zmiętego okropnie, obracała w palcach przed mojemu oczyma.

— O, bardzo ładna, bardzo ładna...

— To podpięcie jakże?

— Sądzę, że się to wyprostuje, jak się ubierzesz?

— Jakto wyprostuje?

— Przecież takiej podpiętej nie włożysz?

— Ależ to festony... taka moda teraz...

■— Na miłość boską, gdzież to ma być ładnie; tu spięte, tam spięte, tu coś wisi...

— To szarfa...

— Widzi ciocia, to jest jego gust taki... Dajcie mu pokój... Pokaż mu ciocia jakiego barana z czarnym nosem, będzie się unosił, co to za śliczne stworzenie, jakie to ma fałdy na szyi, jaka to wełna... Ale o sukniach naszych nie mam pojęcia...

— Pod tym względem przyznaję ci gust niepospolity, wiem, że jesteś artystką...

— To mało, mój panie... mało... powinieneś się zachwycić...

— Jak się raz zachwyciłem, moja droga, tak już nie mogę wyjść z tego zachwyty...

•— Filut—dodała żona, klepiąc mię po ramieniu— pamiętaj, będziesz żałował, jak się kto we mnie zakocha...

— Byle nie Czerwiński...

Marynia uśmiechnęła się wdzięcznie, a ciocia zrobiła minę obrażonej za tak nietaktowne wyrażenie się

moje, za co potem dostałem od zony reprimendę, abym się rachował ze słowami...

Miałem zwyczaj po południu zdrzemnąć się jakie pół godzinki, lecz w tę niedzielę i tego mi nie pozwolono. Kochana Emilka wystroiwszy swoje panie, zapragnęła rozciągnąć swoje rządy i do mojej toalety.

— Spodziewam się że włożysz frak?

— Na co? zawsze jeździłem w tużurku...

— A, nie można, włóż frak; nie dla mnie, ale dla cioci, jakoś nie wypada.

Wydobyłem tedy jeszcze ślubny ów frak z krótkie- mi i szerokimi szosami, cokolwiek teraz zaciasny, ale zapewniła Emilka, że to nie szkodzi. Kazano mi ostrzydz brodę, wypomadować wąsy; dano białą kamizelkę i białą krawatkę—znalazł się jakiś stary kapelusz składany, jasne rękawiczki, a w kieszeni fraka umieściła żona batystową chustkę mocno naperfumowaną.

— Tak przynajmniej wyglądasz do ludzi podobny— rzecze stawiając mię przed lustrem. — Wam na wsi zdaje się, że możecie wcale się nie ubierać... Niech ciocia popatrzy, wcale co innego.

— Zobaczysz—odpowiadam Emilce—narobisz sobie biedy... Sędzina się zakocha we mnie i będzie źle...

— No, no, mój kochany, tylko ty jej nie nadskakuj bardzo i nie rób czułych oczu, to ona cię nie zaczepi.

Franciszek już cztery razy objechał dokoła dziedziniec, bo konie_o ustać na miejscu nie mogły, a moje panie nie były gotowe.

— Wzięłaś pudełko z pudrem?—pyta ciotka.

— Nie... zaraz, zaraz...

— A szpilki macie?

— Antosiu, schowajno ten papierek ze szpilkami, -weź i te rękawiczki drugie... nie mam kieszeni w sukni.

— To i moje—dodaje Marynia.

Brałem to wszystko pakując po kieszeniach i czekałem przed gankiem. Nareszcie zaczęło się ładowanie. Ani sposób, we trzy do powozu zmieścić się nie mogą. Pozakładały suknie, spięły ogony, zsuwają się ku sobie, dwie siadły, dla Maryni na przodzie zabrakło miejsca!

— "Widzisz, Antosiu, nie mówiłam ci, gdyś kupował powóz, że zamały będzie.

— Rychło wczas robisz wymówkę...

— Ty nigdy nie posłuchasz, jak żona radzi... „Będzie ciężko na konie," u was to tylko te konie... teraz jakże Marynia wsiądzie?

Jednakże musiała biedna wsiąść z wielkim skrzywieniem się ciotki, że suknia na nic się pogniecie.

— Już więcej się nie zemnie jak zmięta — mówię czepiając się Franciszka na koźle.

— Dobrze ci żartować, mój drogi, a szkoda naszej pracy...

Więcej było obawy, niż szkody. Jakoś bez tych zapowiedzianych strat i wymięcia, dojechaliśmy szczęśliwie do Czarnej, gdzie uśmiechnięty sędzia z całą ga- lanterią powysadzał moje damy, a pani z przedpokoju zabrała je w swoją opiekę.

Przyjechaliśmy dość wcześnie, z czego skorzystała gospodyni, oprowadzając nas po wszystkich pokojach i pokazując cały zasób domowej zamożności. Począwszy od mebli w saloniku, szliśmy kolejno, niby zwiedzający muzeum, a pani jak cicerone rozpowiadała historię każdego sprzętu. Kwiaty w wazonach były arcy-rzadko- *sioią botaniczną; wprawdzie, połowa z nich nie miała li

ści, ale dlatego, że były pochodzenia afrykańskiego, a w Afryce właśnie w tej porze zima panuje.

— Milutki salonik, prawda?—pyta gospodyni.

— Bardzo milutki—odpowiadamy chórem.

A ten milutki salonik, to była sobie, zwyczajna, niska, o małych okienkach stacyjka, której ściany sterzące belki wyklejono papierem, a uginającą się pod nogami prostą podłogę na czerwono pomalowano. Na ścianach przybite półeczki, na których ustawione świece, reprezentowały kandelabry. Fortepian, cienkie i długie brząkadło, pochodził ze sławnej fabryki Brendla, o której nikt nigdy nie słyszał— biurko czarno bejcowane z klapą otwieraną ku dołowi było antykiem, a w tem biurku tyle klejnotów rodzinnych pani sędziny, któreśmy kolejno podziwiać musieli, że niech się schowa skarbiec drezdeński. Nawet zapasy srebra i złota w monetach różnej narodowości, mieliśmy szczęście podziwiać.

Pani nie ominęła szaf z sukniami, pokazała zapas bielizny, srebra stołowe, trzy półcie słoniny i dwa wielkie sadła w spiżarni. Kazano mi sprawdzić wagę fasek napełnionych masłem, wachaliśmy kapustę w beczkach, a wszystko to były arcydzieła, świadczące o zamożności domu, rządności gospodyni i trosce gospodarza. Nawet litografia, przedstawiająca śmierć księcia Józefa w nurtach Elstery, miała historyczną wartość — ojciec pani sędziny przywiózł ją z Lipska, jako oficer służący w wielkiej armii.

— Już-to moja Amelka ma gust— wtrącał kiedy niekiedy pan sędzia, zamykając pochód.

— Kobieta, jakich mało—dodaję.

— Jakich nie ma, panie! — kończy łapiąc mię z*

poły fraka przy przejściu schodków z jednego pokoju do drugiego,

— Ostrożnie, sąsiedzie, tu schodek, a drzwi trochę zaniskie... Nasi przodkowie pod tym względem nie mieli wyobrażenia o wygodach i komforcie... Ale pamiętka... zmieniać nie wypada... droga pamiętka!

Lokaj ma się rozumieć był w rejtraku czekoladowego koloru i w takichże kamaszach, pokojówki po wiejsku ubrane, bo to strój malowniczo-narodowy.

Powoli zjeżdżać się zaczęli inni sąsiedzi, nasze panie usadzono na pierwszym miejscu na kanapie—były one tego dnia szczególnie adorowane i uwzględniane jako nowość z Warszawy.

Z przybyciem pan^a Michałowej rozpoczął się przegląd sukien.

— A, nie powiedziałam pani—szepnie ona do ucha mojej Emilki—że to stara suknia. Kto dziś używa in- teryi kwiecistej?... Patrz pani, ogon jaki maleńki... biedny ten ogonek, nie wystarczyło... A ta gałązka kaliny we włosach... to mi gust, nakłaść sobie korali z kaliny. A ta georgia na piersiach!...

— Przyznam się pani—mówiła biorąc mię pod rękę sędzina—tej Michałowej zdaje się, że ma lat szesnaście... Spójrzyno pan, suknia biała muślinowa, a ta szarfa niebieska przez plecy... Wyborna sobie, mój drogi panie; zobacz, czy niema z tyłu orderu... wygląda jakby wstęga świętego Andrzeja drugiej klasy...

— Nie zaprzeczysz pan, że moja żona wystrojona po królewsku, co? — rzecze sędzia wskazując głową na panią Amelię.—Jeszcze ujdzie kobieta... gust ma... choć ten gust dyabło kosztuje; wystaw sobie, sześćset złotych wyciągnęła mi na tę suknię...

— Nie wiedziałem, żeś sędzia tak hojny... Rok ciężki!

— Musiałem, ruszyło się zapasów trochę zeszłorocznych, choć i na ten rok nie narzekam; pszenica daje dwa korce i trzy ćwierci z okładem, rzepak mię ratuje bardzo...

Wiedziałem, jak go ratuje, ale to w sąsiedztwie nie wypada kogoś kompromitować, udałem, że wierzę.

Prócz znajomych nam, pojawił się pan Chyłkow- ski z żoną, poczciwy, tłuściutki szlachetka, odgrywający rolę dowcipnisia w okolicy. Miał szczególniejszy dar na śladowa nia głosu zwierząt i ptaków, piał jak prawdziwy kogut, tak, że inne koguty odzywały się we wsi na jego hasło. Przyjechał pomocnik naczelnika powiatu z żoną i siostrą—kuzynek gospodyni z Warszawy, autor dramatyczny, figura wielce dystygowana, przy którym jakoś mój Czerwiński dość blado wyglądał; wreszcie uczony sąsiad Tadeusz, młody kawaler, członek korespondent w ielu pism rolniczych, którego rozmowa obracała się za wszo około czasów historycznych siedmnaste- go wieku.

Kiedy już zdawało się, że sala zapelniona w komplecie, przyprowadzono dwoje dzieci sędziostwa z po- winszowaniami zwiniętymi w trąbkę i ponsowemi wstążkami przewiązane. Starsza córeczka z ojcowskim nosem i zezowatem spojrzeniem, zrobiwszy zgrabny dyg, wyrecytowa ła po francusku powinszowanie, natomiast młodszy chłopak zaciąwszy się przy pierwszym wierszu, zaczynał kilka razy od początku, dochodził do tego samego miejsca i dalej ani rusz... I podpowiadano i Popychano dzieciaka—nic nie pomogło. „Kaźda jutrzienka' wschodzącego słońca" i na tem koniec.

Po deklamacji gra na fortepianie, gra bez nadziei ukończenia...

Wszyscyśmy ucałowali z kolei koncertantkę — ojciec zaczął wygłaszać pochwały o niezrównanych zdolnościach swoich dzieci; już już gotowała się nowa deklamacja poematu Racina, gdy szczęściem podano herbatę, żydowska muzyka ucięła marsza w przedpokoju, a gromada stangretów poczęła palić z biczów przed oknami. Zaczęły się tańce, starszych zasadzono do gry w karty. Ja zostałem w rezerwie zaliczony do tańczących.

Mój Czerwiński teraz dopiero pokazał, co umie: wykrecał, ale jak wykrecał Marynię i w prawo i w lewo i naprzód i w tył, że biedna dziewczyna spoglądała tylko żałośnie czekając końca tych artystycznych ewolucji.

Do kolacyi wszystko było w porządku; ciocia nadzwyczaj była zadowolona z zabawy, Czerwiński nie odstępował Maryni. Emilkę trzęśli wszyscy po kolei, a pan Michał zaglądając zbyt często do bufetu, już nie mógł rozpoznać swej żony między tańczącymi.

Kolacya również przeszła jako tako; napiliśmy się wódki zwanej ciarkówką, domowego wynalazku pana sędziego, jedliśmy indyka z apetytem i bezpiecznie, bo czterech drabów gospodarskich powiewając gałęziami z topoli nad naszemi głowami, energicznie odpędzało roje much cisnących się do ust jedzących.

Wszystko szło dobrze; lody i znowu tańce — aż ognisty mazur z figurami pomysłu Czerwińskiego zachwiał całą zabawę. Zachciało mu się tańczyć z Marynią w pierwszą parę, a tymczasem sąsiad korespon

dent, jako tańczący, z mężatką, panią Michałową, również do dyrekcyi mazurem rościł sobie prawo.

— Nie ustępuj pan! — szepnęła mu pani Michałowa.

— I ja nie ustąpię!—krzyknął Czerwiński ciągnąc za sobą Marynię. •

Tańczyli więc razem. Ten zaproponował inną, figurę, Czerwiński inną—nastąpiła sprzeczka, chaos tańczących, i od słów do słów głośna i dość nieprzyzwoita kłótnia.

— Ja tańczę z panem! — odzywa się gospodyni chwytając mię za rękę. — Proszę, zaczynajmy, spór będzie zagodzony.

Lecz ja miałem inną damę, a żona daje mi znak, aby nie tańczyć.

— Pan się namyślasz?—pyta obrażona gospodyni, puszczając moją rękę.

— Tańczę z panią Chyłkowską..!

— Bardzo grzecznie ze strony pana, bardzo grzecznie — rzecze z iskrzącym wzrokiem oddalając się w stronę sprzeczek panów.

— Kto tu ubliża mojej żonie!—zawoła pokazując się we drzwiach pan Michał.

— Michale, mój drogi, nie mieszaj się! — szepcze kolatorka, starając się wyprowadzić go z salonu.

Lecz pan Michał nadzwyczaj drażliwy o honor swego imienia, ustąpić nie chciał. Sąsiad korespondent wkrótce objaśnił go, o co chodziło, gniew pana Michała stawał się głośniejszym.

— Co Wasan myślisz! — rzecze przystępując do Czerwińskiego i biorąc go za klapę fraka—że tu o kury idzie, co? Moja żona jest tu pierwsza i basta!

— Za pozwoleniem, panie Michale — mówi z powagą, wciskając się między nich sędzia.—W naszym domu wszyscy są pierwsi...

— Kto to sąsiadowi powiedział, he? Na Ołowiń- skich jeszcze wróble nie świstały, kiedy Wietrzycki już był z Jagiełłą... Helenko, gdzie on to był z Jagiełłą?

— Michale, daj pokój!

— Ja nie dam pokoju, dopóki moje nazwisko będą obrażać. Helenko tańcz w pierwszą parę... Wietrzycki nie ustępuje nikomu... A ten, ten jakiś tam Czerwiński śmie, mości dobrodzieju... kto wasan jesteś?... Dzierżawca mój, nic więcej...

— Panie Michale!—woła zaperzony agronom— proszę się nie zapominać, jestem dzierżawcą, to płacę.

— Dzierżawca a ekonom to wszystko jedno! Jak zechcę, to jutro fora ze dwora...

— Nie tęgie wino dałeś sąsiedzie—mówi do stojącego obok mnie gospodarza Chyłkowski — a tak się popili.

— Na trzy ruble garniec, jak Boga Kocham!

— Chyba dwa garnce za te pieniądze.

— No, no... ty umiesz tylko drwić ze wszystkiego...

Widząc na co się zanosi, kobiety moje wyniosły się cichaczem do dalszych pokoi, a tymczasem gwar wzmagał się coraz bardziej. Pan Michał nie dał sobie słowa powiedzieć, żona błagała i zaklinała, sędzia się gniewał, pani Amelia mówiła nawet impertynencye...

— Moja żona tu pierwsza i basta! Wypędzę jutro hołysza ze wsi... Co on mi tu będzie burmistrzował. A kto temu winien, jak nie ty — rzecze zwracając się do żony. — Pan Czerwiński, panie Teodorze, do pana

Teodora... masz teraz swojego Teodora!... Po głowie gotów ci skakać.

— Czy to się godzi? — szepce Michałowej Czerwiński — pani mię gubisz...

— Ja, cóż ja tu winna?...

— Kazałaś pani nie ustępować.

— I teraz nie ustąpię... Dlaczegoż pan się zapominasz? zaprędko wywietrzały przysięgi...

— Ależ prosta grzeczność...

— Znam się na tej grzeczności... Niewdzięczny..., bo żeby to jeszcze co... ale blade, wymokłe...

— Jak panią szanuję... Serce bije spokojnie.

— Nie szukaj pan wybiegów!... Wiem, chcesz się pan żenić.

— A gdybym rzeczywiście chciał się żenić, cóż w tem dziwnego?

— Tak, tak...—mówi przeciągle pani Michałowa, przesywając go swemi buremi oczyma. — Już tak... A ja panu mówię: nic z tego nie będzie...

— Jakiem prawem możesz pani zabronić?...

— Prawem kobiety, którą pan oszukałeś...

— Przypomnij sobie pani list, któryś mi oddała przed swoją słabością... Co pani napisałaś?

— Toś go pan czytał?... Pięknych rzeczy się dowiaduję! Dałeś pan słowo honoru, że go nie rozpieczę- tujesz, chyba w razie mojej śmierci; zwróciłeś zapieczętowany! Wszystko między nami skończone! Złamałeś mi pan życie, zdradziłeś mnie, ale ja jestem kobietą, która mścić się potrafi... Pamiętaj pan, od dzisiaj między nami wojna!

— Niech będzie wojna! — odrzekł zirytowany Czerwiński.

— Będę się mścić do ostatniej chwili życia.

— Nie boję się zemsty — odpowiada, zwracając oczy ku tej stronie, gdzie moje panie siedziały.

— Michale! — rzecze, biorąc pod rękę męża pani Wietrzycka — jedziemy...

Ale gościnnie pan sędzia nie chciał na to pozwolić. Przyniesiono nowy zapas wina, pan Michał wypił jeszcze jedno zdrowie — muzyka zagrała wiwat, potem drugie, potem trzecie, i jakoś gniew jego topniał powoli, choć do mazura już nie przyszło.

— Panie Czerwiński — zaczepia go w drugim po[^] koju gospodyni — przyjedź pan do nas jutro... Mam z panem do pomówienia.

— Dobrze, pani — odpowiada zakłopotany chłopiec.

— Ostrzegalam pana, ostrożnie z Michałową.* A co, nie sprawdziło się?... Wiem, wiem i domyślam się...

— Szalona kobieta...

— Nie, tylko zakochana...

— Kto ją o to prosił...

— Nie trzeba było dawać nadziei... Radziłam... masz pan skutki bardzo przyjemne. I myślisz pan, że to koniec? Kobiety z takim wychowaniem są zawsze kulą u nogi młodego mężczyzny... Chcę jeszcze jakoś skleić zabawę... panie Teodorze, proszę, otrząś się, zrób mi tę grzeczność.

— Już nie mam chęci tańczenia.

— Nawet z panną Maryą... Przyjemna dziewczyna, ale to zimne jak Niemka... To nie dla jego serca..% Znowu ostrzegam... proszę o jutrze nie zapomnieć.

Można było przewidzieć, że mimo nowych transportów wina, mimo zachęcań gospodyni, tańce odżywić

się nie mogą, i przesiedziawszy jeszcze z godzinę, wróciliśmy do domu z zawiedzionymi nadziejami.

Przed samym wyjazdem doświadczyliśmy niezwyklej gościnności ze strony syna państwa Ołowińskich... Schował gdzieś włóczkowe chusteczki moich pań, i mi, mo wszelkich próśb, grózb i narzekań rodziców, oddać ich nie chciał.

— To hultaj! gościnny będzie kiedyś obywatel! — zawyrokował ojciec.

— Ale proszę pana, każ mu pan oddać; damy nie mają czem głowy okryć...

— No, no, Jasieczku, powiedz gdzieś schował, to niegrzecznie — mówi ojciec, głaszcząc go po głowie.

— Kiedy nie powiem, kiedy nie powiem — odpowiadał, kołysząc się na krześle.

I rzeczywiście nie powiedział, aż pani sędzina musiała pożyczyć swego kaptura i chustki, i dopiero zdołaliśmy się wydobyć z gościnnego i uprzejmego domu państwa Ołowińskich.

NARADY.

Na drugi dzień jeszcze moje kobiety spały w najlepsze, a tylko Emilka z bólem głowy krzątała się koło gospodarstwa, gdy zobaczyłem przez okno zataczającą się przed ganek żółtą bombę pana Michała, ciągnioną przez dwie ostrokościste szkapy. Z bomby, patrząc, gramoli się pan Michał w leciutkim płaszczku, zaczepia głową o wierzch budy, peruka zostaje w powozie, a powożący chłopak szuka zguby między papierami leżącymi na dnie powozu... Wychodzę przed ganek.

— Szanownemu sąsiadowi... Witam... witam!

— A dajże, ty niezdaro, tę perukę.

— Kiedy niema, proszę jaśnie pana...

— Co to niema, dopiero co zleciała... szukaj prędko... przepraszam sąsiada, padam do nóżek...

Zbliżam się i ja do powozu, szukamy razem, od- piąwszy fartuchy—rzeczywiście niema peruki.

— Jak na kogo zaczął się sypać nieszczęścia, to się już sypią bez rachunku — rzecz zaambarasowany kolator, zasłaniając ręką łysinę.

■— Włóż sąsiad czapkę, pójdziemy do mojej kancelaryi; on znajdzie perukę, to przyniesie panu; kobiety jeszcze śpią...

Pan Michał ucałowałszy mię po trzykroć w oba policzki, i nie nakrywając głowy, jakby inny człowiek z goluteńką czaszką wchodzi do pokoju.

— Jacuś! — woła przeze drzwi — papiery moje!.. Kochany sąsiedzie, jestem cały w ogniu...

— Siadajże pan, proszę, co się to stało? czy pani zachorowała? czy jakie nieszczęście?...

— Gdzież więcej? — mówi, odbierając od Jacusia ogromną tekę z papierami.

— Rozleciały się, proszę jaśnie pana, że ich zebrać nie mogę, a i tej czapki z włosów niema...

Zirytowany wybiega sam przed ganek, gramoli się do powozu i arkusz po arkuszu wydobywa z różnych za- kątków. Go to ma znaczyć, myślę sobie, widząc, że Jacuś zebrał już całe naręczko papierów...

— Nieś do pokoju!—krzyknie pan Michał. — Oto widzi sąsiad, jaki u mnie porządek; jest wszystko, tu najmniejszego świstka nie powinno zabraknąć.

— O cóż to idzie?— pytam, sadzając go w fotelu.

— Chcę wykurzyć dzierżawcę i basta!

— Kogo? Czerwińskiego?

— Jego samego.

—| Cóż się więc stało?

— Żebym chciał sąsiadowi wszystkie jego awantury opowiedzieć, musiałbym trzy dni i trzy nocy gadać... Ale tu jest czarno na białem — dodaje, pukając palcem w papiery. — Ten młokos, z pozwoleniem, przyprowadził mię do ostatniej pasyi; majątek zrujnowany, pol& nie obsiane, budowle się wałają... Towarzystwo nie opłacone, ogrodzenia znikają... i jeszcze w dodatku chce miś spalić! ^j^n^HH

— Na miłość boską — rzeknę — zkądże to wszyst-

XVX -----

ko tak nagle wyszło na jaw? Drugi rok siedzi w Wie- trzycach i nie słyszałem tych skarg.

— Taki rozbójnik, bo to poprostu rozbójnik, panie, w jeden miesiąc więcej zrobi szkody, niż inny w lat dziesięć. Ja jestem człowiek spokojny, awantur nie lubię, a do tego jeszcze Helenka, jak sąsiad wie, anielskiego serca kobieta, ciągle mi perswadowała tego... daj pokój... porządny chłopiec... "Więc patrzyło się przez szpary... ot tak... Ale nareszcie i ona się przekonała: „Michale, miałaś rację, ten człowiek nas gubi, trzeba się go pozbyć koniecznie." Aha, powiadam, stanęło na mo- jem... Pozwólże mi teraz działać po swojemu. Siadam tedy dziś rano i piszę, aby się wyniósł dobrą zgodą... A on, czytaj sąsiad, co śmiał mi odpowiedzieć — mówi, wydobywając pomięty list z bocznej kieszeni — proszę, przeczytaj... Okropności!... mnie dziedzicowi, mnie Wie- trzyckiemu...

Biorę list do ręki i czytam:

— „Szanowny Panie!"

— Masz sąsiad — przerywa — „szanowny panie." Ten chłystek mnie, jakby jakiego pisarczyka, tytułuje: szanowny panie... mnie, "Wietrzyckiego!"

— „Bazgranina jego" — czytam dalej — „nie ma sensu..."

— No, widzisz sąsiad, bazgranina, nie ma sensu... powiedz sam, nie mogą dyabli brać człowieka, co?

— Mogą — odpowiadam.

— „Na mocy kontraktu trzymam w posesyi Wie- trzyce, i dopóki nie upłynie termin, są moją własnością. Proszę więc pana uwolnić mię od podobnych imperty- nencyj..., Z należnym szacunkiem Czerwiński."

— Zwaryował, czy co? I cóż sąsiad?

A. Wilczyński.—Tom IV.

- Wygląda niegrzecznie, ale to zależy od tego, jak mu pan napisałeś.
- Ja napisałem bardzo grzecznie: Wielmożny mości dobrodzieju, a na końcu: unizony sługa et caete* ra... Sama Helenka powiada, że grzecznie napisałem. Otóż ja do kochanego sąsiada po radę...
- r— Słucham, co pan myślisz robić?
- Myślę go wypędzić na cztery wiatry i basta!
- Do czego to prowadzi taka zawziętość? Pan się uniosłeś, on się uniósł; ludzka rzecz klócić się, ludzka rzecz godzić!., najlepiej zgodą...
- Prędeż mi tu, tu — rzecze, pokazując palcem na dłoni — włosy wyrosną, niżeli ja temu, jakiemuś, podam swą rękę... Dojadł mi do żywego...już go tu mam— kończy, pokazując na gardło.—Bazgranina... szanowny panie... bez sensu! Dam ja ci, bratku, szanownego pana!
- Gdzież kontrakt dzierżawy? •— pytam.
- Mam tu ten szpargał — mówi, dobywając z teki zeszyt papieru. — Ale co mi tam znaczy jakiś kontrakt, jakieś prawo, ja więcej niż prawo, ja magister prawa...
- Tymczasem przerzuciłem ów kontrakt, sporządzony formalnie przed notaryuszem, zabezpieczony w kypo- tece... Czerwiński zaliczył znaczną sumę z góry, która w ciągu lat sześciu strącać się ma z czynszu dzierżawnego.
- Ja tu zupełnie co innego widzę — odzywam się po chwili do sapiącego szlachcica — prawa jego dobrze ubezpieczone, i bez procesu nic mu sąsiad nie zrobisz...
- Ani będę pytał, mości dobrodzieju, a wyrzucę-
- Może się nie dać!
- Zobaczmy!—krzyknie, przyskakując do mnie

z zaciśniętymi pięściami "Wietrzycki. — Zawołam ludzi ze wsi, ja wójt gminy, każę i wyrzucą, het precz za dziesiątą granicę... A potem niech mię procesuje rozbójnik...

— W takim razie — rzeknę obrażony — po co pan sąsiad przyjeżdżasz do mnie po radę... Rób jak chcesz, a mnie daj pokój!... Łaskawy sąsiedzie, mówmy o czym innym... Może sąsiad pozwoli kawy, czy herbaty?

Nie odpowiada nic pan Michał, a tylko chodzi po pokoju zasapany i macha ręką i zaciska zęby.

— Jakże się ma pani po wczorajszym balu?

— Bodaj ten bal przepadł!

— Cóż, słaba?... prawda, tańczyła zawiele.

— Powiadasz sąsiad — rzecze, zatrzymując się przede mną — że nie mogę go wyrzucić?

— Naturalnie!

— "Więc mam go cierpieć, co? Więc mam znosić te wszystkie jego dogryzki, ja, Wietrzycki? Więc mojej żonie ma robić impertynencye, jak wczoraj... a ja nic...

— Wyzwij go sąsiad na pojedynek!

— Et, żartuj zdrów, sąsiedzie, a we mnie oto wszystko się trzęsie. Jakichże doczekaliśmy się czasów, hę? Ja dziedzic, i nie mogę rozporządzać moją własnością... koniec świata się zbliża... Mogą ci pluć w oczy, mogą pisać żeś głupi, a ty nic... Jeżeli łaska, wypiłbym kieliszek wódki — kończy, zwracając się ku mnie.

Kazałem przynieść co żądał.

— Przecież tam w kontrakcie nawet stoi na końcu, że wszelkie spory ma rozstrzygać tego... sąd polubowny...

— Prawda, stoi... otóż najkrótsza sprawa. Masz pan pretensye, zwołajcie sąd polubowny...

— Do czego to przyszło na świecie: ja mam się dać sądzić... — rzecze spokojniej.

— A jakżeś pan chciał?

— Tu tyle mam dowodów, że nie dotrzymuje kontraktu i jeszcze sądzić... Chwilkę cierpliwości, łaskawy sąsiedzie, przeczytam ci...

To mówiąc, wyj[^]nuje z teki spory zeszyt od początku do końca zapisany, i szukając po kieszeniach okularów, drżącymi rękoma przewraca karty.

— Oto jest ośmdziesiąt dwa punkta moich pre- tensyj, mówię, ośmdziesiąt dwa jak obszył—woła pukając palcem w papiery. — Pierwsze: wyciął topole przy dworze i spalił... jak Boga kocham, spalił topolę, którą jeszcze mój dziad sadził.

— Musiała być sucha?

— Choćby i sucha! A kto jemu pozwolił ścinać drzewa przy dworze? Drugie: Nie przecinał toni w lodzie ogrodowej sadzawki i wszystkie ryby wyginęły... strata dwa tysiące złotych... Trzecie: Pies jego zagryzł jedenaście indycząt... strata dwieście czterdzieści trzy złote i groszy dziesięć...

■— Wszystko to dobrze, łaskawy panie — przerywam — ja przecież nie mogę go sądzić; wierzę i jestem przekonany, że nie dotrzymuje umowy, jednak trzeba zapisać się na sąd polubowny. Pan masz pretensye, on pewnie także ma pretensye... niech bezstronni osądzą...

— Jeszcze czwarty punkt, sąsiedzie — mówi dalej czytając papiery—od roku już nie wycierano sadzy w dworze, lada chwila może nastąpić pożar...

— Et, drobnostka, możesz pan sam kazać to zrobić... koszt niewielki...

— Co, jabym sobie miał kazać sadzę wycierać! — krzyknie obrażony pan Michał— co, ja! dziedzic, Wietrzycki... Paradna rzecz, mości dobrodzieju... czy na to puściłem w dzierżawę majątek, żebym sobie sadzę wycierał!

Widzę, że tu z panem Michałem nie dojdę do końca. Wypiwszy jeden kieliszek, pozwolił sobie drugi, a z nim przybyło ferworu w czytaniu punktów preten- syi do dzierżawcy... Ja nie słucham wcale, a on czyta, i czytanie popiera dokumentami takimi, jak protokoły sporządzone w urzędzie gminnym, którego wójtem jest sam pan Michał...

— Dajmy temu pokój, panie Michale—rzeknę po chwili—ja chciałbym tylko wiedzieć, czego pan sobie życzysz? jeżeli sądu, gotów jestem mu służyć... Nie widzę innego środka rozwikłania tej sprawy... Poszlijcie po notaryusza, zapiszcie się na kompromis, wybierzcie sędziów i zdajcie się na ich sumienie i rozum... czy tak?...

— Byłoby to po obywatelsku, ani słowa — rzecze kładąc z widocznym żalem papiery do teki — i bardzo, bardzo proszę kochanego sąsiada na mojego arbitra, kładę jednak warunek, żeby kontrakt był rozwiązany, i żeby go więcej moje oczy nie widziały w Wietrzycach.

— Tak znowu trudno przesądzać ^sprawę naprzód—odzywam się z powagą— zobaczmy rozpoznawszy ważność pretensyj... Tu tylko zwrócę uwagę sąsiada, że o ile widzę z kontraktu, on poczynił znaczne nadpłaty, i czy na wypadek rozwiązania umowy będziesz pan przygotowany wypłacić mu jego należność?...

— Ja, jemu?—pyta zdziwiony kolator—moje słuszne pretensje wynoszą tyle, żedobrzeby było, aby mógł z duszą wyjść z Wietrzyć... To na dziesiątki tysięcy

oszacowane te szkody, dziesiątki tysięcy... Nie miałem czasu dodać wszystkich stronic, ale kalkuluję sobie, że będzie przeszło czterdzieści tysięcy..,

— Kiedy tak, to wezwać go na sąd polubowny i rzecz skończona.

— Jesteś mój przyjaciel, szanowny sąsiedzie!— zawoła ściskając mię w objęciach.

— Ot, taką radę lubię... He, he, żebym mu się nie dobrał do surducika.. bo jak obliczam, wszystkie jego inwentarze i koniki szpaki, i wózeczek, het pójdzie na pretensye... Więc jadę, piszę wezwanie na sąd, posyłam po notaryusza i.., Niech ci Bóg da zdrowie za dobrą radę... Helenka się ucieszy... choć mówiła: nie jedź do Antoniego, on będzie trzymał za Czerwińskim... Ale ja wiem, co kto wart, mości dobrodzieju...

Przywołano znów Jacusia i zaczęło się ładowanie papierów do powozu. Znalazła się nawet peruka, która była w czapce, więc uszczęśliwiony pan Michał, obcałowawszy mię na wszystkie boki, pojechał sobie do Wietrzyć...

Przy śniadaniu rozpowiedziałem moim paniom całą awanturę, wynikłą skutkiem wczorajszego balu, a gdy przyszło do tego, że przyjąłem rolę arbitra ze strony Wietrzyckich, ciocia i żona zrobiły bardzo kwaśną minę.

— Przyznam ci się, Antosiu—rzekła Emilka—nic a nic nie masz w sobie dyplomacyi.

— W czym?—pytam.

— Nie wypadało ci przyjmować wyboru pana Wietrzyckiego, wiedząc o stosunkach, jakie nas łącz\$ z Czerwińskim.

— Czyż on mię prosił o to?

— Trzeba było poczekać, czy nie będzie prosił. A tak gotów twoją deklarację uważać za rodzaj jakiejś nieprzychylności z naszej strony.

— "Wszak prócz mnie, będą tam i inni, i rola sędziego polubownego nie jest rolą adwokata strony, która go wybiera.

— Zawsze to jednak—odzywa się z chłodną miną ciocia referendarzowa — trochę niepolitycznie. Widocznie tego pana Wietrzyckiego wysłała żona umyślnie tak rano, żeby ubiedz Czerwińskiego. Biedny chłopiec...

— Antoś to zawsze gotowy zadość uczynić każdej prośbie. Mój drogi, nic nie kombinujesz...

— Na miłość boską, pozwólcieź mi choć w tem mieć jakąś wolę; dyplomatycznie, niepolitycznie... ja biorę rzeczy jak są i jeżeli mię kto prosi o obywatelską usługę, nie odmawiam.

Panie zamilkły z miną okropnie poważną, jedna tylko Marynia uśmiechnęła się nieznacznie, w duszy tym zwrotem zadowolona.

W pół godziny może, pokazuje się bryczka pana Czerwińskiego przed gankiem, i widzę, rozpoczyna się takie same wyładowywanie papierów.

— To ci los — pomyślałem sobie — być niby porażanym obywatelem w okolicy... dziękuję za takie zaufanie...

— Jak Boga kocham, łaskawy sąsiedzie — mówi wchodząc do pokoju Czerwiński— ani sposób wytrzymać dłużej z tym waryatem Wietrzyckim! Proszę, czytajno pan, jaki list odebrałem dziś od niego... To waryat, czysty waryat...

— Wiem, wiem, bo on tu był przed chwilą.

— Ale proszę, czytajno pan.

Wziąłem podany mi arkusz rzeczywiście zabazgra- ny blado-burym atramentem z mnóstwem żydów i mazan. Tytuł, prawda „Wielmożny Mości Dobrodzieju,” ale treść nie do przeczytania... tylko podkreślone wyrazy: „wynoś się pan zaraz, jesteś niszczycielem gorzej żyda”, jako wielkimi literami wypisane figurowały w tej mozaice zygzaków.

— I cóż pan na to?

— Głupstwo i nic więcej... podmowa pani Micha- łowej...

— Ja wiem, że to ona; wszystkiego narobił wczorajszy mazur; ale ja, panie, nie ustąpię... jak Boga kocham, przyjdzie do awantury. Wiadomo panu, że on jest wójtem gminy, i co mi zrobił? obstawił od rana strażą wszystkie moje budowle, wszystkie inwentarze... Zli- tuj się, panie Antoni, radź co ja mam robić, bo jak wpadnę w pasyą, wypalę mu w łeb i kwita!... taki wstyd robie mnie, który ich swojemi funduszami i tą dzierżawę postawiłem na nogi, który wlażłem w błoto i tracę i tracę...

— Macie w kontrakcie zastrzeżony sąd polubowny—mówię hamując gniew młodego człowieka — więc zwołajcie jak najprędzej sąd, a rzecz się wyjaśni. Jedź pan do sędziego do Czarnej, proś go na arbitra, ja będę ze strony Wietrzyckich, a jak nie uda nam się was po- godzić, przybierzemy trzeciego. Na ten projekt zgodził się już Michał... a sędzę, panu nie pozostaje zrobienie innego... Tylko uprzedzam, zapisanie się na sąd polubowny zrobić formalnie, posłać po notariusza i w akcie wypisać wszystkie pretensye i kwestye, które macie o • dać pod rozsądzenie...

— A bodajże on przepadł ze swojemi Wietrzyca* mi i taką dzierzawą... Czy mi też rozum odjęło, kiedy tu szedłem... No, no... usłucham rady pańskiej, choć przykro mi, że nie mogę szanownego sąsiada mieć za arbitra.

— Wszystko to jedno, panie Teodorze... będziemy sędzić podług słuszności...

— Ja tylko zastrzegam sobie, żeby oni wynieśli się z Wietrzyć, wolę im nająć mieszkanie w miasteczku...

— Kiedy to nie jest przedmiotem sporu...

— Inaczej się nie zgodzę... to niech mi zapłacą co mi się należy i rozwiązać kontrakt...

— A ileż może się panu należeć? — pytam ciekawie.

— Gotówką za nadpłaty dotąd na rachunek ich zrobione ze dwanaście tysięcy, ale pretensye wynoszą drugie tyle albo więcej... Ja tu mam spisane główniejsze—mówi dalej, wydobywając z pliku papierów spory zeszyt — innych jeszcze nie miałem czasu dodać... Pozwoli pan, przeczytam główniejsze, a sam pan osądzi, czy mam rację; primo: za otrucie dwóch macior siedm - dziesiąt rubli.

— Jako, otruł panu?—pytam niedowierzająco.

— Otruł, rzeczywiście, bo proszę pana, z rana były zdrowiuteńkie, a że lazły mu wciąż na dziedziniec, którego umyślnie nie zamykał, więc zadał im coś, i popołudniu obie padły...

— Gdzież dowód, że zadał?

— Są świadkowie, że były zdrowe z rana, widziała dziewczka moja, jak pan Michał zaczął się przy furtce

i coś grzebał w porytym trawniku, widocznie zakładał truciznę. Potem jak padły już, to ich tak wzdeło...

— Dobrze—przerywam—to przedstawiś pan sądowi, a teraz szkoda czasu...

— Za pozwoleniem, jeszcze jeden punkt: zastrzelił mi psa gończego Zagraja, który podobno miał zjeść dziesięcioro indycząt pani Michałowej. Ale to nieprawda, proszę pana, moja gospodyni widziała, że to zrobił ich pies, kundel prosty, Burek zwany, któremu jeść nie dają... a on złapał dubeltówkę i zabił psa niewinnego, za którego mi Śliwiński młody dawał konia i trzydzieści rubli, słowo honoru daję, tak prawda.

Szczęściem, że weszła zona i przerwała litanię tych szkód zabierając pana Czerwińskiego do salonu, ja już nie poszedłem za nimi, a cała rozmowa ich, jaka następnie dolatywała mojego ucha, toczyła się około owych krzywd dzierżawcy, złościwości pana Michała, i odgrózek na panią Michałową.

•— Co ona sobie myśli? Ja gdybym był mniej honorowym człowiekiem, niż jestem, tobym potrafił j| tak skompromitować, że nie odważyłaby się więcej oczów pokazać w porządnem towarzystwie... Dowody mam.,.

Przeczuwałem, jakie tam ciekawe miny robić muszą moje panie, żeby się o tej kompromitacji dowiedzieć. U nas mimo wielu zalet i dobrego serca, jest w tem dobrem sercu jakaś żyłka, która wobec skandalików cudzych potrafi zdrzeć przyjemnie.—Jestto wada, powie; działałbym, narodowa, którą przyswaja sobie powoh i dziennikarstwo dla sprawienia przyjemności czytete kom. Szczęściem, mimo zręcznych podjazdowych py^ ciotki, pan Teodor utrzymać się zdołał na wysokości

swej honorowej roli, choć to, co już powiedział wiele mówiło, i nie ręczę, czy później nie da się wciągnąć w pułapkę ciekawości kobiecej.

Niezwykły ruch plotek sąsiedzkich obiegał przez cały tydzień po okolicy. Miejscowi arendarze coraz częściej wzywani byli na konferencye do dworów, aby się coś nowego dowiedzieć, nawet kwestarzy przyjmowano daleko gościnniej, bo i oni mogli z czem się wymówić;— dosyć, że walka w Wietrzycach szła coraz ostrzej. Pan Michał ze zmartwienia częściej zaglądał do butelki, pani Michałowa nie ustawała w agitacyi, już wydzierżawiała młyn i propinację, w nadziei, że dzierzawa będzie rozwiązana, szukała ekonoma, a pan Michał oglądał w miasteczku konie robocze do kupna, których po wyprowadzeniu się Czerwińskiego będzie potrzebował do folwarku.

Pan Teodor z swej strony werbował świadków w liczbie włościan nieprzychylnych panu Wietrzyckiemu, oglądał mieszkanie w miasteczku, zapewniając, że tu osadzi dziedzica z rodziną, że Wietrzyce będą jego, że na pięć lat z góry już zapłacił dzierzawę, że zatem państwo Michałowie muszą zbankrutować i niezawodnie zbankrutują.

Czytelnik łatwo sobie wyobrazi, jakie to musiało być miłe pożycie dwóch przeciwników przymuszonych cały dzień z okien swojego mieszkania patrzeć w okna drugiego. Ze służby potworzyły się stronnictwa, plotki rosły w powietrzu, przywiązani domownicy donosili wszystko, nawet że pan Czerwiński sypia z odwiedzionymi kurkami u strzelby, że z okna oficyny składa się do strzału ku dworowi, że pani Michałowa kazała zabić dwa indyki na obiad dla sądu, a pan Michał przywiózł

z miasta całe pudełko cygar za dwadzieścia złotych i po całych dniach pisze, rachuje, dokumenta zszywa, w czym pomagają mu gorliwie pisarz i nauczyciel gminny.

W niedzielę następną, agitacja sąsiedzka już wy. raźnie odbiła się na posiedzeniu cmentarnem. Panie oddały sobie ukłony ceremonialne, w rozmowie panów znać było przymus; wesołość i dobry humor z jakimi opowiadano sobie dawniej tygodniowe zdarzenia, zastąpiła prosta wymiana zapytań o zdrowie. Zona moja obraziła się, że pani Michałowa wzięwszy mię pod rękę, odprowadziła na bok ku lipom, objawiając życzenia, podług których chce mieć przyszły wyrok ferowanym; cioci niepodobała się żywa rozmowa pana Czerwińskiego z panią sędzią, który zapewne w ten sam sposób przygotować chciał usposobienie dla siebie jej męża. Pan Adam widocznie był obojętniejszym dla Maryni, a pani Michałowa przesywała jego i sędzinę piorunującym wzrokiem nienawiści, co znowu nadzwyczaj bawiło pana Michała.

Ciocia referendarzowa zupełnie upadła na duchu i gdyby nie tyle osób, z pewnością rozplakałaby się na dobre, i jestem pewny, że wracając dostanie w powozie bicia serca. Moja Emilka, widziałem, już na ten wypadek miała przygotowany flakonik z wodą kolońską.

Ceremonialne i chłodne posiedzenie przerwał na czasie wychodzący z kościoła znajomy rejent, przybyły dla sporządzenia zapisu na sąd polubowny. Jest to mężczyzna w średnim wieku, z pochodzenia Litwin, znany ze swojej niedołężności jako urzędnik, a mimo to nigdy nie zadowolony z honor ary ów—a jako człowiek skąp piec pierwszej próby.

— Panie Antoni—rzecze, ściskając mi rękę i V^{rze}

ciągając każde słowo z litewska—jeżeli nie chcesz dopuścić mojej głodowej śmierci, zaprosz mnie na obiad.

— Z największą przyjemnością, i owszem...

— Wystaw pan sobió, przyjechałem tu wczoraj późno już w nocy, a zobaczywszy światło na plebanii, zajechałem do proboszcza... W nocy, gdzie szukać zajazdu? do dworu daleko, inyszę sobie, ksiądz Sosnowski mię przenocuje...

— A i owszem — odpowiada >— choć panu dobrodziejowi byłoby wygodniej w zajęździe. Ale kiedy taka łaska, proszę..*

Rozgospodarowałem się, kazałem zdjąć tłumoki, proboszcz nic nie mówi a chodzi po pokoju i modli, i modli się bez końca. Usiadłem na kanapce i czekam godzinę może, proboszcz nie myśli kończyć modli- twy... ■ H

— Szanowny proboszczu — odważam się w końcu przemówić—nie ma co jeść u was? Wyjechałem o dziesiątej z domu, a na drodze nie było się gdzie pożywić.

— Niema nic, wielmożny rejencie, niema...

— A kolacyi ksiądz proboszcz nie jada?

— Już zjadłem, wielmożny rejencie — mówi sta- ry—ja kolącyę jadam po kapucyńsku, niuch tabaki, jak mi Bóg miły, niuch tabaki. Jeżeli łaska, to służę... — i podał mi otwartą tabakierkę.

— Niechno proboszcz nie żartuje—rzeknę trochę zirytowany—cóż u Pana Boga, niema kawałka mięsa, jaj kilka, herbaty, albo chleba i masła...

— Niema, niema, jak mi Bóg miły, niema... chleba to tam może znajdzie kawałek moja stara... Wódki mam trochę w baryłce pod kanapą...

Poszedł do kuchni tedy i przynosi mi nie chleb ale

coś podobnego do chleba, jakiś twardy i czarny suchar... Z pod kanapy wyciąga ową baryłkę i stawia na stole.

— Ależ, proboszczu, noża kawałka, kieliszka, czymże będę pił?...

— Niema, wielmożny rejencie; ja tak wstawiam do stempla rurkę z karty i napiję się trochę... próbuj tak samo, wielmożny rejencie.

Dał mi jakąś brudną kartę, osadziłem i napiłem się owej wódki, która była prostą cuchnącą okowitą... Ani odetchnąć po wypiciu.

— A co, mocna, hę?—pyta proboszcz uśmiechnięty. — Berek to uczciwy żyd, prawdziwy żyd, nie chrzci wódki, nie...

Głodny wziąłem się do owego chleba, ale przełknąć ani sposób. Jem, żuję w ustach... coś, mówię panu, tak gorzko stęchłego, że trudno wypowiedzieć; tymczasem ksiądz sam przyniósł snopek słomy i rozciągnął na podłodze.

— W oberży, wielmożny rejencie, wszystkiegooby dostał, ale u mnie pustelnika niema nic.

— A nie dostanie tu gdzie mięsa?... toć kawałek usmażyłaby gospodyni.

— W oberży — mówi proboszcz.

— Ależ prócz oberży u żyda, u tego Berka aren- darza...

— Może tam i jest u Berka, po szabasie pewnie co zabił, ale gdzie kogo szukać.

— Na miłość boską, jeżeli proboszcz nie chcesz, żebym ci z głodu umarł, każ mi przynieść tego mięsa, ja sam pójdę do kuchni i usmażę...

— Ha, zobaczę — odpowiada ■— chyba pójdę sam-

Jakoż ubrał się w swój tołub futrzany, nasadził rogatywkę, wziął laskę i wyszedł...

— Czekam kwadrans, czekam drugi, czekam godzinę, półtorej, a proboszcza niema. Świeczka mi się dopala, cisza w plebanii, nawet pies nie szczeknie nigdzie, a proboszcz przepadł. "Wychodzę do sieni, wychodzę przed dom: wszędzie ciemno w oknach, a tylko koguty pianiem przerywają ciszę. Przyznam się panu, zacząłem być niespokojny o starego... Idę więc ze świeczką do kuchni zbudzić kogo i wysłać na poszukiwania; w kuchni tak samo cisza, niema nikogo. Jednak nadstawiając ucha, słyszę jakieś chrapanie w kącie... Zbliżam się, stoi tapczan, a na tym tapczanie bez żadnej pościeli, ot tak na gołych deskach śpi sobie mój proboszcz, podłożywszy rogatywkę pod głowę...

Wszyscy parsknęli śmiechem, słysząc to opowiadanie. Wiedzieliśmy, że proboszcz znając skąpstwo rejenta, zrobił mu figla, a głodny gość bezpłatnie wprawdzie, lecz z pustym żołądkiem przepędził noc w plebanii. Właśnie nadchodzi i sam ksiądz Sosnowski w prunelowej sutannie, i jak niewinny baranek uśmiecha się, przymrużając oczy.

— Wielmożny rejencie — mówi do zagniewanego — daruj, ale taki mię sen ogarnął, że usiadłszy na tapczanie, przewróciłem się sam nie wiem kiedy... Już ja widzę, mości dobrodzieju, że się starzeję... cóż robić, ośmdziesiąt i dwa, tak, tak, i dwa się kończy...

Gdy rejent poszedł do plebanii po swoje pakunki, aby je przenieść na moją bryczkę, proboszcz szepce do mnie:

— Kiedy przeszłego roku byłem u niego i potrzebowałem wypisu mego aktu na ten fundusik, co uloko

wany u jaśnie wielmożnego kolatora, to czekałem pół dnia w kancelaryi, a on się nie spytał nawet, czy co jadłem... Jak mi Bóg miły, częstował mię papierosem... A za ten arkusz papieru kiepsko zapisany kazał sobie zapłacić dwanaście złotych i groszy trzy, jak mi Bóg miły... Nie miałem tyle, to musiałem od żyda w zajeździe pożyczyć cztery złote... inaczej papieru nie chciał wydać...

— No, no — rzecze do kłaniającego mu się z ceremonią rejenta — nie gniewaj się na mnie, wielmożny rejencie; jak mi Bóg miły, jeszczem tych czterech złotych żydowi w zajeździe nie oddał, bo nie mam, Bóg widzi... Zkądby się wzięło u biednego sługi bożego... Ale za to na odpust proszę wielmożnego rejenta, proszę bardzo; jaśnie wielmożny kolator wyprawia świetne obiady... A mówiłem, w oberży byłoby wygodniej...

— Obrzydliwy skąpiec! — szepnął mi rejent, spoglądając z gniewem na proboszcza.
— Nie złapiesz miś drugi raz, nie zajadę do ciebie!... Ten chleb, ten chleb, kamieniem mi stoi w żołądku...

IX.

PIERWSZY ZJAZD SĄDU.

Całe trzy dni rejent spisywał pretensye obydwóch przeciwników, które poddawali pod sąd polubowny, a że czynność swoją obliczał podług arkuszy, przeto nie żałował stempli, i spory zeszyt aktu urósł pod jegoredakcją. Czwartego dnia odbywały się targi o honorarium; pan Michał się zżymał, Czerwiński przeklinał swoją dzierżawę na czem świat stoi. Przyznaję, mogli mieć rację, lecz za co ja niewinna istota musiałem znosić tenharmider w domu, ich kłótni, dogadzałem wymaganiom rejenta, który widocznie chciał sobie na mojej kuchni powetować głód u proboszcza — doprawdy, dotąd sobie tego wytłumaczyć nie mogę... Widocznie wszystko to szło na rachunek wziętości obywatelskiej i zaszczytu rozjemcy, którym mię okolica nasza uraczyła.

Nareszcie musiałem jeszcze swojemi końmi odesłać rejenta, a ciotka wystąpiła z pretensją, że zanadto zajmowałem Czerwińskiego interesami, i nie pozwoliłem mu konferować z Marynią.

— Co ci było tak pilnego naglić z tą sprawą?

— Proszę cioci, czegoż ten rejent miał tu siedzieć?

— Przyjemny człowiek, doskonale gra w bezika, ^a t&k, wierz mi, na wsi bez towarzystwa nudno...

A. Wilczyński.—Tom IV.

- Żonie to przyczyniało subiekcyi: ciągle goście, ciągle obiady...
- Me trzeba być, mój drogi, takim grymaśni-kiem. Emilka nie narzekała, ona również lubi towarzystwo. I nic dziwnego, wychowana w Warszawie...
- Moja ciociu — przerywam już trochę znieczcierpliwiony — liczyście na tego Czerwińskiego, a on ani myśli teraz o Maryni; czemu ciocia próżno się łudzi...
 - Zdaje ci się... przedwczoraj, żebyś go był nie odwołał do tego obrzydliwego aktu... już-już byłby się oświadczył... Nie bój się, ja niby nie słucham ich rozmów, jakie prowadzą, ale wszystko słyszę... Jak ciebie kocham, pięć minut jeszcze dłużej, byłby upadł na kolana.
- Nie było co argumentować dalej z ciocią, umilkłem, przyjąwszy winę na siebie, bo trudno przekonywać zaślepionych i uprzedzonych, że wszystko musi wyjść na to, jak sobie w myśli ułożyli.
- Pamiętajże Antosiu — mówiła mi żona, kiedym w kilka dni potem wyjeżdżał na pierwsze posiedzenie sądu polubownego — żebyś sprawę pokierował bez krzywdy Czerwińskiego.
 - Ależ, moja Emilko, ja nie chcę być stronnym; decydować muszę jak mi sumienie i obowiązek wskazują...
- Doprawdy, dziecinny jesteś, myśląc że cię nakłaniam do jakiegoś faworyzowania Czerwińskiego. Nie, broń Boże; ależ przecież bez nadwężenia swego sumienia możesz działać na pogodzenie zwaśnionych.
- Właśnie to jest moją myślą...
- No, widzisz, ja też niczego więcej nie proszę- tylko jeżeli można... uważasz, jeżeli można, bądź za teo-

żeby Michałowie nie mieszkali w Wietrzycach... Tu już idzie o Marynię... gdzieżby on w tej oficynie, którą, teraz zajmuje, mógł pomieścić żonę, gdzie umeblować... a tak we dworze co innego... ciotki byłoby przykro, a ^yujaszek referendarz ogromnieby się krzywił, gdyby jego córka miała mieszkać w jakiejś tam oficynie, która poprostu jest chłopską chałupą.

— Ależ on dotąd ani myśli...

— Wierz mi, że prawie wszystko skończone... i Marynia inaczej na niego teraz patrzy... no, no, nie sprzeczasz się, bo na tem się nie znasz... Te posiedzenia rejenta wiele dopomogły ich zbliżeniu, pomysł twój sprowadzenia go tutaj był bardzo dobry... zaczynasz być dyplomata, ty, ty... — dokończyła, całując mię na pożegnanie.

Otóż i zrobiły mię rycerzem mimo chęci, a nawet wbrew mojej chęci. I gdybym przypadkiem był dyplomata, nie minąłby mię order w tym wypadku. Tak to już bywa na świecie: jak komu idzie, to nawet niepowodzenie liczy się na karb zasługi. Prawda, czytelniku— szczęśliwa musi być pozycja takiego człowieka?

W wietrzyckim dworze wszystko przygotowane było jakby na jaką ważną uroczystość familijną. Ulice wjazdowe na dziedziniec wygracowane i piaskiem posypane, podłoga w ganku wymyta, a pan Michał w czarnym tużurku i szerokich spodniach, przyjął mnie otwartymi rękoma przy wysiadaniu, nawet ryza peruka po wypomadowaniu pokazała się ciemniejszą. Pani Michałowa również ubrała się elegancko; szafirowa suknia wyłożona aksamitem, pięknie uwydatniała jej zgrabny biust i podnosiła z efektem delikatność cery, jaką się blondynki odznaczają.

W pokoju dotykającym salonu, postawiono stół zielonem suknem nakryty, na nim przybory do pisania, akt zapisu na kompromis, kodeks postępowania sądowego i dwa ogromne foliały dowodów, pretensye popierających.

Niedługo po mnie przyjechał pan sędzia Ołowiński, a za nim jeszcze jeden sąsiad, Chyłkowski, znany już czytelnikowi z imienin w Czarnej. — Czerwiński się nie pokazał, choć widzieliśmy go z okien jadalnego pokoju, jak porządkował swoich świadków, których liczna gromada otaczała oficynę. Świadkowie znów pana Michała skupili się przy bocznem wejściu do dworu, mając na czele żyda, miejscowego arendarza, który giestyku- lując żywo, wykladał im zapewne ważność obowiązków, jakie na ich osoby zaufanie dziedzica nakładało.

Do towarzystwa naszego przyłączyła się wkrótce pani Euzebia, siostra starsza pana Michała, kobieta już w pewnym wieku, wdowa po jakimś generale, nadzwyczaj gadatliwa rezonantka, choć jej szepleniącą rozmowę trudno było rozumieć.

Naturalnie, mówiliśmy o pogodzie, o siewach jesiennych, o polityce, życiu towarzyskiem na wsi i w stolicy przed ośmset trzydziestym rokiem, o chorobie koni, o ospie grasującej po wsiach, słowem o wszystkim, o czem się w wiejskich dworach gawędzi — prócz osą dzie polubownym.

Szczególne rzecz, jak nasza wiejska szlachta H dorosła jeszcze do znaczenia ludzi umiających załatwia interesa, nie przyszła do przekonania, że czas to p^{ie} niądź. Zejdziemy się dla jakiejś narady* a nikt odwagi zacząć o tem rozmowy; przeciwnie,, wszyscy

rają, się unikać zaczepiania przedmiotu, dla któregośmy przyjechali.

Otóż tak było i w Wietrzycach, dopóki nie podano śniadania.

— "W szanowne ręce kochanego sędziego!—zawołał pan Michał, zjawiając się z butelką wódki w jednej, a dobrych rozmiarów kieliszkiem w drugiej ręce. "Wychyliwszy swoją porcję, nalał mi szczerze po same brzegi.

— Zawiele, zawiele — mówię przyjmując kieliszek.

— Ale, panie sędzio (no, chwała Bogu, zostałem sędzią) to prawdziwa węgierska śliwowica... to nie wódka, ale lekarstwo...

Wypiłem przeto owe prawdziwe lekarstwo, po mnie wypili inni, przechodząc do jadalnego pokoju, i czułem, że ta śliwowica coś natarczywie mi chodzi po mózgu.

Przykładnie zjedliśmy śniadanie o trzech potrawach gorących, prócz innych z zimnego mięsa dodatków, a zapaliwszy cygara, wypadło nieco odpocząć.

— Przed obiadem już nie warto zaczynać — odezwała się pani Michałowa — wiecie co panowie, zróbmy sobie maleńką puleczkę preferansa.

— A, ma się rozumieć— dodał Ołowiński ze swoją flegmą—jak się zacznie raz, nie warto przerywać, lepiej po obiedzie...

— Szkoda czasu, szkoda— mówi sąsiad Chyłkowski—ja zawsze do gotowego. — I nim tych słów dokończył, zielony stolik był przed nami, karty rozłożone, kredki w porządku, a pan Michał z gorliwością godną lepszej sprawy, wycierał szczoteczką kredowe ślady dawniejszych turniejów.

Graliśmy we czworo; pani Michałowej humor odznaczał się szczególnym dowcipem, sędzia Ołowiński palił się jak zwykle, a i mnie szum owej śliwownicy dodawał niezwykłego animuszu do hazardu, tak że w chwil zaproszenia nas do obiadu, każdy z grających miał więcej w puli, niż gdy się gra rozpoczęła.

Nie potrzebuję zapewniać, że obiad był wyborny, że pan Michał, który zapewne nie poprzestał na jednym kieliszku śliwownicy, dolewał nam gościnnie węgryna po każdej potrawie i sam z całą skrupulatnością wychylał kieliszki, przemawiając do każdego podług starego zwyczaju: „bis repetita placet, omne trinum perfectum” it.p., w których-to przemowach był niewyczerpanym.

— Kawę czarną — mówi pani Michałowa do służącego — podasz nam do zielonego stolika... Prawda, panie sędzio, możemy pić i przegrać kilka razy...

— Tak, tak, pani dobrodziejko, szkoda czasu, szkoda — dodaje sąsiad Chyłkowski — całując ogniście rączki pani Michałowej. — Ja przepadam za tym prefe- ransem...

— Ależ sąd...—mówię— trzeba zacząć, widzę ludzie czekają, Czerwiński się zapewne niecierpliwi...

— J eszczebym też miał zważać na takiego Czerwińskiego—zawoła śmiejąc się ironicznie pan Michał.— Właśnie dlatego samego grajcie... Niech czeka, i niech zna, kto on, a kto my!...

— Ludziom dałam po kieliszku wódki—rzecze pani domu wracając z kluczykami — im wszystko jedno... a Czerwińskiemu kazałam powiedzieć, że panowie rozpatrują papiery... No, kto daje?

Ha, myślę sobie, wasza sprawa, a skoro wam nie pilno, to dlaczegóż mnie ma być pilno. Dyspozycję

wydałem już na jutro ekonomowi, mogę wrócić późno do domu... I wziąłem karty do ręki; jak raz, ogromna gra, coś dziewięć bez at, więc rozochocony grałem dalej, popijając czarną kawę.

Pan Michał siedział z początku przy żonie, kiwał, się i kiwał broniąc się od zaśnięcia, co widząc siostra generałowa, wywoła go pod jakimś pretekstem do drugiego pokoju, gdzie pewno legł snem sprawiedliwego, bośmy go już do samego wieczora nie widzieli.

Nie można zaprzeczyć, że przyjemną była pani Michałowa. Co tam o niej mówiły nasze panie, zwykle lubią mówić więcej niż jest w rzeczywistości, to mimo to, w jej towarzystwie wesoło czas schodził, a szczególnie w ten dzień, gdzie moja osoba widocznie była faworyzowaną. Żebym się nie bał... przepraszam, chciałem powiedzieć, gdybym nie pomyślał o żonie, to przy tem podniesionem kilku kieliszkami wina usposobieniu, gotów byłem wypalić jakie głupstwo... powiedzieć coś... bo jakoś tak często jej zgrabne i delikatne rączki dotykały moich, niby przypadkowo przy rzucaniu kart na stół, to przy radzeniu mi com grać powinien, to znowu jej buro- popielate oczy ciskały jakim szczególniejszem a przej- mującym wskroś spojrzeniem, że doprawdy, jeżeli tego nie zrobił, muszę poczytać sobie za osobliwszą moc charakteru.

Prawdę powiedziała Emilka, że mężczyźni są okropnie łatwowierni, tak, przyznaję to— miała słusność.

Nareszcie, już przy świecach skończyliśmy ową pulkę, pan Michał się wyspał choć nie wytrzeźwił, i z wielką pompą zasiedliśmy przy sędziowskim stole.

— Wypadałoby poprosić pana Czerwińskiego — aaówię do pani Michałowej.

—■ Dobrze, poszlę po niego...

Jakoż za chwilę pokazał się pan Adam widocznie zirytowany całodziennem czekaniem, a chłopiec usługujący złożył na stole ogromny foljał papierów. Pan Michał za ledwie że kiwnął mu głową, pani znów uśmiechnęła się tak znacząco, jakby mu chciała powiedzieć: „zobaczysz jak ci to wyjdzie”.

Prosiliśmy siadać naszego klienta i zaczęło się czytanie aktu zapisania się na kompromis, który kilkanaście arkuszy obejmował.

— Czy panowie nie macie nic do nadmienienia?— pytam z urzędu.

— Ja nic nad to, co tam podałem — odzywa się dzierżawca.

— A ja mam dodać jeszcze sześć punktów preten- syi—wtrąca pan Michał, zbliżając się z arkuszem papieru do stołu.

— A, już tego przyjąć nie możemy— wtrąca Ołó- wiński.

— Dlaczego?—pyta pani Michałowa.

— Przypomniałem sobie później po napisaniu aktu—rzecze pan Michał—a to są bardzo ważne punkta; ośmdziesiąty piąty: dawał zgniłe siano krowom dworskim i dlatego te krowy porzuciły... szkoda na pięciu krowach z wartością cieląt, czterysta pięćdziesiąt pięć , złotych groszy ośmnaście... nie, nie, przepraszam, groszy dwadzieścia ośm.

— Rzeczywiście, panie Michale, tego już nie można—odzywam się przerywając czytanie—podać do protokołu. My nie mamy prawa rozbierać żadnych innyc pretensyj prócz tych, które tu są zamieszczone.

— To ja protestuję! — krzyknie pan Michał głośno — protestuję...

— "Więc to ma przepaść? — rzecze dziedziczka.

— Możecie państwo dochodzić na innej drodze.

— Tak, tak, na innej drodze — dodaje sędzia — prawo nie pozwala!

Czerwiński siedział milcząco, lecz widziałem, że zaciskał zęby z irytacji.

Ledwieśmy za pomocą artykułów kodeksu mogli wytłumaczyć państwu Wietrzyckim, że nie mogą z no- wemi pretensjami występować i zawotowano porządek rozpoznawania pretensyj.

— Sądzę, że najprzód weźmy kwestyę pieniężną— odzywam się do sędziego. — Panie Czerwiński, proszę złożyć rachunek i dowody na opłacony czynsz i inne wpłaty stojące w związku z dzierżawą dóbr.

Czerwiński położył papier i zeszyt różnego rodzaju kwitów. Z rachunku okazało się, że za dwa lata zapłacił wszystkie raty w kontrakcie umówione i prócz tego nadpłacił przeszło dwanaście tysięcy złotych polskich.

— To nie może być! — zawoła pan Michał — to nieprawda!

■— Są dowody — mówi chłodno Czerwiński.

— Zkądżeby tam tyle się zebrało? — dodaje pani Michałowa, przeglądając rachunek.

— Możemy sprawdzić po kolei. Panie sędzio, proszę podkreślać sumy w rachunku, ja będę kontrolował kwity.

Jakoż przeszliśmy wszystkie pozycje; były tam zaległości dawne podatkowe i bankowe, różne składki gminne, były własnoręczne przekazy pani i pana dlaró-

żnych osób, pieniądze brane gotówką, wreszcie asygna- cje zbożowe wzięte od dzierżawcy i drobne wydatki czynione na koszt dziedzica, jak np. połowa kosztów na prenumeratę gazet i abonament książek...

—r Ja gazet nie czytuję, mój panie; kto pana prosił o tę łaskę? Tego wydatku nie przyjmę — woła zasapany pan Michał.

— Wszak pani mię upoważniła? — odpowiada zwracając się do dziedziczki pan Teodor.

— Ja nie przyjmuję, mości dobrodzieju... Goja mam płacić za jakieś głupstwa, hę?... Paradna rzecz, mnie książki... ja książki potrzebuję tylko do łóżka... i to nie zawsze... Kalendarz mi na to wystarcza. Chciałeś pan jakichś tam niedorzecznych romansów, to sobie płąć!

— Mniejsza o to, te dwanaście rubli wezmę na siebie: proszę panów odtrącić...

Dodaliśmy wszystkie sumy, wytrącili to co się należało za dwa lata podług kontraktu, i pokazało się, że Czerwiński rzeczywiście nadpłacił przeszło dwanaście tysięcy, to jest całoroczny prawie czynsz dzierżawny...

Pani Michałowa jakoś posmutniała, a pan Michał na oddzielnym arkuszu wielkimi cyframi wypisywał z rachunku Czerwińskiego jakieś pozy cje, pocił się, sapał, wzdychał, i dodawszy te cyfry, rzucił ze złością ołówek.

— Cóż znowu, wydaliśmy na swoje potrzeby w tym roku dziesięć tysięcy... to musi być chyba pomyłka, pra- wda, Helenko?

Helenka zbliżyła się do stołu i również liczyła, dodawała, mazała, odejmowała, lecz pokazało się, że jest...

— Nie rozumiem, gdzieśmy mogli tyle pieniędzy wydać! — mówi do męża — żyjemy tak skromnie...

— Więcej jak skromnie — przerywa Michał.

— Na wsi, nie płacąc mieszkania, opału...

-r- Mając ordynaryę, no i ogród... Ja też nie wierzę... gdzieżbyśmy tyle pieniędzy wydali, na co?

— Ja sama nie wiem na co.

— Wszak są własnoręczne kwity państwa; proszę przejrzeć, nie fałszywe... — odzywa się z tryumfem Czerwiński.

— Ja przy świecy nie mogę—rzecze pan Michał— proszę panów, zostawmy to do jutra, trzeba przejrzeć kwity... Prócz tego mieliśmy jeszcze i dochód z kolonii i z lasu... eh, to...

— Pamiętasz, Michale, spłaciłeś Lejzora...

— To pożyczyłem od Arona; cóż ty mi takie rzeczy przypominasz... wiem, co płaciłem, a co nie...

— Kupowaliśmy powóz...

— Gdzież on jest? Wiesz dobrze, że go nie wziął, bośmy się zdecydowali, że niepotrzebny... zadatek tylko przepadł.

■— Gdzieżtam niepotrzebny — przerywa pani Michałowa — powiedzcie panowie sami, czy można jeździć taką żółtą bombą, jak nasza?...

— Et, moja kochana, nieboszka moja matka większą była panią niż ty, a nie wstydziła się jeździć tym powozem i dobrze było. A wam teraz to wszystko się w głowach przewraca i masz dziesięć tysięcy w ciągu roku...no, masz...

— Mój Michale, proszę cię, nie zapominaj się — rzecze energicznie małżonka — ja może coś lepszego jestem od twojej matki, a przynajmniej nie gorsza. Zawsze

mi tylko wyprowadzasz na plac swoją matkę. Cóż-to, straciłam ci majątek, czy co? Wstydz się, Michale, przy obcych ludziach być tak niedelikatnym. To tak zawsze bywa, jak się kobieta poświęci i pójdzie za starego...

— Co, ja stary już!... — zawoła z furją pan Michał — gdzie ja stary, co? — kończy, prostując się wy- niośle. — Jeżeli ja stary, to ty jesteś marnotrawna...

— Michale, zmiłuj się!

— Ależ łaskawy sąsiedzie — mówi sędzia, wdając się między sprzecających — daj że pokój...

— Po co ona mówi, że ja stary byłem. Ja dziś, panie dobrodzieju, nie mam jeszcze sześćdziesięciu, a wtenczas to mogłem nie taką dostać żonę... Prosiły się!... same się napraszały!...

Drażliwej natury sprzeczka ta małżeńska ciągnęłaby się jeszcze dość długo, gdyby nie podano herbaty. Pani Michałowa z zapłakanymi oczyma machinalnie nalewała szklankę za szklanką, a szanowny małżonek z desperacji dobrawszy się do karafki z rumem, przez zapomnienie pewno, lał i lał ów arak, mieszając łyżeczką.

— Zegnam panów — odzywa się, wstając z krzesła Czerwiński — i proszę, bardzo proszę, raczcie przyjechać jutro,- abyśmy raz mogli skończyć tę przykrą sprawę...

— A herbaty się pan nie napijesz?—mruknie pan Michał. ^MjflH

— Bądź pan spokojny — dorzuca pani Michałowa — możesz pić, bardzo proszę, nie zatruta...

I podała mu szklankę.

Dzierżawca wymawiał się ceremonialnie, lecz

terwencya nasza skłoniła go, że został i milcząco pił ową herbatę...

Późno już w nocy rozjechaliśmy się do domów z obciążonemi żołądkami, nie wiem jak tam inni, ale co do mnie — ledwo mogłem oddychać.

— No, i cóż, i cóż? — posypały się pytania moich kobiet, gdym wchodził do pokoju.

— Nic — odpowiadam — przegrałem w preferansa dwa ruble z czemś i dowiedziałem się, że pan Michał jeszcze nie stary.

— "Więc takie rezultaty pierwszego posiedzenia?"

— Naturalnie, że takie... czy to mało? Wiesz przecie, moja Emilko, że w naszych stronach sądy polubowne ciągną się całemi tygodniami.

— Biedny chłopiec, musi znosić takie tortury — wtrąca ciotka — z tej zgrzyoty nawet zmizerniał... Jak sądzisz, Antosiu, na czem się to skończy?...

— Muszą się pogodzić, innej rady niema... i jestem pewny, pogodzą się... Chcę nawet zaproponować proboszcza na superarbitra.

— Masz rację, to bardzo zacny staruszek; jak chce, to ma zdrowe zdanie... Tylko czy przyjmie, bo przeczuwam, że obie strony po wyroku będą mieć żal do sędziów.

— Ale zkąd! — odpowiadam Emilce — przecież mają rozum.

— No, zobaczysz!

X.

DKUGIE POSIEDZENIE SĄDU.

Nazajutrz w tym samym porządku co i wczoraj szły nasze czynności polubowne... Przyszły na stół pretensye, badanie świadków, oględziny szkód... lecz mimo całej usilności naszej, nie sprawdziliśmy trzeciej części pretensyi pana Michała. Mój kolega Ołowiński, stanowczo zaprzeczał ważności wszelkim argumentom i świadectwom przywodzonym przez pana Michała.

— Et, panie kochany, banialuki, gdzieby tam Zagraj mógł zjeść jedenaście indycząt! Znałem tego psa, chodziliśmy nieraz na polowanie z panem Adamem do lasu; bywało, postrzelisz zająca, on dogoni za tropem, udusi, położy się przy zającem i ani tknie... Szkoda psa, jak gonił, jak gonił! to niech go kaczki zdepczą... "Wprawdzie nie był on to co moja Wisła, ale żeby miał zjeść indyczki, nie wierzę, sąsiedzie, nie wierzę...

— Przecież są świadkowie—przerywa dziedzic.

— Co tam świadkowie! Ot, plecie im się; gdybym tego psa nie znał, to co innego; nawet gdybym sam widział, jak on dusił te indyczki, to tak samobyfl nie uwierzył. Ja znałem tego psa jak moją kieszeń, mówię sąsiadowi, i on nie mógł zjeść, powiadam, że fi mógł...

Jedną z największych trudności, jaką mieliśmy w tym dniu do przełamania, było wyrażenie w kontrakcie, że posesor obowiązany dostarczać dworowi rąbanego drzewa na opał. Pan Michał utrzymywał, że dzierżawca powinien kazać je nosić stróżowi do kuchni i pokojów, a Czerwiński, że ma je tylko kazać zrąbać w drewnitni, a służba pana dziedzica powinna je ztąd zabierać...

— Dostarczać dworowi...—krzyczał pan Wietrzycki podkreślając te wyrazy paznogciem na kontrakcie...— Dostarczać... to znaczy przynieść!

— Ale facecye—mówi Ołowiński—dostarczać znaczy dać, ale nie nosić...

— Prawda, że tu jest wątpliwość w wyrażeniu — mówię.

— Co to znaczy, jak człowiek nie słucha kursów prawnych—przerywa dziedzic.

;— Haki tam słuchanie — rzecze obrażony Ołowiński—prawo, to jest zdrowy rozum, a nie jakaś tam przy czepka do wyrazu...

— O co wam idzie—przerywam—to drobnostka, nie warto się nad tem rozwodzić.

— Ale zasada, panie, tu idzie o zasadę...

Od słowa do słowa tak się posprzeczali o tę zasadę, że jałowe debaty zajęły nam przeszło godzinę i każda ze stron utrzymała się przy swem zdaniu.

— Widzę ja, moi panowie, że my tu nigdy nie dojdziemy końca... potrzeba wybrać superarbitra. Co, parne sędzio, zgadzasz się na proboszcza?

— Zgoda na proboszcza.

— Więc wystosujmy do niego zaproszenie na jutro.

— Ja się nie zgadzam na księdza Sosnowskiego— oponuje pani Michałowa—stary, niedołączny...

Opór pani Michałowej został jednak prędko pokonany, a zgadzając się na wybór prosiła gospodyni:

— Ale już panowie nie odjeżdżajcie na noc do domu, jutro raniutko każę posłać po proboszcza, panom pościelę wygodnie; pan Antoni w tym pokoju, pan sędzia w jadalnym... Noc ciemna, późno już... nim jutro przyjedziecie...

— Ja pana sędziego zabieram do siebie — prosi Czerwiński.

— Jest racya—dodaje sędzia—jeden sędzia u jednego przeciwnika, drugi u drugiego, tak będzie sprawiedliwie—zapraszam się do pana...

Byłem zmęczony nie do opisania. Dla sprawdzenia stanu zasiewów chodziliśmy wiele po polach, zatem przyjąłem chętnie propozycję gospodyni, która kazała mi usłać na wygodnej sofie w sędziowskim pokoju...

W kilka minut po rozejściu się naszego towarzystwa, chociaż jeszcze wieczór nie zapadł, już leżałem na owej sofie, rozmyślając nad dziwactwem charakterów ludzi, którzy mogą sobie żyć spokojnie i wygodnie, tak z niczego, z jakiejś drobnostki niewartej funta kłaków, napy tują i sobie i drugim tyle kłopotów, umartwień, irytacji. Aby nie ustąpić, pokazać na swoim, zgnieść przeciwnika... Potrzebnem to było pani Michałowej robić awanturę z tego mazura; w pierwszą parę czy w drugą, nie wszystko to jedno?... Ale ambicya zaraz, obraza; cóż to on sobie myśli?... I masz teraz pierwszy parę! sprawa może się źle skończyć, interesa ich pow- kłane, bez dzierżawcy się nie obejdą, on rzeczywiście niedołączny, ona lubi wydawać po pańsku. Trafił im

chłopczyna z kapitałem, wyratował ich z biedy, i zamiast trzymać się go oburącz, bo rzeczywiście płaci drogo i na nich tylko pracuje... nie, trzeba się poróżnić, o co?—o mazura... Ej, kobiety, kobiety, czas byłoby więcej rządzić się rozsądkiem niż fantazyą...

— A ciekawy jestem, jak się to skończy—myślę dalej. — Z tej wielkiej obrazy i tonu, nie wypadnie jak zrzucić pychę z serca, przyznać że się głupstwo zrobiło, i przeprosić...

Takie więc myśli zaprzętały mi głowę, odpędzając sen, którego potrzebowałem... Wieczór był ciepły, jeden z tych pięknych zmroków jesiennych w naszym kraju; zachód jeszcze płonął rumieńcem, wąziutki sierp księżycy na nowiu schylał się już poza drzewa ogrodu, widziałem go przez okno naprzeciw mej sofie będące, widziałem jak pruł sobie drogę między liśćmi, wyglądając czasem przez wolne okienka. Koniki polne strzegotały pod ścianą, a świerszcz domowy gdzieś tam z poza pieca odzywał się samotnie w nadziei, że jego ulubiona pośpieszy z odpowiedzią...

Nie mogłem zasnąć—widocznie sute przyjęcie i gościnność pana Michała w dolewaniu kieliszków wpłynęły na bezsenność... Po chwili jednak przekonałem się, że to nie była jedyna przeszkoda... Zegar staroświecki, zegar stojący w kącie pokoju spać mi nie pozwala. Gdak—gdak, gdak—gdak... ciągle, monotonnie, jakoś chrapliwie wpada mi do ucha. Przykrywam głowę, zatykam uszy — gdzietam, zawsze słyszę to nieznośne gdak... które mię drażni, przyprawia do desperacji. Widocznie, nie usnę! Wstaję więc z zamiarem zatrzymania zegaru, i oglądam to gdakające arcydzieło.

W potężnej szafie jesionowej, u góry oszklonej,
A. Wilczyński.—Tom IV.

stoi ten potwór z błyszczącym mosiężnym obliczem, a obok niego z portretu marsowatej miny, jakiś Wietrzycki tak się patrzy nań ostro, tak liczy z natężoną uwagą wszystkie jego gdakania, że strach mię bierze przed tym szlachcicem, i nie śmiem zbliżyć się do zegara, którego widocznie od dawnych lat on dozoruje.

— Co mi tam portret szlachcica, niech się patrzy a ja zatrzymam zegar... Spać mi się chce i kwita!

Zbliżam się więc, aby otworzyć drzwiczki i wahadło zatrzymać — szafka zamknięta. Masz tobie... niema klucza. Szukam u góry, niema, szukam, czy gdzie z boku nie wisi— niema. A mój szlachcic śmieje się szyderczo, dalibóg, spojrzę na portret—widocznie się śmieje.

Zirytowany kładę się znów na sofę, lecz o spaniu ani marzyć, gdakanie zegara przyprawia mnie do pa- syi. Niema rady innej, on nie chce, to ja muszę mu ustąpić. Wstaję na nowo i wynoszę pościel do obok będącego jadalnego pokoju. Sofa wygodna stoi pod oknem, lokuję się więc na niej, zamykam drzwi, aby nie słyszeć gdakania, i zadowolony z tego pomysłu, przymykam oczy, aby zasnąć. Już, już... zaczynają po mózgu przechodzić półsenne majaczenia, gdy wtem zdaje mi się, że ktoś chodzi w ogrodzie pod moją ścianą.

Podnoszę głowę — rzeczywiście jakaś postać kobieca leciutko stąpa tam i napowrót: to się zatrzyma przy sztachetach oddzielających od dziedzińca, to wraca znowu ku mojemu oknu i dalej na róg domu. Upiorów się nie boję, w strachy nie wierzę, ale ta postać biała zaczyna mię interesować; przyczajony za firanką śledzę oczyma jej miarowe stąpania, przecieram oczy, i z całą odwagą na jaką się zdobyć potrafię, odpędzam cisnące

się myśli, że to może być duch pokutujący któregoś z pra- pra-babek Wietrzy ckich...

"W kwadrans może potem, mój duch wraca od sztachet w towarzystwie już drugiego ducha w szarem ubraniu; obserwacya zaczyna być coraz bardziej zajmującą. Patrzą, siadają tuż pod mojem oknem na ławeczce, ustawionej pod werendą, do której prowadzą szklane drzwi do mojego pokoju.

— I cóż? — pyta zniżonym głosem duch biały — dokąd pan myślisz doprowadzić tę komedję?

O mało nie klasnąłem w ręce z radości! Głos pani Michałowej! Śliczna rzecz, schadzka... tajemnica... w to mi graj!

— Czyż ja ją prowadzę?— odpowiada zadąsanym głosem Czerwiński. — Paradne pytanie... kto wydał wojnę?

— "Więc zawzięłeś się zgubić nas, to jest, chciałam powiedzieć mnie...

— Paradna rzecz— mówi dalej pan Adam — kto zaczął?

V

— Więc to ja zaczęłam, ja? I pan to śmiesz powiedzieć! Kto mię chciał upokorzyć, kto wyprowadziwszy tę woskową lalkę do mazura, dał jej pierwszeństwo?... Panie Adamie, tak się nie postępuje z kobietą, którą się kiedyś kochało, a przynajmniej zapewniało ją o tem na klęczkach...

— Nie miałem wcale tej myśli...

— Pan nie miałeś;.. ho, ho, mój panie, znam cię lepiej niż sądzisz!... Chciałbyś się pozbyć kobiety, którą zgubiłeś!... Podobala ci się maska z Warszawy, a może J^eJ posag, który zapewne jest na księżycu!... Nie zapieraj się, znam pańskie myśli, czytam je w twoich zawsty-

dzonych oczach... Jesteś pan człowiek uczciwy i szlachetny—wiem o tem, przyznaję ci to, więc powiedz tak z ręką, na sercu, jak przy spowiedzi świętej, nie prawda?

Pan Adam milczał kręcąc się na ławce, która przy tych niespokojnych ruchach uderzała o moją ścianę...

— I cóż, milczysz? wstyd ci przyznać się do winy?

— Ale bo... pani jesteś... rażąco... tego..

— Niedelikatna, czy zazdrośna?...

— Rzeczywiście zazdrośna...

— Bo kocham, rozumiesz, bo kocham z całego serca, z całej duszy, bo kocham pierwszy i ostatni raz w życiu, bo kocham i tłumię, tłumię to uczucie, i chowam go jak złodziej, na którego cały świat czycha, policya strzeże... a czeka szubienica. Pojmujesz teraz, że muszę być zazdrośną, więcej niż zazdrośną, mściwą, krwiożerczą... Ja tulę mój skarb całą potęgą nadludzką siły do tych piersi, ja strzegę go jak świętość jedyną... Pojmujesz, że strata tego skarbu — moja śmierć!

— Egzaltujesz się pani... przypuszczasz to, czego nie ma... uciekasz przed cieniem...

— Kobieta w takim położeniu jak ja, wszystkiego się lęka... Dla ciebie jest to egzaltacja, a dla mnie jedyna rozkosz, bo pan dla mnie jesteś wszystkim. Możesz mnie znieważać, możesz deptać nogami—pozwalam, zniosę to wszystko z pokorą—ale nie zniosę gdybyś miał kochać inną... I powiedz mi, masz ty serce?... i przekonaj mię, że mężczyźni mają serce...

— Daruj, Heleno, jestem winien... zdawało mi się, że ta Maryja podoba mi się... że wypada się raz ożenić, mieć swój dom, swoją rodzinę—ciągną mię tam... Myślę sobie, ty zapomnisz... i może lepiej żebyś zapomniała

ła, ja nie jestem godzien takiego uczucia... Tak, tak, ja jestem zimny, bez czucia— po prostu głaz...

— Nie, ty jesteś dobry, Adamie—więcej niż dobry... szlachetny, ale słabego charakteru i dajesz się lada komu powodować. Te panie ciągną cię,—oprzec się nie umiesz... ale powiedz sam, gdzie znajdziesz serce więcej dla ciebie oddane, gdzie znajdziesz kobietę więcej dla ciebie uległą, kochającą... pokorną... Czy ci to nie wystarcza? Czegóż milczysz? —powiedz słowo, a wierz mi, bez wahania porzucę ten dom... tę starą omszoną strzechę, i pójdę, gdzie każesz...

— Helenko — rzecze po chwili młodzieniec — ja chyba zwariuję! Jaka moja przyszłość, jaka wasza przyszłość!...

— Bez ciebie popadniemy w nędzę... Nierozwagę młodości już ciężko odpakutowałam przez tych lat dziesięć... Wszak patrzysz na moje życie i widzisz!... Będąc sierotą, na łasce krewnych, bez majątku,— zdawało mi się, że uszczęśliwię tego człowieka... poświęcę się... Dziesięć lat tych tortur wyczerpało wszystkie moje siły... Wierz mi, dalej nie mogę, bez ciebie nie mogę... Opuścisz mnie—umrę...

Chwila milczenia i słycać tylko głośne łkania kobiety, przeplatane westchnieniami pana Adama. Mimo usiłowań stłumienia tego płaczu, stawał on się coraz głośniejszym.

— Więc, moja droga— odezwał się pan Adam — skoro nie ma innej rady, idźmy więc dalej po tej drodze, na którą zepchnęło nas przeznaczenie... Tak być musiało, skoro tak jest... Podaj rękę i przebacz...

— Więc pokój?

— Pokój wieczny... Czy nam źle było?...

Melodramat się skończył—i w sam czas dla podsłuchującego, bo ścierpnięty łokieć ręki, na którym opierałem się o futrynę okna, kazał zmienić pozycję^ a pewne łechtanie w gardle zapowiadało głośne kaszlnięcie, które mimo całego wstrzymywania, wybuchło tuż za plecyma rozmawiających.

Jak przestraszone ptaszki nocujące na gałęzi, frunęła z ławki tajemnicza para, a ja nie mając nic innego do roboty, przeniosłem się z pościelą napowrót do sądowego pokoju. Pokazuje się, że ta zmiana była na czasie, bo w kilka minut potem słyszałem lekki skrzyp drzwiami z przedpokoju do jadalni, widocznie szukano tam kaszlącego świadka.

Mimo gdałania zegaru, usnąłem wreszcie z tem miłem przekonaniem, że sędziowską moją misję zupełnie; powodzenie uwieńczy.

OSTATNIE POSIEDZENIE SĄDU.

Zgodzisz się ze mną, czytelniku, że mogłem teraz spać długo, spokojnie — bitwa wygrana! To też przy śniadaniu inny zupełnie humor od wczorajszego zapanował w towarzystwie. Pani Michałowa w śliczniutkim negliży ku, uwijała się zgrabnie, dogadzając ile możliwości swym gościom, i co się rzadko zdarzało, własną ręką dolewała mężowi araku do herbaty. O sprawie i sądzie nie było mowy; nawet pan Michał daleko względniej traktował stan zasiewów wczoraj oglądanych.

— Wcale ma niezłe oziminy; wiecie państwo, tego się nie spodziewałem; pod cegielnią pszenica dobra, wcale dobra... i żeby mię był słuchał, jak radziłem brać lekko skiby, toby i żyto na nowinach inaczej powscho- dziło...

— Jak mu nie dopisze parę razy — odzywam się na to—będzie on słuchał starszych...

— Ci nowi gospodarze to okropnie zarozumiali— nic, tylko po swojemu, z książki. Ani ś. p. mój ojciec, ani ja, dzięki Bogu, nie zaglądaliśmy do książek, a jakoś szło po ludzku. Nigdy się zboże nie mieściło w stodołach, a teraz i gruntów przybyło i nawozy się kładzie, a na snop coraz gorzej...

Okolo dziesiątej nadjechał proboszcz w prunelowej sutannie. Gdyśmy mu przedstawili o co idzie, zląkł się starowina i ani chciał słyszeć o przyzwoćowaniu w sądzie polubownym.

— Jak żyję nie sądziłem nikogo, jak mi Bóg miły, nie sądziłem. „Nie sądzicie, a nie będziecie sążeni...” Czy to tu nie ma tylu innych obywateli i rozumnych i doświadczoney? Gdzie mnie tam staremu kłaść palce między drzwi.

"Wziąłem go na stronę i przedstawiwszy pokrótce cały stan sprawy, ma się rozumieć bez nocnych komentarzy, prosiłem, aby dla formy przyjął naszą uchwałę, bo stan interesów pana Michała jest w tak rozpaczli- wem położeniu, że tylko zgodą może wybrnąć z kłopotów.

— Ha, kiedy tak, to jużci trzeba, niech się dzieje wola boska! Szkoda mi tego poczciwego kolatora, oj szkoda, wielmożny panie, wszyscy się z nim dzielą...

Zasiedliśmy znowu przy naszym sędziowskim stole i wytoczyła się akcja...

— Summa summarum—pyta proboszcz — ile wynoszą pretensye jaśnie wielmożnego kolatora?...

— Czterdzieści jeden tysięcy sto dwadzieścia złotych.

— Bez sześciu punktów, których sąd nie przyjął—dodaje Michał.

— A tego pana ile?—pyta mię ciszej.

— Coś toż samo tyle—odpowiadam.

— Więc jakże?—mówi głośno.

— Wypadnie sprawdzić, bo jużcić może zawyso- ko taksowałem—rzecze Michał.

— Jaśnie wielmożny kolatorze, cóż to u Pana Boga, szlachcic już nie ma wiary?— napisano tyle, to musi być tyle; jaśnie wielmożnemu "Wietrzyckiemu przecież się wierzy. Panu Michałowi tylko się oczy zaiskrzyły z radości.

•— Otóż to mi stary nasz rozum! — tak, to lubię. „ Verbum nobileV i dosyć!

— Ależ te indyczki i ten Zagraj—wtrąca Ołowiński—ja powiadam sądowi, nie mógł zjeść... Znałem tego psa jak złamany szeląg; ja myśliwy...

— O to, to, to — przerywa ksiądz Sosnowski — właśnie ten punkt jest myśliwski, a my wiemy, co znaczą gadania myśliwskie... Książę Radziwiłł panie kochanku, nie był sobie tak jak inny prosty szlachcic, a jak strzelił pestką z brzoskwini w jelenia, to mu, panie, wyrosło potem na łbie takie drzewo...

— Komu, Radziwiłłowi?—pytam.

•— Et, wielmożny pan to tylko podchwytuje za słówka—jużci jeleniowi, bo gdzieżby tam znowu takiemu księciu mogło co wyrosnąć prócz mitry.

— Zawsze ten Zagraj nie mógł zjeść odrazu jedenastu indyczek—zapewnia sędzia.

— A ja powiadam, że zjadł, jak mi Bóg miły, zjadł, kiedy właśnie wielmożny kolator powiada. —Radziwiłłowi nikt nie zaprzeczał i dotąd nie zaprzecza o tej brzoskwini, to dlaczegóżby naszemu jaśnie wielmożnemu kolatorowi nie wierzyć — i to przecie dobra krew szlachecka...

— Niechże będzie że zjadł, kiedy tak!— decyduje sędzia.

— Jaśnie wielmożny kolatorze — r mówi proboszcz zwracając się do pana Michała — kiedyście mię obrali za prezesa, to ja inaczej nie mogę, jak po staremu, na połowę, czy zgoda?

Pan Michał się zawahał, lecz ksiądz porwał go za rękę i bijąc swoją ręką w dłoń jego, jak to ma miejsce na targu między włościanami, powtarzał ciągle: „Na połowę, na połowę!...”

— Możesz, Michale — szepnęła mu przechodząc obok pani Helena.

— I ja się zgadzam na połowę — rzecze sędzia Ołowiński, tak, to co innego. Zagraj mógł zjeść pięć i pół indycząt... tyle mógł, ale nie jedenaście.

— Niechże będzie zgoda! — przemówił wzdychając pan Michał — dla miłego spokoju...

— Trzeba to napisać — rzecze do mnie ksiądz Sosnowski.

Biorę za pióro i umieściwszy wstęp do wyroku, piszę deklarację pana Wietrzyckiego, że pretensje swoje zniża do połowy...

— A niechże jaśnie wielmożny kolator podpisze...

Pan Michał przyniósł gęsie pióro, stalówki bowiem stanowczo potępił, i pewną ręką wypisał swoje imię i nazwisko, jak zwykle zamiast Michał, Micał.

— No, teraz pójdźmy do drugiej strony — rzecze proboszcz — z wielmożnym dzierżawcą będzie nam łatwiej... ja proponuję, wszystko co tu napisano i porachowano, także na połowę...

— Po sprawdzeniu — dodaje Michał z powagą.

— Ja protestuję! — odzywa się sędzia Ołowiński — pretensje pana Czerwińskiego są rzetelne, a pana Michała były wygórowane... on nie może tyle ustąpić...

— A ja powiadam, że na połowę—to zasada szlachecka i obywatelska... Czerwińscy także dobra szlachta*

— Eh! —mówi uśmiechając się z politowaniem pan Michał machnąwszy ręką.

— Jużciż tam nie ma buław ani mitry, jak u jaśnie wielmożnego Wietrzyckiego... to znowu co innego—

— Szlachcic na zagrodzie, równym jest wojewodzie...—wtrąca Ołowiński.

— Przepraszam—rzecze z tą samą miną politowania "Wietrzycki.

• Znałem Czerwińskich, dobra szlachta, jak mi Bog miły... karmazyny, czyste karmazyny; już samo nazwisko Czerwiński mówi, że tam jest coś czerwono-karmazynowego... wiem, wiem, pochodzą z Czerwonki. Jedna Czerwonka jest w Płockiem, druga na Podlasiu, trzecia...

— Ja zgadzam się...—przerywa dzierżawca—ale...

— Tak, ale—dodaje Ołowiński — ale nie na połowę...

— Ale jak sąd postanowi—kończy pan Adam.

— Otóż to mi jest rozum...— rzecze proboszcz. — Jak pan sędzia?—pyta zwracając się ku mnie.

— Ja na połowę.

— I ja na połowę — dodaje ksiądz.— Zatem wię kszość głosów! Proszę pana sędziego, zapisać to oświadczenie do protokołu.

Znowu więc wypisałem toż samo od Czerwińskiego go, który bez wahania położył swoje nazwisko z po tę żnym wykrętasem...

— Teraz porachujmy...

•— Za pozwoleniem, a nadpłaty?—rzecze sędzia.

— O nadpłatach niema tu mowy, tylko o pretensjach... Co zapłacił pan Czerwiński, to nie ulega kwestyi...

— Ma się rozumieć — dodaje pani Michałowa ^ to się potrącać będzie z czynszu dzierżawnego stopniowo...

Dodane cyfry pretensyj pana Adama, wyniosły sumę 40,968 złp., czyli wzięwszy połowę pretensyj państwa Wietrzyckich i połowę pana Czerwińskiego, wypadło, że dzierżawca powinien dopłacić dziedzicowi ośmdziesiąt złotych polskich i już wszelkie pretensje wzajemne, po dzień dzisiejszy wynikłe, zupełnie się znoszą.

Pan Michał ogromnie był zdziwiony takim rezultatem obliczenia i widocznie niekontent z wyroku.

Ale słowo się rzekło...

"W tym więc sensie zreferowałem całą czynność sądu polubownego i już mieliśmy podpisać, gdy zawiedziony w swoich nadziejach pan Wietrzycki wystąpił z kwestyą o drzewo na opał dworu i o wycieranie sadzy...

— To i ja od mego klienta wniosę należność za prenumerowanie gazet — odzywa się z powagą sędziego.

Wyjaśniliśmy proboszczowi, w czem kwestya...

— I ten ma rację i ten ma rację! — rzecze, śmiejąc się staruszek — to ważna rzecz.

— O zasadę idzie... — mówi pan Michał.

— Naturalnie, o zasadę... To też łatwe rozsądzenie-. jaśnie wielmożny kolator każe swoim służącym nosić drzewo z drewni, a za to wielmożny dzierżawca swoim kosztem abonować będzie gazetę i przez swojego służącego odsyłać do dworu.

— Ja sam zwykle przynoszę...

- A tem bardziej, tem bardziej... napisać ta wszystko...
- I sadze — dodaje sędzia Ołowiński.
- Na wycieranie sadzy się nie zgodzę... — woła Michał.
- Musi się zgodzić wielmożny kolator; o wycieranie, z pozwoleniem, takiego głupstwa idzie... nie mówię, żeby szło o kapitułę...

Rozśmiali się wszyscy, wyrok został podpisany, a żeby nie było żadnej wątpliwości, obaj przeciwnicy zaakceptowawszy go własnoręcznie, uścisnęli się po staro- polsku.

W sam czas ukończyliśmy naszą pracę, bo właśnie podano wazę do stołu, i pan Michał pokazał się ze śliwownicą na progu...

Twarz pani Michałowej jaśniała prawdziwym tryumfem, co zobaczywszy sędzia kolega, odezwał się głośno:

- Panie to tylko umiecie sprowadzać burze, a nam zostawiono usuwać to wszystko...
- Ma się rozumieć, z małej chmury... No, proszę łaskawych panów, księżę proboszczu, nasz Salomonie prawdziwy, rozpocznij pochód...

—⁴ A, jaśnie wielmożna kolatorko, ja się ztąd nie ruszę, to mój pokoik; ja sobie tu z panią generałową zasiadę...

— Cóż znowu... nie róbże ksiądz proboszcz cere- monij. Czy jeszcze się gniewasz od owego odpustu?...

— Grdziebym ja się potrafił gniewać—mówi, przybierając swoją zwyczajnie naiwną minę — gdybym tam zasiadł, to znowuby ludzie gadali, a tak niech będzie po dawnemu.

Zrozumiała gospodyni swą winę, przeprosiła staruszka, ucałowawszy jego ręce, i obiad przeszedł wesoło przy ciągle podnoszonych zdrowiach, do których dawna piwnica Wietrzyckich dostarczyła traktamentu.

Nasz prezes, bo już taki otrzymał tytuł, rozochocił się na dobre, całował wszystkich, a najwięcej kochanego kolatora, który do tych uścisków okazywał pociąg niezmierny.

Po obiedzie przyprowadzono dzieci państwa Wietrzyckich; starszy chłopiec mógł mieć lat siedm, Magdu- sia rok najwyżej.

— A to mi zuch chłopak! — zawoła ksiądz Sosnowski — patrzcie państwo, już mu rośnie taki brzuszek, jak jaśnie wielmożnemu kolatorowi. A to znowu robactwo... cóż to za śliczność—mówi dalej, przenosząc wzrok z dziecka to na pana Michała, to na Czerwińskiego — wykapany ojciec... ale to wykapany...

Pani Michałowa zajęta właśnie nalewaniem czarnej kawy, musiała nie słyszeć tego porównania, i jeżeli zarumieniła się, to zapewne od pary z imbryka.

— Po co to dawać tak gorącą kawę, Józefie — rzekła z wymówką do starego lokaja — sparzyłam .sobie rękę...

Ale pan Michał za to rozkosznie uśmiechnięty, rósł jakby na drożdżach, słuchając pochwał Magdusi, i w przystępie rozczenia wziął dziecko z rąk piastunki i całował i całował bez końca.

— Grzech, jaśnie wielmożny kolatorze, że to jeszcze nie chrzczone... grzech, zły przykład.

— Prawda, prawda, trzeba ochrzcić; moja Helenko, w niedzielę będą chrzciny. .

— I ojca chrzestnego już mamy — dodaje pro

boszcz naiwnie. — Dzisiejszą zgodę trzeba utrwalić, tak, tak, żeby nie było więcej kłótni i obrazy boskiej... Wielmożny dzierżawca powinien trzymać... aby zgodnie, aby w miłości bożej...

— Panie Adamie, tego... nie odmówisz tej łaski... z panią sędzią... Helenko, jakże ty?...

— Bardzo proszę pana Czerwińskiego — odpowiada pani Michałowa, zapalając papierosa u świecy — pan Adam tak ją lubi...

— Sliczności robaczek, ktoby to tego nie lubił — powtarza proboszcz, cmokając do dziecka... potem bierze mię pod rękę, i odprowadzając w kąć pokoju, szepce: „Niech i to będzie na połowę.”

Parsknąłem głośno z tak dowcipnego konceptu proboszcza, co zobaczywszy pani Michałowa, przybiegła do mnie i pyta natarczywie, co mi tak śmiesznego powiedział ksiądz proboszcz.

— Pst! — rzecze stary, kładąc palec na ustach.

— Widzi pani, nie pozwala...

— Pan musisz powiedzieć, jestem ciekawa jak każda kobieta... No, no, panie Antoni, proszę, powiedz...

•— Powiedział, że i mnie zdałby się taki robaczek...

— Zmyślasz pan! Ja wiem, że pan zmyślasz... — zakończyła, robiąc słodką minkę.

*

* *

Otóż w ten sposób zakończył się wielki spór dziedzica z dzierżawcą, z którego ja wyszedłem jako tako, uzyskawszy tytuł sędziego—ale i tytuł ten odstąpiłbym każdemu, ktoby przyjął na siebie reprimendę od moich kobiet, jaka mię z powrotem czekała.

— Jesteś zły polityk — powiedziała mi wręcz Emilka, gdym jej zdał sprawę z całego toku naszych posiedzeń, zamilczając o nocnej konferencji. •— Ja gdybym tam była, Michałostwo musieliby się wyprowadzić do miasta. A tak, jakże on się może starać o Marynię? Zamiast tak zrobić jak prosiłam, albo rozwiązać umowę, żeby miał swobodne ręce, toście go jeszcze bardziej przykuli do tych Wietrzyć i zginie tam chłopczyzna...

— Ależ, moja droga, on zupełnie tego nie żądał!

— To trzeba było tak pokierować sprawę, żeby zażądał. Pamiętaj, będziesz go miał na sumieniu. Cóż teraz powiemy cioci?

— Dajcie wy sobie spokój z tem małżeństwem, jemu się ani śniło o Maryni... jemu co innego w głowie...

— Wiem i to, wiem... choć to jeszcze nie koniec; czekaj, ja pomyślę.

Lecz na nic się nie zdały myślenia mojej Emilki; pan Adam przyjechał wprawdzie raz jeszcze do nas podziękować za mój udział w sądzie polubownym, lecz tak się trzymał zdaleka od Maryni, że niepodobna było wątpić o jego obojętności.

r— Lepiej się stało, że został w tej dzierżawie — mówiła ciocia referendarzowa, powstrzymując wybuch ataku nerwowego. — Będę miała pretekst wycofać się z tego wszystkiego, że nie ma porządnego mieszkania. Mój mąż nigdyby się nie zgodził, aby Marynia zakopała się gdzieś tam w chłopskiej chałupie w Wietrzycach i zносиła takie towarzystwo, jak ci państwo dziedzice.

— Naturalnie — odpowiadam—ja to zawsze mówiłem...

Jednakże mimo tych zapewnian szanownej ciotki,

nie obeszło się w nocy bez spazmatycznych ataków, i płaczu, i śmiechu i tym podobnych dolegliwości kobiecych. Trzeciego dnia zatem, czując się wciąż roznerwowaną, wyjechała pani referendarzowa do Warszawy, a z pobytu na wsi wyniosła tyle, że nabawiła się choroby sercowej, z której do dziś dnia, mimo że Marynia dawno już poszła za mąż, wyleczyć się nie może.

A. Wilczyński.—Tom IV.

PANI INSPEKTOM.
OBEAZEK.

„My rządźmy światem, a nami kobiety" — powiedziano kiedyś bardzo mądrze, bo czy definicya ta szczególnie dotyczy ludzi rządźących światem, czy światkiem, wszystko to jedno. A że wszyscy ludzie mają preten- syę do rządźenia, nic też dziwnego, że małżonki uczonych mężów trzymają się skrupulatnie tej opinii.

Nasza pani inspektorowa gimnazyum nie była wyjątkiem, a sędzę, że i dzisiejsze żony uczonych w niczem jej nie ustępują.

W naturze nie jest to żadnym fenomenem: uczeni mężowie, w wyłysiałych głowach, w których siedzą zazwyczaj wielkie pomysły, głębokie projekta przyszłych odkryć naukowych, którym kwadratury koła, perpetuum mobile, kierunek balonów i tyle niezliczonych zastosowań naukowych spać nie daje — nie mają czasu zajmować się domem, sukienkami córek, mantylką żony i tym podobnemi drobnostkami życia codziennego. Nic więc nadzwyczajnego, że każda z małżonek tych uczonych panów zmuszona jest, od samego początku wprowadzać niekonstytucyjne rządy w otoczenie domowe. Od sług

przechodzi do uczniów trzymany na stancyi, od uczniów do profesorów, jeżeli jest, notabene, inspektorową, a wreszcie do samego jegomości w jego urzędowej kancelaryi.

W rok po ślubie, już uczony mąż nie wie jakie ma suknie: żona kupuje mu wszystko, a zbyteczne wyprzedaje; żona dyryguje w co się ma ubrać, szczególnie gdy wypadnie iść z wizytą; żona każe się golić, i niechby miał szanowny pedagog stopy ćwiczeń do przejrzenia, musi je odłożyć na bok a wziąć się do wykrawywania brzytwą kotletów na twarzy, stosownie do mody i gustu pani małżonki. Krawat żona mu wiąże na szyi, poprawia kołnierz surduta, który profesor zawsze ma do góry zadarty; żona go czesze i najczęściej przywraca porządek guzikom w zapięciu kamizelki.

Profesor nie może się spóźnić na obiad lub herbatę, musi nakręcać zegarek co wieczór, jeść wszystko z apetytem, pozwolić na ścieranie kurzu z biurka — a czasem jak brzydka pogoda, iść do miasta po masło i sprowadzić furkę mokrego zazwyczaj drzewa.

Nieobecność żony przez dni kilka, najlepiej daje się uczuć profesorowi: biedak chodzi jak bez głowy. W domu nieład, tartas, jakby po popasie Litwinów na obiad jedna potrawa i to też sama dzień po dniu; wszystko gdzieś poginęło: ani ręcznika, ani brzytwy, ani pieniędzy. Dzieci chodzą rozczochrane, studenci mizernieją, wszystko się tłucze, profesor zapomina wykładów, idzie na lekcję bez tabakierki—słowem bez myśli i pamięci.

Nasza pani inspektorowa była tego rodzaju panią inspektorową pod każdym względem. Najprzód matka natura nie odmówiła jej powagi, jaką nadaje tusza: cho-

działa ciężko i wyniośle, miała wzrok przenikliwy, gest ręki imponujący.

Pamiętam, gdy szła do kościoła, wszystko co żyło ustępowało jej miejsca; profesorowie podawali rękę, gdy była ślizgawica, studenci w lot chwyтали chustkę od nosa, jeżeli tej podobało się upaść na ziemię.

Miałem to nieszczęście stać przez lat pięć na stan- cyi u pani inspektor owej i dziś jeszcze jak mi się przyśni, wstaję nadzwyczaj przestraszony. Nie było u nas i nie mogło być najmniejszej opozycji: co dano, trzeba było zjeść, ani mniej ani więcej. Jadłeś więcej, musia- łeś być chory, jadłeś mniej, dostałeś z domu pewnie przysmaczki: więc natychmiast rozpoczyna się rewizya po kieszeniach i kuferkach, zabiera się wszystko co było do jedzenia i to miało iść dla ubogich. — Zapewne, że szło, bośmy już więcej naszych wybornych placków i bab nie widzieli.

Jeżeli rewizya nie przyniosła dotykalmego przeświadczenia o braku apetytu, następowała rewizya pulsu, macanie głowy (wówczas pukanie jeszcze nie było wynalezione) i skutkiem tego albo sól glauberska, albo emetyk. Były to dwa kardynalne lekarstwa używane przez panią inspektorowę z całą skrupulatnością i oględnością.

Pani inspektorowa miała prócz męża, którego w domu znać nie było, córkę i dwóch synów; jeden już w uniwersytecie, drugi między nami na tych samych prawach co i my. Panna Józefa, pulchniutka szesnastoletnia panienka, z niezwykle długimi rzęsami, była przedmiotem wzdychań i admiracyi wszystkich studentów, począwszy od 4-ej klasy i wyżej. Co do mnie, przyznam, że serce moje było kompletnie opanowane.

Ileż-to rozkosznych marzeń przemknęło się po mojej głowie, gdy położywszy się spać o dziesiątej, stanęła mi przed oczami świeżutka postać panny Józefy, której błękitne oczy tak ciekawie umiały patrzeć na mnie przy każdym obiedzie!—"Wszystkie okładki kajetów moich na brudno, pokryte były portretami słomkowego kapelusza i kraciatej z pelerynką salopki panny Józefy.

O twarzy nie pozwalały mi marzyć moje artystyczne zdolności; poprzestałem więc na kapeluszu z boku, z pod którego twarzy widzieć nie można było; a pod nim już śmieiej rysowałem szyję i salopkę nadzwyczaj do oryginalnych podobne.

Ale panna Józefa trzymana była w takim oddaleniu od studentów, mama naznaczyła jej tak wysokie stanowisko, że wówczas byłem przekonany, iż chyba jaki księżę Sigmaringen mógłby otrzymać pozwolenie starania się o jej względy. Wzdychałem więc i milczałem kryjąc rozpacz na dnie serca.

Tak przeszło trzy lata: skończyłem gimnazjum

I trzeba było rozstać się z domem pani inspektorowej na zawsze.—Pannie Józefie, która musiała się domyślać moich afektów, prawdziwe łzy stanęły w oczach podczas urzędowego pożegnania, więc pocałowałem pierwszy raz jej pulchną rączkę, dałem sobie słowo, że ona tylko będzie moją żoną gdy ukończę nauki i w wiosce swej osiedzę. W zapale tych uczuć, spłakawszy się, powierzyłem zamiary moje bratu jej Władysławowi, którego liczyłem do najszczerzych wówczas przyjaciół.

Zaspokojony zupełnie, szczęśliwy jako student wypuszczony z tak srogiej kurateli, pojechałem na dalsze nauki do Warszawy i tam w rok niespełna... przyznam się otwarcie czytelnikom, zapomniałem o pannie Józefie!

Mój mocny Boże! czyż-to ja pierwszy i ostatni zdrajca tego rodzaju!? Czyż-to niema tysiąca przykładów podobnych zbrodni co dzień, co godzina, tak z jednej jak z drugiej strony? Ileż 1 się-to przysięg dawanych na klęczkach, w obec Boga i ludzi zapomina?! Ja, osobi-> ście nie dawałem żadnych, a że mówiłem bratu — to on mógł nie powtórzyć ich siostrze, i zapewne że nie powtórzył, bo to był trzpiot wielki.

Upłynęło znowu lat kilka: z gazet dowiedziałem się, że szanowny mąż pani inspektorowej oddał Bogu uczonego ducha, a siostra raz mi w liście napomknęła, że pani inspektorowa wyniosła się gdzieś daleko od syna będącego podówczas lekarzem powiatu.

Z kolei rzeczy pokochałem się teraz na prawdę,— dostałem żonę brunetkę, z czarnymi oczyma o małych rzęsach, i uszczęśliwiony osiadłem na gospodarstwie- w rodzinnej wiosce. Nie zrobiłem więc żadnej krzywdy płci pięknej wogóle; zamiast blondynki wziąłem brunetkę, i jeżeli tamtą (czego nie przypuszczam) zrobiłem nieszczęśliwą, to druga zapewne tego mi nie zarzuci.— Jestem dogodniejszym mężem niż pan inspektor! — Zapewne że szkoda, iż to szczęście nie dostało się pannie Józefie—ale to nie moja wina,—tylko przeznaczenia.

Rok temu jestem w Warszawie; na ulicy spotyka mię średniego wzrostu mężczyzna z wielką blond brodą i spojrzawszy mi w oczy woła: „to ty, Tadeuszu!” „To tjr Władysławie!” krzyknę porywając go w swoje objęcia.

Rzeczywiście był to ten sam Władysław, brat panny Józefy, otwarty i szczerzy przyjaciel z ławy szkolnej.

j^BI

— Anibym cię poznał... a ja cię poznałem... 0<*
tu robisz? ja na wsi... ja urzęduję... Te i tym podobne

pytania i odpowiedzi sypały się gradem z ust naszych, a przypatrując się sobie wzajemnie, wzięliśmy się pod rękę, idąc tak ulicą bez celu.

Już to trzeba przyznać, że owe szkolne wspomnienia mają to do siebie, iż się ich nigdy nie zapomina. Staram się pozbywać tej niedorzecznej młodzieńczej czułości, ale co prawda, to nie grzech: porządnie zadygotało mi serce, ściskając rękę tego chłopaka; coś nieokreślenie przyjemnego ogarnęło całą osobą, że mimo to, iż miałem ważny interes do załatwienia, szedłem z nim upojony, rozmarzony, a półgodzinne zwierzenia nasze zapełniły całą lukę lat dziesięciu. W pół godziny byliśmy tak, jak przy pożegnaniu, gotowi iść na obiad do pani inspektorowej.

— Sądzę, że odwiedzisz naszą matkę? — rzekł mi po chwili, gdy się już urwał wątek naszych zwierzeń.

— Ach! mój drogi, gotów jestem natychmiast to uczynić: prowadź, Władziu, prowadź.

— A panna Józefa?.. — zapytałem nieśmiało — czy poszła za męża?

— Józia?—odparł, patrząc mi figlarnie w oczy — Józia... jest panną Józefą...

Czułem, że ten głupi rumieniec, którego dotąd nie mogłem się pozbyć w moich przyzwyczajeniach, podstąpił mi ku oczom i nicpoń szedł wyżej i wyżej, aż schował się gdzieś pod kapeluszem, a ztamtąd wrócił jeszcze ze trzy razy tą samą drogą na dół i do góry.

— Jakto? — zapytałem, bo coś wypadło powiedzieć.

— Tak, że nie poszła za męża, choć... — i znowu spojrział mi figlarnie w oczy — gdybyś chciał, wielebyś jej dopomógł.

— Z całego serca — odrzekłem — tyle mam życzliwości dla całego waszego domu, że powiedz tylko, a wszystko zrobię, wszystko, co w mojej mocy.

*— Józia od trzech lat mogłaby pójść za mąż; kocha ją zacny i porządny prowizor aptekarski; cóż, gdy matka ani chce o nim słyszeć, ani go wprowadzić do nas nie pozwala.

— A to z jakich powodów?

— Najprzód, żó Józia pozwoliła sobie bez wiedzy matki oddać swe serce komuś. Znasz matkę naszą: ani odrobinę się nie zmieniła. Dla niej my zawsze małemi dziećmi chodzącemi do szkoły; nie chce wiedzieć, ani znać innych stosunków. Powtóre, twierdzi, że prowizor aptekarski jest nic, bo nie ma żadnej zasady (jest to jej wyrażenie). Po trzecie, co najważniejsza, matka sobie życzy wydać Józję za mąż tak, aby mogła przy niej mieszkać i rządzić wszystkim; on zaś ma liczną familię i o niej pamiętać musi. Ale otóż jesteśmy przed naszym mieszkaniem. Zlituj się, Tadziu, popróbuj przekonać matkę, powiedz że go znasz, nazywa się Jan Srednicki, żeby mu przynajmniej pozwoliła bywać u nas. Będzie to słuszne z twojej strony zadosyćuczynienie, wiesz za co? prawda?

Skinąłem tylko głową na takie dictum aćerbum, i myślą uderzyłem się w piersi: „moja wina!” Starajmy się naprawić głupstwo młodości.

Na drugim piętrze pani inspektorowa zajmowała trzy schludne pokoiki, i ten sam porządek, ta sama wzorowa czystość panowały wszędzie. Przywitała mię z niezachwianą powagą inspektor owej, jakbym powracał ze świąt do szkoły i miał rozpakowywać studenckie mana- tki. Biały czepek otaczał rumianą twarz matrony, siwe

kosmyki włosów, w loczki skręcone, wymykały się po bokach, utyla jeszcze więcej, aniebieskie okulary, po mężu, łagodziły nieco surowy wzrok wybladłych oczu.

— Tadzio zostanie u nas na obiedzie — rzekła po chwili, wysłuchawszy mojego sprawozdania z tych ubiegłych lat dziesięciu. — Będzie zupa z piwa, jak zwykle w piątek, pamiętasz?

— I leniwe pierogi — dodałem.

— Tak — skinęła głową — tylko nie dostaniesz siedmiu jak zwykle, ale pięć. Od śmierci nieboszczyka męża mego nic nie zmieniliśmy w trybie naszego życia; przyszedłeś późno, już nie czas dorabiać więcej.

— "Widzę to — odrzekłem, rozpatrując umeblowanie — przybyły tylko kanarki, których dawniej pani inspektorowa nie lubiła.

— Prawda; ale, widzisz, przywykłam lat tyle do szczebiotań i nauki chłopców, że nudno mi było żyć wśród takiej ciszy: ta gromadka ptasząt zastępuje mi waszą swawolę, przypomina lata szczęśliwsze... cóż robić!

Wtem weszła panna Józefa — podaliśmy sobie ręce i spojrzeli w oczy, a mój pons twarzy znów odbył kilkakrotną od brody do czoła pielgrzymkę. Teraz jednak muszę się przyznać, że serce mi zadrgało; panna Józefa porządnie się podstarzała. Świeżość jagód znikła, oczy spłwiałały, rzęsy, te długie rzęsy, nad którymi się kiedyś tak unosiłem, jakoś się skróciły, a kibić, muszę tu powiedzieć otwarcie, zanadto się jak na pannę zaokrągliła.

— Gdzież to ja miałem oczy i rozum kochać się kiedyś w tej kobiecie? — pomyślałem — coś tak pospolitego, ten nos gruszko waty, te trzy piętra brody... Ciekawym poznać owego prowizora... zawsze kobietom wie

rzyć nie można..- a niech się tam kochają, co mię to obchodzi.

Otóż takie błyskawiczne myśli przebiegały mi po głowie wobec nudnej, sztywnej i jednostajnie konwen- cyonalnej rozmowy.

Druty od pończochy pani inspektor owej, w którą zdawała się być zaopatrzoną, migąły coraz szybciej, odzywała się wtedy, gdy wypadło jaki drut przemienić, a panna Józefa wydała mi się zanadto kokietującą, choć widocznie pragnęła okazać radość z moich odwiedzin.

Przy obiedzie zjadłem caluteńki talerz zupy, dostałem jak dawniej ukrajany przez panią inspektorową kawałek chleba i rzeczywiście pięć pierogów. Formalnie bałem się jeszcze pani inspektor owej; jadłem jak za dawnych czasów.

Po obiedzie wyszedłem z mamą do saloniku: podano czarną kawę, była to oznaka, że awansowałem na profesora, tych bowiem za dawnych czasów spotykał ten zaszczyt.

Władysław się usunął, mrugnawszy na mnie znacząco, a ja odchrząknawszy, zacząłem od pocałowania rączki pani inspektorowej.

— Muszę oświadczyć pani — rzekłem — iż serdecznie wdzięczny jestem przypadkowi, który mię tu sprowadził. Dla domu jej mam tyle przywiązania i wdzięczności, że doprawdy, z całą swobodą młodzieńczą cofam się o lat dziesięć i radbym iść ztąd prosto do klasy... tak mi tu dobrze... tak...

■— Wierzę ci, mój drogi Tadius — odrzekła, całując mię w głowę, i jak mi się zdawało, łąza błysła jej pod okularami. — Minęły te dobre czasy, kochany Tadius... minęły niepowrotnie... Z tobą mogę pogadać

jak z człowiekiem; dzieci moje nie udały mi się tak, jakem sobie życzyła; obcy mają więcej dla mnie względów...

I położywszy na bok pończochę, przysunęła się ku mojej stronie.

— Żle to jest oskarżać własne dzieci, ale tobie, Tadius, mogę to otwarcie powiedzieć, boś był świadkiem mej ciężkiej pracy, moich zabiegów i starań, aby to tylko wychować i zabezpieczyć im przyszłość...

— Ależ — przerwałem — nie widzę nic takiego...

— Proszę cię, nie przerywaj, kiedy ja mówię! — rzekła zwyczajnym inspektorskim tonem — pozwól, niech dokończę.

— Przepraszam i słucham.

— Najstarszy Leon jest lekarzem powiatu w M. Myślałam, że przy nim dokończę życia i sprowadziłam się tam po śmierci męża. Ale już' w drugim roku ożenił się bez mojej wiedzy i zezwolenia, a ty pani matko wynoś się, i pani matka wynieść się musiała.

— Jakto? — spytałem — powiedział?

— Eh, nie, do tego jeszcze nie doszło; ale pani synowa nie chciała uznać we mnie matki pana domu, tylko starą babinę, która powinna siedzieć za parawanem w jadalnym pokoju i klepać pacierze. "Wystaw sobie, jaka to wdzięczność za moją pracę!

I znów parę łez zaświeciło pod okularami.

— Józię chciałam wydać za mąż przed sześciu laty; trafił się porządny wdowiec, obywatel zamożny, nie tak młody, to prawda, lecz uczciwy i właściciel wioski. Myślałam znów, że spocznę przy nich, że im będę pomocą w gospodarstwie, do którego tyle lat przywykłam. Uparła się, że go nienawidzi, i nie chciała i nie

poszła. Teraz znów poznała jakiegoś subiekta aptekarskiego, wymuskanego młokosa; widzę, że wzdycha, ale znowu ja nie chcę o tem wiedzieć. Mało mamy, to * prawda, jednak nam wystarcza; nie chciała kiedy ja prosiłam, ja też znowu teraz...

— Daruje pani inspektorowa—rzekłem całując ją w rękę, bo wiedziałem że to lubi— ale pani cokolwiek za surową jesteś dla panny Józefy. Jeżeli ona znajduje w tem swoje szczęście...

— Za pozwoleniem twojem, mości Tadeuszu, któż cię to nauczył szukać szczęścia tylko dla siebie, nie bacząc na spokój tych, którzy nam życie dali i swoje szczęście dla nas poświęcili.

— Sądzę...

•— Co ty możesz sądzić— przerwała mi niecierpliwie—młodzi ludzie powinni tak sądzić, jak starsi powiedzą. To mnie się już od moich dzieci nic nie należy, co? Czyż na to ich wychowałam i zrobiłam temi czem są? Och, mój kochany, jeszcze nie wiesz jak to bolą nieposłuszeństwo i niewdzięczność!

— Jednakże — mówię niezrażony — te dzieci są ludźmi dzisiaj, i oni chcą tak samo pracować i wychowywać przyszłe pokolenia. Jakiemże prawem pani inspektorowa może im zabronić tego, co stanowi porządek świata i społeczeństwa?

— Takim prawem, mości komunisto, że głupstwo zrobiłam, idąc za męża za człowieka bez majątku— zawołała odsuwając się odemnie — i nie chcę, aby one toż samo robiły. Doświadczenie jednych, niech będzie prawem dla drugich. Jestem matką, mam prawo do moich dzieci, i nie chcę i nie pozwolę!!

— Ależ kodeks, pani... pełnoletność...

— Tak też i oni potrafią mówić!—widać wszyscy-ście na jedną formę dziś przekuci. Szczęściem ktoś wszedł do przedpokoju, pani inspektorowa musiała się umitygować i przybrać zwyczajną postawę 'kobiety poważnej, bo wzięła pończochę do ręki, a błyszczące druty jakby meteory jakie migały coraz żywiej.

Naraz otwierają się drzwi salonu i młody, przystojny brunet wchodzi poprzedzony od Władysława.

— Moja mameczko — przedstawiam pana Jana Średnickiego, o którym nieraz mama słyszała. Jest-to kolega Tadzia, sądzę przeto, iż mameczka daruje tym razem, że ją o tem nie uprzedziłem.

Z panem Janem przywitaliśmy się najserdeczniej, jako niby znajomi, pani inspektorowa spojrzała groźnie na syna, a jeszcze groźniej na przybyłego, i nie mówiąc słowa, wskazała mu ręką miejsce na krzeselku.

Nastąpiła dziwnego rodzaju chwila milczenia. Ja musiałem uznać fakt dokonany: Średnicki nie wiedział co z sobą zrobić — ona milczała widocznie zadowolona z tego położenia. Jeden tylko Władek nie tracił fantazy, widocznie miał plan gotowy, do którego nie było czasu mnie wtajemniczyć.

— Kochany Tadeuszu—ręczę powoli—wspomniałeś mi rano (kłamał, czytelniku, nie mu nie wspominałem) że w najbliższym mieście od twego majątku, jest apteka do sprzedania. Pan Średnicki jako wykwalifikowany w tym zawodzie, pragnąłby ją nabyć; czy nie byłbyś w możności dać nam jakie do tej sprzedaży objaśnienia?

— Rzeczywiście—odpowiadam—umarł tam aptekarz przed kilku miesiącami (to prawda, pomyślałem,

ale z kąd oni o tem dowiedzieć się mogli) i słyszałem, sukcesorowie chcą, się pozbyć tej apteki wraz z domem, lecz na jakich warunkach, nie wiem.

— Więc waópan — wtrąciła pani inspektorowa zwalniając robotę pończochy— byłbyś w możności kupienia apteki?

— Tak, szanowna pani—odrzekł zapytany z całą słodyczą. — Potrafiłem zebrać niejaką kwotę gotówki i chciałbym rozpocząć pracę na swoją rękę. Matka moja i siostry...

— Zapewne tego sobie życzą— przerywa złośliwie pani inspektorowa — tak licznej familii daleko łatwiej utrzymać się na prowincyi.

•— Przeciwnie, szanowna pani; matka moja wyjeżdża w tym tygodniu do siostry na wieś. Spadło na nią nieszczęście: umarł mój szwagier, a biedna kobieta w żalu i rozpaczy. — Otóż właśnie ta okoliczność przestrasza mię cokolwiek, że trudno mi będzie w małym miasteczku urządzić się i zagospodarować. Pani inspektorowa, jako słyszałem, wzorowa i zawołana pani domu, zna to najlepiej, iż mężczyźni mający choćby malutką pretensyę do uczoneści, zupełnie na tych rzeczach się nie znają.

— Prawda, masz pan racyę—odrzekła gospodyni w pół wierząc, w pół nie wierząc.—Mój nieboszczyk mąż inspektor, zacna dusza, otwarta głowa, ale w domu, muszę to wyznać, był do niczego... Władziu—zwracając się do syna — co się to robi z Józią, dlaczego nie przychodzi?

Jakoś rozgadała się starowina na seryo; przebiegły Władzio widocznie znał lepiej matkę niż ona sama,

i przygotował scenę bardzo zręcznie—przyznaję, że bardzo zręcznie, bo wszystko to skrupiło się na mnie.

Mój Boże, ktoby to przewidział, że za tę parę słów powiedzianych lekkomyślnie przy wyjeździe ze szkół, tak ciężko przyjdzie mi odpokutować. Ale dobrze mi tak, mówię sobie, „nie rzucaj słów na wiatr, młokosie!”

Nie będę tu powtarzał przebiegu dalszej rozmowy w saloniku pani inspektorowej, to tylko pamiętam, że była mowa o ślicznych owocach w ogrodzie przy aptece w miasteczku, że pani inspektorowej amatorce smażenia konfitur, aż okulary spadły na tę wiadomość. A gdy przyszła mowa o taniości cukru, jako w miejscu pogranicznym, zerwała się z kanapy i kazała nam podać butelkę wina z pięciu talerzykami różnego rodzaju smażonych przysmaczków.

Koniec końców, przy pożegnaniu panna Józefa gotowa mię była pocałować, czegom sobie wcale nie mógł życzyć, a pani inspektorowa raczyła pozwolić Władziowi jechać ze mną na wieś dla obejrzenia ogrodu i zdania sprawy, czy znajduje się tam także dereń.

— Więc, panie Janie— wyrzekła do Srednickiego podając mu rękę—nie obwijajmy w bawełnę; wiem o co idzie; nie będę przeciwną,, jeżeli będzie apteka, córki nie wydam za człowieka nie mającego zasady: rozumiesz pan!

Nie wiem, czy on to rozumiał tak dalece, jak ja, w godzinę później siedząc w hotelu obok dwóch moich kolegów.

— Tadeuszu—rzekł Władzio—biorąc mię za obie ręce—liczyłem na ciebie i dzięki Bogu, nie zawiodę się. Wiem, że jesteś zamożny, że dopomożesz panu Średni- ckiemu do kupna tej apteki. Kładź jakie chcesz wa-

runki, ubezpiecz twój kapitał, żądaj procentów, ale aptekę mieć musimy. No, no, Tadiusz— mówił dalej widząc moje zakłopotanie—nie udawaj gorszego jak jesteś, podaj rękę Jasiowi i zabieraj nas z sobą... A i dla Józi należy się od ciebie satysfakcja— szepnął biorąc mię na stronę — co ona biedaczka przecierpiała, czekając na twoje słowo! a ty?

— Szanowny panie—przystąpił Srednicki— wiem że to z mej strony nie do darowania; jednak, gdyby mi nie chodziło o pannę Józefę, Którą kocham nad życie, nigdybym się nie odważył w ten sposób żądać pomocy od pana. Biedny jestem to prawda, lecz pracować będę od świtu do nocy, aby go zaspokoić jak najprędzej. Panie łaskawy, to trzy lata już męki naszej...

"Wiem, że mam czysto baranie serce, to prawda, — podałem rękę, obiecałem i kupiłem aptekę. A jednak później po ich wyjściu, o mało żem się nie rozplakał. Wystawcie sobie, że tuż obok mnie leżał mały folwarczek, który mi klinem zachodził wmoją posiadłość i za kupnem-to tego klinika przyjechałem umyślnie do Warszawy. Trudna rada; uniosłem się raz oświadczając studenckie afekta pannie Józefie i to za pośrednictwem brata, uniosłem się drugi raz, aby zapewnić szczęście tej starej egoistce i dwojgu podstarzałym kochankom — więc dobrze ci tak niedołego, będziesz znowu miał dosyć umartwienia, gdy twoje owce sąsiad każe zajmować, jak przejdą na jego terytorium. Oho! oho! głupstwo się zrobiło... trzeba było klin kupić! Stary owcarz mój, jak się dowie że powróciłem zniczem, zmartwi się biedaczysko. Co powiedzieć żonie... Nie ma rady, trzeba wygrodzić przegon przez pole z jakie dziesięć staj ań i kwita...

Myślałem, że zdecydowawszy się na tę aptekę, będę miał spokój—ale posłuchaj dalej, czytelniku, a przekonasz się, że jeszcze prawnuki pani inspektor owej tulió się będą pod moje skrzydła i skubać moją kieszeń: formalnie ludzie ci wzięli mię w oblężenie!

Nie kupiwszy klina, lecz owszem zabiwszy sobie ze sześć nowych klinów inspektorskich, jechałem do domu wioząc pieniądze na aptekę i dwóch szfibruków warszawskich, którzy mi przez całą drogę nie pozwolili namyślić się co mam powiedzieć owczarzowi o tym przegonie.

Już-to przyznać muszę, że wieźli z sobą potężny zasób dobrego humoru i dowcipu, (nie dziwię się, złapałj. dudka, który im kupuje aptekę) a moje poczciwe żoni- sko przyjmowała to i karmiła, wyznam, trochę zanadto grzecznie.

W domu u mnie bawiła siostrzenica żony, panna Anna, dobre i miłe stworzonko, lecz jakoś bez życia. Doktorzy dawali jej chinę i żelazo, to znowu żelazo i chinę, a swoją drogą była wątłem i ociężałem dziewczęciem.

Z przybyciem gości warszawskich, wszystko to jakoś przeminęło: moja Anusia, widzę nabiera kolorów, siaduje przed lustrem po dwie godziny, o żelazie ani chce słyszeć, choć trzy buteleczki jakiegoś fosfatu przywiozłem jej z Warszawy. Oczka panience się błyszczą jak u kotki; chora, a tańczy do północy, i z kąd się tam siły w niej biorą trudno nam dociec. Z cichego mego dworu zrobił się dom zajezdny: codzień oglądamy aptekę i targujemy; jabym chciał kupić jak najtaniej—im też nie pilno wracać do Warszawy — jedzą jak najęci,

a moja żona bardzo czule ściska mię co wieczór, dziękując za rozrywkę z wesołymi gośćmi.

Dziwna rzecz; z tej strony spodziewałem się prawdziwej burzy, co się tyczy owego kupna apteki; tymczasem nadspodziewanie pochwaliła mój postępek nazywając to czynem szlachetnym. Ma się rozumieć nie wspomniałem nic o owej deklaracji przy wyjeździe ze szkół... Dziękuję za taką szlachetność, która mię blisko piętnaście tysięcy złotych kosztowała, i czy je odbiorę, to wielkie pytanie? Dali mi skrypta, opisali się, zobowiązali płacić ratami z procentem, a koniec końców owce nie miały przegonu.

Jedyną korzyść odniosłem z pobytu tych szalapeutów na wsi, że owczarz w żaden sposób nie mógł mię zapytać co będzie z przegonem? Już to przyznać sobie muszę, manewrowałem wybornie: niechno pokaże się barania jego czapka na podwórzu, ja odwracam się od okna, a idąc do owczarni biorę zawsze Władysława i udaję tak zajętego rozmową, że biedny owczarz nie śmie nam przerywać. Śmiech mię bierze patrzeć na jego wstrzemięźliwość, bo widzę jak siedzi mu na końcu języka pytanie: „jaśnie panie, jakże będzie z tym przegonem?” a tu nie dają mu przyjść do słowa.

Ale... ale... zapomniałem powiedzieć najważniejszej rzeczy: miałem jeszcze trzecią sroczkę we dworze, pannę Aleksandrę, nauczycielkę moich małych bębnów. Ta była uosobionem zdrowiem i wesołością. Niczego sobie panienka, może więcej niż niczego, ale jak mówi żona, ja o tem wiedzieć nie powinienem. Dalibóg, nie chciałem tego wiedzieć, a jednak zobaczył to Włodek z wiel- kiem niezadowoleniem Anusi.

Dziewczyna jak iskra ze świeżemi wiśniowemi

— wm. —

usteczkami, że tylko całuj. Wszędzie jej było pełno, tylko nie przy dzieciach. Mówiłem to żonie nieraz, ale ona zatykała mi usta wyrazem: „nudziarz jesteś” a tymczasem panna Aleksandra, która, mówiąc nawiasowo, była faworytką żony, trzpiotała się jak nigdy.

— Wiesz ty, Tadziu—rzekła mi raz małżonka— że pan Władysław i Olesia sympatyzują z sobą; z tego coś być może.

— Spodziewam się, moja duszko, że już nie apteka...

— Fe! jesteś złośliwy, mój Tadziu, choó wiem, że inaczej myślisz. Zrobisz komu dobrze — a udajesz jakbyś tego żałował... to mi pięknie psuó swoją sprawę.

— Ależ moja droga, cóż mię to obchodzi!? Niech sobie sympatyzują czy nie, tylko niech mię nie biorą za pośrednika do pani inspektor owej. Mówię ci, duszko, nie chcę już słyszeć o żadnych romansach... i owszem... i owszem... tylko bezemnie.

Imość pogroziła mi palcem, kiwnęła główką a w oczach zaświeciło takie lekceważenie moich postanowień, że naprawdę obraziłem się nieco. Oho! moi kochani, już mię nie złapiecie, daję słowo honoru, nie dam się wplątać... przecież dla Olesi nie mam żadnego zadosyćczynienia w zaległości, słowo daję, nie mam!

Z tą myślą szedłem do stodoły, gdzie wymłacano resztki pszenicy. Nieszczęście chciało, że deszczyk przepadał nieco, i owce stały w owczarni, a owczarz niepostrzeżenie zaszedł mię z tyłu:

■— Jaśnie panie — zapytał kiedym jeszcze myślał o rozmowie z żoną — jakże będzie z tym przegonem dla owiec? Ugory zaorują, którędyż dojdziemy na pastwisko? Z pozwoleniem jaśnie pana, słyszałem coś, że żyd-

ki z miasta zwieźli tam kupców na Brzozówkę.,, może i kupią, a szkodaby było...

— Niech kupią, do dyabła!—krzyknąłem zawracając do domu, a za mną brzęczało gadanie owczarza: „kupią, a owce trzeba zmarnować; oj szkoda takiego stadka, gdzie się to biedactwo popasie... tu mokradła, tam łąki...

"Wpadłem do ganku kompletnie zirytowany, a na to właśnie wyszedł Władysław z cygarem w ustach i z miną najzupełniejszego szczęśliwca.

— Tadziu kochany — woła sadzając mię na ławeczce i oglądając się na wszystkie strony—wiesz, że ta panna Aleksandra to zachwycająca osóbką.

— Eh! trzpiot, letkiewicz—mówię domyślając się

0 co chodzi.

— Dziwna rzecz jak my się na tym punkcie nie zgadzamy. Wystaw sobie, ja przepadam za trzpiotami

1 dlatego przychodzi mi myśl...

— Mój kochany, na miłość boską, niech ci nie przychodzi — przerywam — panna Aleksandra jest ubogą panienką, a pani inspektorowa innej ci wyszuka żony...

— Ba! jednakże, Tadziu, gdybyś chciał...

— Daj że mi święty pokój, ja niczego nie będę chciał—rzekłem dość opryskliwie. Mnie w głowie przegon dla owiec, tego to chcę a nie mogę.

— Słyszałem coś o tem—mówi z flegmą—i wiesz co, zrobmy układ: ja ci dopomogę do przegonu, a ty...

Zaśmiałem mu się w oczy nie dawszy dokończyć, bo jestem pewny, nie wiedział co to jest przegon i o co mi chodziło; przeto z najczystszych sumieniem mówię:

— Zgoda, Władysławie; będzie przegon, będę pomagał ale bez kosztu... tak sobie zastrzegam, bo daję ci słowo już nie mogę.

— Aaaa! to co innego, a to co innego! Masz wpływ na matkę.

— Toż samo mówiłeś gdy chodziło o pannę Józefę, a skończyło się...

— Z Józią inna historia;—mówi poważnie—byłeś winien, miałeś pewne obowiązki, mój kochany.

— No dobrze, już dobrze: daję ci słowo, będzie przegon, będzie pomoc! Ot, idź do pań, bo widzę panna Aleksandra ogląda się za tobą.

Poszedł a ja wściekałem się ze złości. Jakie obowiązki? jaka wina? czy ten człowiek oszalał!? No, no, czy mię Bóg skarał, żem spotkał tego dyabła na ulicy. Gdyby nie to, miałbym wioskę, owceby z radości podskakiwały na bujnym pastwisku, a teraz beczą z głodu w owczarni. Niezawodnie o 50 kamieni będzie mniej wełny, stare Tomaszysko się zagryzie, a ja nie dostanę medalu na wystawie.

Nareszcie skończyło się wszystko: — pojechali. — Z Panem Bogiem! z Panem Bogiem! Zdawało mi się żem odżył, że pozbywając się chałaśliwych gości, dom przyjdzie do porządku i będę miał spokój. Natychmiast tedy idę w pole, oglądam wiosenne zasiewy—nieźle po- wschodziły. Groch tylko na mokrą rolę zasiany, coś rzadki, ale poprawi się.

Pobiegawszy tak do południa, wesoły jak skowronek, a głodny porządnie, wracam do domu i zastaję "wszystkie moje panie... z nosami na kwintę! Nie dziwiłbym się pannie Aleksandrze, no, bo zapewne coś mu

sieli sobie powiedzieć, ale Anusia nie w swoim humorze... ale moja imość posepna...

Milcząco prawie zjedliśmy obiad, ma się rozumieć bez apetytu; bo między tu apetyt, jak ci dwie nimfy wzdychają, a trzecia ziewa bez ceremonii.

— Tadziku kochany •— mówi mi żona gdyśmy wstali od stołu—będziesz ty miał wolne konie w tym tygodniu?

— Mogę mieć, albo co?

■—• Bo widzisz, Anusia chciałaby wrócić do matki, a ja znów radabym zobaczyć moich rodziców. No, no, nie chmurz się Taziu, zostawiam ci tu dzieci z panną Aleksandrą; w tak wesołym towarzystwie nie poczujesz mej nieobecności. Sam przyznasz, że tak dawno nie byłam u rodziców...

— Zgoda już, skoro potrzeba, jednak proszę cię, nie siedź długo, bo wiesz, że bez ciebie jest mi tak pusto...

— Nie obawiaj się, wrócę za dwa tygodnie.

* *

*

Nazajutrz pojechały, a my z panną Aleksandrą zaczęliśmy grać w mrużka. Dawniej, przyznam się, lubiłem świegotanie tej panienki, — lecz teraz, widząc ją zakochaną i wzdychającą, nie wiem dlaczego straciłem wszelką dla niej sympatyę. Nie miałem, broń Boże, żadnych zamiarów, ale towarzystwo jej wydawało mi się nudnym, rozmowa bez zajęcia. Zacząłem tedy żałować,

iż pozwoliłem na wyjazd żony, tem bardziej, że trzeba było kupie żerdzi na wygrodzenie płotu między zbożami, a brakło mi furmanek do zwózki.

Nudziłem się okropnie przez te dwa tygodnie, dla zabicia czasu czytałem kalendarze, sypiałem trzy razy na dzień, chodziłem z dziećmi w oddalone miejsca dla przechadzki, a swoją drogą dzień włókł się, jakby kto trzy na jeden złożył.

Po wielu oczekiwaniach, pamiętam, w sobotę przed wieczorem, dostrzegam kurzawę kurzu na gościńcu —■ to żona jedzie!

Nie liczę się do czułych mężów, jednak serce zabiło mi żywiej i z całą gotowością pobiegłem otworzyć bramę od dziedzińca.

Patrzę, moja czwórka kasztanów płynie wśród kurzu jak okręt, lejcowa białonóżka tak pysznie bierze przednimi nogami, a różowy kapelusik wychyla się to z jednej to z drugiej strony drzwiczek.

Nareszcie z całą paradą wtacza się powóz przed ganek i ja moją pieszczotkę wynoszę na rękach.

— Macieju!—odzywam się do stangreta—tylko mi nie wyprzęgać zaraz koni... są zgrzane... A to kto znowu?—pytam obaczywszy wjeżdżającą bryczkę.

— To, Tadiusiu, pan Władysław z Warszawy!

— A czy go tu dyabli niosą! — pomyślałem straciwszy całą przyjemność, jaką sobie z powrotu obiecywałem. Masz tobie, zacznij się znów służba dla pani inspektor owej.

Będąc tak usposobionym, przywitałem dość zimno kochanego koleżkę. Na jego miejscu, kazałbym zawrócić i pojechać dalej, ale świat warszawski inaczej to poj-

rouje. Nietylko że nie zważał na to, ale się rozgospo- darował jak u siebie.

Żona też była w wybornym humorze, zdawało się, że mię zadusi w uściskach, choć nie mogę się zaprzecć, żebym tego nie kładł na karb czego innego. Głupstwo to jest podejrzывать, jednak bywa tak czasami... nie chcę być obłudnikiem... zawsze jesteście ludzie...

— No, panie Tadeuszu — odzywa się z powagą Władysław podając mi złożony arkusz papieru — masz twój przegon.

Wytrzeszczyłem oczy na niego i pytam.

— Co, co?

— No, przegon dla owiec; czytaj, a potem na ciebie kolej.

Rozwijam... rzeczywiście umowa prywatna kupna i sprzedaży sąsiedniej wioski, która mi klinem w moją posiadłość wchodziła; umowa zawarta przez ojca mojej żony na imię i rzecz mojej małżonki. — Stary szacunek wypłacił, żądając tylko procentu pięć od sta do śmierci.

Nie było co wątpić; imość moja zmówiła się z Władysławem i widocznie po to jeździła do rodziców, aby mi sprawić taką niespodziankę.

— Czemużście mię przynajmniej o tem wcześniej nie zawiadomili, cóż ja zrobię z tylu kopami łat...

— Niewdzięczny jesteś, mój ty drogi nudziarzu! — powiedziała nieco obrażona małżonka, lecz to było powodem, że musiałem uroczyście dziękować i na tem się zakończyło.

Owczarza ktoś już przedemną uwiadomił o kupnie, bo jeszcze z pola zawrócił gromadę na nowe pastwisko.

— Teraz na ciebie kolej, Tadeuszu — odzywa się po obiedzie Władek — kiedy sami między sobą odbyli naradę.

— Mógłbym oponować o ten wygon, że to nie ty...

— Hola, panie, hola! — a kto ci doręczył kontrakt?

— No, no, nie argumentuj! Już zgoda, mów co chcesz, dysponuj.

— Najprzód, za trzy dni będziesz tu świadkiem na moim ślubie...

— Tam do kata, tak nagle, ale mogę być. — A matka?

— Otóż właśnie o tę matkę chodzi, i czego od ciebie wymagam, t Musisz z nami pojechać do Warsza- wy; i tę rzecz tak przeprowadzić, wiesz... aby matka... już to twoja w tem głowa, radź sobie jak chcesz...

— Nie tak, nie tak, mości Władysławie— mówię powoli. — Ze ślubu nic nie będzie, dopóki nie będzie pozwolenia matki. Tak, tak, o tyle znam panią inspekto- rowę, iż wiem, żeby wam tego nigdy nie darowała, a głównie to, żeby nie była na ślubie.

Spojrzałem na nich... O, źle, stracili miny....

— Fe! —pomyślałem sobie — pannie jakoś pilno, nawet pilniej jak jemu, bo łezki stanęły w oczach. To nie ładnie; przecież i ja się żeniłem, a moja pieśczocho nie martwiła się odłożeniem terminu wesela... pamiętam, odkładali coś dwa razy. Ha, teraz widać już inni ludzie.

Władysław widocznie nie śmiał się odezwać, że się zgadza—przyznam, nie wypadło mu z tem wystąpić; spoglądał więc na pannę, ona na moją żonę, a żona znów na mnie, myśląc, że się dam przekonać. Ale pozostałem niewzruszony i to sobie za chlubę poczytuję...

— Więc, państwo kochani, jedziemy jutro wszyscy.

— Jako i ja? — spytała robiąc wielkie oczy O lesia.

— I pani —odrzekłem lubując się tem naiwnem przerażeniem, bo psotnicy ładnie było z temi zastra- szonemi oczami.

— Mój Tadziu—przerywa żona—możeby...

— Nie, nie, jedziemy, rzecz skończona, a mnie zostawcie cały kłopot. Mam w Bogu nadzieję, że się to dobrze zakończy. Niech tylko panienka zrobi przed mamą taką ładną minkę jak teraz; a rękę za powodzenie.

Ułożyłem sobie mały planik zemsty i ten wykonam.

Ho, ho, panie Władysławie, tyś mnie wyprowadził w pole z małżeństwem panny Józefy, niech ja ci się wywdzięczę.

* * *

W trzy dni potem siedzimy w saloniku pani inspe- ktorowej. Szanowna matrona dowiedziawszy się, że je-

stem z żoną, uznała koniecznym zmienić swoje ubranie codzienne.

Władek pozostał w przedpokoju, bo tak rozdysponowałem, a moja Olesia widzę, mieni się co chwila i kręci na krześle, jakby oczekiwała wyroku śmiefci.

— Proszę tylko — mówię ciszej — nic mi nie zaprzeczać; co ja powiem, tak być musi i tak było...

Pani inspektorowa wyświeżona wchodzi, zapomniawszy o wszelkiej powadze — i rzuca mi się na szyję, mówiąc:

— Jesteś nasz dobroczyńco, Tadiusiu!

>— Moja żona .. a to przyjaciółka mojej żony — odpowiadam, przedstawiając obie kobiety.

— Dalibóg, śliczny miałeś gust, Tadeuszu!—woła, ściskając z macierzyńską życzliwością moją żonę, a że to była kobieta kiedyś światowa, a mojej żony nikt nie przegada, więc prędko zawiązuje się między nimi poufała i ożywiona rozmowa.

A Władek czeka w przedpokoju—ja nic. Wchodzi i panna Józefa, podają czekoladę — ja nic. Nareszcie po godzinie może przysuwam się do pani inspekto- rowej i pytana:

— Jakże się podobała pani panna Aleksandra?

— Śliczne dziecko, jak z obrazka.

— A jaka wykształcona!

— Spodziewam się.

— A jaka dobra... posłuszna., uprzedzająca!

— Coś, swawolniku — mówi inspektorowa, grożąc ^i palcem — zanadto się unosisz nad wdziękami przyjaciółki swej żony, muszę ją ostrzedz...

— "Wie pani... a jednak panna Józefa znajduje ją podobną zupełnie do synowej pani, pani Leonowej...

— Tylko, proszę cię, nie wspominaj mi o tem; mówię ci, jak niebo do ziemi! Dziwię się, zkąd Józi przyszło takie porównanie... Mój Boże! — i westchnęła sobie przy tych wyrazach — gdyby ona miała być do niej podobną, czegóżbym sobie więcej życzyć mogła! Z powierzchowności, z wejrzenia, z odezwania się, zaraz można poznać co kto wart.

Krząknąłem po dwakroć: to był znak, aby wszedł Władysław.

— Skoro tak — mówię, prowadząc go za rękę, a z nim i pannę Aleksandrę — ma pani inspektorowa synową podług życzenia... Na kolana, panie Władysławie, na kolana, prosić matkę o przebaczenie i błogosławieństwo.

•— Jakto? — zawołała, czerwieniąc się inspekto" rowa — to jego żona?

— Tak, pani, to jej synowa — odpowiadam z całą powagą.

I dokazałem swego! Olesia zrobiła jeszcze piękniejsze oczy niż poprzednio na wsi, a kochany Władysław taką miał pocieszno-głupio-zadziwioną minę, że gdyby nie rola poważnego swata, miałem szczerą ochotę parsknąć mu w oczy najserdeczniejszym śmiechem.

■— Ożenił się bez mojej wiedzy?

■— Ależ, pani inspektor owo, tu nie o to idzie teraz! Młodzi klęczą, a dalibóg śliczna i dobrana para; niechże ich pani inspektorowa pocieszy...

Ale nie tak łatwo dała się starowina uprosić. Chodziliśmy za nią, brali za rękę — odsuwała się, wyry

wała, aż wreszcie po długich korowodach dała się ubłagać.

— Kiedy się stało, to niech się stanie! — wyrzekła po chwili namysłu, całując ich głowy. — Błogosławię was, moje dzieci, z całego serca! Panu Tedeuszowi ufam, i jeżeli się zgadzam, to tylko na jego prośbę. Wstawajcie dzieci. Bogu niech będą dzięki, że mi przybyło jedno więcej...

Wstali, oglądając się na mnie, a ja na to:

— Teraz, pani inspektorowo, proszę się sposobić do wyjazdu z nami na wesele.

— Cóż to znowu za żarty, Tadeuszu!?

— Nie są żarty, ale szczerą prawdą, i ja znów na kolanach proszę o przebaczenie za tę mistyfikację. Jest to narzeczona dopiero, a jak obecnie już pobłogosławiona. Pozwoliłem sobie żartu względem nich. To była moja mała zemsta. Władysław wie za co! Myślę sobie: przedstawię odrazu fakt spełniony; będzie trochę gniewu, będzie trochę żalu, ale koniec końców trzeba się zgodzić. I dobrze obliczyłem, nieprawda?

No, co tam było uciechy, o tem nie potrzebuję wspominać. Kobiety z radości całowały się ze dwie godziny i tym razem szczerze, jestem przekonany.

Wesele jedno i drugie odbyło się razem; aptekarz sprowadził mamę i żonę do miasteczka; pani inspektorowa gospodaruje zawzięcie, a ja, co prawda, odbieram moją należność regularnie. Jednak nie powiem, żebym nie miał do nich jakiegoś maleńkiego żalu.

Drobna to rzecz napozór, jednak nieprzyjemna; po Nowym roku byłem w sąsiedztwie i widziałem koleń-

dę z apteki, którą pan Srednicki swoim kupującym lekarstwa rozsyła. Dostałem i ja słoiczek z trociczka- mi, ale... wstyd mi się przyznać... sąsiadowi przysłał większy. Nie chodzi mi o te kilka trociczek, bo tych nawet nie używam, jednak zdaje mi się, zasłużyłem na pierwszeństwo!

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

#03B0ieH0 EeHsypoH).

Bapmasa, 27 Ima 1886 rosa.

Druk Emila Sławskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Kiedy po skończeniu gimnazjum powróciłem na wieś do domu, matka powiedziała do ojca: „Niech sobie chłopczyna trochę odpocznie, a potem pomyślimy, co z nim zrobić.” Ja też odpoczywałem, sposobiąc się do przyszłego zawodu obywatelskiego, nie wątpiłem bowiem, że ojciec, podobnie jak ojciec Józia Sulanickiego, weźmie mi jaką. dzierżawę w sąsiedztwie i zacznę gospodarować na sobie. Marzeniem mojem była podówczas para dzielnych kawalerskich koników, niekoniecznie rasowych, ale rączych; uprząż krakowska z niebieskimi płachtami, i żółta na wysokich kołach amerykanka, na której z furmanem siedzi się plecami do siebie. Taką amerykankę sprowadził sobie Józio Sulanicki z plockiego, a stelmach z miasteczka, który u nas zawsze wozy reperował, powiedział, że on jak nic taką samą wry- chtuje, aby tylko miał suchą jesioninę.

Wynagradzając moją pilność w naukach, kochana matka ze swoich własnych oszczędności kupiła mi w prezencie siodło za dwadzieścia pięć rubli, siodło jak cacko, że aż żal było kłaść je na konia. Ojciec miał mi darować dubeltówkę, o czem pod sekretem powiedziała mi Kasia, a wuj Stanisław, sławny myśliwy, przysłał mi parę szczeniaków gończych, które własną ręką karmiłem. Chodziły też jak kluski za mną, a choć ściągały

A. Wilczyński—Tom XVII. 1

bieliznę z płotów i służącej Magdusi podarły coś z ubrania, to jednak cieszyłem się niemi, bo to z dobrego miotu i każdy z nich pojedynczo lepiej goni, niż innych cała sfera.

Wprawdzie ku jesieni wspominał czasami ojciec

O uniwersytecie lub szkole rolniczej, ciotka Filomena chciała, abym odbywał praktykę u adwokata, ale były to sobie gadaniny starych, którzyby chcieli koniecznie robie z nas uczonych. Ja czułem, że mam dosyć już tej nauki jak na gospodarza, i aby tylko dostać dobrego karbowego, jak naprzykład jest nim stary nasz Mikołaj, to dam sobie jakoś radę i na kawałek chleba zapracuję.

Otóż w ten sposób odpoczywając, zeszła jesień

I zima, a że w tym roku było dosyć zwierz, i ja nabyłem dostatecznej wprawy w strzelaniu—zabiłem już trzy lisy, których wyprawione skórki wisiały w moim pokoju jako początek na przyszlą lisiurkę. Bawiono się też ochoczo w okolicy, były dwa krakowskie wesela i kilka większych zebrań, więc karnawał zszedł dość prędko. Na jednym z kuligów byłem za pana młodego, i muszę sobie przyznać, że dziarsko wyglądałem w krakowskim ubraniu, a nawet zrobiłem furorę, odśpiewawszy swojego pomysłu krakowiaka, gdzie stało, że dziewczyny podobne do leszczyny.

Na wiosnę, już matka konferowała pokryjomu z pachciarzem Jankiem, czyby się nie udało wziąć Biskupic w dzierżawę dla mnie, już stara Piechocińska groziła mi palcem, że Zosi Posterkowskiej głowę zawracam—gdy zaszła pewna okoliczność w domu, która inaczej moją przyszłością pokierowała, a o której czytelnikom opowiem.

I.

Pan Waclaw starał się o siostrę moją Kasię. Przepraszam romansowych czytelników za tak pospolite imię . bohaterki, ale w tem wina naszego ojca, któremu z dziwnego jakiegoś nabeżeństwa przyszło do głowy, nadawać dzieciom takie imiona, jakie sobie przyniosą. Tą drogą ojcowskiego uporu mnie się dostał Grzegorz, pomimo zapewniań matki, że chrzciny te odchoruje. Jak tam z matką było, tego nie wiem, lecz co do nas dzieci, to do dziś dnia czujemy skryty żal do ojca, dlaczego, nas tak lekkomyślnie tym Grzesiem i Kasią spospoli-tował.

Wracając do pana Waclawa, powiem prawdę, że te konkury jego do Kasi nie były żadnym urzędowym faktem stwierdzone. Ale że ciotka Filomena, szafarka Piechocińska, a nawet matka sama, jak wiadomo osoby w sprawach sercowych kompetentne, utrzymywały, że się najwyraźniej ma do Kasi—zatem musiał się mieć naprawdę.

W rzeczy samej wszelkie symptomata w takich razach praktykowane składały się jakoś na potwierdze

nie tej opinii. Na każde święta przyjeżdżał do nas regularnie z Warszawy, a w tym roku był nawet na imieninach mamy. Przyjeżdżając, zawsze coś przywoził w prezencie dla Kasi, to książki elegancko oprawne, z czułymi poezjami, to nuty, to pudełka z pachnidłami, to jakiegoś szczególnego pieska, to wreszcie wazoniki pysznych kwiatów, które, przez całą drogę musiał trzymać w ręku—czego oczywiście nie robiłby, nie mając żadnej do Kasi inklinacji. Młodsze rodzeństwo nasze, a naturalnie i ja pośrednio, zawsze przejadaliśmy się słodyczami, których widocznie dla konwenansu dostarczał im pan Waclaw. Mimo dziewiętnastu lat moich i niezłych wąsików wschodzących mi pod nosem, pasya- mi lubiłem te wszystkie lgnące do zębów pomadki. A że dla dzieci takie rzeczy nie idą na zdrowie, zatem z najczystszy sumieniem dobierałem się do owych pudełek i jak się dało, czy sposobem handlu zamiennego na jakie obrazki, czy przez grę jaką, wyłudzałem większą część takich łakoci.

Z Kasią, o ile ich śledziłem, a przyznam się śledziłem z zamiłowaniem, pan Waclaw podobno że o sentymentach swoich nic nie mówił, chociaż nieustannie zawracał na nią oczami tak, że nawet matka śmiała się często, nazywając go słonecznikiem. Bywało wybieramy się na przechadzkę; już mój Waclaw jest obok Kasi, a jak się zagadają z sobą, to pędzą, pędzą tak prędko przed nami, że ciotka Filomena zawsze musi wołać: „A czegoż tak leccie?...” Trzeba siadać do stołu; on zawsze tak manewruje, że znowu jest przy niej, i przysuwa jej talerze, szasta się z karafką, podnosi serwetę, i tylko, jak słusznie uważała Piechocińska, unika podawania soli, bo ta miłości nie służy. Za to, kiedy się inni zagadają o czym, to on niechętny niby układa jej z galek różne szyfrowane frazesy, i prosi, aby odczytała. Czy Kasia rozumiała się na nich czy nie—tego już nie wiem; jednak musiała się czegoś domyślać, bo ile razy wsadziłem ciekawą głowę między nich, czerwieniła się zaraz jak wiśnia i ręką mach, mach — mieszała wszystko.

Kasia, jak wiele osób utrzymuje, ma być bardzo ładną dziewczyną. Co do mnie, to powiem prawdę, że znam daleko ładniejsze; ale że wszystkie siostry mają zawsze pretensje do braci, jakoby na ich pięknościach poznać się nie umieli, więc ja, pomijając kwestię urody, przyznaję Kasi niezmierną dobroć serca, znakomite wykształcenie i wiele innych drogocennych przymiotów. Ale z tem wszystkim jest trochę małomówna, więcej nieśmiała czy też skryta i na pozór tak obojętna, że słusznie mama nazywa ją Galateą, od której sam nawet Pigmalion, niczego by się nie dowiedział. Nieraz tylko sami jesteśmy swoi, bo przecież pana Waclawa, który ją zna od dziecka, za obcego uważać nie można, a ona potrafi wam siedzieć zachmurzona całą godzinę i słowa się nie odezwać. Utopi gdzieś w jedno miejsce swoje niebieskie oczy, i myśli, myśli, że strzelaj z armat nad nią, a nic nie usłyszy... Dziękuję unizenie za taką osóbkę!

Matka nasza, ospba nadzwyczaj żywego temperamentu, i taka co to nie lubi nic obwijać w bawełnę, nieraz oburzona jest takim usposobieniem Kasi. Patrę, nalewa herbatę z samowaru, i tylko rusza ramionami^ widząc, że ta Kasia, mimo największych wysilen jakiegob • młodziana, częstuje go urywanami tak lub nie. .⁴

— Słuchaj no, Grzesiu—szeptem do mnie—ną mi

łość Bożką, idź też do niej i pociągnij za suknię, bo zdaje mi się, usnęła...

Ja idę, mieszam się jak umiem do rozmowy, ale to jeszcze gorzej wypada. Biedna dziewczyna zmiarkowawszy, że jestem wysłany od matki, jąka się, traci przytomność, na płacz jej się zbiera i tak fatalnie się czerwieni, że wygląda jak płonąca pochodnia.

— Boże drogi — mówi matka po wyjeździe gości załamując ręce—co to będzie z tą Kasią? Dwadzieścia lat skończyła i zawsze ten sam marmur, nic tylko marmur.

— Daj że jej pokój!—odzywa się na to ojciec, powstając z krzesła—już taką jest... trudno.

— Ależ mój drogi Janie, taką być nie może! Cóż sobie ludzie pomyślą i o niej i o jej matce, że tak ją wychowała. Komuż ona może się podobać, któż to weźmie? No, chyba Pan Bóg skarał mnie za jakieś niewiadome grzechy! Proszę, błagam, perswaduję—nic. Darowałabym jeszcze, żeby była jaką pięknoscią, a my dać mogli posag krociowy. Ale to czerwone jak piwonia, bez najmniejszego życia, bez wdzięku... Dalibóg chyba ona nie jest kobietą!... I to imię Ka-ta-rzy-na...

— Moja droga mamó— odzywa się z kąta przygnębiona siostra—niech mameczka się nie gniewa. Doprawdy jabym chciała być inną, ale nie mogę. Już nieraz perswaduję sobie i postanawiam rozmawiać z panami, już nawet ułożę sobie frazesy, a jak przyjdzie odezwać się, to naraz coś mię tu ściśnie w gardle...

— Rozumiem ja to, rozumiem'—wtrąca z gorzkim uśmiechem ojciec—i mnie tak samo...

— A cóżeście wy za ludzie, z kamienia czy co?— mówi już reflektując się matka.—Co to jest: nie mogę?

Kto chce, to wszystko może; to tylko upór rodziny Dołęgowskich i nic więcej. Raz się odważyć i złamać lody nieśmiałości. Wierz mi Kasiu—dodaje, obejmując ręką szyję płaczącej dziewczyny—że jeżeli się gniewam, to dlatego moje dziecko, że cię Kocham i chciałabym, abyś się najlepiej wydała. Zobacz jak są inne panienki, Marynia Wituszyńska, albo Jadwinia, albo Cesia?... Śmieją się, żartują, trzpiotują jak młode... czasem i niedorzecznie co powiedzą, ale już to wolę niż to posagowe siedzenie. Naprzykład z tym panem Waławem? Znasz go od tylu lat i wiem, że ci się podoba, a tak z nim postępujesz jakbyś, go chciała naumyślnie odstręczać. Drugi rok tutaj jeździ, widzę próbuje, tak i owak, że nieraz aż mi żal tego człowieka, a ty zawsze dla niego taka sama sztywna obojętna... Powiedz mi, co to będzie?

— On o mnie nie myśli — rzecze zakłopotana Kasia.

— Jakże ma myśleć, jeżeli ty mu nie dasz niczem poznać, że jesteś mu życzliwą?

— To też najlepiej — rzecze na to ojciec —zostawić tę rzecz czasowi... Co komu przeznaczono...

— Mój drogi tylko nie bądź takim filozofem!— ■odpowiada z irytacją matka.—Tak, najlepiej, potakuj jej... Ocho, całujcie się, pocieszajcie—dodaje, widząc jak Kasia tuli się pod ramię ojca, a ten głaszcze ją po twarzy. — Wart Pac pałaca, i pałac Paca! Co ja perswazyją moją coś na niej wydobędę i ona zaczyna być inną, to pan mąż powiada: „nie słuchaj, dobrze robisz, bądź taką... przeznaczenie." Dobrze, dobrze, postępujcie tak, a zobaczymy dokąd zajdziecie!

—■ Mameczko droga!

— Anielciu, serce moje! — mówią naraz ojciec i córka, gdy zagniewana matka, trzasnąwszy drzwiami, biegnie do pokoju ciotki, aby przed nią wylać wszelką gorycz serca.

Jakkolwiek nie wypada mi jako synowi, robió tu uwagi nad postępowaniem ojca, to jednak przyznać muszę, że Kasia zupełnie wdała się w niego tak pod względem powierzchowności jako też i charakteru. Jest wysokiego wzrostu, cery delikatnej, blondynka z niebieskimi, myślącemi oczyma. Tak samo jak ojciec czoło ma nieco wypukłe i nos troszkę na środku zgarbiony; tak samo trzyma się pochyło i chodzi niedbale, jakby się ugiwała pod własnym ciężarem. Co do nieśmiałości, to zdaje mi się, że i ojciec, choć już pięćdziesiąt cztery lat liczy, a brodę i wąsy ma nawpół siwe, tak samo jeszcze rumieni się, gdy go ktoś w drażliwej sprawie zaczepi. Jest nadzwyczajnie ambitnym choć skromnym. długo znosi różne przykrości i najczęściej wybucha wtedy, kiedy nie było o co się gniewać; ztąd matka miała go za pasjonata, a ludzie bali go się jak ognia. Nieraz kiedy już zupełna talerze rozlano, a ojciec mimo trzechkrotnego zaproszenia nie spieszy, powtarzając swoje „dobrze, dobrze”—matka i ciotka ruszają tylko ramionami i spoglądają na siebie znacząco.

•— Widzisz—mówi ciotka Filomena—gdzie jemu na gospodarza! Chybił swego przeznaczenia, powinien być profesorem albo uczonym.

Nie mogłem zrozumieć, jaki związek ma spóźnienie się na obiad z profesurą, chyba taki, że zwykle wtedy czytał gazetę albo jaką książkę i chciał doczytać się ustępu. A że był małomówny, wiecznie zamyślony:

i czasami roztargniony, to przecież wszystkie te wady nie dają kwalifikacyi na uczonego.

Z tytułu tego roztargnienia ojca, bywały nieraz, bardzo pocieszne sceny, z których on sam śmiał się najpierwszy. Zdarzy się, że jest w dobrym humorze, więc wpadłszy jak bomba do pokoju, chwyta za szyję starą Piechocińską. Babina się wydziera, krzyczy, ojciec nie pyta nic, tylko całuje w przekonaniu, że to jest matka.

— A bodajże cię! — mówi, zmiarkowawszy się, z kim ma do czy niema.

— Ślicznie! — woła ciotka, siedząca przy stoliku* gdzie układa cały dzień pasyans napoleoński, zwany krzyżem legii honorowej.

— Święty Antoni Padecki, co też pan wyrabia!— dodaje zagniewana Piechocińska, odchodząc ■ w kąt pokoju i poprawiając nadwierzoną koafiurę...

A ojciec tylko trze włosy z tyłu głowy, jak to ma zwyczaj, i przeprosza matkę, która w podobnych razach udaje zadąsaną.

— No Anielciu, nie gniewaj się, wziąłem ją za ciebie.

— Dziękuję uniżenie. Widać masz mię już za taką babę starą jak Piechocińska... Ale prawda... dla ciebie to wszystko jedno... stara czy młoda...

— Poczekajże moja Anielciu, ja się już poprawię — mówi ojciec, uśmiechając się złośliwie — i jak się już pomyłę, to na młodszej...

Raz znowu, kiedyśmy byli u proboszcza przed nabożeństwem, panią prezesowę ubrał w salopę futrem na wierzch, z czego o mało że nie wynikła gruba awantura. Pani ta, zagadawszy się z drugą damą, szła przez całą ulicę w ten sposób ubrana, a trzeba państwu wiedzieć.,

że salopa miała inne futro na plecach, a inne na przodzie, z czego potem cała okolica się śmiała, posadzając ojca, że to naumyślnie zrobił.

Najgorsza sprawa była, gdy podczas jakiej uroczystości sąsiadkiój znajdował się sam w liczniejszym towarzystwie.

— Mój Jasiu — przekłada mu matka przy wsiadaniu do powozu—tylko też pamiętaj o sobie i nie zrób jakiej niedorzeczności.

— Cóż znowu?

— Ja cię znam; jak mnie nie ma, to gotów jesteś łyżkę zanieść do ucha, albo lać wodę z karafki po za szklankę... Będą się śmiać z ciebie... A proszę cię, uważaj, też, co tam będzie podane na obiad i jak będą panie ubrane... Mój drogi, tylko nie zapomnij, bo wiesz ja jestem tak ciekawa...

— Ooo, bądź spokojna! Umyślnie włożyłem sobie ołówek i kawałek papieru do kamizelki, więc dla pewności wszystkie szczegóły ci wynotuję..* Będziesz miała taką relację, jakbyś tam sama była.

■— A nie pij wiele, masz słabą głowę... Patrzaj, jakżeś ty krawatę zapiął, cała^ poszła do góry ponad kołnierzyk.

— Co to szkodzi...

— Tobie nic nie szkodzi, ale zaraz powiedzą, jakaż to żona, że mogła go tak puścić z domu...

Gdy ojciec wracał, choćby to była najpóźniejsza godzina, obie kobiety, to jest matka i ciocia, obsiadły go zaraz, obsypując tysięcznymi pytaniami.

— Kaźmierzowa była?

— Poczekajcież, niech się rozbiore... Grzesiu, na- łożno mi fajkę.

A trzeba wiedzieć państwu, że ta Kaźmierzowa jedna z najbliższych sąsiadek naszych, z powodu nieprzepartej skłonności do strojenia się i nadawania pańskiego tonu w całej okolicy, jest kolką w boku pań naszych. W rzeczy samej nieznośną była ta dama w ka- żdem towarzystwie, krzywiąc na wszystko nosem wszystko krytykując, choć sama ubierała się potwornie, niby podług najświeższej mody paryzkiej.

— Była, była i jak wystrojona — mówi ojciec, siadając na swoim krześle przy biurku a jednocześnie spoglądając z żalem na zwój gazet, które podczas nieobecności jego z poczty przyniesiono...

— Tylko proszę cię, daj pokój tej bibule — odzywa się ciotka, przewidując zamach ojca na gazety, ku którym już rękę wyciągał...

— Moja Filusiu — tylko telegramy przejrzę...

◆— O, nic z tego nie będzie! Gazety chowam i nie dam, dopóki nam wszystkiego ze szczegółami nie opowiesz...

— Jakże była ubrana? — rzecze matka, sadowiąc się z krzesłem przy biurku.

— Ślicznie, przepysznie!... dalibóg że wspaniale!

— Ech, bo ty się znasz... Ale dajmy na to, że tak, więc jakaż miała suknię?

— Tak uważasz — mówi ojciec, spoglądając miłosiernie na owe gazety miętoszone w rękę ciotki — jakąś ciemną w pasy czy też w kwiaty. Zdaje mi się, że tabaczkowa, albo niebieska... Ale to z różnemi festonami, draperyami i z przodu i z tyłu, tu i tam — dodaje pokazując ręką na sobie. A na wierzchu miała orzechową bundę. (U ojca wszelkie okrycie czy u mężczyzn, czy u kobiet zawsze nazywało się bundą).

— Czy suknia była jedwabna?

— Dalibóg nie próbowałem. Kto wie, może i jedwabna albo tyftykowa...

—• Zlituj się, kto dziś nosi tyftyki? Widocznie przypominają, ci czasy twego dzieciństwa.

— A trzewiki — mówi ojciec, aby coś nowego zakomunikować—to miała w takie paski, paski, przez które wyglądała biała pończocha... Na głowie znowu srebrną strzałę z naszpilkowanym listem z pieczętką..* Widzisz, jak ja to wszystko pamiętam.

— Prawda — rzecze z wątpliwym uśmiechem matka — a Justynka?

— Justynka? Hm, ta bardzo ładnie, ale już nie tak.

— Cóż to, nie tak?

— Nie potrafię ja ci tego dokładnie opisać, tyłka wiem, że nie trzymało się gromady...

Kawałek białego i wzdłuż i wpoprzek, a wszystko tak jakoś odstawało bufiasto... Ha poczekajże, przypominam sobie, miała na. szyi w tyle taki rozpuszczony wachlarz...

— Jasiu, co też ty pleciesz? Jaki wachlarz?

Jak ciebie kocham, formalny wachlarz czy

grzebień, tak jak ma indyk z piór. Ale to było z tej samej materyi co suknia, obszyte szlarkami różnemi* wstawkami.

Tu już obie panie nie mogły wytrzymać, aby nie parsknąć śmiechem, czem obrażony ojciec zerwał się z krzesła.

— No jak Boga kocham — mówi dobitnie — od- stawał jej taki grzebień za plecami, a cały stanik trzymał się jej tak słabo na ramionach, że gdyby ją dobrze kto podniósł do góry i potrząsł, to wszystkoby opadło.

Kobiety śmiały się jeszcze lepiej, a ciotka musiała nawet zdjąć okulary z nosa, aby chustką oczy obe- trzyć.

— Poznają Justynkę — odzywa się po chwili matka — doskonale jej suknię zdefiniowałeś Janie, bo ona zawsze goni za oryginalnością... Pamiętasz Filuniu ten jej kapelusz z złotego aksamitu, kształtem czapki ułań- skićj?

— Może być — odpowiada ciotka — ale też i Jan jak ci opisze, to nie wiele się dowiesz.

— Przepraszam, bo na teraz dobrze uważałem... Naprzykład głowę miała związaną niebieskim sznurem z kwastami...

— No, no... przestań Janie... Już ty nie jesteś zdatny na reportera ani strojów, ani wdzięków kobiecych. Dla ciebie piękna kobieta, a sosna w lesie, wszystko jedno.

— Daruj moja pani — rzecze ojciec z filuterną miną — bo była tam jedna baronowa czy margrabina wcale ładna. Wysoka, okazała...

— Ho, ho, to pewnie już objętości tego stołu dodaje złośliwie matka, która jest szczupłą i małego wzrostu. Ja znam twój gust Jasiu. Widzisz Filuniu, u mojego męża jak się wdzięki kobiece nie dadzą zważyć na centnary lub zmierzyć na sąźnie — to dla niego taka nie jest kobietą.

— Ależ moja Anieleiu, trzeba być trochę cierpliwą i wysłuchać. Śliczna twarz, ciemna, okrągła...

— Zapewne z trzema podbródkami, rozmiaru księżycy w pełni...

— Oczy duże, piwne, głębokie — prowadzi swoje ojciec.

— No, no, no, już znamy twój gust. Ale jakże się nazywa?

— Coś Klagen, Plagen... tak krótko z niemiecka...

— Wiem, wiem! — odzywa się ciotka zanosząc od śmiechu... — Bodajże cię Jasiu z twoją pięknnością... Wiesz Anielciu, to Bombergowa ze Stawisk. Pamiętasz u Stanisławowstwa na imieninach, ta wymalowana z muszką na twarzy...

— To, to, to, miała muszkę. Ale czegoż wy się śmiejecie? Śliczna kobieta dalibóg; postawa, ruchy, prezencja, majestatyczne...

— Przestań już, przestań.

— Oto widzicie, już wszystko powiedziałem, a teraz dajcie mi gazetę... ciekawym, czy wełna idzie w górę.

— Nie o wełnę tobie idzie ale o politykę — mówi matka, trzymając wciąż pod pachą dzienniki. — Nie bój się, nic ci nie ucieknie, a tymczasem powiedz nam, co było na obiad?

— Ooo, co do obiadu, to doskonale wiem wszystko... Notowałem sobie każdą potrawę... Mój Grzesiu, wyjmij no tam karteczkę z kamizelki.

Zabrałem się do rewizji owej kamizelki, a panie tymczasem prowadziły badanie o śniadaniu.

— Nie było śniadania — odpowiada ojciec.

— Jakżeby nie było? Musieli przecie podawać wódkę, coś na przekąskę...

— A, wódka była i kozetki...

— Cóż to za kozetki?

— No, takie różne różności na bułce. Wiesz, trochę śledzia, trochę kawioru, sera, jaj, zieleninki...

— To przecież nazywa się kanapki...

■ — Masz rację, omyliłem się, pamiętając, że to~ coś od mebli... Ale dajże mi raz tę konotatkę — mówi do mnie. I przysunąwszy sobie świecę, zaczyna czytać z powagą: — Naprzód był barszcz...

— Jasiu, co ty mówisz? Barszcz na proszonym obiedzie?

— Tak jest barszcz ciemny, nie kwaśny, z zielonym groszkiem z włoszczyzną i gwiazdeczkami z ciasta*.

— Ależ to zupa Julien.

— Niech będzie i zupa, chociaż z koloru bardzo* podobna do barszczu.

— Cóż więcej?

— Potem siekanina jakaś z wierzchu przypiekana w takich skorupkach z muszli... jak to się nazywa?

— No paszteciki.

— A wiesz Anielciu — wtrąca na to ciotka, smakując ustami — że warto, abyś kazała kiedy zrobić paszteciki... Tak z cytrynką... uważasz ja to bardzo lubię.

— Dobrze moja Filciu każe... Ale Jasiu co więcej?

— Dalój już same mięsa.

— Więc jakież?

— O już takich szczegółów nie wiem. Było tego- coś trzy czy cztery pełne półmiski; czarne, białe z sosami i bez sosów, pieczone i różne... A na końcu trzęsąca się jak małe niemowlę legumina tabaczkowego koloru...

— Ech—odzywa się matka wstając z gniewem.— Dalibóg z tobą nie ma żadnej rozmowy! Wstydź się, żebyś ty nic nie uważał, na niczem się nie znał! Gdyby ktoś obcy słuchał takich opowiadań, myślałby, że my-

w domu żyjemy tylko barszczem i kartoflami... Żeby też dotąd nie nauczyć się rozróżniania potraw...

Zarzut ten niestety był prawdziwym; ojciec rzeczywiście najmniejszej uwagi nie zwracał najedzenie. Siedząc przy stole rozprawiał zawsze z całym przekonaniem i znajomością o kwestiach społecznych, o wynalazkach nowych i postępkach w dziedzinie nauk przyrodniczych. Z bieżącą polityką znał się lepiej niż który bądź minister lub dziennikarz; wszelkie teorie filozoficzne nie były mu obce, a że miał łatwą wymowę i głos dźwięczny, więc na wszystkich ze bramach sąsiednich słuchano go z zajęciem, często z zachwytem, a najczęściej z zawiścią nazywając niepraktycznym filozofem.

W domu ciotka Filomena występowała także przeciw tój niepraktyczności ojca, że jest astronomem z bajki, który zapatrzywszy się w gwiazdy wpadł do studni. Ale bo też i ta ciotka kochana jest również hic mulier kobieta, istny typ w swoim rodzaju. Najprzód brzydka jak półtora nieszczęścia, mała, pękata, wiecznie zasapana ze zmęczenia. Idzie przez pokój, to wszystkie szklanki brzęczą na stołach, a podłoga tak drży pod nią jakby pod karetą. Musi mieć lat przeszło siedemdziesiąt, choć wypiera Się tego. Nosi perukę z czarnych jak kruk włosów, brwi sobie*farbuje, a podejrzy wam, że twarz pociąga trochę różem. Nos długi a cienki zawieszisto spuszcza jej się ku brodzie, Obok zaś niego błyszczy dwoje czarnych oczów w oprawie okrągłej, co jej nadaje wiele podobieństwa do starej drzemiącej sowy.

Być może, iż dla kogo innego Ciotka nie wydałaby się tak straszną jak dla mnie, ale bo też od najmłodszych lat moich miałem szczególniejszą antypatyę dó tej starej sekutnicy. Kiedy ją ś. p. Augustyn Kopaczewski,

znany adwokat, odumarł, sprowadziła się z całym taborem do stryja mojego Tadeusza na mieszkanie z oświadczeniem, że cały majątek jaki ma, zapisze jego dzieciom. Stryj Tadeusz, jest to bardzo zacny człowiek z naj- lepszym sercem i krocie ciotki Filomeny bardzoby mu się przydały, ale z tem wszystkim gorąca krew płynie mu w żyłach, i nie da sobie nikomu w kaszę dmuchać. Zdarzyło się jakoś wkrótce, że psy dworskie zadusiły jej ulubioną kotkę rasy syberyjskiej. Ciotka chciała koniecznie, żeby stryj kazał te psy powystrzelać—on się uparł, że nie, więc pani Filomena, podarłszy w oczach jego gotowy już testament, przyjechała do nas z takimi samemi obietnicami.

Byłem jeszcze małym chłopakiem i w domu się uczyłem przy panu Wacławie, który był moim nauczycielem, kiedy kazano mi co rano i wieczór całować ciotkę w rękę i mówić jej dzień dobry albo dobranoc. Hęka jej była pękata i zawsze pachnąca jakimś zieleń, więc całowanie sprawiało mi przykrość. Jednak musiałem, bo ojciec tak kazał. Dalej niechęć moja do ciotki jeszcze bardziej wzrosła, kiedy dostałem pierwsze buty z obcasami, a na drugi dzień zaraz obcięto mi takowe na żądanie ciotki, którą drażniło wszelkie pukanie po podłodze. Od tej chwili powiedziałem sobie, że nienawidzę tej baby i podobno, że dotrzymałem słowa.

Stara lubiła grać w maryasza, ja na nieszczęście nauczyłem się tej gry dość wcześnie, zasadzano mię tedy nieraz po parę godzin do stolika. Dokuczałem jej jak mogłem, podglądając karty, zrzucając inne na jej atuty, i manewrując, aby wygrywać nie mogła. To doprowadzało ją do passyi; wymyślała mi, że ze mnie nic dobrego nie urośnie, bo mam prawdziwą szulerską żył-

kę, że zatem z testamentu będę wypuszczony, bo ona marnotrawcom nie myśli swej pracy zostawiać. Naturalnie, że będąc w takim dla mnie usposobieniu, jako skazanego już z góry na lekkiewicza — mimo nagród, które w szkołach dostawałem, nie obdarzyła nigdy żadnym prezentem, lecz owszem prawiła ciągle o oszczędności, wskazując na ojca, który niezadługo cały majątek straci.

Bzczy wicie, interesa rodziców nieświeżnie stały, i to zdaje się było głównym powodem, że biedna matka z anielską rezygnacją znosiła wszystkie kaprysy i dokuczania starej, burmistrzującej u nas więcej niż w własnym domu. Słyszałem jak nieraz mówiła do ojca:

— Wiesz Janie, że te wymagania Filusi już mi tu stoją, i gdyby nie dzieci, jednej godziny bym ją ztąd wyprawiła...

— Et — odpowiadał ojciec, wzruszając ramionami — i to niepewne, co obiecuje..

— Ale z pewnością. Tyle razy już mówiła i mnie i Kasi i Wacławowi, że da jej na posag pięćdziesiąt ty- I sięcy... że gotowa jest zrobić zapis przed rejentem...

Ojciec kiwał na to głową uśmiechając się przykro, > a tymczasem ciotka dusiła pieniądze przy sobie, zakupu- jąc z procentów coraz to nowe papiery. Strofując na każdym kroku ojca i matkę za marnotrawstwo, brak przezorności, za życie nad stan i zbytki królewskie, A swoją drogą co się jć tyczyło, była do najwyższego | stopnia wymagającą. Płaciła wprawdzie kilkaset zło- J tych rocznie za utrzymanie siebie i całego stada kotów, | które tylko śmietankę i skrzydełka z kurcząt jeść mo- | gły, jednak matka twierdziła, że płaca ta nawet na ży- .1 wienie kotów nie wystarcza. Parę razy, kiedy już | z nami było krócho, kiedy trzy raty Towarzystwa zalegały, a o podatki sekwestrator zjechał tradować nam rzeczy, udawał się ojciec z prośbą o pożyczkę do ciotki.

— Nie mój Jasiu—odpowiadała bardzo żalonym tonem — nie pożyczę. Widzisz, ja jestem kobieta chora na nogi i Bóg wie, co mnie czeka na starość.

— Ależ ja potrzebuję na parę miesięcy...

— Tak się to mówi, a jak przyjdzie oddać, to zkad? Po mojej śmierci weźmiecie wszystko, ale za życia ci mój Jasiu nie pożyczę...

— A Chlebowskemu pożyczylaś? —mówi gorzko ojciec. — Wszak i ja ten sam procent zapłacę.

— Chlebowskemu co innego, on jest obcy człowiek, nie odda w terminie, mogę go egzel jwać, a na proces z tobą nie miałabym serca... Wierz mi Jasiu, najlepiej się obchodzić tem, co człowiek ma... Pilnuj lepiej gospodarstwa, nie wydawaj na książki, na gazety i tym podobne głupstwa — to będziesz miał... Widzisz, ja nigdy nie wydaję tego, co mam...

Matce znowu, która także próbowała parę razy pukać do niej o pomoc, zarzucała brak familijnego uczucia.

— Moja Filciu, nie bluźnij doprawdy, bo sądzę u własnych dzieci, gdybyś je miała, nie byłoby ci lepiej.

— No, tak... prawda... widzę to... ale to wszystko idzie u was bez serca... Ja moja Anielciu jestem sierota sama jedna, jak ten palec, i nikogo nie mam prócz was na świecie. Przywiązałam się do was, a wy tak jakoś... nic...

.- — Doprawdy — mówiła matka obrażona — już nie wiem, czego ty chcesz od nas?

— Serca lubieńko, serca... Mnie nikt nie kochał

w życiu prócz Augustyna — nikt. Matki nie znałam, ojciec nieboszczyk mię nie lubił...

I lży wtedy puszczały jej się z oczu, brała na ręce kota Wiernusia, a głaszcząc go, przemawiała do niego, że on jeden kocha ją prawdziwie bezinteresownie...

Widząc i słuchając tego wszystkiego, nieraz taka brała mię passya, że chciałem pójść do niej i powiedzieć jej wprost: „Jesteś niegodziwa!” Ale cóż? Matka splakawszy się, powiada: broń Boże —ojciec machnie ręką: a daj że jej pokój, dziwaczka stara... Nie mogąc tedy jawnie wystąpić, mściłem się do woli na faworycie jej, owym Wiernusiu. W tym czasie, kiedy się moje opowiadanie zaczyna, z całego .stada kotów z którymi ciotka do nas przyjechała — pozostał tylko jeden potomek, w „osobie” Wiernusia. Było to już stare, rozleniwione, o szarej pręgowanej sierści kocisko, a tak opasłe, że podobnie jak jego pani, ledwie się toczył po pokoju. Ciotka nie ruszyła się nigdzie bez faworyta, a wszędzie wolno mu sadowić się i po meblach w sali i po łózkach i na stole jadalnym, choć najlepiej lubił okna, gdzie wyciągnąwszy roszkownie dostojne swoje członki, grzał się na słońcu, ziewał i od czasu do czasu powstawszy, w kabłąk grzbiet swój wyginał.

Otóż całą satysfakcję miałem, głaszcząc go niby, wysypać mu dobrą dozę tabaki do nosa. Kot mimo niezwyklej tuszy zrywał się jak opętany i tak pocieszne wyprawiał skoki, tak kichał, parskał, pykał, że ciotka wytrzeszczywszy oczy ze strachu, gonila za nim, a chwyciwszy go gwałtem, przez okulary oglądała faworyta.

— Co ci jest Wiernutku? — mówiła tuląc do siebie kichające kocisko—biedny, biedny Wiernuś, mucha ugryzła... oj ta niegodziwa mucha.

— Mnie się zdaje, proszę cioci — odzywam się z udanym niepokojem — że on się wścieknie. Niechno ciocia spojrzy, jakie ma zapłakane oczy, jak się niepokoii...—a że kot bał się mnie jak ognia, zatem przy zbliżeniu się mojem zaczął się gwałtownie wyrwać, czem przestraszona ciotka rzucała go na ziemię i uciekała do swego pokoju.

Czasami znowu zamknąłem go na strych do gościnnego pokoju i dzień albo dwa nie było go wcale. Boże drogi, jaki to rejwach robił się wtedy w całym domu! Ciotka nie może jeść, nie może spać, a tylko rozsyła sługi i dzieci na odszukanie zbiega. Wśród najbardziej interesującej rozmowy zrywa się nagle i otwiera okno, bo jej się zdaje, że słyszy jego miauczenie w ogrodzie. To w nocy budzi Kasię i każe jej otwierać drzwi, bo Wiernuś drapie łapką, żeby go wpuścić. A skoro uwolniłem więźnia, a on wygłodzony zjawił się nagle, to ciocia formalnie płakała z radości i żalu, że tak zmizer- niał, że jest niewdzięcznikiem, przenosząc nad jej miłość wycieczki dalekie, przez co naraża na szwank szacowne j ej zdrowie.

Z całej rodziny naszej jedna Kasia była faworytką i ulubienicą pani Filomeny. Lecz nie daj Boże największym nieprzyjaciołom moim takiego szczęścia, jakiego ona z tytułu tej miłości doznawała. Ciotka niezmiernie dbała o swoje zdrowie, a samej śmierci bała się tak dalece, że w całym dworze nie wolno było nikomu o tak nieprzyjemnym fakcie wspominać. Tuż obok strachu przed śmiercią, stała obawa wszelkiego rodzaju złodziei, rozbójników i morderców; potem apopleksya, potem zaccadzenie, a potem wszelkie burze z grzmotami i piorunami. Więc dla zabezpieczenia się przed uderzeniem

krwi do głowy i przed rozbójnikami, musiała Kasia sypiać w jej pokoju. Biedna dziewczyna szła tam zawsze jak na ścięcie, a że to było dobre bez żadnej złości stworzenie, zatem ciotka wyzyskiwała jej łagodność już bez żadnej litości. Nie było nocy, żeby nie budziła jej po "kilka razy z poleceniem obejrzenia nóg czy nie trętwieją, pomacania głowy, czy nie gorąca. Podczas burzy musiała Kasia zapalać tyle świec w pokoju, ile ich tylko było, wyjmować wszystkie świętości, zamykać szczelnie wszystkie okna i drzwiczki pieców w obawie przeciągów, a stara Piechocińska wychodziła zawsze na dziedziniec z dzwonkiem loretańskim i dzwoniła, dzwoniła, dopóki burza nie przeszła.

Ciotka nie wstawała wcześniej jak o jedenastej zrana, a że sypiała przez parę godzin po obiedzie, nic dziwnego, jeżeli w nocy sen od niej uciekał. Wiecznie zatem było jęczenie i wyrzekanie na bezsenność, nieustanne budzenie Kasi, że ktoś musi chodzić koło okien, bo psy we wsi ujadają, to, że komary brzęczą jej nad głową, a w końcu, że ma gorączkę. W dzień znowu trzeba było bawić rozkapryszoną staruszkę i odbywać wszelkie posługi, naturalnie z całą uprzejmością i łagodnością, a wszystko to w imię obiecanego posagu i sukcesy po najdłuższym jej życiu. Pani Filomena była tak rozleniwioną osobą, że kazała sobie wszystko podawać, aby tylko nie wyciągać ręki, jak na przykład chustkę do nosa z pod poduszki, na której spała, tabakierkę z drugiego końca stołu, często nawet podciągać koldrę pod szyję.

Lecz to wszystko niczem, kiedy była zdrową! Ale niechno ją coś bądź zaboli, to zaraz na gwałt posyłał po doktora i nastaje formalna rewolucja w całym domu.

Lekarz każe zmieniać okłady zimne co kwadrans, ciotka spogląda ciągle na zegarek i jednej sekundy nie daruje. Wszystko jej źle; ręka jej cięży, powietrze za- .duszne, sama się nie ruszy, a ciągle jęczy, a tak narzeka, że doprawdy zdawałoby się, że lada chwila już ducha wyzionie, gdy tymczasem lekarz zapewnia, że to tylko <łhwilowa niedyspozycja. Raz pamiętam, \$ zakłuła się igłą w palec i ten trochę jej nabrzmiął, to przez całe <łwa tygodnie nosiła go na temblaku, jakby miała rękę przynajmniej trzema kulami przestrzeloną. Przez cały ten czas Kasia musiała ją jak dziecko małe karmić, gdy wszyscy dusiliśmy się od śmiechu, patrząc na tę żałośno- nieszczęśliwą minę ciotki. Rzeczywiście karmienie to miało wiele podobieństwa do operacyi, używanej przez Piechocińską przy wpychaniu jęczmiennych gałek indykom, branym na tuczenie.

Kiedy zdawało się ciotce, że jest z nią źle i zanosi się na dłuższą chorobę, to kazała lekarzowi codziennie przyjeżdżać i płaciła mu za każdą wizytę. Niechuo zrobiło się lepiej, to zaraz zmniejszała honorarium albo robiła taką propozycję.

i — Jak chcesz konsyliarzu, czy mam ci płacić za każdym przyjazdem, czy tak razem po kuracyi?

— Już ja wolę za każdą wizytę — odrzekł, śmiejąc się stary doktor rodem Węgier, który wiedział dobrze, o co tu idzie...

Jak wspomniałem wyżej, pani Filomena lubiła passyami grać w karty, a przytem zawsze wygrywać; cały więc dom nasz, począwszy od sześcioletnich dzieci, a skończywszy na Piechocińskiej, był w tem szulerskiein rzemiośle dostatecznie wyćwiczony. Czy w maryasza, czy w piketę, w družbarta lub maczka, tłukliśmy się po

całych dniach i wieczorach zimowych. W tym celu ojciec dawał nam umyślnie po kilkanaście groszy, żebyśmy mieli czym płacić, a ciotka zabierała te groszaki do portmonetki. Przegrawszy nie płaciła, tylko kazała zapisywać i pótyśmy grali, póki dług nie został przez nią odegrany.

Kiedym już podrosł i wprawił się dobrze w maryasza, ciotka nie mogła mi dać rady, ale nawet musiała płacić gotówką. No, miałem ja się z pyszna za tych kilkanaście groszy wygranych.

— Patrzcie go, chciwiec obrzydliwy!...

Ręce się ciotce trzęsły, usta dygotały, zażywała tabakę, poprawiała czepiec i nieustannie gderowała, patrząc na mnie bazylijszkowemi oczyma.

— Nic, tylko sobie daje kartę...

— Ma się rozumieć — odpowiadam zimno...

— Tak, tak, to jest uszanowanie dla ciotki...

— Trudno w grze szukać jakichś względów...

— Zapewne, rób tak! Pamiętaj, ja ci tego nigdy nie zapomnę... zobaczysz w testamentcie...

Ponieważ z tą pogróżką testamentową mogłem się dostatecznie oswoić, a kilkanaście groszy przydało się na papierosy, przeto grałem ostrożnie, doprowadzając starą do coraz większej passyi... Skończyło się na tem, że usunięto mię od gry i przyjaźni ciotki, a miejsce moje zajęła Kasia, dla której gra była tak obojętną, jak niegdyś pańszczyzna dla chłopca. Siedziała niby automat przy stoliku, ciotka bonowała, to zamieniając karty, to malwersując rachunek, to irytując się, że gra powoli i długo się namyśla.

Pan Wacław miał niezwykle łaski u ciotki Filomeny raz dlatego, że był urzędnikiem sądowym, który

to stan pani Filomena z tytułu adwokatury nieboszczyka męża najwyżej cenila, a po wtóre, że okazywał jej niezwykle uszanowanie. Co on miał wtem, już nie wiem, dość, że nosił Wiernusia na rękę, pieścił się z nim, lekarstwa doradzał, utrzymując, że w całym Królestwie polskim nie znajdzie drugiego takiego kota. Za ciocią nosił zawsze stołeczek pod nogi, przegrywał po parę złotych w maryasza, a przegrywał z uśmiechem na ustach, wreszcie był generalnym dostawcą zapasów prawdziwej kapucyńskiej tabaki i miętowych pastylek..

Trzeba też było widzieć, jak ciotka lubiła go i respektowała za to. Pan Wacław, nic tylko pan Wacław był u niej na myśli i na języku, a szczególnie stawiany mi za przykład, jak się powinien młody człowiek zachować w porządnym towarzystwie. Bywało, zaprosi go do swego pokoju na maryasza—to zaraz wynoszą się dla niego słoiki z konfiturami, wydobywają z szafy bakalie^ które ciotka zawsze miała dla poprawienia smaku. Sama kropi się wodą kolońską, zmienia czepiec i mankiety, a dla większej jeszcze estymy obraca czerwonym kolorem na wierzch na dwie strony noszoną pelerynkę, eo tylko czyni podczas większych uroczystości.

Ale zdaje mi się, że dość będzie tych szczegółów o ciotce, i że wypada zapoznać się bliżej z tym panem Wacławem. . Kiedyś przed czternastu laty, przywiózł go ojciec, jako ukończonego gimnazystę, na mojego domowego nauczyciela. Przypominam sobie, że wyglądał puciołowato, że mu się świeciła rumiana twarz jakby od polityry, i że miał włosy nadzwyczaj starannie wypomadowane. Nos tylko w dziwaczny sposób zadzierał się do góry, tak, że zdawało się jakby nieustannie coś wietrzył, gdy siwe śmiejące się oczka tylko biegały niespo

kojnie. Nie mogę mu tylko darować jego zielonej topolowej pomady, którą się smarował bez miłosierdzia, a której zapach podobny do tego, jaki wydają liście topoli podczas parnego wieczoru, tyle mi dokuczył, że do dziś dnia niedobrze mi się robi, skoro podobny zapach poczuję.

Już wtenczas zdradzał sentymentalne usposobienie ducha; tak samo jak dziś zawracał oczami, tak samo ubierał się wyszukanie, skrzypiał nieznośnie butami i pielęgnował z całą troskliwością dwa u małych palców niezwykle wyrosłe paznogie. Jednak szczególniejszą predylekcyę miał do krawatów na szyję, których całe tuziny przechowywał w komodzie—i do gry na gitarze. Latem, o szarej godzinie, włożywszy z fantazyą paciorkową czapczkę na głowę, otwierał okno do ogrodu, a usiadłszy na ramie w pozycyi trubadura, pobrzda-kiwał strunami, wywodząc niezmiernie rozpaczliwe żale, o duszy kozaczej, o gwiazdeczce co błyszczała, o kilku brzożach i biegu wody, wreszcie o dwóch różyczkach rosnących w parze nad strumykiem. Ponieważ prócz pokojówki Teklusi dość skąpo obdarzonej wdziękami, nie było w całym dworze żadnej istoty płci żeńskiej, do którejby się to odnosić mogło, sądzę, że ten objaw dolegliwości sercowych pana Waclawa, był bez żadnego celu poprostu marnowanym, jak są marnowane trele słowika, osadzonego w klatce ponad jakim sklepem.

Przyjechawszy do nas, miał on zamiar zaoszczędzić sobie część pobieranej płacy, za którą mógłby później udać się na uniwersytet, lecz w ciągu tych dwóch lat po każdym kwartale wypadła mu jakaś potrzeba jechania do Warszawy, a w tej Warszawie topiła się 40 szcztu cała oszczędność. Nieraz tak się zagalopował, że nie było za co wracać do domu; więc zjawiał się per pedes Apostolorum z paczką krawatów pod pachą i z parą lakierków niesionych w ręku, albowiem dla szyku kupował tak ciasne, że iść w nich było niepodobna.

— Czemużeś pan nie napisał, aby przysłać konie do stacyi pocztowej? — mówi ojciec, patrząc na opaloną i zmęczoną postać chłopaka.

•— Ech, nie śmiałem—odpowiada z żałosną miną— a zdawało się że wystarczy mi pieniędzy na drogę. Tymczasem jakoś zostało tylko pięć groszy, za które wczoraj spożyłem kolacyę.

— Dajcież mu jeść!—woła śmiejąc się ojciec.

I rzeczywiście potrzebował tego, zmiatając jedn potrawę za drugą z takim apetytem, że aż przyjemnie było patrzeć.

Z tem wszystkim pan Waclaw był bardzo dobrym i bardzo serdecznym młodzieńcem. Do naszego domu przyłgnął jak do rodziny, a że ja korzystałem bardzo z jego nauki, i że był usłużnym i grzecznym dla wszystkich, więc tolerowano jego drobne słabostki i lubiono powszechnie. Matka, jako osoba nadzwyczaj czynna i rezolutna, używała go nieraz do pomocy przy smażeniu konfitur, wysyłała gdy było pilno, z kucharzem do spiżarni, czasem do miasteczka po sprawunki, a już gdy szło o urządzenie na wiosnę kwiatowego ogródka, to pan Waclaw obejmował kierunek robót, i trzeba przyznać, dobrze się wywiązywał z tej misyi. Zimą czytywał głośno książki, rysował desenie, powoził sankami słowem jak to mówią był do tańca i do rózańca. Dlatego też, kiedy już skończyła się moja domowa edukacya, ojciec po walnej naradzie z matką zaproponował mu, aby stał razem ze mną na stancyi i udzielając mi

korepetycyi ucześnieł na uniwersytet. Stało się więc podług zamiaru ojca i tym sposobem ukończył kursą prawne, potem wszedł do służby rządowej) i nim ja wyszedłem z gimnazjum, miał już etatową posadę w sądzie i protekcyę jednego ze znajomych urzędników, który go nadzwyczaj polubił. W ciągu tego czasu stosunek z naszym domem trwał zawsze na bardzo serdecznej stopie. Jeździł do nas na każde święta, a że Kasia wyrosła już na pannę, a on był dla niej niezwykle nadskakującym, więc, jak to wspomniałem na początku i matka i ciotka i wszyscy w domu byliśmy pewni, że się z nią ożeni.

II.

Otóż tak stały rzeczy, gdy po ostatnim pobycie u nas, podczas którego powinien się już był oświadczyć—Wacław wyjechał i nieoświadczył się. Ztąd cały dom był niewyczajnie z warzony. Ciotka Filomena kładła pasyans za pasyansem,' milczącąc i ruszając wargami, matka chodziła zachmurzona, Piechocińska wymyślała na wszystkich mężczyzn przed kucharzem a Kasia stała dość długo w oknie, patrząc za odjeżdżającą bryczką, choć z jej marmurowej twarzy niktby najmniejszej oznaki zmartwienia nie wyczytał.

Podano kolacyę, pamiętam dobrze dwoje kurcząt tylko, więc matka zaczęła przeproszać ciotkę, że tak mało, bo kurczęta gdzieś się pochowały w burzanach i połapać ich nie mogli.

p •— A na co więcej? — odzywa się ciotka, zasiadając z Wiernusiem do stołu. — Zawsze powtarzam, nie róbcie zbytków...

I nie zważając, że oprócz niej jest nas jeszcze sześć osób, zabiera sobie całego kuraka na talerz. Jf Y Ojciec, matka i my wszyscy, spoglądając na pozostawione

stałejkurdę, zaczęliśmy się ceremoniować tak, że nikt go nie tknął.

— Widzisz Anielciu, że wystarczyło—mówi ciotka, częstując kota resztkami. — Proszę cię więc, skoro= nikt nie je, zostaw mi to drugie na jutro do herbaty. Od czasu jak nie sypiam, szczególniejszy mnie napada rano apetyt... Ale nie zapomnij też moja droga o tych pasztecikach... Niech Franciszek zamówi u Jankla mózdzek cielęcy, choćby nieduży— obdzielimy się i takim... Przyznam ci się, że opowiadanie Jasia o tych pasztecikach z zieloną pietruszeczką przypomniało mi o nich, i już drugi dzień rady sobie dać nie mogę... nic tylko paszteciki stoją mi w myśli.

Po kolacy, ojciec zabierał się już do wyjścia jak zwykle na gazety do swego pokoju, gdy zatrzymała go matka.

— Słuchajno Jasiu, pozostań trochę, mamy z so.- bą do pomówienia.

Nie bardzo to ojciec lubił te pomówienia kobiece,, jednak usiadł napowrót na krzesło, a gdy sprzątnięto ze stołu i ciekawa Piechocińska zmiarkowawszy, że przy niej nie chcą mówić, wyniosła się powoli — ciotka znalazła pozór do wydalenia Kasi.

— Mój drogi — odezwała się po tem wszystkióm matka—powiedz mi, co to będzie z tą Kasią?

— No, cóż takiego się stało?

— Alboż nie widziałeś? pojechał i nic?

— Hm, cóż ja na to poradzę?

— Mój kochany, jesteś ojcem, i powinieneś przecie pomyśleć coś o córce. Tak dalej być nie może...

— Więc cóż chcesz? — rzecze dość porywczo ojciec—mam go wziąć za kark i powiedzieć: „żeń się!”

— Ależ posłuchaj Jasiu, nie tak znowu gorąco... Zdaje mi się, że prócz brania za kark, są jeszcze inne, nie tak gwałtowne sposoby dowiedzenia się, co on myśli... Możeby napisać do niego, albo co...

— Ja mam pisać, ja? Czy chce lub nie chce mojej córki? Doprawdy dziwne masz projekta... Któż o takich rzeczach pisze!..

— To możnaby pojechać do Warszawy i rozmówić się z nim w cztery oczy. Widzisz dziewczyna się durzy bo choć ona słówka nie powie ale ja to widzę...

I zmizerniała, i humor straciła, po nocach płacze... Mój drogi Jasiu, zastanów się sam, do czego to doprowadzi. Zaczęła rok dwudziesty pierwszy, posłuchaj mię, pojedź!

— Za nic w świecie!—zawoła ojciec.—Teraz nadchodzi siejba... niepodobna. A choćbym i mógł jechać, to powiem ci otwarcie, nie jestem za tem. Najlepiej, nie kłopotać sobie tem głowy i zostawić wszystko czasowi, na Bożą wolę... Ma co być, to będzie, a nie to nie.

L. — Powinieneś jechać — odzywa się na to ciotka ciągnąc ulubionego kota do talerzyka napełnionego śmietanką. Nie trzeba być tak leniwym i wszystko zostawiać na los szczęścia..

— Dlaczegoż wy same tego nie załatwicie?

— Mężczyzna z mężczyzną—odzywa się matka— to jakoś inaczej; więcej będzie się ciebie ženował. Zresztą nie pojedziesz umyślnie, bo trzebaby coś i z Grzesiem zrobić. Siedzi już blisko rok na wsi, i cóż on tu wysiedzi? Wierz mi Jasiu, wybierz się, ulokuj go gdzie, a zaraz wybadasz i Waclawa... Nie uwierzysz, ile mię to martwi.

Na te słowa, że trzeba coś z Grzesiem zrobić, ocknąłem się nieco, nadstawiając ucha, albowiem już zacząłem drzemać na kanapie.

— Myślę ja ciągle o tem — rzecze ojciec ale teraz byłoby mi trudno. Po żniwach jak się co sprzeda, inna rzecz... pieniędzy niemam.

— Dziwna rzecz—przerywa kwaśno matka — że u nas nigdy nie ma...

— Bo nie ma—odpowiada żywiej ojciec.

— To źle! powinno być.

— Hm! — mruknął ironicznie. — Ja na siebie nie wydaję. Nie gram, nie trwonię, nie piję... a jak nie ma, to zkąd wezmę?

— Zbytki to, mój Jasiu, zbytki, gazety, książki i różne głupstwa—wtrąca ciotka, zajęta karmieniem kota. — Zamiast wstać do dnia i przypilnować gospodarstwa, to ty czytasz do późna. Robią też jak chcą; kradną, oszukują i wspomniesz moje słowa, że wyjdziecie z kijem... A pfe Wiernuś, jaki to z ciebie robi się ka- pryśnik, Patrzaj Anielciu, czystej śmietanki pić nie chce, proszę cię, daj mi kawałek cukru, muszę mu osłodzić... Pamiętałaś téż, żebym na jutro miała kąpiel?... Tak, tak, mój Jasiu, trzeba się wziąć na seryo do pracy i oszczędności. Chcecie odgrywać rolę demokratów, karmić ludzi jakby hrabiów jakich — to na nic się nie zdało... chłop zawsze będzie chłopem...

Matka krzątała się coś obok kredensu, szukając onego cukru dla kota, gdy ojciec wzburzony nieco chodził niespokojnie do koła i tarł włosy z tyłu głowy, jak to ma zwyczaj ile razy przyjdzie mu chamować gniew jaki. Nareszcie wyprostował się, ciężko westchnął, a zatrzymawszy się przed matką, rzekł stanowczym głosem:

— Tak, Filusia ma rację, trzeba nam się wziąć do oszczędności i zaprowadzić inny ład w domu. Proszę cię Anielciu, wymów jutro miejsce kucharzowi. To za drogi sprzęt dla nas. Przyjmiemy kucharkę, będzie połowę tego kosztować... Zresztą i Piechocińska potrafi jako tako ugotować.

— Dobrze, wymówię—odpowiada matka—jeżeli tak sobie życzysz. Będę miała więcej kłopotu, ale trudno.

— A, przyznam się—rzecze na to czerwieniąc się ciotka — że to szczególniejszy projekt. Gdzież Piechocińska potrafi co ugotować? Nie, mój Jasiu, zaczynasz oszczędność od tego, co jest najpotrzebniejszym w życiu, od porządnego jedzenia. Ja się na to nigdy nie zgodzę.. Przepraszam was, ale moje zdrowie nie pozwala...

L — Jednak on mię kosztuje tysiiąc dwieście złotych, a fundusz ten będzie dla Grzesia.

— Jeżeli znoszę tyle niewygód, jeżeli nudzę się u was, to przynajmniej dotąd mogłam zjeść jako tako... Prawda Wiernusiu—mówi, głaszcząc faworyta—że my oboje nie mamy zdrowia... trzeba, nam się wynosić.

^ — Dalej—ciągnie ojciec, jakby nie słysząc narzekań ciotki — sprzedaję jedną parę siwków. Niepotrzebnie stoi czwórka próżniaków w stajni, a z nią i stangret. Para dla nas dosyć, wolę za te pieniądze kupić fornalkę jedną...

— Hm, jaki z ciebie poeta! — rzecze, śmiejąc się przymusowo ciotka.—Alboż ta para uciągnie wasz ciężki powóz po takich drogach.

— Będziemy jeździć bryczką!

A. Wilczyński.—Tom XVII. 3

— Bryczką? dziękuje unizenie! Bryczka już nie dla mnie... Ha, to widzę nie będzie czem do kościoła wyjechać!

— Moja Filusiu, Pan Bóg jest wszędzie, a kto nie ma za co, to i w domu się pomodli...

— Ot, widzisz, do czego cię to czytanie heretyckich ksiązek doprowadziło... Tak, tak, Pan Bóg już niepotrzebny, kościół niepotrzebny... Pamiętaj sobie, że jak .ty Bogu, tak i Bóg tobie...

— Zamkniemy się tu w czterech ścianach i będziemy pracować.

— I zerwiecie wszystkie znajomości?

— Zerwiemy...

— Sfiksowałaś mój Janie!

— Biorę się na oszczędność, sama to przyznałaś.

<— Ale ja mówiłam o rozsądnej oszczędności, jednak żeby tak naraz odstrychnąć się od świata i ludzi żeby nie widzieć nikogo, nie jeść, nie pić... No, no... poeta z ciebie... Ja na to się nie piszę... Życie sobie jak chcecie, ja wyjadę...

— Cóż robić—rzecze z determinacją ojciec—kiedy ja nie mam na to. Pożyczać dalej nie mogę, bo nie jestem w stanie procentów płacić...

— Jak widzę, to wy radzibyście pozbyć się starej siostry... Dobrze Jasiu, dobrze rób tak, zobaczymy, jak na tem wyjdziecie!

— Moja Filusiu— wtrąca matka, obawiając się niełaski ciotki—to jeszcze niepewne...

— Owszem, pewne—przerywa ojciec.—Rzeczywiście źle stoimy w interesach i jeżeli nie nastąpi radykalna zmiana w utrzymaniu domu, który za wiele kosztuje, możemy być zrujnowani.

— Mój Boże, i pocóż ja tu do was przyjeżdżałam, kiedy mg macie dla mnie serca i za trzy grosze!... Po dwunastu latach mąk i nudów, tak bez ceremonii wyrzu- <jać starą siostrę od siebie!—mówi na pół z płaczem.

— Filuniu, któż cię wypędza?...—perswaduje matka. Lecz ciotka tak się rozżaliła, że wszelkie pocieszenia żadnego nie odnosiły skutku.

— Dobrze, kiedy tak chcecie, to pojedę,, ale testament zniszczę... Za moje dobre serce dla was, tak mi się odwdzięczacie... No pamiętaj Jasiu, pamiętaj!— dokończyła, grożąc palcem i wychodząc z pokoju.

— Jasiu, cóżeś ty zrobił?—mówi zasmucona matka, załamując ręce.—Ona pojedzie.

— A niech ją tam, niech jedzie!

— Wszystko przepadnie!

— Niech przepadnie... Już trudno z nią wytrzymać! Jej czelność doszła do tego stopnia, że nie dosyć, iż nas wyzyskuje i rujnuje, to jeszcze tyranizuje... Nie chcę jej zapisów, nic nie chcę, a niech mi da święty pokój... Każe mi się oszczędzać na książkach i gazetach... Obrzydliwa egoistka!...

— Ale zawsze szkoda tego majątku... przecież kiedyś umrze!

— Co, umrze?— zawoła, śmiejąc się ojciec.—Ona nigdy nie umrze... My oboje pomrzemy, dzieci nasze i wnuki pomrą przy niej, a ona żyć będzie i dokuczać przez trzy pokolenia.

III.

Przyznaję, iż podzielałem najkompletniej to oburzenie ojca, i w tej chwili więcej jeszcze byłem zły na nią niż on sam. A złość moja doszła prawie do pasy, gdy położywszy się spać w moim pokoju, cienką ścianką tylko od jej apartamentu oddzielonym, całą noc nie mogłem usnąć, bo ciotka tylko wzdychała ciężko, i biedną Kasię budziła co kilka minut, aby jej szcotką rozcierała stygnące nogi, w obawie, że już umiera,

Nad ranem ledwie że zdrzemnąłem się trochę, gdy budzi mię gwałtowne pukanie pięścią w moją ścianę i dolatuje mię stłumiony głos:

— Grzesiu, Grzesiu!

Zrywam się tedy i ubrawszy naprędce, biegnę do pokoju ciotki, sądząc, że naprawdę umiera. Ale gdzie- tam? Patrzę, leży na łóżku czerwona jak upiór, i jęczy? Kasia blada jak ściana ze znużenia, chwając się tylko na nogach, stoi przy niej i odmienia z jej czoła chustkę zmoczoną w wodzie i occie.

— Czy ojciec wstał? — pyta mię stara już grobowym głosem.

— Nie wiem.

— Idź do niego i powiedz, żeby tu zaraz przyszedł... Jakże ty przykładasz tę chustkę, Kasiu?— gderze nad nią.— Patrz, leje mi się woda po twarzy... Już ci się nie chce wycisnąć... Obetrzyj ze mi oczy... Boże drogi, jak wy to postępujecie, ze mną, to tak jak za pańszczyznę... Czy z drewna masz ręce... że ci wszystko leci...

Wybiegłem na dziedziniec, aby się dostać do kancelaryi ojca, ale właśnie chodził już koło klombu, jak się zdaje mocno zirytowany na żyda, który postępował za nim z głową odkrytą i bardzo unizoną miną.

— To doskonale! — woła ojciec — wzięliście nas w formalną egipską niewolę. Jasię mam prosić Jan- kla, żeby sobie ztąd poszedł, ja? ja? Kontrakt pachtowy kończy się na 5-ty Jan, dalej go trzymać nie chcę, więc fora ze dwora!

— Z przeproszeniem jaśnie pana — odzywa się na to ów żyd nieznajomy — kiedy u nas tak stoi w religii, coby jeden drugiemu nie podkupywał...

— A jakież tu podkupywanie? Ja go nie chcę i rzecz skończona! Cóż to ślub z nim wzięłem na wieczność?... Więc cię pytam Berku raz ostatni, weźmiesz czy nie?

— Ny, jaby wziął, ja już dawno życzył sobie być pod jaśnie panem, tylko jak on nie odstąpi z dobrej woli, to mię zawoła potem do rabina i rabin jemu przyzna reclit, coby mu dać odstępnę, -

— To idźże sobie z Panem Bogiem i głowy mi nie zawracaj! Już ja sobie znajdę takiego pachciarza. który się nie będzie bał żadnych rabinów.

Żyd tylko się uśmiechnął na to z politowaniem.

— Myślisz, że nie? No, zobaczysz. A jak nie- znajdę takiego to będę trzymał na sobie...
Bądź acan zdrów!

Widząc, że ojciec zostawił żyda, a sam biegnie prędko ku stodołom, zbliżam się oświadczając, że ciotka prosi.

— Cóż ona chce?

— Nie wiem, zdaje mi się, że chora.

— Masz tobie! znowu posyłaj po doktora, a tu już wszystkie konie wyprawilem do lasu.

Jednak zwrócił z drogi i weszliśmy do jej mieszkania. Wstała już z łóżka i siedziała w fotelu, ale z miną tak ponurą, że możnaby ją nazwać miną siedmiu zbójców.

— Wystaw sobie Filuniu — rzecze ojciec jeszcze pod wrażeniem poprzedniej rozmowy — okropność, co ci żydzi z nami wyrabiają! Nie mogę znaleźć żadnego pachciarza na miejsce Jankla. Co który się zgłosi, to powiada: niech pan wprzód z nim się ułoży, żeby sobie poszedł, bo inaczej będzie podkupywanie...

Ciotka nie rzekła ani słowa na to, lecz spuściwszy jeszcze niżej ciekawy swój nos, zaczęła żywo mrugać oczami i odąwszy wargi, pukała raz po raz tabakierką o kolano.

— Pan brat nie raczy nawet zapytać, jak się ma chora siostra.

— Przepraszam cię najmocniej Filuniu, przepraszam, ale bo widzisz, jestem do żywego zirytowany. Myślałem, że wypuściwszy pacht, dostanę pieniędzy, aby Grzesia wyprawić, a tu ani rusz!.. Cóż ci jest? widzę- inasz gorączkę, może posłać po doktora?

— Na co? Prędzej umrę i pozbędziecie się nie- potrzebnef o grata.

— Co też mówisz?

B; — Przecie mię wypędzacie.

— Kto? kiedy? Przywidziało ci się!

— Znamy się panie Janie na takich rzeczach, znamy! Dobrze wy wiecie, że ja się nie mogę obejść bez pewnych drobnych wygod, i dlatego chcecie mię ich pozbawić... Bardzo ładnie z waszej strony...

— Cóż tam znowu nowego? — pyta ojciec, zapomniawszy zupełnie o wczorajszych planach oszczędności.

— Hm, jaką to krótką masz pamięć. A kucharz, a konie?

— A, prawda. Ale cóż chcesz, musimy się ograniczyć, bo wydatki rosna, a dochody się zmniejszają. Co rok wszystko drożeje, podatki nowe nakładają...

— Czyli, że ja to mało wam płacę... Czemu to nie powiedzieć otwarcie...

' — O tem nie myślałem, ale powiadam wogóle...

■ — Więc nie lepiej było od razu zacząć od tego, Filomeno, dołoż kochanie, hę?

■ — Wierz mi, że ani mnie, ani zonie do głowy to nie przyszło, tylko rzeczywiście jesteśmy w tarapatkach takich, że od dwóch miesięcy nie mogę zebrać kilkuset rubli, aby Grzesia wyprawić z domu na dalszą naukę. Pożyczyć trudno, sprzedać nie ma co, chyba zboże na pniu, a tu jeszcze sprawa z pachtem się wikła...

I Nastąpiła chwila milczenia. Ojciec spuścił głowę, widocznie tem wszystkim zmartwiony, a stara, pukając wciąż tabakierką o kolano, wodziła niebezpiecznymi oczyma z ojca na biurko, przy którym siedziała i na odwrót, gdy usta dygotały jej coraz to żywiej.

— Żebym wiedziała—mówi ciszej, jakby sama do siebie—że oddasz... ale co o tem myśleć...

Ojciec tylko gorzko się uśmiechnął.

— Tu niema co się śmiać—ciągnie dalej już cała wzburzona—różnie bywa na świecie. Mimo najlepszych chęci...

— Ha, na niewiarę nie ma żadnego lekarstwa! — rzecze, powstając ojciec.

— Ja cię znam dobrze... Więc gdybyś z pewnością na termin oddał?

— Dlaczegożbym nie miał oddać? Czyż komu nie oddaję, jak pożyczę?

Znowu dłuższa chwila, milczenia, i znowu ten sam niepokój w całej osobie ciotki.

— A ileż ci potrzeba?—wypadło z ust ciotki.

— Choćby tysiąc rubli. Z tem już dałbym sobie radę do nowego roku.

— Tysiąc rubli? Ależ to kapitały—rzecze, oblewając się potem szanowna matrona.— Tysiąc rubli!... tysiąc rubli!...

— Na święty Michał oddam.

— Zkąd?

— Spodziewam się pięćset kop pszenicy... Sprzedam żyto... Zresztą jak mówię, że oddam, to oddam... Nie wierzysz... mogę przy siadź i dam ci oblig przed no- taryuszem, możesz zahypotekować. I procent zapłacę dziesięć od sta...

Przyznam się otwarcie państwu, że w tej chwili za nic w świecie nie chciałbym być w skórze ciotki. Już, już, była zdecydowaną pożyczyc, a jednocześnie serce jej się ścisnęło, jak się tu rozstać z tym tysiącem rubli. Czerwona twarz bladła, oczy stanęły słupem, a całe ciało trzęsło się i widać było tę Hamletowską walkę; być albo nie być, sprowadzoną tu do owego dać lub nie dać. Nareszcie z miną człowieka który zamknawszy oczy, rzuca się z desperacją w przepaść, gwałtownie sięgnęła ręką do kieszeni, a wydobywszy z niej kluczyki, jeszcze gwałtowniej otworzyła szufladkę biurka i gorączkowo przerzucała tekturowemi okładkami z książek, które jej służyły za pugilaresy na pieniądze... Przy tej operacji osobą swoją starała się zasłonić szufladkę, a skoro znalazła tę, której potrzebowała, szufladkę zamknęła prędko i kluczyki schowała do kieszeni. Rozwiązując tasiemki owej kompaturki, ręce jej nie drżały, ale formalnie dygotały jak w febrze.

— A możebyś miał dosyć pięćset?

— Potrzebuję najmniej tysiąc. Zalegam trochę w opłacie podatków i służbie się należy...

■— Jak to można tak się zaniedbać... Akuratność jest duszą wszystkiego... Zobaczysz Jasiu, ty wyjdiesz na dziady...

Po wielu przerzucani ach między papierami, wynalazła w końcu list zastawny na tysiąc rubli i trzymając go w rękę, zaczęła znowu wpatrywać się bystro w twarz ojca.

Mnie aż niewiedzieć co się robiło, patrząc na przygnębioną postać ojca, który musiał już bardzo potrzebować, jeżeli cierpliwie znosił tego rodzaju upokarzającą indagację. Na jego będąc miejscu, aniby spojrzął na jej pieniądze i co najmniej plunął na wszystko, drzwiami trzasnął i powiedział: bierz cię licho wraz z twoją pożyczką!

— Zobaczo kupony, czy są w porządku?

Ojciec wzięwszy do rąk ów papier, cokolwiek za żywo zaczął go rozwijać, szukając wewnątrz kuponów.

— Powoli, któż tak gwałtownie robi, podrzesz...

— Ostatni płatny jest 1 lipca — mówi ojciec.

— A to jeszcze mój, proszę cię, odetnij go!

— Na co odcinać! Teraz mamy koniec kwietnia, więc bez kuponu bieżącego któż mi list zmieni... Wol[^] za czas ubiegły procent gotówką zapłacić.

— Nie, nie nie, kupon mój... Odetnij.

Ojciec odciął, a ciotka schowała go do teki, tekę zaś do szufladki biurka.

— Teraz idź i napisz mi rewers, a procent jak powiedziałaś dziesięć od sta zapłacisz gotówką za pół roku z góry. Na święty Michał oddasz mi dług tak samo listem zastawnym...

Gdy ojciec powrócił z swej kancelaryi z napisanym cyrografem, bo tak się jak Wąż opisał, ciotka kazała mu go odczytać dwa razy, potem założyła na nos okulary i znowu czytała sama, potem kazała coś poprawić, a wreszcie, zawahawszy się nieco i zebrawszy całą odwagę, podała list ojcu... Widocznie operacja ta wyczerpała do dna wszystkie jej siły, bo nie zważając na podziękowania ojca rzuciła się z ciężkiem westchnieniem na krzesło, przytknęła oczy i zdawało się, że za chwilę umrze, a przynajmniej, że jej połowa życia wraz z tym listem uleciała.

— Kucharza nie odprawiać — zdołała tylko wyszeptać, gdy ojciec wychodził z pokoju.

Przez cały ten dzień i parę następnych humor szanownej matrony był nie do zniesienia. Na ojca spoglądała, jakby na zbójcę jakiego, a wszystko było jej źle, pasztecików jeść nie mogła i nikt w niczem nie mógł

jej dogodzić... Biedna Kasia miała się z pyszna od nićj, a gdy zakłopotany ojciec, aby ją jakkolwiek rozerwać, zdecydował się sam usiąść do marysza, to wśród największego interesu gry, ciotka co kilka minut, złożwszy karty na stole, spoglądała długo zebrzącym wzrokiem na niego, pytając się z żalną miną:

— Mój drogi Jasiu, czy mi też oddasz pewno n& święty Michał?

IV.

Rodzice zdecydowali, że ja sam tylko pojedę do Warszawy, ojciec bowiem miał wiele do czynienia z siewami, a głównie z owym pachtem, o który z jednej strony najeżdżali go różni amatorowie i faktorowie i protektorzy, a z drugiej znowu żydzi, żydówki i żydzą- tka jako przyjaciele i familianci Jankła. Sam on nie pokazywał się wcale we dworze, ale kołował zdaleka z bardzo pokorną miną i desperacko rozrzuconą brodą, zdejmując już czapkę o sto kroków, jak się ktoś z nas pokazał w ganku. Lecz ojciec wbrew swemu charakterowi zdecydowany był bądź co bądź pozbyć się tej rabi- nowskiej kurateli i nie chciał słuchać żadnych przedstawień, ani chciał widzieć żadnych pieniędzy, które po kilka razy przynosiła Jankłowa w czerwonej chustce i wysypywała ostentacyjnie na stół jakby na pokusę. Swoją drogą żaden z nowych konkurentów nie odważył się wejść w umowę z ojcem, lecz wszyscy oczekiwali dnia, aż Jankiel zmuszony będzie wynieść się ze wsi, bo wtedy dopiero panowanie jego nad nami ustaje podług ustaw talinudu.

•Kiedy już wszystkie przygotowania do drogi dla mnie były ukończone, bielizna poprasowana, kołdra podszyta, konie podkute i kilkoro kurcząt na jutrzejszą wyprawę zabitych, zawołała mię matka wieczorem do pokoju ciotki.

— Usiądźno Grzesiu i słuchaj, co ci powiem... No usiądźże, bo ja nie mogę rozmawiać, jak kto stoi na- demną.

Ciotka zajęta ciągnięciem passyansu, podniosła zwolna oczy swe na mnie, kiwnąwszy głową, że pozwala i ja usiadłem.

— Spodziewam się mój synu — rzecze matka z powagą — że już jesteś mężczyzną i że porzucisz te dziecinne figle, jakie ci się czasami trzymają, a zaczniesz myśleć na seryo.

ł — Oj byłby czas, byłby — mruknęła ciotka, gdy ja mimowoli sięgnąłem ręką do wąsów, które mi się już nieźle puszczać zaczęły.

— Naturalnie, niech mama będzie spokojną...

— Nie mówię ci, jak się masz prowadzić, bo znasz- przekonania nasze i jestem pewna, nie zrobisz nic takie, go, coby się Bogu podobać nie mogło, a nas zmartwiło Ale tu chcemy ci dać jedną specjalną misyę familijną co do pana Wacława. Rozumiesz o co tu idzie?

I — Rozumiem...

— Ot, masz go! — wtrąca ciotka. — On wszystko rozumie, choć jeszcze nie wie o co rzecz chodzi... Czy nie lepiej słuchać i czekać jak ci powiedzą, niż wrywać się z głupstwem. A nie mówiłam ci Anielciu, że on do niczego.

k. .— Ależ moja ciociu, przecież wiem.

— Kiedy starsza osoba mówi, że nie rozumiesz, to acan powinieneś milczeć i nie przerywać.

Nie przerywałem więc dalej i słuchałem, ale już zły na ciotkę, że mię tak zkopyta skonfundowała.

— Uważałeś, jak sprawa stoi z Kasią. Otóż w tem coś musi być, dlaczego Waław niby się stara, niby się nie stara i lawiruje, i dziewczynę bałamuci. Trzeba więc, żebyś go tam w Warszawie cokolwiek obserwował i delikatnie, ostrożnie, starał się wyrozumieć co on naprawdę myśli...

— Dobrze, proszę mamy.

— Kasia jest twoją siostrą i spodziewam się, że ją kochasz. Weźże więc to sobie do serca moje dziecko, i jako członek rodziny spraw się zręcznie a dobrze.-

— Bagatela — odzywam się z całą pewnością. — Cóż tak trudnego wybadać Waława. Poprostu powiem mu...

— Słyszysz!—zawoła pani Filomena, uderzywszy tabakierką o kolano — on zaraz chce obcesem! Głupi asan jesteś, jakby trzeba było otwarcie, tobyśmy napisali do niego i obeszłoby się bez ciebie. Moja Anielciu, powiedziałaś ci, że on wszystko zepsuje. Gdzież jemu dawać familijne poselstwo... Waław się obrazi... Dajmy jemu pokój...

— Teraz doprawdy nie rozumiem, czego ciocia chce, bo na to, co mama mówi, wielkiej dyplomacyi nie potrzeba.

— Właśnie, że potrzeba.

— Jeżeli tak, to będę dyplomatą i owszem! Myśli •ciocia, że nie potrafię?... Za tydzień już będziecie państwo mieli wiadomość, jak rzeczy stoją.

— Tylko mój drogi Grzesiu ostrożnie. Tak uważasz w rozmowie, niby tego... Nie chcielibyśmy go zranić, a jeżeli on rzeczywiście nie myśli o niej, to i Kasi nie kompromitować.

— Dobrze zastosuję się.

— Więc nam pisz wszystko, jak tam zastaniesz, co on robi, gdzie bywa... Może jaki ma stosunek?... Słowem wszystkie szczegóły... A obserwuj dobrze...

■ Ledwie, że wyszedłem z pokoju po tej naradzie, podczas której nakładzono mi w uszy mnóstwo upomnień, ostrożności, nawet fortelów, gdy za drzwiami zaraz chwytą mię Kasia. Śliczną była w tej chwili z rozpuszczonymi jasno-blond włosami, ubrana w biały negligowy kaftanik. Zwykle melancholijne jej oczy nabrały ożywionego blasku, a cała twarz rumieniła się z niepokoju.

— Grzesiu! — o czym wy tam mówiliście? Może o panu Waławie?

— Tak sobie o tem i owem... — odpowiadam dyplomatycznie.

— Powiedz prawdę, bo ja się domyślam...

— Mówiliśmy o panu Waławie...

— No cóż, cóż? — pyta żywiej, wchodząc ze mną do pokoju...

— Nic, kazali mi wybadać go, co on sobie myśli...

— Mój drogi, mój serdeczny, mój ty jedyny Grzesiu, nie rób tego. Ja cię na wszystko proszę i zaklinam, nie rób tego, ja nie chcę...

— Ciekawym dlaczego?

— Bo ja sobie nie życzę, cóż ci to szkodzi zrobić raz, o co cię proszę...

— Ale radabyś pójść za niego...

— Nie.

— Ej, nie żartuj!... Czego to udawać, kiedy ja przecie widzę, że jesteś w nim zakochana po uszy...

— Myśl sobie co chcesz, a ja nie chcę, żeby on cośkolwiek wiedział, czegoś się domyślał... Ja sama nie wiem, czy jestem zakochana czy nie... Czasem zdaje mi się, że tak, czasem że nie, ale mnie z tem dobrze i nie chcę nic więcej... Dlatego proszę cię, nic mu nie mów...

— Moja droga — odzywam się na to z powagą — obiecałem matce i muszę. Nie bój się, ja to wszystko urządzę bardzo delikatnie i ogłędnie...

— Ech — rzecze ze łzami w oczach — widzę, że i rodzice i ty chcielibyście się koniecznie pozbyć mig z domu... Czy ja komu zawadzam?

— Przecież raz musisz wyjść za męża!

— Dlaczego muszę? Mam się narzucać komuś, to wolę już zostać starą panną... Mnie tu bardzo jest dobrze i gdyby nie ciotka...

— "Wiesz co, to wyswatajmy ciotkę! — rzeknę na to wesoło, całując usta zasmuconej dziewczyny. ■— Myślisz, żeby nie poszła, co? Tylko prawda, nie tęgobyśmy na tem wyszli, nicby nam nie zapisała; chociaż ja zaczynam na dobre wątpić, czy co i tak zapisze.

— Ej, nie mów tak Grzesiu, bo jutro będziesz żałował. Ja coś wiem, co ci wielką przyjemność sprawi... Słyszałam, że zbiera się dać ci jakiś wielki prezent na odjeźdnem. Uważałeś, że robi się trochę lepszą dla nas; ojcu pożyczyła pieniędzy, mnie dała dziś trzy pastylki miętowe, a to już łaska niezwykła... Prawda, że może zamęczyć ojca, nim przyjdzie ś-ty Michał, bo co godzina pyta go się: „Jas, czy też ty oddasz w terminie?"

Uspokoilem, jak mogłem obrażoną ambicyę Kasi, zapewniwszy, że ja bardzo a bardzo ostrożnie będę obserwował Wacława i z niczem się nie wyrwę...

— Mój Grzesiu, zrób tak, bo ty taki roztrzepany, a jabym się rozchorowała, gdyby on się domyślił, że sobie życzę, aby się oświadczył. Zresztą powiem ci prawdę, że ja miłość inaczej sobie wyobrażam, niż tę, jaką mam dla niego... Jak go widzę, nibyto zajmuje mię, a jak wyjdzie, zapominam o nim... Czy to może taka wszystka miłość na świecie? Poszłabym za niego, bo tego sobie wszyscy życzą i rodzice mieliby spokój co do przyszłości. Wacław jest dobry człowiek, tylko w tym wieku mógłby być poważniejszym...

— Jak pójdziesz za niego, to go wyuczysz powagi, moja ty sensatko...

— Grzesiu — przerywa mi z wyrzutem — jak ty możesz tak żartować w wigilię wyjazdu z domu... Porzucasz nas i nic ci nie żal... pokochasz się tam w jakiej obcej i o nas zapomnisz...

— Cóż znowu—mówię, całując zamglone łzą oczy Kasi.—O was najdroższych miałbym zapomnieć? Nie, to nieprawda. Nie obawiaj się, nie tak łatwo ja się zakocham, nie... ja jestem zimny jak lód i doświadczony...

Uśmiechnęła się tylko Kasia, a grożąc mi palcom, mówiła pieszczotliwie:

— No pamiętaj, bobym ci tego nigdy nie darowa- ła. Ty jesteś i będziesz zawsze dla mnie najukochańszym Grzesiem.

— Jakto, więcej nawet niż Wacław.

— Daj że mi pokój... Tylko żartować umiesz i nic więcej...

A. Wilczyński.—Tom XVII.

V.

Nie potrzebuję odkrywać tu przed czytelnikami stanu mojej duszy i myśli, jakie mi się snuły po głowie podczas ostatniej nocy przed wyjazdem z domu, bo któż z was nie był w podobnym położeniu? Z jednej strony żal ściska serce, że się porzuca tych, co nas tak ukochali, te miejsca, w których zbiegło nam rozkoszne dzieciństwo — a z drugiej trawi duszę niecierpliwość dostania się do tego wielkiego raj, który światem zowie- my. W tej walce przeszłości z przyszłością, na wspomnieniach powoli zapada mgła zapomnienia, a widokrąg jaśniejący zdaleka, zaczyna się skrzyć tęczowymi barwami światła i nęcić myśl i pragnienia. Widzi się już ten rozkoszny ogród życia, te czarodziejskie kwiaty, połyskujące wdziękiem, oddychające ciepłą wonią odurzającą zmysły, i chciałoby się dopaść jak najprędzej i rwać, rwać obiema rękami bez myśli i pamięci... Tak jest, chciałoby się... aby potem zobaczywszy powiędłe w swoich dłoniach, rzucać je bez żalu, jak się rzuca wszystko, co już mamy.

Czem ja już przez tę jedną noc nie byłem! gdzie nie sięgałem, czego nie użyłem? Nie było dla mnie nic niepodobnego. Zdawało mi się, że w spojrzeniu mam pioruny, a na moje rozkazy tylko czyhają czarodziejskie geniusze, aby w okamgnieniu spełnić, co tylko dusza zapragnie. Najoczywiście widziałem, że najcięższe chmury rozstępowały się przedemną, a ja płynąłem na szafirów śm przezroczu nieba niby tryumfator jaki z błogością nieznaną w piersi, z ognistym wzrokiem, sięgającym w przestrzenie, z oddechem połykającym woń całego świata...

Gdy jednak wysilona wyobraźnia poczuła, że lekkie jej skrzydła opadać zaczynają, a bliższa terażniejszość wchodzi na porządek dzienny — stawała przedemną ciotka z sówkami oczami, śmiejąca się i wyróżzowana jak upiór, w czerwonej pelerynce od święta. Siedzi przy swoim biurku, kluczykami w kieszeni pobrzękuje, potem otwiera szufladkę, przerzuca różne teki i namyśla się, czy mi dać gotówkę, czy też list zastawny jaki. Zdecydowała się na gotówkę; widzę, wyciąga jeden stu- rublowy papierek — waha się czy wziąć drugi... bierze i jeszcze się waha... Wyciąga trzeci i mówi:

R — Masz Grzesiu, tylko nie zmarnuj! p, Przyznaję się przed wami czytelnicy, że podczas całej tej sceny serce zaczęło mi bić żywiej i tak się rozrzewniłem, że łap za rękę ciotki, całuję, raz, dwa, całuję z podwójną wdzięcznością, ma się rozumieć, w imagi- nacji, a ona powiada:

||§. — No masz jeszcze jeden... niech ci Bóg błogosławi...

I sięga ręką do szufladki, gdzie leży taka gruba paczka porządnie ułożonych sturubłówek... Czego sobie

miałem żałować? Za czwartym biletem poszedł piąty, przy którym musiałem już zasnąć, bo przypominam, śniły mi się różnego rodzaju atłasowe krawaty na szyję, i garnitur modnego kroju i koloru i ciotka Filomena tańcząca ze mną kontredansa i Waclaw jak bóbr splekany, leżący u nóg Kasi. Ciotka się zżymała na taką unizoność Waclawa, a Kasia przebierała drobnutko nóżkami i cofała się, cofała w tył przed nim i rękami trzepotała i rumieniła się ze wstydu jak polny mak pośród pszenicy...

Jakby umyślnie na moją podróż, słońce zeszło jaskrawo, choć z podejrzaną wiosenną wesołością. Obudziłem się rano, bo trapiący mnie niepokój przed wyjazdem spać nie dawał; więc gdy cisza panowała w całym domu, usiadłem przy otwartym oknie, aby jakoś ten czas oczekiwania przepędzić. Szczególniejsza rzecz, iż w tej chwili wszystko daleko piękniejszym mi się wydało na świecie niż dawniej. Cały sad już zielony, błyszczał obsypany brylantami kropli wczorajszego deszczu, a ja- jskrawo-żółciste promienie słońca, wydobywając z nich tęczowo mieniące się barwy, sprawiały wrażenie jakby cały ten ogród był w ogniu. Słowik, lokujący się zwykle na krzaku bzu tuż przed moim oknem, niezrażony moją obecnością, kończył jeszcze nocną swą serenadę, a tak się biedaczek wysiłał na dobitne trele, że gardziółek jego wydymał się prawie kolisto. Tymczasem i inne ptastwo zaczynało się poruszać na gałęziach starych lip, stanowiących aleję ogrodową, a pierwszą była rodzina szarych wróbli, wykładająca praktyczny kurs życia swoim dzieciom tuż na ścieżce przed moimi oczyma. Sprowadziwszy na dół parę jasno-płowej młodzieży z żółtawymi jeszcze kątami dzióbków, wlatywali i zla-

ty wali rodzice na lipę aby zachęcić pozostałych dwoje wróbli, które nie miały odwagi zaufać swoim skrzydłom. Nareszcie, kiedy cała rodzina znalazła się na ziemi, czupurny ojciec wynajdywał im robaczki, a roz- dziobując na cząstki, sprowadzał malców, którzy zamiast wziąć się do jedzenia jak się należy, trzepotały tylko rozkosznie skrzydełkami, otwierając wielkie swe paszcze, aby tam karmę im wkładano. Jeden, szczególniejszy widocznie faworyt matki, w żaden sposób nie mógł zrozumieć tej manipulacji jedzenia, lecz biegał za nią lekkomyślnie i ćwierkotał i zaczął ją pieszczotliwie, jak zadąsane dziecko, trzymające się matki. Widok ten cokolwiek mię zawstydził, bo przypomniało mi się własne położenie moje, ta sama doza niedołęztwa, z powodu którego ojciec musiał znieść tyle upokorzenia, biorąc pożyczkę od ciotki, aby mnie, już dorosłemu chłopakowi wkładać pokarm do dziobka.

Wewnątrz mej duszy wzbudził się pewien wstyd przed samym sobą, skutkiem czego młodzieńcza moja ambicya tyle i takich nagadała panu Grzegorzowi wyrzutów i morałów, że podobnych pewno już więcej w życiu nie usłyszę Boże drogi, jak to często podobna scena powtarza się między sumieniem a złemi skłonnościami człowieka, a wszystko to idzie na marność, bo żaden sąd na świecie nie ma tak dzielnych adwokatów jak sąd naszego sumienia.

Tak też wkrótce i ze mną się stało, gdy usłyszałem pierwsze kasznięcie pani Filomeny za ścianą. Szanowna dobrodziejka nasza zwykle w ten sposób rozpoczynała dzień boży, poczem szła już nieprzerwana z Kasią rozmowa, dolatująca mię w kształcie monotonnego niby po pustej becze dudnienia,

Wszystkie ambitne intencje obchodzenia się bez pomocy innych pierzchły od razu, a przypominała się obietnica jakiegoś datku od cioci i ta cała myśl moją zaabsorbowała.

Nie chcąc czytelnikom moim wydać się lepszym od innych, powiem, że pod wpływem tej nadziei, zaczęła blednąć poprzednia niechęć moja do pani Filomeny. Pomimo woli, ułożywszy twarz moją w wyraz ile można najśladzszy, zapukałem do drzwi.

— A kto tam taki ranny ptaszek?

— Ja, Grzesio, chcę powiedzieć ciotuni dzień dobry.

— Otwórz mu Kasiu!

— No, no, a zkadże się to asanowi wzięło—mówi dość opryskliwie, spoglądając na mnie, gdy składał pocałunek na jej rękę.

— Nie mogłem spać proszę cioci, przed wyjazdem, różne myśli...

— Hm, ja nigdy nie śpiam, choć nie wyjeżdżam i o głupstwach nie myślę... Ho, ho, mój paniczku, coś ja nie mam dobrego przeczucia o twojej przyszłości... Sowizdrzał z asana, pustki w głowie jak w starej stodole...

— Będę pracował, kochana ciociu i tak spoważnieję, że ciocia mię nie pozna. Zresztą będę się zapatrywał na pana Waclawa.

— Daj Boże! Jedną ci tylko dam naukę, staraj się obywać tem, co masz i nie pożyczaj pieniędzy. Wziąć, to łatwo, ja wiem, ale jak przyjdzie oddać, to trochę trudniej. Wy oba z ojcem macie wspólną żyłkę do marnotrawstwa... Miejcie sobie, kiedy chcecie, ale nie dręczcie ludzi, którzy wam pożyczają i sen z tego powodu tracą... I kiedyż odjeżdżasz?

— Dziś przed południem.

— Hm, to idźże się przygotować do drogi, a jak wszystko załatwisz, przyjdź do mnie. Dałabym ci może coś na pamiątkę, ale bo ty uszanujesz?...

— A moja ciociu, przecież jestem dorosłym mężczyzną!

— Tak na oko, Bóg ci wzrostu nie pożałował, ale tu, tu — rzecze, pokazując palcem na czoło — nie tego.

Nareszcie po śniadaniu, które dla mnie było tylko przygotowane, pojawiła się pani Filomena, a podzieliwszy je sumiennie ze mną, wzięła mię poufale pod rękę z miną bardzo tajemniczą i zaprowadziła do swego pokoju. No, myślę sobie, da przynajmniej sto rubli, babina nie jest tak zła, jak mi się zdawało, nudna, bo nudna... jak wszyscy w podeszłym wieku.

Wszedłszy do pokoju, zamknęła drzwi za sobą, są wyjąwszy kluczyki z kieszeni, otworzyła wielką szafę na suknie... Co ona będzie robić? — pomyślałem, patrząc, jak się wspina na palce i coś zdejmuje z wieszaka.

— No, masz Grzesiu, rzecze, podając mi odwieczny granatowy frak ze złoconemi guzikami, jeszcze po nieboszczyku mężu adwokacie. ■— Nie żenuj się, weź chłopcze, powinien dobrze leżyć na tobie, bo mój tego samego był wzrostu... Widzisz, prawdziwa atlasowa podszewka, hę... Weź w palce... Parę razy już chciałam ją wypruć na plisy do sukni, albo na kapelusz, ale pomyślałam, że to szkoda psuć... Zobaczysz jak się ubierzesz w niego, to wszystkie panny będą za tobą strzelać oczkami, a ja ci napiszę list do Horci, mojej koleżanki z pensyi... Co to za ładna była dziewczyna, nie uwierzysz?... Mówię ci, cera krew z mlekiem... Pewnie

dotąd nie poszła za męż... No weźże, czegoż ja będę trzymać!...

Przyznam się państwu, że zgłupiał kompletnie, a takim był zirytowany, że o mało mię apopleksya nie uderzyła. Nie wiem, kiedy i jak, ale przypominam sobie, że ciotkę jeszcze pocałował w rękę i czerwony jak upiór wyszedł niby człowiek pijany gniewem i żółcią. Na nieszczęście nawinął mi się we drzwiach jadalnego pokoju szanowny kot "Wiernuś, który nie zważając na moje usposobienie, stąpił poważnie zmierzając ku mieszkaniu ciotki. Przytrzymał go we drzwiach i wy- grzmocił z całej siły owym frakiem, było dziełem jednej chwili. Wzięty w kleszcze tłuszcioch, zaczął krzyczeć przeraźliwie, a na ten krzyk wybiegła ciotka i zobaczyła ten niefortunny objaw mej zemsty...

— Zbójco!... co robisz! — krzyknęła nademną. A ja puściwszy klamkę drzwi, drapnąłem co sił z owym frakiem do mego pokoju...

Pierwsza rzecz była rzucić tę starą tandetę na ziemię i podeptać nogami ze złości, nie zważając, że w całym dworze zrobił się niesłychany rej wach. Słyszę przez ścianę, kot ciągle jeszcze miauczy, a do pokoju przybiega matka, potem Kasia, potem Piechocińska, a ciotka krzyczy... Słyszę, przynieśli mosiężną miednicę i leją nań wodę, gdy zagniewany ojciec wpada do mego pokoju.

•— Grzesiu, co ty zrobiłeś?

— Niechno tatko zobaczy, co ona mi dała — mówię, pokazując leżący frak na ziemi.

— Ja ci się pytam, co ty zrobiłeś temu kotowi?

— Nic proszę tatki, wlaź mi pod nogi... we drzwiach...

— To takie ty masz serce, mścić się nad kotem, dlatego że ciotka stary frak ci dała!...

Poczekajże, ja ci to przypomnę... Idź natychmiast przeprosić!...

Stałem milcząco zakłopotany.

— Natychmiast mi przeprosić ciotkę! — krzyknął głośniejszym głosem, pokazując ręką na drzwi...

Ja jeszcze stałem.

— Natychmiast! — zawoła jeszcze głośniejszym głosem, przyskoczywszy do mnie.

Ojciec był pasjonatem, niebyło przeto innej rady, tylko iść do pokoju ciotki.

Staję przed uchylonymi drzwiami, i wsuwam się cichuteńko, a tu stara z Kasią nachylone nad sofą, opatrują kota niby małe dziecko. Kasia ma łzy w oczach, a ciotka tylko się trzęsie, rozważając żale nad Wiernu- siem, który z całym poddaniem się swojemu losowi, leżał rozciągnięty jak baran i pozwalał wszystko ze sobą robić... Raptem, spojrzawszy w moją stronę, zaczął się gwałtownie wyrwać z rąk trzymających go kobiet, a ja się odezwałem z pokorą:

I — Daruję ukochana ciocia... ; — Precz, precz, precz! — krzyknęła przytrzymując jedną ręką wyrwijającego się faworyta, a na mnie rzucając wzrok bazyliuszka...

— Przepraszam najmocniej...

— Precz, precz, precz! — powtarza swoje — ty rozbójniku jakiś!

k Skoro precz, to się wynoszę, lecz tuż za drzwiami spotykam piorunujący wzrok ojca. i — Nie da się przeprosić — mówię, y — Idź mi natychmiast!

"Więc wchodzę już żywiej, a kot jak skoczy z sofę, to o mało ciotka przy cofaniu się nie upadła.

— Precz!—krzyknie jeszcze głośniejsze, tupiąc nogą...

— Filusiu daruj mu... głupstwo... dzieciństwo...— mówi ojciec.

— Niech idzie, bo "Wiernuś się go boi! —woła już trzęsąc się od gniewu ciotka...

— No, cóż wielkiego kot...

— Ja nie chcę, nie potrzebuję żadnych przeprosin. To chłopiec bez czci i wiary!... Nic nie chcę, niech on tylko ztąd idzie...

— Ech, do licha, bo też i ty fiksujesz!—mówi już żywiej ojciec, dając mi znak abym poszedł...

— Ot, widzisz, to twoje zasady... filozofia...

— Cóż tu ma filozofia do tego?

— Hm, ja znam waszą naturę... wszystko na rozum, bez serca i sumienia... Tak wy się tylko pochlebiać umiecie, jak ciotki potrzeba... Bałam mu frak po nieboszczyku... całował rękę ten Judasz... Ho, ho! nic z niego dobrego nie będzie... zobaczysz!

Ojciec ną to coś przyciął, ciotka wybuchła jeszcze lepiej, przysłała na stół pożyczka owych tysiąca rubli i od słowa do słowa zaczęła się taka kłótnia w pokoju, że ciotka zemdlała upadając na sofę, musieliśmy lać wodą i dopiero gdy przybiegła matka, i wyprowadziła nas gwałtem z pokoju—uspokoilo się trochę.

Musiałem bez pożegnania wyjechać, bo nie chciała mię w żaden sposób widzieć, a że i ojciec był rozdrażniony, więc chociaż ochłonął, to pożegnał mię zimno- wręczając kilka listów do znajomych w Warszawie i pięćset złotych gotówką z zapowiedzią, że to ma wystarczyć na pół roku. Pocziwie tylko matczynsko, co nie straciło do mnie serca; żegnając się, upominała, abym pracował i na swoje siły liczył w przyszłości, bo wszelka nawet nadzieja łaski, jak widzisz, za wiele kosztuje upokorzenia.

Przy wsiadaniu, kiedy cała rodzina wyprowadziła mię do ganku, potrafiła mi wcisnąć do ręki jakiś węzełek, a Kasia szepnęła miłosiernie:

— Grzesiu, daj pokój Wacławowi, jak mi przeznaczone, to bez wszelkich zachodów się obejdzie.

Przyznaję, że z godzinę jeszcze jechałem w smutnym usposobieniu; raz, że przykro mi było wyjeżdżać z rodzinnego gniazda, a powtóre, że ostatnie zajście z ciotką leżało mi nieprzyjemnie na sercu. Wyrzucałem sobie tę niewczesną zemstę, która wyglądała na figiel studencki, lecz jak to zwykle bywa, miłość własna wzięła górę, oburzenie na skąpstwo i despotyzm ciotki zwiększało się tak, że gdybym ją w tej chwili zobaczył przed sobą, to powiedziałbym jej takie słowa prawdy, jakich dotąd pewnie od nikogo nie słyszała.

Ta irytacja moja musiała manifestować się dość żywo na zewnątrz, skoro imiennik mój Grzegorz, powożący parą fornalskich koni, oglądał się co chwila na mnie i patrzył dziwnym wzrokiem na moje ruchy i oderwane słowa pogrózek.

Dziwny jest fenomen następstwa myśli ludzkich, a jeszcze dziwniejsza łączność znikających z nowo powstającymi. Na przedmiocie niemającym najmniejszej styczności z bieżącym myśleniem, pokaże się jakaś szczelina, w którą zaczepia się coś niby haczyk, a na tym haczyku zaczynają się wieszać myśli niemające żadnego związku z poprzednimi, a tym sposobem coraz dalej snuje się ta cudowna mozaika fantazyi ludzkiego umy

słu, czerpiąca materiały w przeszłości. Z irytacji na ciotkę, wpadłem na dobroć matki, z tego na obejrzenie sypełka z pieniędzmi, z tego na przyszłe urządzenie się moje w "Warszawie dalej na karierę, jaką mogę zrobić i jak wtedy zaimponuję ciotce, a rodzinie całej pomyslność zapewnię. Naturalnie, że tu zamieszła się widzenie niezwykłego wypadku, który mnie od razu zrobi bogaczem, znalezienie jakiej sumy, wygranie na loteryi lub bogate ożenienie się...

Przy ostatniej fazie stanęła przedemną urocza postać dziewczęcia o fiołkowych oczach, które tak głęboko zapuszczała w moją duszę, że jakoś serce zaczęło mi bić żywiej, rumieniec na twarz występował, a jestem przekonany, że i moje oczy musiały mieć blask szczególniejszy, bo czułem, że rzucam z nich iskry, od których przy - szła moja owinięta w mgły bogdanka kraśniej jak róża... W tym kierunku szły coraz bardziej moje dumania, i coraz to przyjemniejszej tendencji tak, że wkrótce przykre wrażenia z odjazdu uleciały gdzieś daleko wstecz, jak piękne krajobrazy, znikające przed podróżnym z okien wagonu. Naturalnie, że nie żałowałem sobie wszelkich szczęśliwości, które mnie tak małe kosztowały; pałace, dobra, ekwipaże, galerye* podróże, wszelki komfort życia, ton osobistej dystynkcji, wspańiałomyślność pańska, czasem szydercze lekceważenie— wszystko to wysnuwało się dość zgrabnie jedno z drugiego, choć na końcu zawsze zastępowała mi drogę czerwona postać ciotki Filomeny, którą na każdym kroku karcilem za jej wyniosłą dokuczliwość, i sprowadzałem jej majątek w porównaniu z moim do zera...

Ale tych wszystkich myśli ledwie wystarczyło na dwie mile ujechanej drogi; że zaś przedemną leżało jeszcze pięć do najbliższego miasteczka, z kąd już kursowały dylizanse do Warszawy, zatem po takim wysileniu się nastąpić musiało zmęczenie i nuda. Zabranie się do kosza z prowiantem urwało trochę czasu, potem papieros, potem śpiewy, potem gra na harmonijce, a gdy to wszystko do pierwszego popasu już się wyczerpało, zacząłem drzemać, bryczka albowiem posuwała się wolno wśród grzęzkich piasków, w jakie okolica ta obfituje...

Mój Grzegorz, zubożały szlachcic cząstkowy ze wsi sąsiedniej, służący u nas za fornała, wcale nie był rozmowny, a do tego jeszcze tak szeplenił, że ile razy się obejrzał, aby mi coś odpowiedzieć, musiał dwa razy jedną rzecz powtarzać, bom go nie mógł zrozumieć. Siedział na swoim worku z obrokiem w kapocie z ciemnozielonego sukna, czerwonym pasem okręcony, i nieustannie rozmawiał tylko ze swojemi końmi. Naręczna kara klacz była trochę leniwą, więc też nieustannie wyprawiał z nią hece, aby szła równo, i deresz faworyt nie był tak przeciążony. Co chwila stawaliśmy na drodze; Grzegorz majstrował coś koło niej, to pasując lejce w inny sposób, lub ukrócając postronki. Lecz niech tylko ruszymy dalej, a on ją podetnie, zmyślna klacz tylko wierzgnie swawolnie, i już przestąpi postronek. Stajemy znowu. Grzegorz schodzi po dyszlu, chwyta chime- ryczkę za nogę i woła: „noga, noga!" Ale klacz okazuje się tak dalece głuchą na wszelkie perswazyje i przekleństwa, że nietylko nie myśli nogi podnosić, ale nawet stawia opór wszelkim usiłowaniom Grzegorza. Więc odczepiaj postronek od orczyka i przekładaj jak potrzeba. Czem dalej w drogę, tem kara coraz częściej powtarza swoje wierzgające manewry, a cierpliwość Grzegorza zużywa się na szturkaniu jej po łbie i wymyśla-

niach takich, że gdyby kapryśnica ta choć połowę ich rozumiała, z pewnością wstydziłaby się swoich postępów...

— Czego ty krzyczysz? — mówię do Grzegorza — kiedy ona. tego nie rozumie.

— A, nie rozumie... ona nie rozumie — powtarza syczącym głosem. — Rozumie ona prosię panicza lepiej niż ludzie... Tak, oglądaj się, o oglądaj... ty jakaś... Poczekaj, ino przyjedziemy do chałupy, sprawię ja ci okulary... Jużto nasz pan, to dobry jest, ale skąpy. Odkąd ja molestuję, żeby kazał do trenzli przyszyć okulary dla niej, i nie, i nie.

— A na cóż te okulary?

— Jakto na co? Żeby nie widziała, jak ją się ma bić... Dlaczegoż to deresz ciągnie bez przyniewoli- ska, ani go tknę a idzie... Dobry to koń ten deresz...

Wśród tak pouczającej rozmowy i nieustannych ujadań się Grzegorza z karą, dowlekliśmy się jakoś do miasteczka. Była godzina może ósma wieczór, ale ciemno, bo niebo się zachmurzyło na zachodzie i znowu deszcz drobny padać zaczął. Jakkolwiek byłem już parę razy w tem miasteczku i wiedziałem, że u Chaimka niezły jest zajazd, to wszakże takie błoto było w ulicach, że koniska zeń ledwie nogi wyciągać mogły.

— Zajedźmy do tej oto karczmy — odzywa się Grzegorz, pokazując biczyskiem na mdłe światełko, wydobywające się przez drobne szybki okna.

— Można tu zanocować?

— Dlaczego nie, ja tu raz nocowałem, tu stajnia jest dowodna i studnia blisko... a nie zdzierają...

— A stancya jaka?

— A jakże, jest i stancya dla gości...

— Ech, lepiej jedźmy już do Chaimka.

— Prosię panicza, szkapy nie dojdą, to jeszcze spory sztuk drogi, a tam koło apteki to nie przejedzie... Choć trochę wytchną koniska...

Łatwo było mię namówić, bo już taką mam naturę, a że deszcz padał coraz lepszy i czułem go dobrze, więc mówię:

— Zajeżdżaj!

Grzegorz podciął konie, aby się wywindować na wzgórek, na którym stała owa karczma, a że kara już nie miała ferworu do wierzgania i czuła, że to się jedzie do stajni, więc wkrótce dostaliśmy się przed podsienie otaczające dwie strony zajazdu. Wołamy, żeby kto wyszedł otworzyć bramę do stajni—nikt nie wychodzi, lecz. za to dolatuje nas z wewnątrz niezwykle gwar ludzi niby brzęczenie pszczół w ulu podczas rojenia, z pośród którego wyrywa się kiedy niekiedy głośniejszy śpiew pijacki. Schodzę więc sam z bryczki, i zaglądam do izby szynkowej. Tu ludu jak nabił; i mężczyzn i kobiet i dzieci, a tak duszno, że oddechu złapać nie mogę. Zdała przez głowy gwarzących widzę tylko ćmiącą się przy szynkwacie łożówkę, osadzoną w rozszczepianem drewnie, której światło ledwie że dyszy wśród pary, raczej mgły zaduchu. Nie mówię już o zapachu mieszaniny wódki, tytoniu i innych tego rodzaju karczemych wyziewów, lecz z wielkim wysiłkiem toruję sobie drogę do owego eldorado ze świeczką. Po za wysokimi sztachetami, oddzielającemi szynkwacę, od reszty klientów, stoi jakaś rozczochrana kobieta z czerwoną na bakier nasadzoną chustką na głowie, nakształt turbanu, i dość niezgrabnie toczy z baryłki wódkę do blaszanego naczynia. Ko-

biefca owa widocznie już dobrze ma w czubku, bo wódka jej się przelewa po rękach, gdy stojący urlopnik w starym płaszczu i czapce nasadzonej na ucho coś tam bardzo rozweselającego musi jej prawić, skoro szynkwaso- wa Hebe śmieje się ochoczo i jeszcze bardziej wódkę rozlewa.

— Moja kobieto — mówię, dostawszysię do balustrady—nie ma tu kogo, coby wrota do stajni otworzył?

Pół słuchając mnie, pół innych gości szturmujących to o wódkę to o bułki, to o podanie świeczki do zapalenia fajki, odpowiada mi wśród tego krzyku, że trzeba iść do gospodarza w alkierzu... Przeciskam się tedy do gospodarza. Tu cała żydowska rodzina siedzi przy szabasowej kolacyi, jasno oświecona kilkunastu łojówka- mi w różnej wielkości lichtarzach. Zobaczywszy mnie zerwała się gospodyni, stara już i dobrze otyła Żydowica, zapraszając, abym wszedł dalej. Ile tam jest tych żydów—trudno mi już zliczyć; widzę tylko, że siedzą przy owym stole prawie jedno na drugim, a za nimi sterczy wysoko usłane łóżko z betami w pstrokatych poszewkach, a jeszcze wyżej pod samym pułapem błyszczą cynowe talerze, niby wielkie wołowe oczy. Mały szaj- gec w negliżu ustąpił mi miejsca w ten sposób, że mogłem wejść i drzwi za sobą zamknąć.

— Czy nie możnaby tu zajechać na nocleg? — pytam.

— A wielmożny pan zkąd?

Z Porzeczka...

— Dlaczego nie... A gdzie pan jedzie?

— Do Warszawy, chciałem się dostać na jutrzejszą kuryerkę...

— Kuryerka już dwa dni nie odchodzi, bo szosa jest zepsuta i mosty zerwało...

— Więc każcie otworzyć stajnię, a dla mnie proszę o stancję.

Żydówka spojrzała na starego żyda i coś poszwargotała, żyd nie odwracając oczu od książki, coś również odmruknął — poczem zaszwargotała do chłopca, który drapiąc się i krzywiąc wziął z za pieca latarnię do ręki i leniwym krokiem zmierzał do drzwi bocznych, prowadzących z alkierza do stajni.

I — Widzi wielmożny pan, u nas jutro jest odpust na świętego Stanisław, to się najechało tyle luda.

— Ale stancja jest? — bo jak nie ma, pojedę do Chaimka.

— ■ A jakże jest, bardzo porządne stancje. — Na co Chaimka. Wielmożny panicz prześpi się u nas, jak w palec (miało to znaczyć w pałacu). Do Chaimka wczoraj przyjechał teatr, tam wszystkie numerów zajęte, co ani szpilki nie wsadzi... Może panicz pozwoli jakie ryby?

| — Dziękuję... Cóż to za teatr i zkąd?

■ — Kto jego wie zkąd?... Te komedyanty, to one są z cały świat. Oni tu przychodzili najmować stajnię, ale ja nie chciała słyszeć o tem. Na co mi takich go- ściów... Niech Chaimek ich. trzyma... a wa!

Rozmawiamy jeszcze chwilę, lecz gdy nie wraca ów żydek, który miał wpuścić konie z bryczką do stajni. pytam się o ową stancję.

— Zaraz, on panicza zaprowadzi.

Tymczasem w szynkowej izbie wszczynają się jakiś głośniejszy rejwach. Słyszę doniosły i chrapliwy głos owego urlopnika, jak tam po wojskowemu maltretuje

A. Wilczyński.—Tom XVII.

kogoś. Inne cywilne głosy odpowiadają mu żywo, aż tu nagle rozdzierający krzyk kobiety głośniejszy to wszystko.

— O rany Bozkie... o rety... czego mi ty Rusinie zabijasz!...

Chcę drzwi otworzyć, żydówka mi nie pozwala, lecz z najobojętniejszą miną odpowiada:

— To nic, pijaki krzyczą... niech oni sobie krzyczą...

Ba, ale kiedy te krzyki zaczynają być coraz groźniejsze, przemieniające się w piekielny hałas, wycie, jęk i gwar nie do opisania. W izbie coś tam musiało zajść groźnego, czy mordują kogoś, czy też ogólna bijatyka w rzeź się zamieniła, bo tylko ściany dudnią i trzęsą się, jakby je gwałtem rozpychano. Żydówkę wcale to nie przestrasza, bo z najzwyczajniejszą miną sprząta ze stołu szabasowe jedzenie, i dopiero gdy sztachety otaczające szynkwasa na dobre trzeszczyć zaczynają, otwiera drzwi raptem, a przez nie pchani z wewnątrz wpadają jeden, drugi i trzeci chłop i jakaś kobieta z dzieckiem, która przewraca się na wysokim progu alkierza. Spojrzałem do izby. Strach, co się tam dzieje! Gromada ludzi zbita w jeden kłęb jak splot gąsienic z wystające- mi głowami w baranich czapkach i chustkach kolorowych — gromada wrzeszcząca i przerażona ciśnie się ku owej drewnianej balustradzie, przy której plecami oparty stoi ów żołnierz, chłop rostry jak dąb, łomocząc grubą nogą od stołka nacierających nań przeciwników. Razy idą gęsto, niby grad bijący w szyby, i to nie pytając gdzie padną, a za sztachetami baba szynkarka wrzeszczy w niebogłosy...

Nie widziałem w życiu równie zacieklej walki i takiego piekła. W izbie ludu jak nabił, krzyk, rwetes,

okna brzęczą, ściany dudnią, powaleni jęczą, a tu świeczka tylko że migocze, do alkierza tłoczy się coraz więcej pijanych i wszystko to gramoli się, aby powstać na nogi. — Nareszcie sztachety nie wytrzymały parcia i w jednej chwili trask... i żołnierz i napierający i beczka z wódką, i szkła i świeczka ze ściany wali się to z ogromnym brzękiem i łomotem na jedną gromadę.

Żydówka, mimo to, że był szabas, zaczyna także krzyczeć; próbuje zamknąć drzwi od alkierza — ale gdzie tam można powstrzymać fale wypychane z izby szynkowej. Już alkierz jest pełny, żydziaki uciekają na stół, ze stołu na łóżka z betami, ja rejteruję się ku drzwiom od sieni, a stary żyd talmudysta, który siedział z powagą, trzymając księgę przed sobą, tak jest przytłaczony do ściany, że tylko oczy ze strachu wyłażą mu na wierzch. Nic nie pomaga, że gospodyni z rozpaczy drze chłopów za czupryny, niby jaką nać z marchwi — tłum ciśnie się bezwiednie, przewraca stoły ze świecami i robi się ciemno, jak w piekle.

Obawiając się, że lada chwila mogą się rozepchać drewniane ściany domostwa i belki spadną na głowy, rejteruję się do owych drzwi bocznych, wiodących z alkierza do stajni. Nie widzę nic przed sobą, potykam się co chwila, lecz jakoś gramolę się coraz głębiej, aż wreszcie owiewa mię świeży prąd powietrza i słyszę wyraźnie parskanie koni. No, chwała Bogu, jestem w stajni, i na cały głos zaczynam wołać Grzegorza...

— Ja tu proszę panicza, w bramie — odzywa się z drugiego końca.

Kieruję się tedy za jego głosem i słabym błyskiem latarki, którą mu żydek przyświeca, a pomimo to, że

muszę przelazic furę za furą, ściśnięte jak śledzie w beczce, docieram jednak do owej bramy.

— Grzegorz, zaprzęgaj i jedźmy... tylko prędko mój drogi, bo strach co się tam dzieje w karczmie!...

— Ale zaprzęgaj — powtarza, stękając — kiedy się wydostać nie można... Ten szelma żyd kazał mi je? chać, a tu ino konie wlaży i dwa przednie koła przez próg przeskoczyły — a teraz ani naprzód ani w tył.

Rzeczywiście tak było: Grzegorz unosi bryczkę, ja cofam konie, żydek stojąc na drugiej furze, świeci nam latarnią, ale coś tam się z boku zawadziło w bramie, że choć pękni, nie można w tył ruszyć.

— Niech tam wszyscy kaci porwą! — zawoła zrozpaczony Grzegorz, ocierając swe ręce z błota — ja tu nie poradzę.

— Więc cóż będzie?

— A niech ta będzie, co chce, ja nie poradzę...

— Słuchajcie gospodarzu — odzywa się żydek — wy już tak musicie stać do rana. Jak się rozwidni, to znajdziemy chłopą, co wam pomoże...

— Ale, będę ja ci tam stał do rana, kiedy się leje na całe siedzenie...

— To zakryj derkami i koniom daj siana — mówię — bo cóż robić. Najgorsza rzecz, co ja tu z sobą zrobię? Gdzież jest stacja, coś mi obiecał zaprowadzić...

— Niech pan idzie ze mną, tylko niech pan patrzy, bo tu jest same fury.

Skacząc z wozu na wóz i tratując bez pardonu po śpiących tam furmanach, dostajemy się na drugi koniec stajni, gdzie przewodnik mój otwiera mi małe i niskie drzwiczki, niby od jakiegoś chlewka.

— Niech się pan schyli...

Schylam się, jak kazał i wchodzimy naprzód do grubej kominowej, czarnej jak piekło, a z tej do małej izdebki kwadratowej.

— To to ma być stacja gościnna? — pytam, rozglądając się do koła. — Ależ to jest obora czy chlew.

— Jakto obora? — powtarza z obrazą żydek — przecie tu różne panowie nocują?

■ — A na czymże oni nocują.

— Ny, tu jest kanapa, niechno pan zobaczy... Pan Kowalski, ten co wieprzem handluje i takie ma duże pieniądze w trzos, to on zawsze tutaj nocuje... Jak pan każe to gospodyni da poduszkę...

— Nie, mój kochany, ja nic nie chcę, tylko przynieś mi drugą świecę, bo ta już się dopala i szklanę wody...

— Zaraz — mówi żyd, i poszedł...

Jak poszedł, tak i przepadł. Ja czekam, chodzę po owej stajni, która nawet podłogi nie ma, tylko z gliny ubitą polepę, a o żydzie ani słyhu. Biorę tedy latarkę w rękę i zaczynam się przy słabym blasku szabasowej lojówki rozpatrywać w tem nowem mieszkaniu. Ściany przed kilku laty były tu może bielone, dziś ledwie gdzie niegdzie znać trochę wapna. W oknie dwie tylko całe szyby, dwie zaklejone papierem, a we dwóch są kawałki szkła, podtrzymywane rozpiętami na krzyż drewniakami. Co tam zawieje silniejszy wiatr ze dworu, krople deszczu wpadają przez otwory, papier się wydyma z łoskotem a resztki szkła brzęczą, tak przeraźliwie, jakby dygotały w febrze. Przez szczeliny w ścianach przechodzi zimny powiew, w na pół rozwalonym piecu coś wyje i jęczy, jakby zły duch tam pokutował,

na dworze ciemno i deszcz leje jak z cebra, a z powały kapie woda, z szczególniejszym pluskiem wyślabiając dołki w gliniastej podłodze. Pod oknem na dużej beczce widocznie po kapuście, bo czuć ten zapach dokoła, leżą drzwi z jedną zawiasą — to ma być stół. Obok niego coś podobnego do krzesła z połową oparcia, a owa przechwalona kanapa, na której ten znakomity handlarz wieprzów tak wygodnie ma nocować, niestety ma tylko z sześciu trzy nogi i tak rozłokowane, że gdzieindziej jak na samym środku bez niebezpieczeństwa usiąść na niej nie można... Kiedyś miała pokrycie z drelichu w pasy, dziś zostały tylko szczątki, zwieszające się w fe- stonach na ziemi, a za to wszelkie jej pakulaste wnętrzości wyglądają w różnych miejscach niby fale morskie i wcale niezachęcająco do powierzenia jej swych kości.

Ha, myślę sobie, kiedy nie można inaczej, trzeba się jakoś rozgospodarować, aby przesiedzieć do świtu. Patrzę na zegarek, dopiero dziesiąta, okropność, co ja tu będę robił do rana. Najprzód wypadałoby się zamknąć, bo i pieniędzy dosyć miałem ze sobą i spać mi się chce, więc myślę, że potrafię się położyć. Ba, jakże tu się zamknąć, kiedy właśnie owe drzwi leżą na beczce i stół zastępują. Idę do drugich i do sionki — te nie mają żadnego haczyka ani też skobla od wewnątrz... Szczęściem, że w tej grubie dostrzegam na boku jakąś zagrodę, z której wyjąwszy drąg jeden, podpieram nim owe drzwiczki i już spokojniejszy wracam do stancyi. Teraz trzeba by coś z tą kanapą zrobić, żeby się nie przechylała, a przynajmniej podeprzeć jedną stronę. Rozglądając się dokoła, widzę tylko kawałki cegły, sterczące w rozwalonym piecu, więc z tych robię jakie takie podmurowanie, a zdjawszy z siebie surdut, układam go zamiast poduszki — latarnię stawiam z resztą świecy na stole i położywszy się z całą ostrożnością na owych bufach z pakuł, okrywam się przemoczoną burką.

Nie powiem, żeby to był przyjemny nocleg przy pierwszej w świat wyprawie, i dlatego ponure myśli rozczarowania zaczynają mi przebiegać po głowie. Nie powiem, żeby mi było wygodnie, bo kanapka trzeszczy różnemi głosy i trzeba się zachowywać na niej spokojnie, jednak gdy świeczka w latarce zkończyła z pewnym sykiem doczesny swój żywot, oczy mi się trochę skleiły i począłem drzemać. Naraz czuję na twarzy jakieś wilgotno-zimne dotknięcie i zrywam się na równe nogi.

— Kto tu? — krzyknę.

Nikt nie odpowiada, tylko słyszę szczególniejszego rodzaju pukanie po stancyi, jakby ktoś chodził na korkach i znowu cicho. Nie liczę się do tchórzów, ale strach mię przejmuję, przypomniawszy sobie owego wielkiego urlopnika, rozbijającego chłopskie głowy i dech w sobie zapieram. Jednak po chwili, gdy wszystko ucichło, zbieram się na odwagę i delikatnie zaczynam szukać po kieszeniach zapalek. Jeszcze jest cisza, więc pocieram jedną o pudełko. Światło błysnęło i przy nim dostrzegam jakąś pstrokatą, z wielkimi oczami istotę. Zapalam drugą i teraz rozpoznaję już może dwutygodniowe ciele, które przestraszywszy się światła, zaczyna rej terować do ściany. Cóż się pokazuje? Oto, że w sionce, a raczej grubie pieca, miało ono tam swoją zagrodę, którą właśnie, wyjmując drążek do podparcia drzwi, nadwerżyłem i że korzystając ze swobody wyszło na spacer do mojego mieszkania.

Z wielkim trudem i uporem tego potomka krowiego rodu zataszczyłem go napowrót do jego kwatery, lecz o dalszem spaniu już ani myśleć. Przeklinając na czem świat stoi: oberżę, żydów, losy i Grzesia, który mię namówił, chodzę jak lew rozjuszony po swojej klatce. Godzina za godziną wlecze się nadzwyczaj leniwie; co spojrzę na zegarek, to dopiero kwadrans, kiedy mi się zdawało, że przynajmniej trzy powinny były upłynąć; więc siadam. Kładę się, wstaję, liczę pianie kogutów, przysłuchuję się parskaniu koni, a swoją drogą jeszcze niema dwunastej... Nareszcie zabrakło mi już zapalek i papierosów, nie mogę zobaczyć godziny, więc zaczynam śpiewać, potem toż samo wygwizduję, potem recytuję na pamięć wszystkie wiersze, jakie tylko od dzieciństwa zapamiętałem i w ten zresztą bardzo miły sposób dostrzegam rozjaśnianie się nieba od wschodu. Kiedy już w stajni mogłem rozróżnić wozy, przedostaję się przez nie do otwartej bramy i budzę Grzegorza, który nakrywszy się derami, śpi sobie najsmaczniej na bryczce. Po wielu wysiłkach i wyprężeniu koni, wypychamy nasz ekwipaż za bramę, a choć deszcz nie ustał jeszcze padać, puszcza się do zajazdu Chaimka. Ledwie że konie ruszyły z miejsca, gdy wypada z karczmy ów żydek, który zginął, poszedłszy po świecę i żąda zapłaty za numer.

— Za co? — pytam go, ledwie że nie wyskakując ze złości.

— Ny, za stancję dwa złote, za świecę dziesięć groszy... za stajnię...

— A bodajes ty przepadł z tem wszystkim! — krzyknę, rozkazując jechać dalej.

Ale chłopak czepia się uzdy koni i nie puszcza, a sama żydówka staje we drzwiach i zaczyna się kłótnia na dobre. Ja wymyślam i krzyczę, żydówka jeszcze lepiej, a że z izby szynkowej zaczynają pokazywać się inni ludzie, biorący stronę gospodyni, kończy się na tem, że muszę zapłacić.

VI.

Już z samej powierzchowności widać, że zajazd Chaimka wcale co innego. Jestto wielka, rozlewająca się murowana budowla z żółtymi, koloru cytryny ścianami. Dach trochę się wygina i bakieruje w jedną stronę, ale za to ma jasno-niebieskie okiennice, drzwi zielone i wielki przez całą długość ciągnący się napis „Re- stauracya i Bilard.” Zastajemy cały dom szczelnie zamknięty; dwie bryczki frachtowe stoją obok stajni, wysoki żuraw poruszany wiatrem tylko skrzypi, więc zaczynamy szturmować jednocześnie i do bramy stajennej i do drzwi wchodowych. Bijemy pięściami, kołaczemy w różny sposób — nikt nie otwiera. Po półgodzinnem może takim dobijaniu się, kiedy już ręką ledwie mogę ruszyć — pokazuje się zaspany żydzina z głową formalnie udekorowaną w pierze.

— Dawaj stancję!

— Ny, niema stancyi, wszystkie zajęte od aktorów. Może pan chce na salę.

— Prowadź na salę, choćby i do sieni, tylko prowadź.

Do owej sali wchodziło się prost z głównego wejścia; a że okiennice były jeszcze zamknięte, więc nie widzę nic, tylko czuję powietrze stęchłe i ciężkie. Chłopak prowadzi mię w drugi koniec tej wielkiej landary i wskazawszy pustą sofę mało co poprawniejszej edycyi, niż tę, którą dopiero opuściłem, proponuje, abym się na niej ulokował.

Widocznie w księdze przeznaczeń moich napisa- nem było, abym tej nocy oka nie zmrużył, bo ledwie co położyłem się i oczy zamknąłem, czuję że coś ciężkiego kładzie się na mnie. Był to wielki czarny pies, któremu jego zwykle legowisko zająłem, a który, skoro pozwoliłem sobie spędzać go zanadto energicznie, pokazał mi bez ceremonii swoje białe zęby i zaczął warczeć. Nie mogąc iść z nim w zapasy, zawarłem kapitulacyę w ten sposób, że obaj pomieściliśmy się jakoś na tej sofie.

Tymczasem dniało coraz więcej, deszcz ustał i pierwsze promienie słońca zaczęły się wciskać do sali przez wycięte serca w okiennicach. Rozpatruję się do koła— wszędzie śpią rozmaite osoby, nawet na powierzchni wielkiego bilardu. Tuż pod oknem w śpiczastej białej szlafmicy, chrapie jakiś niemłody już i tęgiej postaci mężczyzna. Na drugiej stronie także na kanapie dwoje malców nogami do siebie, a ile osób jest tam na bilardzie, dojrzeć już nie mogę. Jegomość w białej szlafmicy obudził się nareszcie także, ziewnął, przetarł oczy, i z zdziwieniem pewnem obaczył we mnie nowego towarzysza noclegu. Po kilku słowach rozmowy dowiedziałem się, że jest to dyrektor owego teatru, o którym tak lekceważąco wspomiano mi w poprzednim zajeździe.

— Widzi pan dobrodziej, miejsca niema w oberży—rzecze ważna ta osobistość— musieliśmy się tu ulo

kować, bo panna Michalina zajęła dla siebie pokój... ten fircyk z Warszawy zajął drugi pokój... Trudno, człowiek jest dyrektorem, a wszystkim musi ustępować... takie to czasy nastały dla dyrektorów... Artyści, panie dobrodziej, to dziś panowie... dyrektor cierpi za wszystkich... Ale z kimże mam zaszczyt mówić?...

Powiedziałem mu swoje nazwisko...

— Czy to nie z tych Dołęgowskich z Swidrówki?

— Nie, ja jestem z Opoczynka...

— Bo ja za młodu, panie dobrodziej, służyłem za pisarza u pana Kajetana Dołęgowskiego... Dobrze to były czasy, człowiek wolny był od tych artystycznych uczuć. Ale cóż robić, panie dobrodziej, paliło mię w piersi i mówiło: idź na artystę, idź! I jestem artystą, zadowolenie wewnętrzne mam, sławę dzięki Bogu mam, ale tu, panie dobrodziej — mówi, uderzając się ręką po kieszeni—chuda fara... Publiczność jest bez duszy... ty serce połóż im na stos, a oni powiadają: daj więcej... A i ci artyści nasi, żal się Boże! To wrogi, panie dobrodziej. Zkąd chcesz weź, a daj! Panna Michalina musi mieć swój pokój... a jakże; ty się poniewieraj po bilardach, a ona mówi: mnie się należy pokój oddzielny... Pan dobrodziej mię nie zna, ale przysięgam panu dobrodziejowi, mam ją już po samą szyję... Publiczność ją lubi to prawda, gra tak ot... jednak ja nie wytrzymam, i musimy się rozstać... Za pozwoleniem, co pan dobrodziej, pije z rana, kawę czy wódkę?

— Zwykle kawę.

— A ja panie kieliszeczek koniaku. Tylko co oni tu mają za koniak! Prosta wódka zafarbowana palonym cukrem, jak Boga Kocham prawda. Jeżeli, pan dobrodziej nie pogardzi, ośmieliłbym się prosić na kieliszeczek... W moich kłopotach, to jakoś raźniej... Proszę do sklepu... Tylko jak pan dobrodziej wypije, niech pan powie Chaimkowej, że to paskudztwo... ona mnie nie wierzy, a tak jak kto obcy powie, to co innego.

Nie potrzebowałem kłamać przy spełnianiu prośby dyrektora — koniak był haniebnym falsyfikatem wódki, jednak powtórzyliśmy sobie porcyę, bo nie chciałem być mniej gościnnym od dyrektora. W trakcie tej libacy i wywnętrzań się dyrektora, wpada jakiś małego wzrostu, z ogromną głową fanfaronik do sklepu, i zaczyna głośno hałasować, dlatego dotąd nie przysłano kawy do stancyi panny Michaliny. Mógł mieć lat ze dwadzieścia, chociaż twarzyczkę wybladłą, z której wystawał potężnej wielkości nos zgarbiony na środku, a na tym garbie jakby na siodle wielbłąda sterczały binokle uwiązane na szerokiej czarnej tasiemce.

— Co to za hotel, to buda!... . Niczego się doprosić nie można... Opiszę w gazetach, słowo daję opiszę— mówi prędko, biegnąc po sklepie w lakierowanych i mocno skrzypiących butach.

Mój dyrektor na widok tego fircyka coś bardzo spokojnie, kłaniając mu się nisko, a żydówka tylko się tłumaczyła, ustawiając szklanki na tacy. Na mnie panicz ten ani spojrział, tylko rzucając się i wymyślając, oglądał szklanki czy są należycie wymyte, a że miał wzrok krótki, więc prawie nos wsadzał do każdej.

— Któż to taki?—zapytuję po cichu dyrektora.

Pan Izidor tylko wrzucił ramionami znacząco, a gdy prowadząc z sobą chłopaka z kawą nasz panicz wyszedł, powiada mi półgłosem:

' — To jakiś hrabia z Warszawy, panie dobrodziej, adorator panny Michaliny...

— Jakie on grymaśne jest ten pan Hipolit — odzywa się Chaimkowa...

— Wolno mu, bo płaci i dobrze płaci. — A zwracając się ku mnie, dodaje: — Przyplątał się do nas, kiedyśmy jeszcze byli w Brzezinach i zadurzył się w tej Michalinie... Hultaj dziewczyna ma szczęście, ale ona sobie nic z tego nie robi! Pan dobrodziej będzie dziś na przedstawieniu?

— Wątpię, czekam na dyliżans do Warszawy...

— Ho, ho, dyliżans już dawno odjechał—odzywa się gospodyni.

— Tak, tak, odjechał jeszcze o piątej z rana. A pan dobrodziej nie zrobisz mi tego, żebyś miał nie być... Jak Boga kocham ja pana dobrodzieja nie puszczę. Dajemy pyszny dramat: Dziecię wojewody, czyli Rozbójnicy zamku Rab szłyńskiego. Całe miasto idzie, o kilka mil z okolicy przyjeżdża obywatelstwo, moja żona będzie tańczyć kaczuczę. Awantury, strzelanina, bitwa w lesie, dziki zwierz, grzmoty. Jak Boga kocham, nie pożałujesz tego... Ośmioletnia córka moja Jadwi- sia będzie porwaną. To geniusz panie a nie dziecko— rozprawia dalej dyrektor, uderzając mnie ręką po ramieniu. — Jak ci mdleje, to niech się schowa Michalina; dziewczyna bez kości... runie na scenę powiedziałbyś, panie dobrodziej, trup... nic tylko trup!... Kociatkowska gra matkę wojewodziny, mówię ci kochany panie, Kociatkowska!

— A któż to jest ta Kociatkowska?

— Jakto, nie słyszałeś?

— Nic a nic.

— To panie, pierwsza artystka z Wilna... Czarny charakter jeden jedyny w Polsce... A teraz jeżeli

pozwolisz mój młody przyjacielu, napiję się z tobą kawę.

Dlaczegoż nie miałem pozwolić, skoro pan dyrektor był tyle dla mnie grzecznym, więc piliśmy ową kawę, przy której wywnętrzył mi się ze wszystkimi kłopotami swego artystycznego zawodu tak, że w półgodziny znałem historię nie tylko jego życia, ale życia całego grona artystów.

Jakkolwiek wiadomość o odjeździe dyliżansu opóźniła moją podróż, to jakoś nie bardzo tem się martwiłem, lecz owszem rad byłem znajomości z dyrektorem i jego rodziną. Zawsze miałem pewien pociąg do teatru i życia zakulisowego, więc skoro mi się nadarzyła sposobność zetknięcia się bliżej z tymi bohaterami ze sceny, postanowiłem sobie być na dzisiejszem przedstawieniu. Powiem prawdę, że zaintrygowała mnie mocno owa panna Michalina i ten maleńki hrabia jej adorator a wszelkie tego rodzaju awantury miały dla mnie szczególniejszy pociąg... Zresztą powiedziałem sobie, jak nie można jechać, to nie można...

Dyrektor aż mnie ucałował, dowiedziawszy się, że zostaję w miasteczku i powiedział otwarcie, że przyjemniejszego i sympatyczniejszego odemnie nie znał młodziana...

— Panie Grzegorzu — mówi do mnie wyciągając rękę—bądźmy przyjaciółmi.

— Bądźmy — powtórzyłem i już w najlepszej komitywie jJosiliśmy razem do sali bilardowej, gdzie zostałem w tym charakterze przedstawiony pani dyrekto- rowej.

Szanowna małżonka dyrektora wydała mi się wcale przystojną kobietą, szczupłą, wysoka, miała omdle--

wające niebieskie oczy z ciemnymi obwódkami, a wyrażała się górnolotnie i sentymentalnie jak prawdziwa artystka.

Prowadziliśmy rozmowę o rzeczach teatralnych, z której pokazało się, że ja posiadam niezaprzeczony talent do ról komicznych, albowiem pani dyrektorowa inaczej nie ceniła ludzi, tylko ze stanowiska, jakiego role mogli grać na scenie.

Przy obiedzie poznałem większą część artystów trupy pana Izydora, poznałem i owego młodzieńca opiekującego się panną Michaliną, lecz sama panna, cierpiąca na zęby, wcale się nie pokazała. Pan dyrektor niezmiernie był grzecznym i uprzedzającym dla mnie, sam przyniósł mi bilet do krzeseł w pierwszym rzędzie i prosił o pożyczanie sześciu rubli na parę godzin. Ka- syer nasz gdzieś się zawieruszył—mówi—więc jak tylko kasę otworzą, natychmiast mi odda.

Niewiem czy fizyonomia moja pełna wieśniaczej naiwności, czy też co innego takiego zniewalało tych ludzi do czynienia mi zwierzeń, ale rzeczywiście zrobili sobie z mej osoby rezerwoar, do którego zlewali wszelkie dolegliwości swoje. Niemłoda artystka, grająca zwykle role matek i kłótliwych kumoszek, sławna Ko- ciatkowska, przysiadła się do mnie po obiedzie, i nuż mi recytować różne wiadomości...

Ledwie że zdołałem uwolnić się od damy grającej czarne charaktery i podżyłe matrony, gdy już w sieni zajazdu chwyta mię bez ceremonii pod rękę pierwszy kochanek trupy pana Izydora. Jestto młodzieniec średniego wzrostu, chudy, wybladły, z twarzą spłowiałą od bielidla, z długimi blond włosami, wygolony jak ksiądz wikary. Ubranie na nim bardzo bardzo superfinowe, jakieś płowe letnie spodenki, kapelusz słomiany choć to dopiero początek maja i wogóle powierzchowność zakradająca mniej niż na ostatniego kochanka jakiej podży- lej wdowy.

— Ma pan dobrodziej czas?

| — To jest...

— Ja tylko na chwileczkę, a jeżeli łaska naszkla- neczkę piwa, tu niedaleko, do Fajbusia, gdzie mam jeszcze kredyt.

— Bardzo panu dziękuję, ja tego...

| — O, niech się pan nie obawia, ja panu dobrodziejowi powiem otwarcie, że żartuję z nich wszystkich.* Za pozwoleniem pana — mówi, ciągnąc mię na ulicę ku owemu Fajbusiowi — ile pan pożyczył naszemu dyrektorowi? Niech to pana nie uraża, aleja mam w tem ważny interes.

| — Sześć rubli...

— No widzi pan, jaki to oszust, powiedział mi, że tylko dziesięć złotych i dlatego dał mi tylko złotówkę na obiad... Jutro rzucam wszystko do licha i jadę do Ratajskiego... Dla artysty panie cały świat stoi otworem... Z ostatniego przedstawienia dostało mi się z podziału jedenaście groszy. I żyjże tu za to!... ostrzegam pana, nie daj się złapać... oni będą ci wszystko w złotych kolorach przedstawiać. I tej starej intrygantce nie wierz... talentu ani za grosz nie ma, a zdaje się jej, że to geniusz... Co innego panna Michalina, to panie artystka całą gębą... Niech mię licho porwie, jeżelibym sobie nie dał krwi utoczyć dla niej z serdecznego palca... Wszystkie one, jak pan je tu znasz, rzemyka nie warte jej rozwiązać, nienawidzą jej... a to jest panie olbrzymi talent, geniusz europejski...

A. Wilczyński.—Tom XVII.

— Przepraszam pana — mówię, wysuwając powoli rękę z pod jego ramienia — ale ja tu nie znam nikogo, dziś dopiero przyjechałem i pierwszy raz poznałem się z dyrektorem.

— Z tym bałwanem? To panie do niczego, żydowskim sprytem tylko się trzyma... żaden artysta. Dość panu powiedzieć, że jak gra Łatkę w Dożywociu, to płakać chyba nad nim... Gdzie jemu do Łatki... prędeż ja mógłbym być biskupem niż on artystą.

— Nie rozumiem, dlaczego mi pan to wszystko mówi...

— To jeszcze mało!—odpowiada, zatrzymując mię na ulicy nowy mój przyjaciel — ja panu więcej powiem — dodaje ciszej, nachylając się ku mnie — Izydor jest kompletny bankrut! Wszystko żyd trzyma pod kluczem, garderoba u niego, rekwizyta u niego, Herszko siedzi przy kasie, Herszko udziela co chce... Daję panu słowo honoru, gdyby nie Michalina, za którą formalnie przepadam, dziśbym poszedł... Więc powiedz mi pan, co tu zrobisz?

— Ależ ja nie myślę nic zrobić.

— Jakto, pan nie wstąpisz?

•— Gdzie? do kogo?

— Do naszej trupy?

— W imię Ojca i Syna, a to zkad? Poprosto przejeżdżam do Warszawy, a że spóźniłem się na pocztę, zostałem do jutra...

— A mnie powiedziano na pewne...

— Kłamstwo, daję panu słowo honoru, ani mam, ani miałem zamiaru...

— No to przepraszam, bardzo przepraszam pana. Sądziłem, że skoro mu pan pożyczyłeś pieniędzy...

fgf *— Prosił na kilka godzin...

— Niech się pan z nimi pożegna... Do widzenia zatem... Skoro tak, to upadam do nóg...

Kto i gdzie rozpuścił tę pogłoskę, że ja jestem kandydatem na artystę dramatycznego i że zamierzam wstąpić do trupy pana Izzydora — tego nie mogłem odkryć, ale widocznie za takiego miało mię całe towarzystwo, bo nawet sam pan Hipolit, ów karłowaty adorator wdzięków panny Michaliny, zaproponował mi, abym przyjął nocleg w jego pokoju. Był to młodzieniec nadzwyczaj żywego temperamentu i widać zamożny, bo w jego mieszkaniu zastałem mnóstwo drobnostek, służących do użytku wielko-światowego dandysa... Białe rękawiczki całymi tuzinami leżały po różnych miejscach | toaletę podróżną miał z wszelkimi przyborami i ubrania mnóstwo i cygara dobre i wino w butelkach i elegancki szlafrok jedwabny.

— Uważałeś pan — mówi do mnie, skorośmy Usiedli na kanapie — jakie to Wszystko szubrawstwo w tej gromadzie...

? — Tego nie dostrzegłem... Owszem, grzeczni jacyś ludziska...

ft — Mówię panu ostatnia hołota i powtarzam toż samo pannie Michalinie, że szkoda jej...

— Nie znam panny Michaliny...

— To panie anioł nie kobiéta! — zawołał z niekłamany zachwytem. — Intelligencya, dowcip, oryginalność, talent pierwszorzędny... wdzięk... co pan chcesz... Przyznaję się panu, że przepadam za nią... Kiedy ona wzniesie swe oczy do góry, a ręce złoży na piersiach — to dziecko, niewinne dziecko... A jak na- marszczy brwi i energicznym skinieniem ręki wskaże na

ziemię mówiąc: „na kolana,” jest prawdziwą królową... Trzeba ją znać, jak ja ją znam, żeby podziwiać i wielbić... Nie panie — woła, chodząc szybko po pokoju i ogryzając Ugorączkowo paznokcie—ja muszę ją wyrwać z tego śmiecia! Czy chce, czy nie chce, zrobię to, dam słowo honoru... Panie, przepraszam, jak panu na imię.

— Grzegorz.

— Panie Grzegorzu — chcesz być moim przyjacielem?

— Chcę!

— "Więc podajmy sobie ręce i mówmy sobie ty...

— Zgoda.

— Pomożesz mi?

— Pomogę...

— Więc wykradamy Michalinę!

— A jak ona nie zechce...

— Pomimo jej woli. U mnie wszystko tak idzie. Kochać to kochać... robić co, to robić...

— Bardzo to dobrze—odzywam się jako sensat— ale to będzie awantura.

— Wielka rzecz! Porywamy gwałtem, pakujemy do powozu i wio!...

— A dalej? " "

— Upadnę jej do nóg, powiem, że bez niej żyć nie mogę, że sobie w łeb wypalę, że zwaruję... powiem wszystko i zawiozę gdzie do kościoła, ślub weźmiemy i Michalinka jest moją, moją na wieki!... Rodzice mogą z początku gniewać się na nas, ale w końcu się zgodzą, bo do mamy napiszę taki list desperacki... Napiszę, że odpowiedzi czekam z rewolwerem w ręku... Mama mnie kocha i sama przyjedzie... już widzę, jak z Michalinką rzucamy się do nóg, a ona płacze i podnosi nas oboje

„Moje dzieci, mówi, przebaczam wam!...” Ach, jaka to będzie pyszna scena, jaka radość powszechna... Jestem zachwycony takim pomysłem... Słuchaj Grzesiu, wy- kradamy pannę Michalinę, rzecz ułożoną!

Przyznam się państwu, że oniemiałem, słysząc to wszystko... Wychowań[^] w domu rodzicielskim w boja- żni Bożej i posłuszeństwie dla rodziców, pojąć nie mogłem, żeby ktoś mógł i śmiać sprzeciwiać się ich woli i puszczać się na takie awantury... Stanowczość nowego przyjaciela imponowała mi, to prawda, ale serce ogarnął jakiś strach na myśli, co by to się stało, gdyby ko- Sęhana matka moja dowiedziała się o tem, że ja puszczam się na takie rzeczy. Widać, że i pan Hipolit spostrzegł te moje obawy i jakieś wahanie, bo przystąpiwszy do mnie, zawołał z ironią: R!; — ^y boisz?

— To jest nie, ale...

— I ty jesteś szlachcic, syn obywatelski? •v |—No, tak...

\$ — Więc powiem ci otwarcie, jesteś tchórz! f — Przepraszam—mówię, czerwieniąc się pouszy...

— Zawiodłem się na tobie;.. Nie mówmy o tem więcej, ja sobie dam radę i bez ciebie... To wy taka młodzież, która się wszystkiego boi... Jana nic nie uważam i nadstawię pierś przeciw całemu światu... Albo mię dyabli wezmą, albo Michalina będzie moją...

Bp ■ — Pozwólże mi się wytłumaczyć... Moi rodzice, jakby się dowiedzieli... szo[^]gólniej matka...

— Dobrze, dobrze... już ani słowa... Boi się mamy i taty!

— Bo nie rozumiem, na co taki gwałt, skoro można się z nią porozumieć...

— I owszem, porozum się!... Ty jej nie znasz... W oczy ci się roześmieje... Ona zawsze tak, a mnie o mało dyabli nie biorą... Powiedziałem ci, że to niezwykła kobieta, choć jestem przekonany, kocha mię szalenie...

Nie zobowiązując się do niczego, wyszedłem na miasto, aby jako tako zepchnąć tych kilka godzin, które mi do rozpoczęcia widowiska zostawały. Poszedłem obejrzeć salę teatralną, mieszczącą się w pustej stajni czy wozowni, należącej do młyna parowego, który zgorzał przed kilku laty. Poszczerbione mury z okopconymi otworami po spalonych oknach sterczały jeszcze, robiąc efekt wielkiej czaszki z pustymi dołami zamiast oczu. Część parterowa tej rudery zamieszkaną była przez miejscowego kołodzieja, który w przytykającej drewnianej szopie urządził sobie warsztat, stodołę, magazyn materiałów i pomieszczenie dla chudoby gospodarskiej. Nie mogąc znaleźć lepszego miejsca na teatr, sprytny pan dyrektor na złość żydom, którzy bajeczne ceny za wynajęcie stajni żądali, zrobił umowę ze stelmachem, a ten uprzątnąwszy co było można z tej rudery, zastrzegł sobie, aby w zagrodach porobionych w jednym końcu szopy dla inwentarzy jego chudoba na noc znalazła pomieszczenie. Jak sobie tam pan Izidor radził, już tego nie wiem, do tego że owe zagrody znalazły się za sceną, zakryte przed okiem publiczności, zaś wreszcie szopy urządzono ławki dla widzów, z tyłu nawet podniesione galerie dla klasy uboższej. Bieda tylko, że dach i ściany były zanadto przejrzyste, bo pod czas deszczu lub wichru robił się ogromny zamęt w teatrze i trzeba było uciekać się do parasoli.

Szczegóły te i wiele innych, które tu powtarzam czytelnikowi, zawdzięczam przyjacielskiej pogawędce z mężem pani Chaimkowej, który z porcelanową fajeczką w ustach towarzyszył mi w tej wycieczce, rozpowiadając różne historie o miejscowym burmistrzu, z którym tak nieprzyjemnie miałem się zapoznać.

Podług Chaimka, to pan Długosz, takie bowiem --nazwisko historyczne nosił pan prezydent, jest najgorszym człowiekiem jak świat szeroki i Polska długa i kroku nie robi, ust nie otworzy, piórem nie ruszy, żeby sobie za to nie kazał płacić; a jeszcze tak jest zuchwały, że jeśli mu kto daje choćby o trzy grosze mniej niż taksa, którą sobie sam ustanowił, to położy pieniądze na stole, położy obok pióro i powiada: „dołóż bratku, święty Boże nie pomoże, dołóż.” Ztąd w całym mieście i okolicy nikt nie powie na niego, że to jest burmistrz, albo pan Długosz, tylko ten pan Dołóż... Żydzi i katolicy już nieraz wysyłali deputacje ze skargami to do powiatu, to do gubernii, „ale on ma tam takie dobre piec, co jemu nic nie zrobią,” a miasto jeszcze kary płaci...

Nastał niedawno nowy ksiądz wikary i on jemu wojnę wypowiedział. Burmistrz tak, on tak. I nie pozwala szynków otwierać podczas nabożeństwa i ludziom powiada nic się nie bójcie... "Więc z tego jest wielka radość dla miasta, a nawet teraz zjechała komisya na księdza za to, "że on na burmistrza kazanie powiedział. O ile mogłem wymiarkować Chaimka rzecz poszła o to: W przeszłą niedzielę ksiądz wikary wszedł na ambonę i rozpoczął kazanie o życiu przy-

szłem, o karach i nagrodach jakie dusze ludzkie po śmierci czekają. Przedstawiwszy żywot uczciwego człowieka na ziemi, przeszedł do grzeszników. Burmistrz zwykle z rodziną swoją siadywał w pierwszej ławce tuż naprzeciwko ambony i udawał, że drzemie na kazaniu i że ono go mało obchodzi. Lecz dzisiaj nadstawił uważnie uszy, bo ksiądz wikary wyliczając rozmaite zdrożności ludzkie, najdobitniej wymieniał te, których się zły urzędnik dopuszcza.

Można sobie tedy wyobrazić, co się tam działo z panem Długoszem, jak on się zżymał, kręcił, podnosił z ławki i znowu siadał, gdy ksiądz kaznodzieja recytował mu jedne za drugimi wszystkie jego nadużycia, o których całe miasto wiedziało. Tak więc, pobożni moi parafianie — mówi ksiądz wikary — „bądźcie przekonani, że dusza takiego zbrodniarza, takiego zdiejcy, oszusta, krzywdziciela wdów i sierot, pójdzie wprost do piekła... I długoż tam będzie? — zapytuje z uniesieniem wskazując ręką wprost na to miejsce gdzie siedział burmistrz.

■— Co? — ja mam być w piekle! — krzyknie na cały głos pan Długosz, zrywając się z ławki.

A ksiądz wikary, jakby niezważając na to i kontynuując swoje kazanie dalej, odpowiada mu powoli machając ręką: „Na wieki, na wieki!”

Zrobił się ogromny rejwach w kościele, burmistrz straciwszy przytomność, wyszedł grożąc księdzu wikaremu, gdy zawstydzona i skompromitowana, żona jego i córka nie śmiały oczu podnieść przed siebie. Ksiądz wikary, jak gdyby nigdy nic nie zaszło, z całym spokojem i powagą ukończył kazanie, potem i nabożeństwo, lecz gdy wysypali się ludzie na cmentarz, tó panowie, mieszcianie i wszyscy inni tylko zacierali ręce przypominając sobie jak to zawołał burmistrz „co ja mam być w piekle?...” Naturalnie, że obrażony wystylizował natychmiast piorunujący raport do wszystkich władz rządowych, sprowadził komisję, która niestety nie znalazła winy księdza wikarego. Obejrzawszy bowiem rękopism kazania, przekonała się, że ten wyraz długoż napisany był przez małe d i na końcu miał ż zamiast sz, a za- tśm cały frazes poczytano za zwyczajny zwrot retoryczny, który niewłaściwie burmistrz zastosował do siebie*

VII.

Przyszła nareszcie upragniona godzina szósta wieczór, i już przez szpary w szopie dały się widzieć latające światelka, któremi lampy teatralne zapalano. My obaj z Hipolitem byliśmy prawie pierwsi, a zajmąwszy pryncypalne miejsca, zaczęliśmy z fanfaronadą, odpowiednią naszej godności, lornetować przychodzące damy. Mój furman Grzegorz, który jak żyje jeszcze nie widział teatru, wyprosił u mnie złotówkę, za którą rozsiadł się z ogromną pompą na samym środku galeryi, i na dobre rozgadał się z innymi stangretami. Nie długo wkroczyła na salę orkiestra, składająca się z dwóch skrzypków, jednego klarncisty, jednego trębacza i jednego basisty. Dyrygował nią sam Icek podziobany, zezowaty, z jarmułką na głowie, skrzypek, który dla większego efektu od czasu do czasu mięszał swój głos tenorowy z głosem instrumentów.

Jednym z pierwszych widzów, był pan burmistrz Dołóż, w mundurze z ponsowym kołnierzem, który wraz z całą rodziną, składającą się z sześciu osób, zajął tuż obok nas miejsce. Rzeczywiście ma on postawę nakażującą poszanowanie; jest gruby, czerwony i sapie uroczyście, a spojrzenie ma takie groźne, że nawet sam Icek dyrektor nie śmie grać tyłem do niego obrócony, ale swoje oblicze zezowate zwraca ku niemu.

Teatr coraz bardziej się zapełniał, bo, jak wiadomo, był to dzień odpustowy i wiele rodzin obywatelskich z sąsiedztwa umyślnie zostało, aby zobaczyć sławne Dzieci wojewody ze sławniejszymi jeszcze Rozbójnikami zamku Rabsztyńskiego.

Godzina siódma bije, słychać za sceną naprzód klaskanie, potem dzwonenie jedno, potem drugie—orkiestra ucina, świece się objaśniają szczypcami, a wreszcie zielone płótno, imitujące kurtynę, zaczyna się w różnych kierunkach podnosić. Nastąpiła głęboka cisza, wszystkich oczy zwróciły się na scenę. Przed nami las częścią malowany, częścią naturalny, albowiem ustawiono tu i owdzie kilka wierzchów świerkowych—a w środku tego lasu beczka oblepiona papierem, przedstawia studnię, przy której stoi ławeczka i wiadro, wypożyczone od mojego Grzegorza. W dali zawieszony u góry sztych, zdjęty z bilardowej sali, przedstawia jakiś stary zamek na szczycie gór szwajcarskich — jak na teraz zamek Rabsztyński. Cała scena już z lasem, studnią i pniami drzew, nie miała więcej jak dwadzieścia łokci kwadratowych, zatem łatwo sobie wyobrazić, jak tam musiało być wygodnie dwunastu zbójcom, leżącym pod temi drzewami, zbójcom uzbrojonym w różnego rodzaju broń, jaką się dało w miasteczku od kozaków i panów myśliwych wypożyczyć. A jednak leżeli bieda- cy z miną dyabelnie zbrojecką, w strojach różnych narodowości, bo i w płaszczach hiszpańskich, w kapeluszach z piórami, w kaszkietach wojskowych, jak kto mógł.

Rozbójnicy spali, jeden stał na straży, a mój pan Alojzy, pierwszy kochanek, obecnie dowódzca bandy, ulokowawszy się na samym przodzie sceny, tak okropnie przewracał oczami, że panna burmistrzówna ciągle ze strachu chwytala się za serce. Ja przeciwnie nie mogłem się wstrzymać od śmiechu, a śmiech mój widocznie oddziaływał na pana herszta, bo widziałem wyteżał wszystkie siły, aby zachować zbójceją postawę. Pozycyi tej przed czasem zmieniać nie wypadało, więc patrzę, rusza tylko konopiastemi wąsami, odwraca oczy i formalnie dusi się wewnątrz i niby to przez sen dotyka ręką wąsów, a właściwie, żeby je lepiej pod nosem utwierdzić. Szczęściem dla niego, że straż daje znak świstawką i owych dwunastu drabów, pomiędzy którymi poznałem i naszego stróża z zajazdu—zrywa się na równe nogi.

•— Baczność!—ryknął dozorca, i daje rozkaz, aby się to wszystko pochowało w gęstwinę.

Schodząc z wysokich gór, a rzeczywiście po drabince zasłoniętej kulisą, pokazuje się pani zamku, żona wojewody, owa tajemnicza dla mnie panna Michalina Miotelkowska. Cała jej głowa, szyja, piersi i ręce lśnią się od drogich kamieni, a ogon ciężkiej jedwabnej sukni jest tak długi, że gdy artystka już stoi przy studni, ogon jeszcze peregrynuje po skałach. Hipolit jest zachwycony; powstawszy bije brawa z taką energią, że mu aż okulary spadają z nosa; na galeryach i w sali oklasków także nie żalowano, a mój Grzegorz jest jednym z tych, którzy po prostu nie klaszczą ale strzelają z twardych rąk jakby z pistoletu.

Kiedy pierwsze objawy zapału słabnąć już zaczynają, mój Hipolit wyciąga z pod krzesła wieniec, i rzuca go na scenę. Okoliczność ta znowu wywołuje brawa, panna znowu się kłania a uszczęśliwiony wielbiciel odbiera bardzo miłutki uśmiech.

Pani wojewodzina siada melancholijnie na owej ławeczce u studni, a ja skierowałem na nią lornetę. Rzeczywiście jestto piękność swojego rodzaju, w guście tęgiej, przysiadłej kuchareczki z miasta, pomalowanej na czerwono. Hipolit tylko mię trąca łokciem pytając: a co? no, a co? podczas gdy oburzony taką dystrakcją prezes zaczyna sykać i groźnie na nas spoglądać.

Siedząc przy studni wojewodzina wzdycha okropnie, a wyjąwszy z za gorsa zwiędły kwiatusek, prowadzi bardzo czułą z nim rozmowę o dzielnym rycerzu Mściboju, któremu, oddawszy kiedyś dziewicze serce, zmuszoną była. wiarę złamać i pójść za wojewodę.

Żałuję mocno, że dziś nie jestem już w stanie powtórzyć całej bogatej treści tej nigdzie nie drukowanej tragedyi, ale to tylko pamiętam, że nagle zjawia się przed nią ów rycerz Mścibój, obecnie z desperacyi herszt bandy opryszków. "Wojewodzina poznaje go po głosie— i na kolana. Dwunastu zbójców obskakuje ją nagle do koła, bagnety błysnęły, a ona w płacz i błaganie: „Nie zabijaj Mściboju!"

Mścibój, jakkolwiek srożył się bardzo i dosyć miał kłopotu z niesfornymi wąsami, grożącemi odpadnięciem, jednakże nie był tak krwiożerczy, jak się z pozorów zdawało. Przebaczył wojewodzinie, ale zapowiedział zemstę na mężu i dzieciach. Kobieta błagała włóząc mu się u nóg, on zaś nic, tylko potrząsając szpadą, krzyczał jak wściekły:

— Do piekła z nimi!

— Do piekła!—powtórzyli chórem zbójcy.

Licho nadało, że mając w świeżej pamięci opowia

danie Chaimka o burmistrzu i słysząc te wyrazy do piekła, pomimo woli dodałem półgłosem: „I długoż tam będzie?...”

"Widać, że usłyszano w sali, ten mój dodatek, bo rozległy się brawa, a prezydent syknął tylko jak żmija i spojrzął się na mnie tak, że krew zastygła mi w żyłach. Kurtyna już zapadła, oklaski jeszcze brzmiały, a uszczęśliwiony mój Aloizy Fircykowski biorąc na swój rachunek te owacye, wyprowadził na scenę Michalinę i kłaniali się oboje do samej ziemi wśród wywoływań: „Mio- telkowska, Fircykowski...”

Trochę byłem skonfundowany owym Długoszem i groźną miną burmistrza, nie uważałem tedy, że między nazwiskami Miotelkowskiej i Fircykowskiego, słychać było coś jakby „Dołęgowski." Przysłuchuję się,—rzeczywiście krzyczy ktoś z galeryi najwyraźniej Dołęgowski, i o ile mi się zdaje, jestto głos mojego woźnicy. Wybiegam tedy z krzesel nie pojmując co mu się stało, i w dwóch susach jestem już na galeryi.

— G-rzegorzu!—wołam szarpiąc go za kołnierz— czego ty na mnie krzyczysz, czyś ty zwaryował?

— Aaa czego? — odpowiada z głupio-rozweseioną twarzą obracając się do mnie—bo tak trzeba...

— Kto ci kazał?

— Hm, kto kazał? Dyc kuźden woła na swoich państwa, to i ja na swojego.

Dopiero po bliższem wyjaśnieniu dowiaduję się, że jakiś facet, którego on pytał, czego oni tak krzyczą w ten sposób go zmystyfikował, i on był pewny, że co najlepszego robi wołając na całe gardło „Dołęgowski."

Na drugi akt usiadłem już dalej od pana burmistrza, który mimo to nie przestawał spoglądać na mnie po zbójceku, i jestem przekonany że myślał, czy ja też mam paszport z sobą, i czy nie mogę dostać się jakoś w jego pazury.

Rozbójnicy zamku Rabsztyńskiego dotrzykali słowa wojewodzinie i porwali jej dzieci, choć przy tem porwaniu nie obyło się bez pewnego przypadku. Niedźwiedzica miała uratować te biedne dzieci od niechybnej śmierci, ale to prawdziwa niedźwiedzica na czterech łapach, rozjuszona i wściekła. Otóż w tej niezwykłej scenie leżał cały punkt ciężkości i sekret powodzenia teatru pana Izydora. Przed dwoma laty udało się panu dyrektorowi za tanie pieniądze nabyć od wędrownego rusina skórę niedźwiedzicy, która w czasie podróży żywot swój zakończyła. Pan Izidor kazał ją wyprawiać delikatnie z całą głową, z pazurami i łapami, a ułożywszy do niej tragedję z dziećmi wojewody, imponował tą sztuką wobec innych trup teatralnych. Niedźwiedzica robiła znakomity efekt i miała niesłychany rozgłos w okolicy. Na ten raz pewien żołnierz ze stojącego w miasteczku wojska podjął się tej niedźwiedziej roli, i za pół rubla dał się obszyć w skosmaconą oponę. Na próbach wyuczono go skoków niedźwiedzich i pokazano, jak ma z przeraźliwym rykiem wypaść z gęstwiny i rzucić się na zbójców, zabierających się do rozstrzeliwania malców wojewody. Wszystko więc szło dobrze; niedźwiedzica, jak się pokazało później, wychowana kiedyś na dworze wojewody, czychała już za kulisami, gdy rozbójnicy zaczęli przywiązywać do drzewa dwoje nieszczęśliwych ofiar zemsty Mściboja... Niedźwiedzica, ryknąwszy, zrobiła skok, a w tem błysnęło w sali i rozległ się grzmot pełen grozy. Trzeba oddać sprawiedliwość panu Izydorowi, że błyskawica i grzmot były wybornie udane, a że nie

dźwiedzica, czyli raczej żołnierz w niej zaszyty, nie spodziewała się tego, bo na próbie piorunów nie było, więc podnosi się raptem na przednie nogi i niedźwiedzią łapą zaczyna się zegnąć po trzykroć... Śmiech i klaskanie w sali nie mają końca... Niedźwiedzica, co ruszy krok a piorun uderzy, staje i znowu się zegną, aż wreszcie wybiega sam dyrektor wojewoda z za kulis i przymusza ją do napadu na zbójców... Publiczność widocznie nie gniewała się z takiego zwrotu tragedii do komedii, bo po zapadnięciu kurtyny kilkanaście razy przywołuje niedźwiedzicę, którą sam pan dyrektor z tryumfem na scenę wyprowadza.

Nie będę zdawał dalej sprawy z tego ciekawego przedstawienia, dość że, pominąwszy jeszcze kilku nieobjętych programem epizodów, skończyło się wreszcie wśród oklasków i owacyj dla głównych osób straszego melodramatu, a ja udałem się do izby jadalnej, aby posilić się po tych rozkoszach artystycznych.

Zastałem pełną salę gości, którzy opowiadając sobie wrażenia widowiska, hałasowali wesoło... Pomiędzy uczującymi spostrzegłem w jednym kącie sali pana prezydenta, obrabiającego porcyę marynowanego węgorza. Gdy mię spostrzegł, uśmiechnął się dziwnie i zwróciwszy się do obok stojącego wysokiego mężczyzny, zaczął z nim rozmawiać po cichu i na mnie pokazywać. Jegomość ten, z żydowską fizyonomią, przypatrywał mi się ciekawie, i coś potrząsał głową, a burmistrz uderzał ciągle w stół ręką trzymającą widelec i irytował się, ile razy wzrok jego spotkał się z moim. Ani dyrektora ani żadnej z artystek nie było, tylko pan Alojzy kompletnie odurzony, siedział samotnie w drugim kącie i wdychał ciężko, popijając piwo i udając, że mnie nie widzi.

Przyznam się, że ta mina burmistrza cokolwiek mię zaniepokoiła, jednak pomyślawszy sobie, że mam paszport w porządku, wyszedłem do stajni, aby wyprawić jutro raniutko Grzegorza z końmi do domu.

Kiedy wróciłem do stancyi, zastałem już tam faktora pana Hipolita, któremu on dawał jakieś sekretne instrukcje. Zwrócił się do mnie i zaraz zaczął się rozplýwać nad grą panny Michaliny, gdy nagle otwierają się drzwi, a w nich pokazuje się otyły pan burmistrz. Za nim idzie ten sam wysoki żyd, którego widziałem w restauracyi, a za tem jeszcze stary bosy policyant w letnim surduciku i przewieszoną pochwą od szabli przez ramię.

g — Panie, pan jest Hipolit Tręboeki?

Widziałem, że mój przyjaciel trochę się zmięszał, usłyszawszy to nazwisko, albowiem podawał się dotąd za Trębosza.

— Ja, co pan sobie życzy?

| — Panie dzieju, ja pana aresztuję.

I — Mnie? za co?

;^T — Wyższy rozkaz, ten tego...

— Zmiłuj się panie prezydencie, to być nie może...

— Tak jest panie dziu, Hipolit Tręboeki—mówi, wyciągając z kieszeni jakieś pismo.

Wzrost mały, oczy piwne, lat dwadzieścia dwa... wzrok krótki...

A skończywszy sprawdzanie rysopisu, obraca się ku mnie:

Bp" — A pan kto taki?

A. Wilczyński—Tom XYIL

— Ja jestem Grzegorz Dołęgowski — odpowiadam, podając mu moje papiery...

— Nie potrzeba panie — mówi, nie biorąc do rąk paszportu — ale pan jesteś przyjacielem pana Trębockiego...

— Tak, jestem przyjacielem.

— To i pana aresztuję...

— Ależ panie Dołóż — odzywam się z rezonem...

— Panie dzieju, ja nazywam się Długosz, tak jest, Długosz do usług!

— Przepraszam pana prezydenta...—sumituję się przerażony tem aresztowaniem, gdy mój Hipolit odciągnąwszy burmistrza na stronę, zaczyna z nim konferować, pakując mu gwałtem coś w rękę.

— Święty Boże nie pomoże! — woła na głos mój burmistrz, chowając ręce za siebie i cofając się w tył ku nam...—A co to pan sobie myślisz, że stary Długosz jest łapownik!— zawoła, czerwieniąc się z oburzenia...:— Panie, pan mię krzywdzisz, mnie urzędnika publicznego, na którym tyle plamy nie ciąży!—dodaje, pokazując palcem jednej ręki na koniec palca drugiej ręki...—Całe moje życie panie dzieju, czyste było jak bursztyn... Panie Fuchsstein — mówi zwracając się do żyda, stojącego przy drzwiach z policyantem—świadcę się panem!

— Za pozwoleniem pana prezydenta — odzywam się Znowu—czy mogę zapytać za co ja jestem aresztowany?

— Władza panie dzieju nie ma obowiązku tłumaczenia się przed panem z tego co robi!... Słuchaj Onufry—rzecze, zwracając się do policyanta—nie puszczaj na krok tych panów panie dzieju z tego pokoju! W razie oporu przywołasz stróżów, którzy tam stoją w sielni... A panowie raczcie się pakować, za pół godziny musicie ztąd wyjechać...

— Ależ to gwałt! — krzyknie Hipolit w uniesieniu.—To jest zbrodnia, zatrzymywać kogoś bez żadnej winy!...

— Panie dobrodzieju odpowiada słodziutkim tonem pan burmistrz, zacierając ręce—władza odpowiada przed władzą...

— Więc z czyjegoż rozkazu jesteście aresztowani?

— Jestto panie tajemnica władzy... Panie Fuchsstein, oddaję ci więźniów, i proszę przysłać do żony mojej po dywanik, jak zajedzie bryczka pocztowa... Przyjemnej drogi, moi szanowni panowie...

— Przepraszam panie Dołóż...

r — Długosz, Długosz do usług. Spodziewam się, że pan dobrodziej zapamięta już teraz moje nazwisko.

— No niech będzie Długosz czy Dołóż — mówię już rozdrażniony—jeżeli nas pan każesz wywozić...

— To nie ja, to z polecenia wyższej władzy...

— Mniejsza o to, ale ja muszę się widzieć z panem dyrektorem teatru, mam odebrać od niego pieniądze.

— Tak, i ja się muszę widzieć — dodaje Hipolit...

— Niepodobna panie dzieju!—odpowiada, robiąc tak dziwny giest głową, ramionami i rękami, jakby się zbierał do lotu na skrzydłach...

— Ale ja muszę!

Burmistrz jeszcze dobitniej powtórzył ten sam giest, że niepodobna, i wyszedł wraz z żydem z pokoju.

Zrozumiecie czytelnicy, że zgłupieliśmy komple

tnie obadwaj, nie pojmując, co to się stało. Ja aresztowany, z kąd, gdzie, za co? Mój Boże, jak dowie się ojciec, jak dowie się matka... Grdzie oni nas zawiozą?— myślałem niespokojny i zacząłem sobie przypominać wszystkie moje czyny od czasu wyjechania z domu aż do obecnej chwili, czy nie popełniłem czego takiego? Policjant tymczasem, zrobiwszy śpiącounieszczęśliwą minę, ani się ruszył ode drzwi, ale przestępując z nogi na nogę, sięgał cichaczem do kieszeni od kamizelki, z której wydobywając łufrową tabakierkę, jakby pokrywajomiu zapuszczał w nią palce, a te palce przesuwiał również tajemniczo koło nosa. Hipolit był cały wzburzony i blady; nie odpowiadając na moje zapytania, biegał coraz prędzej po stacyjce, mrugał oczami poprawiał okulary i Zawzięcie obgryzał paznogie.

— Powiedz mi przyjacielu — odzywam się, zbliżając do policyjanta — gdzie oni nas zawiozą?...

Policjant zrobił bardzo poważną minę, jak człowiek głucho-niemy, i tylko wzruszył ramionami.

— Czy wy nie umiecie mówić?

—• Przykazano nic nie gadać — odrzekł i zażył tabaki.

Niedługo rzeczywiście zajechała bryczka pocztowa, wszedł ten sam żyd czy agent policyjny, i musieliśmy się pakować. Kuferek mój był prawie nieruszany od wczoraj, więc uwinąłem się prędko, lecz z Hipolitem nie była tak łatwa sprawa. Żyd chciał mu pomagać, ale go dość niegrzecznie odepchnął, i ze złości kładł wszystko jak siano do tłumoków, aby się tylko zmieściło. Nie pozwolono nam widzieć się nawet z gospodynią zajazdu, lecz sam dozorca nasz przyniósł ra

chunki, naturalnie dobrze przesolone, i te musieliśmy fcez żadnych protestów zapłacić.

Kiedy już wszystko było załatwione, rzeczy wyniesione na bryczkę, wyprowadzono nas przed oberżę. Straż przednią trzymali dwaj mieszczanie, stojący z ogromneini palkami w sieni na warcie, za nimi szliśmy obaj z Hipolitem, a orszak zamykali dozorca i pan policyjant z pochwą od pałasza. W głównej sieni zebrało się kilkanaście osób ciekawych, stała i Chaimkowska z desperacko-żałośliwą miną, i mój przyjaciel, artysta Fircykiewicz, widocznie już dobrze ścięty, bo silił się coś powiedzieć na pociechę, ale język go nie słuchał...

— Panna Michalina jak się ma? — pyta Hipolit gospodyni.

— Dziękować Bogu, co jej jest lepiej — odpowiada Chaimkowa, wbrew opozycji naszego dozorecy, który zaczął ją dość impertynencko na bok usuwać.

! — Pozdrów ją pani i powiedz, że wkrótce dam znać o sobie...

Pani prezesowa rzeczywiście pożyczyła nam derki do nakrycia siedzenia, ma się rozumieć tylko przez pierwszą stacyę, bo służąca zapowiadała pocztylionowi aby nie zapomniał przywieźć ją napowrót. Hipolit i ja usiedliśmy obok siebie, żyd dozorca na przodzie, i bryczka ruszyła żwawo.

— Przynajmniej teraz pan możesz powiedzieć, gdzie my jedziemy?

— Do Warszawy.

— Chwała Bogu—pomyślałem—że nie w przeciwną stronę.

— Do Warszawy? — powtórzył, uśmiechając się Hipolit — to już domyślam się, co to znaczy.

I rzeczywiście musiał coś miarkować, bo uspokoił się nieco, i nie pytał o nic więcej dozorca, który siedząc naprzeciw nas udawał, że niby drzemie, a swoją drogą spoglądał przez palce i budził się, ilekroć który z nas poruszył się żywiej. Zresztą jestto człowiek bardzo grzeczny, czysto i doskonale mówi po polsku, przytem dosyć wykształcony i rozmowny, aby tylko nie pytać go o sprawę naszego aresztowania. Na stacyach pocztowych, gdzie wypadało nam zmieniać konie, nie ruszył się z bryczki dopóty, dopóki ktoś nie wyszedł z kancelaryi; wtedy, pokazawszy jakieś pismo ekspedytorowi, płacił za ekstrapocztę, mając ciągle oko na nas zwrócone.

Ta ścisłość i tajemniczość naszej podróży czasami przerażała mię do tego stopnia, że zdawało mi się, jestem już skazany na wywiezienie gdzieś w oddalone kraje na całe życie. Rozpacz tedy ogarniała mię straszliwa i łzy stawały w oczach na myśl, że poraż ostatni przejeżdżam te okolice i nie zobaczę więcej pocziwych rodziców tudzież całej rodziny, którą teraz sto razy więcej kochałem. Nawet surowa i zachmurzona postać ciotki Filomeny wydawała mi się wcale przyjemną, kot Wiernuś — biednym, ale przywiązany do pani swej niedołągą. Dziwaczy ona, bo stara; kto wie, czy i ja takim nie będę gdy się zestarzeję... Następnie począłem sobie robić wyrzuty za moje lekkomyślne obchodzenie się z ciotką, za ów frak pogardzony, który rzeczywiście dla niej musiał mieć wielką wartość. Mając się już za straconego na wieki, dumałem dalej o przyszłości Kasi, czy też Waclaw się z nią ożeni, co się stanie z naszą wioską, jak się pokieruje młodsze rodzeństwo... I widziałem się człowiekiem złamanym, gdzieś w odległej pustyni, samotnym ze swoją troską, tęskniącym, z oczami wlepionymi na zachód...

Jechaliśmy cały dzień; do obojętnej rozmowy z naszym dozorcą nie miałem ani chęci ani przedmiotu, więc po chwilach rozpaczliwych rozmyślań, zaczęła przebłyskiwać iskierka nadziei, wiara w swoją niewinność i wiara w sprawiedliwość ludzką, która nie może dopuścić, aby niewinnego człowieka karano bez przyczyny... Pocieszałem się zatem i nabierałem otuchy, choć przypatrując się zgnębionej fizyognomii Hipolita, zacząłem podejrzawać, że musi poczuwać się do czegoś, skoro tak nagle stracił i żywość i energię właściwą swemu charakterowi.

Była godzina może już szósta, i dobry zmrok zapanował na ziemi, kiedy minawszy ostatnią stację, zaczęliśmy zbliżać się ku Warszawie. Już dostrzegłem zdaleka kopułę ewangelickiego kościoła, wieże innych świątyń, które dziwacznie zmieniały pozycję, będąc raz z tej, drugi raz z tamtej strony owej kopuły. Jasna luna, niby odbłask dalekiego pożaru, zwolna rozlegała się nad miastem, wśród niej gdzieniegdzie przebijało się żywsze światelko, niby gwiazda, a w miarę przybliżania się wylaziło z mgły coraz więcej tych światel, formując się to w zygzaki, to w linie, to wreszcie w szeregi, niby kondukt księży idących ze świecami za pogrzebem... Nereszcie wjechaliśmy na Pragę, pokazało się zwierciadło pocziwej starej Wisły, w którym te światła zarzeczne odbijały się w głębi i wyżej i niżej, a turkot dorożek w mieście, niby szum jakiegoś dalekiego wodospadu, albo warczenie kół maszyn war

sztatowych jednostajnie i monotonicznie dochodził moich uszu.

Kiedy przejechaliśmy most na wiśle, i bryczka wpadła w podskokach na nierówny bruk warszawski, serce zaczęło mi bić w piersiach żywiej. Nasz dozorca podniósł się z siedzenia i szepnął coś pocztylionowi, a mnie już tchu zabrakło w piersi z obawy i niepewności, gdzie skręci bryczka od kolumny Zygmunta... Po- cztylion zwrócił na lewo. Po ulicy wrzało życie, oświetlone omnibusy i dorożki pomykały w tę i ową stronę, trotuarami snuła się ludność swobodna, kobiety w towarzystwie wesołej młodzieży, wszędzie śmiech, życie, a w duszy mojej strach i rozpacz... Aresztowany więzień*— powtarzałem sobie, żegnając się przed każdym mijanym kościołem i prosząc gorąco Pana Boga, abym mógł wydobyć się gładko z tej przeprawy. Pokazuje się, że niekoniecznie trzeba być na morzu, aby się nauczyć modlić.

Kiedyśmy skręcili w ulicę Królewską, przyznając, że serce biło mi jak młotem, w oczach zaczęło mi się zaćmiewać, a usta miałem tak spieczone, jakby mię trawiła tyfusowa gorączka... Uważałem, że agent nasz był coraz więcej niespokojnym, że się nieustannie oglądał, i jakby znaki jakieś dawał spotykanym na ulicy policyantom, a nawet dostrzegłem, że nieznacznie trzymał na dole za paltot mojego towarzysza.

Przejeżdżamy przez >- plac komendy — ja już wydobywam nogi do wysiadania, lecz o dziwo, bryczka nie staje, lecz pędzi dalej, skręciwszy w Mazowiecką ulicę. Przyznając, że nie wiedziałem, czy cieszyć się, czy smucić; wszelkie przeczucia i przewidywania straciły wartość dla mnie wobec tego faktu... Drżący, prawie bezmyślny nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, gdy bryczka naraz zatrzymała się przed jedną z ozdobniejszych kamienic...

— Domyśliłem się — rzecze z ironicznym uśmiechem Hipolit, spojrzawszy na dom. f. — Więc gdzież nas wiozą?

— Zaraz zobaczysz — szepcze, wysiadając z bryczki i ściskając mię mocno za rękę— Grzesiu, zostaniesz na zawsze moim przyjaciele!

Przez elegancką sień, następnie froterowane i dywanikiem wyłożone schody, wchodzimy na pierwsze piętro. Opiekun nasz widząc coś bardzo jest zadowolony, bo uśmiecha się, rozkosznie zaciera ręce, jednak puszcza nas przed sobą w obawie, abyśmy mu ztąd jeszcze nie uciekli...

— Winszuję panu, udało ci się — rzecze Hipolit, gdy on już przyciska palcem sprężynę od dzwonka.

— Niech pan dobrodziej daruje — odpowiada z szczególniejszą uprzejmością—takie miałem polecenie pana prezesa... Przykro mi, że tyle narobiłem mu niepokoju, ale trudna rada, służba łaskawy panie, trzeba słuchać...

Otworzył nam drzwi porządnie ubrany, niemłody już lokaj, trzymając świecę w ręku, a zobaczywszy wchodzącego Hipolita, cofnął się ze zdziwienia.

— Panicz Hipolit... prędeż bym się śmierci spodziewał!...

— ■ Pan prezes w domu?—pyta dozorca.

— W swoim gabinecie, odpowiada służący.

— Prowadź nas do niego...

Gdy oglądający się wciąż na Hipolita lokaj szedł przed nami ze świecą przez wielki, jak się zdaje, pokój

jadalny, z innych drzwi pokazała się ładna główeczka garderobianej, zapuszczając ciekawy wzrok na ten pochód... Panna ta również spojrzała zdziwionemi oczyma, a zawoławszy: „pan Hipolit!” cofnęła się nagle, jakby z tą wiadomością pobiegła dalej.

Lokaj zapukał do drzwi gabinetu i weszliśmy wszyscy. Wielkie biuro z pultem stało na środku dość obszernego i ponurego pokoju, a przy nim siedział tyłem do nas już niemłody, nadzwyczaj chudy i osiwiwały mężczyzna. Widocznie, że pisząc, potrzebował dokończyć jakiegoś frazesu, bo zrazu nie podniósł oczu przed siebie, i dlatego miałem czas uważnie mu się przypatrzeć. Dwie świece osadzone w kandelabrze stały na biurku, a światło ich odbijało na srebrzystych włosach dygnitarza. Włosów tych już nie wiele było na głowie, i wszystkie z tyłu zaczesane naprzód, gdzie w szczególniejszy sposób równiutko zakręcały się do góry, tworząc razem z faworytami jakby garniowanie czepka naokoło twarzy.

— A co tam? — zapytał, podnosząc głowę, z której błysnęły nagle szkiełka okularów...

■— Jaśnie wielmożny panie radco, jesteśmy — przemówił, podchodząc na palcach nasz dozorca.

— Ach to pan, panie Fuchsstein... No cóż?

— Jesteśmy tu!

I wskazał ręką ku drzwiom, gdzie my z panem Hipolitem z miną prowadzonych na rzeź baranków stali w półcieniu.

Tajny radca zerwał się z fotelu, okulary znowu błysnęły, ale już żywiej, jakby ich blask połączył się z blaskiem oczu, potem wyprostował się jak struna, rękami włosy na głowie poprawił i postąpił z powagą parę kroków.

r — Jesteś ptaszku! — wycedził, kładąc na ramieniu Hipolita chude w brylantowy pierścień ubrane palce...

Hipolit jeszcze bardziej zmalął i skulił się pod ciężarem tej ręki, i wielką swoją głowę pochylił tak, że broda prawie dotykała piersi. Co do mnie, pamiętam tylko, że twarz mię paliła jak ogień i że musiałem mieć bardzo głupio przestraszoną minę...

H ■— Niech pan raczy spojrzeć do góry — mówi prawie przez zęby stary radca, a policzki tylko mu drgały i kości występowały ostrzej przez skórę.

Ale gdy Hipolit milczał, pan radca ze źle pohamowaną żywością podniósł mu głowę do góry, a zapuściwszy ognisty wzrok swój w małe zamglone oczy jego, patrzył długo... Nagle odwrócił się, przycisnął sprężynę dzwonka stojącego na biurku, na odgłos którego pokazał się ów stary lokaj.

— Floryan! — zaprowadzić panicza do jego pokoju, drzwi zamknąć na klucz i klucz mnie przynieść, ro- zumiész!

' Służący zbliżył się do radcy tajnego i coś mu na to szepnął do ucha.

■— A niech wyskoczy! Pal go lichu—odpowiada głośno...,—Zabije się, to raz będę miał spokój!...

Hipolit nie próbował ani się odezwać, ani podnieść oczu na ojca, choć stary lokaj coś mu tam szeptał i trącał go łokciami, lecz odwróciwszy się z tą samą miną, poszedł za nim.

— A to kto?—spytał nagle pan radca, spostrzegłszy mnie stojącego przy drzwiach.

— Dołęgowski Grzegorz ■— odpowiadam z drżeniem.

— Co za Dołęgowski?... czego on tu chce? — mówi, zwracając się do agenta.

— Jaśnie wielmożny panie radco, ja właściwie nie wiem; burmistrz z miasteczka kazał mi go zabrać. Oto jest raport, który mi wręczył.

— A kto tam burmistrzem?

— Długosz—wtrącam nieśmiało.

Badca tajny spojrział na mnie surowo, widocznie, że niepotrzebnie się odezwałem.

— Tak jest — mówi agent — zdaje się że Długosz...

Badca zbliżywszy się do kandelabra, zaczyna czytać pismo burmistrza.

— Głupiec—mówi, rzucając papier na ziemię.— Co mi tu po jakichś Niedołęgach czy Dołęgach... Możesz sobie iść aspan, a jak mi poważysz się więcej zadawać z moim synem, to pojedziesz tam, gdzie pieprz rośnie, rozumiesz?

Jak człowiek, który z palącego się domu wyskoczy z drugiego piętra i poczuje się bez szwanku na ziemi, tak i ja z tem samym uczuciem już byłem za drzwiami.—Zdaje się, że tylko dwa kroki zrobiłem przez wielką salę, krok przez przedpokój, i byłem w przedpokoju a potem na schodach. Nie stąpam ale popro- stu zjeżdżam po poręczy na dół, gdy ktoś z góry wybiega za mną i woła:

— Panie, panie, proszę pana!

Stary lokaj ze świecą przechyla się przez baryerę.

lp — A rzeczy swoje niech pan zabiera, bo tu je "znieśli.

Bodajże cię, pomyślałem, wracając napo wrót do góry, i kiedy się biedzę, kto mi tu zniesie kufer na dół i sprowadzi dorożkę, zjawia się też sama fertyczna pokojówka, której głowę widziałem, idąc do gabinetu radcy...

v — Pani prezesowa też prosi pana na chwileczkę.

— Kogo? mnie?

— Tak jest, pana — powtarza, patrząc na mnie ciekawie.—Ja pana zaprowadzę.

Z przedpokoju małemi drzwiczkami, przez jakiś wązki i długi korytarzyk szedłem za nią pociemku aż do kredensowego pokoju. Tu otworzyła drzwi i ja nagle, odsunąwszy portyerę z przed oczu, znalazłem się w dość obszernym, zasłanym dywanem salonie. Niemłoda już kobieta, maleńka, z dużą głową i przymrużone- mi oczyma, widocznie matka Hipolita, bo podobniu- teńka do niego, wstała od stolika, nad którym, wisiała duża lampa z blado-zielonkowatym kloszem, i szybko zbliżyła się ku drzwiom.

| — Przepraszam pana, czy to pan przyjechałeś z moim Hipciem? Bp; — Tak jest, ja.

— Pan jesteś agentem policyjnym, który go przywiózł?...

— Nie pani, ja jestem Grzegorz Dołęgowski...

Coś jakby lekki śmiech, czy też poruszenie żywsze dało się słyszeć przy stoliku, od którego wstała prezesowa, i dopiero wtedy spostrzegłem siedzącą z dru

giej strony lampy młodą panienkę, która w tej chwili umyślnie przechyliła głowę, aby mię zobaczyć.

— Więc któż pan taki, panie Dołęgowski, czy artysta tego teatru?., czy...

— Ja proszę pani prezesowej jestem syn obywatelski i przyjaciel pana Hipolita...

Panna siedząca przy stoliku, aż się podniosła z fotelu i po nad lampę wysłała dwoje wielkich czarnych oczu na zwiady...

— Proszę, niech pan siada—mówi, wskazując mi fotelik przy tym samym stoliku...

Ukloniłem się bardzo niezgrabnie owej panience, bo nogi zaplątały[^]mi się na dywanie przy odsuwaniu ciężkiego fotelika, jednak usiadłem, miętosząc czapkę w rękę...

— Więc to panowie razem podróżowaliście z tą trupą aktorów?

— To jest ja nie, bo przejeżdżając ze wsi do Warszawy, stanąłem temi dniami w oberży, gdzie mieszkał Hipolit, to jest pan Hipolit.

— Mów pan: Hipolit... nic nie szkodzi...

— I tam dopiero z nim się poznałem i zaprzyjaźniłem.

— Tak od razu?...

— Nocowałem w jego pokoju, bo innego miejsca nie było, a że on jest bardzo sympatyczny i miły, więc tak jakoś...

— A prawda, że on jest miły? — odpowiedziała pani, widocznie tem uradowana.—Ja wiem, że on umie zjednywać sobie serca wszystkich.

— Nawet aktorek... — dodała panna, nie podnosząc oczu od robótki.

■— Wy z ojcem to zawsze jesteście przeciw niemu... a swoją drogą Hircio umie się podobać... Prawda panie, że u niego serce jak na dłoni, jedyny chłopiec...

— Sądzę, moja mameczko, że lepiej byłoby, żeby je schował chociażby nawet w portmonetkę, a nie tak wystawiał na targ publiczny...

f — To już charakter jego taki żywy i serdeczny— odważyłem się powiedzieć śmieiej, albowiem trochę mię irtowały przymówki panny...

— Tak jest, masz pan najzupełniejszą słuszość —dodała prezesowa, spoglądając na mnie z widoczną wdzięcznością. — Już jak kogo Pan Bóg takim stworzył, innym nie będzie... Zresztą to taki chłopczyzna nerwowy, słabowity... Proszę, pana, nie uważałeś pan, czy też nie kaszle?

— Zdaje mi się, że nie...

■— I jakeście spali w nocy, nie słyszałeś pan?...

■— Nie, wcale nie kaszłał...

— Dzięki Bogu, okropnie się bałam, czy mu takie życie i niewygody nie zaszkodziły. Bo trzeba panu wiedzieć, że Hircio zagrożony jest piersiową chorobą, doktor dawno mnie przestrzegał o tem, mówiąc, że on ma nadzwyczaj wąską klatkę piersiową... A że i ja mając lat trzydzieści, o mało że nie dostałam suchot, więc drżałam o niego... Dziękuję panu uspokoiłeś mię...

Stary Floryan wszedł na to, pytając się, gdzie pani każe podać herbatę, bo pan prezes kazał sobie przynieść do swego gabinetu...

— Nakryj tu — mówi staruszka. — A jakże tam Hircio?

— Położył się spać, bo mówi, jestem zбитy podróżą, jak zgniłe jabłko...

— Zawsze dowcipny...

— Już to prawda, że paniczowi nigdy nie zbywa na conceptach.

— A nie kaszle, nie słyszałeś?

— Me, tylko chrapie, aż w moim pokoju słycać...

— Biedne dziecko, ile on musiał znieść przykrości i niewygód... Może pan pozwoli z nami filiżankę herbaty. Przepraszam, że go tak zatrzymuję, bo zapewne jesteś tak samo strudzony, ale radabym się do- wiedzieć trochę szczegółów o tych dziecinnych awanturach.

Podziękowałem za zaproszenie, i zarazem upewniłem, że dla mnie taka podróż jest niczem; my na wsi jesteśmy do wszystkiego przyzwyczajeni...

Gdy służący nakrywał stół, i ustawiał tacę z przyrządami do herbaty, pani rozpytywała mnie o całe towarzystwo aktorów i nieznaczenie o pannę Michalinę... Opowiedziałem wszystko, co wiedziałem, nie wspominając naturalnie ani o projektach wykradzenia, ani o gorącej adoracji Hipolita, o wieńcach, bukietach i t. p. oznakach miłości jej syna dla tej panny. Jednak w trakcie tego przyszło mi na myśl wczorajsze przedstawienie: Dzieci wojewody czyli Rozbójnicy zamku Rab- sztyńskiego. Więc z kolei rzeczy zacząłem opisywać i sam teatr i wypadek z niedźwiedzicą. Pani prezesowa była dosyć uprzejmą dla mnie, więc jakoś ośmielony, musiałem dosyć charakterystycznie i dobrze te fakta przedstawić, bo jak zaczęła się śmiać z początku, tak w końcu już rady sobie dać nie mogła... Rzuciła się na fote-

ju, zakrywała oczy, trzęsła się, ocierała łzy, w końcu doszła już do takiej wesołości, że tylko machała chustką trzymaną w ręku, powtarzając:

— Dosyć, dosyć!...

Uważałem, że toż samo, chociaż nie z taką swobodą, działo się i z panną. Udając obojętną z początku, nalewała z imbryka herbatę do filiżanek, ale powoli widzę, że ręka jej się ^trzęsie a sitko osadzone w dziobku dzwoni po filiżankach. Poczem już nie mogąc pohamować śmiechu, stawia nagle ten imbryk i ucieka w głąb pokoju i chichocze tam bez względu, czy to wypada, czy nie wypada.

— Ach, żeby to ojciec słyszał... prawda Zanciu— żeby ojciec mógł słyszeć... Ależ to jest wyborne... ależ to nic lepszego...

Lecz panna Żaneta nie mogła już odpowiadać, tylko przechyliła się na kozetce w ciemnym zakątku pokoju i trzymała się ręką za serce...

Nareszcie kiedy się trochę uspokoiły, a ja skrzyłem opowiadanie na naszą podróż, wróciła panna do stołu i muszę to przyznać, z inną już miną podała mi filiżankę z herbatą... Odważyłem się spojrzeć na nią i jakoś nasze* oczy spotkały się z sobą niechcący; skutkiem tego i ja i ona zaczerwieniliśmy się porządnie.

Nie powiem, żebym się z powodu tego zarumienienia już miał zakochać w pannie Żanecie, ale przyznaję, że mi się bardzo podobała. Rzeczywiście jest ona bardzo piękną, może mieć lat ośmnaście najwyżej, cerę białą matową, nosek zgrabniutki, usta jak świeżo zerwana wiśnia, a oczy tak czarne, że ani źrenic roz-

różnic, ani wiele białka z nich zobaczyć nie można.* Figurka przytem bardzo wdzięczna, może trochę za szczupłą; wzrost więcej niż średni, chód poważny i chwiejny, jakby jej głowa ciążyła, z powodu niezwykłego bogactwa czarnych lśniących się włosów...

— Musisz pan to opowiedzieć tatce — odzywa się już z pewną poufałością, jakbyśmy się nie od dziś znali —tатko bardzo lubi takie rzeczy...

— No proszę cię, jakże tu niema być wesołem takie życie aktorów?...—dodaje matka.— Nie dziwię się Hipciowi, chociaż nie pochwalam, że zasmakował w ich towarzystwie... Ale pan wybornie opowiadasz, winszuję takiego humoru i pojmuję, dlaczegoście się tak prędko z Hipciem zaprzyjaźnili.

— Długo pan zabawi w Warszawie? — zapytuje panna Żaneta, gdy wstał, aby się pożegnać...

— Mam zamiar tu pozostać. Ojciec wysłał mię dla praktyki po biurach, abym obeznał się z admini- stracją i sądownictwem, i w ogóle z instytucjami kra- jowemi.

— A to bardzo chwalebne... bardzo... — mówi prezesowa.- Żegnamy pana i dziękujemy za przyjemny wieczór...

— Ukłoniwszy się z uszanowaniem, już zmierzałem ku drzwiom, gdy zdawało mi się, że panna Żaneta szepnęła coś do matki...

— Spodziewam się panie Dołęgowski, że pan o swoim przyjacielu nie zapomni...

— Pan prezes zakazał mi tego... i nawet zagroził...-

Matka umilkła, oglądając się na córkę, córka znowu chciała coś powiedzieć, ale nie śmiała, więc ^ skończyło się jeszcze na ostatnim ceremonialnym ukło- | nie, po którym wyszedłem zły na siebie, że za nadto może był poufałym z temi paniami.

;

■

VIII.

Przebrnąwszy tak szczęśliwie katastrofę, która mi tyle strachu napędziła, jechałem z lekką myślą na Leszno, a przez drogę snuły mi się po myśli te czarne oczy panny Żanety i grzeczne przyjęcie pani prezesowej.

Już musiało być po dziewiątej, kiedym zajechał przed mieszkanie pana Waclawa. Nie byłem tu nigdy, bo wprowadził się do niego już po moim wyjeździe na wieś, więc odszukawszy stróża po wielu korowodach, dowiaduję się, że trzeba iść na drugie piętro prosto ze schodów na lewo, a potem na prawo i wprost... Dzwonię do drzwi, kazawszy dorożkarzowi nieść rzeczy za sobą — nikt nie otwiera; zaglądam przez dziurkę w zamku — ciemno w pokoju, ale klucz jest z tamtej strony, zatem szturmuję energiczniej sądząc, że musi być gdzieś w dalszych pokojach.

To moje dobijanie się sprawia szmer w korytarzu, i otwierają się naprzód drzwi sąsiadujące, a w nich ze świecą w ręku staje dosyć przystojna służąca.

— A do kogo to?—pyta mię trochę szorstko.

— Do pana Waclawa...

[. — Nie ma go w domu. Pan Waclaw jest u na- ; szych państwa na herbacie.

— Kiedy tak, to moja śliczna panienczko idź do pana i powiedz, że przyjechał znajomy jego ze wsi...

Dziewczyzna schowała się we drzwiach, zostawiali wiając nas w ciemności, i po kilku sekundach szastania iV. krzesłami niepokoju, który dochodził moich uszu, ktoś przekręca kluczem w zamku i spotykam się oko w oko i z Waclawem.

— To ty Grzesiu?—mówi zdziwiony, wprowadzali; jąc mię do pokoju.—Cóż ty tu robisz?

— Jak pan widzi, przyjechałem. Mam tu list do pana, który wszystko wyjaśni...

— Ale tam u was nie zdarzyło się nic złego?

| JfE I ■— Nic, wszyscy zdrowi.

Wziął list, przeczytał, i uważałem, że kompletnie był zaambarasowany moim przyjazdem. Udawał wprawdzie, że mi jest bardzo rad, prosił, żeby się rozgościć || bez ceremonii, sam nawet ustawiał mój kuferek, lecz (jakoś wszystko nie szło mu gładko—to już inny Wa- : cław niż u nas.

— Zkądże powstał tak nagły projekt wysłania • cię tutaj? Gdy byłem na wsi, ani o tem wspomniano...

Nająłbym ci mieszkanie, a tu u mnie tak ciasno, będzie ci niewygodnie... No mój drogi Grzesiu, jakże się tam macie, jakże panna Katarzyna?—dodał ciszej, spuszcza- l' jąc oczy...

— Zdrowa, wszyscy kazali się panu kłaniać...

— Ale — rzecze po chwili — ty pewnie jesteś głodny, a tu ja nic w domu nie mam. Od niejakiego

czasu stołuję się u tych państwa w sąsiedztwie, od których to mieszkanie odnajmuję.

— Nie jestem głodny...

— Powiedz prawdę, mój drogi, i nie rób ze mną ceremonii, poszlę po co do miasta... Ale poczekajno, pobiegnę do sąsiadki... może ona co znajdzie...

Prosiłem, żeby sobie nie robił subiekcyi i został dalej u tych państwa, ale jego już nie było.

Zostawszy sam, zacząłem się rozpatrywać dokoła. Salonik był obszerny, obok drugi pokój sypialny i chociaż nie wykwinnie ale bardzo elegancko urządzone... Zastanowiła mnie tylko pewna miękkość w tem wszystkim, coś takiego, co nadawało temu mieszkaniu więcej śladów kobiecej dłoni. Czysto wszędzie i lśniaco aż do przesady, a tych gracików, drobnostek i cacek pełno na biurku, na stołach i stoliczkach, że trudno się było ruszyć a broń Boże oprzeć, aby coś nie spadło... Wszędzie jakieś nakrycia siatkowe, jakieś niby serwetki i pokrowce, czepiające się człowieka, na kanapie, na szeslongu, fotelach, stole i stolikach. Jedne z szarych nici, drugie z bawełny, inne z kolorowej włóczki z guzami i kwiatami. W sypialnym pokoju jeszcze widoczniesze wygodki: dywany, dywaniki, sukna na podłodze, poduszki z haftami i falbanami, a jest tego coś cztery, większe i mniejsze. Tu pantofle z tulipanami, tam czapeczka paciorkowa jedna i druga z sutemi kwastami, a nawet gitara, ta sama stara przyjaciółka, tylko już odświeżona i błyszcząca, wisi na jakiejś podkładce z krzyżowej roboty, wyciętej w kształcie ósemki.

No, myślę sobie, co się z tego człowieka zrobiło, ależto baba wypieszczona, niezawodny kandydat na starego kawalera. Zle z moją Kasią, papiery jej spa dają, bo taki człowiek niełatwo zdecyduje się porzucić te wszystkie przyzwyczajenia dla kogoś... I dla mnie ^przyznam się jest tu duszno; boję się stąpić, rozłożyć na kanapie, boję się palić, nie mam gdzie splunąć, bo jakoś i te kroszuarki, co stoją po kątach, są pozamykane wieczkami z tajemnym mechanizmem, że chcąc icli użyć, trzeba jak ostrzygi gwałtem otwierać.

— No, Grzesiu, przebierz się trochę, pójdziemy do państwa Łęczyckich. Zarekomenduje cię — mówi żywo pan Waclaw już z lepszą miną — i tam wypijemy herbatę... tylko się pośpiesz... S - — Ech, jaby m wolał zostać...

A, nie można, pani była tak grzeczną, że kazała drugi raz nastawić samowar... nie wypada... Czekaj, ja ci pomogę rozpakować kufer...

Nie pozwoliłem na to, lecz on stał nademną jakby dozorca jaki, gdy wyjmowałem ubranie, a kiedy już miałem to, co mi potrzeba, i zamykałem wieko zostawi- ■ wszy część rzeczy na stołku, kazał mi złożyć to wszystko napowrót, a nawet sam dopomógł, żeby tylko zrobić porządek. Podobnie dozorował mnie kiedy się myłem, prowadził mnie to do przedpokoju, to do sypialni, nie dał mi grzebienia, który wziętem z jego toalety, ale poszukał innego—słowem tak mnie wynudził, że kompletnie zniechęcony poszedłem do owych państwa...

— Muszę cię uprzedzić, że pan Łęczycki jest sędzią apelacyjnym, człowiek nadzwyczaj wykształcony, poważny i lubi też taką rozmowę. Więc słuchajże go cierpliwie... Pani za to bardzo miła i elegancka kobieta światowa, ale bez tej sztywności salonowej, jednak uważająca na wszystko...

Kekomendacja moja odbyła się dość na zimno; pani ukloniła mi się ceremonialnie, jakby także była zakłopotaną, bo wskazawszy mi miejsce przy stole, wzięła się zaraz do nalewania herbaty. Jestto kobieta w wieku, który trudno oznaczyć: wygląda na lat dwadzieścia ośm do trzydziestu, ale może miść i czterdzieści. Średniego wzrostu, kształtną, chociaż cokolwiek zanadto okrągłą ma figurę. Blondynka z wielką kosa - fiurą na głowie, rzuca przenikające spojrzenia dużymi niebieskimi oczami. Nie jest piękną pierwszorzędną, bo rysy twarzy cokolwiek za grube i owal niezbyt regularny, jednak bardzo przystojna, do czego wiele przyczynia się stosowne ubranie, pełne odstających koronek, falban i innych strzępków, z pośród których za pełna twarz i szyja i ręce wydają się mniejszemi. Koło ust ma dołeczki taki sam jeden na końcu brody i na pulchnych rączkach; a widocznie żywego temperamentu, bo siada i wstaje z krzesła nieustannie, i spogląda bystro, przymrużając piękne swe oczy ocienione długą i lśniącą jak jedwab rzęsą. Dziś, kiedy sobie przypominę całą tę scenę, oburzam się, jak mogłem znieść tak chłodne przyjęcie mej osoby, ale wówczas byłem dość nieśmiały, jako nowicyusz, więc prócz zakłopotania nie czułem nic więcej. Pan Wacław również nie był w humorze, choć obracał się swobodnie, jakby u siebie w domu.

- Przez otwarte drzwi drugiego pokoju, słabo oświetlonego lampą z zieloną umbrellką, widziałem całą ścianę założoną książkami i słyszałem od czasu do czasu urywane chrząkania.

— Mikołaju! — odzywa się głośniejsz pani — może- i ty się napijesz herbaty. Pójdź-że tu do nas.~

Nazwany panem Mikołajem, poruszył się głośniejsz i za chwilę pokazał się we drzwiach z miną człowieka, który dopiero co się obudził. Jestto średniego wzrostu mężczyzna z ogromną głową, bujnie pokrytą siwymi włosami. Twarz jego blada, wyrazista, coś w rodzaju twarzy Kościuszki, oczy czarne, i silnie zarysowana brew nad niemi. Pan sędzia idzie tak niezgrabnie jak stary kawalerzy sta, a całe ubranie tak dziwnie się na nim trzyma, że ledwie pod niem kształtów ludzkich domyśleć się można. Wszystko jakby nie na niego robione, krótkie, upinające się, ciągnące, lub wiszące. Trzymając ręce w obu kieszeniach, zbliżył się do stołu, a pan Wacław zarekomendował mi z obowiązku. Sędzia podał mi z całą serdecznością rękę i zaczął się przypatrywać dość natarczywie.

— Tęgi z ciebie szlachcic, hę? — mówi, klepiąc mi ręką po ramieniu— opalony, dziarski... Bardzo mi przyjemnie poznać cię kochany Grzegorzu, lubię młodych ludzi, bo to panie dobrodzieju jest piękny kwiat z puchem i barwą życia... a któż kwiatów nie lubi? No i ten Grzegorz mi się podoba, nie jakiś tam Astolf, Adolf... lub Heliodor, to nasze imię ludowe... A twój ojciec to szlachcic?

— Szlachcic.

— Taki stary, zapleśniały, co? Nie czyta nic prócz kalendarza i żałuje wszystkiego co było, hę?

— A, nie—odzywam się na to — ojciec mój właśnie wiele czyta i pism mamy dosyć...

— Bo to widzisz mój Grzesiu, ja jestem tyk, czyli mieszczanin prawdziwy...

— Co tam pana Dołęgowskiego interesuje twoje pochodzenie—przerywa niechętnie pani sędzina...

— Za pozwoleniem, może obchodzić. Ludzie z ludźmi jak się znajomią, powinni wiedzieć, co są. Otóż ja jestem z urodzenia i z przekonania człowiek z ludu, który jeżeli jest czem, to sam sobie wszystko winien...

— Ależ Mikołaju...

— Za pozwoleniem, niech skończę... Podobasz mi się kawalerze i dla tego mówię ci, jeżeli chcesz czemś być na świecie, nie rachuj na stare szpargały familijne. W szeregu kawalerze trzeba stanąć jak żołnierz, rozu- miész... w szeregu...

— Właśnie ojciec wysłał mię tutaj, abym odbył praktykę po różnych biurach rządowych i sądach dla obeznania się z urządzeniami krajowemi...

— A tak to chwałę, masz porządnego ojca... Mówił mi dosyć o was i Waclaw, szczególnie o siostrze, jakże jej to na imię?

tff Kasia.

— Bardzo mi się podoba to imię... Grzegorz, Kasia... to po naszymu... A jakże ta Kasia, ładna, hę?... podobna do ciebie?

— Nie, przeciwnie jest blondynką z niebieskimi oczami.

— Jak aniołek, hę? włosy kręcone?

— Trochę... '

— Blondynki bywają czasami ładne—mówił wesoło pan sędzia.—Ten hultaj Waclaw ma dobry gust... Powiadam ci, ja go tu swatam z jedną panienką, córką mojego przyjaciela, brunetką z okiem jak iskra... ale on nie, powiada: za blondynkami przepadam, i ma ra- cyę. Ja tego samego jestem zdania... Spójrzyj na moją Hełę, no dziś jeszcze jest sobie tak niczego kobieci

na, ale żebyś ją był znał przed dwudziestu laty, mówię ci, to niebo do ziemi...

— Mikołaju, usiądźże—przerywa kwaśno małżonka—i pij herbatę... proszę, niech pan bierze szynkę!

— Za pozwoleniem — ciągnie dalej, siadając na krześle i mnie sadzając obok— zobaczyłem ją pierwszy raz na odpuście w Łomży... przy bierzmowaniu... Zglupiałem, daję ci słowo nie wiedziałem, co się ze mną dzieje... Włoski kręcone, jak u aniołka, oczki fioleto- we, teraz jej zbladły, ale wtenczas to formalnie dyabe- łek jakiś w nich siedział, a minka panie dobrodzieju, jak u nowonarodzonego dziecka. Ja byłem wtedy skończonym magistrem prawa, i byłem na aplikacyi przy Trybunale—a mówię ci, zdechł pies — straciłem głowę!

— Ech, ty i tak często ją tracisz!

— Za pozwoleniem, na byle co nie tracę, ho, ho... Ty nie patrz na moją siwą głowę, bo ja panie dobrodzieju jeszcze tu młody... i czczę co piękne i świeże §| szlachetne!

— Pan sędzia zawsze poeta! — odzywa się pan Waclaw, zapalając papierosa.

— Prawda, ja rzeczywiście jestem poetą, choć dwóch wierszy nie ułożyłem nigdy: Lecę—gonię wspomnień mary, Z kwiatów życia wieniec plotę; Piękność, miłość, czncia, wiarę, Na ogniwa spajam słotę-

Albo to:

Łza na krótko oko cieni, Częściej płoną w niem rozkosze, Bo-co ziemskie, rzucam ziemi, Co niebieskie, w niebo wznoszę.

Żałuję mocno, że nie mogę czytelnikom odstąpić na tę chwilę moich oczu i mojej pamięci, aby mogli tak dobrze uprzytomnić sobie pana sędziego, jak ja go widzę przy tej deklamacji. Zwyczajnie mówiąc, zaciął się trochę, zastępując brak wyrazów wydymaniem ust i rozszerzaniem powiek oczu; ale gdy deklamował—jąkanie się znikało, cała twarz ożywiała się inaczej, a głos modulował się do słów przez lejkowate ust zwężenie lub rozszerzanie.

Z przykrością muszę tu wyznać, że pani i pan Waław zapatrywali się na ten popis deklamacyjny sędziego z pewnym politowaniem. W spojrzeniach ich dostrzegłem lekki uśmiech ironii, a pani nawet wzruszała ramionami.

Pan Mikołaj jest gadułą, ale gadułą chwytającym za serce; rzeczywiście znać w nim świeżość uczucia, i tę wewnętrzną młodość, tak rzadką niestety w ludziach późniejszego wieku. Był zadowolony z życia i ludzi i świata i swojej pozycji, o której nigdy nie marzył... Gdybym był wiedział w tej chwili to, o czym przekonałem się później, potrafiłbym wyjaśnić sobie ten dziwny humor i pana Waława i pani, w jakim podczas rozmowy mojej z sędzią zostawali. Pani widocznie była o coś zadąsana, Waław tem zakłopotany, bo jakoś chodził nie swój, trwożliwie spoglądał na panią i milczał... Szczególniejszy niepokój jego dostrzegłem, gdy pan sędzia zwrócił rozmowę o Kasi i onim...

— Słuchaj Grzesiu, dobrego będziesz miał szwa- gierka z Waława. Złote serce u niego, tylko panicz, bo panicz, chociaż syn prywatnego oficjalisty. Wygódki, świecidełka, pachnidła... No, ale w głowie ma dobrze, prawnik z niego tęgi... Nie zgadzamy się czasami co do znaczenia prawodawstwa rzymskiego, ale ja jego jeszcze przekonam. Uważasz, doskonałość prawa rzymskiego prywatnego na czym zależy?

— Nie wiem—mówię, spuszczać oczy...

— Mój Mikołaju— odzywa się pani — nie męcz pana Dołęgowskiego, co jego obchodzi jakieś tam prawo?....

Za pozwoleniem, obchodzi go, bo kogoż nie inte- resuje rzecz, na której wspiera się cały porządek społeczny? Czekaj że ja krótko ci powiem: Oto zależy raz na legalnej i systematycznej walce postępu z konserwatyzmem, uosobioną w sporze plebejusów z patrycuszami, powtóre: na pracach znakomitych juriskonsultów z przekonania stoików, i potrzebie na jus gentium i na- 'tundis ratio przez pretorów wprowadzonym... Tu wi- | dzisz kawalerze, tu—mówi, pukając tabakierką o dłoń | —kryje się całe bogactwo treści ugruntowanej na różnicach istotę rzeczy stanowiących jak dólus, culpa, error, vis, czem pojedyncza wola uznana została jako | czynna przyczyna, dająca prawu byt zewnętrzny... Rozumiesz!... byt, życie... A co mi ty będziesz gadał o sa- molubstwie—mówi, zwracając się do pana Waława.— Prawda, jest ono rdzeniem drzewa tego prawodawstwa, ale nie samem tylko zmysłowem samolubstwem. Owszem, ma swe wyższe dążności władzy i niepodległości... Osoba i wolność w nietykalności domu...

— Daruje pan sędzia—odzywa się Waław, biorąc mnie za rękę—zostawmy tę rozprawę na kiedyin- dziej, pani jest cokolwiek słabą i musimy pożegnać f państwa...

— Spodziewam się, że pan Grzegorz—dodaje pani—zechce nasz dom uważać za dom przyjacielski...

Z opowiadań pana Waława znamy się więcej niż prości znajomi, dlatego proszę jutro i pojutrze na obiad, dopóki się pan nie urządzi... Bardzo proszę, nie zrobisz nam pan żadnej subiekty...

To mówiąc, podała mi rękę już z daleko uprzej- miejszem spojrzeniem, niż przy powitaniu.

Kiedy żegnałem sędziego, ten był napół nieprzytomny, z miną niewystrzeżonego naboju...

— Ja ci mówię— odzywa się, odprowadzając mię do drzwi — że prawodawstwo rzymskie pojmuję, jako przyczynę w prawie, samą tylko wolę własną...

— Ależ Mikołaju, na miłość Bożką— odzywa się żona, odciągając go odemnie— dajże pokój!

— Za pozwoleniem— odpowiada obrażony— niech dokończę— bez uwzględnienia rationis juris... pamiętaj, proszę bez uwzględnienia... No dobrej nocy kawalerze a ja ci kiedy odczytam rozprawę, nad którą właśnie pracuję, pod tytułem „Krytyczny pogląd nahistorię, związku, postępu i rozwoju idei prawa w starożytności...”^w

Wcale niegrzecznie pan Waław popchnął mię we drzwi i stary został w pokoju...

— On by cię zamęczył swojemi wywodami... No pójdź odpocznij, a jutro pomyślimy, jak cię ulokować...

W mieszkaniu naszym zastaliśmy pannę służącą pani sędzinej, która przyrządzała mi pościel na sofie. Jestto przystojna bardzo dziewczyna i tak elegancko ubrana, że wcale nie wyglądała na służącą. Dlatego też i pan Waław jest dla niej nadzwyczaj uprzejmy, mówi jej: panno Józefo, a czego to panna Józefa się trudzi, my tu sobie sami urządzimy, ale ta panna Józe

fa, wyrażając się trochę z przesadą, i używając zamiast bez, przez, nie da się wyręczyć w tej robocie.

p■•— To widzisz bardzo porządna panienska, z dobrego domu, i wykształcona—mówi do mnie po jej wyjściu—dlatego wszyscy tutaj obchodzą się z nią delikatnie...

Nie bardzo mogłem wierzyć w to wykształcenie panny Józefy, kiedy jej trudno bez i przez rozróżnić, ale myślę sobie: niech i tak będzie, skoro ją wszyscy adorują.

■ — No jakże ci się podobała pani sędzina?

— Bardzo przyzwoita kobieta...

— Co to przyzwoita?— przerywa mi Waław dość żywo— to jest zacności i dobroci niesłychanej osoba... A jakie wykształcenie, jaka delikatność, jakie wzięcie... Ta kobieta stworzona jest do innej sfery towarzyskiej... Proszę cię, ja tutaj mieszkam, jestem obcy dla niej — płacę wprawdzie, chociaż stosunkowo niewiele, a mam takie wygody, taką troskliwość i względność, że we własnym domu czegoś podobnego bym nie miał. Jestto kobieta, jakich mało.

I na tym punkcie nie zgadzałem się w duchu na ową delikatność i dobry ton pani sędziny, przypomniawszy sobie jej zachmurzoną minę i szorstkość obejścia się z inężein—ale potakiwałem mruczając, jak to się zwykle dzieje w takich razach.

Gdy przyszło spać się położyć, pan Waław chodził koło mnie jak niańka, nie z powodu jakiejś gościnności, tylko żeby mu nie zrobić nieporządku. Zapalę papierosa, on już szuka oczami popielniczki i widzę drży, aby popiół nie upadł na podłogę. Położy jakąś rzecz, lub część ubrania tu, on mi ją niby niechcący

przekłada gdzieindziej. Stoliczek przystawiony do kanapy, nakrywa teraz choćby ręcznikiem, aby się nie rysował, i ciągle tylko śledzi wszystkie moje ruchy z najwyższym niepokojem. W domu, na wsi, mając swój kawalerski pokój, nie robiłem sobie wiele subiekcyi z porządkiem, ot jak to zwykle u młodych: gdzie padło tam siadło, więc i tutaj nie mogłem od razu zastosować się do jego wymagań, co tak rozstrajało pana Waława, że odpowiadał mi kompletnie nieprzytomny, i stracił resztę dobrego humoru, którego część z niewiadomej mi przyczyny zostawił już u swoich sąsiadów.

IX.

Po kilkudniowych niewygodach w miasteczku, po uciążliwej pocztową bryczką i w takim strachu podróży, spałem jak bobak wśród takich miękkości, jakie mi pani sędzina kazała przygotować. Przyznaję, że z wielką przykrością przyszło mi wstać o siódmej, ale pan Waław tak mię nudził i tak przymawiał, że kawę przyniosą, że służąca przyjdzie sprzątać, iż trzeba było dać za wygraną dalszemu leżeniu. Jakoż niedługo zjawiała się znowu też sama panna Józefa w złotych kolczykach i świeżej ogoniastej sukni, przynosząc śniadanie.

—Ja muszę iść do biura — mówi do mnie—i zaraz się dowiem, gdzie cię najpierw pomieścimy —• tymczasem ty rozpatrz się po ulicach, może znajdziesz dla siebie pokoik... klucz oddaj panie Józefie...

Zrobiłem, jak mi radził i około jedenastój wyszedłem na ulicę. Ubierając się, coś mi tam plątało się po głowie, żeby szukać mieszkania na Mazowieckiej ulicy. Dlaczego na Mazowieckiej? to sam tego wyjaśnić nie potrafię, choć obok nazwiska tej ulicy stanęły

zaraz czarne oczy panny Żanety. Szczególniejsza rzecz, jak można mieć takie oczy, w których źrenic nie widać?... Ciekawy jestem, czy też takie są, i we dnie?... Okna jej pokoju muszą wychodzić na ulicę, zapewne wygląda czasem, bo wszystkie Warszawianki lubią wychylać główki... To i cóż, ukloniłbym się, wszak byłem rekomendowany.

Otóż z takimi myślami zbliżyłem się do kuchni, aby oddać klucz służącej, lecz zamiast panny Józefy, spostrzegłem samą panią.

— A, dzień dobry panu! — odpowiada na mój ukłon z bardzo uprzejmą miną... Proszę, niech pan przejdzie do drzwi od przedpokoju, ja panu otworzę...

Nie miałem zamiaru wstępować, lecz ona zapraszała koniecznie.

— Może pan pozwoli małe śniadanko, bo tam na wsi jesteście przyzwyczajeni do tego, a u nas . obiad o trzeciej, panowie tak późno wracają z biura.

Nie umiałem się wymówić, pani nalegała tak ujmująco, że za chwilę znalazłem się znowu w tym samym co wczoraj pokoju... Pani sędzina wyglądała dziś jeszcze lepiej: miała bladzielonkową suknię bardzo zgrabnie leżącą, włosy troszkę upudrowane, a delikatna cera blondynki, wieczorem troszkę żółtawa, wydała się teraz przejrzysto-różową.

Jak wczoraj była chmurną, tak dziś nadzwyczaj grzeczną, ze śmiejącymi się ciągle oczyma, które, przyznać muszę, miały szczególniejszy blask i dosyć jeszcze fijołkowego koloru, który tak zachwyił pana Mikołaja kiedyś na odpuscie w Łomży. Służącej żadnej nie było, więc sama pani, uwijając się z wdziękiem, przyrządziła naprędce śniadanie. Sama napiła się odrobinę wódki na zachętę, zapraszała, nalegała, abym jadł, a nawet sama kładła na talerz wędliny.

Nie byłem przyzwyczajony do takiej usłużności kobiet, dlatego żenowałem się co chwila, czerwieniąc jak piwonia, szczególnie, gdy wypadło, że wzrok mój spotkał się z jej wzrokiem...

— Proszę, zapalno pan cygaro, czy papierosa! — mówi, podając mi jedno i drugie. — Nie rób pan ceremonii, ja sama troszeczkę palę... pokryjomu. Mój mąż jest dawnych przekonań i ma mi to za złe, ale z nudów, siedząc tak sama całymi godzinami, spróbowałam tej przyjemności panów i przyznam się, że mi smakuje...

Jak wczoraj u pani prezesowej rozmowa szła mi swobodnie i jakoś gładko, tak dziś pomimo niezwyklej uprzejmości sędziny, nie mogłem się rozruszać... Pani rozpytywała się o moją rodzinę, o naszą wioskę, o życie domowe, sąsiedztwa i inne drobnostki, stanowiące przedmiot konwencyjonalnej rozmowy. Odpowiadałem dość krótko, lecz powoli jakoś ośmieliłem się więcej, malując charakter ciotki, jej śmieszności i umęczenie | Kasi...

— A propos siostry—rzecze wesoło — czy rzeczywiście tak piękna?...

— Wszyscy mówią, że ładna...

— A nie masz pan czasem jej fotografii?

— Właśnie mam nawet dwa egzemplarze, bo pan ■■. Waclaw prosi, żeby mu nową przysłać. On ma da- | wniejszą, ale ta ma być więcej trafiona.

To mówiąc, wyjąłem z bocznej kieszeni kopertę z portretami rodziny i podałem wizerunek Kasi.

— Jaki to filut z pana Waclawa—mówi, przypa

trując się z zajęciem fotografii. — Wystaw sobie pan, tyle razy go prosiłam, żeby mi pokazał, a zawsze wypierał się, że nie ma...

— Ma proszę pani od dwóch lat, pamiętam, matka mu dała mimo oporu Kasi...

— Śliczna twarzyczka z tą dziecięcą miną. Czy rzeczywiście jest taką, czy tylko teraz jak zakochana? Panie Grzegorz, no jeszcze lampeczkę porteru... A cóż pan za mężczyzna, patrzaj pan, i ja się z nim napiję.

Szczególniejsza rzecz, że ja taką mam słabą głowę do tego porteru, a jeszcze niech się wprzód napiję wódki, to w moment czuję, że sobie podchmielił. Otóż i teraz tak było, że po drugiej lampce zaczęło mi szemrać lepiej i odrazu stałem się rozmownym.

— O jest zakochana, chociaż się wypiera, ale ja ją znam, skryta i zawzięta... nic nie powie... Pan Waclaw przeciwnie, serce jak na dłoni...

— Nie wierz pan temu, i on jest skryty! Szczególniej uważałam, jak powrócił teraz od państwa, jakiś zamyślony, rozmarzony...

— Naturalnie, bo zakochany...

— Tak pan sądzisz?

— To jest, prawdę powiedziawszy, ja na tem się dobrze nie znam... ale to widać... Jak jest u nas, to tylko wciąż oczami goni za Kasią, nawet mama z tego powodu nazwała go słonecznikiem...

— Doskonała nazwa!—rzecze uradowana sędzina, klaszcząc w ręce... Będę mu też dokuczać tym słone < cznikiem...

— Przy stole siada przy niej, na spacerze wysuwają się naprzód — mówię już z pewną fantazją pod szumem porteru...

Pani się dopytuje coraz to więcej, a śmieje się, gdy jej rozpowiadam o różnych szczegółach adoracji pana Waclawa, o jego uniżonej grzeczności dla ciotki, która daje pięćdziesiąt tysięcy posagu za Kasią...

— Ciekawych rzeczy dowiaduję się od pana mówi dalej sędzina.—Wiedziałam, że jest zakochany i bardzo mię to cieszy, bo rzeczywiście bardzo to zacny człowiek i przyjaciel naszego domu... Mówię panu, Mikołaj jest w nim formalnie zakochany... Ale nie sądziłam nigdy, żeby był tak czułym. Przedemną udaje sensata, człowieka poważnego... Jakto nigdy nie można wierzyć powierzchownej obojętności!.. Doprawdy szczęśliwa jestem, że mu się dostanie tak piękna i dobra żona...

— O, że Kasia jest anielskiej dobroci, to pani | ręczę...

— No i kiedyż ślub będzie?

— To jeszcze niewiadomo...

— Jakto, nie oświadczył się formalnie?

— Rodzicom nie, ale to rzecz jakby pewna...

— Naturalnie, ja przecież nie wątpię... tylko sądziłam, że wszystko ułożone... Chociaż znamy się już parę lat, i on ma do mnie zaufanie, ale w takich rze-
| czach nie śmiem się pytać... No, winszuję panu takiego - szwagra, jest bardzo miły, bardzo dobry i szlachetny " człowiek...

Z tego przedmiotu rozmowy powoli weszliśmy na inny,lecz uważałem,pani sędzina, nie była już taką wesołą jak wprzód... Wstawiała często z krzesła, zaglądała do | okna, przykładając czoło do szyby, jakby oczekując czyjegoś przybycia...

— Niespokojna jestem, dlaczego Józia nie wraca

posłałam ją do biura męża, bo wyszedł, narzekając na ból głowy... On biedny ślęczy tak długo w nocy nad książkami, że często zapada na tę głowę... Uważałeś pan, nawet starzej wygląda niż jest rzeczywiście... Czy- byś pan powiedział, że on ma lat 56, prawda? a jednak tak jest... Poczciwy Mikołajko... jaki on dobry to pan niewierzysz... Daj Boże, aby tylko siostra pańska była tak szczęśliwą z Waławem, jak ja z moim Mikołajem... Przy siwej głowie, ma taki jeszcze zapas życia, młodości i poezji, że pan Waław może uchodzić przy nim za starca...

Porter już trochę wyszumiał mi z głowy, a że widziałem, pani sędzina niespokojną była o zdrowie męża, zatem podniosłem się, aby ją pożegnać...

— O trzeciej czekamy na obiad, proszę się nie spóźnić... Do miłego widzenia.

I cóż tu więcej dyplomatyzować i badać — pomyślałem sobie—nie ulega żadnej wątpliwości, że Waław żeni się z Kasią. Otóż bardzo łatwo moje posłannictwo spełnione, nie kazali z nim mówić otwarcie... a mnie też więcej nie potrzeba. Pod wrażeniem więc tej rozmowy z panią sędziną, a zapewne i z szumem w głowie z portera siadłem do biurka i wystylizowałem dwa listy do domu. W pierwszym, adresowanym do matki, piszę, że małżeństwo Kasi jest rzeczą więcej niż pewną. Nie potrzebowałem na to długich korowodów i ostrożności,

O jakie ciotka nalegała, bo wszyscy o tem tu wiedzą

I mówią jako o rzeczy postanowionej. Następnie opisałem sąsiadów pana Waława, jak on to szanowany i lubiany przez państwa Łęczyckich, jak ona jest dobrą dla niego i dla mnie, tak prawie jak rodzona matka. Kończąc ten list, dołączyłem ucałowanie rączek cioci
l>o tysiąc razy, ciotka bowiem na to bardzo uważała, i dodałem, że spodziewam się, nie będzie mi już uważała za lekkiewicza, skoro tak zręcznie i dyplomatycznie powierzona missyę wypełniłem.

W drugim liście, do Kasi, który zajął całe cztery stronicie i wszystkie marginesy, opowiedziałem jśj tęsknotę Waława, jak on to ciągle jest smutny i zamyślony, jakie ma meble, jak mieszka, jak o nią się dopytuje i jaki jest porządnicki aż do przesady...

„Wiesz Kasiu—piszę—jak wy się oboje pobierzecie, to chyba boso będziecie chr Izić po pokojach, żeby się podłoga nie zawałała, a sypiać chyba w przedpokoju, bo i ty nie ustępujesz mu w zamiłowaniu do porządku.”

Następnie, ponieważ w osobistych sprawach moich potrzebowałem się przed kimś wywnętrzyć, więc też puściwszy wodze młodzieńczej fantazyi z pewnemi jeszcze dodatkami, rozpisałem się szeroko o zaprzyjaźnieniu raodem z synem dygnitarza pewnego, to jest z Hipolitem, potem z jego siostrą idealnej piękności panną Żanetą. Improwizacja moja na punkcie panny ; Żanety, szła nawet tak daleko, że z tego listu Kasia powinna się domyśleć, jako to niewinne stworzenie jest we mnie na zabój zakochane, a ja tak sobie odgrywam ; rolę małego Don Żuana i bawię się tem uczuciem. Ma się rozumieć, że nie wspomniałem, jaką to drogą dostałem się do salonu tych państwa, ale wykoncypowałem inną cudowną historję, która mnie nawet po napisaniu \ wydała się zakrawającą na blagę.

— Nie przeczytawszy tych studencko-samochwal- | czych elukubracyj, listy zapieczętowałem, a oddawszy na pocztę, dumny byłem mojemu sukcesami, w które za

cząłem i sarn potrosze wierzyć. Ba, dlaczegóżby to stać się nie mogło? Gdybym tylko chciał na seryo... to musiałyby się we mnie zakochać panna Żaneta... Cóż to nie zdarzają się wypadki, że księżniczki i hrabianki idą za męża za gorszych odemnie. Córka prezesa, radcy tajnego... wielka rzecz—cóż on? urzędnik i nic więcej.

Obiad przeszedł dosyć nudno. O "Wacławie nie mówię, on jest zakochany, więc też nic dziwnego, że zamyślony i trochę nieprzytomny. Stary sędzia prześladowuje go też co chwila, pani mu nie żałuje wesołych przymówek, choć i ona sama jakoś nie w humorze... Dla mnie jest bardzo grzeczną i uprzejmą, lecz sama prawie nic nie je, ale czegoś taka niespokojna, rozdrażniona, a oczy to jej tylko błyszczą, i wszystko jej źle, Józia niezgrabnie usługuje, kucharka zepsuła obiad, w pokoju duszno, mąż robi nieporządek tabaką, piesek niepotrzebnie płacze się po nogach—słowem albo jest chora, albo wkrótce dostanie migreny.

— Słuchaj Heła — mówi pan sędzia, wstając od stołu—każ nam z Grzesiem podać czarną kawę do mojego gabinetu: ja kawalerowi przeczytam wstęp do mojej historii filozofii prawa rzymskiego.

Jakoż przenieśliśmy się do tego pokoju, który wbrew ogólnej czystości, panującej w całym mieszkaniu, wcale nie grzeszył porządkiem. Jedna cała ścianka od góry do dołu założona była książkami bez ładu i składu. Pył i pajęczyna, zdaje się, że od roku nie były tu ruszane, a że wiele książek nie miało oprawy, zatem mnóstwo wystawało luźnych kart na zewnątrz, podobnie jak w antykwami u starozakonnych na Nowowiniarskiej ulicy. Pod jedną ścianą stało żelazne łóżko sę dziego z bardzo skromną pościelą, pod drugą wielki szeslong safianem obity i dobrze już podszarzony. Na środku duży stół zielonym suknem nakryty, ze stosami porozkładanych książek, zeszytów, luźnych arkuszy, notatek, świstków, które na podobieństwo gór szwajcarskich piętrzyły się jedne nad drugimi, formując rozmaite niebezpieczne urwiska. Pan sędzia, kiedy chce pisać na tym stole, formalnie rozkopuje te góry, a wyłobiwszy sobie jakąś szczelinę, ginie w niej ze swoją siwą głową bez śladu.

Usadziwszy mię na szeslongu, sam zajął fotel, a wyszukawszy w tym papierowym chaosie, stary, pożółkły zeszyt rękopisu, zaczął mi czytać z niezwykłą deklamacją, zapytując nieustannie:

— No, pojmujesz kawalerze? Prawda, że wszystko jasne i proste?

— Prawda!—odpowiadam, a rzeczywiście "mało co rozumiałem, gdyż była to rozprawa czysto prawniczej treści, wymagająca daleko większych wiadomości, niż ja je posiadać mogłem. Pamiętam tylko, że była tam mowa o dwóch stronach ducha ludzkiego, które odkryli Grecy, to jest piękno i prawdę; trzecią zaś stworzyli Rzymianie, a ta się nazywa dobrem. Słuchałem, oparty wygodnie na szeslongu, lecz przyznaję, że nierównie Więcej obchodziła mię konwersacya pana Wacława z panią sędziwą, którą, jak się zdaje, dość żywo i przytłumionym głosem w sąsiednim pokoju prowadzili.

Drzwi od gabinetu były otwarte, a ja siedziałem tak, że przechyliwszy nieco głowę, mogłem ich widzieć. Pani na pół leżała na kozetce i wachlowała się chustką, którą też dość często przykładła do oczu, pan Wa

claw to chodził koło wielkiego stołu jadalnego, to zatrzymywał się przed nią i ręce załamywał, i za głowę się chwycił, jakby czegoś był zdesperowany. Nie mogłem nic słyszeć z ich rozmowy, bo mówili dość cicho, a stary z napuszystą deklamacją rozwodził się nad pięknnością starożytniej Grecyi, prawami Solona, powagą Areopagu i klasycyzmem tragedyi Eschyleasa, jednak z miny i ruchów tych państwa wnosilem, że między nimi o coś ważnego idzie. Raz nawet przechyliwszy się, dostrzegłem, że pan Waclaw chciał ją jakby przeproszać o coś i całować w rękę, ale pani sędzina oburzona widocznie na niego, nie pozwoliła.

— Co cię tam ich głupstwa mogą obchodzić! — zawoła sędzia, spostrzegłszy, że ja zamiast na niego patrzeć do drugiego pokoju.—Oni zawsze tak bałakają między sobą...

— Nie, tego, ale... — tłumaczę się, zapewniając, że słyszę wszystko, co on czyta.

Szczęściem, pan sędzia miał zwyczaj sypiać po po obiedzie, więc gdy ziewanie jego coraz to częściej zaczęło się mieszać z deklamacją, stary odłożył zeszyt, a ja skorzystałem z tój pauzy aby wstać i za lekturę podziękować.

— Będziemy sobie tak codzień po obiedzie czytywać—mówi, ściskając mię za rękę.— Zajmuje cię, co?

— Aa, bardzo...

— Ech, to dopiero wstęp do wstępu... Patrzaj co ja tu już mam tego — dodaje, pokazując mi ze trzydzieści kilka arkuszkowych zeszytów.—Proszę cię kawalerze, badania filozoficzne rozwoju ducha ludzkiego są niewyczerpane, a prawodawstwo wogóle jest kwintesencją tego wszystkiego...

Poruszenie się nasze w gabinecie, przerwało rozmowę tych państwa w sali jadalnej, a kiedym wszedł, to pani otworzywszy szafę z sukniami, tak mocno była czemś zajęta, że tylko ukloniła się, stojąc w półcieniu, co jednak nie przeszkodziło mi dostrzedz, że miała zaczerwienione oczy jakby od płaczu... Waclaw znowu już nie ukrywał swojego rozdrażnienia: zaczerwieniony jak indyk wybiegł prędko, a gdy podążyłem za nim do naszego mieszkania, widziałem, ręce mu drżały, gdy szukał klucza w kieszeni, a potem gdy tym kluczem zakręcał energicznie w zamku.

— Coś ty tam napłół dziś rano przed sędzią?— mówi do mnie z całym wybuchem gniewu, gdyśmy się znaleźli u siebie.

— Ja?—mówię obrażony—nie mam zwyczaju bawić się plotkami.

— Tak, a jednakże wygadałeś wszystko o naszych stosunkach...

— Nie widziałem nic zdrożnego. Pani pytała mię o różne szczegóły naszego życia na wsi, jaw zwyczajnej rozmowie opowiedziałem, jak jest...

— Właśnie, że nie tak jak jest... Nie trzeba być 1 zarozumiałym i innych podług swego widzimisię szacować. Zresztą nawet choćby i tak było — mówi łagodniej—to nie ma potrzeby wywnętrzania się zaraz ze wszystkimi sprawami, które nie powinny wychodzić po za ściany domu.

— Doprawdy, nie rozumiem co pan chcesz ode- mnie!—rzeknę cokolwiek żywiej. — Cóż ja takiego powiedziałem?

— Niechno panicz się tak nie unosi, ja wiem, co

mówię, kto cię upoważnił do pokazywania fotografii panny Katarzyny.

- Sam się upoważniłem bo to jest moja siostra.
- Dlaczego powiedziałeś, że ja mam jej fotografię...
- Bo pan ma...
- Właśnie nie mam, już dawno jak mi zginęła...
- Ha, trudno, ja takich rzeczy nie mogłem przewidzieć... Wiem, że mama panu dała...
- Otóż widzisz, że nie znając sprawy, nie trzeba przedstawiać kogoś w fałszywym świetle... Najlepiej trzymać język za zębami.

Widząc, że on koniecznie szuka sprzeczki ze mną, umilkłem obrażony i zacząłem przerzucać gazety. On jeszcze chodził rozjątrzony po pokoju, mruczał, groźnie spoglądał, nareszcie machnąwszy ręką, jakby coś stanowczego postanowił — wyszedł do sypialnego pokoju i drzwi za sobą zamknął. Słyszę, zdejmuje gitarę ze ściany i stroi, potem odetchnąwszy, zaczyna brzdąkać i nucić półgłosem jakąś hulaszczą piosenkę. Nie dłu • go jednak trwała ta muzyka i kto wieczy nie rozdrażniła pani sędziny w sąsiednim pokoju, bo patrzę, wpada z największym przerażeniem pokojówka Józefa, że pani zemdląła.

— A niechże też pan pójdzie! — woła na Waclawa.— Nasz pan rady sobie dać nie może; cuci, leje wodę, nie nie pomaga...

Waclaw gitarę rzucił i pobiegł, ja wychodzę za nimi do sieni, słyszę rejwach tam wielki w mieszkaniu sędziostwa, biegają, krzyczą, coś z kuchni noszą, nareszcie pokazuje się napół ubrany sędzia w kapeluszu na głowie, nie odpowiada na moje pytanie: jak się ma pani, lecz bezprzytorany prawie zbiega na dół widocznie po doktora.

Jakoś uspokoiło się trochę, nim sędzia wrócił z doktorem, a gdy w godzinę później zapytałem służą- cję w kuchni, powiedziała mi, że pani ma się już lepiej i leży w łóżku.

Na herbatę zaproszono mię do pokoju pani. Błąda z melancholijnym spojrzeniem, lecz elegancko ubrana w jakimś haftowanym szlafroku, leżała pani sędzina na szeslongu, a przy niej siedział stary sędzia, trzymając ją za rękę. O ile w gabinecie pana widziałem zaniedbanie i nieład, o tyle tutaj panowała atmosfera zbytku. Wszędzie kwiaty, dywany, lustra, wygodne meble i mnóstwo tych świecących drobnostek, w których kochają się tak bardzo młode kobiety. Zamierzono dla rozrywki pani grać w karty, więc mój Waclaw zupełnie już inny człowiek, sam przystawił stolik, rozbierał karty i tak miłosiernie spoglądał na panią, jakby pomiędzy nimi żadnej sprzeczki nie było...

— Ej Helu, Helu — mówi sędzia, grożąc jej palcem—jakiego ty strachu nam narobiłaś!

— I ty naprawdę się zląkłeś? — odpowiada pani, głaszcząc go delikatną rączką po nieogolonej twarzy.— Jaki ty pocziwy jesteś, mój stary. Wystaw sobie pan, lży mu w oczach stanęły, myślał, że ja umieram.

— Rzeczywiście—dodaje pan Waclaw— niebezpieczeństwo było wielkie.

— Naj zwyczaj niej szy atak nerwowy... Nie bójcie się, ja wam tak prędko nie umrę, a tobie mój kochany Mikołaju, jeszcze dosyć nadokuczam.

Gra w karty szła bez żadnego interesu, bo oba- dwaj panowie tylko patrzyli jej w oczy, szukając oznak, czy jej to nie męczy. Pan sędzia pytał ją co chwila: a nie gorzej ci Helu? i co kwadrans podawał lekarstwo zapisane przez doktora. Piękna pani krzywiła się i pieściła jak małe dziecko, gdy przyszło zażywać, a wtedy stary zaczynał się niby gniewać, zaś Waclaw robił tak pocieszno-płaczliwą minę, że ja o mało nie roześmiałem się na głos. Nareszcie gwałtem prawie kładziono jej łyżkę do ręki i pani musiała wypić.

Nie pamiętam, żebym się kiedy tak znudził, jak owego wieczora, bo później rozpoczęły się rozprawy o tem, co jutro ma być na obiad, co ten pan lubi, a co ten lubi, głównie zaś chodziło o Waclawa, który podług zapewnień sędziny ma tak delikatne zdrowie, że najmniejsza rzecz mu szkodzi.

Nie mogłem temu wierzyć, bo wyglądał czerstwo, rumiano i pulchno, powiem nawet więcej niż pulchno.

— Ech, żartuje pani sędzina — mówię — gdzież pan Waclaw na chorego wygląda.

— Tak ci się zdaje, mój kochany — odpowiada na to z żałosną miną. — Pamiętasz mnie dawniej, kiedy ja mogłem wołu zjeść z nogami i nic mi nie szkodziło, ale dziś to tylko łasce pani sędziny zawdzięczam, że żyję jako tako...

— Prawda że on jesfc cherlak—dodaje sędzia.— Zawsze go tam coś boli, to głowa, to tu, to tam. I zaraz ma inny humor. To nie tak jak ja panie dobrodzieju, zdrow jak lew, patrz, jakie u mnie piersi, co?— kończy, uderzając się pięścią—dudni jak w beczce, he? Co wy, dzisiejsza młodzież rozumiecie, co to są niewygody, praca i hartowanie... U nas panie dobrodzieju w Łomży, ojciec wysłał mię z parobkami na noc, aby dopilnować, żeby konie w szkodę nie poszły — to zapaliło się ogień, deszcz lał, albo rosa osiadła głowę, a człowiek położył się na gołej ziemi i spał do rana... Wstał, wykopał się w Narwi i zdrow... A potem w wojsku, he? ja byłem tylko audytorem pułkowym, ale czadami uganiałi trzy dni i trzy nocy, i jak człowiek dorwał się kawałka razowego chleba, to panie dobrodzieju pił, a nie jadł.

Tego wieczora panowie uradzili, że najpierw praktykę moją rozpocznę od sądownictwa, a że pan Mikołaj był bardzo szanowanym przez swego naczelnego zwierzchnika, podjął się więc tam mnie rekomendować.

Przy wyjściu już, pani zapytała panów, czyby się nie napili starego wina, którego buteleczkę ma w piwnicy. Sędzia nie miał ochoty, ja podziękowałem, lecz Waclaw zrobił wątpliwą minę...

— Mój Mikołaju, idź kochanie do piwnicy—odzywa się pani—i ja się troszkę napiję; Józia tyle się nabiegała, niech sobie troszkę odpocznie.

I pan Mikołaj, nie namyślając się, wziął klucze i świecę i poszedł na palcach przez kuchnię, żeby się panna Józefa nie przebudziła. Pani dotknęła ledwie kieliszka, ale Waclaw wypił dwa.

— Może i ty Mikołaju się napijesz? — zapytuje go żona, podstawiając mu kieliszek.— Wierz mi, na noc to będzie ci zdrowo—

Jakoś to całe postępowanie pani z mężem trochę mi się dztwnem wydało, lecz wziąłem to na karb gościnności w swoim domu, w imię której wiele się rzeczy robi nawet z ujmą własnej godności.

Gdyśmy wrócili do siebie, Waclaw był w różowym humorze, i nic tylko mi rozpowiadał o dobroci i uprzejmości pani.

— Mówię ci, jaka to jest kobieta, to drugiej trudno znaleźć z podobnym sercem i delikatnością.

— A i pan sędzia jest bardzo godny człowiek! — odzywam się po chwili.

— Tak, godny... bardzo zacy, ale widzisz, z innej strony... chce być uczonym, kiedy nudzi, ale jak nudzi... A te jego wspomnienia z Łomży czasami bywają bardzo niesmaczne.

X.

Nazajutrz miała się odbyć moja prezentacja w biurze. Pan sędzia, zamiast zwykłego biurowego surduta, zwieszającego się w różnych fałdach koło jego osoby, włożył czarny tuzurek, aksamitną kamizelkę, świeżą bieliznę i dał się ogolić. O rękawiczki był tylko wielki spór z panią.

— Ja mieszczanin, panie dobrodzieju, i moich wielkich łap się nie wstydzę—mówił. Ale pani koniecznie dała mu jakieś grube zamszowe, więc po wielkiem naleganiu włożył jedną, a drugą przyrzekł nieść w rękę.

Cięzka to była sprawa iść ulicą z panem Mikołajem. Co kilka kroków zstrzymywał się przy rozmowie, powtarzając swoje: „ale proszę cię, za pozwoleniem,^w i zastępy wał drogę swoją osobą. Pasyami lubił, żeby mu oponować, bo wtedy rozwijał dowodzenia, wydymał usta, oczy wytrzeszczał i tak energicznie pociągał za klapę surduta swego przeciwnika, że kiedy to na mnie trafiło, tylko macałem ją rękami, czy jeszcze nie oderwana. Przy łagodniejszym traktowaniu sprawy lub od- niesionem zwycięztwie, rozjaśniała się twarz starego, A. Wilczyński—Tora XYII, 10

a wtedy klepał mię po ramieniu i puszczał się dalej. Nic go nie obchodziło, że przechodzący ludzie zatrzymywali się i patrzyli się na nas z uśmiechem, bo Oll jak się zaperzył, to nie zważał, choć go jaki imperty- nent dość niezgrabnie potrącił.

Przeszedłszy kilka sal biurowych, zatrzymaliśmy się w obszernym przedpokoju dygnitarza, gdzie błyszcząco umundurowany woźny prezydialny, z zachmurzoną twarzą, ledwie raczył odpowiadać na liczne zapytania interesantów.

— Przyjacielu—mówi do niego sędzia—a prędko można się widzieć z prezesem?

— Alboż ja wiem.

— Któż tam jest?

— Nie znam...

— Proszę cię, idź i zamelduj!

Lecz woźny ani się ruszył ze swego wygodnego krzesła, albowiem zobaczywszy niepoczesną figurę pana Mikołaja, uważał za właściwe nie odpowiadać.

— Słyszysz panie dobrodzieju tego... — krzyknie stary, jękając się coraz bardziej— proszę mię zameldować: Sędzia Łęczycki...

Woźny jakoś się zorientował i leniwym krokiem ruszył do gabinetu, a mój pan sędzia powiada do mnie z ironią:

— Widzisz go, szlachcic; obstawia się służbą i takimi drabami... Ej wy szlachta, szlachta, kiedy przyjdziecie do rozumu!... Do prezydenta rzeczypospo- litej w Waszyngtonie łatwiej się dostać, niż do naszego urzędnika... Meldowania, historie, ceremonie...

Właśnie w tej chwili prezes wyprowadzał dwóch tłusciutkich obywateli do przedpokoju i kłaniał się

i ręce ścisnął, lecz zobaczywszy sędziego, zawołał uprzejmie:

— Kochany sędzia, proszę, proszę.

Struchlałem. A toż to ten sam mój prezes, ojciec

Hipolita z falbanką włosów naokoło twarzy. W pierwszej chwili, nie zważając na nic, chcę drapnąć i kiedym już trzymał za klamkę drzwi, odwraca się pan Mikołaj i kiwa na mnie, abym szedł do gabinetu. Nie było co robić—idę, lecz czuję, że nogi mi się trzęsą i niezwykle gorąco rozchodzi po twarzy.

— Jak się nazywa, Dołęgowski?—pyta dygnitarz, sadzając sędziego obok siebie na kanapie.—Coś to nazwisko jest mi znane... Kawalerze, przysuń się bliżej... A, to on—mówi, rzucając na mnie surowe spojrzenie.—Wszak my się znamy, panie artysto dramatyczny!

Na takie niespodziewane odkrycie, sędzia wytrzeszczył oczy i na mnie i na prezesa, i nie wie, co to ma znaczyć.

— To on z moim synem opiekowali się jakąś aktorką w małym miasteczku, bo trzeba ci wiedzieć, że mam takiego jak on hultaja, który uciekł z domu za jakąś boginią teatralną, i którego musiałem przez po- licyę sprowadzać. Otóż i tego panicza razem z nim przywieziono.

— Nie wiedziałem nic o tem, panie prezesie — odzywa się pomięszany sędzia, wstając z kanapy. —■ Zatem przepraszam, bardzo przepraszam...

— Siadajno sędzia—mówi dygnitarz, przytrzymując go za rękę i coś mu szeptem do ucha. — On to tam nie winien tyle co mój.

— Rzeczywiście — odzywam się trochę ośmielony.

— Wiem, wiem wszystko, żona mi to wyjaśniła— przerywa prezes. — Ale podobno jegomość doskonale opowiadasz o tym waszym teatrze w miasteczku. Wystaw sobie sędzia, moje kobiety jeszcze dotąd się śmieją, jak to niedźwiedzica żegnała się na scenie... Tak, ma kwalifikację na komika...

— On?—zapytuje pan Mikołaj ze zdziwieniem.— Rozmawia ze mną o prawodawstwie rzymskim z taką powagą.

— No, no, no... wierz ty im. I mój Hipolit na pozór wydaje się, jakby tylko Bogu duszę był winien. Ale co ja mam z nim?... Mówię sędziemu, już go mam potąd... Inny teraz świat, inni ludzie, im tylko głupstwa w głowie... No, a czegoż sędzia żąda dla niego?

— Żeby mógł odbyć praktykę w sądach tutejszych i czegoś się nauczył. Ojciec jego człowiek bardzo rozsądny, chciałby, żeby przecie coś znał, zostawszy obywatelem.

— Nie ma w tem nic złego... zapewne... A skończył on uniwersytet...

— Nie — odzywam się na to — mam tylko patent z gimnazjum...

— Ot, widzisz, jak to oni synów kształcą... Czego on się nauczy u nas, chyba pozwy pisać... Ale zresztą jak chcesz, kochany sędzio, dla ciebie to zrobię, niech idzie do sądu pokoju, dobrze i to... Proszę zrobić podanie...

Sędzia powstał, prezes bardzo czule ucisnął go za rękę, a kiedym ja zamasyście zrobił szus nogami— rzekł do mnie:

—< Proszę kawalera na seryo wziąć się do pracy... Ja fanfaronów w biurze nie potrzebuję, a radzę wstąpić do uniwersytetu, jedno z drugim da się pogodzić... Czasami możesz aspan zajrzeć do Hipolita... jeszcze on odprawia rekolekcje w domu...

Ukloniłem się znowu i wyszliśmy z panem Mikołajem na ulicę.

— Jak to było. co, gdzie?—pyta mię zakłopotany przez drogę, więc musiałem mu całą rzecz ze wszy- stkiemi szczegółami opowiedzieć.

— No, młodość, głupstwo! Tylko co do tego wykradzenia, to powiem ci kawalerze, że byłby crimen. Pozbawienie wolnej woli obywatela jest przestępstwem, które wszystkie prawodawstwa napiętnowały. Przypomnisz sobie, że główną charakterystykę prawa rzymskiego stanowi owa potęga woli i czynu, tryskająca ze świadomości wolności osobistej, potęga kawalerze, która wszystko rozczłonkuje, to jest uważasz dzieli dla zewnętrznych celów praktycznego życia, bez uwagi na wymagania religii i etyczne formy... rozumiesz?

Licho mi nadało przyznać się, że rozumiem.

— Więc poczekajże — mówi, zastępując mi drogę.—Znasz ten wiersz Horacego, gdzie Aristip powiada: Mihi res non me reibus subjungere canor...

— Znam—odpowiadam manewrując, żeby w jaki- bądź sposób ruszyć starego z miejsca...

— Czekaj że... Otóż to jest ogólną formą prawa Rzymian, w którą wkłada różnorodną treść bytowych stosunków bez względu na etyczne wymagania wewnętrznej swej natury. To michi res, non me rebus jest godłem jego działalności. No, teraz rozumiesz? ■— pyta, ciągnąc mię za klapę.

— Rozumiem — odpowiadam, gdy mijające nas

dwie panie zaczynają, śmiać się wesoło, zobaczywszy mię w ten sposób operowanego przez pana Mikołaja.

Spojrzałem na jedną, zdaje mi się, że to panna Żaneta, więc kłaniam się pospiesznie. Widocznie panie te nie poznały mię od razu, bo uszedłszy parę kroków, zaczęły się oglądać, a starsza z nich zatrzymawszy się na ulicy, skinęła na mnie ręką.

— Przepraszam pana sędziego — odzywam się wywijając z pod jego ręki — muszę na chwilę pójść do pani prezesowej.

— Czekażcie, pójdziecie zaraz... Wprawdzie Cyce- ro, Seneka, Epiktet...

Ale ja już nie słucham dalej i chociaż to było względem sędziego niegrzecznie, to ściskam go za rękę i przeprosiwszy jeszcze raz, biegnę do kobiet. Stary popatrzył za mną, palcem mi pogroził i razem z Epiktetem puścił się dalej.

— Bardzo pięknie z pana strony — odzywa się pani" prezesowa—zapomnieć o swoim przyjacielu. A on biedny już od kilku dni jest cierpiącym.

— To jest, właściwie, miałem zamiar, ale pan prezes...—tłumaczę się, idąc koło nich.

— Jesteś pan niewdzięcznym—dodaje panna Żaneta—on taki zakochany w panu...

Me wiem dlaczego, ale na to słowo zakochany i ja i panna Żaneta trochęśmy się zaczerwienili.

— Wytłumaczyłam mężowi cały stosunek i znajomość pana z Hipolitem, sądzę więc, że nie ma pan czego się obawiać, owszem przyjemnie nam będzie...

— Teraz i ja wiem, że pan prezes jest względniejszym dla mnie, bo właśnie wracam z audyencji od niego, gdzie na prośbę pana sędziego Łęczyckiego otrzymałem pozwolenie aplikowania w sądach...

— To ten pan stary jest sędzia Łęczycki? — zapytuje mię panna.

— Tak jest.

— A widzi mameczka, że ja odgadłam, zobaczywszy, jak on pana Dołęgowskiego trzymał za klapę... Przypomina sobie mameczka, ten sławny oryginał demokrata, który ma tę piękną żonę blondynkę...

— Me, nic nie pamiętam...

— Ta, ta wystrojona zawsze, którą nam w ogrodzie Saskim pokazywano. Chodzi z nią zawsze rumiany i wysnurowany młody pan z zadartym nosem, figura nieznośna i przesadzona...

— Zapewne pani mówi o panu Waławie; ja mieszkam tymczasowo u niego, jest to mój dawny nauczyciel, przyjaciel domu sędziostwa, a jak się zdaje, mój przyszły szwagier.

— Widzisz Żańciu, jak to nie można wyrażać się lekko o osobach, których się nie zna...

— Przepraszam pana — mówi trochę zawstydzona—ale rzeczywiście takie na mnie robi wrażenie...

— I ja przyznaję, że jest przesadzony i nadzwyczaj sentymentalny, jednak podoba się wielu paniom...

— Słyszeliśmy o tem, słyszeli—odzywa się sama prezesowa z pewnym uśmiechem.

Rozmawiając w ten sposób, zbliżyliśmy się do bramy domu, w którym panie te mieszkały i zacząłem się żegnać.

— Jakto, nie wstąpi pan do Hipolita?— zapytuje panna.

— I owszem, wstąpię, jeżeli można — odpowia-

dam, postępując za niemi po schodach, a gdy mi pokazano drzwi, któremi idzie się do Hipolita, pani jeszcze przypomniała bardzo delikatnie, że przyjmują zawsze we czwartki każdego, kto łaskaw.

Biedaczysko Hipolit ze spuchniętą twarzą jak bomba, leżał na sofie w szlafroku i jęczał. Zobaczywszy mię wchodzącego, podniósł się żywo i przywitał z uniesieniem.

— AViesz, jestem zły jak pies. Michalina uciekła z tym wymokłym Fircykiewiczem, który grał rolę kochanków... Żeni się z'nią... Oto masz kobiety! — Przeczytaj list Kociatkowskiej... Wystaw sobie, to ona, ta stara intrygantka, ten prawdziwy czarny charakter, napisała do ojca anonim, gdzie jestem... Taż sama ręka, daję ci słowo... Ach gdybym był zdrów, jak honor kocham, pojechałbym natychmiast, dogonił i pozabijał...

Ja tylko patrzałem na niego ze zdziwieniem, jak przytrzymując jedną ręką materacyk z okładem, drugą wywijał przedemną i kłął i mordował całą trupę teatralną. Śmiać mi się chciało, bo przy spuchniętej połowie twarzy i zakryciu jednego oka, miał tak pocieszno-komiczną minę, że tylko przyzwoitość wstrzymywała mię, żem głośno nie parsknął.

Uspakajam go jak mogę i zaczynam opowiadać o mojej karierze.

— I ze mną już zrobili koniec. Stary mój tyle mi naklekotał morałów, matka znowu tyle się napłakała, że postanowiłem pójść na obywatela. Dalibóg, wczoraj ze spuchniętą gębą wykonałem przysięgę na krucyfiksie, że pojedę na wieś na praktykę gospodarską i tam przesiedzę rok. Zauważaj tylko, rok na wsi... No sia-daj i zapal cygaro, ja nawet palić nie mogę... Ty znasz wieś i mnie, powiedz zatem, co ja tam będę robił z te- mi gąskami obywatelskimi? Kto wie, czy nie lepiej było zapisać się do wojska, jak ojciec chciał. Ale matce zdawało się zaraz, że będzie wojna i że mię zabiją...

— Mylisz się co do wsi, bo przynajmniej w naszej okolicy bawią się doskonale. W tym karnawale mieliśmy coś sześć czy siedm wieczorów tańczących, ładnych panien mnóstwo... Ech, gdyby tak mój ojciec pozwolił mi wrócić do domu.

— A niechże go lichy porwie, jak boli! — rzecze Hipcio, poruszając dzwonkiem, na odgłos którego pokazuje się stary lokaj z rondelkiem na tacy, a za nim przepasana białym fartuszkami panna Żaneta.

— A to po co?—mówi z gniewem.—Ja waszej pomocy nie potrzebuję. Idziesz prawić mi kazanie... Wiem, wiem, wszystko: jestem próżniak, nicpotem, bezbożnik i t. d.

— Hipciu — rzecze trochę zażenowana panienka—jaki ty jesteś kapryśnik i niecierpliwski. Mama kazała mi pójść, żeby ci zbyt gorących okładów nie dawano... Floryan nie potrafi...

— Tak, tak, tylko wy wszystko potraficie! Znaie się—mówi, zwracając się ku mnie. — To jest moja siostra, Żaneta, nudna jak lukrecya, moralistka jak stary ksiądz dziekan... A to...! Objaśniłem go, że miałem ten zaszczyt być jej prezentowanym.

— Ach prawda, one cię wynudziły z mamą.

Panna Żaneta widocznie, oswojona z postępowaniem brata, nie wiele sobie robiła z tych wymyślań, ale postawiwszy rondelk na stole, z całą zręcznością wy

kładła siemię lniane na jakieś płótno, a zawinawszy w materacyk, przyłożyła mu do twarzy, podwiązując serwetę.

— Widzisz kapryśniku, żebyś był więcej cierpliwy i nie irytował się ciągle, już byłbyś zdrow, a tak sam sobie tylko szkodzisz i nas martwisz. No, jakże, lepiej ci?—mówi głaszcząc go białą rączką po głowie.

Przez ten czas, przyznaję się, że tylko pożerałem ją oczami nadzwyczaj wdzięczne i swobodne ruchy panienki, która mi się w tym fartuszk z zawiniętymi rękawami sukni jeszcze piękniejszą wydała. Boże drogi, co ja bym dał za to, żeby mi tak spuchła twarz w tej chwili, a taka cudowna istota zechciała chodzić koło mnie w ten sposób, jak ona koło niego!

— Czy i pan ze swoją siostrą tak postępuje? — pyta z uśmiechem, obcierając rączki o serwetę. — Proszę go, żeby się uspokoił, przyniosłam mu nawet zajmującą książkę do czytania.

— Możesz ją sobie zabrać — odpowie dość niegrzecznie—jakieś medytacje: O bogactwach ubogiego i nędzach bogacza. Pewnie to ksiądz Filip ci poradził. Chcecie ze mnie zrobić świętoszka. Na starość to zgoda, ale żeby mi dzisiaj miał koronki odprawiać i czytać O bogactwach ubogiego, to przyznam się zawczasie
I nudno.

— Hipolicie — odzywam się — martwisz pannę Żanetę...

— Nie wierz temu, jej nic nie martwi. To jest świętość chodząca. Co ja bym dał za to, żeby ona się tak po ludzku w kim zakochała!

— Hipciu, co też ty pleciesz?...

— Jak honor kocham tak, żebyś poznała co to jest uczucie pałace, trawiące... A jakby cię jeszcze zdradzono?...

— Może to kiedy i przyjdzie, chociaż bez [zdrady — odważyłem się przemówić.

Panna spojrzała na mnie bardzo surowo, jakby z wyrzutem, a ja zawstydzilem się mocno.

— Wiesz Żańciu, zakochaj się w nim—mówi nagle Hipolit, pokazując w moją stronę. Daję ci słowo tęgi chłopiec, trochę tchórz, ale będzie odmawiał z tobą litanie jak zechcesz...

Zarumieniała się okropnie panna i chciała wyjść, ale on ją przytrzymał za rękę...

— Jak honor kocham, namyśl się! Jakby to ślicznie było dwa gołąbki—mówi dalej, śmiejąc się trzpio- towato—Grzesio i Żańcia!... On wyniańczony między kobietami, taki byłby czuły... No, co wam szkodzi, pokochajcie się, ja będę tajemnym pośrednikiem... sekret przed mamą... awantury, przeszkody, to mię rozerwie trochę!

— Niedorzeczności pleciesz Hipolicie, wstyd mnie za twoje dzieciństwa! — mówi panna kłaniając mi się lekko i ku drzwiom zmierzając.

Ale rozochocony Hircio chwyta ją wpół i wysuwając jej naprzód rękę, woła:

— No podajcież sobie ręce... A pójdź tu bliżej ty szlachecki niedźwiedziu...* no pocałujże tę rękę... Nie bój się... a to dopiero niedołęga...

— Hipolicie, proszę mię puścić!

— A podasz mu rękę?

— Podam, tylko mię puść!

—■ Słowo?

— Słowo.

Uwolnił ją, a panna rzeczywiście podając rękę rzekła:

■— Robię to przymuszona...

— Bibuła jesteś— mówi Hipolit, śmiejąc się potwornie połową twarzy, gdy ja ledwie pozwoliłem sobie końcem ręki swej dotknąć jej!

— Już nigdy do ciebie nie przyjdę—mówi zada- sana panienska, wychodząc z pokoju.

— To, to, to, właśnie ja tego sobie życzę — odzywa się po jej wyjściu Hipolit.— Co mi tu u licha po jej troskliwości! Będzie zła na mnie, ja wiem, ale poco taka ciekawa i przychodzi wtenczas, kiedy ja mam gościa... Niby to taka skromna, oczki na dół spuszcza, a mówię ci, niech tylko wyjdę z domu, ona tu już jest i pod pozorem robienia porządku, rewiduje wszystkie szufladki biurka, wyciągnie gdzie jaki jest szpargał, przeczyta, a potem prawi mi nauki!

— Bardzo miła i bardzo ładna panienska—odzywam się stając w jej obronie.

— Ech tak sobie, póki młoda i świeża, choć głowę ma przekreconą! Podług niej, spojrzeć na mężczyznę—to grzech i daję ci słowo, będzie się tego spowiadać, że ci podała rękę. Na żaden bal iść nie chce, do teatru to dwa razy do roku i to na bardzo moralną sztukę. Dalibóg, dobrze byłoby, żebyś ją rozkochał.

— Co też ty wygadujesz Hipolicie!

— Hm, a cóż? Podoba ci się, bo widzę pieczesz raki jak student, no i wcale nie zła dziewczyna. A ja obawiam się, żeby nie wstąpiła do klasztoru... Na wieś uszłaby za żonę obywatelską...

Zdaje się, że ból twarzy musiał się zmniejszyć panu Hipolitowi, bo jakoś rozruszał się nieco i parę

godzin zeszło nam przyjemnie. Kiedym go żegnał, zaklinał mię na wszystko, abym go częściej odwiedzał, bo mówi:

— Albo się nawrócę pod wpływem kazań Żanety i zacznę chodzić z nią na nieszpory, albo sobie wypalę w łeb z nudów! Ojciec szuka tam jakiegoś ze wsi szlachcica, któryby się podjął ze mną orać. Powiedziałem staremu: zgoda, byle to nie jaki hrabia... Tak między bracią szlachtą bez wszelkich ceregieli, może jeszcze wytrzymam ten rok... Okropność, całuteńki rok nie widzieć Warszawy...

XI.

Miałem już wynajęte mieszkanie dla siebie, ale że jeszcze trzeba było je urządzić, a moja prośba o aplikacje przechodziła różne dzienniki, archiwa, sekcje, ekspedytury i tym podobne ceregiele — zatem ku wielkiemu zmartwieniu Wacława byłem jego lokatorem. Najcięższa sprawa to z tym poczciwym sędzią, który jak nieubłagana nemezis nie darował mi jednego dnia, aby nie odczytać zeszytu Historii filozofii prawa rzymskiego. Wacław był w dobrym humorze, pani prześladowała go Kasią, a on znowu strofował mię na każdym kroku, że jestem za śmiałym względem pięknej pani Heleny i pozwalałam sobie za wiele dowcipkować.

W imię gościnności staropolskiej, pan Mikołaj jako gospodarz domu był sługą sług swoich, stawiając się zawsze na samym końcu. Zapraszał, częstował, wyręczał wszystkich a nawet faworytę pannę Józefę, która z powodu delikatności[^]zdrowia musiała wcześniej spać chodzić. Nie ma nikogo, tylko my we dwóch z panem Wacławem na herbacie, sędzia nie idzie spać, ale w swoim pokoju czeka, aby nas ze świecą do sieni wy prowadzić. Więc niech tylko kto zrobi głośniejszy ruch nogami, zjawia się zaspany w progu ze świecą, a zobaczywszy, że jeszcze nikt nie idzie, wraca napowrót do swojej nory. Pani powiada, że na grzeczności nikt nie traci, a sędzia już tak przywykł do słuchania żony, tak wierzy w jej znajomość zwyczajów towarzyskich, że dałby się wprzód zabić na miejscu, nimby pozwolił komu- bądź iść ze świecą przed gośćmi.

Na wsi, ze względu na kaprysy ciotki, mieliśmy stół dobry, ale tu dzięki smakoszostwu Wacława formalnie przejadałem się codziennie. Każdego wieczora on i [pani sędzina wertowali różne książki kucharskie, radząc, co jutro będzie na obiad, a niech tylko mój Wacław wspomni o jakiejś potrawie, którą jadł, lub widział, że inni jedzą, już ona pokazuje się na drugi dzień u nas. Przyznam się, że tego rodzaju zamięłowanie w jedzeniu wstręt mi robiło i nawet zabierałem się o tem napisać do Kasi, ale myślę sobie, co ją tam naprzód straszyc—i dałem pokój.

Otóż wśród takiego próżniaczego zajęcia, dostaję pewnego dnia z domu pakiet listów. Otwieram pierwszy od mamy i dowiaduję się naraz, że za kilka dni i mama i ojciec i Kasia przyjadą do Warszawy. Matka pisze tak:

„Wszyscy jesteście tu zachwyceni twoją dyplomacją, za tak zręczne przeprowadzenie misji rodzinnej, nawet ciotka Filomena przyznała ci spryt kobiecy. Biedna ona, wywichnęła sobie nogę i dwa tygodnie leżała w łóżku, przez które Kasia nie miała ani chwili odpoczynku. Otóż raz w przystępie wdzięczności za taką troskliwość i właśnie kiedy twój list nadszedł, uniosła się wspaniałomyślnością i obiecała na rachunek

dać jej dziesięć tysięcy złotych na wyprawę. Wprawdzie z tych dziesięciu, zrobiło się na drugi dzień dziewięć, potem ośm, a gdy wyzdrowiała, już tylko tysiąc rubli, ale niby daje. Otóż aby i te tysiąc nie stopniały przy dalszym namyśle, postanowiliśmy jechać zaraz do Warszawy i porobić sprawunki. Co wzięte, to święte. Jutro ma być notaryusz i napisze plenipotencję od niej dla ojca, aby tę sumę podnieść mógł z banku, więc najdalej za parę dni uściskamy się wszyscy..." W drugim liście, pisze mi znowu Kasia:

„Wierz mi Grzesiu, że to wszystko wcale mię nie cieszy... Nie mogę ci tego wypisać co czuję, ale przeczuwam (może fałszywie), że jakoś to nie klei się jak powinno. . Mama nagli na pościech i jedziemy po tę nieszczęśliwą wyprawę. Nie wspominam o ciotce, bo pewnie mama ci to o niej pisze, ale powiem prawdę, iż żenuję mię ten dar. Znasz ją; w przystępie rozczenia wymówiła się ze swoją ofiarą—a teraz codzien ma gorszy humor i ciągle daje mi poznać, że to wszystko, co dla niej robiłam i robię, miało za cel wyłudzenie tej darowizny. Możesz więc sobie wystawić, co mię to kosztuje upokorzenia i wstydu i jak ciężkiem jest dla mnie to małżeństwo w podobnych warunkach. Wczoraj nawet wystąpiła z projektem, że jak pójdę za męża, to ona przeniesie się do nas na mieszkanie do Warszawy, bo jej nikt tak nie umie dogodzić jak ja. Piękna perspektywa! Słucham, co mówią, przyjmuję wszystko w dobrej wierze, jadę nawet z rodzicami, ale mię nic nie cieszy. Oswoiłam się z myślą pójścia za Waclawa, i zapewne pójdę, jeżeli się coś nie zmieni, ale żeby to miało stanowić moje szczęście — tego nie powiem. Serce nie szepce mi nic przyjemnego, chyba to jedno, że cię znowu kochany Grzesiu zobaczę, uściskam i przed tobą wypłaczę. Tak jest, mam wielką chęć płakania, a tego mi nie wolno." W dopisku już pospiesznie pismem dodane były te słowa: „Jeżeli możesz, nie mów nic panu Waclawowi o naszym przyjeździe, mój drogi, mam w tem pewien sekret... A coś mi zanadto wychwalasz tę pannę Żanetę, jakże ciekawa jestem, poznać ją i tego z wielkiem pudłem zamiast głowy, Hipolita."

Nie zwykłem ja bardzo zastanawiać się nad czem- bądź, jednak słowa listu Kasi przykre na mnie zrobiły wrażenie, a czem dłużej przypatrywałem się Waclawowi, tem bardziej przekonywałem się, że on nie jest dla niej. Pedantyzmem swoim i zbytnią troskliwością o wygody życia zamęczyłby wkrótce to szlachetne i dobre serce. Z jednego jarzma ciotki weszłaby wkrótce pod drugie jarzmo męża o tyle gorsze, że do śmierci trwające... W przystępie takich rozmyślań roilo mi się po głowie, żeby to jak przeszkodzić temu, ale wobec życzenia rodziców takie bohaterstwo wydało mi się trudnem... Gdybym to ja miał energię i rzutność Hipolita?

Tymczasem tego samego dnia, kiedy już ostatni raz nocowałem u Waclawa, a rzeczy miałem przeniesione do nowego mieszkania, zjawia się nagle kochany ojciec... Ja witam go z uniesieniem i jak mogę radość moją objawiam, a mój pan Waclaw widzę zbladł, zmięszał się i nie wie, co z sobą zrobić. Niby to uszczęśliwiony, niby to greczny, zaprasza, usadza, o panie się rozpytuje, a swoją drogą niezmiernie jest tem nagłem zjawieniem się ojca zakłopotany, i tak wszystko jakoś idzie mu jak z kamienia. Ojciec, który mało jest zwa-

żającym na takie rzeczy, jednak spostrzegł ten jego chłód i ceremonialność, bo gdyśmy wyszli, pyta mię, czy on nie chory?

— Nie— mówię — zdrow był, a nawet w dobrym humorze...

— Więc cóż mu się stało? Czy nie uprzedziłeś go, że przyjedziemy?

— Nie, bo Kasia w liście swym prosiła mię o to.

Ojciec pokręcił tylko głową i milcząc szliśmy do hotelu, gdzie czekała nas matka z Kasią. Uściskały mię obie, a siostra nawet zauważyła, iż ślicznie wyglądam, jak prawdziwy dandy warszawski. Ojciec poszedł za interesami do miasta, a my we troje rozgadaliśmy się na dobre, zapomniawszy, że nie jesteśmy u siebie i na wsi... Pytania i odpowiedzi, szły jak strzały wiwatowe i tu i tam, przeplatane naradami, gdzie i co kupować na wyprawę. Kobiety rachowały, pisały, wykreślały co mniej a co więcej potrzebne, choć jestem przekonany, cała ta dyskusja była pewnie dwudziestą edycją tego samego, co omawiano w domu i w podróży... Co kto się ruszy na korytarzu, przechodząc koło naszych drzwi, matka się zrywa sądząc, że idzie Waław, lecz on jakoś się nie spieszył, bo dopiero koło godziny jedenastej pojawił się ustrojony podług ostatniej mody, wypachniony, wygolony i uśmiechnięty. Powitanie odbyło się nadzwyczaj czule, dwa razy matkę pocałował w rękę, a mama jego w czoło, Kasia tylko zbladła, zamiast się zarumienić...

Pan Waław już był inny niż z rana, swobodniejszy i mniej znać było na nim przymusu. Matka zaprosiła go z nami na obiad do hotelu, a on nawzajem ofiarował łożę do teatru i potem propozycję na herbatę do państwa sędziostwa.

— A to dlaczego?—zapytała matka.

— Oni tak radzi są poznać państwa—mówi nieco zmieszany—i upoważnili mię prosić państwa o ten zaszczyt. Zresztą i Grzesio poświadczy, jak serdecznie przez cały czas był przez nich przyjmowany... Sędzia zajmował się jego prezentacją, chodził sam do prezesa...

— Prawda mameczko —dodaję i ja — że byli dla mnie z całą życzliwością; zdaje mi się, że pisałem już mamie o tem.

Matka coś zamilkła, jakby się jeszcze zastanawiała nad tem, wreszcie powiada:

— To dlaczegoż mamy iść na wieczór. Sądzę, właściwiej będzie oddać wizytę przed południem.

— Sędziego nie ma z rana w domu; on do drugiej godziny jest w sądach... po obiedzie lubi spać...

— Cóż to szkodzi, możemy iść i na wieczór—odzywa się Kasia. — Nie wypada robić ceremonii, jeżeli ci państwo tego sobie życzą.

Byliśmy więc w teatrze, pan Waław nadszakiwał Kasi jak zwykle, przyniósł jej bukiet, przyniósł cukierków, rozmawiał z nią, ale na krok jeden dalsz sprawy nie posuwał.

Mój Hipolit, który już wyzdrowiał zupełnie, był także w pierwszych rzędach krzesel. Udając fanfaron, lornetował wszystkie łoża i naturalnie z kolei trafił na naszą. Uważam patrzy, patrzy i patrzy, aż wreszcie odejmuje lornetkę, daje mi znaki, że chce ze mną mówić; wychodzę tedy i spotykamy się w korytarzu.

Kto to ta panna w jasno-szafirowej sukni?—• pyta mię, chwytając pod rękę.

— Moja siostra, Kasia...

— Jak honor kocham, piękniejszej twarzy nie widziałem w moim życiu — mówi z pewnym niepokojem... — Grzesiu, mój drogi, przedstaw mię tym paniom.

— Dobrze, jutro bądź łaskaw do mnie...

— Gdzie czekać jutra, proszę cię zaraz pójdziemy do łoży...

Rzeczywiście Kasia dnia tego wyglądała zachwycająco. Matka kazała ją uczesać fryzyerowi, a uczesanie to kompletnie, podniosło jej wdzięki... Nietylko Hipolit, ale mnóstwo innej młodzieży kierowało lornety do nas, panie z innych łoż również pokazywały sobie Kasię i szeptały dość żywo między sobą.

Matka nieco się zdziwiła, zobaczywszy obcego mężczyznę w łoży, jednak usłyszawszy nazwisko Hipcia, przyjęła go bardzo grzecznie. Nie widziałem nigdy przyjaciela mojego tak wesołym i dowcipnym jak wówczas, a co dziwniejsza, że małowówna i nieśmiała Kasia od raz u stała się swobodną. Trzeba też przyznać, że Hipolit jakkolwiek jest brzydkim i trochę nawet śmiesznym z powierzchowności mężczyzną, to jednak przez swoją otwartość i swobodę w obejściu, tudzież pewną serdeczność, w intonacji głosu ma ten dar zjednywania sobie prędko sympaty. Nie widzi się wtedy jego brzydoty, bo tak umie rozśmieszyć i zająć...

Poznałem go i z panem Wacławem, który uważałem marszczył brwi i wzruszał ramionami, słysząc to jego szczebiotanie z Kasią, która po pięciu minutach rozmowy, już śmiała się z Hipolitem, jakby go znała przynajmniej od kilku dni.

W ciągu tego kwadransa mój Hipcio tyle nagadał paniom zgrabnych komplementów, tak jakoś umiał się zespolic z naszymi przekonaniem, że kiedy wyszedł z łoży i matka i Kasia jednocześnie zawołały:

— Cóż to za miły chłopczyzna!

Po skończonem przedstawieniu, niby przypadkiem znalazł się przy wsiadaniu do powozu, mamie podał rękę, Kasi coś szepnął śmiesznego, drzwiczki zamknął, suknie pań zabezpieczył od obryzganja podczas jazdy, a mnie ściskając mocno rękę, powiedział:

— Jutro rano będę u ciebie, proszę cię, czekaj na mnie.

Przez całą drogę na Leszno, panie moje nie mówiły o niczem tylko o Hipolicie, Kasia nie tyle, lecz co do mamy, ta była nim zachwycona.

— Być może, że on trochę sowizdrzał—mówiła— ale taki miły, taki swobodny, że nie dziwię się słabości matki do niego... Winszuję ci Grzesiu takiej znajomości i przyjaźni.

W domu sędziostwa przyjęto nas prawie po królewsku; sędzina była dla rodziców grzeczną aż do unizenia, sędzia znowu po staremu musnął zaraz na wstępie i matkę i Kasię w rękę, a dorwawszy się ojca, jak wpadł z nim na filozoficzno-prawną rozmowę—tak bywaj zdrów. Już się nie rozdzielili aż przy samej kolący i. Widziałem, że matce mojej nie podobała się pani sędzina, chociaż ta starała się ująć ją wszelkimi sposobami. Ze szczególniejszym jednak afektem przyczepiła się do siostry, którą to prześladowała z daleka Wacławem, to brała pod rękę, wyprowadzając na obejrze

nie innych pokoi, to pokazując różne stroiki teraz modne—słowem, pragnęła koniecznie zyskać jej przyjaźń i zaufanie. Jeden Waclaw tylko miał jakoś dziwną i że powiem sztuczną minę i wyglądał jakby był nie na swoim gruncie, co również spostrzegła i matka, obserwując z zajęciem grę jego fizyonomii.

Tak stały rzeczy do kolacyi; bawiliśmy się nieźle, jak ludzie pierwszy raz się spotykający bawić się mogą. Waclaw trochę się ośmielił, a stary sędzia, trzymając ojca pod rękę, pokazywał mu na mnie i coś szeptał z uśmiechem i w czoło swoje palcem pukał, dowodząc niby, że mnie oleju nie braknie.

Podano kolację i przeszliśmy do jadalnego pokoju. Nieszczęście mieć chciało, że w chwili siadania pokazał się uwijając koło lampy, maleńki motylek mola, którego spostrzegł pan sędzia. Od kilku już dni szanowny prawnik, odłożywszy na bok wszelkie badania filozoficzne prawodawstwa rzymskiego, ze szczególniejszą zawziętością zajął się tępieniem tego szkodnika, który znaczne spustoszenia w meblach porobił. Po całych dniach mając nabitą głowę molami, nie mówił, nie myślał o czem innym tylko o tych motylkach; rewidował wszystkie fałdy aksamitnych mebli, czyścił, dmuchał, wycierał, zapuszczając różne trujące zapachy, od których pani uciekała do swego pokoju, a Waclaw dostawał migreny. Wieczór znowu, gdy zapalono światło, gonił zawzięcie pojawiające się białe ćmy, skakał po krzesłach, stołach i kanapach, a nie było większej radości, jak kiedy mu się udało chwycić szkodnika.

Otóż i teraz siedliśmy do stołu, panna Józefa obnosiła półmisek, pani dawała mężowi znaki, żeby się zajął gośćmi, a on z wyteżonym wzrokiem za fruującą 4mą śledził jej lot i ręce ukradkiem podnosił, aby ją schwycić. Panna Józefa, jakkolwiek bardzo delikatna i wykształcona osoba podług zapewnień Waclawa, miała tę wadę wspólną inteligentnym pokojówkom, że lubiła naraz wszystko wiedzieć, wszystko słyszeć i usługiwać. Kiedy więc podawała półmisek Kasi, pokazał się drugi mol tuż nad jej głową. Sędzia do tego stopnia się zapomniał, że nie zważając na gości, zbliżył się na palcach do niej i tak zamasyście klapnął jój dłonią nad głową, że biedna dziewczyna, przeląkwszy się tego łoskotu, przechyliła półmisek, a struga sosu polała się na błękitną suknię siostry. Zrobiło się małe zamieszanie, panie się zerwały z miejsca, zaczęto wycierać, myć i przeproszać.

■— Odstąp się ty niezgrabiaszu! — zawoła dość szorstko pani sędzina, odpychając klęczącą przy Kasi pokojówkę, która przyniosłszy miednicę z wodą, wymywała plamę.

Panna Józefa poczerwieniała ze wstydu na tak niegrzeczną apostrofę i wstawszy z zachmurzoną twarzą, oświadczyła głośno, że dziękuje za służbę i z wielką pompą wyszła z pokoju... Co do sędziego, ten położywszy uszy po sobie, drapnęł do siebie niby po cygara dla panów.

Drobnostka, splamienie sukni — powie mi czytelnik—ale kto zna kobiety, ten łatwo sobie wyobrazi, że wypadek ten powarzył kompletnie humory całego towarzystwa. Na próżno matka siliła się obojętnie traktować tę sprawę, utrzymując, że to poplamienie żadnego śladu nie zostawi, że można będzie nowy bryt wstawić, ale z całego tonu jej mowy i z miny czytałem, że jest zirytowana. Ojciec żartował, pan Waclaw nawet prze

praszał Kasię i matkę w rękę pocałował (nie rozumiem za co) —wszystko to nie pomagało, rozmowa swobodna skleić się nie dała, gospodyni była zmartwiona; więc jakoś niedługo zaczęliśmy się wybierać i zegnać i przeproszać i ścisnąć z zapewnieniem o wzajemnym szczęściu, jakie nam ta znajomość przyniosła.

Dopiero na ulicy, już siedząc w dorożce, rozpoczęły się prawdziwe gorzkie żale nad tym fatalnym wypadkiem i nad szkodą, jaką nowiuteńka jedwabna suknia siostry ponosi. I ojciec i ja próbowaliśmy perswadować, że odda się do plamiarza i znaku nie będzie, ale matka była niepokieszona.

— No, cóż tak strasznego — mówi ojciec — jeżeli nie da się wyczyścić, to dam tych kilkadziesiąt rubli i kupisz jej nową!

— Ja wiem, ty dasz?—powtarza matka, oglądając jeszcze plamę przy świetle latarni—u was to łatwo powiedzieć: dam, a jak przyjdzie dać, to tyle korowodów, stękań, krzywień... Przyznam się, że ci państwo sadząc się na takie przyjęcia, mogliby trzymać porządniejszą służącą, lub przynajmniej nająć lokaja.

Ojciec zamilkł, a my wśród rozdrażnienia i niekłamanego smutku obu pań, jakby rzeczywiście dotkliwy cios je dotknął, przyjechaliśmy do hotelu. Tu znowu, pomimo że noc, zaczęły się oglądania, znowu próby czyszczenia wodą kolońską, a wreszcie dalszy ciąg żalów, łez w oczach i innych dolegliwości, przed którymi ustąpiły na bok wszelkie wrażenia pierwszej z panią sędziwą znajomości.

Na drugi dzień jeszcze leżałem w łóżku w nowym moim mieszkaniu, gdy słyszę dzwoni ktoś jakby na

gwałt. Zrywam się, biegnę, otwieram, a to mój Hipcio ubrany we frak i białe rękawiczki.

— Całą noc oka nie zmrużyłem — mówi do mnie, potrząsając gwałtownie za ręce ze szczególniejszą gimnastyką swej osoby.

— Cóż ci takiego było?

— Jestem szalenie zakochany w twojej siostrzel

— Tylko to — rzeknę, śmiejąc się z jego afe- k tacy i.

— Nie śmieć się — mówi ponuro — bo jak honor kocham, czaję, że tu życie moje postawiłem na kartę!

— I przegrasz niezawodnie; Kasia idzie za męż...

— Ja nie pozwalam! — krzyknie, uderzając pięścią w stół, że aż karafka ze szklanką zadźwięczały.

" — Mój Hipciu drogi, uspokój się! Zkądże ci się tak gwałtownie wzięło na miłość; raz ją widziałeś... a Michalinka...

— Dla mnie dosyć raz! Jest zachwycającą i właśnie tą: którą w snach i marzeniach moich od dzieciństwa widziałem. I mówię ci: ona albo żadna, ona albo życie!

Spojrzałem na niego — rzeczywiście wzburzony był i całkiem rozstrojony. Biegał po pokoju, szkiełka na nosie poprawiał, oczami mrugał, szczęki to tylko mu drżały, a paznogie gryzł zapamiętale. Chociaż poprzednio znałem jego gwałtowne usposobienie ze sceny, jaką mi wyprawił w zajeździe miasteczka, jednak w tej chwili jego pasya miała charakter daleko niebezpieczniejszy.

— Mogę liczyć na twoją przyjaźń?—mówi, zbliżając się ku mnie.

— Możesz, ale na przyjaźń rozsądną!

— Ja chcę wyzwać tego narzeczonego i zabić.

— Kogo?

— No tego, kto on jest?...

— Za co?

— Za co?—Za to że mi wydziera jedyne szczęście moje, że mi staje chmurą przed oczami, że jest mi kolką w boku... No, co ci tu więcej gadać, nie cierpię go, nie nawidzę!

Zacząłem go uspakajać i tłumaczyć, że musi mieć gorączkę, albo naprawdę zwaryował, gdyż to co mówi, na fiks wygląda.

— Przypuśćmy — powiadam — że się będziecie strzelać i że go zabijesz. To jakąż dla ciebie szansa, jeżeli Kasia go kocha i nie pójdzie za ciebie? Zlituj się, przyjdź trochę do siebie i zastanów, do czego awantury takie mogą doprowadzić. Jesteś pod władzą rodzicielską, czyżby naprzykład ojciec twój zgodził się na to małżeństwo...

— Nic mi nie mów, nie tłumacz!—woła, blednąc na twarzy.—Ja wszystko to sobie całą noc powtarzałem napróżno. Zlituj się Grzesiu, pomóż i nie dopuść tego małżeństwa... Niech ona za niego nie idzie, bo jak honor Kocham, jak matkę Kocham, jak Pana Boga Kocham, tylko po moim trupie mogą przejść do ślubu.

Dalibóg nie wiedziałem, co mam z tym fantem zrobić! Hipolit, wysiliwszy się na całą afektację, usiadł na kanapie, głowę oparł na krawędzi stołu i zaczął płakać. Żal mi go się serdecznie zrobiło, usiadłem przy nim, a objąwszy w pół, zacząłem całować. Biedny chłopiec płakał coraz to rzewniej, całował mię i łzami rosił, tuląc się jak małe dziecko.

' — Słuchaj, pomówmy rozsądnie. Ja powiem to wszystko matce, a trzeba ci wiedzieć, nadzwyczaj jej się podobałeś...

Uśmiechnął się na to przez łzy i ścisnął mię za rękę.

— Wierzaj mi drogi Grzesiu—odzywa się powoli.—Ja czuję, że zupełnie jestem innym człowiekiem od wczoraj... Widok Kasi przeistoczył mię i od niej zależy, żebym został takim, lub zeszedł na psy... Będę czekał ile chcecie, rok, dwa, dziesięć, a niech tylko wiem, że ona może być moją!... Co chcecie róbcie ze mną, wyslijcie do Australii, każcie być parobkiem na wsi, tłuc kamienie na drodze, ale zostawcie mi nadzieję!... Nie będzie miała wierniejszego sługi nademnie przez całe życie; pył zmiatać będę z przed jej nóg...

Przyznaję się czytelnikom, że wobec takich skarg i żalów pocziwego HIPCIA, byłem kompletnie rozczulony i porwany prądem serdecznej sympatii do tego chłopca... Gdy się więc trochę uspokoił, zaczęliśmy radzić, jakby tu sprawą jego pokierować...

>— Najprzód—mówię—trzeba, żebyś się kompletnie uspokoił...

— Patrz, już jestem spokojny — mówi, uśmiechając się wesoło swemi świdrowatemi nieco oczyma...

— Nie trzeba nic nikomu mówić o twoich uczuciach, a postarać się zbliżyć do Kasi i jej się podobać...

— Chybaby nie miała serca...

— Mnie się zdaje—przerywam — że ona nie bardzo jest za Wacławem, mam tu nawet ostatni jej list, z którego czuć, że to małżeństwo jej nie cieszy...

— Pokaż na miłość Bozką, pokaż ten list!... — woła, chwytając mię za szyję...
Wyjąłem z biurka to pismo Kasi, a on połykał a nie czytał wyrazy tam nakreślone...
— Ona go nie kocha! — zawoła, klaskając w ręce i bijąc ręką o papier... —• Jak honor kocham, stoi tu najwyraźniej... Cóż to za uczucie, co to za rozum, jaki to wdzięk i prostota w tych słowach!...

— Poczekaj że— mówię dalej — i Waclaw się dotąd urzędownie nie oświadczył...
— Nie oświadczył? — powtarza, wytrzeszczywszy małe swe oczka na mnie — a chwyciwszy mię za obie ręce puszcza się w taniec ze mną po pokoju...
— Na miłość Bozką, ciszej, ciszej—mówię, pokazując na drzwi sąsiedniego mieszkania, w które zaczynają pukać sąsiedzi.
— Idę zaraz i oświadczam się, co tu zwlekać!...— woła już z zapalczywością, nadziewając białe rękawiczki na ręce...—Niech co chce będzie, niech mię wyrzucą za drzwi... ja idę, kładę się u nóg mamy, ot tak i leżę...—mówi, rzeczywiście kładąc się przedemną na posadzce...

— Ech, wstydź się Hipolicie, zaczynasz znowu sceny wyprawiać, proszę cię, wstań zaraz, inaczej ani słowa więcej nie powiem... Uważasz, tu najgłówniejsza sprawa, żeby zwlec to jego oświadczenie się... coś takiego wynaleźć... dalibóg, że nie wiem co... Biecz prawie już jak ułożona; nawet zwierzył się z swych zamiarów przed panią sędziną Łęczycką, i ona i on mówili mi o tem...

— Czy to ta wymalowana sędzina?... ta stara kokietka i elegantka..*
— Tego nie wiem, czy ona malowana, ale bardzo miła kobieta. Waclaw żyje z nimi w przyjaźni, tam mieszka...
— Czekajno, czekajno!—przerywa mi nagle, uderzając się w czoło—to ten pan Waclaw, urzędnik sądowy, ta lalka z żurnalu, który zawsze jej asystuje?
— Widziałeś go przecie wczoraj w łoży...
— Nie spojrzałem na niego, ale jeżeli to ten — mówi, coraz bardziej zapalając się—to jest niegodziwiec pierwszego stopnia!
— Mój drogi, mylisz się—znam go od dawna, był kiedyś moim nauczycielem i żyje z nami od tylu lat w przyjaźni...
— Ależ on prowadzi romans z tą panią!
— Nieprawda!—zawołam oburzony.
— Całe miasto o tem wie doskonale, prócz męża i ciebie. Spytaj się kogobądź... Hm, to on ma się żenić z panną Katarzyną. Jeżeli tak, mogę mu z najzimniejszą krwią w łeb wypalić...

Wiadomość ta jakby piorunem uderzyła we mnie... chwyciłem się oburącz za głowę, bo doprawdy czułem, że mi coś pęka w mózgu ze zgrozy i oburzenia... Naraz otwierają mi się oczy i całe zachowanie się tych państwa staje przedemną w innym świetle, przy którym widzę jak na dłoni, że posądzenie Hipolita ma rację...

Nie zważając na skutki, jakie ta na niczem nie oparta plotka pociągnąć może za sobą, ubieram się jakby w gorączce i biegnę do hotelu. Hipolit idzie ze mną, a taki rozentuzyazmowany, że tylko głowa mu się trzęsie.

— Poczekaj tu na mnie na ulicy—mówię, wpadając do bramy—a ja ci dam znać, co się stanie!

Wchodząc na schody, spotykam schodzącą na dół pannę Józefę, ową niefortunną sługę pani sędziny, która, mijając mię, kłania się z dziwnym jakimś uśmiechem.

— Panna była u mamy?—pytam.

— Tak jest, odnosiłam okrywkę, którą panienka zostawiła wczoraj; przyniosłam także i wodę na plamy.

— Rodzice są tam w numerze?

— Jest tylko pani sama...

Wpadam do pokoju z hałasem; rzeczywiście mama jest samą, drzwi do drugiego pokoju zamknięte, suknia Kasi już zupełnie popruta leży na stole.

— Grzesiu, Grzesiu—odzywa się matka, załamując ręce—cóżes ty nam narobił?

— Ja? co proszę mameczki!—odpowiadam przerażony, widząc łzy w jej oczach...

— Siadaj no i mówmy ciszej. Ojciec już wyszedł, a Kasia jeszcze śpi w drugim pokoju. POCOŻES ty napisał nam, że Waclaw ci się oświadczył o Kasię i że małżeństwo to jest pewne...

— Alboż nie?

— Hm, naturalnie, że nie... Gdybyś ty wiedział to wszystko, co ja wiem teraz...

— I ja już wiem, proszę mameczki—mówię, całując ją w rękę — i właśnie przybiegłem, aby uprzedzić mamę.

— Cóż ty wiesz?

— Że pan Waclaw i pani sędzina... — bąkam, czerwieniąc się cały — grają przed nami komedię... Dowiedziałem się teraz, o czym wszyscy wiedzą... Ale czy mogłem przypuszczać moja kochana mamę, żeby tak było?... Okropność, jaki to świat zepsuty!...

— A pocóż było pisać i zapewniać! Dobrze mówiła ciotka, że ty jesteś sowizdrzałem mój Grzesiu... Teraz już cała okolica wie o tem, że pojechaliśmy robić wyprawę... a tu kompletne fiasco.

<— Zkądże mama się o tem dowiedziała?

— Właśnie dopiero co wyszła ztąd pokojówka tej pani i powiedziała mi tyle rzeczy, że aż nadto jasno wszystko widzę... Ależ to nikczemnie jest ze strony Waclawa, tak z nami postąpić! To całe staranie się jego to było rzeczywiście parawanem dla zamydlenia oczu staremu sędziemu. Mój Boże, za tyle dobrego, cośmy dla niego robili, za naszą gościnność i dobre serce... Czy to się godziło tak nas kompromitować... i zwodzić? Wiesz Grzesiu, coś w piersi mię tu ścisza na samą myśl, co to będzie z Kasią, jak się ta biedaczka dowie?...

— Ech, ja się znowu tego nie lękam — mówię do matki—bo zdaje mi się, ona nie bardzo była za tem... Raz mi nawet powiedziała: idę za niego, bo wszyscy sobie życzą, ale szczęścia dla siebie nie widzę... To nic ona, jednak ten niegodziwiec zapłaci mi za to... Wyzwę go na pojedynek!

— Dziecko jesteś!— rzecze, uśmiechając się smutno matka—i za co? Czy się oświadczył, ozy, kiedy- bądź wyrwał się z jakim słowem? Wierz mi, jeszcze gorzejby było dla nas, a kulami los rządzi... Czekam tylko ojca jak powróci z miasta, musimy się naradzić a tymczasem nie kazałam nikogo tu wpuszczać...

Biadujemy tak jeszcze z matką, rozbierając szczegóły postępowania tych państwa między sobą, gdy po- cichu otwierają się drzwi z średniego pokoiku i w rannym kaftaniku, uśmiechnięta i jak zorza zarumieniona

wychodzi Kasia. Nigdy jej nie widziałem tak piękną i z tak ożywionem spojrzeniem...

— Mój Grzesiu—mówi do mnie, ucałował rękę matki — zobaczno, kto tam chodzi naprzeciwko po trotuarze... Zdaje mi się, że to ten pan, co był u nas wczoraj w łoży... Wystaw sobie, otwieram okno, a ktoś mi się kłania kapeluszem i raz i drugi... Zawstydyłam się okropnie...

Rzeczywiście mój Hipcio chodził tam wciąż, jakby stał na warcie, wywijając laseczką, okulary poprawiał i niecierpliwił się, zadzierając głowę do góry...

— Tak jest to Hipolit, który czeka na mnie... Pozwoli mama, że wyjdę na chwileczkę i powiem mu parę słów...

— ■ Ależ nie odchodź!—woła matka.

— Natychmiast wróć — odpowiadam, zbiegając ze schodów.

— No, cóż?—pyta niespokojnie Hipolit.—Widziałem ją w oknie, jaka piękna!

— Wszystko idzie dobrze — mówię prędko.—To co mówiłeś o Waławie jest prawdą, matka już wiedziała... Bądź dobrej myśli... Wpadnę do ciebie o dwunastej i pogadamy...

Uścisnął mię za rękę tak mocno, że zdawało się, kości mi zgniecie, a ja wróciłem do numeru. Patrząc, Kasia siedzi obok matki na kanapie i pieści się z nią jak małe dziecko i zapewnia, że strata sukni z powodu owej plamy zupełnie jej nie obchodzi.

— Wyjmiemy bryt jeden, będzie trochę węższą, to nawet teraz modniej. Albo się zrobi tiunikę na wierzch z czego innego... Niech mameczka się nie martwi, to nie warto.

Z tego widzę, że matka jeszcze jej nic nie powiedziała o Waławie, więc też i ja dałem pokój dalszej rozmowie. Lecz pokazało się wkrótce, że to był dzieł prawdziwych dla nas niespodzianek, bo oto wchodzi ojciec z miną zasmuconą i kładzie list jakiś przed matką.

— Czytaj kochanie, jakie to nieszczęście spotkało Waławę. Właśnie szwajcar hotelowy oddał mi list, w którym on pisze, iż dostał telegram w nocy, o niebezpiecznej chorobie siostry i musiał natychmiast wyjechać... No, przeczytaj, jak on żałuje, że nie może z nami tych kilku dni przepędzić... Biedny chłopiec!

Matka odłożyła list na bok, nie spojrzawszy na niego.

— Czemuż nie czytasz?

— Nie jestem ciekawa... dobrze zrobił, że pojechał... Moje dzieci—rzecze do nas, wyjdźcie do drugiego pokoju, ja z ojcem mam coś do pomówienia.

Kasia trochę zbladła, jakby przeczuwała, że o niej będzie mowa, jednak wypełniliśmy rozkaz. Konferencya rodziców trwała dość długo, ojciec czasami wyrывał się z głośniejszym wykrzyknikiem oburzenia, jak naprzykład: To bałwan, to niktzemnik... ale matka mitygowała go, mówiąc: pst, pst.... Jasiu, nie unos się.

— Moja Kasiu— rzecze matka po chwili, otwierając drzwi do nas—wyprawy już nie będziemy robić...

— A to dlaczego?

Widzisz moje dziecko, zasłyły takie okoliczności, że musimy się wstrzymać.

— Czy tatko pieniędzy nie odebrał?

A. Wilczyński—Tom XVII. 12

— Owszem, odebrał i nawet je złożył napowrót do banku; ale to inna rzecz zaszła... Pan Waclaw nie postępuje tak, jak powinien. Dowiedzieliśmy się wiele rzeczy, chcieliśmy wprzód sprawdzić, nim się na coś stanowczego zdecydujemy... Może pokaże się ciębie niegodnym...

— No, no, nie martw się przedwcześnie — mówi ojciec, całując ją, w czoło — może to jeszcze nieprawda... Miej cierpliwość i zaufanie do nas...

Kasia nic na to nie odrzekła, choć widać było, że ją to żywiej obeszło, bo zrobiła minę dziwnie zakłopotaną, ale znowu nie taką, jakby ten wypadek miał zakrwawić jej serce.

Potem ojciec siadł do stolika, kazał sobie dać listowego papieru i pisał, mazał, darł, aż wreszcie odczytawszy matce po cichu, włożył w kopertę, zaadresował i oddał mi z poleceniem, aby to wręczyć Waclawowi, skoro tylko powróci...

Postanowionem było, że rodzice wyjadą jutro z powrotem do domu, albowiem ojciec miał jeszcze kilka interesów do załatwienia, musiał być w banku i złożyć napowrót tysiąc rubli ciotki, musiał być u pana prezesa z podziękowaniem za przyjęcie mnie do biura. Tak mu radził pan sędzia i sam uważał, że to jest potrzebne.

Ponieważ matka była ciągle smutną i jakoś tem wszystkiem przygnębioną, zaproponowałem, że wezmę

bilet do teatru, grano bowiem jakąś bardzo wesołą komedję, a tymczasem prosiłem, żeby wyszły na przechadzkę i dla porobienia drobniejszych sprawunków do domu.... Ledwie żeśmy uszli kilkanaście kroków z hotelu, gdy patrzę, mój Hipcio już jest... Hultaj chłopak nie dotrzymał słowa, nie poszedł do domu czekać na mnie, ale poprostu czatował koło bramy w tem przekonaniu, że ktoś z nas się pokaże. Matka powitała go bardzo uprzejmie, on skorzystał z tego i przyłączył się do nas, a tak był miły, taki nadskakujący i grzeczny, że choć dobre matczyisko nie bardzo było rade, że się włączył z nami po różnych sklepach, jednak nie śmiała go odprawić.

Boże drogi, nie wiem, czy spotkam już kiedy w życiu szczęśliwszego człowieka, kiedy Hipciowi szepnął, że z Waclawem już stanowczo zerwane. Z całej postawy jego, z ruchów głosu, spojrzenia i mowy promieniła się niezmierna radość... Dokazywał więcej niżby może wypadało, dowcipkował po sklepach, rozpowiadał o różnych osobliwościach Warszawy i tak zaciekawiał Kasię, tak błagał matkę, żeby jeszcze dzień dłużej w Warszawie zostały, iż matka przyrzekła mu wstawić się o to do ojca—i obiecała przyjąć jego ofiarę zawiezienia nas do Wilanowa. Ledwie przy samych drzwiach restauracji, gdzie szliśmy na obiad, zostawił nas samych, bo przed teatrem znowu się znalazł i asystował do końca przedstawienia.

Na drugi dzień ojciec, powróciwszy od prezesa, miał bardzo zakłopotaną minę.

— Wiesz Anielciu — rzecze do matki—pan prezes przyjął mię bardzo łaskawie i wiele mi dobrego po

wiedział o Grzesiu, ale wystąpił z dziwną propozycją, na którą nie wiem, czy się ty zgodzisz...

— Słucham.

— Koniecznie, ale to gwałtem prawie, chce abyśmy się zamienili na synów...

— Co też ty mówisz Jasiu!— odezwała się matka z głośnym śmiechem. — Chyba żartował z ciebie...

— Nie, proszę cię, mówił na seryo. Tak przecież nie żądał zamiany głowy na głowę.

— Ale cóż, z dopłatą?—mówi matka. — Niechże ja się raz dowiem, o co idzie.

•- Oto chce, abyśmy syna jego, tego Hipolita, wzięli do siebie na wieś na praktykę gospodarską...

— To byó nie może!—odpowiedziała matka.

— Właśnie że ja się wykręcałem, jak mogłem, ale on nawzajem proponuje wziąć Grzesia na mieszkanie do siebie. Tłumaczył mi, że to właśnie będzie z obopólną dla nich i dla nas korzyścią, że będą mieli opiekę...

Matka zamyśliła się nieco nad taką propozycją, a mnie aż serce biło z radości. Boże drogi, pomyślałem czyż mogłem życzyć sobie czegoś więcej?... Ja mam mieszkać u prezesa i być tuż obok panny Żanety!... Przyznaję, że dostałem pewnego zawrotu głowy, aż musiałem wstać z krzesła...

•— Na pozór wygląda to nieźle—mówi matka.

— On namawia, żeby Grzesio koniecznie chodził na uniwersytet...

— I to mu się przyda; ale proszę cię, dla nas taki panicz będzie niejakim ciężarem... My żyjemy skromnie, a zresztą zauważyłam...

Tu matka nachyliła się do ucha ojca i coś szeptała mu ciszej.

— Ech, dzieciństwo — rzecze głośniejsze ojciec—to najmniejsza...

— Nie bój się, mam ja dobre oczy. A teraz go- rzejby mogło wypaść niż z tym, wiesz... bo i ona — dokończyła, nachylając się znowu do ucha ojca...

— Ja mu przekładałem, że u mnie gospodarstwo bardzo nędznie idzie, że korzystniej byłoby ulokować go w większym majątku, jednak nie dał mi się przekonać i koniecznie, że on ma takie zaufanie do mnie, że tyle o nas słyszał, że mu nie idzie o naukę, ale żeby przyzwyczaił się do systematycznej pracy i nie był w Warszawie... Gdzieś na Podlasiu mają oni swój majątek, oddany w dzierżawę, więc jak się trochę poduczyc gospodarstwa, chciałby go tam osadzić. Zdziwiło mnie tylko, z kąd on ma takie relacje o nas; wspominał bowiem i o Waławie, który, podług jego zdania, nie posiada warunków na porządnego człowieka...

Co do mnie, to domyśliłem się wszystkiego i widziałem w tym działanie Hipolita przez swoją matkę, która w nim była więcej niż zakochaną. A że ta, jak ojciec się wyraził, zamiana była i dla mnie pożądaną, więc o ile mogłem, popierałem ją u mojej matki, dość, że zgodzono się stanowczo i ojciec poszedł uwiadomić prezesa...

Skutkiem takiego zwrotu rzeczy, pan prezes oddał nam wizytę w hotelu i my nawzajem byliśmy na wieczorze u nich. Matki i panny nadzwyczaj się wzajemnie podobały i do tego stopnia, że od razu prawie nawiązały się między nimi stosunki przyjacielskie. Hir polit pojechał razem z rodzicami na wieś, ja zaś prze

niosłem się do jego pokoju w mieszkaniu prezesa i aplikując w sądach, uczęszczałem na kursą prawne ku wielkiej radości pana sędziego...

— Powiedz mi kawalerze — zaczepia mię raz na ulicy — dlaczego ty nie zaglądasz do nas i dlaczego stosunek wasz z panem Waławem tak się oziębił? Moja zona sądziła, że jeszcze zobaczy się z rodziną twoją, była nawet z wizytą w hotelu, ale podobno matka była słabą nie przyjmowała nikogo...

— Doprawdy nie wiem, panie sędzio, co tam zaszło...

— Ej, szlachta, szlachta, wy zawsze jesteście ciż sami... Eantazyja i fanaberyja obywatelska! Proszę cię, jeżeli idzie o splamienie sukni, to takie dzieciństwo... Cóż moja Hela winna... i tak Józię odprawiła natychmiast...

— Ja wątpię, żeby to...

— Za pozwoleniem — mówi, zastępując mi drogę — ho, ho, nic innego, i ja was doskonale rozumiem! Córka obywatelska, on urzędnik z niskiego stanu...

— Ale panie sędzio...

— Za pozwoleniem... szlacheckie szydło zawsze z worka wylezie. Jak chcesz panie dobrodzieju, zakrywaj go i wykształceniem i postępem, bo twemu ojcu tego odmówić nie można — ono taki pokazuje swój koniec... Ej, szlachta, szlachta, pamiętajcie, że kiedyś przyszłość zemści się na was... Waław panie dobrodzieju — mówi już z uniesieniem, nadymając usta, choć syn oficjalisty, panie dobrodzieju, ale wart więcej od kopy zarozumiałych i w swym klejnocie zakochanych szlachciców. Napisz to ojcu i powiedz, że to ja powiedziałem, ja syn mieszczański, łyk — rozumiesz, łyk!!

Odwrócił się odemnie kompletnie już zagniewany i poszedł wywijając laską, jakby chciał kropić tę niepoprawną szlachtę, która nic nie zapomniała i niczego się nie nauczyła. Przykro mi się zrobiło, widząc obrazonego tak niesłusznie pana sędziego, ale trudno było wyjawic prawdziwą przyczynę zerwania naszych stosunków z Waławem, trzeba było więc pro publico bono zgryźć ten orzech i winę przyjąć na siebie.

W parę dni, kiedy pan Waław powrócił z mniemanej podróży, wręczyłem mu w biurze list ojca. Przeczytał, zaczerwienił się, ale to tak, że zdawało mi się, iż apopleksyi dostanie.

— Dobrze — odpowiada, mnąc pismo w ręku.

— Nic pan nie odpisze?

— Nic — rzecze sucho, zabierając się do czytania aktów.

— Co ja widząc, ukloniłem się ceremonialnie i wyszedłem z pokoju.

— Niedługo jakoś potem odbieram list od ciotki na całym arkuszu wielkimi literami, zdaje się że barszczem pisany. Nie mogę podać jego osnowy, bo już jej nie pamiętam, wiem tylko że zaczynał się tak: „Tobie baki zbijać i świece gasić, a nie zajmować się sprawami familijnymi. A temu twojemu Waławowi powiedz odemnie, że jest błazen i nie wart być urzędnikiem sądowym. Niech mi się więc&j na oczy nie pokazuje, bo mu je każę wydrapać Wiernusiowi, który, mam honor donieść, wyleczył się zupełnie z ran przez ciebie zadanych, i tylko mu sierść jeszcze z boku nie zarosła...”

Naturalnie, że jak ojcu nie powtórzyłem tego, co kazał powiedzieć sędzia, tak i względem Waława nie wykonałem tej misyi familijnej. Mnie tak dobrze by

ło na świecie, tak wszystko wydawało mi się pięknem, dobrem, szlaebetnem obok panny Żanety, że nie miałem serca nietylko ludziom, ale nawet biednej muszce najmniejszej krzywdy wyrządzić. Omyliłem się wprawdzie licząc zbyt na przychylność tój panny, bo od czasu jak mieszkam tutaj, trzyma mię jeszcze dalej niż przedtem. W przystępie dobrego usposobienia, poważylem się raz napomknąć o owej scenie podania ręki w pokoju Hipolita.

. — Jeszcze się pana takie dzieciństwa trzymają?—■ przerwała mi z ironicznem zdziwieniem.—Panie Grzegorzu, staraj się zapomnieć o owych figlach mego brata i w tem go nie naśladować.

Spojrzałem na nią miłosiernemi oczyma, a ona się roześmiała, dodając naiwnie:

— Na wszystko będzie jeszcze czas, tyle pracy ma pan przed sobą...

Czy ona traktuje mię jak niedorostka, czy tylko żartuje, dalibóg nie mogę zmiarkować, bo znowu czasami tak dziwnie patrzy na mnie, tak dokucza po pensy onarsku, że doprawdy głowę tracę ze szczęścia...

I Hipolitowi podobno nie lepiej powodzi się z Kasią. W ostatnim liście pisał mi, że matka moja bardzo go krótko trzyma i karczi za wszystko. „Wystaw sobie, cały dom wasz, począwszy od ciotki Filomeny, aż do karbowego Onufrego, pędzi mię od rana do roboty. Wstaję o piątej, chodzę spać razem z kurami; jedna tylko panna Katarzyna zlituje się czasem nade- mną i powie: „Biedny pan Hipolit, ależ on się zapracuje!” Jak honor kocham, jużbyś mię nie poznał teraz; w słomianym kapeluszu, w butach juchtowych, chodzę opalony jak szlachcic zagrodowy lub handlarz bydła.

Jeżdżę na koniu bez siodła czasem, z biczem palę jak stangret, a gdy przyjdzie kolaeya, zmiatam kwaśne mleko zamiast lodów. No, jeżeli teraz ojciec mój nie będzie ze mnie kontent, a panna Katarzyna nie zrozumie, że to wszystko robię dlatego, aby być przy niej — to rzecz/wiście nie warto być porządnym człowiekiem na świecie."

Na tem się kończy opowiadanie Grzesia...

ZAKOŃCZENIE.

Inni autorowie zaczynają swoją powieść od przedmowy do czytelników, ja mój głos zostawiłem na koniec. Opisawszy dość niefortunnie historię misji pana Grzegorza, winien jestem dać czytelnikom pewną satysfakcję i zapewnienie, że obie zakochane pary pobrały się z sobą. Wiem to od samego pana Waława, którego przed paru laty już jako sędziego Trybunału przypadkiem poznałem u wód w Krynicy. Utył, wyłysiał, zetrzycał i zrobił się tak surowym i nieugiętym stróżem prawa publicznego, że niechno ktoś z inteligencji, a szczególnie szlachty, dostanie się w jego ręce — jest nieubłagany aż do zawziętości. Szczególniejszym trafem, czy też skutkiem niewytłumaczonej sympatii przyjacielskiej i pani sędzinie zabrakło we krwi żelaza, po nabyciu którego lekarze kazali jej także udać się do Krynicy... Poznałem więc i panią Helenę i pana Mikołaja, obecnie już emeryta, tak samo zakochanego w swej żonie i tak samo deklamującego wiersze na widok pięknej natury. Państwo to trzymali się wszystko troje razem, pani nawet dla zdrowia panów prowadziła kuchnię u siebie i tak samo trzymała ich na sznurku wedle starego przysłowia:

Papką, czapką i szkapką, Solą, rolą i wołą, * Ludzie ludzi niewołą.

Mieszkałem w jednym domu z tem państwem, widywałem ich w najserdeczniejszej zgodzie i nigdyby mi na myśl nie przyszło, że tak blisko siebie mam osoby, o których mi poczciwy Grzesio aż dwa wieczory opisaną wyżej historię opowiadał, gdyby nie szczególniejsze zdarzenie. Idę raz do Słotwinki i siadam na ustronnej ławeczce, gdy z poza krzewów dochodzi mię następująca rozmowa.

— Czekać że, za pozwoleniem... ale czekać że—mówi stary sędzia, operując za klapę jakiegoś młodego Lwowianina, ubranego według ostatniej mody. — Widzisz kawalerze, skończyć prawo, a skończyć, to wielka różnica. Wasze galicyjskie urzędnicy jeszcze zanadto tchną szlachetczyzną..,

— Przepraszam—mówi ten młodzieniec—to tylko panowie w Królestwie macie takie wyobrażenia o nas...

— Za pozwoleniem—przerywa mu stary—kawaler jesteś pewnie synem obywatelskim, to panie dobrodzieju nie czujesz tego, co ja, syn mieszczański, tak zwany łyk!...

A, myślę sobie to coś podobnego do mojego pana Mikołaja; też same wyobrażenia, też sama dykcja, a wreszcie też sama filozofia prawa rzymskiego, na którą wjechał niebawem... Zaciekawiony więc, starałem się zbliżyć do pana sędziego, aby się dowiedzieć coś o dalszych losach pana Waława.

— To głowa, mówię ci głowa niepospolita...

— A czemu się nie żeni?—odzywam się na to. — Szkoda takiego człowieka, który, podług pana, ma tyle przymiotów jako urzędnik i jako człowiek, zdolny uszczęśliwić zacną, kobietę...

— Toż samo i ja jemu ciągle powtarzam i stawiam za przykład pożyteu moje z Helą... Widziałeś co to za dobra kobieta, jakie to serce, a jaka była ładna*.. Pamiętam, na odpuszcie w Łomży...

— Ale cóż pan Wacław na pańskie namowy?...— przerywam, znając historię tego odpustu.

— Widzisz, raz doznał zawodu od jednego szlachcica i jego córki i od tego czasu powiedział sobie: basta! nie będę szukał żony. A szkoda, bo oto stetryczał, zgorzkniał i czasami taki jest przykry dla siebie i dla innych, że moja Hela, która stworzoną jest na siostrę miłosierdzia i tak z dobrego serca dba o jego wygody, nieraz mnie się pyta:

— Patrz Mikołaju, co to się zrobiło z tego wesołego, dowcipnego i miłego pana Wacława?...

Ale to u niego ambicya—kończył sędzia—uważasz, ta nasza mieszczańska ambicya. Szlachcie się nie kłaniać i nie... Życie zmarnować, a nie!

Biedny sędzia, jeszcze nic nie wiedział...

I v o n i e c.

•i

PIERWSZY ZAWÓD.
Z DAWNYCH WSPOMNIEN.

3

Typ prawdziwego podsędka w Królestwie Polakiem od czasu reorganizacja sądownictwa już zaginał. Zapewne, że tam kołacze się jeszcze gdzie jeden lub drugi emeryt, ale sam typ razem z urzędem przeszedł do historii.

Dawny podsędek sądu pokoju był napół urzędnikiem, napół obywatelem, osobą wszystkim znaną i wszystkim potrzebną w okręgu, a mimo to i mimo znanej szlacheckiej drażliwości na wszelkie wyroki, w których ona przegrywa, podsędek umiał zawsze tak jakoś się wyślizgiwać, że nie dąsano się na niego dłużej, jak do następnego jarmarku w miasteczku. Bo jakże to nie wstąpić do podsędka, jeżeli się jest w mieście, do tego podsędka, który nie wiedział jak i gdzie gości usadzić, który poprostu razem z kielbasą podawaną z sosem, kładł na półmisek obok swoje pocziwe serce.

Otóż jednego z takich podsędków znałem i ja w czasach mojej młodości i znałem bardzo blisko z trzech przyczyn. Raz, że wioska nasza leżała tylko o milę od miasteczka, gdzie sąd rezydował i ojciec mój częstym tam bywał gościem, powtóre, że kolegowałem razem z synem jego, Adasiem, od pierwszej do ostatniej

klasy, że razem przyjeżdżaliśmy i odjeżdżaliśmy do domu na święta i wakacje, razem także staliśmy na stan- cyi. Po trzecie nakoniec, że kochałem się w jego siostrze Zenobii, a on kochał się w mojej starszej Sabci.

Przysięgnąć mogę, że tak Zenobcia jak i Sabcia, Bogu ducha były winne w tej miłości i nic a nic o gorących afektach naszych nie wiedziały, ale myśmy sobie zawarli podwójne przymierze z Adasiem, że jego siostra musi być moją żoną, moja zaś jego połowicą i rzecz była skończoną. A scenę tę pamiętam jak dziś, odbyła się ona w zaroślach pod Bujakami, gdzieśmy się udali na szukanie orzechów sami, bez asystencyi naszej kancela- ryi i naszych ministrów spraw zagranicznych. Ja wtedy miałem rok ośmnasty, on ośmnaście skończył i po wakacyach wstępowaliśmy do klasy ósmej.

Szczegółów poprzedzających zawarcie przymierza nie pomnę, lecz dziś jeszcze stoi przedemną w powagę ubrana postać Adasia, który rzekł:

— Ty się ożenisz z Zenobią, ja ci na to daję słowo honoru!

— A że Sabinka nie wyjdzie tylko za ciebie, masz moją rękę—odpowiedziałem, wyciągając ku niemu królewską moją prawicę.

Potem ucałowaliśmy się kilkakrotnie, za każdym razem coraz goręcej przyciskając się do siebie i podno* sząc wzajemnie, a jeszcze potem rzuciliśmy pobieżny szkic przyszłego pożycia naszego w małżeństwie i naturalnie w jaknajbliższym sąsiedztwie, żeby ieden dworek z drugiego gołem okiem można było zobaczyć.

Naturalnie, że owe plany przyszłości przy dalszych spotkaniach rozszerzały się, zmieniały, przybierając coraz więcej sielankowy zakrój i sięgały aż do trzeciego

z nas mającego wyrósć pokolenia, bo traktat naszój przyjaźni musiał być wieczny.

Ale na tak pogodnym firmamencie naszego szczęścia pokazywały się czasem i chmurki niebardzo na razie niebezpieczne, ale mogące urósć na groźną chmurę. Dla Adasia tym czarnym punktem był Krasnomiejski, sąsiad, nasz dzierżawca z Podłęża, osobistość zwierzchu dość znośna, ale wewnątrz człowiek chciwy i interesowny. O ile znałem Sabinę, to onaby za takiego skne- rę nie poszła, słyszałem bowiem nieraz, jak śmiała się z tego Krasnomiejskiego, że obiadu nie gotuje, a tylko żywi się jajami na twardo...

Innem było moje czarne widmo w osobie kancelisty sądu pokoju niejakiego Stefańczyka, który coś zanadto widocznie kręcił się koło panny sędzianki. Był to mężczyzna co się nazywa przystojny, już tak około lat dwudziestu ośmiu, modny elegant, który sobie ubranie sprowadzał z Warszawy i śpiewał przy gitarze baranim głosem o „duszy kozaczej.”

Stefańczyk ten, jakkolwiek pełnił podrzędne obowiązki kancelisty, był podobno familiant z lepszym wychowaniem i gotował się do złożenia egzaminu na rejenta okręgowego, do czego miała mu dopomóc wielka protekcja z Warszawy. Nie wierzyłem ja temu, bo pan kancelista wyglądał na blagiera, ale on każdemu trąbił o tem i był pewny, że już rejenturę czyli notaryat ma jakby w kieszeni.

— Nie bój się!—perswadował Adaś, widząc moje zakłopotanie—Zenobia nie poszłaby za kancelistę, a te egzamina to furda... nie wiem czy on szkoły gdzie skończył, ot blagier i nic więcej. Zresztą powiem ci, wielka jest różnica między nim a tobą i Zenobia chybaby oczów

nie miała, dając jemu pierwszeństwo... Bądź spokojny, ja jestem w tem!

Nasza pokrzyżowana miłość do wzajemnych sióstr, bo tak nazwać się ją godzi, naturalnie, była niemą, a jedyny jej objaw z mej strony do panny Zenobii demonstrował się przywożeniem i przesyłaniem, jak tylko była sposobność, olbrzymich bukietów z kwiatów, które z prawdziwym wandalizmem rabowałem wieczorami lub do dnia z ogródka sióstr moich. Dalej czytywałem głośno, bawiąc w domu podsędków, różne utwory poetyczne treści rozpaczliwej, które widziałem, robiły na umysłach pani podsędkowej i Zenobii porywające wrażenie, bo nieraz płakały z rozczulenia. W gimnazyum uchodziłem za pierwszego deklamatora, dlatego czułem tu wyższość moją nad kancelistą, który umiał tylko ryczeć brzdękając na gitarze.

Nikt się nie dziwił, że mając postronek miłosny na szyi, którego koniec Zenobcia trzymała, chciałem . jaknajczęściej bywać w miasteczku.

Tysiące wymyślałem potrzeb, żeby się jakoś wymknąć z domu, czemu ojciec zawsze się sprzeciwiał, potrzebując mej pomocy podczas żniw dla dozorowania żeńców.

— Cóż ty tam ciągle tak latasz do podsędków?— mówił raz gdym się wybierał. .

— A, proszę ojca—mówię rezolutnie—za tydzień imieniny pani podsędkowej i Adaś mię prosił, abyśmy razem zapolowali.

— Co, wy będziecie polowali! mój kochany, dajże sobie z tem pokój.

— A cóż to ojciec myśli, że ja nie umiem obcho-

dzió się ze strzelbą? Czy nie zabiłem już lisa i dwóch kaczek...

— Niech jedzie! — wtrąciła matka, której byłem oczkiem w głowie. — Widzisz on tu się nudzi z nami, tam ma Adasia...

— Jeszcze sobie albo komu w łeb wypali...

— Ale gdzie tam?... chłopiec ma przecież lat ośmnaście — mówiła matka. — Wiem o co ci idzie; nie masz kogo nad ludźmi postawić, ale przyznaj, że to dla młodego chłopca zabójcze zajęcie. No, no, niech jedzie, ja ci dam kucharza do ludzi, a sama z dziewczętami obiad ugotuję.

— Strzelby jednak nie bierz, boję się...

— Mój. kochany, a ileż ty miałeś lat wstępując do wojska? Prawda, że także ośmnaście?

■— Prawda, ale... '

— No, no, bądź spokojny, nic mu się złego nie !stanie...

Cóż miał stary robić, pozwolił, a ja na drugi dzień raniutko wsiadłem do wózka, wydobywszy z pod pokrzyw z. rowu, wczoraj przygotowany ogromny, piramidalny bukiet, w którym pomieściłem dwie pierwszy raz rozwinięte w tym roku georginje. Oj będzie tam lamentu między siostrami, jak zobaczą, że nie ma georginij, ale co tam, zakwitną inne.

Dworek podsędków w miasteczku był poproszonym domem zajezdnym i notabene bezpłatnym dla całej okolicznej szlachty i znajomych. Podsędek Zarecki urzędował tu już lat dwadzieścia i tak jakoś zrósł się z tu- tejszemi stosunkami, że dwa razy odrzucił posadę asesora trybunału, którą mu ofiarowano, poprzestawszy na samym tytule asesorskim.

Otóż w skutek owej gościnności podsędków, dworek ich już był tak urządzony, że można było kilkanaście osób na noc umieścić, a każdy z domowników bez żalu dzielił się poduszkami i kołdrami ze swego łóżka. Pamiętam, nie raz widziałem, jak sam podsędek spał na gołym tapczanie w głównej sieni służącej za przedpokój; pod głową miał szlafrok, a przykrył się derową kraciatą chustką pani podsędkowej.* W ugoszczeniu również nie robiono sobie żadnej ceremonii; co było na stole i w domu do tego zapraszano, a że zapraszano serdecznie i o niemal że pchano do ust, więc nawet wybredni smakosze zajadali z apetytem zrazy zawijane z kaszą, kluseczki z serem lub kwaśne mleko z kartoflami, popijając piwem lub mszalnym cienkusem.

My z Adasiem mieliśmy stałe locum w altance w ogródku, w której był tylko stół i dwie ławki. Do spania przynosił nam co wieczór sługa sądowy dwie wiązki siana, na którym, zwłaszcza jeżeli deszcz padał i momentalnie uderzał o cienki daszek z gontów, spało się po królewsku. W altance było nam jak w raju, bo mogliśmy swobodnie dyskutować o naszym szczęściu w małżeństwie, a ja przez firanki w oknie wychodzącym na ogródek, obserwować z cienia co wieczór bóstwo moje, pannę Zenobję.

Teraz parę słów o tem bóstwie: była świeża i młoda blondynka, z niebieskimi oczami i nieco zadartym nosem. Przyznaję, że właśnie ten zadarty nos z poruszającymi się przy żywej rozmowie nozdrzami najbardziej mnie pociągał i niestety najpierwszy mnie zdradził. Od tój epoki antypatycznie nie lubię, raczej nie mam szczęścia do tego rodzaju od natury czwartej z am- bicyi zadzierających się nosów, które uważam za potom

ków w prostej linii nosa Zenobii. Dodaję wreszcie, że panna podsędkówna była starsza o dwa lata odemnie, była serafinem doskonałości, szczęścia, wesela i innych przymiotów, prócz jednego, który się nazywa taktem. Dla wszystkich chciała być równie grzeczną i uprzejmą, a nawet takiemu biednemu kanceliście, blagierowi ubierającemu się po cudacku, okazywała wiele uprzejmości... Może jej tak kazano? — bo ja wiem, ale to wiem, że te uśmieszki i grzeczności dla Stefańczyka raniły moje uczucia i czasem sprowadzały bunt w adoracyi dla Ze- nobci.

Sam podsędek Żarecki z przydomkiem bratku, tak bowiem tytułował każdego, był to mały, pękaty, z trzema podbródkami, rumiany i łysy człowieczek, wiecznie uśmiechnięty, całujący, ściskający i krotochwilny. Takim był i w sądzie, pełen dowcipów, a mimo to bystrego pojęcia i sprawiedliwości czystej, jak łąza, przytem stanowczy. Cztery piąte spraw wskutek zręczności swej i dobrego serca załatwiał w mieszkaniu swoim lub w ustępowej sali — pojednawczo, na co narzekał podpisarz sądu, że nie ma żadnego dochodu z wyroków. Przedziwnie znał on wszystką szlachtę, mieszczan, żydów i włościan w swoim okręgu, ich przymioty, ich wady i temperament, na które działał w odpowiedni sposób.

Nie należy to do rzeczy, ale nie mogę się powstrzymać, żeby nie opowiedzieć toku jednej sprawy i wydanego w niej wyroku między dwoma mieszczanami o obrazę honoru i czynną zniewagę w postaci policzka, jaki zaaplikował na jarmarku pan Maciej, szewc, panu Janowi, bednarzowi, w obec całego miasteczka.

W ustępowej sali z rana, czekały już na sędziego, obie strony z licznymi gromadami obojga płci świad

ków, spoglądając złowrogo na drugi obóz i zabawiając się wzajemnie puszczeniem docinków, które hamował i mitygował stary woźny, stojąc na środku i odgarniając rękami gorętszego animuszu przeciwników, gdy który zamierzył wdrzeć się do wrogiego obozu. Sędzia wszedł, interesanci powstali i ilu ich tam było po kolei ucałowali jego rękę i rękawy od szaraczkowego surduta.

— A to pan Maciej wojak?—rzecze, zbliżając się do obwinionego. — Bratku, gorącą krew my tu zaraz umitygujemy w kozie... Hej! panie Ignacy! — odzywa się do woźnego — a gotowy tam areszt.

— W porządku, wielmożny sędzio... zamieciono... słoma jest świeża...

— No, jakże to było, panie Janie? — rzecze do skarżącego, wysokiego jak sosna bednarza, ubranego w długą granatową bekieszę. — Mów krótko a węzłowa- to, bratku.

•— Rznął mnie w gębę, prześwietny sądzie.

— Jakto w samą gębę?

— Tu, w to miejsce — mówi pan Jan, pokazując lewy policzek twarzy—i tak mi zaraz spuchła jak trąba, aż się ludzie dziwowali, na co mam oto tych świadków.

— A kiedyż to było?

— Trzy dni temu, na jarmarku w Pińczowie. Stałem przy swoim naczyniu przy furze...

— Ej jakoś nie musiał cię bratku rznąć tak bardzo, skoro nie znać, tego spuchnięcia.

— Było, prześwietny sądzie, i jeszcze jakie! — zapewnia z żywością skarżący. — Ja chciałem zaraz iść do prześwietnego sądu i suplikę napisać, ale mi moja nie dała, bo trzeba było len wyciągać z wody. Wczoraj jeszcze, kiedym wychodził z chałupy, dobrze było znać,

alem—dodaje z wielkiem zmartwieniem — już nie mógł donieść do prześwietnego sądu, bo w drodze sklesło.

— To szkoda—rzecze sędzia—zrobiłoby się visum repertum.

— Wszyscy poświadczą — odzywa się, wskazując na swoje otoczenie, a i ja nie raz ale dziesięć razy przysięgnę.

Po drugiej stronie pokoju stał winowajca, obywatel, szewc z Buska, postać wcale nie poczesna, ale z miny widać, że czupurna i zawadyacka, ot' prawdziwie szewcka. Obywatel Maciej, bo oprócz profesyi był gruntowym mieszczaninem, podczas badania skarżącego okrutnie się niecierpliwił, że na razie nie może odeprzeć zarzutów, więc przestępując z nogi na nogę co chwila zanurzał dwa zgrubiałe palce we wnętrzu łubowej tabakiery i zatykał nos tabaką, jakby na usmierzenie szewckiej pasyi.

Pytani świadkowie pana Jana ze wszystkimi szczegółami potwierdzili cały fakt, a nawet więcej, bo jedna kumoszka dodała, jako bednarz prócz gęby miał spuchnięte i ucho, które czerwone było jak sukno na kołnierzu policyanta.

— A cóż ty bratku na to?—mówi podsędek, obracając się do winowajcy.

Szewc chrząknął, tabaki zażył i jak to mówią przeszadzając to jest z użyciem litery i zamiast z i odwrotnie, zaczął długie dzieje fakt poprzedzające, jak na dwa tygodnie przed jarmarkiem w Pińczowie szedł do Jankła kupować skórę na owe buty, z którymi właśnie był na jarmarku...

— Zaczynaj bratku trochę bliżej, nie od Jankła— przerywa mu sędzia.—Co, rznąłeś go czy nie?

— Juści rznąłem co prawda, prześwietny sądzie, ale dla tego, że on mnie wprzód chciał shańbić. Niech świadkowie powiedzą, czy się już na mnie nie zamierzył i w garść nie plunął. Ha, myślę sobie, masz mnie ty shańbić, to niech ja cię wprzód, i rznąłem, ale nie tak prześwietny sądzie, żeby mu aż puchło... gdzie mnie do tego, siły tej nie mam.

Z przeciwnego obozu powstaje szum oburzenia i wysuwa się naprzód małżonka bednarza.

— Widzisz go, nie spuchło, ale... no, moi ludzie, niedość że jest rozbójnik, to jeszcze kł&mie przed świętym sądem.

— Ha, może ta i spuchło—odpowiada lekceważąco majster szewcki—ale od czego innego. Może się pobili z majstrową, bo wszyscy wiedzą jakie tam piekło u nich zawsze.

— Asanowi co do tego, jak u nas w chałupie. — krzyknie zakładając ręce i przysuwając się pod nos szewca rozdrażniona kobieta.

— Kto asan to asan, a ja sobie pan jestem za swoje trzy grosze — mruczy szewc, sięgając do tabakierki.

Do sprzeczki zaczęli się mieszać już inni świadkowie stron obu, czyniąc różne wymówki, ze sprawą nie mającą związku, tak że powstał hałas niemały. Podsędek wyciągnął groźnie prawicę i zawoławszy: cicho! wziął bednarza za rękę i postawił go tuż naprzeciw majstra szewca.

— On cię rznął, prawda?

— Prawda, prześwietny sądzie.

?— I ty bratku mój, byłbyś go także rznął, żeby cię był nie uprzedził?

— No, prawda, bo na co szczeka...

— Więc rżnij że go teraz i będzie kwita! — zadekretował podsędek.

Bednarz się zawahał, świadkowie wyteżyli zwrok w tę stronę i zamilkli, a nasz podsędek jak krzyknie: „rżnij kiedy każe,” to odurzony tem pan Jan odwinął się i palnął.

— No to już zgoda! — mówi śmiejąc się sędzia.— Idźcie z Panem Bogiem, napijcie się miodu u Szai i poczęstujcie świadków, żeście im tyle czasu zmarnowali.

To rzekłszy, wszedł do kancelaryi sądowej, a procesujące się strony, postawszy trochę, wyniosły się do sieni, i zapewne dalej do Szai.

Na trzeci dzień po mojem przybyciu wybieraliśmy się na owo polowanie, do którego ni ztąd ni zowąd przyplątał się pan kancelista. Człowiek ten nie miał żadnego poczucia ambicyi i choó widział naszą wyraźną niechęć, udał że na tem się niepoznaje, lecz owszem starał się być dla nas o ile można uprzejmym. Podsędek na- żartowawszy sobie z naszej wyprawy, nadokuczawszy Zenobci, aby nam po staremu szczęścia życzyła, na co panienka czerwieniła się co chwila, zwerbował policyan- ta miejskiego, który, jako dawny wojskowy, miał nam towarzyszyć i pilnować; abyśmy sobie we łby niepo- strzelali.

Ruszyliśmy tedy we czterech, uzbrojeni od stóp do głowy, z torbami pełnemi amunicyi i różnemi przyrządami do wabienia głupiej zwierzyny, z zapasami jedzenia i miną zapasowych myśliwych. Na wychodniem, już gdyśmy parę kroków odeszli od domu, otwiera się okno i stary podsędek woła:

•— Hej panowie, a proszę no.

Zawróciliśmy.

— Daję wam niezawodny środek na kuroptwy rzecze, wręczając Adasiowi coś zawinięte w papier.

— Cóż to jest?

— Sól.

— Na co?

— No, jak zobaczycie kuropatwę, to jej trochę posypać soli na ogon, a już wasza.

Nie bardzo nam się podobał ten dowcip podsędka lecz udaliśmy że nas to rozśmieszyło i dalej za miasteczko, w stronę dość rzadko jałowcem porośłych pastwisk miejskich, zajmujących jaką milę kwadratową.

Tuż za miastem zapytał nasz przywódca policyant, czy mamy wódkę, bo dzień pochmurny i zimny i żaden dobry myśliwy nie powinien się ruszyć w pole bez wódki. Pokazało się, że prócz kancelisty, który miał w eleganckiej buteleczce trochę wina, żaden z nas o tem nie pomyślał.

— Niech panicze dadzą kilkanaście groszy, to pobiegnę do karczmy na Wygodzie, która już do propina- cyi miejskiej nie należy, wezmę anyżówki, przed którą niech się świat schowa. Panowie idźcie prosto, drogą, potem trzeba skręcić na lewo w parów, do którego przytykają ziemniaki i owsy miejskie i tam zaczekajcie na mnie. Szelma jestem, proszę panów, jeżeli każdy nie zabije trzech zajęcy, bo ja znam to miejsce, że tam zajęc na zajacu leży i nikt go nie płoszy.

Poszedł, dwa psy, kundle burmistrza, poszły za nim, a my poświstując i ciesząc się owemi zajęciami, ruszyliśmy do parowu. Czekamy i czekamy dobrą godzinę, policyanta nie ma. Zjedliśmy pierwsze śniadanie, deszcz zaczął nieco pruszyć, o naszytn przewodniku ani

słysząc, Nie ma rady, trzeba iść do Wygody i dowiedzieć co się tam stało. Nie stało się nic nadzwyczajnego, tylko pan policyant spał jak białe i o całym świecie zapomniał.

— Naprzód, kurki poodwodzić... — bełkotał językiem skoro nas ujrzał, ale cóż kiedy nogi poruszały mu się krzyżową, sztuką tu i tam, a pojedynka, którą miał zawieszoną przez plecy, rozbijała ściany szynkowni i w żaden sposób przez drzwi wydostać się nie mogła.

— Co tu takiego pijaka brać na polowanie — powiada pan kancelista, więc odebrawszy mu strzelbę, oddał ją wraz z dyrektorem* naszym pod opiekę szynkarzowi. Ruszyliśmy dalej sami bez psów, które przyjaciela swego opuścić nie chciały.

Stefanczyk pokazało się być niezłym myśliwym, a policyant nie kłamał zapewniając, że zajęcy jest multum, skoro zaraz na pierwszym poletku ziemniaków zabił jednego. Ja i Adaś strzelaliśmy po kilka razy, ale jakoś albo zanadto blisko lub zanadto daleko, albo strzelby nasze musiały rozrzucać, dość że zajęcy z wielkim naszym zmartwieniem i konfuzyją zmykały między jałowce. Raz nawet jeden kot musiał dobrze dostać od nas, bo cały pęk turzycy zostawił po drodze. Ale widocznie nabój był słaby, psów nie mieliśmy, więc przepadł i poszedł gdzieś w ukryciu żywota swego dokonać.

Nie będę opisywał całodziennej łazęgi po polach, zaroślach, wertepach i moczarach, ani też szalonej rozpaczki, jaka miotała nami na widok dwóch zajęcy przytroczonych do torby kancelisty. Hultaj, nietylko że miał szczęście, ale nawet pokpiwał z naszych strzałów, dowodząc, że na polowaniu trzeba mieć zimną krew, dobrze wytrzymać i nie strzelać z pod pachy.

A. Wilczyński.—Tom XX.

Ot, myślę sobie, żeby choć tego postrzelonego zająca odszukać, bo jakże tu wobec Zenobci wracać z polowania z niczem. Bóg się zlitował nad moim nieszczęściem, że znalazłem mojego kota nie w zaroślach, lecz w chacie włościańskiej, do której po południu wstąpiliśmy na mleko. Wystawcie sobie moi państwo, otwieram drzwi do sieni, a tu jakiś parobczak na długiej ławie operuje kozikiem mojego kota i zdiera z niego skórę bez miłosierdzia. Zkąd, co, jak, pytam prawie wyrywając mu zająca. Chłopak z początku zmieszał się trochę, ale powoli wygadał, że pasąc konie na ugorze chłopskim, znalazł tego zająca Mżącego w bruździe koło kamienia. Widocznie kłamał, bośmy w tej stronie dziś nie polowali i niezawodnie znalazł go w jałowcach. Ale co tam, mniejsza gdzie było i jak było, dość że zając mój i kwita. Humor odrazu mi się poprawił, dawszy mu więc dwadzieścia groszy znaleźnego, własność moją odebrałem. Ba! ale cóż tu robić z zającem bez skóry! Próbujemy nadzieć mu napowrót futrzaną sukienkę wraz z odciętą głową, ale operacja podobna w żaden sposób nie da się przeprowadzić. Do połowy wlaź, dalej skóra się drze i nie poradzisz.

— Ej proszę wielmożnego panicza — odzywa się parobczak z proszącą miną—co tam wielmożnemu panu po skórze, a mnie da żyd parę groszy...

— Ma rację—wtrąca się kancelista — nam skóra niepotrzebna.

— Dobrze—mówię na to, pod wrażeniem radości z odnalezienia zająca—ale jakże go zabrać, przecież bez skóry nie przytroczę..,

— Wpakować wewnątrz do torby i kwita.

Torbę rzeczywiście miałem starą od ojca, wążką

a długą, w której pod spodem przez całą długość znajdowało się schowanko na pakuły, a obydwie strony otwarte niby zarękawek damski. Pomyślawszy, że bądź cobądź przyniosę zająca, usłuchałem zdradliwego Stefańczyka i obwinawszy zakrwawiony korpus resztkami gazety, która nam od wiktuałów pozostała, z wielką siłą razem z parobkiem wciągnęliśmy go do owego futerału. Martwiło ranie trochę to, że końce uciętych nóg wystawały na zewnątrz, ale myślę sobie, przyjdziemy w wieczór, to kto tam zobaczy...

W chacie bawiliśmy krótko, po drodze zabraliśmy naszego policyanta, który się trochę przetrzeźwił, a potem z dobrą miną ruszyliśmy do miasteczka. Jeden Adaś, z powodu że wracał z niczem, miał bardzo kwaśną minę, lecz pocieszałem go jak mogłem żartując z policyanta, który się tłumaczył, żeśmy mu krzywdę wielką zrobili zostawiając go w karczmie.

— Panowie myślą, że ja był pijany—odzywa się, prowadząc kundle na sznurku — a to niech mnie Bóg ciężko skarże, jeżeli ja kroplę wódki miałem wtedy w gębie. Prawda, że mi się niedobrze zrobiło, ale to od wewnętrznego robaka, którego dostałem jeszcze w 15-m roku z mięsa końskiego w gubernii kazańskiej, kiedy mnie tam do niewoli zagnali. Proszę panów, tatarzy karmili nas na kwaterach końskim mięsem, a z końskiego mięsa zawsze człowiek dostanie robaka. Ho, ho, proszę panów, ja go znam dobrze; rano niech tylko wstanę, to ci zaczniesz tak kręcić, tak wiercić i świdrować, że największego chłopca z nóg zwali. Co ja już nie wyrabiał, proszę panów, żeby go się pozbyć, to Bóg jeden wie. Piłem różne paskudztwa i mocne i całymi garncami, a jemu nic, a nawet jak się upił albo rozgniewał,

to jeszcze lepiej po mnie bonował. Kazali mi leżeć pół dnia na słońcu z otwartą gębą i mówili, że wyjdzie sam... szelma nie wyszła. Ale ja już mam pewny sposób na niego...

— No, jaki?

— Jak umrę, to i jego djabli wezmą.

— A kiedyż to będzie?

— Jak Bóg da, przecież dla niego zabijać się nie myślę, bo to grzech. Jednak, proszę panów, on się ka- ducznie zdziwi, kiedy ja klapnę.

Otóż bawiąc się w ten sposób gawędą policyanta, który w opowiadaniach swoich o tatarach i ich siedmiu żonach (każdy bowiem tatar musi mieć siedm żon) był arcyzabawnym, wkroczyliśmy do miasteczka jeszcze za dnia. Ja o nogach zająca wystających z torby na śmierć zapomniałem, a tymczasem czy psy, które kręciły się koło mnie, czy też, jak podejrzewam, sam kancelista po- trochu wyciągał owe nogi z torby tak, że cały zakrwawiony i siny czomber zająca zwieszał mi się z torby, a ja nic a nic o tem nie wiedziałem. Prawda, że idąc przez ulicę wielu stawało, przyglądało się dziwnie i oglądało na mnie, ale ja sądziłem, że to kalwakata nasza myśliwska zaciekawienie to sprowadza.

Nareszcie stanęliśmy przed dworkiem podsędka, gdzie na ganku siedziała cała jego familia: pan burmistrz i parę innych pań z miasteczka. Zobaczywszy nas i dwa zające u torby Stefańczyka, powstał ogólny rejwach; witano nas, wieszowano kanceliście, oglądano, dopytywano się, kto więcej co zabił. Ja się nie śpieszyłem z okazaniem mojej zdobyczy i chciałem już usunąć się do kuchni, aby oddać tam zająca, gdy ten niego

dziwy blagier i wróg mój dał jakiś znak Zenobii i ta nieznacznie stanęła za mną.

— Matko Bożka!—krzyknęła—panie Stanisławie, co to jest?

Obróciłem się, a ona z wystraszoną miną pokazuje palcem na zakrwawione zwłoki mego zająca i cofa się ku gankowi. Spostrzegłem i ja co to jest, obróciwszy torbę naprzód, a pons oblał mi twarz niby gorącym ukropem.

— To zając...—mówię.

— Zając? a ja myślałam... ach! jakże się przestraszyłam.

Wykrzyknik panny sprowadził innych. Oglądają, pytają, śmieją się, a ja stoję jak na rozżarzonych węglach i wpycham czerwone szczątki zająca do torby, które ani myślą tam wracać.

— Jakże pan mogłeś zabić zająca bez skóry? — zapytuje ktoś z obecnych.

A ten bezczelny faryzeusz, blagier, kancelista, powiada na to:

— Widzicie państwo, jak ten zając zobaczył srogą postać pana Stanisława ze strzelbą, tak się zląkł, że wyskoczywszy ze skóry, począł co tchu uciekać. Pan Stanisław strzelił i naturalnie zabił, ale już bez skóry.

Chciałem się w tej chwili jak rozjuszony tygrys rzucić na tego niegodziwca i rozszarpać na kawałki, ale ogólny śmiech, który w całym zebraniu wybuchnął po tej odpowiedzi, kompletnie odjął mi przytomność. Nie wiedząc co robię, rzuciłem torbę na ziemię i niewiele myśląc, drapnąłem furtką do ogrodu, a potem do altanki.

W pierwszej chwili niepamiętam co się ze mną działo. W głowie czułem zamęt, jakiś szum dzwonił w uszach, oczy strzelały piorunami, a ręce zaciskały się

konwulsyjnie. Przybiegł Aclaś, zaczął mnie mitygować, przyszedł podsędek, przyszła i jego zona, zapewniając że zając jest śliczny, że pan kancelista niepotrzebnie ostrzył sobie dowcip na mojej osobie i prosiła, abym szedł na kolację, bo wszyscy już wiedzą jak się stało.

Perswazyje ich nieco uspokoiły moje wzburzenie, ale oświadczyłem stanowczo, że na kolację nie pójdę? bo głowa mnie boli. Potem przyszła i Zenobia, ale ja zobaczywszy oknem jak się zbliża do altanki, czemprę- dziej zawiązałem głowę chustką i położyłem się na posłanie, udając że śpię. Otworzyła drzwi, popatrzyła na mnie, a widząc, że się nie ruszam, odeszła napowrót.

Całą noc potem spać nie mogłem, a gdy powrócił Adaś, oburzenie nasze nie miało granic.

— Nie daruję mu tego wstydu! — krzychałem, bijąc pięścią w stół. — Co to jest robić sobie kpiny i stawiać kogoś za przedmiot śmiechu całego towarzystwa!..

W nocy, gdyśmy się już uciszeli i Adaś chrapać zaczął, ja się zrywam na równe nogi i dalejże się ubierać.

— Co ty robisz, Stasiu?—pyta, podnosząc głowę.

— Pójdę do tego łotra i w łeb mu wypalę...

— Zwaryowałeś! — krzyknie, chowając strzelbę pod swoje posłanie—ależ to zbrodnia, kryminał...

— Na wszystko jestem zrezygnowany, ja tej hańby nie przeżyję, jemu z jednej lufki, mnie z drugiej i koniec.

Długo jeszcze potem przekładał mi i perswadował, że przecież są inne sposoby satysfakcyi i niekoniecznie trzeba sobie i jemu w łeb palić, lecz te sposoby przez niego podawane nie mogły trafić do mego przekonania. Krwi tylko pragnąłem Stefańczyka, krwi... bez względu na następstwa.

— No, to wyzwijmy go na pojedynek...

— Dobrze, wyzwijmy, kiedy inaczej nie można — odrzeknę i już do samego świtu omawialiśmy warunki owego pojedynku i sposoby jego wykonania,.

Rano poszedł zaraz A daś do jego mieszkania i powrócił wkrótce z oświadczeniem, że wyzwanie przyjmuje i że postara się o sekundantów, których przyśle do wzajemnego z moimi porozumienia. Z naszej strony wysłaliśmy potajemnie posłańca do kolegi Karskiego, który o dwie mile ztąd mieszkał i podobnie jak my bawił u rodziców na wakacjach, aby bez zwłoki czasu w ważnej sprawie natychmiast przyjeżdżał.

Dla usunięcia wszelkich podejrzeń uradziliśmy, że ja udawać będę w domu podsędków, że mnie już ta sprawa wcale nie obchodzi, że przekonałem się jako to był żart, trochę niesmaczny, ale znów niekrzywdzący mego honoru.

I rzeczywiście udało mi się przez cały dzień być wesołym i rozmownym, choć się do panny Zenobii nie zbliżałem, albowiem nie mogłem jej tego darować, że śmiała się razem z innymi, ona, za którąbym krew moją do ostatniej kropli wytoczył.

Cały wieczór jeszcze omawialiśmy z Adasiem szczegóły przyszłego spotkania i szukali po książkach będących w bibliotece podsędka opisów pojedynków, jak się powinny odbywać.

Nazajutrz rano spodziewałem się przybycia Karskiego, a zapewne i sekundantów kancelisty, dla tego też zobaczywszy z daleka tuman kurzawy zbliżający się po drodze ku miastu, wyszliśmy na spotkanie. Cały zajęty myślą zemsty nad kancelistą, ani zwróciłem uwagi, że konie i wolant wynurzający się z pyłu ulicznego były nasze. Dopiero gdy zobaczywszy mnie, stangret zatrzymał kasztanki, poznałem matkę.

— Stasiu—mówi do mnie żywo — siadaj, natychmiast zawracamy do domu. Ojciec dziś w nocy zachorował i pragnie cię widzieć koniecznie.

— Jakto, niebezpiecznie?—pytam zatrwożony.

— Lekarz niby nie straszy, ale kto to wie—odpowiada matka drżącym głosem i z widocznym niepokojem w twarzy.

Kochałem bardzo ojca, wiadomość więc ta boleśnie mnie dotknęła. Szybko zabrałem moje rzeczy z altanki, pożegnałem podsędków i Adasiowi szepnąłem: uradźcie wszystko i dajcie mi znać, ja się stawię niezawodnie.

Matka przez ten czas załatwiała sprawunki w aptece i ruszyliśmy żwawo ku domowi. Przez drogę dopytywałem się o chorobę ojca, pragnąc wiedzieć o wszelkich szczegółach zasłabnięcia, lecz matka, choć pełna niepokoju, odpowiadała ni to, ni owo. Dopiero wjeżdżając do wsi, zwróciła się do mnie z oczami pełnymi łez.

— Stasiu, nie martw się, ojciec nie jest chorym, głowa go trochę boli, ale to rzecz zwyczajna. Na miłość bożką, powiedz mi teraz, coś ty tam nabroil?

— Nic, proszę mamy.

— Jakto nic, kiedy przed chwilą przyjechał do nas Krasnowiejski z oświadczeniem, że jest przez Ste- fańczyka uproszony na sekundanta do pojedynku, który ma się odbyć z tobą... Stasiu, jak mogłeś coś podobnego zrobić? Kiedy on mi to pod sekretem powiedział, ja struchlałam, serce mi bić przestało... Co, ty, ty jeszcze dzieciak prawie, miałbyś życie swoje narażać dla jakiejś błahej urazy, czy żartu... Niegodziwe dziecko, czyż nie rozumiesz, że śmierć twoja, to śmierć dla mnie... Straszne rzeczy, jakie mi też zmartwienie sprowadziłeś... patrz, ja cała jestem wzburzona, jechałam tu jak szalona..

Żał mi się zrobiło matki, lecz musiałem ją ze wszystkimi szczegółami zajścia obznajmie, dowodząc, że dla honorowego człowieka nie ma tu innego wyjścia.

W domu ojciec bardzo się ucieszył, że wróciłem, bo właśnie w wielkim był kłopotcie z powodu, że kucharz zachorował i nie było komu dozorować robotników. To deszcz, to słońce zabłyśnie i trzeba poprostu kraść z pola. Idźże mi, moje dziecko, zaraz do stodoły i pilnuj, aby jaknajprędzej składali. Owsa niech nie kładą bardzo wysoko, bo trochę mokry i zgrzać się może, ale tak potrochę na pszenicę, na żyto, a reszta na klepisko koło młocarni... Matko, daj mu tam co przetrącić... weźże sobie książeczkę do zapisywania kop.

Poszedłem, niepodobna bowiem oprzeć się życzeniu dobrego ojca, a zresztą chciałem być sam, żeby jakoś te wszystkie zmartwienia trochę przetrwać. Zadzwoniono na południe, ja wracam do domu na obiad, gdy wybiega naprzeciw mnie matka, podając mi list.

— Od Adasia zapewne?

— Nie wiem, czytaj, przywiózł go posłaniec od Krasnowiejskiego.

List był od pana kancelisty z najformalniejszym przeproszeniem za żart, którego sobie, licząc na bliską znajomość naszą, trochę nierozważnie dozwolił, a kończył się tak, „Jeżeli dla szanownego pana przeproszenie to nie wydaje się dostatecznym, gotów jestem powtórzyć je publicznie przy tych osobach, które obrazę słyszały.”

— Tchórz! ■— zawołałem z ironicznym tryumfem, podając list matce. — Naturalnie, że musi mnie publicznie przeprosić.

Matka przeczytała z rozpromienioną twarzą, całując mnie z wielką czułością w czoło, odezwała się łagodnie:

— Stasiu, masz już pełną satysfakcję, na co ci żenować człowieka, znacznie starszego od ciebie, i wierz mi, bardzo porządnego. Przez to wyrządziłbyś wielką przykrość i podsędkom.

— Cóż to dla nich za przykrość, albo on ich swat czy brat?

— Jakto, nie wiesz? przecież Stefańczyk jest od miesiąca naręczonym Zenobii.

•— Żartuje mama—mówię, oblewając się rumieńcem.

— Jak ciebie kocham, tak jest. Trzymają to w tajemnicy, bo on sobie tego życzył, ale podsędkowa już ze dwa tygodnie temu jak mi o tem powiedziała.

Machnąłem tylko ręką, jak człowiek, na którego zanedo w jednej chwili spada ciosów. Dla tego też poprzestałem na listownem przeproszeniu i więcej do podsędków nie pojechałem. Wart Pac pałacu i pałac Paca, pomyślałem, przekonawszy się o zdradzie Zenobci, najformalniej bowiem uważałem. się za człowieka zdradzonego przez pannę, dla której gotów byłem życie poświęcić... I wierz że tu kobietom!...

Dopiero w pięć lat po tein spotkałem się z państwem Stefańczykami. On wkrótce po naszym zajściu został notaryuszem w oddalonem mieście, gdzie z żoną wyjechał, i teraz dopiero pierwszy raz przyjechali odwiedzić rodziców. Boże drogi, co się z tej Zenobci zrobiło? Kubek w kubek podobniusienska do papy podsędka, taka sama tłusta i pulchna baryłeczka o trzech podbródkach... Bóg strzegł, że ją sobie wziął kancelista i cieszy się nią jak pieścidełkiem. Winszuję mu, ale nie zazdroszczę!

KONIEC.

TURYSTA Z GILOWA.
OBKAZEK.

Jarosław! Pięć minut! — dał się słyszeć krótki, z niemiecka urywany głos konduktora, gdy pociąg sapiąc i dysząc jak apokaliptyczna bestya, zatrzymał się przed stacją. Wsiadających było niewielu, ale za to amatorów do wsiadania cała gromada, którzy z pakunkami w rękach i z miną zatrwożoną, postępowali krok w krok za konduktorem, formując długi ogon wijący się w różne zygzaki, w miarę zwrotów konduktora.

Z podróżnymi trzeciej klasy nie robiono sobie wiele subiekcyi; konduktor z miną generała komenderującego wskazywał miejsca w otwieranych wagonach, nie troszcząc się o to, że i tych co tam siedzieli, i tych którzy wsiadali, przeznaczal na ofiary wzajemnego prasowania się wśród gorącej atmosfery wagonu. Z drugą klasą za to szło mu nieco z oporem. Szanowny władca pociągu, widocznie poprzyjmował zanadto grzecznych zobowiązań, bo omijając wiele drzwiczek, zatrzymywał się tam, gdzie nie umiano rachować się z jego grzecznością.

Uderzono po raz drugi we dzwonek, konduktor ulokował wreszcie rodzinę krzykliwego obywatela ziemskiego mojżeszowego wyznania, którego bomba żółta

stała jeszcze przed stacją, i już miał odetchnąć pełną piersią, gdy ze drzwi dworca wypada młoda kobieta z zarumienioną twarzą z pośpiechu, a ratując obu rękami wymykające się jej pudełka, parasolki, koszyczki i bukiety, biegnie ku pociągowi. Za nią, również obarczony dalszym ciągiem już większego kalibru pakunków, idzie młody mężczyzna, wołając: panie konduktorze, druga klasa!

Konduktor osłupiał, spojrzął po drzwiczkach z rozpaczą, a widząc, że w tę stronę zbliża się pawim krokiem naczelnik stacji w czerwonej jak krew czapce, zwrócił się nagle do jakiegoś brodatego pasażera, wyglądającego oknem:

— Pan dobrodziej musi pozwolić, nie mam gdzieindziej miejsca... I nie czekając odpowiedzi, otworzył szybko drzwiczki, w które jak do beczki danaid zaczęły wpadać owe manatki, niesione przez nowych pasażerów.

— Stasiu, bądź zrów! — zawołała nadobna pani, rzucając się na szyję swemu towarzyszowi i okrywając twarz jego pocałunkami bez liczby—bądź zdrow, a pisz, pamiętaj pisz codzień.

Dano trzeci sygnał; konduktor stał jak zły duch nad potępioną duszą; jeden mlask jeszcze głośniejszy, jedno spojrzenie przeciągłe i nasza pani znalazła się całą ofcobą w oknie wagonu, przesyłając pozostałemu blondynowi rączką powietrzne całusy i „pisz” i „ty pisz... pamiętaj... o wszystkim;” potem sapanie maszyny, miarowy klekot kół i pociąg zniknął z przed stacji.

— Proszę pani cofnąć się! — słyszy głos za plecami—bo iskra z maszyny może zapruszyć oko.

Obejrzała się i cofnęła od drzwiczek, dopiero teraz zobaczywszy owego brodatego towarzysza podróży,

który z dziwnie poufałym spojrzeniem przestrzegał nieznajomą sobie kobietę. Nie odrzekła nic, lecz cała zamyślona zaczęła układać swoje pakunki po półkach wagonu, w czym dosyć niezgrabnie pomagał jej pan brodaty, zabierając razem z jej rzeczami i swoje drobiazgi, dotąd leżące na siedzeniu.

— Przedstawiam się pani, jestem Faustyn Goliczki, fizyk z Gilowa, a obecnie lekarz turysta *).

Pani spojrzała na niego uważnie, usta złożyła do uśmiechu i już chciała coś powiedzieć, lecz naraz wstrzymała słowa na języku, ukloniła się poważnie i zajęła miejsce na siedzeniu.

— Daruje pani, że ją przestraszyłem, bo widzi pani w dzień to iskry węgla z maszyny nie są widzialne, co pani musiała zauważyć w nocy, a jednak one z komina wylatują. Trzeba pani wiedzieć, że dym nic innego nie jest, jak niedopalone cząstki węgla... Co? powątpiewa pani? to ja mogę dowieść.

— Nie powątpiewam... proszę, niech pan siada naprzeciwko—mówi, widząc, że fizyk zajmuje obok miejsce—jest miejsca dosyć.

— Nie mogę jechać tyłem do koni, to jest chciałam powiedzieć do maszyny.

— Ja mogę—odzywa się pani—i przesiada się naprzeciw.

— Pani sądzi, że to nieprawda, iż są osoby, które nie mogą siedzieć tyłem, ale to jest fakt sprawdzony. Doznają podobnego wrażenia, co płynący okrętem, lub

) Fizykiem w Galicyi nazywa się lekarz powiatowy, lub większych miast jak Lwowa i Krakowa

używający huśtawki. Ja, który zajmuję się wciąż badaniem cudów natury, wszystko to znam i mogę pani wyjaśnić przyczynę, tłumacząc tak się dzieje. Ale a propos, pani myśli widzę, przebywają jeszcze na stacyi w Jarosławiu. Przepraszam, że będę natrętny i zapytam czy to był mąż, z którym się pani tak serdecznie żegnała?

Spojrzała na niego znów z tym figlarnym uśmiechem, jak wtedy gdy się rekomendował, i rzekła powoli:

— Nie, to mój brat.

— Więc pani męża nie ma?

— Nie mam.

— A, winszuję pani.

— Dlaczego?

— Cóż miłsze człowiekowi jak swoboda! Wszelkie zobowiązania się, choćby najśłodsze, krępują, a człowiek stworzony jest do wolności. Nieprawdą jest to wszystko co mówią i piszą filozofowie i prawodawcy, ja to lepiej znam, bo jestem badaczem natury.

— A pan żonaty?—przerywa mu pani.

— Żonaty, ale to tak widzi pani przypadkiem. Byłem raz w towarzystwie w Jasielskiem. Trochęśmy sobie podchmielili i oto jak pani wie, przy wesołej pogadance, powiada mi mój kolega: Czemu się nie żenisz Faustynie? A ja na to: nie mam z kim i nie mam kiedy.

— Ja, moja pani, zajmowałem się zawsze badaniami naukowemi i dotąd się zajmuję. On na to: słuchaj, ja ci znajdę żonę... przystojną, majątną. Mówię: dobrze. On też dalej mię pod rękę i prowadzi do salonu, gdzie były kobiety. Pokazuje mi brunetkę siedzącą w czarnej sukni około starszej osoby w wielkim czepcu...

mówi: Patrzaj tu: dziesięć tysięcy reńskich gotówką?

£ chcesz to cię oświadczyć? No, i co pani powie, tego sa-^T mego wieczora oświadczyłem się i ożeniłem.

—Spodziewam się nie tego samego wieczora? — ■ przerywa pani.

— Naturalnie, trzeba się było trochę przygotować fe dla formy.

— Więc tak pobraliście się państwo bez miłości?

— No, trochę tam było czułości pewnej, ale ja, | pani łaskawa, jako naturalista, inaczej te rzeczy pojmu- | ję. Darliśmy się przez pięć lat, mówię otwarcie, jak | pies z kotem, ale teraz jakoś się to wszystko utarło i do- i brze jest; żyjemy zgodnie. Mamy dom wygodny z we- j* randą przez całą długość, ogród piękny, w którym owo- | ców, wie pani tyle, że ośmdziesiąt reńskich biorę za nie fci wymawiam jeszcze dla siebie po parę korcy z każdego ^ gatunku. Ja lubię wygodę bez zbytków. Nie mogę na- ! rzekać, żyjemy dostatnio.

— A towarzystwo macie państwo przyjemne?

— Z nikim nie żyję, bo na co mi towarzystwa. % Człowiek naukowy sam sobie wystarcza; żona również ^ się odzwyczaiła, bo naprawdę, z kim tam żyć, takie ordy- J naryjne trutnie, tylko za groszem gonią. Jak się zmę- ; czę praktyką czy nauką, idę sobie na spacer, spotkam

starostę, idziemy razem i gawędzimy, bo prócz niego nie : ma tam człowieka.

— A gdzież praktyka?—bada pani.

— Ja ich praktyki nie potrzebuję! Moja prakty- ' ka to żydzi; pani, proszę mi wierzyć, że najlepsza pra- . ktyka żydowska.

— Mało intratna.

— Ja z góry mówię: kładź bratku honorarium, inaczej się nie tknę. A mam tego dosyć, tak, że aby

odpocząć postanowiłem wyjechać teraz, ot jako turysta i jadę. Będąc w Gilowie, niepodobnaby usnąć... a tu, nie jestem lekarzem, proszę mi wierzyć. Pani dobrodziejka z kądem jest?—zapytuje nagle—czy z Jarosławia?

— Nie, jestem ze Lwowa.

— Nie lubię Lwowa, miasto aroganckie, lekceważące wszystko i wszystkich, krzykliwe.

— Stolica—rzecze pani.

— Moja pani i u nas w Gilowie są ludzie wykształceni może wyżej od ich metador naukowych, a co do obejścia towarzyskiego, to tak samo potrafią się znaleźć choćby na pokojach cesarskich. Ja sam, pani dobrodziejko, napisałem wyczerpującą rozprawę o różnych kształtach wąsów u owadów, która miała aż siedm arkuszy i była drukowana w pamiętniku...

— Aż siedm arkuszy?—przerywa, udając zdziwienie towarzyszka.

— Bagatela! co to siedm arkuszy? Dla mnie pisanie nic nie znaczy. Ja mogę, uważa pani, w każdej chwili sięść do stolika i pisać... daję słowo, mogę o wszystkich przedmiotach, bo ja wszystko badam. Mam zbiory szkieł mikroskopowych, to moja specjalność, sto dwadzieścia sztuk; czterysta pięćdziesiąt reńskich kosztuje mnie mikroskop... takiego nie ma nikt w całej Galicyi, a z lupą się nie rozstaję. Badam wszystko... ot, moja pani, tó się nazywa lupa podręczna—rzecze wydobywając z kieszeni mosiężną blaszkę w dwóch końcach zakrzywioną, w kształcie celownika dla geometrów.—Proszę, niech pani spojrzy na mój nos.

— O, przepraszam, wcale nie jestem ciekawa widzieć powiększony nos pański.

— To niecli pani spojrzysz na swoją rękę, zobaczy pani, że nie będzie tak gładką jak się wydaje.

— I tego sobie nie życzę widzieć, wolę żyć w iluzji.

— Tak, tak, panie wszystkie lubicie tylko same iluzje, ale dotrzeć do dna prawdy żadnej się nie chce. No, to przynajmniej niech pani popatrzy na nitki swej chusteczki, a ja pani wytłumaczę, jak pod lupą wygląda bawełna a jak len.

Gdy doktor-turysta długo i szeroko wyklada swej towarzyszce o różnicy nitek bawełny i lnu, czas i nam przypatrzeć się obojgu, jak też oni sami wyglądają. Powierzchność osób, które wprowadzamy na scenę, zawsze coś znaczy, a cóż dopiero dwojga takich bohaterów w wagonie, których przeznaczamy do odegrania roli na seryo dramatycznej.

On, to jest fizyk, lekarz i turysta, jest mężczyzną średniego wzrostu, mogący mieć lat trzydzieści sześć, siedm. Twarz ma w sobie coś orientального, oczy żółta-wo-piwnie, zarost także żółtawo-złoty i to przy czarnych włosach dość niedbale ułożonych na głowie. W całej powierzchowności tego pana znać uczone zaniedbanie, bo brodę rozczochrał, wąsiska opuścił, kołnierzyk mu się z jednego guziczka odpiął, a z pod niego wyglądał ciekawie na świat kawałek trykotowego kaftanika. Ubraniu również wiele można zarzucić, naprzód jest za obszerne, jakby je otrzymał w spadku po otyłym wuju a do tego tak poplamione, od brody do końca spuszczonej się za kolana poły, że jak na mapie można tam rozróżnić szeroką rzekę z wyspami i pobrażkami, namalowaną różnej gęstości tłuszczem z zup i sosów, spożywanych przez szanowego turystę.

Pani przeciwnie, wygląda bardzo interesująco. Nie jest to piękność uderzająca, lecz świeża, jasna cera, przy kruczonych fantastycznie zaczesanych włosach i cie- mno-modjych, błyszczących a bystrych oczach, nadaje twarzy ten syinpatyczno-pociągający wyraz, który się mężczyznom podoba. Przy tem znać, że potrafi ubrać się ze smakiem, bo w perkalowej szafirowej sukni w pąsowy rzucik, nadzwyczaj korzystnie uwydatniającej klasyczne kształty jej figury, wygląda na kobietę lepszego towarzystwa. Może mieć lat dwadzieścia kilka, i jak na osobę niezamężną jest dosyć śmiałą, pewną siebie i odrobinę złośliwą, co się również podoba.

Gdy na jednej ze stacyj zatrzymał się pociąg, a pani dosłyszawszy piskliwy głosik: „świeża woda”, podniosła się, aby zawołać roznoszącą dziewczynkę, uprzejmy turysta nie pozwolił jej się ruszyć, lecz sam zawołał ową dziewczynkę, wydobyl swoją szklankę ze skórzanego futerału, zawieszzonego na jego szyi, parę razy z gracyą przepłukał i podał pani. Zabawnym trochę był przy tej gorączko wo-natarczywej uprzejmości, a że oprócz owej szklanki na rzemyku, miał także na rzemykach torebkę podróżną i długą lunetę w potężnym futerale, więc potykał się, mylił, wyciągając lunetę zamiast szklanki, czemu pani ze złośliwym uśmieszkiem spokojnie się przypatrywała.

— Co ci się należy, mała? — pyta dziewczynki — wychylając się wpół przez okno i szukając portmonetki po kieszeniach.

— Proszę, ja zapłacę.

— A, łaskawa pani, cóż znowu? — mówi, nie odwracając się i zaczyna prowadzić targi z dziewczynką, która żądała co łaska.

— To żebractwo... co to jest łaska? mów, ile się należy! Panie naczelniku... proszę tu... jaka jest taksa za wodę?

— Żadnej nie ma taksy.

— Jak to może być taki nieporządek na kolei! Co to jest żeby nie było taksy? reński czy dwa, ale niech wiem co się należy... mówił prędko, wtykając coś w rękę dziewczynie. — To tak nasze galicyjskie koleje... galicyjski porządek... wszystko co łaska. A drą, iin-pertynencko odpowiadają. To mi naczelnik — mówił, siadając wzburzony — chodzi jak paw', ledwie raczy mruknąć. Szkoda że tak krótko stoimy, jabym mu pokazał, jak się to z pasażerami obchodzić trzeba, zapisałbym do księgi.

Tymczasem, pani widząc takie uniesienie towarzysza i zapewne aby położyć koniec pogawędce nauko wśj, wyjęła książkę z torebki, usadowiła się wygodnie w kącie wagonu i zaczęła przewracać kartki.

— Zapewne romans jakiś? — pyta doktor, operując jeszcze około futerału swej szklanki.

— Tak jest, powieść.

— Widzi pani, zgadłem. Panie jeszcze nie możecie odwyknąć od tych płaczliwych sentymentów i rozczulali. Ja nic nie czytam z takich rzeczy i nic nie wiem co się tam w literaturze dzieje. Szkoda czasu i atłasu, to wszystko głupstwa, torby sieczki niewarte.

— Z tego sędzę, że nie wierzysz pan w żadne uczucia i namiętności, skoro beletrystykę nazywasz głupstwem.

— A na co mi tych sztucznych fanaberyj; wierz mi pani, ta czułościowa uczuciowość nasza, to produkt niezdrowy, w cieplarni wyhodowany i grubo pani dobro

dziecko szkodliwy, szczególnie nam Polakom.,, którzy rzeźwo patrzeć na świat i życie musimy.

— Iw miłość pan nie wierzy?

— Ja nie znam żadnej miłości. Obowiązek twardy... hartowny...

— Jednakże między kobietą a mężczyzną coś istnieje.

— Instynkt, pociąg naturalny, jak między wszystkimi istotami. Po co to ubierać w fantazje i niedorzeczności, a potem chorować na uczucie.

— Ej! panie naturalisto—przerywa mu figlarnie, składając książkę — żebyś się pan kiedy nie załapał, bo będzie wstyd.

Turysta spojrzął na nią uważnie i to zdaje się pierwszy raz dopiero, bo zajęty wciąż wykładami różnych zjawisk natury, całą uwagę zwracał na swoje dziesięć palców, którymi przy rozprawie tak manifestował jak grabiami.

— Może pani być spokojną o mnie — rzecze z lekceważeniem.

— A żona?

— Mówiłem pani, że ją szanuję jako współtowarzyszkę, jako matkę naszych dzieci.

— I nic więcej?

— Nic, daję słowo; ja rządę się rozsądkiem.

Coś dziwnie figlarnego i złośliwego przebiegło w tej chwili po uśmiechniętej twarzy pani, a oczy błysnęły nagle, jakby jakaś nowa myśl czy postanowienie szczególnie przyszło jej do głowy. Kobiety nie lubią się długo namyślać i dla tego też czyny ich idą tuż za myślą.

— Może pan i masz rację—odezwała się po chwili z małym westchnieniem.—Życie nasze...

— To prosty obowiązek i ciężki obowiązek, daję pani słowo. Czy ja prosiłem o to żebyś żyła?

— No, ale przeznaczenie...

— Jakie przeznaczenie? Jedno jest tylko wiadome nam przeznaczenie, które ja odkryłem, ja, jak mnie tu pani widzi, ubożuchny fizyk z Gilowa. Życ i wychować swoje potomstwo—nic więcej. — I przy tych słowach, popartych energicznym atakiem palców obu rąk do swej piersi, ubożuchny fizyk wyprostował się tak, że o mało nie przebił głową pułapu w wagonie.

Pani umilkła i doktor spauzował, jakby się chciał nasycić rozkosznym wrażeniem swojej własnej mowy.

— Jaka to szkoda—rzecze pani, oblewając towarzysza powłóczyłem spojrzeniem—że niedługo musimy się już rozstać. Z mądrym jak to powiadają...

— A gdzie pani jedzie?—zapytał.

— Do Krynicy, więc w Tarnowie zapewne podróż wspólną zakończymy. Pan, jak mi się zdaje, zdąży do Krakowa?

:— Ja, jako turysta, jadę bez planu. Miałem zamiar także być w Krynicy, w Szczawnicy i innych zakładach kąpielowych, bo jeżeli wysyłam klientów, to chciałbym poznać gdzie i po co. Ale porządek jazdy mnie nie krępuje, mogę wprzód jechać do Krynicy i dalej, a potem być w Krakowie. Wie pani co —jadę do Krynicy.

Uśmiechnęła się wdzięcznie, skinąwszy głową, a nasz turysta zdejmując swój kuferek podróżny z półki wagonu, zaczął go niecierpliwie otwierać.

— Mam tutaj mapę Kumersberga, mam konduktora z rozkładem jazdy, bo ja zawsze mam wszystko z sobą, to zaraz zobaczymy, jak podróż urządzić. Ja

A. Wilczyński.-T< m XIX.

pokieruję naszymi wycieczkami tak, że pani użyje wszelkich przyjemności.

— Ależ jadę do Krynicy tylko, na kurację! Jestem cierpiąca, czuję zawsze dotkliwe ciśnienie na czaszkę. Nie uwierzy pan, jak każdego dnia do południa jestem słabą.

— Daruje pani—przerywa, rozpatrując się w rozłożonej na kolanach mapie — o chorobach żadnych nie wolno mi słuchać. Widzisz pani przed sobą prostego turystę, nie lekarza; dałem sobie słowo, że jadę na odpoczynek i leczeniem zajmować się nie będę. Pojedziemy tedy przez Grybów, Piwniczną, Ptaszkową — mówi dalej, wodząc palcem po mapie.

— Ja znam tę drogę doskonale—przerywa pani— trzy razy już byłam w Krynicy.

— Bilet drugiej klasy—mówi swoje doktor, przeglądając podręcznik kolejowy — wynosi pociągiem osobowym cztery... .

— I to wiem.

— Rzeczy godne widzenia—znów ciągnie turysta, rozkładając książeczkę notatkową. — Semering polski koło Ptaszkowej, kolej idzie na podniesieniu... ot, nie mam zanotowane ile stóp. Muszyna, miasteczko, ma trzy źródła mineralne, jedno Milowa, czy Mikowa... musimy zbadać... las lipowy... dalibóg, nie słyszałem o takich lasach, to ważny i ciekawy szczegół. Ale, ale, przedtem Żegestów, pyszna kotlina... blisko kwaśne źródło Sulina, huta Lipnik... doktor praw szklarzem... Węgier, i to osobliwość... musimy zrobić wycieczkę.

— Wszystko to widziałam.

— Nic nie szkodzi, drugi raz pani zobaczy; ja znam kobiece oglądanie. Tu, tam, rzuci się okiem,

a w głowie nic nie zostanie. Ale jak ja pani wszystko wyjaśnię, co, jak, dla czego, przekona się pani, że to co innego.

Zaświstano z maszyny, podróżni dojeżdżali do Tarnowa, i nasz turysta nagwałt zaczął zbierać rozrzucone manatki do kuferka, i miętosił je jak kapustę w beczce. Gdy pociąg się zatrzymał, on w tej chwili z całym despotyzmem objął protektorat nad towarzyszką. Pełen szastającej się i nieco komicznej galanterii, nie pozwolił ruszyć się biednej kobiecie bez swojej komendy. W sali restauracji, gdzie mieli czekać na pociąg idący do Muszyny, chociaż był gwar i ścisk niezmierny, jednakże pan turysta ekscentrycznym zachowaniem się swoim potrafił zwrócić powszechną uwagę. Wszystko mu było złe: miejsce gdzie siedzi, stół za wysoki, krzesło za niskie, talerze za ciężkie, karafka z wodą haniebnego kształtu; wołał więc na kelnerów, żądał spisu potraw, potem objaśnienia o przyrządzaniu tych potraw, a gdy mu nie umiano wytłumaczyć, wcisnął się sam do kuchni prawie że przez okienko, którem do sali podawano potrawy, i tam wywołał formalną rewolucję, krytykując wszystko, porównyując z Gilowem, gdzie to on sam zajmuje się rewizją artykułów spożywczych, bo jako fizyk powiatowy wszędzie jest, wszystko wie i na wszyst-kiem się zna. Nareszcie, gdy już podano im potrawy żądane, naszemu turyście zachciało się chleba Grahama.

— Słyszysz — woła na kelnera — weź sobie bułki, ja proszę o chleb Grahama.

Kelner wytrzeszczywszy na niego oczy, wzruszył ramionami i poszedł dalej, a turysta dopiero zaczyna się rozwodzić o zacofaniu takiego miasta jak Tarnów, które nie wie nawet co to chleb Grahama, kiedy w Gi-

Iowie, gdzie on jest fizykiem, nie ma żydziaka, któryby się nie objadał chlebem zdrowia. Zwykłą koleją rzeczy, z chleba przyszło na zarząd miasta, z zarządu na autonomię powiatową krajową, na sejm, na konstytucję, co wszystko pokazało się, że jest dla G-alicyi przedwczesną i kosztowną zabawką, prosto błagą na wielką skalę. Bufetowa, słuchając tych wywodów, chciała wtrącić jakieś słówko, zdaje się, nie w obronie autonomii krajowej, lecz renomy swej restauracji, ale turysta nie dopuścił jej do słowa, wykładając wciąż o użyteczności razowego chleba i o sposobie jego pieczenia aż tak dalece, że pierwszy sygnał odjazdu do Muszyna zastał go na tym punkcie traktatu, w jaki sposób gruby chleb razowy fizycznie działa na przesuwanie się pokarmu w kiszkiach.

Przy zapłacie rachunku chciał jeszcze, aby mu przedłożono takse kolejową na potrawy, lecz nie było już czasu, bo kasę otwarto, a ścisk podróżnych niemały. Pani, jakby odurzona tem wszystkim, siedziała cicho, z pewną podejrzliwością o nienormalnym stanie jego umysłu, lecz później widocznem było, że wszystko to ją bawi, skoro uśmiechała się złośliwie i pozwoliła sobą powodować.

Do wagonu kolei Leluchowskiej wsiedli oboje, i trzeci jakiś otyły, rumiany i z siebie zadowolony jegomość, wyglądający na dostatniego i poczciwego mieszczanina z większego miasta. Z początku turysta ani zważał na jego obecność, tylko prowadził wykłady o różnych zjawiskach natury, ku czemu ani na minutę przedmiotu mu nie zabrakło. Zobaczył drzewa, zaraz nasunęła mu się fizjologia roślin, życie liści, różnica od życia zwierząt, komórki, mikroskop, szkła, teoria samorodz-

twa, fabryka szlifowania szkiełek, Prażmowski, jego historia, "Warszawa, królewski, ich prasa... słowem, przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot; często pokrząkując, bo mu już usta i język zasychały.

— Jak szczęśliwą musi być żona pańska — wtrąciła pani z wyrazem zachwytu — mając tak rozumnego męża, który tak pięknie umie nauczać.

— Ja, moja pani, z żoną nigdy nie rozmawiam... widzimy się przy obiedzie, godzinkę albo krócej i ledwie z nią parę słów zamieniam.

— Jak to może być?

— Z żoną nie mam co do gadania; powiem pani otwarcie, moja żona poczciwa kobieta, dobra żona, ale gęś...

— Przesadzasz pan! Jaki? z domu obywatelskiego...

— Właśnie dla tego. U nas obywatelstwo pod względem wykształcenia najniżej stoi. Pani, ja ich znam jak zły szeląg.—I znowu nowy temat do krytykowania i zarzutów sobkostwa, arogancyi, braku poczucia obywatelskiego i t. p.

Zdawało się że pani, słuchając tego wszystkiego, była zachwyconą i poprostu zdumioną ogromem rozumu swego towarzysza. Ze spojrzeń jej pięknych oczu, rzucanych od czasu do czasu w twarz mówiącego, widać było, że dopiero teraz przegląda na świat, że w duszy jej prawda się rozświeca i przybiera naturalne barwy. Mimo nieustannego zajęcia się swemi myślami, szanowny turysta z Gilowa musiał spostrzedz wrażenie, jakie osobą i wiedzą sprawił na niewinnej ofierze swej troskliwości. I zachwyty ten musiał mu być przyjemnym, bo twarz miał rozpromienioną, spojrzenie pogodne i wdzięczne, które

mimowoli aż dwa razy w ciągu podróży zniewoliły go do ucałowania białych rączek towarzyszek.

Nie będę tu opisywał całej podróży wspólnej do Krynicy, hałasów i awantur prawie, jakie wyprawiał na stacyi w Muszynie, najmując powóz, targów i wspaniałomyślności w rozrzucaniu posługaczom na piwo, bo sędzę z tej próbki, którą już przedstawiłem czytelnikom, łatwo sobie wyobrazić mogą, jak się mógł zachować w innych okolicznościach. Wspomnę tylko, że pani stanowczo zaprotestowała przeciw wzdraganiu się turysty w przyjęciu kosztów, jakie on na wspólne potrzeby wydawał.

— Proszę pani, to bagatela, mnie stać na to.

— A zkadże pan wie, że mnie nie stać?

— Ja tego nie mówię—dorzucił prędko, nieco zawstydzony—ale zawsze mężczyzna dla damy tego... takie drobnostki... przecież to nie obowiązuje...

Pani ściśle notowała wydatki i zwróciła mu je co do centa, z czego widocznie zadowolonym nie był.

W Krynicy miała ona adres znajomych czy krewnych, które już zamówiły dla niej mieszkanie, więc doktor musiał się z nią pożegnać gdy stanęli na miejscu, przyczem pocałował ją znów w rękę i przyobiecał jutro rano szukać ją na deptaku.

Nie wiem dla czego, jednak w domku pod Gruszką przez cały wieczór i długo w noc słyhać było wesoły szczebiot trzech kobiet, przerywany od czasu do czasu, głośnemi wybuchami śmiechu. Zdaje się, że nasza znajoma a niewiadoma podróżna, trafiła na bardzo wesołe usposobienie swoich gadatliwych towarzyszek, przed którymi również miała dużo przyjemnych rzeczy do opowiadania. Przeciwnie, w hotelu, gdzie turysta sta

nał, w pokoju jego zalegało grobowe milczenie. Czy pan doktor zmęczony był podróżą i całodzienną eksploatacją swych wiadomości, czy też snuł jakieś projekta na dzień jutrzejszy, dość, że nie konferował z posługaczem, nie krytykował kolacji i herbaty, jadł zamyślony, a wróciwszy do siebie chodził prawie do północy po klatce zwanej numerem gościnnym, gryzł paznogie i od czasu do czasu, przeglądał się w lustrze, jakby się chciał przekonać, czy on, turysta z Gilowa, jest rzeczywiście tym samym mizernym* fizykiem, jakim się przedstawiał.

Rano, zaledwie wróble zaczęły na dzień dobry świergotać na drzewach przed oknami hotelu, zerwał się pan turysta i rozbudziwszy służbę w kurytarzu, posłał po cyrulika. Trzymając przed sobą zwierciadło, kazał ostrzyżnąć głowę, brodę skrócić i wyrównać, a opuszczone wąsiska przypiec żelazkiem, aby się z obu stron podnosiły do góry. Nakaprysił, nagderał, ale zapłacił, i zrobiwszy przegląd swej garderoby, wybrał najparadniejsze ubranie, które jednakże miało ten sam charakter obszerności i wisiało na nim, podobnie jak i wczorajsze. Uskuteczniwszy to, zamiast torby podróżnej, zawiesił szklanę, perspektywę i dodał jeszcze łokciową rurkę szklaną, jakiej się używa do picia wód mineralnych. Na dworze było trochę chłodnawo i pochmurno, więc zawiąawszy w paski pled, parasol i laskę, kazał sprowadzić chłopaka, któryby ten pakunek za nim nosił.

Na deptaku ledwie gdzieś pokazała się, na modłę starego zakonu wystrojona żydówka, rozpoczynając bezpłatną eksploatację źródła mineralnego, gdy nasz turysta w towarzystwie swego chłopca, w wielkim czarnym kapeluszu o pomiętem rondzie, zjawił się w ga-

leryi. Pił wodę, chodził, smakował, w stronę domu „pod gruszką” spoglądał i widocznie był zadowolony z tego, że przybywający coraz liczniej pacyenci, przypatrywali mu się z pewnym zajęciem. Szczególniej zwracał ich uwagę ów chłopiec, idący krok w krok z owym pledem, za swoim panem. Szeptano sobie, pokazywano palcem i zgadywano, jakiej to narodowości może być ten mężczyzna, wreszcie zdecydowano, że musi być meksykańskim ferm erem.

Około ósmej dopiero, oczy jego dostrzegły zbliżającą się towarzyszkę podróży, razem z dwiema innymi paniami niepierwszej młodości, ubranymi skromnie i prezentującymi się niepocześnie. Na twarzy młodej kobiety malowała się szczerą radość ze spotkania, co dostrzegł turysta i przybiegł na powitanie, nie słuchając jak go towarzyszkom swoim przedstawiała i nazwiska ich wymieniła. Ruszono wspólnie ku łazienkom, turysta zajął się wyłącznie panią, chciał jej koniecznie rękę podać ale odmówiła, i tylko wymógł to, że okrycia i parasole, które niosły na rękach, poodbierał im gwałtem i oddał chłopcu, niosącemu jego zawiniątko.

— Idziemy na kawę? — odzywa się, wskazując na werendę restauracji.

— Panna Śliweczka — wtrąca na to jedna z kobiet — zaproponowała właśnie, żebyśmy wprzód zrobiły wycieczkę do Słotwinki, a po powrocie piły kawę... spacer ładny.

— A cóż tu ma rządzić nami jakaś panna Śliweczka—ofuknie na to dość opryskliwie turysta.—Żadnej Śliweczki nie znam, i żeby to nawet sama Śliwka zaproponowała, to co my mamy cudzych propozycji słuchać? Proszę na kawę.

Wszystkie trzy spojrzały na niego, potem na siebie i naraz parsknęły głośnym, serdecznym śmiechem.

— Jakto, pan nie zna panny Śliweczki?—zapytała też sama pani czerwieniącego się z irytacji doktora.

— Nie znam i znać nie chcę...

— Ależ, to przecie pańska towarzyszka podróży, Janinka tak się nazywa—mówi, wskazując na śmiejącą się naszą bohaterkę.

Turysta zaniemiał i spłonął wstydem. Rzeczywiście dotąd nie przyszło mu na myśl zapytać się o nazwisko téj pani, którą się opiekował przez całą drogę i z którą tak się spoufalił. Ratuując sytuację, zaczął przeproszać, wychodząc z zasady, że u niego nazwisko nie ma znaczenia i że ceni osobę dla niej samej.

— I nawet nie był pan doktor ciekawy dowiedzieć się com ja za jedna?—rzekła z uśmiechem i pewnym żalem Janina.

— Ja z kilku słów wiem co kto wart; każdy naturalista jest znawcą ludzi, i o pani wiem co sądzić. Inteligencja i rozum nie potrzebują legitymacji.

Zdziwiła panią Janinę tak pochlebna opinia o jej osobie, bo rzeczywiście wobec ciągłej gadatliwości turysty nie miała sposobności wydać się dotąd ze swoim rozumem; widocznie adoracja okazywana panu doktorowi, była dostatecznym dowodem jej inteligencji.

W Krynicy towarzystwo zabawiło tylko przez tydzień i wszyscy z tamtejszego pobytu nie byli zadowoleni. Pani Janinie kuracja nie służyła, miejscowy lekarz radził wyjechać gdzieś na kąpiele rzeczne; jej towarzyszkę kończył sezon kuracyjny i miały, jak to mówią po szyję towarzystwa pana doktora. Im były dla niego grzeczniejsze, tembardziej je lekceważył, kierując

wszelkie względy, zabiegi i usługi, wyłącznie dla pani Janiny, która nieustannie musiała zbyt naprężone stosunki łagodzić i turystę reflektować. On sam miał najwięcej powodów do niezadowolenia. Pooddawał wizyty kilku lekarzom miejscowym, a ci nie umieli go uczcić i ocenić jak należało.

— Same błagierzy, pani dobrodziejko — mówił do Janiny—komydyancki w okularach i rękawiczkach. Hi- storye wyrabiają z chorymi, a ja obłudny i arogancyi nie cierpię! Każą pić wodę po odrobinie, naznaczają na kufelkach kreski, dotąd tyle... a to można pić ile kto chce. Jeden nawet osioł, to wierzy w to co mówi i chciał mnie przekonywać, mnie, naturalistę, który już zrobił setki rozbiórów chemicznych różnych wód mineralnych. A ta publiczność! Jakies same nadęte figury, wielcy ludzie, panowie, znakomitości... kobiety, kokietki... słowem, duszno mi tutaj... jadę... Krynicy mam dosyć!

Gdy więc na drugi dzień dowiedział się, że panie uradziły wyjechać do sąsiedniego miasteczka Muszyny i tam przebyć parę tygodni kąpiąo-się w Popradzie, turysta aż klasnął w ręce.

— I ja jadę z paniami.

— Jakże, kiedy pan miał jechać do Szczawnicy?— wtrąciła jedna z pań starszych, nazwana Honoratą.

— Moja pani, jestem człowiek wolny i jadę tam gdzie mi się podoba. Wyjechałem na odpoczynek i wszędzie mi dobrze, gdzie jestem zadowolony.

Znów tedy zajął się ulokowaniem kobiet w owej Muszynie i tak je opanował, że odetchnąć bez jego pozwolenia nie śmiały. Na terenie małego miasteczka doktor czuł się jak na swoich śmieciach; wszystko zbadał, skrytykował i urządził na swój uczony sposób. Go

spodni, u której najął dla siebie pokoik na kilka dni, kompletnie straciła głowę; kazał jej mleć pszenicę w żarnach, piec chleb Grahama; kucharza na stacyi kolejowej uczył, jak ma robić befsztyk, sam przyrządzał zupy, dyregował połowem pstrągów, badał źródła mineralne miejscowe, formował spółkę do eksploatacyi tych źródeł. Burmistrzowi dawał sążniste nauki, jak ma rządzić miastem, biegał do szafasów w góry przyrządzać żętycę i od świtu do nocy uczył, wykładał, demonstrował i przekonywał, jakby te biedne kobiety i całe miasteczko Muszyna przeznaczone były niby Sodoma i Gomora na zniszczenie, a on czuł w sobie posłannictwo ocalić je od zbliżającej się katastrofy.

Cały tydzień szło tak dobrze, aż tu pewnego dnia odebrał z poczty list, który go widocznie zakłopotał. Czytając owe pismo, podskoczył parę razy, parę razy uderzył ręką w papier i mnąc go, odezwał się do pani Janiny:

— Jutro wieczornym pociągiem muszę odjechać.

— To niepodobna! — rzekła z miną przerażenia — tak prędko... czy się jakie nieszczęście stało?

Turyście podobała się bardzo ta zatrwożona fizyonomia pani Janiny i zdawało mu się nawet, że zbladła i drżeć zaczęła:

— Muszę; interesa familijne wymagają, abym pojechał do Radymna i zabrał przyrodnią siostrę żony do Gilowa, gdzie mamy dopełnić działu familijnego. Miałem po nią wstąpić wracając, a tymczasem czas przeszedł.

— Spodziewam się, że przyjemnie — wtrąciła Janina.

— Jak można najprzyjemniej... Widzi pani, przy

rodnia siostra mojej żony, której nie znam jeszcze, wychowywała się w Królestwie i teraz wyszła tu za męża za jakiegoś urzędnika kolejowego.

— Przepraszam, jak się nazywa siostra żony?

— Joanna Kwapił... ma to być ziółko w swoim rodzaju... no, ale jak trzeba jechać, to trzeba. Cóż pani się śmieje? czy ją pani zna?

— Ją troszkę, a lepiej jśj męża, inżyniera.

— Ach, dobrze; niech mi też pani coś o niej powie, bo zawsze lepiej wiedzieć o osobie, z którą się ma mieć do czynienia. Ma być bardzo ładna.

— Tego nie powiem... tak sobie... przystojna, żywa.

— Żona mówiła mi, że złośliwa i filuterna.

— Nawet dobrze; zdaje się, że i arogantka, słowem, powiem panu otwarcie, nie podobała mi się.

— Ech, to u pań zwyczajne, że nie lubicie przyznawać drugiej jakichbądź przymiotów.

— Tylko nie u mnie—przerywa pani Janina—ale co tam będziemy o obcych rozmawiali. Więc pan jedziesz jutro? Wie pan, nie mogę temu uwierzyć... tak jakoś przyzwyczałam się do towarzystwa pańskiego — mówi dalej, spoglądając przeciągle w twarz doktora — że doprawdy... jakże to tak można? Ha, skoro tak, to i my pojedziemy, nie ma tu co więcej robić—dokończyła westchnąwszy lekko.

Doktor zarumienił się, a oczy jego spoczęły na obliczu pani Janiny. Patrzył, patrzył i milczał, nareszcie zerwał się nagle i pełen roztargnienia opuścił towarzystwo.

Popołudniu tego dnia ułożoną była wspólna prze

chadzka, i turysta o godzinie piątej stawił się przed dom, gdzie mieszkały panie.

— Nie będzie nic z naszego spaceru — odzywa się przyciszonym głosem z okna pani Honorata — Janina dostała nagle silnej migreny i leży w drugim pokoju.

— Cóż jej się staó mogło? — pyta niespokojnie doktor.

— Dalibóg nie wiem; po rozmowie z panem Weszła do mieszkania i zaczęła narzekać na ból głowy. Powiada, że się nudzi w Muszynie, że powietrze jej nie służy... więc za dwa dni wyjeżdżamy. Ej, panie doktorze, czyś pan jśj co przykrego nie powiedział? ona taka wrażliwa.

— Nie, daję słowo—odrzekł pomięszany i zakręciwszy wzrokiem dokoła, uklonił się i zniknął.

Do samego wieczora błąkał się gdzieś po górach i wertepach, a ci, którzy go w tym czasie spotkali, zapewniali, że coś do siebie rozmawiał, że się zatrzymywał, ręce rozkładał, kapelusz zdejmował, jakby chłodził rozpaloną głowę.

O zmierzchu zjawił się znów przed mieszkaniem kobiet i wręczył służącej list, aby go oddała natychmiast pani Janinie. List był krótki i zawierał te kilka wierszy:

Szanowna Pani!

Tak dłużej być nie może. Musimy się stanowczo rozmówić; jestem rozdrażniony i tracę miarę zwykłej przytomności. Proszę pani, racz jutro o ósmej godzinie rano udzielić mi chwilkę rozmowy sam na sam, o co zebrze najwierniejszy jej sługa
D-r Golicki.

Jakie wrażenie sprawił ten bilecik na umyśle pani, już mi niewiadomo; lecz na drugi dzień punkt o ósmej stała ona przed mieszkaniem swoim, czekając przybycia turysty.

— Pozwoli pani—rzecze, spostrzegłszy ją doktor— że pochodzimy trochę nad Popradem. Jak pani widzi, jestem cały wzburzony i nie mogę ustać na miejscu.

Ruszyli tedy ścieżką przez ogród, nad rzekę szumiącą tuż za domami. Ona z przygnębieniem widocznie malującym się na pięknej twarzy, szła milcząc; obok niej doktor-turysta kręcił się, wzdychał, kapelusz zdejmował i czoło chustką obcierał.

— I cóż pan ma mi powiedzieć? — spytała wreszcie, podnosząc na niego melancholijne szafirowe swe oczy.

— Czy pani się nie domyśla?—zapytał.

— Nie—odrzekła z figlarnym uśmiechem, uderzając parasolką o kamyki nadbrzeżne.

— Albo ja jestem waryat, albo pani chcesz mnie do waryacyi doprowadzić. Czy pani nie ma oczu?

•— No, mam i widzę niezwykle rozdrażnienie pana, co mnie zastanawia, bo człowiek tak pozytywnego usposobienia powinien nad sobą panować.

— A jeżeli nie mogę?

— To pan zadajesz fałsz swej własnej teorii.

— Tak jest, zadaję fałsz!—krzyknął, zatrzymując się przed nią. — Nie znałem przedtóm, co znaczy siła uczucia...

— A teraz pan znasz? — mówi spokojnie Janina. — Jakże się ucieszy żona, gdy powita pana tak korzystnie zmienionym...

— Proszę, niech pani nie wspomina o żonie! To

mój zły duch, to sroga kara za lekkomyślność i zuchwalstwo moje...

— Panie doktorze — rzecze wolno, dziwnie się uśmiechając — słowo zona, to ważne słowo, równoznaczne ze słowem...

Nie pozwolił jej dokończyć, ale zawołał z najwyższą irytacją:

— Ja zerwę te kajdany! zdepcę, jeżeli tylko pani...

— A ja co tu mam do czynienia?

— Jakto? pani nie widzisz, że ja oszalałem dla niej, że pani jesteś dla mnie aniołem, bożyszczem, że ja panią kocham, przez nią oddycham, żyję...

I w przystępie najwyższego uniesienia złożywszy ręce jak do modlitwy, zgiął się aby uklęknąć przed nią.

— Co pan robisz! — zawołała — ludzie patrzają się na nas. Jeżeli pan nie masz szacunku dla siebie, to proszę pamiętać, że narażasz mój honor.

— Za pani honor, rozkaż, a skoczę w tę rzekę!..

— Tego nie wymagam, tylko zachowaj się pan przyzwoicie... inaczej odejdę od pana. Przebaczam panu ubliżające dla mnie słowa, jak od człowieka żonatego, bo widzę, że jesteś niezwykle rozdrażniony, lecz zastrzegam sobie, żeby temu był koniec. Zostańmy życzliwymi towarzyszami podróży, jak było, i rozejdźmy się.

— Pani jesteś jak ten kamień przy drodze! — przemówił z żalem i rozpaczą. — Dobrze, ja wykonam rozkaz pani, ale proszę o jedną łaskę.

— Słucham.

— Zostańcie panie tutaj jeszcze' przez kilka dni. Ja dziś jadę po tę nieznośną siostrę, do Gilowa, odwiozę ją i na niedzielę będę tu z powrotem.

- Nie mogę — odpowiedziała mu pani stanowczo. — Dostyc mam już tej kuracyi; właśnie uradziłyśmy z kuzynkami, że jutro rano wyjedziemy — i to zgadnij pan gdzie?
- Już mnie to niewiele obchodzi. Więc nawet tej drobnej łaski wyświadczyć mi pani nie może? Daję najświętsze słowo, że w domu stanowczo skończę i powrócę wolny...
- Czy i od żony?
- Ma się rozumieć! Zrywam... podaję się do rozwodu.
- No, no, nie tak gorąco, mój panie doktorze. Na to będzie jeszcze dość czasu... Otóż, widzi pan, jedziemy w okolicę Gilowa, do ciotki mojej kuzynki Honoraty; w tej chwili zapomniałam jak ona się nazywa, ale mieszka tam gdzieś bardzo blisko.
- To i ja pojedę z paniami—decyduje doktor.
- Bardzo[^] mi będzie przyjemnie; przyznam się panu, że trochę liczyłam na to — rzeczy nieśmiało pani Janina.—Pan jesteś tak grzecznym i przyjemnym towarzyszem podróży, a my same kobiety musiałybyśmy jechać, że tylko wdzięczną mu jestem. Ale cóż? pan musisz zatrzymać się w Radymnie, wszak trzeba zabrać tę... tę siostrę żony.
- A, niech ją tam! — zawoła, machając ręką. — Już mi niepotrzebna; układów nie chcę żadnych. Zdecydowałam się zerwać krępujące mnie więzy, więc też posagowe sprawy wcale mnie nie obchodzą.
- Jedziemy tedy jutro o szóstej?
- Jedziemy. Słówek jeszcze — dodaje doktor, gdy się zbliżali do mieszkania.
- Ani słówka, proszę, bo nie pojedę.

— Ale jak z moją żoną skończę, pozwoli pani...
— Ani słówka, bardzo proszę — rzekła mu seryo.—Proszę zapomnieć co było i tylko pod tym warunkiem przyrzekam, że i ja zapomnę.
— Pani jesteś okrutną i bez litości...
— Do widzenia jutro — odpowiedziała, wchodząc do bramy domu — jeżeli pan chcesz żebyśmy zostali do-
breml przyjaciółmi.

* *

*

Podróż ku Przemyślowi już nie odbywała się tak wesoło i przyjemnie, jak niegdyś od Jarosławia ku Muszynie. Doktor niby to był grzeczny i uprzejmy, ale jakoś bez poprzedniej werwy. Nie odbywał wykładów naukowych, instrumenta fizyczne pochował, narzekał, że jest śpiącym, więc ulokowawszy głowę na kątowych poduszkach wagonu, zamykał oczy, a od czasu do czasu, gryzł paznogie i wzdychał. W Tarnowie jeszcze pożegnała towarzystwo jedna z trzech pań, która mieszkała razem w Muszynie, do Przemyśla tedy jechały tylko z doktorem pani Janina z Honoratą. Prawda, że tej Honoraty doktor antypatycznie nie lubił, więc kto wie, czy jej obecność nie była przyczyną jego osowienia. W Przemyślu przesiedli się na pociąg Łupkowski, a doktor coraz więcej czuł się niespokojny: to się zamyślał, oknem wyglądał i nie zwracał uwagi na szczebiotliwość kobiet, którym ani na chwilę przedmiotu do rozmowy nie zabrakło.

— "Wie pan doktor—zaczepia go Honorata—bardzo jestem ciekawa poznać żonę pańską.

A. Wilczyński.—TOM XIX.

— Nie ma co poznawać! — odrzekł, nie odwracając twarzy od okna wagonu, którym wyglądał gdzieś w okolicę.

— A ja znów — dodaje Janina — chciałabym zobaczyć naukowe zbiory pana doktora, o których nam wspominał. Szczególniej zaciekawia mnie ten sławny mikroskop, przez który można widzieć w kropli wody takie cuda natury. Nigdy jeszcze nie widziałam mikroskopu. A przytem owa kolekcya szkieleł..

— Wszystko to w nieporządku gdy mnie nie ma— mówi doktor obojętnym tonem. — Parę dni trzeba to czyścić, przygotowywać... Jeżeli pani dłużej u ciotki zabawi, to z największą przyjemnością przyjadę. Spodziewam się i tak, że pani pozwoli się odwiedzić.

— Z całą rozkoszą, doktorze—mówi, podając mu rękę—i owszem, prosimy, ale pomimo to, dla czegożbyś nas pan nie miał przedstawić swej żonie?

— Naturalnie, przecież poznalibyśmy się bliżej — rzeczce Honorata— tyle mamy do zawdzięczenia doktorowi, więc poprostu złożymy mu wizytę, poznamy ten śliczny dworek i sad. W Gilowie musimy się zatrzymać parę godzin nim się konie znajdą.

— Na dworcu stoi tyle furmanek i powozu dostanie.

— Widzę, że*pan doktor nie radby nas mieć w swoim domu — przerywa Janina — a to przyznam się, jakoś...

— A i owszem, z największą przyjemnością... cały mój dom będzie na jej usługi. Ja myślałem że panie żartują, lecz jeżeli naprawdę...

— Naprawdę... nie widzę w tem nic niestosownego i spodziewam się, pańskiej żonie nie zrobimy subiekcyi,

jeżeli chwilkę zabawimy i powinszujemy, że ma tak uprzejmego i rozumnego męża.

— Zbytek laski — rzecze zarumieniony doktor — tylko, jak to panie wiedzą, przy gospodarstwie, moja żona... dlatego z góry przepraszam.

— Czyż my się nie znamy na tem? — Kobiety kobietom wybaczą. Więc, panie doktorze, prosisz nas pan, co? Przebierzemy się w zajeździe.

— I to niepotrzebne, wprost pojedziemy ze dworca — mówi doktor — u nas w miasteczku, żyjemy bez ceremonii.

Na tem zakończyła się rozmowa wspólna, ale rozpoczęło się widoczne zakłopotanie doktora. To wstawał, rzeczy swoje oglądał, to siadał, gazety chciał czytać, na zegarek spozierał i paznogie gryzł, a panie rozmawiając i śmiejąc się ciągle, nie zwracały na to uwagi, że to propozycją ich właśnie ten zły humor i niepokój wywołała! Mój Boże! jak też te kobiety mało się jeszcze znają na charakterze mężczyzn!

Każdy z nas poznałby się na tem odrazu, one zaś, aby fantazyi swej a więcej pewno ciekawości dogodzić, już zresztą nic nie widziały, o nic się nie troszczyły. A jednak, gdy pociąg się zatrzymał i doktor nawpół przytomny wsadzał je do powozu, którym miały jechać do miasta, mogły zobaczyć, że był blady, drżący i dziwnie rozstrojony — słowem, inny człowiek niż dotąd. Po drodze przyglądały się ciekawie miasteczkowym dworkom, ponętnie kryjącym się wśród zieleni—unosily się nad ich wdziękiem i co chwila zapytywały doktora, kto* w nich mieszka. Kto się tylko ukłonił doktorowi, zaczęły zaraz, kto to, co za jeden, a on, bąkając coś pod nosem, oglądał się, z powozu wychylał i niecierpli-

wił, że skrzydło ocierając się o koło, skrzypiało jakby kto człowiekowi serce na dwoje rozdzierał. Rzeczywiście, aż żal było patrzeć, co kosztowała przymusowa grzeczność doktora i nie pomyłę się utrzymując, że w tej chwili przeklinał w duchu świat cały i wszelkie wycieczki dla odpoczynku i wszelkie znajomości, nawet z tak przyjemnymi kobietami, jak pani Janina.

Powóz wreszcie zatrzymał się przed sztachetami dworku lekarza. On wyskoczył pierwszy i zamiast podać rękę kobietom, z miną rekruta, który usłyszał pierwszy strzał nieprzyjacielski, wpadł przez ganek do sieni. W drugim pokoju spotkał żonę i nie witając się, mówi prędko:

— Moje serce, tu dwie panie, z którymi zapoznałem się w drodze, przyjechały i chcą nam złożyć wizytę. Proszę cię, wyjdź... prędko.

— Gdzież Joasia?

— Nie przyjechała, a dlaczego, powiem ci potem... No, bądź tak dobra, moja droga... bardzo porządne osoby... chwileczkę zabawią... proszę cię, wyjdź!

— Nie mam potrzeby — mówi szorstko — twoi to goście, więc ich sam przyjmuj.

— Zlituj się, Maniu... nie wypada... zrób to dla mnie na chwileczkę, nie trzeba nic podawać... no... no... zrób, Maniu.

— Rozmowa ta krócej trwała, niż jesteśmy w stanie ją powtórzyć, bo ledwie zaczęły panie wysiadać z powozu, on już wrócił przed ganek z rozognioną twarzą i zaczął im pomagać. We drzwiach sieni tymczasem pokazała się gospodyni domu, osoba młoda jeszcze, rumiana brunetka, nieco otyła i poprawiając sobie włosy na głowie z miną nie bardzo gościnnie usposobioną,

spojrzała na przybyłe kobiasty. Naraz, czarne jej, wyraziste oczy, błysnęły radością, zerwała się z miejsca i całym pędem przybiegła do pani Janiny, rzucając się w objęcia.

— Joasiu! droga moja Joasiu!... jakże się masz? Co ja widzę, Honorcia nawet... co za niespodzianka! Ach Boże! jaka ja szczęśliwa! Pójdźcież do pokoju, tu wszystko zniosą — mówi, biorąc Joasię w pól i jeszcze całując po drodze.

— Czegóżes ty ranie zdurzył? — rzeknie, przechodząc koło męża, który na podobieństwo żony Lota pod Sodomą, stał przy powozie cały blady, zdumiony i osłupiały.

Z wnętrza mieszkania dolatywał go wesoły gwar witających się kobiet, połączony ze szczebiotem dzieci, a on stał i stał — i nie widział, jak jego czteroletni chłopczyk wybiegł na ulicę, wyciągając ku niemu obie rączki, a za nim spieszyła piastunka z małym bobem na ręku.

— Czemuż nie zdejmujecie? — woła przez okno gospodyni. — Faustynie! każ znieść kufry Joasi do mojego pokoju. Czekaicie, przyszlę Józefa, to wam porno- ie zdjąć z kozła.

I Józef wyszedł, z furmanem pozdejmowano kufry, a doktor nie wiedział co się z nim dzieje. Jak człowiek pijany, co chwila zdejmował kapelusz i wkładał go na głowę, i przeżegnawszy się lewą ręką, poszedł wprost do swego gabinetu.

— A to ci historia! No, no, dyabli wiedzieli, że to może być Joasia... chyba to ona... Okropność, co to będzie... co ja tu nieszczęśliwy pocznę? a to ci kobiety, ha!...

Zamiast do pokoju pani, wszystkie rzeczy kazał znosić do swego gabinetu, fiakrowi zapłacił nie wiedząc co daje, i zamknąwszy drzwi od sieni, rzucił się na sofę w rozpacz. Nawet porządnie myśli nie mógł zebrać, tak mu się wszystko w głowie mąciło, kotłowało i szumiało. Co robić teraz, jaką przyjąć rolę wobec żony, czy udać że wiedział iż wiezie siostrę żony, czy też przyznać się, że nie wiedział? W tej chwili był, co się poważnie nazywa, w dyabelskich tarapatach, do tego jeszcze tak komicznych, że niewiadomo, którądy wypłynąć.

— Faustynie!—słyszysz naraz głos nad sobą — czegoż tak siedzisz? Jakto, więc się nawet ze mną nie przywitasz? A, czuły małżonek, nie ma co mówić!

— Duszko moja, jestem tak znużony... widzisz — odpowiada, całując żonę.

— Wstydź się, mężczyzna... cóż znowu? Tu kufry poznosili... Widzę, że wróciłeś jeszcze bardziej roztrzepany, niż byłeś. No, pójdźże do nas, obiad zaraz podadzą. Przymuś się, Faustynie, tak niemożna przy gościach... prawda, jaka Joasia ładna i miła?

Co on w tój chwili sądził o owej ładności i miłości Joasi, to łatwo czytelnicy sobie wyobrażą; lecz rad nie rad, musiał iść na ten obiad, jak gdyby na ścieżce, a wchodząc, rzucił jednak tak błagalno-miłosierne spojrzenie na panią Joannę, że ta aż chusteczką zatkała sobie usta, aby nie parsknąć głośnym śmiechem.

Przy stole siedział nieprzytomny i jak na rozżarzonych węglach. Żona nieustannie napędzała go, aby obsługiwał gościom, żeby odkorkował wino i nalał w kieliszki—on czynił to machinalnie, wymawiając się szalonym bólem głowy.

Był już zdecydowany zdać się na łaskę Joanny i wymóżyć u niej milczenie, lecz złośliwa kobieta do samego rozejścia się na spoczynek, nie dała mu ani na chwilę sposobności, ażeby parę słów mógł z nią zamienić. Ze sprytem i tyranją osobom tego rodzaju właściwym, wywijała się jak wąż, ile razy korzystając z tego, że była samą, chciał się do niej przybliżyć. To wyprowadzał ją do ogrodu, aby ułożyć bukiet, to proponował pokazanie mikroskopu, to wiódł ją do salki na obejrzenie obrazów, lecz ona tak się trzymała żony, lub pani Honoraty, lub wreszcie niańki bawiącej dziecko, że ani sposób słówko przemówić. Przy kolacyi nawet, żeby mu lepiej dokuczyć, odezwała się do siostry:

— Ale, & propos twego pocziwego męża, co ja ci mam do opowiadania, że się zdziwisz i zachwycisz.

— Zapewne nabroił tam dosyć—odpowiada na to doktorowa, spoglądając w jego stronę.—Ocho, czerwieni się, musi tam być coś. Faustyn, widzisz, jest tego rodzaju gadułą, że jak tylko mnie nie ma, popuszcza wodzę swemu językowi...

— Przepraszam cię, cóż to ja jestem dziecko? Jakże można...

— Gniewaj się, nie gniewaj, ale przypomnij sobie, ileś ty już nasprawdzał sobie przykrości i nieprzyjemności przez twoje nieszczęśliwe gadulstwo... Jak się zapomni, grzech śmiertelny wypowie.

Stało się tedy, że doktor musiał iść spać, nie porozumiawszy się z panią Joanną i oka całą noc nie zmrużył, będąc niespokojnym, czy ona czasem całej tej_ historii żonie nie opowie, tembardziej, że do drugiej go dżiny po północy słyszał jeszcze przez ścianę głośną roz

mowę kobiet, której słów jednak mimo przykładania ucha do muru, rozróżnić nie mógł.

Jeszcze przez cały dzień następny trzymała go mściwa figlarka w niepewności i strachu, przesyłając mu kilkakrotnie bardzo groźne spojrzenia, a we wspólnej rozmowie napomykając o pewnych faktach w ten sposób, że mógł się spodziewać, że lada chwila pęknie mu po nad głową owa bomba i przy kuje do ziemi. Dopiero wieczorem, widząc, że nieszczęśliwy doktor bliskim już jest ostatecznej rozpacz i gotów zdrowiem tę niemą igraszkę z jego spokojem opłacić, podeszła do ganku, gdzie stał zatopiony w myślach.

— Panie Faustynie, a kiedyż nastąpi zapowiedziane kruszenie kajdan, które mi obiecałeś?

— Pani!—rzecze z pokornie błagalną miną—czy się tak godzi?

— Panie Faustynie—powtarza jego tonem—czy się tak godzi poniewierać, przed pierwszą lepszą osobą w wagonie, honorem i czcią żony?

Spuścił głowę jak winowajca i milczał.

— Gdzież to jest odwaga i dziarskość, gdzież zasady i przekonania męża, fizyka i ojca dzieciom? Sumiennie rzecz biorąc, powinnabym wszystko powiedzieć Maryni, gdybym...

— Daję pani najświętsze słowo, że bardzo żałuję, że brzydzę się sobą, że zmysły tracę...

— Gdybym—ciągnie swoje Joanna—uważała pana za wytrawnego mężczyznę, ale że to co było, wyglądało na fantazyę gimnazysty.

— Prawda, ja sam to widzę.

— Więc po zdaniu matury, a nasze spotkanie spo-

dziewam się za maturę wystarczy—będzie inaczej. Dajesz pan na to słowo?

— Daję!—zawołał, chwytając ją za rękę i całując serdecznie.

— Otóż go masz!—rzekła, pokazując się na to pani doktorowa. — Joasiu, zlituj się, jeżeli go chcesz kokietować, to przy mnie, bo inaczej z pewnością jakąś niedorzeczność zrobi.

— Bądź spokojna mówiliśmy o interesach spadkowych, a ja zgodziłam się na jego propozycję i ztąd taka wdzięczność.

— No, idź już, idź—rzecze do męża —tam czeka tylu pacjentów... Dosyc się napróżnowałeś i pieniędzy pewno naszastałeś...

Gdy odszedł, ona mówi do siostry.

— Dobry człowiek, że do rany go przyłożyć, tylko zawsze jak dzieciak, którego trzeba pilnować i napędzać do pracy.

— Bardzo wykształcony i zdolny jako lekarz— wtrąca Joanna.

— Cóż z tego, kiedy to tam w głowie jak w trybunale, praktyczności żadnej.

— Nawet uczony człowiek.

— Ech, odpowiem ci o jego uczoności francuzkiem przysłowiem: beüle comme un savant.

KONIEC.

Es
E*⁵¹ A. Wilczyński.—Toin XX.

I.

— Ciekawa jestem, kogo też złowi gospodarz na to obok nas mieszkanie?—odzywa się przy obiedzie — da i żywa szatynka.

— Ha, pewnie jakiego szlachcica ze wsi, albo wicyusza z Królestwa, na gwałt potrzebujących lokalu—odpowiada niedbale średnich lat mężczyzna, rozkoszujący się w tej chwili zapachem pieczonych kurcząt, które służąca z półmiskiem ustawiła na stole.

— Tak, jak was złapał, kazawszy zapłacić całoroczny czynsz z góry — dodaje drugi, o śniadej cerze

i 'czarnych ognistych oczach, siedzący przy gospodyni * młodzieniec.

— Żeby przynajmniej ktoś z porządniejszych najął, mielibyśmy znajomość — dodaje pani, przybliżają się do okna, koło którego przechodzą teraz otyły i sa- piący gospodarz domu z drugim jegomością, widocznie szukającym mieszkania.

Jak raz, zatrzymali się tuż przed nią dla dalszych pertraktacyj, więc ciekawa pani schowawszy się za firankę, doskonale może się przypatrzeć najmującemu. Jest-

to mężczyzna już nie młody, podtusiały, w drelichowym podróżnym płaszczu, w dużym słomianym kapeluszu, mocno przepalonym od słońca. Pizyonomia tego pana i ubiór zdradza szlachcica wiejskiego; twarz ma rumianą, jakby trochę nabrzmiałą, siwe, filuternie patrzące oczy, wąs żółtawo-siwy niedbale opuszczający się na dół i także z pod kapelusza wymykające się kosmyki włosów. W rękę trzyma grubą sękatą laskę, którą podczas rozmowy wywija z taką fantazyą, że otyły gospodarz przymrużając oczy, co chwila przekręca głowę, to w lewo, to w prawo, a nawet cofa się w tył, żeby nie oberwać maczugą po nosie.

— Więc słuchajno gospodarzu — prawi szlachcic podniesionym głosem — chyba chcesz skórę ze mnie zedrzeć.

— Przepraszam pana dobrodzieja — odpowiada urażony. — Ty, to ja jestem tylko dla mojej żony, a wszyscy inni mówią do mnie panie...

— Ale bo widzisz mój łaskawco, ja mam taki zwyczaj...

— A mój zwyczaj, że gniewam się, gdy mi kto ubliża.

— No, to bywaj zdrów, mój ty panie gospodarzu i z twojem państwem, i z twojem mieszkaniem. Ceremonii dużo, a pieniędzy jeszcze więcej. Za swoje trzy grosze mam cię honorować i subiekcyą sobie robić.

— To upadam do nóg—mówi, zwracając się z kluczami gospodarz.

— He, he, czekajno łaskawco... chcesz, dam trzysta reńskich!

— Nie. Albo pięćset kwartalnie z góry, albo .czteryście pięćdziesiąt, jeżeli roczny czynsz...

— Bójże się Boga, panie, i za co!... Gdzież tu sumienie, za trzy dziury...

— Przepraszam, to są pokoje i nie trzy tylko cztery.

— Co? Tę ciemną jamę rachujesz za pokój?

— To nyża...

— Jaka to ryża?

— Tak się nazywa ten ciemny gabinet.

— Gabinet? — powtarza, śmiejąc się szlachcic — prawda gabinet, ale do czego?... Oj zdzierusy, jak mi Bóg miły! A toć panie, żebyś był przyjechał do mnie, kiedy trzymał Borowice, za pięćdziesiąt reńskich dałbym całą oficynę o sześciu pokojach... Pięćset reńskich za trzy pokoje, ależ to majątek!

— Wolna wola...

— Słuchajno panie gospodarzu, dam trzysta pięćdziesiąt z góry i niech będzie zgoda!— mówi, biorąc tłustą, jak poduszka, rękę właściciela domu, żeby w nią uderzyć. Lecz ten wrywa ją dość opryskliwie i rusza dalej, a szlachcic za nim.

I znowu nowe targi, nowe chwytnia za rękę, których już ciekawa pani dosłyszeć nie może. Od czasu do czasu dochodzą ją tylko urywane wyrazy gospodarza, chwającego swój lokal z taką intonacją głosu, jakby cytował słowa ewangelii świętój.

— Ciepło panie dobrodzieju, jak w ulu, tylko trzeba palić... Suche, jak pieprz... Naprawi się te drzwi i okna, bagatela, i tę dziurę w podłodze, cóż tam kawałek deski wstawić. Aaa... malowanie, to już pan dobrodziej, jak zechce, to sam...

Nareszcie musieli się ugodzić, bo naraz szlachcic odwraca się od niego, wyjmując z kieszeni okulary i na

nos zakłada, potem gruby pugilares, a z niego dwa dzie- sięciořeńskie papierki. Obmacawszy je dobrze zwil- żonemi palcami, przegląda jeszcze do słońca, czy czasem po dwa nie zlepione i daje, jako zadatek.

— Ot jest i ogródek—mówi już udobruchany gospodarz—będziecie państwo mieli, jak na wsi...

— To też łaskawco mój, dlatego mi się podobało — rzeczce, rozglądając się po obszernym dziedzińcu, który—musimy to przyznać, bardzo się po gospodarsku przedstawia. Nie brukowany, założony resztkami zbutwiałych podkładów kolejowych i desek, odłamkami cegły, beczkami z piwa, pustymi pakami, słomą i w ogóle wszelkiego rodzaju śmieciem, ma pozór wiejskiego w gumnach podwórza.

Coś na trzeci dzień po owych targach, wjechały na ten dziedziniec cztery drabiniaste bryki, pełne różnorodnych gratów. Dwie stanęły jeszcze na ulicy, a z siódmej, lecz już bryczki na resorach, wysiadły dwie panie i trzecia wiejska służąca.

•— Patrzno Kaziu — rzeczce taż sama szatynka, ciągnąc za rękaw młodego bruneta do okna — co to za cudaki idą...

Rzeczywiście dwie nowo-przybyłe damy pod względem ubrania wyglądają, jakby zmartwychpowstałe ryciny z dawnego Tygodnika mód. Starsza otyła i widocznie cierpiąca na nogi, mimo gorącego dnia, ma na sobie tabaczkowego koloru sukienną salopę z wielkim kołnierzem i długą, prawie do kolan peleryną. Czerstwą jeszcze twarz z czarnymi bystro latającymi oczkami, osłania popielaty, z wysoko podniesionem rondem, kapelusz, ozdobiony wieńcem żółto-pomarańczowych kwiatów. Druga młodziotka, najwyżej! lat szesnastu, w krótkiej

perkalowej, dobrze wymiętej sukience, okryta czarną kamlotową pelerynką, mimo opalonej nieco i jakby przestraszonej twarzyczki, jest uderzającej piękności. Duże, błyszczące, ciemno szafirowe oczy, choć zalęknione, " patrzą tak dziwnie ujmująco z pod ciemnej, długiej rzęsy, że kto raz poczuł na sobie ich spojrzenie, już więcej go nie zapomni. Regularny owal twarzy, nosek zgra- bniutki, usta jakby karminem malowane, a do tego bogate zwoje ciemno- żółtawego koloru włosów, muszą każdego zwrócić uwagę. Wprawdzie nie pasuje do tej główki dziecinnego kształtu duży słomkowy kapelusz, siedzący dziwacznie na jej szczycie, ale swoją drogą, że ładna, to ładna.

Spostrzegłszy, że jacyś państwo przypatrują się jej ciekawie z okna, zapłonila się, jak róza i potknęła na nierównej ziemi dziedzińca.

— Maryniu, drewniane masz nogi, *czy co!—fuknie krzykliwym głosem, pociągając ją za sobą matka.

Co odpowiedziała panna, nie mogli nasi obserwatorowie dosłyszeć, widzieli tylko, jak nowa sery a rumieńców przebiegła jej po twarzy i dostała się na szyję.

— Ależ to śliczna! — zawoła pan Kazimierz, brat owej szatynki.

— Ocho, już zakochany!—przerywa pani Wanda.

— Zakochany jeszcze nie, ale mógłbym się zakochać. Przyznam ci się, tak pięknej dziewczyny żywej jeszcze nie widziałem... Na obrazkach...

— Wstydz się być takim kochliwym! Cóż to ładnego? Pospolity rumiany buziak parafiański... Ot, świeża i hoża Marysia, nic więcej.

— Daj pokój, oczy, ach te oczy fioJkëve!...

— Zlituj się, co ty w nich Widzisz? — przerywa

z pewnym lekceważeniem pani Wanda.—Jak mogą być pięknymi oczy niebieskie? a jej nawet mają w sobie coś owczego... Mój Kaziu, złe mam wyobrażenie o twoich zdolnościach handlowych, powinieneś być zostać poetą, a nie kupcem, czy tam bankierem...

— Daruj, moja droga, ale ci odpowiem słowami mędrca, że pszczoły nie dla samych głupców miód robią. Co piękne, to piękne i musi się podobać.

Nieznajome weszły do nowego mieszkania, które tylko zamknięte drzwi przedzielają od mieszkania rozmawiających. Niedługo nadszedł i sam jegomość z młodym, pretensjonalnie ubranym wyrostkiem, zdaje się słuchaczem uniwersytetu, którego obie kobiety powitały z niezwykłą radością.

— A przyznam się—rzecze młody elegant—że nie miał też tata gdzie najmować mieszkania, jak w takiej dziurze na przedmieściu.

— Prawda—dodaje matka—takie jakieś ponure, odrapane landary.

— Tak, tak, dajcie sześćset, albo siedmset reńskich, to znajdziecie lepsze!

— Cóż ojciec chce, wołałbym dać a mieć porządny lokal w środku miasta... No, a któryż pokój będzie dla mnie? Ja potrzebuję mieć wchód oddzielny.

— Czy ja ci bronię! — słyhać urażony głos szlachcica—najmuj, płać. Jaki mi pan, on by wołał... Zarób, panie dobrodzieju, a będziesz szafował... Pokój, to weźmiemy oba, ten pierwszy.

— Z ojcem?... to dobre! Tata myśli, że ja mogę się uczyć, kiedy kto drugi jest w pokoju, a jeszcze pali taki ordynaryjny tytuń.

— No, no, tylko mi nie burmistrzuj...

— Ech—występuje matka z interwencją—my starzy to się w dwóch pokojach pomieścimy, a niech on będzie sam. Gorzej, że nie ma spiżarni, gdzie tu co schować?...

— Matko daj pokój! Coś chciała, to masz... Zachciało ci się miasta...

Sprzeczano się jeszcze dość długo o to mieszkanie, student wszystko krytykował, ojciec prawil mu reprimendy, jak teraz każdy cent jest ciężki, matka trzymała stronę syna, wreszcie trzeba się było wziąć do znoszenia rzeczy.

Cała rodzina, prócz syna panicza, bez ceremonii zabrała się do roboty. Sam szlachcic najgłośniej krzyczał i dyrygował, grożąc furmanom, że za każdy uszkodzony przedmiot niezawodnie będą mieli potracone; pani zносиła różne robótki, a panna zdjawszy kapelusik i zakasawszy rękawy, pilnowała swoich doniczek z kwiatami, które opakowane były słomą w ogromnej balii.

Sprzęty i meble, które znoszono, są bardzo skromne, stare i różnego kalibru, lecz za to statków kuchennych i gospodarskich całe dwie fury. Ogromne fas ki z pokrywami, stoły, szafy spiżarniane, dziże, siodła, upręży, znoszono i znoszono bez końca; widocznie szlachcic nie wyrzekał się jeszcze powrotu na wieś i żał mu było marnować takie rzeczy.

Najtrudniejsza jednak sprawa była z ogromnym kufrem ciężko okutym, który w żadne drzwi mieszkania zmieścić się nie mógł. Prawda i to, że te drzwi od sieni są tylko pojedyncze, więc próbowano i tak, i owak, radzono, krzyczano, przekręcano—i ani sposób. Przytomny temu gospodarz, poradził, żeby przeprowadzić tego olbrzyma przez sąsiednie mieszkanie, gdzie już są drzwi podwójne. Radę przyję-

to, a skutkiem tego on sam ze starym szlachcicem wybrali się w poselstwie do pani Wandy.

Nastąpiła z tego powodu wzajemna prezentacya, z której wypada i nam skorzystać, aby się coś bliższego

o nich dowiedzieć.

Mąż pani Wandy, mężczyzna lat trzydziestu kilku, wysoki, przystojny brunet, nazywa się Paternacki

1 jest byłym obywatelem ziemskim z Królestwa, którego okoliczności zmusiły do osiedlenia się w Galicyi. Zo- na jego, znajoma nam trochę pani* Wanda, wesoła i rezolutna kobiecina, namiętnie zakochana jest w swoich dzieciach i tylko o tem marzy, jakaby sprawić przyjemność Adasiowi i Julci, pierwszy rok uczęszczającym do szkół publicznych. Pan Stanisław Paternacki trzyma się nieco sztywnie i ceremonialnie/ czem imponuje naązemu szlachcicowi, lecz za to brat pani Wandy, ów młody brunet, któremu się tak bardzo panna Maryanna podobała, jest żywy, wesoły chłopiec, pracujący w niedawno założonym przez obywateli domu komisowo- hancellowym.

O nowo-przybyłci sąsiadach nie potrzebujemy wiele mówić bo pan Mikołaj Okoń Okoniewski sam więcej powie, niż potrzeba. Naprzykład i teraz, zapomniawszy, że tam ludzie czekają z przeniesieniem owego kufra, jak się przyczepił do pana Kazimierza, tak dalej mu opowiadać o owych Borowicach, które przez dziesięć lat trzymał w dzierżawie, ile tam zbierał kop pszenicy, ile żyta, a ile jarzyny i rzepaku, ile miał krów, jałowizny i owiec do czasu, dopóki mu tych ostatnich żydzi nie wytruli.

— Mówię ci, panie—gada wciąż, ustępując przed kufrem niesionym teraz przez pokoje Paternackich—■

niech tylko adwokat i żyd wda się w jaką sprawę — to bywaj zdrów! Jak mi Bóg miły, za jakie lat dziesięć nie będzie w Galicyi ani jednego szlachcica na wsi, a tylko sami żydzi i adwokaci. Więc panie dobrodzieju słuchaj że, jak zemną zrobili... Szach mach adwokat poleciał do Wiednia, do dziedzica, i kupił Boro wice, ale to kupił mówię ci za psie pieniądze, bo czegoż adwokat na świecie nie potrafi! A tu żydki naraz do niego z pro- pozycjami o dzierżawę panie dobrodzieju... Sześć lat bezustannie kopali podemną dołki, żeby mnie z Borowie wyparować. Dwa razy mię spalili, jak mi Bóg miły, owce mi wytruli, nasyłali rozmaitych ludzi, dawali odstępnę, aby się tylko mogli tam dostać. Cała okolica panie już jest w ich ręku, a tu jeden szlachcic siedzi w Borowicy i nie... Powiedziałem sobie, żeby tu panie dyabeł na dyable jechał—nie. Historye, powiadam ci, zemną wyrabiali; odmawiali ludzi, przekupywali... Ale co tu długo gadać, nie mogli tak...

— Stary, stary, Mikołaju!—woła przezedrzwi sama Okoniewska — cóżeś się tam rozgadał, a tu nie możemy dać rady...

— Zaraz, zaraz, matko, idę!

— I pan dobrodziej musiał ustąpić — przerywa Kazio, żeby ułatwić zakończenie opowiadania.

— No, musiał, nie musiał. Poczekaj że, przyjdziemy do tego. Jeszcze ja im się dałem we znaki... Oparło się to aż o samego Monarchę... Jak mi Bóg miły, byłem na audyencyi, co, nie wierzysz?

— Wierzę, tylko nie pojmuję po co...

— Stary gaduło, a chodźże! —dolatuje głos żony.

— Zaraz, mówię przecie zaraz!... Nie mogli tak, wzięli się na inny sposób. Ale to długa historia.

— I wysadzili z Borowie?

— Ale poczekajże bracie, nie. tak... A cóż u kaduka, wołasz Mikołaju i Mikołaju? — odzywa się do żony.—Ja wiem przecie, że mi Mikołaj. Cóż to, bezemnie już nic nie możecie?... Skaranie bozkie...

— Niechże tata idzie!—nalega, wchodząc i biorąc pod rękę starego ów syn elegant.— Ludzie już poskładali rzeczy, chcieliby jechać, a tata jak się rozgada...

— Otóż będę gadał, bo mi się podoba, a wasań idź precz!—krzyknie zirytowany szlachcic.—Patrzcie go, jaki mi dyrektor!

— Niech pan dobrodziej idzie — nalega i Kazimierz.—Potem mi pan dobrodziej dokończy...

— O warto, warto, żebyś się dowiedział, co ja miałem z tymi żydami... Pewnie takiej drugiej historii nie było na świecie... Idę, idę, czegoż się drzecie, jakby was kto najął?... Pokornie dziękuję pani dobrodziejce za łaskawe pozwolenie... Całuję rączki. My z naszą imością złożymy uszanowanie, a jakże; musimy; tylko pani dobrodziejko niech się uporządzimy trochę... Całuję rączki, my po staropolsku, jak Bóg dał... I państwo, jak słyszałem, także ze wsi... Bardzo się cieszę z łaskawego sąsiedztwa...

— Będzie nam bardzo przyjemnie, prosimy — dodaje pani Wanda z lekkim uśmiechem.

Szlachcic naszastał się jeszcze i w prawo, i w lewo, panią znowu dwa razy pocałował w rękę, potem nie mógł znaleźć drzwi, któremi się wychodzi do sieni—więc powtórzył pożegnanie; potem zapomniał czapki i wrócił się jeszcze raz z dziedzińca, naturalnie znowu całując ręce pani.

— Będziemy służyć z matroną, o będziemy, niech się tylko z grubszego, jak mi Bóg miły, z grubszego...

— Pocziwy sobie szlachcic—odzywa się pan Stanisław, wzruszając ramionami po jego wyjściu.

— Wiesz, a mimo to ou mi się podoba—mówi żona. — I ona, choć tak cudacko ubrana, wygląda na pocziwą wiejską gospodynię.

— Także z grubszego—dodaje, śmiejąc się Stanisław.

— Także, bo wam to zdaje się, że tylko u nas w Królestwie są ludzie, a w reszcie świata same niedźwiedzie.

— Ale ta ich Marynia, to klasyczna piękność — przerywa z żywszem spojrzeniem Kazio. — Posągowe kształty... Uważałaś, jak zdjęła tę kamlotową mandarynkę i schylała się po wazonny kwiatów, co? Daję słowo!...

— Fantazyujesz przyjacielu... — mówi szwagier, klepiąc go po ramieniu. — Nie brzydka, to prawda, ale zdaleka już czuć ją surowizną...

— Te oczy, te oczy anielskie!

— Albo i ten synalek, pozujący na lewka miejskiego. Uważaliście, jak sobie wydekoltował tę długą i cienką szyję—dodaje, śmiejąc się pani Wanda.—A ten bi- nokl, który mu wciąż z nosa spada...

— Oryginalny i dalibóg obawiam się, czy nie będziemy ich mieli zanadto—kończy Stanisław, zabierając się do wyjścia. — A jak krzyczą wszyscy! Ja czuję, że już mam bębenki w uszach nadwerężone... to jakby cała rodzina była głuchą.

I miał racją pan Stanisław, że krzyczeli, bo choć drzwi komunikacyjne były już zamknięte i szafą napo-

wrót zastawione, wszystko było słyhać, co tam mówiono, nawet w dalszych pokojach. Stary ciągle się gniewał, wymyślając furmanom, że porobili szkody, za które im wytrącał z ceny najmu furmanek, gniewał się na syna, że proponował przyniesienie obiadu z restauracyi, na córkę, że płacze o złamanie gałązki hortenzyi, na żonę, że każe mu kupować gwoździe i że tylko na niego składa całą robotę, a sama siedzi i dysponuje.

— Tak, najlepiej klap na krzesło, a ty mężu rób, posuwaj, ustawiaj. Pan syn boi się, żeby rąk nie zawałał, pani córka, wielka dama, mazgai się nad kwiatkami... Robotnicy!... niema co powiedzieć, robotnicy od siedmiu boleści!

Stukali jeszcze i łomotali coś parę godzin do samej ósmej wieczorem, a razem z zachodem słońca pokładli się spać, jak za dawnych czasów w Borowicach razem z kurami, kiedy to jeszcze żydzi nie zalewali panu Mikołajowi sadła za skórę.

Kazio, rodzony brat pani Wandy, coś przez półtora roku uczęszczał do szkoły handlowej w Gratzu, której jednak z powodu pojedynku czy też awantury wyprawionej pewnemu oficerowi nie ukończył. Obecnie pracuje w miejscowym domu handlowo-komisowym i przekonany jest, że gdyby go tylko dyrekcyja chciała posłuchać, dom ich zagarnąłby cały handel produktami do siebie, a pośrednicy żydowscy, musieliby się swoim kosztem wynosić do Palestyny.

Codziennie przy obiedzie, stołował się bowiem u siostry, rozpowiada szczegółowo o każdej czynności swego domu i krytykuje zawzięcie, podług zwyczaju u nas przyjętego.

— Szlachta nasza—mówi—to same tchórze i niedołęgi, nawet własnego cienia się boją. Na niczem się to nie zna, a tak zarozumiałe o swojej mądrości, że niech się rabin sadogórski schowa. Powiadam ci Stasiu, nie masz pojęcia, jakie? to ciasne głowy. Taki naprzykład Bonifacy, szlachcic wzięty prosto od pługą i zdaje mu się, że on może być i jest najlepszym dyrektorem! Ja

co czytam ciągle różne sprawozdania handlowe z całego świata, no i znam się na tem trochę, widzę, że w tym roku nieurodzaj kartofli w Niemczech pewny, kukurydza w Mołdawii za bezcen, żydzi na gwałt kupują i sprowadzają dla gorzelni, a nasi panowie siedzą z założonemi rękoma i patrzą, jak im kto da sto korcy pszenicy w komis! Już to trudna rada, ale trzeba nam się handlu i spekulacyi uczyć od żydów... Obserwuję ja ich dobrze i powiadam ci, jaki mają spryt, jaki węch!... Pan Bonifacy powiada: panie, panie, my nie możemy ryzykować, a ja jestem zdania, że kto nie ryzykuje, ten nic nie ma... Czekać, jak tam kapnie jaki pewny interes od obywatela—nie sztuka..

Pan Stanisław, jego szwagier, jakkolwiek nie znał się zupełnie na tych sprawach, jednak, słuchając wciąż podobnych rozpraw Kazia, powoli przyswajał sobie różne wiadomości, odnoszące się do handlu, a nawet zaciekawiony, kupił kilka dzieł traktujących o tych rzeczach. Wprawdzie nie miał cierpliwości przeczytać je od deski do deski, jednak porzucił w wielu miejscach kartki i przez kilka wieczorów studyował tę umiejętność, leżąc wygodnie na łóżku.

Szczególniejszego też charakteru jest pan Stanisław. Na pozór zdaje się wykształcony człowiek i bardzo dobrze się prezentujący. O wszystkiein może prowadzić zajmującą rozmowę w salonie, a w gruncie rzeczy dyletant znudzony, wygodniś lubiący spokój, nie zapalający się do niczego i nie irytujący się niczem. Dawniej, gospodarując na wsi, miał jakie takie zajęcie, które mu długie dni skracało, dziś jednak rzucony na bruk miejski, formalnie nie wie co z sobą robić. Przybywszy do Galicyi z pewnym funduszem, ulokowanym

w listach kredytowych, zrazu miał zamiar kupić majątek ziemski i dalej gospodarować. W tym celu nawet wyjeżdżał parę razy z faktorem na obejrzenie stręczonych folwarków, lecz wszystko wydało mu się albo za drogie, albo zanadto opuszczone, albo z uciążliwymi warunkami, dość, że się nie spieszył, żyjąc skromnie z pobieranych od kapitału procentów. Pani Wanda, oddawszy dzieci do szkoły, również nie miała chęci zakopania się znowu na wsi; radziła tedy, żeby poczekał z kupnem, żeby się rozpatrzył w stosunkach miejscowych, a tymczasem dzieci podrosną i bez opieki matki można je będzie na stancyi ulokować. Czekał więc i nudził się, przesiadując w cukierni * lub w kawiarni, gdzie czytywał wszystkie pisma i gazety od początku do końca. Następnie zapisał się do któregoś kassyna, miał tam partyjkę wista, czasami zajrzał do uniwersytetu na jaki wykład, a bardzo często do księgarni, z której abonował książki do czytania... Gdy grano w teatrze nową sztukę, prowadził żonę, potem wracali do domu o dziesiątej, kładli się spać natychmiast, a wstawali o ósmej.

[*: * Pani takie życie po kilku miesiącach, bez żadnego towarzystwa i znajomości, zaczynało być nudnym. Dla zabicia więc tych nudów, regularnie dwa razy na dzień odprowadzała dzieci i chodziła po nie do szkoły, a za całą przyjemność zbierała różne miejskie nowiny, które jej z pierwszej ręki znosił wesoły braciszek. On, mieszkając już kilka lat w mieście, znał wszystkich, ich dobre i słabe strony, szczególnie te ostatnie eleganckich pań, stanowiących śmietankę, towarzystwa. Nie znając osobiście żadnej, dzięki usłużności brata, mogła doskonale prowadzić czarną księgę mieszkańców, co jej pe-

A. Wilczyński.—Tom XX.

wną sprawiało satysfakcją i zaostrzało ciekawość na wszelkie nawet drobnostki z ich życia.

Otóż takie było położenie naszych znajomych do chwili sprowadzenia się pana Mikołaja z rodziną. Na bezrybiu, jak powiadają, i rak ryba, więc też zatęsknio- na za ludźmi i towarzystwem pani Wanda najserdeczniej przyjęła nowych sąsiadów, którzy podług zapo- wiedzi pana Mikołaja już drugiego dnia z całą pompą w strojach, pani w jedwabnej sukni z zegarkiem na długim łańcuszku zawieszonym, pan w granatowej cza- marce, a panna w jasnej wełnianej sukience, zjawili się w bawialnym pokoju.

Sama Okoniewska jakkolwiek jest szlachcianką wiejską i pięknymi manierami ani też wysoką edukacją nie grzeszy, jednak ma w sobie coś sympatycznego, serdecznego i otwartego, że da się lubić. Z całą prosto- dusznością parafianki, przypatruje się umeblowaniu i różnym sprzętom w domu Paternackich, dziwi się, zachwyca i zaraz rozpytuje, co to może kosztować. Pani Wanda nie ma z nią żadnej trudności przy prowadzeniu rozmowy; dyskutują o sługach, o gospodarowaniu w mieście, o ubiorach, o których bardzo mało wie pani Mikołajowa.

Podano czekoladę; Kazio, który nie może oderwać oczu od Maryni, stara się zbliżyć do niej, usługując jako grzeczny kawaler. Daremne usiłowania; panna ani go widzi, ani słyszy. Ona tak jest przestraszona, nieśmiała i zażenowana, że łyżeczka wypada jej z ręki; chcąc ją podnieść wylewa czekoladę na jasną sukienkę i zapomniawszy języka w buzi, kręci się cała nieprzytomna, jakby stała pośród płomieni. Matka się gniewa, ojciec i Kazio przychodzą z pomocą, podając wodę i rę-

cznik do wytarcia plamy, a z tych pięknych szafirowych oczu łyzy nieproszone jedna za drugą staczają się po świeżych jagodach.

— Zawsze taka nieuważna — odzywa się matka dość niecierpliwie, wycierając ową plamę. — Myślisz, że sprawię ci inną zaraz. Długo poczekasz, nim ojciec się zmiłuje i da pieniędzy...

— Czy mąż taki skąpy?—pyta gospodyni, pragnąc odwrócić rozmowę na inny przedmiot....

— Aaa jaki nudny, nie ma pani wyobrażenia. O każdy cent trzeba iść do niego, a on zaraz: na co? po co? za wiele? czy nie możnaby taniej?... i tak będzie nudził, tak będzie biadał, że wszystkiemu się wyrzekła, aby go nie prosić!

— Ślicznie, panie Okoniewski — mówi na to z wyrzutem pani Stanisławowa—jabym nigdy na to nie zezwoliła. Przeciwnie, mój mąż zawsze wszystkie pieniądze mnie oddaje i ja mu udzielam, ile potrzebuje...

— Aaa łaskawa" pani dobrodziejko, bo to zależy od zwyczaju, jaki jest w domu... Moja im ość dobrodziejka tysiąceby puściła w ciągu miesiąca, żeby jej dać w rękę. Pani dobrodziejka daruje, ale ja trzymam się starej maksymy!...

— Albo i teraz—przerywa żona—daje mi reńskiego na dzień i powiada, żeby wystarczyło.

— Reńskiego? ależ to żarty!

— Trudno pani dobrodziejko, jak kto nie może więcej—tłumaczy się szlachcic. — Państwo, widzę jesteście zamożni, to możecie, ale my chudopachołki, poseso- rowie na bruku—trzeba mości dobrodzieju paski poprzy- ciągać!

— Wie pani, dobrze — mówi wesoło Wanda —

tylko będąc na miejscu pani, dawałabym takie kuse obiady.

— Co mu tam... On sobie poradzi... Idzie do miasta, wstąpi gdzie na śniadanko i nie dba o obiad...

— Taki to z pana ptaszek! Dałabym ja panu śniadanka. Prawda Stasiu, tybyś tego nie zrobił?... — mówi, zwracając się do męża. — Ocho, panie Mikołaju, my tu pana przerobimy... Zobacz pan, tylko się wszyscy do niego weźmiemy.

Szlachcic zżymał ramionami i śmiał się z groźby, a panie znów prowadziły z sobą gospodarską rozmowę, jak osoby, które się od dawnych czasów znają. Panna siedziała, jak niema, i napróżno Kazio wysilał się na koncepta, napróżno zachodził z różnych stron, żeby otrzymać spojrzenie tych ślicznych oczu. Marynia tak manewrowała swoją główką, chrząkała, ruszała się na krześle, udając, że nic nie widzi i nie słyszy, że znudzony tą grą w nieśmiałego przyłączył się do panów i dał pokój głucho-niemej panience.

A jednak, gdy Marynia była samą między swoimi, słyszał przez drzwi nieustanny jej szczebiot, czasami jakąś śpiewkę, a najczęściej srebrzysty pełen szczerości dziecięcej, śmiech, który mu dziwnie przyjemnie wpadał do serca.

Po tej wizycie panie zaprzyjaźniły się bardzo prędko. Ta do tej, ta do tej, przybiegały parę razy na dzień to o jakąś radę, to o pożyczenie czegoś do kuchni, to wychodząc razem po sprawunki lub na przechadzkę.

Jakkolwiek pan Mikołaj rzeczywiście był skąpym dla żony i domu, jednak dowcipna małżonka zawsze znała sposób poradzenia sobie w każdym wypadku. Faworytem jej i nieomal bóstwem był ów syn Tadzio, dla

którego właśnie po wypowiedzeniu im dzierżawy Borowie tak manewrowała mężem, że znaleźli się na bruku miejskim. A chłopak, mający wówczas lat ośmnaście, przystojny dosyć, brunet, do matki podobny, doskonale umiał wyzyskiwać tę słabość mamy, tyranizując rodzinę całą bez miłosierdzia. W domu z nikim nie było tyle zachodu, co z Tadzkiem. Na obiad gotowało się to, co Tadzio lubi; gdy Tadzio spał—chodzono na palcach; przyjmował swoich gości, uczył się — już nie śmiał nikt pokazać się w jego pokoju — słowem myślano, mówiono i starano się tylko o Tadzka, żeby się broń Boże o co nie' zgniewał, albo nie zmartwił. Nawet stary pan Mikołaj, szlachcic z natury skąpy i despotyczny, nie był wolny od pewnej słabości dla tego luminarza Okoniewskich, uczęszczającego na pierwszy kurs prawa. Zobaczywszy tyle grubych ksiąg na stole młodego słuchacza, z których on czerpał niespożytą wiedzę Temidy, w duchu widział go co najmniej ministrem sprawiedliwości.

— Fanfaron to prawda — odzywał się tajemniczo do pana Stanisława—ale hultaj zdolny i uczy się, jak mi Bóg miły. Już. to prawda mości dobrodzieju, że wszyscy Okoniewscy nie powstydzą się za swój rozum! Ja także nie byłbym zmarniał na dzierżawach, ale nie miał kto dbać o moją edukację. Pan dobrodziej wie, jak to bywało za naszych czasów. Skończyło się dwie, trzy klasy, liznęło się niemczyzny i łaciny i ojciec powiada: do roboty, do gospodarstwa, trzeba przypilnować tego, z czego się ma chleb. No, ale z tem wszystkim w powiecie człowiek nie był ostatnim. Było się członkiem rady powiatowej, członkiem deputacji nieraz, no i gdybym tak konieczuie chciał, to możeby sąsiedzi

wybrali i gdzie wyżej, ale ja się nadstawiać nie lubię nikomu, panie dobrodzieju...

Naturalnie, że wobec takich stosunków i ubóstwiania Tadzia, o biednej, niezgrabnej i nieśmiałej Maryni zapomniano, jak o kopciuszku. Stary trzymał do niej madamę przez dwa lata, nauczyła się po francuzku, grała bardzo pięknie, jak stary mówił, kiedy był na wsi instrument—to dosyć. Matka jej, chociaż pochodziła z lepszego domu i tego nie umiała, więc dla córki biednego chudopachołka nie trzeba więcej. Niech będzie dobrą gospodynią, umie szyć, gotować, prać i przypilnuje pracy męża—ot wszystko, czego się od kobiety wymaga.

Pan Okoniewski jako nieodrodny szlachcic polski, pomimo całej nienawiści, jaką pałał do żydów, nie mógł się jednak bez nich obejść. Ledwie że uporządkował się jako tako w mieście, już w parę dni miał trzech brodatych adjutantów koło siebie. Pocziwcy ci mają szczególniejszy węch odszukiwania takich osób, które mogą mieć pieniądze; więc chociaż pan Mikołaj postanowił sobie uroczyście nie wdawać się w jakiegokolwiek interesu z żydami, jednak nie miał odwagi odprawiać ich ex abrupto od swojej • osoby. Droczył się z nimi, żartował, dokuczał, udając, że myśli o rozmaitych interesach, i trzeba przyznać, bawił się doskonale, słuchając tysiąca propozycji, jakie mu owa trójka codziennie przynosiła. Nawet gawędził chętnie z żydówką, która przychodziła do pani handlować starzyzną, i targował się z nią do upadłego, niby to sprzedając siodła, uprzęż i inne przedmioty z dawnego gospodarstwa, a które rzeczywiście sama pani pokryjomu ciągle w świat puszczała.

Jeden z tych faktorów, młody lecz starego autoramentu wekslarz, zjawiał się regularnie podczas śniada

nia z wielkim arkuszem bibułki, na którym wydrukowane były kursą bieżące giełdy wiedeńskiej. Sto pociech było zawsze z tym wekslarzem z powodu, że bał się niezmiernie psów, a szczególnie wielkiego legawca pana Tadeusza, który obcesem skakał na plecy i ściągał zębami aksamitną myckę krzyczącego ze strachu wekslarza. Później już, wiedząc o tem, skoro wchodził do kuchni, już z daleka wywijał laską koło siebie, a mimo to niech kucharka przez żart zawołała: „Romans, bierz!” on chwytając z rozpaczą ową czapeczkę, zamykał oczy i krzychał: „A pójdziesz ty Romans... a pójdziesz!”

Drugi, poważniejszy już, bo z siwą głową, niejaki Dawid, jest dawnym znajomym pana Mikołaja, jako faktor handlu z wełną. Spotkawszy teraz na ulicy szlachcica, odrazu przyczepił się do niego jak pijawka, i znosił mu różne próbki wełny wraz z egzemplarzami Nowej Pressy, w których podawane były sprawozdania o cenach z całego świata. Bez żadnej potrzeby ani interesu, ofc poprostu z przyzwyczajenia do gadulstwa. Okoniewski nadziawszy okulary, oglądał te próbki i dyskutował z Dawidem o ich przymiotach i wartości, a żyd nie mógł się wydziwić, z kąd pan Mikołaj zna się na tych rzeczach tak doskonale, jak najpierwszy agent „wełniany z Breslau.”

— Czego wy bałakujecie o tych głupstwach — odezwała się raz żona — czy będziecie handlować wełną?

— Ny, a dlaczego by jasny pan nie mógł spróbować—odpowiada żyd.—Na wełnie można ładny pieniądz zarobić. Niech ja mam tyle szczęścia, ile przez moje rąk nabrali różni kupcy pieniędzy! Jaśnie pani pamięta tego młodego Hertz, co ja go przywiózł wtedy do Borowie?

— No, pamiętam.

— Jaki on dziś bogacz jest! Ma już dwie kamienice swoje, a żona jego chodzi w aksamitach i co rok jeździ do morza, bo jej nerwy są chore.

— Ech, nie zawracaj głowy — rzuć na to, westchnął pan Mikołaj. — Na takie handle trzeba mieć grube pieniądze i być żydem.

— Na co żydem? Jasny pan ma taki rozum, co jest lepszy od sześciu naraz żydów. Czy ja nie pamiętam, jak jaśnie pan tego Hertz wyciągnął wtedy! Na uczciwość, on na tej pełnie nic nie zarobił. Co jaśnie pan myśli, że do handlu wełną trzeba wielkich pieniędzy? Daje się zadatku dziesięć procent, posyła się w komis nach Breslait do Eisenberg albo do drugiego domu, i on zapłaci resztę, a potem sprzeda i jasnemu panu zarobek odeszle. Ja powiem pod wielkim sekretem, co jeden hrabia kupił w Peszcie sześćdziesiąt centnarów Krammwolle i miał po dwadzieścia talarów na każdy centnar zysku.

Jednakże wszystkie te pokusy, jakkolwiek bardzo ponętne, odpychał pan Mikołaj, zbywając żyda albo żarcikami, albo zwyczajem „zobaczmy,” a swoją drogą Dawid przychodził i dysputował, jak dawniej.

Trzeciego adjutanta niejakiego Fridlera, komisanta zbożowego, poznał nasz szlachcic u nowych sąsiadów, bo z nim pan Kazimierz miał jakieś interesa. Ten przychodził znowu wieczorem z próbkami zboża, ze słodyczą w głosie, z dowcipkami i różnymi obywatelskimi historyjkami, zdawał sprawę z obrotu zbożowego na targu miejscowym, kto, ile i co sprzedał, jak ten a ten obywatel kupił pszenicę na handel od sąsiada, jak ceny idą wciąż w górę, bo się w Ameryce nie urodziło.

Szlachcic z zajęciem słuchał tego wszystkiego i wzdychał, przeklinając adwokata i żydów, którzy go podkupili wtenczas, gdy zboże tak płaci, a on siedzi na bruku w mieście i nie ma nic do sprzedania. Potem, namówiony przez faktora, poszedł raz i drugi na plac targowy, oglądał różne zboża, próbował, gawędząc z kupcami, jak za dawnych dobrych czasów w Borowicach, a kiedy wrócił na obiad do domu, był w najgorszym humorze, i wtedy ani mu wspominał o jakich wydatkach na dom. Zwymyślał tak żonę i córkę i syna, że biednej kobiecie nieraz łzy w oczach stawały.

Tymczasem stosunki przyjacielskie między nowymi sąsiadami zawiązywały się bliżej i serdeczniej. Wieczorami całą gromadą jedni przychodzili do drugich na herbatę; panie gawędziły między sobą o kłopotach domowych, panowie o wielkich sprawach politycznych, lub zasiadłszy do zielonego stolika, grali w taroka, za którym przepada pan Mikołaj i którego wyuczył nowych znajomych.

Z Marynią nawet stał się w tych czasach cud— odważyła się parę słów przemówić do Kazimierza, chociaż potem ze dwie godziny nie śmiała spojrzeć na niego.

Pobył w mieście, towarzystwo pani Wandy i jej pomoc przy wyborze ubrania, a nawet przy wymęczeniu ze starego potrzebnych na to pieniędzy, zmieniły bardzo korzystnie powierzchowność panienki. Gdy opalenizna wiejska zeszała nieco z twarzy, gdy pani Wanda uczesała jej włosy inaczej, nałożyła zgrabniejszy kapelusik na głowę, poprawiła fason sukienki, wreszcie zrobiła uwagę, jak panna powinna się trzymać i stąpać na ulicy— Marynia jakoś urosła, wyprostowała się i zaczęła zwraca-

caó uwagę elegantów miejskich, natarczywie zaglądających jej w oczy. Kazio naturalnie tryumfował; asystując im wszędzie, zaprzyjaźnił się na zabój z Tadeuszem i ze stoicką cierpliwością pozwalał się mordować staremu Okoniewskiemu, który setny już raz opowiadał mu historią walk swoich z żydami i adwokatem, nabywcą owych Borowie. Nie obeszło się przytem bez wykładu nauki gospodarstwa wiejskiego, jak to u niego wszystko się rodziło wspaniale w Borowicach, jaki tam był ład i porządek, bo pan Mikołaj trzymał służbę ostro, a chłopom ze wsi w niczem nie przepuścił...

Pewnego dnia popołudniu z niezwykle tajemniczą miną Fridler wywołał pana Mikołaja na dziedziniec. Chodzili długo, rozprawiali, oglądając się na okna mieszkania Paternackich, a na twarzy szlachcica widać było niezwykle zaalterowanie. Naraz pożegnawszy żyda, wpada jak bomba do pokoju.

— Matka, hej matka!—woła już ze drzwi—daj no mi kluczyki... tylko żywo kluczyki od kufra.

— Na co ci?

— Dawaj, nie pytaj!—nalega, tupiąc nogami i niecierpliwiąc się, gdy żona nie może ich odczepić od fartuszka.

— Co ja mam panie dobrodzieju — mamrocze do siebie—siedzieć tu i gnić beczynn timer, gdy inni robią in- teresa... Człowiek się zje, żyjąc z gotówki.

— Cóż tam znowu nowego?...

Lecz on nie odpowiada, tylko porwawszy kluczyki od żony, biegnie do owego wielkiego kufra, odmyka, a podniósłszy ciężkie wieko, zanurza obie ręce między rupiecie, którymi cały kufer jest założony. Jejmość

protestuje przeciw tak barbarzyńskiej gospodarce, lecz on nic nie słyszy, a nurtuje wciąż, jak kret pod ziemią, póki nie namacał i nie wyciągnął sporego pakietu, owiniętego ręcznikiem. Ręce mu drżą, gdy odwija płótno, a kiedy się już dostał do papieru osnutego sznurkami w różnych kierunkach, chowa go tajemniczo pod surdut.

— Zamknij matko, bo niemain czasu.

— A gdzież ty tak lecisz?

— Do Paternackich... Jak ci się zdaje, przypuszczają óni mnie do spółki?...

— Do jakiej spółki?...

— No cóż ci będę gadał wszystko od a do z... Kupili dwa tysiące korcy pszenicy za bezcen, jak mi Bóg miły; zarobią najmniej dwa reńskie na korcu, to interes!... Ale, ale, dobrze będzie matko, jak i ty tam przyjdiesz... Słuchajno, tak niby przypadkiem... To ci panie, szczęśliwi ludzie...

— Więc cóż ja tam będę robiła?

— Ooo, tobie trzeba wszystko jakby łopata w głowę; no, żeby mnie przyjęli do siebie na trzeciego... Przyjdź, przyjdź, kobieta z kobietą, jakoś lepiej potraficie...

Nie czekał nawet odpowiedzi, ale bez czapki wpadł do mieszkania sąsiadów.

— Jak mi Bóg miły—mówi od razu, zbliżając się do obydwóch panów, rachujących coś przy biurku — ja do was na trzeciego!... Co mam, daję pieniędzy, bierzcie, róbcie co chcecie!...—kończy, kładąc ów pakiet przed nimi na stole.

Paternacki i Kazio spojrzeli na siebie i na szlachcica, a pan Stanisław usiłował lekkim wstrząśnię-

niem głowy dać znak szwagrowi, że nie. Ale pan Mikołaj widocznie poznał się na tem, bo dalej w prośby:

— Jak mi Bóg miły, co tam panie dobrodzieju kiwania. Niech też i biedny szlachcic przy was się pożywi... Powiedział mi Fridler wszystko... ja się zgadzam, jak chcecie...

— Bo to widzi pan dobrodziej! — odzywa się Kazio.

— No, no, nie trzeba być takim dyplomatą—przerywa pan Mikołaj, zacierając ręce. — Ja tu nic nie chcę widzieć, tylko tak jak wy... Po szlachecku, panie dobrodzieju, ręka rękę...

W tej chwili z drugiego pokoju weszła pani Wanda i dała znak Kaziowi. Ten zbliżył się do niej, szepnęła mu coś, a szlachcic w prośby:

— Pani dobrodziejko, za mną słóweczko...

— Właśnie ja w tym celu. Stanisławie—dodaje, spoglądając na męża i kiwając mu prosząco głową — zgódź się... no, co tam...

Pan Mikołaj z rozkosznie ożywioną twarzą przyskoczył, jak kot do pani, i dwa razy głośno pocałował ją w rękę.

— Bodajto nasze kobiety, panie dobrodzieju, one zawsze mają dobre serce!

— Skoro tak— odzywa się jeszcze niechętnie pan Stanisław — niech będzie spółka we trzech. Tylko ja pana ostrzegam, że w handlu każdym, jak w karty grał.

— Co do tego interesu—przerywa Kazio—nie ma obawy...

— Ja na wszystko rachuję...

— Jak będzie, to będzie, panie dobrodzieju, zawsze ja z wami.

— Ceny nie spadną—mówi dalej Kazio—w Ameryce nieurodzaj.

— I panie dobrodzieju—dodaje Okoniewski z rezonem—wojna pewna, jak amen w pacierzu. Żydzi proszę panów najlepszy mają nos, a oni coś wietrzą. Taki Fridler, niby sobie prosty faktor, ale on dużo wie. A i ten Bismark panie, spokojnie nie posiedzi.

■— Najbardziej jednak to mię cieszy, iż tym żydom kupcom pokazaliśmy figę—odzywa się Kazimierz, zapalając papierosa. — Już tak osaczyli tego pana Ja skulę, już go tak oplątali i trzymali w szachu, że byli pewni, iż go mają... Aż tu naraz ja przychodzę tam, rekomenduję się i powiadam mu: Pan dobrodziej niech się nie droży, co dają żydzi, ja dam, i nie będziesz pan miał szykan i ceremonii, ale z uczciwymi ludźmi do czynienia, z obywatelami.

- — Był i Fridler z panem?

— Nie.

— A to hultaj, on mi powiedział, że faktorował, i że to z jego stręczenia, że się spodziewa...

— On jest faktorem Jaskuły, który, prawdę panom powiem, jakoś mi niedołąźnie wygląda, alę za to przy nim jest rządca, sprytna sztuka. Dosyć, że zgodziliśmy się w dwóch słowach; żąda połowę pieniędzy zaraz, a drugą za miesiąc. Napisaliśmy tymczasowo termina- tkę i rzecz skończona. Wychodzę z hotelu, a u moich żydów, którzy już myszkowali i w korytarzach, i w sieni, takie nosy!

— To, to, to—dogaduje uradowany Okoniewski— tym faktorom dokuczyć, tym wysysającym krew szlachecką, jak mi Bóg miły.

— Szwagier mój wahał się z początku.

— Ja, przyznam ci się, i teraz nie jestem bardzo za tem. To nie nasza rzecz handel...

— Otóż to panie wszyscy tak u nas mówią i dla tego żydzi nami przewodzą—wtrąca Okoniewski.

— Ma się rozumieć—prawi Kazio.—Dokądże to będziemy na ich lasce i pasku, jak dzieci! Przyznam ci się Stasiu, że wstyd jest tak myśleć o sobie. Cóż to inne mamy głowy, niż oni?...

— Ale ich przebiegi!...

— Przebiegi na przebiegi! Nie bój się, ja znam to wszystko i zobaczysz, jak ich wyzyskamy... Naturalnie, że bez pomocy ich tu się nie obejdzie, ale nam to posłuży dla dalszego doświadczenia... Niema innej rady, trzeba się od nich uczyć, wszystko zgłębić i wyzyskać. Święci garnków nie lepią!

— Tylko panie Kazimierzu dobrodzieju, z tym kontraktem trzeba ostrożnie—mówi Okoniewski—bo to nasza szlachta bardzo jest uczciwa, grzeczna, ale... uważacie, lepiej się opisać... Przyjaźń przyjaźnią tego, interes interesem...

— Właśnie układamy punkta, bo dziś wieczorem mamy podpisać umowę — rzecz Stanisław, biorąc papier z biurka—i skoro pan dobrodziej do nas przystępuje, pójdziemy we trzech.

— Ej, ja się tam spuszcę na panów.

— A nie, pan także podpisze...

Okoniewski przystał, i zaczęto układać warunki kupna, terminu wydawania zboża, miarę, oczyszczenie i t. p. Czynność ta zajęła im parę godzin czasu, a uwagi nowego spółnika, mającego pewną praktykę w tych sprawach przyjmowano z uznaniem, co wielce cieszyło szlachcica. 9

— Zobaczycie, że ja wam się przydam, moi panowie—mówił uradowany ze swoich konceptów.—Czasem taki szlachciura nie pozorny więcej wie, niż sam żyd... Potrzeba, wiele nauczy, panie dobrodzieju.

— Ja przyznaję się—rzecze Stanisław—że na tutejszych stosunkach mało się rozumiem. U nas inaczej się handel odbywał; zresztą po większej części takimi sprawami zajmował się mój rządca...

— Manipulacyi na miejscu—dodaje Kazio—tego czyszczenia, odstawy, mierzenia, ja tak samo nie wiele znam, ale za to podejmuję się sprzedaży i szukania kupca...

— Więc doskonale rozdzielimy się robotą — konkluduje pan Mikołaj.—Tych rzeczy przy odbiorze dopilnuję... możecie się na mnie spuścić.

Zawarcie samego kontraktu i wyliczenie pieniędzy odbyło się w mieszkaniu pana Jaskuły bardzo gładko i przyzwoicie, przy lampeczce wina, z tysiącem wzajemnych przyrzeczeń, komplementów i serdecznych uściskam Wprawdzie punkta ułożone przez współników nie utrzymały się w całości i porobiono niektóre zmiany na żądanie rządcy Jaskuły, ale co słusznie, to słusznie. Naprzykład, sprzedający nie mógł się podjąć odstawy zboża do miasta, ani też dania swoich worków, bo sprzężaj ma niewielki, zgodził się jednak potracić z ceny te koszta.

— Tylko czy za te pieniądze dostanie furmanek we wsi?

— Ile pan chce!—odpowiada, machając dłonią faktor.—Chłopi są tak łakomi na zarobek, że tylko zapowiedzieć we wsi, a zjedzie się ich trzy razy tyle co potrzeba...

- No, ale cena?
- Jeszcze taniej dostanie...

P - — I co do tego czyszczenia i wagi na miejscu — podnosi rządcą—to wiecie panowie, że chcielibyśmy uniknąć wszelkich kwestyi i sporów.

- Naturalnie—dodaje sam sprzedający—przecież mamy do czynienia nie z żydami. Wspólnicy jeden po drugim uścisnęli mu rękę.

— Więc najlepiej, jeżeli panowie przyślą kogoś od siebie do Poręby, niechby pilnował...

Stanisław spojrzął na Kazia, lecz ten powiada:

- Ja nie mogę, wiesz przecie...

— I ja bardzo nie mogę—odzywa się Stanisław— gdzie tu żonę w mieście zostawić samą z dziećmi; ona tak się boi, żeby po całych nocach nie spała.

— Ja mogę jechać—rzecze pan Mikołaj — co mi to szkodzi. Moja stara już niczego się nie boi.

Poczęto żartować na ten temat i kwestya została ubitą. Potem termina oddania, termina zapłaty, potem nasze obywatelskie zdrowie, potem kochajmy się, nie dajmy się, uściskajmy się i rzecz skończona. A musiała to być ochota nie mała przy tem wszystkim, jeżeli hultaj Fridler, żyd przecie, a pił z panami na pohybel faktorów współwyznawców. Prawda i to, że on mało co jest żydem, przesiadując bowiem ciągle po dworach obywatelskich, zajada trefne obiady i czysto mówi po polsku, zatracając nawet z mazurska. Wieczór tego dnia spółnikom przeszedł w domu bardzo przyjemnie. Pan Mikołaj ciągle coś rachował, a nawet położywszy się do łóżka, zawołał na córkę:

- Maryniu słuchajno, a masz tam gdzie ołówek?
- < Mam.

A. Wilczyński.—Tom XX. < ~

- Proszę cię, poi achujno mi, ile to wypadnie dwa tysiące podzielone przez trzy—
- Sześćset sześćdziesiąt sześć i dwie trzecie—odpowiada po chwili.
- Hm—pomruknął, a może w kwadrans potem znowu zapytał:
- Masz jeszcze ołówek pod ręką, Maryniu?
- Mam.
- To ile będzie cztery razy ta suma wzięta?
- Dwa tysiące sześćset sześćdziesiąt sześć i dwie trzecie.
- Dobrze. A jaki to wypadnie procent od sześciu tysięcy reńskich?
- Nie rozumiem, proszę taty...
- Dałbyś jej pokój—wtrąca matka—dziewczynie spać się chce, a ty ją męczysz

głupstwami.

■— Co to jest głupstwami! — odpowiada, rzucając się niecierpliwie. — To nie głupstwo, a rachunek każdemu człowiekowi potrzebny... Czy to mało mnie kosztowała jej edukacja przez trzy lata, niechże też mam z niej użytek. Otóż wyrachuj, że jak dam sześć tysięcy kapitału, a mam z niego dwa tysiące sześćset sześćdziesiąt sześć i te tam trzecie na rok, to jaki to będzie procent od sta? sześć, ośm czy inaczej?

— Co ty rachujesz naprzód! — znowu przerywa żona.

— No, co? Cztery razy kupi się na rok zboża za te same pieniądze...

— Blizko czterdzieści od sta — mówi córka. — Ułamków nie rachuję...

<— No widzisz matko, jak to te szelmy faktory i handlarze zarabiają! I żyć tu szlachcicowi na wsi

i orać, i siać. A bodajże cię, bodaj... Ile to lat trzeba zbierać z dzierzawy, aby to mieć... Ot głupi my szlachta, że się nie bierzemy do handlu.

Mruczał jeszcze dość długo, nim zasnął, a nazajutrz wstał taki rzeźki i zdrowy, jak dawno nie pamiętał.

Korzystając z tego usposobienia męża, przy kawie występuje pani Mikołajowa:

— Ot, udało ci się szczęśliwie, to mógłbyś też chłopcu sprawić jakie futerko na zimę... Marznie biedak...

— Tak, tak, zaraz futerko... młody chłopak niech się hartuje, Kiedy ja byłem w jego latach, mości dobrodzieju, to w burce na mróz trzaskający...

■Js — On taki delikatny...

— Prędeż oto Maryni jaki płaszczyk watowy.

— Co jej tam po płaszczyku, siedzi w domu, a jak chce wyjść, to może wziąć moją salopę...

Dziewczyna i Tazio tylko się uśmiechnęli, spojrzawszy na siebie.

— A ładnieby wyglądała w salopie mamy...

— Ho, cóż brzydkiego? Moja salopa jeszcze bardzo dobra, obszerna, ciepła...

— Dobrze, tylko na takie dwie, jak Marynia; wyglądałaby w niej, jak straszdyło na wróble—rzecze pan Tadeusz.—Kto dziś chodzi w takich salopach? Żebra- czki stare, albo dewotki...

I ojciec, i matka byli taką mową obrażeni, a stary wystąpił z morałami, że grosz jest ciężki, że kurczęta nie powinny być od kur mądrzejsze, że nie ubiór człowieka, ale człowiek ubiór zdoła i t. p.

Jednakże w południe, przed samym obiadem, zja

wił się żydek w mieszkaniu państwa Okoniewskich, niosąc kilka futer na rękę.

— Tadeuszu! — zawoła stary na syna, który był w swoim pokoju—a pójźno tu!... Przymierz to—mówi dalej z powagą senatora, gdy syn się pokazał w progu.

— Co?... ja mam barany przymierzać? — ofuknie, widząc jak żyd rozwija obszerny tołub, podbity[^] czarne-, mi, o długim włosie baranami.

— Lekkie mówię ci, jak piórko!

— Dziękuję tacie za takie futro! Stróżowi z kamienicy nie śmiałybym podobnego proponować...

— Ale słuchajno Tadeuszu...

Lecz syn tak się uczuł obrażonym, że ani patrząc na owe futro, wyszedł z pokoju.

— Mikołaju — wtrąca pani — gdzież można dla młodego chłopca do miasta coś podobnego kupować?

— Ale bo widzisz matko — rzecze na to, śmiejąc się stary—ja te barany chce dla siebie, a jemu dam swoje szopy... Zawołajno go niech przymierzy, zobaczę na nim, jak to będzie.

— I twoje szopy nie dla. niego...

— Otóż macie! Moje szopy nie dla niego!... To cóż? może mu sobole? Ja człowiek stary, i przecież coś więcej znaczę, niż taki młokos, a mogę chodzić w szopach!... Eche, moja pani, takeście spysznieli...

Przyszedł wezwany przez matkę Tadeusz i jak się dowiedział, że ma dostać płaszcz szopowy po ojcu, roześmiał się prosto w oczy.

— Ja miałbym chodzić w tej staroświeckiej delii, w szopach, które zburzały jak stare psy...

— To idź asan do domu!—rzecze pan Mikołaj do

żyda. Potem siadł do obiadu, zasapał się i nic nie mówiąc do nikogo, jadł za dwóch.

Jednak po południu znowu się zjawiał ten sam żyd z futrami ale przyniósł już algierki w mieście używane. Tadeusz dał się namówić do przymierzenia i po długich targach, oglądaniu, rozpruwaniu futra, kupił ojciec piżmowce. Matka trąciła syna, żeby starego pocałował w rękę, a Marynia wystąpiła z projektem, że powinien tatko i dla siebie zamienić szopy na inne, porządniejsze futro. Pan Mikołaj się wyprzysięgał, że nie potrzebuje, że dla niego takie szopy dobre, lecz gdy przyłączyła się matka i Tadeusz do tej prośby, dał się namówić i zrobił facyendę z żydem. Naturalnie, sprawiwszy sobie i synowi, wypadło coś kupić dla Maryni; poszedł więc tajemniczo do miasta i kupił dwa płaszczyki zimowe dla żony i córki. Nastąpił jednak lament, że brzydkie, or- dynaryjne, nie modne, a gdy jeszcze do tego krzyku przyłączyła się i pani Wanda, więc odnosić do sklepu, brać inne, dopłacać z wielkiem krzywieniem się szlachcica; który ani myślał tyle wydawać, jak to się teraz pokazało.

Za ubraniami poszły inne konieczne potrzeby dla domu, a że właśnie tego dnia listy zastawne poszły o 50 centów w górę, więc usłużny wekslarz przyniósł gotówkę za tysiąc reńskich i szlachcic był kontent, że jednocześnie na zmianie listów coś dwadzieścia reńskich zarobił...

Pani Okoniewska nie mogła się nadziękować łaskawym sąsiadom, że pod ich wpływem mąż nabrał takiego humoru, jakiego już dawno nie miał. Nie zrzędził w domu, nie grymasił i nie narzekał na wielkie wydatki, ale przeciwnie żartował sobie z kobiet, czasem

przyśpiewywał, a raz nawet w niedzielę przyniósł spory pakiet ciast z cukierni.

I w sąsiednim lokalu Paternackich wszystko inaczej poszło. Kazio, jako osoba kompetentna, pokupował książki do prowadzenia przyszłej rachunkowości spółki, pan Stanisław, dotąd ziewający i znudzony, odżył. Dwa dzieła, traktujące o buchalteryi sprowadziwszy sobie z księgarni, z największą uwagą słuchał wykładu młodego szwagra o różnicy pojedynczej rachunkowości od podwójnej... W trzy dni już doskonale rozumiał, co się ma zapisać w memoryale, co w dzienniku, a co w wielkiej księdze; porubrykował księgę magazynową, założył kasową i wpisał w nią, co jest winna towarom, a co ma u pana Jaskuły w Porębie.

— Wiesz Wandusiu — odzywa się do żony, która przyszła poprosić go na śniadanie — nigdy nie przypuszczałem, że to jest tak łatwo prowadzić rachunkowość kupiecką... Jak ciebie kocham, doskonale rozumiem wszystko...

— Bo też pracujesz tak wiele, Stasieczku—mówi z rozrzewnieniem, siadając obok niego i rozcierając na czole poplątane bujne jego włosy—odpocznij trochę, nie tak gorąco Stasieczku...

— A, moje życie bez pracy nic się samo nie zrobi. Wierz mi, ja nie żałuję trudu, jak widzę rezultaty...

— Więc gotów jesteś poświęcić się handlowi?

— Gdyby szło dobrze, to i owszem... Przyznam ci się, zajęcie takie jest bardzo przyjemne. Ja nie lubię długo czekać na rezultaty pracy, jak na przykład na wsi gdzie wszystko rozłożone na lata i od przypadku zawisło. Tu przeciwnie: kupił, sprzedał — mam zysk czy stratę i rzecz skończona.

— Wiesz, bardzo mię cieszy, że tak myślisz, bo przyznam ci się żadnej a żadnej nie mam ochoty znowu zakopywać się na wsi i wydawać na obiad dla Maćków i Józków, borykać się z dziewczkami, pilnować kucharza, żeby się nie upił. A tu mi tak dobrze, cicho... Bałam się tylko, czy ty, szlachcic i obywatel, będziesz chciał zrezygnować!..

— Z najczystsze sumieniem. Wierz mi Wandziu, ja sobie żartuję z tych naszych klejnotów dawnych... Praca jest dzisiaj obowiązkiem każdego, a ucziwa praca nikogo nie poniża...

— No, a matka twoja jak się dowie...

— Cóż mi matka? kocham ją, szanuję, ale trudno żeby nie robił tego, co uważam dla siebie za właściwe... Powiem ci nawet, że radbym służyć zaprzykład innym i pokazać, że nietylko żydzi, ale i my mamy rozum.

I jakby na potwierdzenie tych przekonań urządzili z Kazimierzem z pierwszego pokoju bardzo przyzwoity kantor handlowy, porozwieszali tablice tekturowe, pod które miały się zaczepiać na gwoździach frachty, awiza, telegramy i t. p. Kazali przy tem zrobić eleganckie stampille i pieczętki, szafkę z przedziałkami na listy podług alfabetu, a że potrzeba było wciąż mieć do czynienia z większemi sumami pieniędzy, zatem po wspólnej naradzie sprowadzono małą kasę ogniotrwałą i ustawiono pompatycznie obok biurka...

Lecz ze wszystkich współników najszcześliwszym może był pan Kazimierz. Marynia, czy wskutek skłonności serca, czy też przez wdzięczność, że ojca przypuszczono do tak korzystnej współki, witała zawsze młodego inicjatora tak milutkim uśmiechem, że pod jego

wrażeniem formalnie się rozplęwał. Z natury już wesoły i żywy, teraz stał się niezwykle przyjemnym w jej towarzystwie. Dowcip poprostu raketami strzelał z ust jego, a gdy jeszcze nowy przyjaciel Tadzio, jako domowy, zaczął mu nieco swobodniej pomagać, perłowe ząbki Maryni prawie nigdy nie chowały się za malinowe usteczka, a stara Okoniewska ze śmiechu trzęsła się jak galareta w fotelu.

"Wieczory te, które wówczas przepędzali razem, te długie jesienne pogawędki, miały dla niego niewysłowiony urok, więc dziwić się nie można, jeżeli za to ranne godziny w biurze wydawały się bez końca. O ile mógł, korzystał z każdej sposobności wyjścia na miasto, a wtedy, żeby w którąkolwiek stronę powoływał go interes, musiał parę razy przedelfilować przed oknami swej ukochanej i poty się kręcił, póki nie zobaczył jasnej twarzyczki Maryni za szybą, póki jej się nie uklonił i nie poczerwieniał, jak student złapany na czytaniu lekcji z książki ustawionej za plecami kolegi. Do innych kobiet śmiały, czasami nawet zanadto, wobec Maryni nie miał odwagi jednego słówka takiego wymówić, przez które mogłaby się ona domysleć jego uczuć. Panienska rada mu była, gdy przyszedł, śmiała się, gdy dowcipkował, rumieniała, gdy wypadkiem dotknął jej ręki, lecz o tyle była prostoduszną czy naiwną, że w jego postępowaniu widziała tylko zwykłą towarzyską uprzejmość.

Z innych osób pani Wanda rozumiała wybornie intencje brata, ale w duszy ich nie aprobowała. Podług niej Kazio wart był lepszej żony, niż poczciwa sobie, ale zawsze wiejska gąska Marynia. Tadzio także widział, że pan Kazimierz ma się ku jego siostrze, jak się

wyrażał, lecz tyle miał swoich interesów na głowie, że ta rzecz wcale go nie obchodziła. Matka uważała znowu to wszystko za dzieciństwo; Marynia dla niej była jeszcze podlotkiem, więc cieszyło ją, że ma przyjemną rozrywkę w domu, a ona nie potrzebuje robić nowych znajomości. Jeden tylko pan Mikołaj widocznie rzeczy te brał więcej na seryo, bo tak sobie cichaczem, zdaleka, próbował wywiadywać się o sytuacji i widokach na przyszłość pana Kazimierza. Powoli badał pana Stanisława, dowiadywał się w kantorze domu handlowego, jaką pobiera płacę, i musimy przyznać, że rezultat tych poszukiwań, nfe bardzo go usposobił do popierania zamysłali młodego kawalera. Najprzód dowiedział się, że nie pochodził z czystej krwi szlacheckiej, albowiem ojciec jego i pani Wandy był aptekarzem w małym miasteczku, w Królestwie. Hm—myślał sobie—dlatego to on ma ten spryt wrodzony do wagi i miary... Dalej, że jeszcze będąc w szkole handlowej w Gratzu, przepuła parę tysięcy rubli, które otrzymał w spadku po matce, wreszcie w banku czy domu komisowym, gdzie pracował, płacili mu tylko czterdzieści reńskich na miesiąc...

Skutkiem takich odkryć i używania przez młodego eleganta perfumy jmczulowej, od której zawsze szlachcicowi kręciło coś w nosie, Kazio stracił wiele z tej adoracji, jaką Okoniewski miał dla niego z początku.

— Słuchajno matko—mówił raz do żony—niechno on mi się tak nie kręci koło Maryni. To panie dobrodzieju nie dla niej partya...

— Dzieci, dajże pokój, bawia się...

— Piękne mi dziecko! Chłop dwadzieścia siedm lat, wąż jak u huzara, a czterdzieści reńskich dochodu

na miesiąc... Uważasz matko, nasza Marynia trochę więcej warta. Przecie i coś będzie miała i tego...

— No, to i on coś musi mieć...

— Acha, będzie miał panie dobrodzieju—odrzekł % szlachcic z fantazyą—chyba trochę pudełek na pigułki,

bo słyszę swoje po matce już przepucował w szkołach, a rodzeństwa mieli dużo...

— Pleciesz... a jakżeby do spółki z wami należał?

— Otóż to moja dobrodziejko łaskawa—mówi ciszej — sprawa ta wydaje mi się trochę tego... nie — dokończył, poruszając głową i krzywiąc wyraźnie nosem.— Ja daję pieniądze, no i pracę, bo widzisz^ama, że oto chodzę wciąż za tem płótnem na worki; tamten także daje pieniądze i coś tam niby skrybie w rachunkach, a elegant panie dobrodzieju papierosy pali i robi fetor dziegiem, a do trzeciej części także.

— No, ale ty przecie dałeś tylko trzecią część kapitału, prawda? Więc cóż cię obchodzi, że go szwagier do swego działu przypuszcza.

— Prawda, ale zawsze to jakoś panie dobrodzieju nie tak... Ja daję trzecią część i pracę, on nic nie daje, a jednakowo idziemy...

— Dziękuj Bogu stary, że cię przyjęli — ofuknie żona—i siedź cicho.

Umilkł pokonany, lecz nie przekonany, i od tej chwili zaczął się czuć w tgj spółce niejako pokrzywdzonym, a z tego znowu konsekwencya, że skoro go mogli raz tak wykierować, więc trzeba panie dobrodzieju być ostrożnym i pilnować rzeczy, bo to różnie bywa na świecie.^ Bóg wie, co to za ludzie...

Naturalnie, że z temi myślami nie wydał się przed nikim, jednak tego spółnika bez pieniędzy, począł dale-

W '' ..

ko lżej traktować, odzywał się do niego: „a słuchaj no ty panie Kazimierzu” i pilnie obserwował zachowanie się jego w interesie... Hm, ubiera się, jak pierwszy dandy, cukierkami szafuje, niby sam cukiernik, a to panie za czterdzieści reńskich na miesiąc... to coś w tem l6st#«t«

IY.

Mimo wejścia w interes zbożowy z Paternackim i spółką, mimo że legawiec Romans nie oduczył się napastować go w uprzykrzony sposób, Fridler przychodził tak samo z cennikiem giełdowym do pana Mikołaja. Czy z powodu, że temu zacnemu izraelicie spółka nie powierzyła czynności zamiany monet, czy też z innej przyczyny, dość, że zachowując wciąż dla pana Okoniewskiego tę samą uniżoną życzliwość, wyjaśniał mu wiele drobnostek, odnoszących się do handlu zbożowego, jak to inni kupcy w tem a w tem robią, ile płacą za ekspedycją na kolei, po czemu kupują worki i t. p. Przy tem było tam jeszcze coś tajemniczego między nimi, bo często bardzo, żeby pani nie słuchała ich rozmowy, wynosili się na dziedziniec i tam radzili we dwóch, a czasami przyłączał się do nich gruby właściciel domu, także pewnego rodzaju kupiec, trzymał bowiem piwiarnię, sklepik z tytoniein i wiktuałami.

Naturalnie, że w dalszym ciągu tych narad, pan Mikołaj znowu parę razy, ale już nie tak ostentacyjnie, zajrzał do wielkiego kufra, a mianowicie owej paczki

obwiniętej ręcznikiem i dość długo porządkował. Jejmość, która znała męża swojego, jak zły szeląg, miarkowała, że coś się robi, bo znowu skala humoru jego zaczęła upadać, w nocy wzdychał i kazał Maryni różne cyfry dodawać, mnożyć, dzielić i t. p.

Aż tu jednego dnia zdziwienie tej poczciwej kobiety nie miało granic, gdy około południa pokazali się tragarze żydowscy, niosąc nowy garnitur mebli.

— To nie do nas!—mówi do jednego z nich, który się przyszedł zapytać, gdzie mają zestawić.

— Ale tu, kazał nam zanieść sam pan.

— To nie mój mąż, jabym wiedziała... •»

— Jakto nie mąż, ja jego znam, taki stary, siwy, z oczyma, co jemu się śmieją.

Wnieśli, a tymczasem zjawił się cały rozpromieniony i sam fundator... Żona zarzuca go pytaniami, a on tylko się śmieje i dyryguje, gdzie się ma co postawić.

— Mikołaju, co ci się stało?... Szkoda pieniędzy...

— No, no, nie pytaj, co się stało... Ja wiem panie dobrodzieju swoje... Dlaczego ja mam mieć stare graty, a tamci aksamity — dodaje, wskazując głową na sąsiednie mieszkanie... Nie bój się, ja z gotówki jednego centa nie ruszyłem i jeszcze jak się nazywa, coś tu zostało...

— Bardzo się cieszę, mój drogi—rzecze uradowana pani — tylko szkoda, żeś kupował bezemnie, bo trze- baby i naszemu Tadziskowi jaki szeslong... ten co ma, taki zrujnowany...

— Zobaczymy... nie naraz Kraków... Widzisz moja matko, nie tylko oni mają głowę do interesów, twój sta

ry taki to niby do niczego szlachcic, a jakoś da sobie radę...

I znowu był dobry humor parę dni, była pierwszy raz także łoża do teatru i jasne rękawiczki dla Maryni.

Tymczasem nadchodził czas odbioru pierwszej partii zboża z Poręby. Fridler przyniósł nowe próbki i wołał na gwałt o worki, bo na wsi mają spichrz mały, a sypać niema gdzie. Kazio z Fridlerem proponowali nabyć starych, które ma pewien kupiec do sprzedania po takiej a takiej cenie.

— Zobaczymy — odpowiada szlachcic z powagą dyrektora — ja także myszkuję od kilku dni i wiem, co gdzie jest... Pójdziemy po południu.

— Jakto wszyscy?—przerywa Stanisław.

— Dlaczego nie?... jest przysłowie nasze, panie dobrodzieju: czego nie dopatrzysz okiem, to dołożysz workiem.

— Sądzę, że Kazio i Fridler mogą się znać na tem...

■— Tu, panie dobrodzieju, na workach i ja się może trochę lepiej znam...

— Więc niech pan idzie, obejrzy i kupi — wtrąca Kazio—bo to rzecz pilna.

Poszedł tedy pan Mikołaj, wdrapał się na strych, gdzie go zaprowadzono i zaraz na wstępie nabił sobie guza o belkę... Nie zważając na kurz i zaduch, jakie tam panowały, przełożył własną ręką kilkaset worków, pokazał sprzedającemu wszystkie dziury i wady, poodrzucał mnóstwo niezdatnych, a gdy przyszło do zgody, zaciął się o półtora reńskiego, nawymyślał żydowi, drugi raz palnął się o też samą belkę, zniszczył nowy kapelusz i—nie kupił.

— Ech — panie dobrodzieju — rzecze, wróciwszy z tej komisji—gałgaóstwo, szmaty, jakto można polegać na opinii żyda... Tylko, aby okpić, i żebym był nie poszedł...

— Bardzo dobrze—przerywa Stanisław—jednakże trzeba jakiebądź kupić.

— Co tu długo debatować — rzecze na to—wziąć płótna ze sklepu, kazać uszyć i będą droższe worki, ale mocne i swoje...

— Szkoda nowych—wtrąca Kazimierz—pójdą za granicę, tam pozmieniają, zniszczą. W naszym banku tyle razy to się przytrafiło...

— I na to jest sposób, kupi się taką blachę, każe się wyciąć nazwisko, i naznaczą każdy worek.—Zje licha wtedy, czy mi kto ukradnie znaczony... tak robiłem na wsi.

Uśmiechnął się Kazio, lecz nie chciał się sprzeczać z ojcem Maryni, który widocznie uparł się do nowych worków, więc przyjęto taki projekt i pan Mikołaj z przyjacielem wekslarzem, z którego insynuacji cała rzecz wyszła, udali się do sklepów szukać owego płótna.

Szlachcic nie żałował swej fatygi, zrewidował w kilku miejscach kilkaset sztuk grubego płótna, pona- znał te, które kupił, i oddano worki do szycia.

—■ A słuchajno matko—nie mogłaby nasza Wikta u szyć trochę worków, hę? Ma kto inny brać po trzy centy, niechbyś ty wzięła... każdy grosz coś znaczy... Nie ma co robić wieczorami, a tyle nas kosztuje...

Pan Mikołaj, jak się pokazuje, nie gardził najmniejszym zarobkiem, bo nietylko Wikta, ale cichaczem i obie panie wzięły się do szycia.

Nareszcie zbudowano po tygodniu owych dwieście miechów dowolnej objętości, bo chodziło o to, żeby nie marnować odpadków ze sztuki płótna—potem sam pan wziął się do ich znaczenia. Trzeba przyznać, że pracował jak wół, pędzując sadzami po blaszanym patronie, cieszył się niezmiernie gdy wyczytał na pierwszym worku: „M. Okoniewski i Spółka,” takie bowiem nazwisko kazał wyciąć na blasze.

Doniesiono z Poręby, że zboże zaczyna się czyścić, więc wypadałoby pojechać do odbioru na miejsce. Pan Mikołaj, jakkolwiek sam ofiarował się kiedyś do tej czynności, teraz oburzył się niepomału.

— Cóż u dyabła — pomyślał — wszędzie tylko ja i ja. — Lecz, że jakoś nie śmiało wystąpić z tem jawnie, więc zapakowawszy owe worki, wyjechał do Poręby. Sam zgodził furmankę bardzo tanio, a skutkiem tego ujechawszy milę, zbiedzone koniska ustały. Radząc sobie jak można, większą część worków oddał znajomemu żydowi, który także jechał w tę stronę, z prośbą o odstawienie do Poręby, a sam biedując i wymyślając, na czem świat stoi, już późno w nocy, dotarł do miejsca.

Upłynął tydzień, przymrozki już zaczęły ściągać jesienne błoto i drogi się poprawiły, a o szanownym współniku z Poręby ani słycho. Zniecierpliwiony Stanisław codzień wychodzi wieczorem na spacer za rogatkę, czy czasem nie spotka fur jadących z pszenicą, ale gościniec aż roi się od wozów ze zbożem, a ich pszenicy niema. Tu co targ ceny idą w górę, kupcy się kręcą i nagabują pana Kazimierza, a tu nic.

Pisze tedy Stanisław i wysyła umyślnego z listem: na miłość Bożką, przysyłajcie!... Posłaniec wrócił trzeciego dnia dopiero, bo pana Mikołaja nie było w Porę-

dowi i spodziewa się w przyszłym tygodniu uzyskać termin. O zbożu zaś kiedy będzie gotowe—ani słowa.— „Otóż widzi łaskawy sąsiad dobrodziej — pisze na końcu —co ja się tu naponiewieram i znoszę dla wspólnego interesu, a wy sobie tam siedzicie w mieście spokojnie i wygodnie. Szczęściem, żeście trafili na człowieka sumiennego, który potrafi sobie dać radę w każdym wypadku i który nie dopuści najmniejszej szkody.”

Prócz tak obszernej i wyczerpującej relacji, było jeszcze po wszystkich marginesach kilka dopisków, że obywatel Jaskuła jest bardzo uczciwy, gościnny człowiek, ale nie gospodarz, że wszyscy tu mówią o wojnie na wiosnę, a zatem żeby pszenicy tanio nie sprzedawać; dalej, że wartoby kupić parę tysięcy korcy owsa i że on już za nim myszkuje, a wreszcie, żeby powiedzieć wek- slarzowi tylko te słowa: „anglóbanks nicht,” a on już będzie wiedział, co to znaczy... „Próbek, które posyłam, proszę nie marnować i oddać mojej żonie, a ona niech kupi parę kur i pasie..”

Przeczytawszy to Stanisław, ze złości, miał list i rzucił na podłogę.

— A niechże jego dyabli wezmą!—zawoła, chwytając się za głowę—siedzi tam blisko dwa tygodnie, reperuje młocarnie i zamiast zboża przysyła mi próbki...

— Daj pokój —rzecze pani Wanda—jemu się zdaje, że on robi jak najlepiej...

Przyszedł Kazio, naradzają się, ale że i on jakoś pobłaźliwie odzywa się o panu Mikołaju, postanowiono uzbroić się w cierpliwość i czekać. Hultaj chłopak miał także w tem swój osobisty interes. Nieobecność starego pozwalała mu daleko częściej zaglądać do mieszkania pani Okoniewskiej, częściej może, niżby to wy

padało. A i tam jakoś nie bardzo wyrzekano na nieobecność pana Mikołaja. Nie miał kto zrządzić i gadać, nikt ich nie nudził i nie kontrolował, więc schodziły dnie bardzo wesoło i przyjemnie. Marynia w oczach pana Kazimierza z każdą godziną stawała się piękniejszą i miłszą. Pozbywszy się dawniejszej nieśmiałości, teraz rozigrała się, jak małe kociątko. Tysiączne figle i psoty, coraz to miłsze i dowcipniejsze, przychodziły jej do głowy tak, że nieraz matka musiała na seryo użyć swej powagi, żeby ją trochę pohamować. Od rana do wieczora rozlegało się po tych ponurych komnatach nieustanne szczebiotanie naiwnego i żywego dziewczęcia, a gdy wieczorem przyszedł pan Kazimierz, co minutę można było obserwować wybuch serdecznie-wesołego śmiechu, który, zdawało się, jest odgłosem gdzieś w oddali poruszanego srebrnego dzwonka. Z ożywionej i delikatnym rumieńcem ubarwionej twarzyczki tryskała sama tylko pustota, a szafirowe, podobnie jak ojca trochę figlarne oczy, rzuciły z pod dużej rzęsy prawdziwie brylantowe iskry. Zakochany i zachwycony takim zjawiskiem pan Kazimierz, stał się poprostu jej niewolnikiem, a raczej lalką, z którą wyrabiała niestworzone rzeczy. Ubierała go w czepek na głowę, kazała stroić różne komiczne miny, trzymać na rękach nici do zwijania, szukać kłębka, a matka śmiejąc się z tych figlów, pytała nieraz:

— Moja Maryniu, czyś ty sobie kupiła już pana Kazimierza?

j. — Tak jest mamusiu, kupiłam i musi robić, co ja chcę.

— Ależ dokuczasz zanadto...

— Umyślnie, żeby wiedział, co to my możemy. Panowie wszyscy są okrutnie zarozumiali i mają nas

zą co bądź, niech też ja jedna zemszczę się na nim za wszystkie.

Jesień była w tym roku prześliczna, wychodzono więc c odzien na przechadzkę, a często do teatru. Stara Okoniewska od kilku lat cierpi na nogi, wracając tedy późno, obie z panią Wandą idą pod rękę noga za nogą, a Tadzio, pozujący już na dorosłego kawalera, asystuje pani Pąternackiej, bo między kolegami daje mu to pewną wyższość, że nadskakuje pięknej mężatce. Młodzi, jako więcej niecierpliwi, zwykle wysuwali się naprzód, przystawali lub wracali, gdy zanadto oddalili się od reszty towarzystwa.

— Niech pani weźmie mię pod rękę — proponuje raz Kazio, dotąd bowiem chodzili tylko obok siebie.

— A na co mi pańska ręka?

— Będzie pani wygodniej, tak ślisko...

— Ocho, ja doskonale potrafię sama chodzić, mogłabym jeszcze pana prowadzić. Pan myśli, że ja jestem taka niedołączna, jak tutejsze panie?...

Kazio nic nie rzekł, ale przykro mu się zrobiło.

— No jeżeli pan tak chce koniecznie—odzywa się, spostrzegłszy jego zadumę—to spróbujemy...

I wsunęła swoją rączkę pod jego ramię, lecz mimo to nie wróciła do poprzedniej wesołości. Szli, nie zgadzając się w takcie; panna nie miała wprawdy do takiego chodzenia.

— Niech się pan stosuje do mnie — rzecze po chwili. — Patrz pan, skaczemy, jak dwa wróble uwiązane na nitce...

— Mnie bardzo dobrze — odpowiada, wzdychając Kazio.—Jabym z panią tak szedł, szedł...

— Aż do księżycy — dorzuca wesoło, widząc jak

towarzysz jej zadarłszy nieco głowę, przesyła wzrok swój na księżyc.

— Jeszcze dalej...

— Na miłość Bozką, to chyba już do nieba...

Znowu milczenie, a gdy uszli kilka kroków, pyta ją drżącym głosem:

— A pani by tak szła?

— Bo ja wiem?...

Poczuwszy jednak pewne drżenie ręki sąsiada, zwraca się twarzą ku niemu, jakby chciała zobaczyć, czy się nie gniewa.

— No szłabym, kiedy pan tak chce...

— Ach panno Maryanno—zawoła żywiej, przyciskając jej rączkę do piersi—pani nie wiesz...^x Boże drogi, kiedy nie umiem powiedzieć tego, co chcę...

— Jak to można? — Ja zawsze wszystko powiem, co mam powiedzieć.

— Szczęśliwa pani, boja nie mogę...

— Ale przymuś się pan... no, bo jestem ciekawa!

— Ze... że... pani mi jest tak... tak droga... jak nic na świecie...

— I dlaczego, proszę pana? — zapytuje nieco pomieszonym głosem.

— Boja wiem? Jak panią widzę, jestem zupełnie inny człowiek i czuję tyle szczęścia w duszy, taką radość, tak coś rozkosznego, że niczego więcej, w życiu nie pragnę...

Ręka dziewczęcia coraz silniej zaczyna dygotać pod jego ramieniem, a on przełamawszy pierwsze lody, płynie już pełnemi żaglami na tym odwiecznym oceanie miłości.

— Niech pan tak nie mówi, mój drogi panie Ka-

zimierzu, ja. się boję... Ach Boże mój, mama tak daleko.

— Więc dla pani przykre mi są moje słowa?

— Doprawdy nie wiem, co mi jest, ale czuję, że mi nie dobrze. Po co pan to wszystko mówił?

— Maryniu najdroższa, słówko z twej strony, jedno, jedyne! Powiedz, czy możesz mnie kochać?

— Ach Boże! Co też pan chce odemnie... Pan przecie wie, że go lubię... ale po cóż to mówić?...

— Dzięki ci moja najpiękniejsza, moja najdroższa!—woła w uniesieniu, przyciskając jej rączkę do ust.

Trzeba nieszczęścia czy szczęścia, że historia ta miała miejsce blisko domu i że właśnie w tej chwili Tadzio, odłączywszy się od starszych kobiet, mijał ich, aby zadzwonić do bramy...

— Cóż tak czule? — pyta ze śmiechem i na tem zakończyło się to pierwsze ich wyznanie.

Całą noc jedną i drugą nie spała Marynia. Dostała bicia serca, matka parę razy musiała wstawać, przygotowując odwar waleryanu, który podług niej ma skutkować przy palpityacjach, a w końcu zdecydowała, aby z powodu takiej wrażliwości Marynia na przyszłość chodziła na same komedye... czule sceny dramatów widocznie jej szkodzą.

Kazio był w siódmym niebie i chociaż bez bicia serca, tak samo nie mógł zasnąć. Najbujniejsza fantazyja poety nie byłaby w stanie wysnuć tylu obietniczczęśliwości na przyszłość: ile ich młodzieniec przemarzył w ciągu tej nocy, widząc się już obok tej najukochańszej i najmilszej istoty. Tysiące projektów urządzenia przyszłego pożycia zmieniały się przed oczyma jego duszy. Roił, jakie- mi to otoczy Marynię wygodami, jak ją będzie ubóstwiał,

spełniając najdrobniejsze życzenia, odgadując jej myśli. To widział się bogatym naczelnikiem domu handlowego, człowiekiem dysponującym milionami, poważanym, czczone i podziwianym, a on to wszystko z prawdziwą rozkoszą serca składać będzie u stóp wdzięcznego i kochającego dziewczęcia...

Maryni przeciwnie zdawało się, że popełniła jakiś okropny grzech, coś tak niegodziwego, za co tylko wielki wstyd może ją czekać. Dlatego też, gdy pod jakimś pozorem, niby to w interesie do Tadzia, wpadł rano do ich mieszkania Kazio—nie mogła spojrzeć mu w oczy i czuła się jeszcze bardziej nieśmiałą, niż przy pierwszym poznaniu. Wogóle, musimy przyznać, że dawna jej pustota i dziecięca, naiwna wesołość — znikły od razu, jakby za dotknięciem czarodziejskiej laseczki. Z dziecka stała się tkliwą, serdeczną, ale poważną kobietą, dla której ten mało ceniony pan Kazimierz stał się uosobioną mądrością i ideałem wszystkiego. Gdy co mówił lub czytał, ona podparłszy główkę na rękę, wlepiła weń swe piękne szafirowe oczy i zaszuchana zdawała się tonąć gdzieś w przestrzeni bez końca, w chaosie nieokreślonych rozkoszy, nie mających nic wspólnego z warunkami codziennego życia.

- Maryniu!—o czym tak dumasz?—pytała nieraz matka, widząc podobne zamyślenie.
- Patrzysz i patrzysz na ten sufit, jakbyś chciała liczyć na nim muchy.
- Tak sobie mameczko... o niczem...
- Jakiż można myśleć o niczem?... Może jesteś chora? Może ci czego brak, powiedz!
- Bardzo mi dobrze moja mamusiu i zdrowiuteń-ka jestem jak ryba...

- Możeście się pogniewali z panem Kazimierzem?... bo tak jakoś stronicie od siebie?
- Nie, i owszem, pan Kazimierz jest bardzo dobry dla nas... Widzi mama, co mi naznosił książek da czytania.
- Może za wiele czytasz?
- Przeciwnie mamó, mnie się zdaje, że za mało... Jak słucham rozmowy panów o różnych naukach, tak wstydzę się bardzo, że ja nic o tych rzeczach nie wiem i z niczem odezwać się nie mogę... Prawda mamó, że ta moja Koziubińska nic nie umiała i niczego mnie nie nauczyła?
- Dostyc ci i tego...
- Aaa, moja mamó, to bardzo przykro tak mało umieć. Dlatego wzięłam się do nauki i muszę dojść wszystkiego... Pan Kazimierz to nawet więcej wie od Tadzia, a jak on potrafi każdą rzecz gładko wypowiedzieć i objaśnić... Kiedy go słucham, powiadam mamie, zdaje mi się, że oczy mi się otwierają na nowo i zaczynam inaczej na świat ten patrzeć.
- Jakoż, czy skutkiem nowego uczucia, czy wykładu Kazia, bohaterka nasza z całym zapalem duszy chciwej wiedzy wzięła się do pracy. Nieraz Kazimierz sam zwręał jej uwagę, że źle robi, czytając do późna w nocy.
- Proszę, nie odmawiaj mię pan od tego—mówiła z błagalnem spojrzeniem. — Mnie to tak zajmuje, ja chciałabym, żeby się nikt nie potrzebował wstydzić za moje nieuctwo...
- Zaręczam pani, nie znajdzie się taki... Dla mnie pani jesteś najwyższą doskonałością, jaka tylko istnieje pod słońcem,
- Bo pan jesteś za dobry dla mnie...

— Droga moja, ja myślę, jak tylko ojciec przyjedzie, prosić go otwarcie o twoją rękę... Skoczyła z krzesła, rumieniąc się po same białka.

— Nie rób tego, panie Kazimierzu! —zawołała, składając ręce, jakby do modlitwy. — Jaby umarła ze wstydu, gdyby się kto bądź dowiedział, że ja...

— Więc nigdy nie będę mógł przyznać się publicznie, że panią kocham nad życie...

— Jeszcze nie teraz... Niech będzie tak, jak było między nami. Mój drogi panie Kazimierzu, jeszcze nie... Potrzebuję się upamiętać... Ach, co mnie się zrobiło... Na coś mi pan powiedział... ja nie mogę poznać samej siebie... Czy panu tak źle jest teraz?... Ojciec zdaje mi się, nie bardzo lubi pana... możeby zakazał, a ja doprawdy nie wiem, co bym zrobiła... Nikt, nikt, nie powinien wiedzieć.

Y.

Upłynął znowu drugi tydzień, a od pana Mikołaja z Poręby—nic. Tym razem pan Stanisław wyprawił już faktora, żeby tam jakoś wpłynął na przyśpieszenie przesyłki, zbliżał się bowiem termin dalszej wypłaty panu Jaskule, więc dobrzeby coś odebrać z pszenicy. Fridler spotkał w drodze furmanki, wiozące zboże więc zabrawszy list pana Mikołaja, dowodził o niezwyklej sumienności sprzedającego. Ponieważ zaś w całej stokorcowej partyi niema ani dwóch worków o jednakowej wadze, więc ponumerowane są rubryką podług wykazu. „No, spodziewam się, że będziecie panowie z tej pszenicy kontenci — pisał dalej — i że waga się zgodzi, sam bowiem własną ręką pieczętowałem każdy worek...”

— A dziur tyle jest — przerywa, śmiejąc się Fridler—że chłopci rady sobie dać nie mogą.

— Jakto, przecież nowe worki?

— Cóż z tego, kiedy kilka dni stały nasypane w spichrzu i myszy pocięły.

Następnie pan Okoniewski, jakby to on był sprzedawcą, szeroko i długo rozpisuje się o przeszkodach,

które nie dozwoliły panu Jaskule pośpieszyć z młocką, bo jużciż przyznacie panowie sami, pisze, że pilniejsza jest orka pod owies na wiosnę, kiedy pogoda służy, albo też i włóczka zasianego żyta po kartoflach. Nie wiele to warte takie późne sianie, ale czasami bywa niezłe żyto, jak do roku."

Skończywszy sprawozdanie co do pszenicy, donosi dalej, że udało mu się przecie kupić pięćset korcy owsa z odstawą na wiosnę, od bardzo porządnego i uczciwego dzierżawcy po cenie o dwadzieścia pięć centów na korcu niżej, jaka będzie przy odbiorze...

— Któż jego o to prosił?—ofuknie Stanisław, czytając list taki.

— To jaśnie panie po sąsiedzku. Ten dzierżawca jest szwagrem pana Jaskuły...

— Okropność, co ten człowiek robi! Dał już zadatek i przysłał mi kontrakt, żeby resztę pieniędzy wypłacić, Kaziu słyszysz, co on tu pisze... A to co znowu za kontrakt?—mówi, spostrzegłszy drugą terminatkę.— Jakaś umowa o wełnę... Tak jest, pisze, że kupił trzydzieści kamieni wełny z przyszłorocznej strzyży, dał zadatek... i znowu każe wypłacać należność... Ależ on z wary o wał, albo jest kompletnym idiotą! Nie znając stanu kasy, właśnie, gdy mamy płacić znaczną sumę za pszenicę, której także nie mamy, wchodzi w tak odległe zobowiązania... Masz Kaziu, czytaj resztę, ja nie mogę... Okropność... ani się zna, ani wie, jaka cena wełny.

— Pisze—odzywa się Kazio, ile można spokojnie— że to bardzo korzystne kupno, że stręczył mu je Dawid najpierwszy agent od wełny.

— No, ten Dawid, co on tu wciąż do niego przychodził— wtrąca Fridler.—Ja też dziwuje sze, co jego

tak dawno nie widzę w mieście, a to on pojechał za swoim panem w tamte strony...

— I cóż ty myślisz?—pyta Stanisław Kazia.

— Cóż ,tu myśleć, zrobił w naszym imieniu, i trzeba przyjąć. Nie wypada przecie współnika kompromitować między szlachtą...

— Kaziu! ja cię nie poznaję! — zawoła z irytacją szwagier.—Taki to kupiec z ciebie!... Ja umyvam ręce i nie akceptuję...

— Nie mój drogi, tak nie można... Napisać mu ostro, żeby tego więcej nie robił, ależ trudno narażać człowieka, działającego w dobrej wierze, na zawód,.. Stało się... w handlu solidarność przedewszystkiem...

Rzucił się jeszcze i irytował pan Stanisław a to tem więcej, gdy drugi raz zaczął czytać bazgraninę pana Mikołaja, w której na końcu chwali się jeszcze, że on chociaż sobie szlachcic simplex> a mimo to umie wyszukiwać korzystne interesa i nie siedzi napróżno w Porębie.

Z próbek na targu sprzedano przy pomocy Fridle- ra owe sto workow pszenicy i sprzedano z zyskiem przeszło reńskiego na korcu. Młynarz Niemiec czy żyd dał zadatek i polecił, jak tylko przyjdzie transport, ładować wprost do wagonu. Weksiarz, przyjaciel pana Mikołaja, powiadał mu później, że można było wziąć daleko większą cenę z innym faktorem, bo Fridler umie tylko wziąć faktorne od jednej i drugiej strony, ale na sprzedaży się nie zna.

Już popołudniu nadciągnęły furmanki i skierowano je wprost do magazynu kolejowego... Strach jak te worki poobtykane sianem i słomą wyglądały!... Zewsząd sypało się ziarno, pieczęcie jednak z herbem pa

na Mikołaja przy zawiązaniu trzymały się doskonale— szanowny spółnik nie żałował laku.

Przeszło dwie godziny ściągały się fornalki przed magazyn, a w końcu po zliczeniu pokazało się, że jest tylko worków sześćdziesiąt.

— A gdzie więcej?—pyta Fridler.

— Nie cbcicli jechać za te pieniądze—mówi jeden z furmanów, dobywając z zanadza jakąś karteczkę. — Tu pan napisali wszystko.

Stanisław czyta—rzeczywiście, donosi Okoniewski, że w ostatniej chwili chłopci z Jaroszkowicz z powodu zlej drogi zbuntowali się i zażądali po pięć centów więcej na worku, niż była zgoda... Ja wiem, czyja to sprawka! To Arona, propinatora z Poręby, który koniecznie mi się narzucał na entraprenera dostawy furmanek... On ich namówił niezawodnie... Ale ja nie w ciemną bitą, żebym się dał komu za nos wodzić... Nie chcecie?— to jedźcie sobie z Panem Bogiem... Jeszcze oni sami przyjdą do mnie prosić — a z żydem wdawać się nie myślę; dość ja miałem w życiu od nich...

Ostatni ten czyn pana Mikołaja już nawet nie mógł wzbudzić gniewu pana Stanisława, roześmiał się gorzko i kazał przeprosić kupca, że nie może dać mu więcej tylko sześćdziesiąt worków... Kupiec zajęty odbiorem innego zboża na targu, ani chce słyszeć o tem...

— Kupiłem sto—powiada—to jest pełny ładunek wagonu i muszę mieć sto, inaczej fracht będzie mię kosztował znacznie drożej...

Wdał się w to pan Kazimierz, mówiący dobrze po niemiecku, targ w targ z młynarzem i trzeba było ustąpić z poprzedniej ceny po trzydzieści centów od korca...

Przyszło do odbioru, Niemiec przychodzi z tak

zwanym sztycherem stalowym—próbuję pierwszy worek od dołu, a tu pszenica na pół z groszkiem i kąkolem... Zrobił się krzyk, porównywają, z próbką —pszenica też sama, tylko nie czyszczona... Przechodzą dalej od worka do worka i pokazuje się, że w kilkunastu workach pod spodem wsypano może po ćwierci tej nieczyszczonej pszenicy...

— Co to jest, jak to jest! — woła zaperzony Niemiec, a na ten hałas zlatuje się gromada innych miejscowych i kupców, i faktorów, żartują, krzyczą, dziurawią worki, przypatrując się drwiąco panom handlarzom.

Stanisław, nasunawszy kapelusz na oczy, uciekł do domu, a Kazio z Fridlerem poczęli traktować z owym młynarzem. Ani chce słyszeć o zwrocie zadatku, rozrzuca się, wymyśla, napomykając o oszustwie; potem sprowadza jakichś znawców, biorą próbki, pieczętują, piszą protokół czy coś podobnego. Tu śnieg zaczyna padać wielkimi płatami, tu furmani nalegają, żeby składać, bo chcieli przed nocą wyjechać z miasta, a magazynier nie chce przyjąć zboża na skład bez listu frachtowego. Kazio zdesperowany i zawstydzony kompletnie stracił głowę.

Szczęściem, że Fridler mając stosunki z urzędnikami kolejowymi, uprosił, iż pozwolono złożyć na dylach pod ścianą magazynu, i że dostał gdzieś wańtuch dziurawy, którym owe nieszczęśliwe i sypiące się worki po- nakrywano. Naturalnie, że o sprawdzeniu wagi na łuty, jak stało w rubrykowanym wykazie pana Okoniewskiego, nikt nie myślał.

Zmęczony, zabłocony i przemoknięty, a jeszcze

bardziej zgryziony, wrócił już wieczorem nasz Kazimierz do domu.

— Co się to stało? — pyta niespokojnie siostra, przybiegając do niego—Stanisław przyszedł tak zły, jakim go jeszcze nie widziałam, nie chce nic mówić, tylko zamknął się w swoim pokoju i chodzi wciąż i chodzi... Słyszysz... tak od godziny... A gdzież ty znowu tak się zawałałeś? Kaziu, spojrzysz w lustro, jakże ty wyglądasz? — mówi, spostrzegłszy zaczerwienione ręce jego i pląty błota po twarzy i na ubraniu.

Płaczliwym i przygnębionym głosem opowiedział jej pokrótce, co się stało...

— No, to przecie jeszcze nic tak straszego... A ja myślałam, że Bóg wie co... Dziwny jest Staś, żeby o takie rzeczy tak się martwić. Idź i wytłumacz...

Jak raz na to otworzyły się drzwi od sieni i cała kolonia sąsiadów, matka, córka i syn weszli do pokoju, jako zaproszeni przez panią Wandę na wieczór. Pierwsza Marynia, zobaczywszy tak straszną postać Kazia, nie mogła się powstrzymać, żeby nie krzyknąć, i nie zważając na nikogo, przybiegła do niego.

— Co panu jest, panie Kazimierzu!

— Zabłociłem się przy odbiorze pszenicy — odpowiada, siłąc się na uśmiech.

— Ale pan jesteś zmartwiony, powiedz pan, co panu jest?

— Dajże pokój Maryniu z twojemi dopytywaniami- mi—przerywa matka, zajmując zwykły swój fotel przy stole. — To nie ładnie, żeby młoda panna była tak ciekawą...

— Bo niechno mameczka spojrzysz...

— Bądźcie panie spokojne, nic mi się nie stało —

rzecze Kazimierz — przepraszam[^] że pójdę na chwilę przebrać się i zaraz im będę służył...

Usiedli, lecz Marynia nie mogła się uspokoić, a gdy powrócił Kazio, przypatrywała mu się pilniej, niż zwykle i była przekonana, że podejrzenia jej są słuszne.

Podano kolację, gospodyni starała się ożywiać towarzystwo rozmową, Kazio także silił się być takim, jak zawsze a jednak nie kleiła się gawędka.

— Gdzież pan Stanisław?—pyta Okoniewska.

— Nie wiem, czy ma jakąś pilną robotę, czy słaby trochę—rzecze pani Wanda — ale kazał przeprosić panie, że później dopiero przyjdzie... Posłałam mu nawet herbatę do jego pokoju...

I byłoby wszystko przeszło bez uwiadomiania sąsiadów o kłopotach sprawionych spółce przez pana Mikołaja, gdyby nie wejście niespodziewane Fridlera, który nie proszony, nie pytany, zaczął opowiadać o wrzawie, jaką narobił ten wypadek między kupcami. Panie zaczęły się dopytywać, jak, co się stało, z kąd to poszło— tak, że musiał Kazio, oszczędzając ile możliwości starego opowiedzieć całą historią.

— No, ale to drobnostka—kończy uśmiechnięty— ani pan Okoniewski, ani mój szwagier nie są otrzaskani z takimi sprawami i robią sobie wielkie rzeczy...

— Więc cóż będzie z tym kupcem?—pyta z miną żywo zainteresowanego pan Tadeusz.

— On grozi procesem—mówi żyd.

— Ale do czego!—przerywa Kazimierz. — Straci się coś na tem i rzecz skończona.

— On dużo sobie rachuje — znów odzywa się Fridler...

— Co, dużo?... Może kilkaset reńskich? — zapy

tuje znów Tadzio, albowiem porządny ten młodzieniec bardzo pozytywnie zapatruje się na kwestyą strat i zysków ojca, od których zwykle cierpią, lub kwitną jego finanse.—Dobrze tak tacie, mówiłem, żeby się nie wdawał w żadne handle, bo to nie jest rzecz szlachecka... Do tego trzeba się już urodzić...

Matka pociągnęła go za surdut, więc urwał, spojrzawszy jednak znacząco na pana Kazimierza.—Marynia, słuchając tego wszystkiego, aż drżała, wlepiając przestraszone oczy swe w Kazimierza, jak w tęczę. Czuła ona, że sprawa ta może ją oddalić od niego, a z drugiej strony żal jej znów ojca, który i tak z natury zgryźliwego usposobienia, gotów się zamartwić.

— Ale moi panowie trzeba coś robić—odzywa się stara Okoniewska. — Powinien ten pan sprzedający zapłacić stratę...

— Naturalnie, że musi—dodaje Kazimierz.

— Wypada, żeby który z panów tam pojechał — radzi faktor—najlepiej pan Paternacki sam.

— Wątpię, czy Staś pojedzie — dodaje żona — i przyznam się państwu, ja sama będę go odmawiała. On jest taki prędko...

— To pan pojedzie panie Kazimierzu, prawda?— rzecze Marynia, oblewając młodego człowieka błagającym spojrzeniem. — Pan się na tem zna, wytłumaczy pan wszystkim, jak się rzecz miała i panowie się pogodzą...

— Owszem, pojedę zaraz jutro, poproszę dyrektora o urlop, wezmę "Fridlera, niech on tam zostanie do pomocy panu Mikołajowi...

— Tak najlepiej... dziękuję ślicznie panu, dzięku* ję — zawoła uszczęśliwiona panienka. — Prawda, że to

A. Wilczyński.—Tom XX.

— 66 "-r

jest drobnostka, a pan Jaskółka, czy tam Jaskuła jest podobno bardzo porządny obywatel, pan się z nim rozmówi... i wszystko będzie dobrze...

— Ja, gdybym był na miejscu tego pana—wtrąca sensacyjnie Tadeusz—tobym nic nie dał... przyjęto, zaakceptowano, fakt spełniony... legalnie...

— No, no, ty mądry prawniku—mówi, śmiejąc się matka—nie wszyscy ludzie na świecie, rządzą się paragrafami.

— To właśnie źle; gdzie prawo nie wniknie w krew i charakter narodu, tam musi zastąpić je zwyczaj często oparty na przesadach.

Byłby może rozwodził się w tej materii, czerpiąc mądrość ze skryptów uniwersyteckich, lecz pani Wanda skręciła rozmowę na inny przedmiot, i musiał dać pokój. Pożegnano się wcześniej, niż zwykle, i goście poszli do Biebie.

VI.

Nazajutrz raniutko już zajechał Fridler najętą bryczką po pana Kazimierza, lecz on biedaczysko nie może głowy podnieść % poduszki. Czy skutkiem zaziębienia się wczorajszego, czy też zmartwienia i przykrości, jakich ta sprawa nabawiła szwagra, a której bądź co bądź czuł się promotorem, dostał tak silnej gorączki, że o wyjeździe ani podobna myśleć. Przyszedł pan Stanisław, a widząc co się dzieje, pomimo wczorajszych dąsów, zaczął mu sam perswadować, że to dzieciństwo jest martwić się taką rzeczą, która przecież nie zrujnuje nikogo.

— Ale swoją drogą — odzywa się Kazimierz — trzeba koniecznie, żeby tam ktoś pojechał... Okoniewski dobry człowiek, jednak safandula, a tam zła wiara, czy niedbalstwo...

— Niech jedzie Fridler...

— Nie, on jest ich totumfackim i faktorem. Ach, trzeba mi było jeszcze tego nieszczęścia, żeby zachorować!... Dreszcze, ból głowy... łamanie po kościach...

— No—odzywa się na to z widocznym przymusem Stanisław — jeżeli koniecznie trzeba, to ja pojedę, tylko już nie dziś...

— Stasiu, nie radzę ci—dorzuca Wanda — jesteś popędliwy, powiesz coś w gniewie i jeszcze wyniknie jaka awantura...

— Dzieciństwo—przerwie małżonek—przecież jak trzeba, potrafię zimną krew utrzymać. Zresztą jak zastanowiłem się nad tem, to najlepiej będzie osadzić tam obcego człowieka, a tego niedołągę sprowadzić do domu

— Tylko daj mi słowo — odzywa się proszącym głosem Kazimierz—żę staremu nie zrobisz żadnej przykrości... Uważasz, człowiek w latach, chciał jak najlepiej...

— Stasiu, daj słowo!—dodaje żona.

— Cóż was u Pana Boga ten Okoniewski tak bardzo interesuje, że każecie mi obchodzić się z nim, jak z jajkiem! Wprosił się do nas, protegowaliście go, a ja wam się przyznam, że od pierwszej chwili poznania nie lubiłem go i dotąd nie lubię... Umysł ograniczony, a interesowny, podejrzliwy, zarozumiały... No, no, nie róbcie takiej modłacej miny. Dobrze, daję słowo, nic mu nie powiem, niech tylko wraca ztamtąd... i odczepi się od nas.

Jak nie w smak była ta podróż panu Stanisławowi, to widać z całodziennych przygotowań i krzywień, że tego mu brakuje, to mu będzie niedogodne, w tem zimno, a w tem znowu gorąco i t. p. Zabrawszy tedy futrzane buty, rewolwer, mnóstwo zapasów do jedzenia, pościel, laskę, parasol i wiele innych przyrządów do podróży, wyjechał na drugi dzień parokonnym fiakrem i bez faktora, albowiem zostawiono Fridlera dla pil-

uowania owych sześćdziesięciu worków, leżących pod otwartym niebem na kolei. Dał mu tylko adres krewnego swego z sąsiedniego miasteczka, którego po drodze ma ugodzić na dozorcę dalszego odbioru zboża.

Tymczasem jak się dowiedziano u państwa Okoniewskich o chorobie Kazia, zaczęto go serdecznie żałować. Biedna Marynia nie mogła sobie znaleźć miejsca w domu. Co chwila pytała się matki o jakieś lekarstwo na przeziębienie, posyłała do apteki, preparowała w kuchni i niosła do mieszkania sąsiadów. Nie skłamię, jeżeli powiem, że regularnie co dziesięć minut migąca się jej szafirowa sukienka we drzwiach kuchni państwa Paternackich, a zawsze niosła to filiżankę jakąś z płynem, który przez drogę łyżeczką chłodziła, to szła niby z poleceniem od mamy, żeby tak a tak zażywał pan Kazimierz, to znowu, żeby się nie odkrywał, lub dowiedzieć się, czy mu lepiej,* naturalnie zawsze od mamy.

Pani Wanda, która znała się dobrze na tych poleceniach maniy, uśmiechała się, patrząc na zakłopotane oczy dziewczęcia, a ona rumieniła się ponosem i starała się zagadać swoje ambarasujące położenie. Nie mogąc iść do pokoju chorego, bo to dla obcej panny nie wypadało, odprowadzała aż do drzwi panią Wandę, niosącą lekarstwo, a po jej wejściu niby to oglądała album z fotografiami, leżące na stole salonu, a rzeczywiście nadstawiała ucho, aby dosłyszeć rozmowę z jej bratem. Drugiego dnia nawet pozwoliła sobie powiedzieć parę słów upomnienia przez drzwi, a ta pierwsza próba już później coraz się częściej powtarzała.

Choroba pana Kazimierza nie była wcale groźną,

więc i my jako nie zakochani w nim, przynajmniej w tym stopniu, co Marynia, zostawmy go pod bezpieczną opieką, aż trzech dozorczyń i czwartego Tadzia, który przychodził co wieczór bawić go rozmową, a podążmy za naczelnikiem spółki.

Bez przeszkody, z małym przypadkiem pożaru w rękawie od cygara, dostał się do owego miasteczka, gdzie trzeba było zabrać dozorcę do Poręby. Stał w zajęździe, w którym był także handel win i korzeni, z salonem bilardowym, a że to dzień targowy w miasteczku, więc można wyjątkowo dostać śledzia marynowanego, lub wędzonej kiełbasy na śniadanie.

Zająwszy miejsce przy stoliku w ciemnym kącie pokoju, kazał sobie podać owego śledzia. Przy innych stoliczkach siedziało także kilku panów, zdaje się obywateli z sąsiedztwa, a koło każdego co najmniej jeden oberwany żyd z leszczynową laską, jako faktor i totumfacki, odbierający różne rozkazy jaśnie pana.

Obecni rozmawiali głośno podług zwyczaju, nie troszcząc się, czy ich kto obcy słyszy lub nie.

— A już to sąsiedzie dobrodzieju — mówi jeden tłusty, z przystrzyżonemi siwemi wąsami, do drugiego cliuderławego, z czarnym zarostem i skrzywioną miną— trzeba mieć takie szczęście, jak ten Jaskuła.

— A bo to jego głowa, to rządcą mu tak wszystko myszkuje...

— Niechby i rządcą, ale zawsze to szczęście... Z Porębą już było bardzo krucho, już wisiała licytacja, a powiem sąsiadowi dobrodziejowi nawet ostrzyli sobie na nią zęby niektórzy.

— Któż taki?—pyta ciekawie brunet.

¹— A któżby, jak nie mój szwagier — odpowiada

pierwszy. — On panie dobrodzieju do takich rzeczy ma węż... I wiesz sąsiad dobrodziej, cieszy mnie nie to, że się Jaskuła wykręcił, bo za rok, dwa, przyjdzie znowu toż samo, ale że mojemu kochanemu szwagierkowi nos się opuścił, ale to tak mości dobrodzieju, dotąd—kończy, pokazując ręką na piersi.

— I cóż to za jedni tacy dobrodzieje, że go uratowali... Słyszę, podobno jacyś nowicyusze?...

— Hultaj Fridler zwąchał, że mają pieniądze i ubrał ich — mówił ten gruby, śmiejąc się serdecznie. — Kupili dwa tysiące korcy pszenicy... Trzeba być osłem panie dobrodzieju, żeby z Poręby kupić i dać z góry pieniądze za tyle pszenicy, kiedy tam jak Poręba Porębą, nigdy połowy tego nie zbierali...

— Słyszałem, że mają ładny urodzaj, chwalił się rządca.

— Śmiej się z tego, kochany sąsiedzie... Ja o granicę, to wiem każdą kopę, jak ją zwozili, a groszku i ką- kolu to pół na pół... Nie było za co wyleć w swoim czasie, potem przyszła susza i basta...

— Jednak proszę, łaskawego sąsiada dobrodzieja—odzywa się* ten czarny jegomość—mogą sobie napytać biedy...

— Jakiej?... Kontrakt napisał rządca około, rozumiesz sąsiad dobrodziej, około, to jest bardzo szerokie wyrażenie...

' — No, ale pieniądze trzeba zawsze oddać...

— Zapytaj kiedy? — zaśmiał się zagadnięty spoglądając w oczy drugiemu.—I w tem cała sztuka.

— Będą go procesować...

— Wielka rzecz dla Jaskuły../ Mało ich to ma! Słyszę, płaci adwokatowi juirocnie... Zahypotekują na

Porębie i muszą czekać z małym procentem... Ot, w tem głowa i interes, a tymczasem spłaciło się Briinera i mojemu szwagrowi figa...

Można sobie wyobrazić położenie naszego Stanisława, kiedy słuchał takiej rozmowy. Skóra mu cierpła na całym ciele, ręce mimowoli zacisnęły w pięście, a z oczu strzelały pioruny. Lecz nie na tem jeszcze koniec, bo właśnie w tej chwili pokazał się trzeci, małego wzrostu, z twarzą okrągłą i czerwoną, jak jabłuszko. Nowoprzybyły ubrany jest w krótki kaftan z wielkim lisim kołnierzem, który żółci się na nim, jakby obsypany był jesiennymi liśćmi klonu... Nie chce usiąść na zaproszenie tamtych, tylko drepcze wciąż drobnymi nóżkami i zaciera ręce...

— Cóż to sąsiedzi łaskawi tak na sucho... warto- by się co napić... Zima jakoś wcześniej bierze, hę? — mówi nowoprzybyły.

— Albo oni tu mają co dobrego!

— Jest tu jeden zieleniaczek wcale dobry, tylko jeżeli jeszcze nie wypili.

— A któż funduje?—pyta ów chuderlawy.

— Kto? — mówi, stojąc na środku ów jabłuszka podobny, wskazując palcem na swoje piersi. — Ja panowie dobrodzieje, ja, Jacenty Rozfurchała, do usług...

— A to z kąd ci się wzięła taka hojność? — rzecze ów starszy.

— Wiedźcie o tem, że dwa dni temu sprzedałem wełnę...

— Starą?

— Ale gdziebym ja tam dotrzymał starą do tego czasu, nową, z przyszłorocznej strzyży...

— Jeszcze wełna na baranie, a już szlachcic pije na nie—zawoła siwy.

— I po czemu?

— Trzydzieści pięć za kamień — mówi figlarnie, zasłaniając sobie pół twarzy dłonią, jak to czynią aktorzy, kiedy mówią na stronie.

Obaj słuchający zerwali się z krzeseł.

— Słuchaj Jacusiu, nie żartuj... Twoja wełna najwyżej dwadzieścia dwa reńskie za kamień.

p— Dali, zapłacili, cóż robić — odpowiada z miną niewiniątka... Hej, hej, Pawełek! — woła do sklepu.—■ Przynieśno butelkę zieleniaczku tego, co to wiesz—rozkazuje pobrudzonemu i rozczochranemu wyrostkowi, który się zjawił na to wołanie.—Ty, uważasz mi smyku, tego samego, bo za okno wyleję...

Chłopiec pochwycił z kąta rozszczepany kijek, w którym tkwiła zakopcona łożówka i otworzywszy klapę w podłodze w tym samym salonie, spuścił się do lochu.

— Któż to kupił?

^ . — Może ci sami, co w Porębie?

Pan Jacenty kiwnął tylko głową na znak potwierdzenia.

— Ależ to Krezusy jakieś, jak Boga kocham! — zawoła gruby jegomość. — A dajcież mi ich, gdzież oni są, niechże też i ja co sprzedam... Możeby kupili parę stogów siana...

■— Wystawcie sobie, byłem w tarapatach... Trzeba mi pięćset reńskich na gwałt dla chłopaka, który stoi u profesora na stancyi, a tu ani rusz... Kruty, werty, już chciałem wołać Berka o jęczmień, bo nic innego nie mam do sprzedania, ale ociągam, bo Herod ten kazałby

sobie zaraz młócić, a ja nie mam czasu-... Aż tu przyjeżdża Dawid...

— Ten stary cygan...

— Cygan nie cygan, jednak zrobił... Sprzeda jaśnie pan wełnę? Sprzedam, albo co? Mam kupca... Żartujesz... Auf meine munes mam... On czeka w karczmie, obywatel, co on chce handlować wełną... Dawaj go... Tylko, powiada, niech jaśnie pan z nim nie tak, jak z naszym, on jest delikatny pan... Przyprowadził go...

— Zkądże?—pyta ów brunet.

— Z Poręby, on tam siedzi od paru tygodni i odbiera zboże od Jaskuły... Ja, panie dobrodzieju, zaraz, wódeczki, śniadanko, cygarko, patrzę, jakiś pocziwina i gaduła. Opowiada różne swoje historye, jakie miał z żydami i adwokatem o dzierzawę... Potem zaczyna

0 wełnę. Mówię mam do sprzedania. Każę przyprowadzić barana, oglądają, wycinają próbkę, stary nawet patrzy przez szkiełko, jak to mają zegarmistrze, i mówi co ja chcę? Na chybił trafił powiedziałem czterdzieści, targ w targ, ubiliśmy na trzydzieści pięć, dał zadatku trzysta a reszta pieniędzy na jutro...

— To się orznął biedaczysko...

— Kto wie, może oni mają takich kupców, gadali coś, że poszlą do Amsterdamu...

— Winszuję—rzecze brunet—sąsiad zrobiłeś kapitalny interes... Teraz wziąć pieniądze bez procentu

1 taka cena...

.— No, nie wszystko to dla mnie, Dawidek tego mię obdarł.

— Ile?

— Pięć reńskich od kamienia, ale cóż robić!

— I któż to są ci nowi kupcy w naszych stronach? — pyta znowu chuderlawy, targając sobie brodę z niecierpliwości.—Ze ja też nie mogę na nich trafić!

•— Jedź sąsiad do Poręby, tam siedzi ten mój stary.

— A reszta?

— Drugi ma być jakiś pisarz z banku, młody fanfaron, tak powiada Dawidek, a trzeci obcy, z grubemi pieniędzmi...

— Niemiec?

— Nie, nasz. Sprzedał majątek w Królestwie i chce handlować.

— Jeżeli tak dalej będą iść, to niedaleko zajdą...—konkluduje gruby, nalewając wino do kieliszka.— A szkoda panie dobrodzieju, bo jak się jeden, drugi sparzy, to nigdy nie wyjdziemy z rąk żydowskich... Powiadają, że straszny popłoch stał się między nimi, i odgrają się, że ich tak powikłają, że stracą...

— Już ciż sąsiad dobrodziej daruje—mówi pan Jacenty, próbując wino i przyglądając się kieliszкови do światła—że nikt nie będzie od siebie, ale do siebie... Co tam, wypijmy zdrowie Dawidka...

. — Nie, już wolę tej nowej spółki—odzywa się poważnie starszy z białemi wąsami...

— Zgoda, spółka niech żyje! — zawoła pan Jacenty...

Nasz Stanisław już nie mógł wytrzymać dłużej. Śledzia ani tknął, lecz zasłoniwszy się, jakby ze wstydu kołnierzem futra, szybko przebiegł pokój, a zapłaciwszy w sklepie, co się należało, kazał zajeżdżać powodowi.

— To ja, proszę jasnego pana, co pan posyłał—

zaczepia go w sieni jakiś mizerny, piegowaty, z ryżemi włosami żydzi na, widocznie krawiec, bo jeszcze ma pasemko czarnych nici zarzucone na szyi.

— Czego ty chcesz odemnie?

— Ja jestem Fajwel, krewny Fridlera, on pisał, co ja mam jechać do Poręby.

— Ty?... do Poręby?—mówi nieprzytomnie Stanisław.—Ni epotrzeba!—krzyknie, spoglądając marsem na owego biedaka, i wskoczywszy prędko do powozu, każe jechać.

, Trudno rai tu opisać walkę wewnętrzną tego człowieka, jaką staczał sam z sobą podczas tej mili drogi, dzielącej go od Poręby. Co chwila podskakiwał na siedzeniu, rozpiął futro pod szyją, zdejmował czapkę, wychylając głowę na zewnątrz a z ust jego sypały się urywane słowa szyderstwa na siebie i swoich spółników. Nie tyle mu chodziło o straty materyalne, ile o wstyd, że się stał przedmiotem żartów publicznych, które musiał z taką rezygnacją wysłuchiwać. Gdyby choć jedna setna część pogrózek, jakie wówczas miotał na żydów, na Kazia i tego niedołęgę Okoniewskiego, na żonę i cały kraj, spełniła się kiedy—większa część tych osób już dawnoby świętą ziemię gryzła, a on sam siedział w więzieniu do samej śmierci...

Szczęściem dla niego i tych wszystkich zagrożonych, że droga z miasteczka do Poręby była jak najha- niebniejszą, i konie ledwo noga za nogą wlec mogły ciężką dorożkę, zbudowaną do jazdy na bruku. Miał więc czas wysapać się należycie, nim zobaczył z daleka rysujący się dwór w Porębie, ozdobiony dwoma szkieletami suchych topoli.

Ostatek wewnętrznej burzy, chociaż już bez pio-

— i t —

runów, rozwiął się na stoku góiy, wiodącej do pańskiego przybytku, góry o glebie gliniastej, lepkiej, którą z powodu zupełnego ustania koni przebywał pieszo w wielkich futrzanych butach. Co zrobi dwa kroki to musi stawać, a wyłamawszy kij z płotu, oczyszczać nim żółtawe i piętzące się bryły gliny... Nareszcie zmęczony, oblany potem, dobił się przecie do starej bramy z daszkiem, wiodącej do gumien. Tu już ziemia była porośnięta zwiędłym trawnikiem, więc lżej mu iść ku otwartej stodole, w której kilka wiejskich kobiet na środku klepiska podsiewa przetakami pszenicę.

— Moje kobiety, a którędy do dworu?

— Niech pan idzie koło obory na prawo, jest tam przełaz do sadu, a z sadu to już prosto...

— Psów niema?

— Bogać tam niema, jest tego moc — odzywa się jedna — ale może karbownik wielmożnego pana zaprowadzi.

Karbownik, którego proponowała kobieta, spał między snopkami, zasłonięty połową wrót, żeby na niego nie wiało, i dopiero zerwał się na równe nogi, gdy nań zawołano.

— Mój przyjacielu, zaprowadź mię do dworu, bo podobno złe psy macie.

— Ech, one ta nie gryzą, tylko szczekają...

. — Zawsze proszę cię...

— Nie mogę wielmożny panie odejść ze stodoły, trzeba pilnować.

— A jak śpisz, to co?

— Ho, ho, wielmożny panie — mówi pociesznie uśmiechnięty—ja tam niby śpię, ale ja wszystko widzę, co się dzieje.

Jednak dał się namówić i wzięwszy w opiekę nieznanego, po pod ścianami budynków, odpędzając psy i głośm, i laską, szczęśliwie dostawił go do ganku. W sieni nie było żywej duszy, w pierwszym pokoju także; nie wiele tedy myśląc, zaczyna się pan Stanisław rozbierać sam, chociaż mu to przychodzi z ciężkością. Złożywszy futro, szal, zabłocone buty futrzane, już zupełnie uspokojony, puszcza się na dalszą wędrówkę. Przechodzi wielki salon jadalny, z podartymi, brudnymi i wygniecionymi sofami, dalej pokój, zdaje się, kredensowy i tu zastaje także drzemiącego na zydlu, kogoś w rodzaju lokaja. Rozbudziwszy go z trudnością, zapytuje o pana Jaskułę.

— Nie wiem, czy jest, a jeżeli jest, to śpi w kancelaryi.

— Możeby go obudzić?

— Nie można prosić pana, strasznie się gniewa

O to.

— A długo on sypia?

— Jak czasem, ale prawie do samej kolacyi.

— Gdzież tu jest ten pan, co to zboże odbiera, ten stary z miasta, albo może pan rządca?

— Ten stary stoi w oficynie, ale on najczęściej u naszego starszego pana tam za salą.

Pewnie tam

I rządca jest, grają w karty, bo starszy pan lubi ciepło i pali mu się dwa razy, to do niego się schodzą.

Stanisław przeszedł ową salę paradną, także obdrapaną, pustą i zimną, a ztąd już łatwo trafić do pana Mikołaja, bo właśnie rozlega się jego wesoły śmiech przez jedne z trzech drzwi, prowadzących ztąd do dalszych pokoi.

- Jak mi Bóg miły, skroję ja wam kurtę, o skroję...
- No graj pan!—słysząc głos rządcy—na co tyle preludyj... Ile?
- Ośm... nie, przepraszam, dziewięć bez atuta.
- Nie wolno się poprawiać!—zawoła trzeci nosowym tonem.
- Na więcej wolno, mniej nie wolno...

Właśnie w tej chwili wszedł pan Stanisław, ale panowie, siedzący w drugim końcu przy piecu podłużnego pokoju, wcale go nie słyszeli...

Okoniewski czerwony, jak burak, z rozpiętą kamizelką, a cygarem w ustach, trzyma wachlarz kart w ręku i tak się śmieje rozkosznie, przypatrując się zakłopotaniu partnerów, jak dziecko kiedy dostanie karmelek i drugim się przekomarza. Aż tu naraz, chrząknąwszy dobitnie, zbliża się pan Stanisław do stolika i staje naprzeciw niego. Szlachcic przypadkiem spojrział, oczy wytrzeszczył ze zdziwienia i zerwawszy się nagle z krzesła, przyskoczył do wspólnika.

— Złoto, srebro widziałem, jak mi Bóg miły, to pan Paternacki! A witajże dobrodzieju kochany. Prę- dziejby się śmierci spodziewał...

Powstał i rządcą nieco zakłopotany, przywitał go także, a tymczasem trzeci gracz, starszek o dużym Spiczastym nosie i opuszczonej wardze, zgarbiony, pomarszczony, jak pieczone jabłko, ani spojrzawszy na przy- byłego, szybko przegląda zostawione na stole karty pana Mikołaja.

— Za pozwoleniem panowie!—zawoła przyskaku- jąc do niego Okoniewski—jakże to można?...

— Ja tylko tak... nic nie szkodzi—odpowiada sta-

ry, rozwieszając kolorową chustkę od nosa na poręczu krzesła.

— Jakże tam w domu, dobrze? — pyta Mikołaj, chowając swoje karty do kieszeni, kiedy rządcą podaje krzesło i częstuje Stanisława cygarem.

— Dziękuję, dopiero co paliłem...

— Bierz!—mówi ciszej, trącając go Mikołaj — to zagraniczne...

— W domu u pana wszyscy zdrowi...

— Hę, zdrowi, to dobrze, a interes jak?

— Nie bardzo—odpowiada Stanisław—i to właśnie tutaj mnie przypędza.

— Ozy to warto na taką flagę... Ja mości dobrodzieju całe rano siedziałem w stodole przy podsiewa- czach i tak jakoś przeziąłem, że do jegomości naszego na ogrzanie i skleciliśmy sobie małą puleczkę... Pszenicę sąsiad dobrodziej odebrał, co? Prawda, że jak szkło, hę?

— Szkoda, że tylko 60 worków...

— Jutro idzie czterdzieści, już nasypane, zważone i zapieczętowane... Taki mości dobrodzieju przetrzymałem chłopów i przyszli sami się prosić. Dodałem im te pięć centów od worka, ale na wódkę z łaski. Ja tak zawsze wytrzymam i na swoim postawię.

— Mieliliśmy dosyć kłopotu ze sprzedażą tak małej partyi, która ładunku wagonu nie stanowi — rzecze Stanisław — ale gorsza sprawa, że zboże nie jednakowo we wszystkich workach...

— Co? niejednakowe!—zawoła pan Mikołaj, śmiejąc się szeroko.—Ja je sam nasypywałem.

— W siedmnastu na spodzie jest inna pszenica z kąkołem i groszkiem... Ot masz pan—mówi, wyjmu-

jąc na stół pakieciki.—Rzecz sprawdzona przez biegłych i w protokole opisana...

Rządca, który przez cały czas rozmowy panów milczał i chrząkał, szukając szklanki do napicia się wody, teraz uznał właściwem odezwać się do nich:

^ — My o tem nic nie wiemy... Może w drodze co się stało...

— Ale nie może być!—powtarza Mikołaj, rozwijając pakieciki. — My zaraz tę rzecz sprawdzimy... Piotrze!—woła na służącego—słuchajno, niech tu przyjdzie karbowy, on był świadkiem.

Nim przyszedł wołany, pan rządca, człowiek jeszcze młody, z twarzą wąską, podobną do charta, ogląda także próbki, rusza głową i uśmiecha się ironicznie.

; — To furmanów sprawka, oni do takich sztuk chwaty... Trzeba pilnować, panowie jeszcze nie mają w tem doświadczenia...

⁴ Ten sam karbowy, którego pan Stanisław zastał śpiącym w stodole, widocznie stary wyjadacz dworski, staje w postawie żołnierskiej przy drzwiach.

— Słuchajno, Błażeju—mówi z powagą Okoniewski, przystępując do niego—tylko mów szczerą prawdę. Kto nasypywał pszenicę do worków?

— Wojtek i Mateusz...

— A widzisz, że kłamiesz, bo i ja...

— Tak, niby i wielmożny pan trzymał worek, kiedy oni wysypywali z ćwierci.

— Panie Okoniewski — przerywa Stanisław'—na co to wszystko, fakt jest.

— Ale proszę mojego pana, tu idzie o czystą prawdę — występuje niejako w roli adwokata zarządca

A. "Wilczyński—Toiu XX.

w Porębie.—Mów Błażeju dalej, ileśmy tych worków razem nasypali?

— Ha, może ze czterdzieści...

— Znowu kłamiesz, bo całe sześćdziesiąt!

— Bez obrazy wielmożnego pana, ja dobrze pamiętam, bo sobie kreski stawiałem kredą na belce. Nie było więcej czterdziestu, kiedy wpadł Walek od kucharza i zawołał, że lis jest w sadzie. Wielmożny pan poleciał do dwora po strzelbę, a ja też po psy...

— Prawda, prawda... Wystaw sobie sąsiad dobrodziej, stare lisisko zakradło się nocą do kurnika i nie mogło trafić napowrót na*dziedziniec, tylko dostało się do ogrodu, który jest wysoko oparkaniony. Na dzień przycupnęła kanalia pod przycieś, ale nasze pieski jakoś go zwęszyły. Heca też to była, heca, jak mi Bóg miły. Ja ze strzelbą, Błażej psy założył od obory, a on robi takie szprynce i chce koniecznie przeskoczyć ogrodzenie, że dalibóg warto było patrzeć... Aż w końcu przypuszczam ci go panie dobrodziejku na sztych i paf... Zobaczysz sąsiad u mnie w pokoju skórę, to jakby z kozła jakiego, a nie z lisa...

Po zakończeniu tego epizodu, znowu wszyscy trzej zwrócili się do pana Stanisława, że tylko chłopci odmienili w drodze, bo tutaj nic podobnego stać się nie mogło.

— Ależ moi panowie — rzecze podniesionym głosem Stanisław — ja tu nikogo nie chcę obwiniać, lecz trudno składać na furmanów, kiedy worki były zapieczętowane, a pieczęcie nienaruszone.

— A ja tak pieczętuję! Sześć lasek laku wyszło...

— Więc na co czas tracić na próżne domysły, proszę więc pana — mówi Stanisław, obracając się do

rządca — każ uwiadomić dziedzica, że chciałbym się z nim widzieć.

— Teraz śpi. Ale na co tu dziedzica, pretensya pana dziwna. Oddajemy zboże na miejscu...

— Umowę zawierałem z panem Jaskułą i dlatego darujesz pan, muszę z nim o tej sprawie pomówić. A że nie mam czasu czekać, nim się pan Jaskuła raczy obudzić, więc proszę, każ pan to zrobić...

Stanowczość mowy Stanisława zaimponowała rządca, błysnął tylko złośliwie oczyma i wyszedł, a za chwilę powrócił z zaspanym Jaskułą. Jestto wysoki, chudy i jakby połamany mężczyzna, z wyrazem oczu, oznaczającym coś bezmyślnego, jednak z manierami wielkiego pana. Dość lekceważąco przywitał Stanisława i zaczął toż samo, że to są dziwne pretensye...

— Panie, ja tu nie przyjechałem na dysputy, ani słuchanie pańskich morałów, tylko upomnieć się o swoje prawa kontraktem zastrzeżone.

— To pan rządca załatwi...

— Ja nie znam tu nikogo, tylko tego, kto umowę podpisał — rzecze, ledwie hamując gniew swój Stanisław. — Nie dajesz pan satysfakcyi, my wstrzymujemy dalszą wypłatę i żądamy rozwiązania kontraktu, zwłaszcza, że dotąd powinniśmy mieć oddane 500 korcy, a mamy 60.

— Nie nasza wina, nie było worków — dodaje rządca.

"— Jest tu dwieście, zresztą proszę mi w tej chwili wydać zboże, a ja dostarczę worków.

— No, a macie?—zapytuje dziedzic rządca i karbowego.

— Oprócz tych stu wydanych, zbierze się ze siedm- dziesiąt...

— No więc któż nie dotrzymuje terminu?

Jakoś po tym argumente i po licznie zamienionych spojrzeniach dziedzica i rządcy między sobą, naraz przypomniał sobie gościnnie pan domu, że pan Stanisław przebywszy tak uciążliwą drogę, musi być głodny. Wołaj Piotra, kaź robić naprędcę befsztyk, pomimo zapewnień Paternackiego, że nie jest głodny.

— No, zresztą o co idzie między nami? O tych kilka korcy pszenicy nieczyszczonej— odzywa się dobrodusznym tonem Jaskuła — to się doda panom bez pre- tensyi.

— Otóż tak mi się nazywa po naszymu, po obywatelsku! — zawoła, ściskając rękę dziedzica nasz Mikołaj. — Mówię kochanemu spółnikowi, że to złote serce... No, no, już zgoda, podajcie sobie ręce i basta!... Jak mi Bóg miły, nie wiedziałem, że pan Stanisław taki gorączka!

Były tam jeszcze kwestye o koszta czyszczenia, nasypywania i przeważania, ale rozochocony szlachcic chodził od jednego do drugiego i głaskał po plecach powtarzając:

— No, no, no, jakoś to się pogodzimy, co tam...— więc i Paternacki musiał złagodnieć i przyjąć gościnność w domu Jaskuły.

Wieczorem jednak, kiedy się znaleźli obaj spółni- cy w pokoiku pana Mikołaja, Stanisław, zaczyna mu rozpowiadać wszystko, co słyisał w oberży.

— Ale śmiej się pan dobrodziej z tego! Już to pomiędzy naszym obywatelstwem jest tak brzydka wada, aby drugiemu łatkę przypiąć, czy jest, czy niema za co.

X ja też panie w ciemnię nie jestem bity i spenetrowałem stodoły po folwarkach... Pszenica będzie, niech się pan dobrodziej nie boi.

— Jednak uważałem za swój obowiązek przetrzedz pana, póki czas, to jest, póki nie wypłaciliśmy wszystkich pieniędzy...

— Ech, strachy na lachy!... To są ludziska poczciwi z duszą i kośćcami, choć ten Jaskuła pan z panów i zawsze powiem, lepiej z nim być dobrze i delikatnie, niż stawać sztorcem. Mówię łaskawemu sąsiadowi, jak oni mię tu szanują i przyjmują—w rodzicielskim domu nie byłoby mi lepiej. Sam Jaskuła, chociaż Wdowiec i małomówny, ale zacności niesłychanej. My tu we czterech, to jakby bracia... No, no, niechno sąsiad dobrodziej nie kiwa głową i nie wątpi, bo jakby co do czego przyszło i nasze pieniądze były zahaczone, to ja panie dobrodziej sam wezmę na siebie, a oni mi krzywdy nie zrobią.

Poprzestał więc na tem Stanisław, lecz zaproponował, czyby nie żądać zmiany umowy, żeby im dopłacić na furmanki, a oni odsyłali już zboże.

— Na co? Cóż to ja nie znajdę furmanek?

— Jakoś dotąd wolno to idzie, a szkoda, ceny dobre...

— Bo to i te worki bruździły, o które mam sprawę w sądzie i ta niegodziwa młocarnia... Widziałem, że nie mogli.

— Panie Okoniewski — rzecze na to z uśmiechem Stanisław — pan te rzeczy bierzesz jakoś zanadto po obywatelsku, a nie po kupiecku. Dlaczegoż my mamy tracić, że oni mają złą młocarnię?

— No, a sumienie?... Czy to człowiek z kamie

nia? O ceny się pan nie bój, nie spadną, nie. Prusak nie da spokoju Francuzowi i na wiosnę pewna wojna. Proszę mnie wierzyć, ja człowiek stary i na tem się znam.

Wypadało wreszcie powiedzieć panu Mikołajowi i o tej wełnie... Lecz, zaledwie parę słów wyrzekł, a szlachcic przerywa:

— He, he, to już żydowska intryga przeciw Dawidowi. Oni się nie cierpią z Fridlerem i nagadał panu... A ja daję słowo uczciwości, że Dawidek więcej wart, niż oni wszyscy razem.

— Jednakże wziął po pięć reńskich łapowego na kamieniu.

— Fridlera gadanie...

— Daję panu słowo, że słyszałem to przed godziną z ust samego sprzedającego...

— He, he, he, niechże i tak będzie...

— Mówię na seryą, proszę mi wierzyć! zawoła nieco żywiej Paternacki.

— Fridler potrafi każdego namówić, bo to faryzeusz, jakich mało na świecie... Ja się na wełnie znam, sam chowałem owce tyle lat i ta jest więcej warta, niż 45 guldenów za kamień, a ceny jeszcze pójdą w górę na wiosnę... Mundurków potrzeba będzie dla Prusaczków, mundurków! Zresztą ja pana dobrodzieja przekonam gazetami! Ot tu stoi—mówi, wydostając z kieszeni obszarpane numera Nowej Pressy—w Berlinie tak, w Amsterdamie tak, w Peszcie tak... a z Australii nic nie będzie w tym roku, bo była susza i owce klapnęły...

— Być może, że tak jest—przerywa mu Paternacki—jednak wypadało nas się przynajmniej zapytać...

— Alboż to ja nie współnik?

— Kiedy nie o to idzie...

— Czy tak samo panowie nie kupiliście tej pszenicy bezemnie?

— Wtedy pan nie był współnikiem...

— A teraz jestem, no!—mówi dalej podrażnionym nieco tonem.—Przecież i panowie sprzedajecie także na targu bez mego pytania... Acha prawda? Widzi pan dobrodziej, tak znowu nie można kontrolować drugich... Eazem, to razem...

Długo jeszcze musiał Stanisław czekać, nim potrafił wzburzonemu szlachcicowi wytłumaczyć, że tu nie idzie o jakąś władzę, ale o fundusze, których może nie być w kasie.

— To niechby pan Kazimierz dał także swoją część...

— On już dał, wszak my dwie trzecie, a pan je-
dnę trzecią...

— Ech, bo to tam on dał...

f — Kto dał," to dał, ale pieniądze są i pana to nie obchodzi.

— Licha tam... Zawsze to jakoś dziwnie; nic nie daje, a do trzeciej części...

Na tym punkcie niepodobna było przekonać szlachcica, więc dawszy mu za wygrane powtórzył swoją uwagę, żeby na przyszłość bez zapytania się o stan wspólnej kasy nie robił nowych zobowiązań.

^L — Wielka historia!—zawoła rozdrażniony—to ja sam zapłacę resztę i wełnę biorę na siebie. Interes pewny, jak bułka za grosz. Ale co mi to za spółka, gdzie dwó(/i rządzi, a trzeci musi słuchać jeszcze takiego, który nil nie dał... Bo niech pan dobrodziej, co chce mówi,

ale w tych plotkach i pan Kazimierz musiał rękę umoczyć; to taka przyjazd z Fridlerem...

Pomny danego słowa żonie i Kaziowi, Stanisław tylko zęby zacisnął i nie starał się więcej przekonywać szlachcica, że jego podejrzenia najmniejszego nie mają sensu, jednak w duszy musiał sobie powiedzieć, że pierwiastkowa niechęć jego do Okoniewskiego znajduje teraz usprawiedliwienie. Było to pierwsze, trochę nieprzyjemne starcie się nowych spółników, i pomimo, że potem jeszcze z godzinę rozmawiano spokojnie o innych przedmiotach, to swoją drogą zarodek kwasów został już rzucony.

Nazajutrz wstawszy raniutko pan Mikołaj, czy pod wpływem rozdrażnienia wczorajszego, czy też wrodzonego gadulstwa, nie miał nic pilniejszego do roboty, jak pójść do dworu i wypowiedzieć się przed swoimi przyjaciółmi z żalów do pana Stanisława, a naturalnie i opowiedzieć całą z nim rozmowę o pszenicy.

Sam Jaskuła, człowiek bardzo tępego umysłu i chorujący na pana, ale rzeczywiście prawy, tyle wiedział o swoich interesach i gospodarstwie, ile mu o nich mówił rządca. A ten rządca daleki jego krewny, miał kompletne jego zaufanie i uchodził w okolicy za bardzo rozumnego i sprytnego człowieka. Nigdy więc nie robił nic bez jego porady i wierzył weń, jak w ewangelią... zwłaszcza od czasu, gdy udało mu się wyprowadzić go przez tę sprzedaż z bardzo niebezpiecznej sytuacji. Oburzyły go zatem wiadomości przyniesione przez pana Mikołaja, skutkiem czego już bardzo chłodno przywitał Stanisława, gdy przyszedł na śniadanie, i ani chciał słyszeć o żadnych ustępstwach poruszonych przez spółnika. Jednym słowem Paternacki zgryziony i zagniewany na

wszystko, a nawet na siebie samego, wyjechał z Poręby, dając uroczyste słowo, że gdyby nawet cały majątek miał stracić, więcej tu noga jego nie postanie.

Gdy tylko wysiadł z powozu przed domem, już pani Wanda poznała, co się święci, bo przede wszy st ki em jej się dostało za to, że ma brata letkiewicza, który go namówił do interesów, za to, że wstawiała się o przyjęcie Okoniewskiego do spółki, za to, że mu kazała teraz jechać na wieś, za to, że się przeziębził, i za wiele innych rzeczy, o których nawet nie wiedziała.

Kazio już wyzdrowiał, a że udało mu się dobrowolnie załatwić spór o owe 60 korcy zboża z Niemcem, a ceny ciągle szły w górę, więc nie bardzo brał do serca zły humor szwagra, powtarzając z uśmiechem pewności:

— Zobaczysz rezultaty. Żaden interes z ludźmi nie może się obejść bez pewnych przykrości, a zwłaszcza z początku.

Mimo protestu pana Mikołaja posłano do Poręby sprytnego i energicznego żydka dozorcę, i transporta kupionego zboża zaczęły iść żywiej. Sprzedano drugie sto korcy, już bez takich ambarasów, jak pierwsze, a trzecie były w drodze.

Na termin płacenia drugiej raty zjechali obadwaj panowie do miasta, a z nimi i pan Mikołaj z taką tuszą, że żona poznać go nie mogła. Ledwie, że pokazał się w domu i wyładował z bryczki różne wiktuały dla żony, z których parę zajęcy i garnuszek masła kazał udzielić pani Wandzie, zjawił się faktor wekslarz i wywołał go na tajną konferencję na dziedziniec. Chodzili długo, rozmawiali, przystając po kątach, lecz widać było, że wiadomości udzielone panu Mikołajowi nie musiały być bardzo przyjemne, skoro pochmurniał trochę, a oczyściwszy się z drogi, natychmiast pobiegł do współników. Nad podziw pana Stanisława stał się znowu niezmiernie czułym i serdecznym, panią Wandę coś trzy razy z rzędu w rękę ucałował, a pana Stanisława aż w górę uniósł przy uściskach.

— No, prawda, że teraz dobrze idzie?

— Dobrze, i dlatego sprzedaliśmy drugą partię korzystnie.

— Chwała Bogu... Zawsze pierwszy początek trudny, dlatego kochany sąsiad zobaczy, iż tak samo pójdzie z wełną i owsem.

Nic na to nie odpowiedział Paternacki, lecz podawszy mu rachunek dotychczasowych wydatków, prosił o złożenie reszty, przypadającej od niego teraz dla Ja- skuły.

— Zdaje się, że ja wszystko już dałem, co potrzeba...

?— Tak, ale porobiliśmy nakłady na worki i inne koszta, a za ostatni transport pszenicy pieniądze jeszcze z zagranicy nie nadeszły od kupca. Niech pan przejrzy rachunek...

— Ha, trudno, jak trzeba, to się da, ja się nigdy nie usuwam.

Przyszedł Kazimierz i z nim przywitał się serdecznie.

— No, a jakże będzie z tą wełną i owsem?—zapytuje niby nawiasem—bo trzeba i tu resztę dopłacić.*.

— Wszak wełnę wziąłeś pan na siebie.

— Tak to niby, ale jabyłem się nie chciał rozdzielać. Niechno się panowie namyślą, interes nie wielki...

W tej chwili właśnie, jakby to się działo, w teatrze na scenie, wtacza się do pokoju mnóstwem drobnych paczek sznurkami powiązanych, stary faktor Dawid, i przedstawivszy się jako dawny znajomy pana Okoniewskiego, od razu rozpoczyna zwyczajny swój wykład o korzyściach handlu wełną. Gestykulując żywo, nie pozwala nikomu odezwać się ani słowa,

lecz rozwiązuje pakiety z wełną, kładzie je na stół, a posiłkując się artykułami giełdowymi, recytuje swoje, jak dozorca, pokazujący gościom zwierzęta w menażeryi.

— Mój panie — przerywa mu bez ceremonii znudzony Stanisław — proszę cię, daj nam pokój ze swo- jemi propozycjami. Nie myślimy handlować wełną.

— No, dlaczego?—odpowiada z całą arogan- cyą i znowu dalej swoje, że na wełnie można sto na sto zarobić, że teraz najlepsze są konjunktury, bo potrzebuje Berno, Wrocław i coś ze dwanaście innych miast europejskich.

Pan Mikołaj, słuchając tych prelekcij Dawida, tylko się uśmiecha zachwycony i wciąż potakuje, kiwając głową.

Paternacki zaczyna się już na seryo niecierpliwić, co zobaczywszy Kazio i nie wiedząc, o ile ten pan Dawid jest persona grata Okoniewskiego, bez ceremonii zbiera rozłożone pakiety wełny ze stołu, oddaje do rąk faktora i dość niegrzecznie wyprowadza go za drzwi. Szlachcic nie powiedział nic, ale gdyby był Kazio zobaczył, jakim w tej chwili mierzył go wzrokiem, z pewnością struchlałby z przerażenia.

— Więc obliczmy się panie Okoniewski—mówi Stanisław—co trzeba dopłacić.

— Tyle a tyle na każdego — powiada Kazimierz.

— A jakże z owsem?... Może panowie także nie chcecie?...

— I owszem—pospiesza dodać Kazio.

— Tak, gdzie interes czysty, jak bursztyn, to spółka, a gdzie trochę ryzyka—wtrąca burczącym głosem pan Mikołaj—to niema spółki.

— Szanowny panie—odzywa się Stanisław—bierz i owies, ja na wszystko się zgadzam... i owszem.

— Ale co tam—łagodzi Kazimierz — zboże, to zboże...

— Hm!—pomrukuje szlachcic—jak to pan łaskaw na mnie,..

Obliczono wreszcie, co każdy ma dołożyć do kapitału, a pan Mikołaj występuje:

— Dobrze to wszystko moi panowie; dać to dać, tylko że dotąd tak jakoś jesteśmy niby, na słowo... A ludzie na świecie są śmiertelni, możeby tak coś napisać między nami...

' — Bardzo słusznie — przerywa prędko Stanisław. — Niech pan dobrodziej przygotowuje projekt, a my podpiszemy.

— To niech pan napisze bo ja nie jestem bardzo do tego.

— Dobrze, napiszę. Za godzinę będzie gotowe.

— Między mną i panem dobrodziejem?

— I Kazimierzem — dodaje z przyciskiem Stanisław.

— Ha, niechże i tak będzie!—kończy, wzdychając, jak człowiek przyciśnięty przykrą koniecznością.—Więc ja tu przyjdę po obiedzie po tę umowę...

Przyszedł, ale tak samo chmurny, przeczytał i prosił, żeby mu dano ten projekt do domu, bo chce się jeszcze rozpatrzeć. Nie broniono mu, lecz on zamiast do domu poszedł do miasta, widocznie, aby się kogoś poradzić.

Kk Łatwo sobie wyobrazić, jak postępowanie takie musiało drażnić Stanisława i co sobie myślał o tak przyjemnym współniku. Co do Kazia, ten kompletnie osowiał, milczał i gryzł się, widząc, jak cały gmach

jego marzeń co do przyszłego szczęścia z Marynią tak widocznie chwieje się w podstawach i to niewiadomo z jakiej przyczyny.

W tem przekonaniu utwierdziła go i sama panna, gdy podług zwyczaju wieczorem poszedł z siostrą i dziećmi do mieszkania sąsiadów. Stary przy kolacyi prawie, że go nie widział, a na córkę rzucał wciąż tak surowe spojrzenia, że biedaczka aż drżała ze strachu.

Wstawszy od stołu, zamyślony szlachcic skinął na syna, i wynieśli się oba do ostatniego pokoju, a tam coś pisali, radzili, zdaje się nad umową, bo od czasu do czasu dolatywały ztamtąd wymyślenia pana Mikołaja na syna, że już półtora roku uczy się prawa i to z drogich książek, a głupiej transakcyi nie rozumie.

•— Co to tam zaszło między panami? — zapytuje ciszej Marynia, odsunawszy się na bok z Kazimierzem.—Ojciec czegoś taki zły...

— Dalibóg nic nie wiem i chciałem się właśnie pani zapytać...

— Ciszej, drogi panie... Okropnie jestem zmartwiona...

— A ja już nie czuję głowy, która mi pęka z nawału myśli. Ani ja, ani Staś nie daliśmy żadnego powodu. Żądał umowy między nami—daliśmy.— Chyba, że ojciec gniewa się, że ja należę do spółki, ale gotów jestem natychmiast rzec się wszystkiego... Boże, jakże ja jestem nieszczęśliwy.

— A ja nie?—szepnie dziewczyna, ocierając ukradkiem łzy, spływające po jej twarzyczce. — Mnie się jednak zdaje, że tu coś z tym żydem wekslarzem zaszło, bo tatko przyjechał w dobrym humorze, a po rozmowie z nim na dziedzińcu wrócił zupełnie inny. Co to będzie?

.— Ja myślę, że ojciec zmieni swoją niechęć.

— O wąpie... Jest to dobry i zacny człowiek, ale jak się do kogo, lub do czego uprzedzi, niczem go nie przekonasz... Na miłość Bożką tylko czego tak desperacką przybierać minę?... Fe, mężczyzna, — przy -pierwszej przeszkodzie już tracić ducha... No, no, popatrz pan na mnie... tak wesoło — bardzo dobrze... A może niepotrzebnie się martwimy i dlatego najlepiej wszystko zdać na opiekę Boga i czekać cierpliwie. Wierz mi, mój drogi ja mogę długo, bardzo długo czekać.

Rozpogodził twarz, uścisnął jej rączkę i rozeszli się pokrzepieni nadzieją, która jakkolwiek nazywa się matką głupich, ale zawsze jest matką.

Na drugi dzień z wymęczoną i zapisaną licznymi poprawkami umową stawił się pan Mikołaj u swoich współników. Najprzód żądał, żeby nie on, ale jego żona figurowała na umowie... Propozycją tę, którą bardzo niejasno usprawiedliwiał toczącym się dotąd procesem z właścicielem Borowicy, choć nie podobała się panu Stanisławowi, jednak ją przyjął. Dalej, żeby spółka odnosiła się tylko do interesów teraz zawartych, a nie na rok, jak proponował p. Stanisław. I na to się zgodzono. Następnie, że każdemu ze współników wolno robić inne interesy na swoją rękę niezależnie od tej spółki.

— Zmusza mnie pan do tego—mówi pan Mikołaj— nie przyjmując wełny.

— Słuszny warunek, zgadzam się zupełnie.

y Otóż właśnie ta pohopność do zgody zamiast cieszyć, zaczyna niepokoić szlachcica... W tem coś musi być, myśli sobie, spoglądając podejrzliwie na obydwóch

panów, i już z mniejszą werwą proponuje, żeby wspólni- cy we wszystkich sprawach, czy to kupna, czy sprzedaży, porozumiewali się z sobą.

— A widzi pan, czy nie toż samo proponowałem w Porębie?—odzywa się Stanisław.

— To też pan dobrodziej nauczyłeś mię, jak się pilnować...—rzecze filuternie

Okoniewski.

— Jabyłem sądził, że to znowu będzie uciążliwym...

— Skończone, zaakceptowane!—przerywa Kaziowi pan Mikołaj, który wogóle mało zważał na niego, przemawiając wciąż do pana Stanisława.

— Właśnie ja chciałem dla zabezpieczenia pana dobrodzieja...—znowu proponuje

Kazio.

— Ech, obejdzie się już tam lepiej będzie, jak każdy sam będzie dbał o swoje...

Umilkł skonfundowany Kazimierz, umowę na dwie ręce przepisano, pani podpisała, dając upoważnienie mężowi do zastępstwa we wszystkich sprawach, a szlachcic znowu wyjął z ręcznika kilka akcyj kolejowych i złożył na ręce Stanisława po kursie bieżącym.

— Ot i na tem tracę — mówi, jakby z wyrzutem — ale stało się, człowiek do śmierci rozumu się uczy.

Przed zjawieniem się panów z Poręby, jeszcze raz Paternacki podnosi qwą wątpliwość, czy ci panowie mają tyle zboża, co sprzedali.

— Ale, co to panie dobrodzieju, niema o czym mówić...

— A jak się pokaże?

— To ja panie dobrodzieju pierwszy, mój dział u nich zostawię... Jak mi Bóg miły, życzyłbym sobie

wszędzie tak być spokojnym o swoje pieniądze, jak u nich...—dokończył, uśmiechając się dwuznacznie.

— Więc proszę pamiętać...

Dopełnienie wypłaty odbyło się krótko, sztywnie prawdziwie po kupiecku. Stanisław nawet nie prosił sprzedających do salonu, lecz za to pan Mikołaj koniecznie zawerbował ich na małą przekąskę. Paternacki wymówił się, że jest słaby, Kazimierza nie bardzo znowu obligowano", dość że poszli tylko obaj panowie z Poręby i tam parę godzin, podejmowani z niezmierną uniżono- ścią przez całą rodzinę Okoniewskich. Gdy wychodzili, już trochę podchmieleni, rządca odzywa się w progu do gospodarza:

— Ależ to prześliczna i miluchna panienka z tej panny Maryi...

— Rzeczywiście, prześliczna — powtarza pan Ja- skuła.—Winszuję panu, winszuję...

— W łaskawych to oczach panów dobrodziejów— odpowiada ucieszony i rozpromieniony szlachcic. — Jak mi Bóg miły, swojego chowu szlachcianka...

— Prześliczna, niema co powiedzieć — powtarza pan rządca, obzierając się parę razy na stojącą w oknie Marynię.

Sentymentalne czytelniczki gotowe mieć do mnie żal, iż za wiele opowiadam o interesach spółki, a za rnału zajmuję się uczuciami naszej młodej pary, ich ta- jemnymi udręczeniami, które zapewne trapiły ich ciągle, odbierając spokój i słodkie sny podczas nocy. Ale cóż na to poradzę, jeżeli w codziennem życiu tak się ci leje i jeżeli ten brzydki, więcej niż prozaiczny interes musi się wcisnąć między najszlachetniejsze uczucia i tam bolesny znak swego pobytu zostawić. Trudno zaprze-

A. Wilczyński.—Tom XX.

czyć, że ten interes dzisiaj, a podobno dawniej, stanowi jedyny sztandar, koło którego najczęściej grupuje się zapaśników życia do walki o byt codzienny. Jakże więc tej powszechnej służbie mamony oprzeć się mogą uczucia?...

Czyż ten wir namiętnie prowadzonej walki nie powlecze ich za sobą, choćby jako maroderów i rozbitków, szukających swojego pułku!

Po zawarciu umowy i zostawieniu możliwości działania na swoją rękę, nasi wspólnicy rozpoczęli tajemną rywalizacją i wzajemne śledzenie każdego kroku. Stanisław, już znudzony tem wszystkim, sam nie działał, lecz dał się powodować Kaziowi, któremu znowu młodzieńcza ambicya kazała w oczach pana Mikołaja pokazać się energicznym i znającym na interesach. Udało mu się kupić znaczną partycję kukurydzy, gdzieś w Mołdawii i odprzedać z zyskiem, a okoliczność ta już nie pozwoliła spokojnie zasnąć staremu Okoniewskiemu. Nie rozumiał się na interesach i bał się ryzykować, więc chodził, jak nieswój, medytował, radził się, a swoją drogą głośno złorzeczył Kazimierzowi, że jest chciwym i podstępny, co stanowi brzydki rys charakteru młodego człowieka. Nieodstępny Dawidek musiał skorzystać z takiego usposobienia szlachcica, i znowu podsunął mu projekt, że wyjedzie do Węgier za kupnem wełny, na której świetny interes zrobią. Już nie żądał wynagrodzenia komisowego, tylko kosztów podróży i pewnej części czystego zysku, co skłoniło pana Mikołaja, że się zdecydował i dał pieniądze. Dawid pojechał, a pierwsze jego listy datowane z Pesztu w tak dobry humor wprowadziły szlachcica, że nawet spotykając się z Kazimierzem, żartował z nim i tajemniczo dawał poznać, jako

i on bez niczyjej pomocy potrafi także coś robić i robić korzystnie.

Tymczasem, co przyjdzie nowy transport pszenicy z Poręby nalega koniecznie, żeby we trzech szli go sprzedawać. Stanisław naturalnie nie chciał, więc we dwóch z Kazimierzem udają się na plac targowy. Pan Mikołaj, obładowawszy kieszenie próbkami, ma minę przynajmniej dyrektora banku, i tak jakoś z góry traktuje młodego spółnika, jakby on był pisarzem dodanym mu do pomocy.

Na placu miejskim, obok pewnej oberży, parę razy na tydzień odbywają się tak zwane targi zbożowe. Gromada pejsatych i surdutowych faktorów kręci się tu i tam, jakby gorączką jaką trawiona. Zaczepiają kupców, przedstawiają próbki, wysypują na dłonie, wciskają pod pachy lub między poły surduta i gadają z taką natarczywością i arogancją, że nie sposób im się opędzić. Podobny targ, jak zwykle przy interesach, odbywających się na większą skalę, kończy się koło godziny 11-tej z rana. Przyjezdni kupcy spieszą na pociąg, więc kupno i sprzedaż załatwia się w kilku słowach: dam tyle — zgoda, albo nie dam i nie wezmę — i rzecz skończona. Tymczasem pan Mikołaj, przywykły na wsi do całodziennych utarczek z kupcami, których wodził za sobą po wszystkich stajniach i oborach, żartując i dowcipkując i tutaj chciał w ten sposób prowadzić praktykę handlową. Faktorzy rozbijali się koło niego, wydzierając torebki z próbkami, a on im stawia niebywałe
Ipny, jakby dla żartu. Kazio słysząc to, czynił mu de- f/^atne uwagi, że więcej nie dadzą, ale on uśmiechał się L całą pewnością siebie:

— Dadzą, dadzą, niech się pan nie turbuje...

Naturalnie, że Fridler, jako także podejrzany, został usunięty od faktorowania; pod tym względem Okoniewski chciał mieć wolną, rękę i przez obudzenie konkurencji innych komisantów zniżał do minimum ich zarobek.

Przyszła godzina jedenasta, kupcy zagraniczni zniknęli z placu, a miejscowi ze zwykłą arogancją żartowali ze szlachcica kupca, ofiarując coraz niższe ceny. Ma się rozumieć, nie sprzedano, i trzeba było szukać spichrza, zboże z fur składać, wysypywać, potem znowu nasypywać i ważyć i do kolei wywozić przy następnej sprzedaży, co znacznie obniżało zyski. Gdy przy takiej manipulacji odzywał się Kazio, pan Mikołaj znowu się śmiał, mówiąc:

— Nic nie szkodzi i ja też mam swój rozum, panie dobrodzieju... "Wszystko się to opłaci, tylko trzeba żydów wytrzymać. Znam ja się na ich manewrach... Słuchajno, panie Kazimierzu, w handlu zimna krew dużo znaczy.

Tak skonfudowany, pomimo że mu się aż niedobrze robiło, patrząc na takie fanaberye współnika- dyletanta, dla miłego spokoju i jeszcze miłszych stosunków z Marynią, milczał, nawet nie wspominając o tem przeoi szwagrem. Taż sama historia, lecz jeszcze bardziej pocieszna była z rachunkami, gdy pan Mikołaj odebrawszy pieniądze za sprzedany towar, z całym arkuszem notatek wagi pojedynczych worków, składał to wszystko na stole i kazał sprawdzać, czy tak dobrze jest...

— Ot, tyle wziąłem, tyle się wyważyło, rachujcie panowie, bo ja nie znam się na tych potracaniach tary, na tych centnarach nowych...

Równie oryginalnymi, nawet naiwnymi były sprawozdania jego z funduszków, które brał z kasy na różne wydatki do Poręby-

— Cóż ja tu mam zdawać za rachunki! — odezwał się na pół obrażony, kiedy Kazio raz poprosił

0 nie. — Wziąłem tyle a tyło, mam reszty tyle, zatem wydałem tyle i basta!

— Ale nam potrzebne są szczegóły każdej partyi, żeby obliczyć, jaki jest zysk, czy strata.

• — Straty być nie może, bo zkadże!... kosztuje nas tyle, a bierze się wiś^c@j> to przecie wystarczy na koszta

1 coś zostanie....

— Zawsze dla porządku—odzywa się Stanisław— te szczegóły potrzebne, żeby właśnie wydatki nie przewyższały zysków...

— Ale co znowu?... No, a zresztą kiedy chcecie, to ja tu mam każdy cent zapisany... Wprawdzie notowałem ołówkiem i trochę się pościerało, ale ja panu po- dyktuję.

Siedli tedy, ifazio pisał i porządkował te wydatki, lecz jak się dodało wszystko razem, pokazało się, że ta reszta pana Mikołaja wcale się nie zgadza.

• — Co u licha- panie dobrodzieju, to nie może być. Pieniądze wspólne trzymam zawsze oddzielnie i centa na co innego nie bi^{or}§— Niechno pan jeszcze raz zra- chuje.

Zrachowano, sprawdzono — toż samo. Nastąpiła chwila milczenia, szlachcic się kręci i łysinę trze, a Sta- j &ław powiada:

| — Niechno pan dobrodziej sobie przypomni.

I — Cóż u licb^a, przecież nie wziąłem dla siebie! —

zawoła zirytowany, — daję słowo honoru wydałem tyle niezawodnie!

— Mój panie szanowny, któż pana posądza, ależ musi być na coś wydane...

— Dobrze, ja wezmę ten rachunek do domu i jeszcze go strutynuję.

Wziął, jednak już zły i zasadziwszy Marynię do pisania, trzymał ją do godziny trzeciej rano przy stoliku, nie mogąc wybrnąć z owego deficytu.

— Ot, panie dobrodzieju, masz tobie spółki! Oni tu siedzą sobie, jak u Pana Boga za piecem, a człowiek nie dosyć, że się naponiewiera po obcych kątach, nie dośpi, wyziębnie i tu się wystoi przy sprzedaży, a potem jeszcze mu się każą rachować... Dziesiątemu powiem: „Śpiewały jaskółki, licha warte spółki.”

Jeszcze cały następny dzień rachował i przypominał sobie, aż nareszcie przy pomocy Tadeusza wykończył ów memoriał zgodny ze stanem swojej kasy.

— No— mówi, oddając Kazimierzowi—jest. A teraz, niech też mi pan pokaże, ile też mamy zysku dotąd na tej pszenicy.

Kazio tylko spojrzął na jego rachunek, a poznał zaraz, że sklecony jest od biedy i pełen niekonsekwencji, jednak nic nie mówiąc, zaczął wyciągać różne pozycje dochodu z książek. Dziwna rzecz, iż pan Mikołaj, który tak mało pamiętał o wydatkach przez siebie czynionych, doskonale był poinformowany o każdej sprzedaży, o kosztach tej sprzedaży i tym podobnych, które wspólnicy ponosili. Pozycją za pozycją kontrolował, spoglądając w swoją książeczkę notatkową i sprostował nawet jeden wydatek komisowego dla faktora, który przez pomyłkę został o zł. 2 et. 50 wyżej zapisany.

Po zestawieniu wszystkiego i dodaniu kosztów przedstawionych przez pana Mikołaja pokazało się, że zysk na sprzedanych dotąd pięciuset korcach pszenicy, jest prawie żaden— coś kilkadziesiąt reńskich.

— To nie może być!—zawoła popędliwie, czerwieniąc się Okoniewski.

— Dobrze, ja jeszcze raz sprawdzę — mówi Kazimierz, tak samo zakłopotany podobnym rezultatem.

Przeszedł znowu wszystkie pozycje, a pan Mikołaj •stał nachylony nad nim i cyfry połykał.

—Dobrze jest!

— To nie prawda! Jakto, wzięliśmy blisko po dwa reńskie więcej za korzec, jak kosztowała pszenica, i gdzieżby się ten tysiąc reńskich podział?... Musi być pomyłka.

— Daję panu słowo, że niema!

— Et, co mi pan tam gadasz... Niema, niema... A dawno to wytknąłem panu to faktorne!..

— Bagatela...

— Ha, jak jest bagatela, to może być i więcej,.. takie rachunki...

Kaziowi aż pociemniało w oczach, tak mu krew z oburzenia nabiegła do głowy, więc zapomniawszy i o Maryni i całej uległości dla impetycznego szlachcica, ppowiada mu ostro:

— Naturalnie, zkąd ma być zysk, jeżeli pan sam wydałeś na koszta blisko półtora reńskiego na korcu. Proszę porównać cyfry...

I Szlachcic się zasapał, gryzmołąc różne liczby ołówkiem i niestety przekonał się, że tak jest... Na jego przerażonej twarzy widać było rozpacz; nie wie

dział, co odpowiedzieć, ale swoją drogą nie chciał się przyznać do winy.

— No to dobrze, a gdzież reszta?

— Rachuj pan. Ekspedycya na kolej od tyłu a tyłu worków—tyle...

— Otóż za wiele. Kto płaci po sześć centów,, kiedy jak ja zacząłem sprzedawać, to daję po cztery...

Taż sama i coraz więcej dotkliwa krytyka była przy innych pozycjach, czem zniecierpliwiony Kazio powiada:

— Proszę pana, myśmy płacili jak jest zwyczaj, a różnica na wszystkim może razem wynieść dwadzieścia guldenów, ale niech mi też pan dobrodziej wytłumaczy, jakim sposobem transport jednego worka z Poręby wypada o siedmdziesiąt centów więcej, niż było naznaczone i ugodzone?...

Jak raz na to wszedł pan Stanisław i rozżalony Kazimierz wytoczył całą sprawę przed nim. Ten wziął rachunek pana Mikołaja do ręki i tylko rzucił okiem, a zaraz znalazł mnóstwo niekonsekwencji.

— "Więc kosztą dostawy .kilku paczek worków pustych u pana wynoszą tyle, że za te pieniądze można- by trzy razy tyle nowych kupić. Patrz pan: furmanka do szukania żyda, adwokat na proces, znowu furmanka, znowu stemple...

— Musiałem — odpowiada pan Mikołaj — bo ja sobie lada łapserdakowi nie dam grać na nosie.— Proces się wygra, to się to zwróci...

Od słowa do słowa, zaczęła się głośna i niebardzo delikatna sprzeczka między spółnikami. Pan winien... Nieprawda, wyście winni, to o wagę, to o cenę... wszystko po pańsku... I byłoby, nie wiem do jakiej awantury

doszło, gdyby nie zjawiała się we drzwiach pani Wanda i nie wywołała męża pod pozorem ważnego interesu.

Energiczna ta kobiecina, znając gwałtowny charakter Stanisława, już go nie puściła więcej do kantora, a że i Kazio trochę ochłonął, więc pan Mikołaj straciwszy adwersarzy, namruczał się i nabzdąkał pod nosem, a w końcu rzuciwszy kilka impertynencyj młodemu wspólnikowi, cały zaperzony i karmazynowy, wyszedł do swego mieszkania.

Już to jak się bieda jaka raz zacznie, zwykła iść coraz dalej, bo nigdy jedno nieszczęście na człowieka samo nie przychodzi. Właśnie tego dnia rano odbyła się tajna konferencja Tadeusza z mamą, żeby od starego wydobyć kilkadziesiąt reńskich na sprawienie garnituru balowego dla młodego akademika, którego koledzy wynieśli na godność członka komitetu przyszłego balu prawników.

Ezczywiście trafili na dobrą chwilę — ledwo bowiem matka wystąpiła z tem do pana Mikołaja, on rzucił się cały w ogień i zasyczał, jakby przez żmiję ukąszony.

— Tak, rujnijcie mię, obdzierajcie jeszcze i wy! Tamci wyprowadzili mnie w pole ze swoją spółką... Śliczna mi spółka, świetne interesa!... Na pięciuset korcach pszenicy czterdzieści reńskich zarobku... a ty dawaj na fraki dla syna... Panowie, zachciało im się bawić w kupców z perfumami, w rękawiczkach i szkiełkami w oku... Ty stary, poniewieraj się po drogach, roz-

bijaj z żydami i chłopami, oszczędzaj, a oni płacą faktora, co kto chce...

Proszący przycupnęli już i ani słowa o fraku, a swoją drogą rozczarowany pan Mikołaj rady sobie dać nie mógł... Wszystko mu było złe; obiad zanadto pański.

— Tak, jedzcie, jak hrabiowie, smakujcie czarną kawę, a niedługo i na suchy kawałek chleba nie wystarczy... Czemużem wprzód nóg nie połamał, nimem poszedł do nich do tej spółki.

Żona parę razy próbowała mu perswadować, ale także dostała za swoje, że właśnie ona winna temu wszystkiemu, że mieszkają w mieście, że syna wychowała na panicza, że zachciewa się im strojów, przyjęć, balów, że gdyby byli wzięli tę małą dzierzawkę, która się trafiała, żyliby sobie spokojnie... Jednym słowem, powtórzyło się tutaj to wszystko, co się zdarza w stosunkach z ludźmi zarozumiałymi o ciasnej głowie, którzy nigdy sobie żadnej winy przypisać nie chcą, ale szukają innych winowajców. Pan Mikołaj w tej chwili zapomniiał o całej przeszłości i początku historii tej spółki, o swojej nieporadności, w sprawach handlowych, a tylko pamiętał, że jego spółnicy szastali pieniędzmi, opłacając hojnie faktorów; nazywał ich też ciągle dyletantami, fan-farenami, paniczami i t. p.

— Albo i ten facet woniejący dziegiem! — krzyczał chodząc wielkimi krokami po pokoju.—Jakiś pisa- rzyzna z banku, liznął tam trochę tej bazgraniny w książkach i on się podejmuje interesów... I on mnie starego człowieka, szlachcica i obywatela, chce uczyć rozumu, dyktować, jak mam pisać rachunki!... Furfant, panie dobrodzieju!

— Prawdę, ojciec mówi! — dogaduje pan Tadeusz, który nie może darować elegancji w ubraniu panu Kazimierzowi, a dzisiaj zawdzięcza zniweczenie swych planów co do sprawienia fraka. — Skończyło to parę klas ledwie, a jak o wszystkim rozprawia i drugich chce uczyć. Maryni naznosił tyle głupich książek...

— Acha, dobrze!—zawoła stary, wyciągając ją z strachu Marynię na środek pokoju. — Proszę ją acpanny wyrzucić to wszystko, no i rozumiesz panna żadnych czułości... Słuchaj no, jak on mi się tu pokaże, ani słowa... Słyszałaś? Ani słowa... Rozumiesz matko—mówi, zwracając się do żony.—A ty, panie akademiku, żadnych przyjaźni, to nie dla ciebie...

— Jak ojca kocham — odzywa się z ironicznym uśmiechem synek—ja byłem z nim dobrze tylko dla taty... i dla tych interesów...

— A bodaj one nigdy nie były...

— Mój drogi Mikołaju—odzywa się dotąd obojętna na te rzucania się małżonka — przecież macie tyle jeszcze zboża u Jaskuły, cóż tam te pięćset korcy...

— To też ja teraz, panie dobrodzieju sam wszystko biorę w rękę... i nie popuszczę... Dostyc tych eksperymentów wielkopańskich, tych szafek, pieczętek i innych facecyj...

Jakby na poparcie tych argumentów zagniewanego szlachcica, właśnie listonosz przyniósł mu list z Pesztu od Dawida. Gadatliwy ten agent donosił, że pierwsza partya wełny przez niego kupionej już jest w drodze do Wrocławia, że odebrał list od domu komisowego, któremu naprzód próbki posłał i ten list załącza...

— Otóż macie—mówi już udobruchany ze śmiejącymi oczyma — do czego człowiek sam się weźmie, to

idzie... Ten z Wrocławia pisze, że jeżeli wełna wszystka będzie taka, jak w próbce, to cena za nią 80 talarów za centnar, co na nasze pieniądze wypadnie 20 reńskich na czysto zysku na centnarze...

—• Chwała Bogu!—odzywa się żona.

— A tu dalej pisze Dawid, że znowu kupił 50 centnarów jeszcze taniej...

— Zawsze ja mówiłem ojcu—wtrąca Tadzio, żeby jakoś dobrze usposobić starego— że do handlu u nas tylko z żydami. Wolę ja z mądrym stracić, niż z głupim yarobić.

— Tak, prawdę mówisz, tylko ich trzeba trzymać w ryzach panie dobrodzieju i nie popuścić. Żydzi zawsze żydzi i każdy skubnie, jak może. Ale tak, jak ja, wszystkim sam dyryguję i nie pozwolę ani kroku bez mojej wiedzy, to można ich rozum i spryt wyzyskać... Bo, że mają rozum, to mają...

Naturalnie, że Dawid, donosząc o tem pomyślnem zdarzeniu i nowem kupnie, żądał przesyłki pieniędzy więc pan Mikołaj znowu do owego wielkiego go kufra i paczki owiniętej ręcznikiem. Otworzył i jakoś zdaje mu się, że w paczce powinno być daleko więcej papierów. Co to jest? — myśli opanowany strachem — tu ktoś musiał ruszać, gdzieżbym ja tyle wydał. — I zaczyna liczyć z gorączkowym pośpiechem, zaczyna przypominać sobie, ile wziął na to, ile wziął na to, a gdy jakoś rachunek taki nie może się złożyć porządnie, próbuje szukać mięt- Cij rupieciami, czy czasem gdzie się co nie uroniło.

Siedząc na krawędzi owego kufra, coraz niecierpliwiej wyjmując rozmaite staniki, szmizetki i zapasy bielizny, ręce mu drżą, a oczy mało na wierzch nie wyskoczą, upatrując, czy gdzie jakiego papieru nie dojrzy.

W takiej właśnie pozycji zastaje go żona, przechodząca w tej chwili przez pokój. ^x

— Mikołaju, cóż ty robisz najlepszego! — zawoła, zobaczywszy cały stos wyrzuconych- na podłogę rupieci.—Jakżeż można tak wszystko miąć i mieszać?

— A słuchajno matka — mówi, nie zważając na reklamacje żony—czy mi tu kto tego, nie zaglądał?...

— Do czego?

— No do tego, uważasz... Jakoś mi się zdaje, że coś tego jakby brakowało pieniędzy...

— Sfiksowałeś! — mówi zagniewana imość, odsuwając go przemocą od kufra i zabierając się do porządkowania—któżby ci tu zaglądał... Ja klucze noszę przy sobie!

— Ale pozwólże — mówi, patrząc się badawczo w twarz żony—ja muszę przeszukać. W tem coś jest...

— A ślicznie prowadzisz swoje interesa, że nawet nie wiesz, co masz...

— Ale moja matko, przy takich kłopotach to człowiek nie wie, czy włosy ma na głowie... Jednak powinno być więcej — mówi dalej, jakby do siebie — chybaby kto... bo na cóż jaby mógł wydać...

Żona widząc zakłopotanie, już mu nie przeszkadzała dalej, on też przegląda każdy gałganek, maca puste deski kufra i tak medytując ciągle, zabiera owe papiery, jakie są jeszcze, i wychodzi. We drzwiach ^potyka go wekslarz, lecz jakoś z miną nieszczęśliwą... (

— No cóż tam? — pyta go żywo — nasze Ost- Bahny?

— Jeszcze flau... ale pójdą, niech wielmożny pan będzie spokojny. To są Węgrów takie figle, bo te Węgry bardzo mądry jest naród... i kuponu nie chce płacić.

f,, — Przecie gwarantowane...

— To też ja myślę, że oni tylko tak się drożą... ale tymczasem ludzie się boją i spadły... Trzeba żeby wielmożny pan dopłacił bankowi, bo oni gotowi zastaw sprzedać.

— Ani myślę...

— Kiedy jest wezwanie — mówi żyd, wyjmując awizaeyą banku.—To nic nie szkodzi, niech się pan nie boi, żeby ja tyle szczęścia miał, ile ludzi w Galicyi ma te Ost-Bahny...

Skrzywił się bardzo pan Mikołaj, przeczytawszy wezwanie i chodząc z wekslarzem po dziedzińcu, zaczął się na seryo odgrażać rządowi węgierskiemu, jak on śmie nie płacić kuponów od swoich poręczonych papierów...

— Ja pójdę ze skargą wyżej—woła z zapalczywo- ści, pokazując palcem do góry.— Myślisz, że ja nie trafię... Ho, ho, byłem ja tam i wiem...

— Ale tymczasem wielmożny pan da 600 reńskich...

— Nie dam!

— To oni sprzedadzą Ost-Bahny i pan dużo straci.

— Nie dam ani centa!

— Niech wielmożny pan się zastanowi... Wielmożny pan będzie się prawował z węgierskim rządem, to jest długa rzecz i historia, a oni powiadają, że kolej nic nie ma, to na co mają płacić procenta?

— Niech pilnują, co mi do tego...

Kramarzyli się jeszcze w ten sposób dość długo.

Szlachcic odgrażał się, że niechno on pojedzie do Pesztu, to takich awantur dyrekcyi narobi, o jakich oni

jeszcze nie słyszeli, lecz jak zaczął mu powoli żyd przekładać i tłumaczyć, że to swoją drogą, a to swoją drogą, tak dał się przejednać i na teraz postanowił nie robić kłopotów rządowi węgierskiemu.

— No, dobrze, dałbym, ale nie mam! — i przy tej sposobności wylał całą żołąć swoją na spółników, opowiedziawszy wekslarzowi całą historią rachunków i zuchwalstwa pana Kazimierza.

— Ja to wielmożnemu panu dawno mówił, że oni nie znają się na handlu, a ten Fridler tylko ma wygodę z tego... No, jeżeli pan nie ma pieniędzy, dlaczego nie wziąć od nich, co się utarguje za zboże? Oni także muszą brać z kasy, bo za co by zakupili wczoraj rzepak?'

— Masz rację! A że ja też o tem nie pomyślałem. Jak mi Bóg miły, mojemu pieniądźmi robią i zarabiają, a mnie jak fagasowi jakiemu każą jeździć i rachunki składać... To ci filuty... ha!... I to powiadają, że żydzi nas wyzyskują... nasi panowie bracia jeszcze lepiej potrafią...

Nazajutrz był dzień targowy, ale z powodu braku zagranicznych kupców mały był popyt i ceny zboża nieco się chwiały. Pomimo tego i pomimo ostrzeżeń Kazia, żeby dzisiejszy transport złożyć do magazynu i czekać następnego targu, pan Mika aj sprzedał po niższej cenie dwieście korcy, pieniądze wziął do kieszeni i z rachunkiem się nie pokazał. Mija drugi dzień cały, nie zgłasza się, więc posyłają zapytać, czy gdzie nie wyjechał.

— Nie, jest, tylko ma jakieś interesa w mieście.

Nie chcąc iść do niego, Stanisław czatuje, jak będzie przechodził koło okna, a spotkawszy — pyta, co się stało ze zbożem?

— 113 —

— Sprzedałem.

; — Wiem, tylko gdzież rachunek i pieniądze?

— Wziąłem, bo mi było potrzeba, a rachunek zaraz przyszlę.

— Jakże tak można, przecież umowa...

— Myślę także kupić rzepaku na handel, panie dobrodzieju, więc te pieniądze zapiszcie panowie na mnie...

— Ależ kasa potrzebuje, mamy wypłatę za owies, któryś pan kupił...

} — Ech, znajdzie się...

— Niema tyle, proszę, niech pan liczy:

— No, no, no, jak się znalazło na kukurydzę na rzepak dla panów, to i na wspólny owies się znajdzie— dokończył, śmiejąc się dwuznacznie i poszedł.

— Okropność! Co ten człowiek z nami wyrabia! Nie wytrzymam, jak Boga Kocham, nie wytrzymam! — zawoła Stanisław, wpadając do żony.

— To się rozdzielcie!—mówi ona.

— Jak tu się rozdzielić, kiedy interesa powikłane i niepokojące... Ach ten Kazio, co on mi narobił!

Czem dalej, stosunki między spółnikami stawały się drażliwsze. Już zaprzestali uczęszczać do siebie, a gdy potrzeba było koniecznie porozumieć się w interesach, to odbywało się to zawsze z pewnymi docinkami, szczególnie ze strony pana Mikołaja, który stawał się już tak dalece impertynenckim, że Stanisław wysiłał się na cierpliwość, aby nie przyszło do awantury. Kobiety udając neutralność, spotykały się i niby to utrzymywały stosunki przyjaźni, lecz czuć było w tem wszystkim pewien przymus — o interesach rozdzielających mężczyzn nie bywało wzmianki. Pan Tadeusz, taki

A, Wilczyński;—Tom XX.

przedtem nadskakujący dla pani Wandy, obecnie zsolni- daryzował się z ojcein i spotkawszy kogo z sąsiadów, robił surową minę i ledwie raczył się ukłonić. Jedna Marynia najwięcej może na tem cierpiała, płacząc tajemnie po nocach, bo Kazio już nie śmiał zajrzeć do Okoniewskich; czekała więc przy oknie, kiedy wchodził lub wychodził z domu, i uśmiechała się smutnie z wszelką ostrożnością, czy kto z domowników nie widzi.

W domu, szanowny pan Mikołaj co dnia miewał rozmaite usposobienia. Raz był śmiejący się i ręce zacierał, to znowu ponury, wzdychający, gderliwy. A narzekał wciąż, że tyle wydają na dom, że wszystko chcą po pańsku, jakby nie żyli z grosza, a mieli u siebie w domu fabrykę pieniędzy.

Z Poręby tymczasem transporta zboża coraz stawały się rzadsze i mniejsze, chociaż droga znakomicie się poprawiła i o najem furmanki nie było trudno. Zostawiony tam dozorca donosił coś nie jasno, że w Porębie już kończy się n/r)cka pszenicy, a w innych folwarkach dopiero mają mtócić na wiosnę, bo jest przyłożona innym zbożem. Pomimo naprężonych stosunków między spółnikami, Paternacki odzywa się raz do pana Mikołaja:

— Ceny spadają, zboża niema, co to będzie?

— Ha, trzeba tam pojechać — odpowiada żało- śnym tonem.

— Niech pan jedzie.

— Dlaczegoż ja?

— Dlatego, że pan jesteś z nimi w przyjaźni, i że kiedym ja chciał wstrzymać wypłatę pieniędzy, pan zaręczałeś, że zboża mają tyle, co sprzedali.

¹— Jechać, to jechać, ale ja przecie Duchem świę

tym nie jestem, żebym miał za wszystko ręczyć. Ot, mówiło się, jak się wiele rzeczy mówi... Jednak pojedę, cóż robić, bo to już taka moja dola, gdzie nikt nie obce—tam stary Okoniewski.

Mówiąc to, udawał ofiarę szanowny pan Mikołaj, a właśnie jechał z wielką ochotą i przyjemnością. W mieście, załatwiwszy sprawę Ost-Bahnów, nudził się kapitalnie, a do Poręby coś go zawsze ciągnęło. Czy ten spokój i wygodki życia, czy partyjka ze stryjem starszkiem, czy polowanie, za którym przepadał, dosyć, że czuł się tam jakby w swoim żywiole. Nikt mu głowy nie kołatał, nikt nie strofował i nie wołał o pieniądze, nie widywał nienawistnych sobie spółników, nie słyszał w nocy turkotu wozów pod oknami, a w dodatku mógł czasami wyburzyć karbowego Błażeja lub nawyrnyślać ludziom, czyszczącym pszenicę.

Kiedy zajechał przed ganek w Porębie, przyjęto go jednozgodnym okrzykiem: „A, pan Mikołaj, nasz kochany, zacny, przyjemny, nieoceniony pan Mikołaj!... Przecie... przecie...” — wołali wszyscy trzej panowie, podając go sobie kolejno w objęcia. I zaraz wołać Błażeja, Kaspra, Piotra, zabieraj rzeczy pana Okoniewskiego do oficyny, biegnij, niech podają obiad, a w piecu napalić, a niech gospodyni da świeżą pościel — słowem tak się cieszyli, jakby ten pan Mikołaj co najmniej był bezdzietnym wujaskiem, który jeszcze testamentu nie napisał. Ten pomagał odwiązywać zielony szal, skrzyżowany na piersiach gościa, ten ściągał futro z rękawów, a sam rządca, jak wiadomo, blizki krewny wielkiego pana, nie wstydził się wziąć do futrzanych butów pana Mikołaja i to z taką energią, że szlachcic nie mogąc

się oprzeć jego natarczywości, z krzesłem jeździł za nim po całym pokoju.

— Otóż to mi są poczciwi ludziska — myślał sobie Okoniewski, prowadzony z tryumfem do jadalnego pokoju. Tu już czekał go stryjasek z lampeczką domowej jarzębinówki, a z wazy dymiącej na stole wydobywał się kwaskowo dymny zapach barszczu sporządzonego na wędzonce.

Pytaniom, jak się ma pani dobrodziejka panna Mary a dobrodziejka, rozumny i dystygowany prawnik, co słyhać w mieście, co słyhać na wielkim świecie—nie było końca. A gdy jeszcze pokazały się ulubione pana Mikołaja flaczki z imbirem i butelczyna znanego zieleniaku—nie można się dziwić, że szlachcic czuł się, jak w siódmym niebie i nie widział ani słyżał żyd- ka dozorca, który jak duch Banka parę razy zjawił się przy drzwiach jadalnego pokoju z raportem.

— I otem, potem! — mówi Okoniewski, dając mu znać, żeby sobie poszedł, choć widocznem było, że żyd ma coś ważnego zakomunikować swemu handlowemu pryncypałowi.

Po obiedzie cygaro dobre i czarna kawa, po kawie partyjka, potem herbata i kolacya z omówieniem projektu jutrzejszego polowania na lisy i to z naganką, potem wielka polityka europejska i wojna na wiosnę, wreszcie odprowadzenie łaskawego gościa do oficyny, gdzie panie dobrodzieju ciepło, jak w ulu, a miękko, jakby człowiek leciał gdzieś w przepaść.

Na drugi dzień żyd dozorca znowu czatował na pana Mikołaja, ale się widzieć nie mógł i dopiero wieczorem, kiedy panowie wysiadali z sanek z dwoma ubi-

temi lisami, gwałtem potrafił go odciągnąć na bok i szepnąć:

- Wielmożny panie, pszenicy już niema...
- Głupi jesteś!—mruknął pan Mikołaj...
- Ny, to co ja mam tu robić?
- Siedzieć i czekać!—odpowiedział, wchodząc do dworu.

Czy pan rządcą dosłyszał, czy też dorozumiał się, co żyd mógł powiedzieć Okoniewskiemu, dość, że sam po" kolacyi wystąpił z tą kwestyą, że chociaż pszenicy w Porębie już niema, a ta, co była, haniebny w końcu dawała omłot, to zaraz rozpocznie się młocka banatki w Sękocinie, drugim folwarku, jak tylko odrzucą groch, który na niej jest ułożony...

Pan Mikołaj oświadczenie to przyjął łaskawie do wiadomości, a mimo, że brzęczały mu słowa spółnika o tych spadających cenach—nie śmiał ambarasować tak uprzejmych gospodarzy, jakby to zrobił pierwszy lepszy handlarz... To nie po obywatelsku—myślał sobie—cóż oni temu winni, że pszenica źle wydawała. Czy to się nie zdarza w gospodarstwie jeszcze gorzej... Człowiek rachuje w jesieni, że będzie miał tyle a tyle, a potem na wiosnę inaczej się pokaże... Zresztą i tak zboże musi pójść w górę, bo niepodobna, żeby Bismarck tak długo cicho siedział.

Zaspokoiwszy w ten sposób handlowe swoje sumienie, napisał list do Paternackiego i rezydował dalej w Porębie, grając po całych dniach w preferansa. Coś czwartego dnia z rana, kiedy jeszcze leżał sobie w łóżku, czekając na kawę, a na kominku ogień buchając jaszkrawym płomieniem, skłaniał do drzemki, przyszedł stary wujaszek z rozciągniętymi na widelkach skórami

lisów. Gawędzili to o tem, to o owein, oglądając, gdzie dostał lis postrzał, aż z tego naraz skreca staruszek na córkę pana Mikołaja.

— Powiadam acanu dobrodziejowi, ten nasz Józef (tak jest na imię rządcy) nie może się odchwalić, co to za miła dziewczeczka...

— Swojego chowu, panie dobrodzieju...

— Bo to powiada, fertyczne, zgrabne a wesołe. Hm... że mu zajechała do głowy, to zajechała...

I zaraz potem zaczął wychwalać pana Józefa, co to jest za człowiek, z jakiego to rodu, no i nie bez grosza... A proszę aspana dobrodzieja, podjął się być (rządcą, tylko z przyjaźni... I wiesz asan dobrodziej, chcę mu puścić cały majątek w dzierżawę...

Pan Mikołaj słuchał, i jakoś przyjemnie mu się robiło na sercu, a choć gadaniny starego nie wypadało brać za formalne swatanie, to jednak miarkował, że to wszystko na wiatr się nie mówi.

— Ten, to przynajmniej człowiek do czegoś—myślał w duchu — anie jakiś dziegiem woniejący sowizdrzał! zarozumialec, pobierający czterdzieści reńskich na miesiąc... Zaraz znać krew panie dobrodzieju... to nie syn aptekarski.

Dlatego też, gdy zeszli się razem na obiad, pan Mikołaj już nieco familiarnie zaczął traktować owego rządcę, a oczy mu się tak jakoś dziwnie śmiały, gdy dostrzegł pewne z jego strony zakłopotanie.

— A słuchaj no panie Józefie — odzywa się, zapaliwszy cygaro— podobno chcesz wziąć Porębę w dzierżawę?

Rządca obejrzał się na wszystkie strony i skinął na niego, żeby szedł do oficyny.

— Nie chciałem przy służbie mówić o takich rzeczach, bo to zaraz plotki, ale rzeczywiście mam ochotę i właśnie pana dobrodzieja, jako tak wytrawnego i rozumnego gospodarza, chciałem prosić o radę.

— Hm, dlaczegóż nie! Bierz, ziemia wyborna, aby nie drogo...

— Ech, co do ceny, to z Jaskułą sprawa łatwa. On chce się wyprowadzić do miasta i w najgorszym razie zatrzymać Porębę ze dworem, żeby miał gdzie przez lato mieszkać z dziećmi, a ja bym wziął dwa folwarki. Tylko uważa pan dobrodziej, boję się...

— No, czego?

— Trochę to zawiele na moje fundusze. Trzeba- by roczne dać z góry, interesa tak wymagają, i dlatego gdyby zdarzył się ktoś porządny a uczciwy na Sękocin, ja bym wziął Wolicę... Człowiek sam, bez gospodyni, to jakoś trudno brać tyle na siebie.

— Hm—mruknął znowu Okoniewski, spojrzawszy filuternie w oczy mówiącemu.— Dlaczegóż by się kto nie znalazł na Sękocin?

— Dworek jest i ogród, i rzeka też, a ziemia od zagona do zagona pszeniczna...

— Hm, może ja bym sam...

— O, panie dobrodzieju, jakieby to było szczęście i dla Jaskuły i dla mnie, gdybyśmy mieli tak miłe i zacne sąsiedztwo...

h — Zobaczymy—odpowiada na to Mikołaj—trzeba się rozpatrzyć i z kobietą muszę pogadać, bo to panie ona ciągnie do miasta, aby bliżej do Tadzia... zwyczajnie jak matka za jedynakiem.

— Niech pan dobrodziej się zdecyduje, bo w i orz

mi pan dobrodziej, że handle to nie dla naszego brata szlachcica.

— Niestety, wiem ci ja o tem, wiem. A szczególnie te spółki, to już kością mi w gardle stoją.

I folgując swemu żalowi, Okoniewski szeroko i długo rozgadał się o spółnikach, jacy to są ludzie chciwi a interesowni, jak to posługują się nim, a sami nic nie robią, jak on się musi pilnować na każdym kroku, bo to rozmaicie bywa...

Na drugi dzień pojechali obadwaj obejrzeć Sęko- cin, który się bardzo Okoniewskiemu podobał, a przy tej sposobności była mowa o paniach, że będą miały wszelkie wygody, pan Józef zaś tak miłe sąsiedztwo, za którym od dawna tęskni.

— To trzeba się ożenić!—występuje pan Mikołaj.

— Ba, żeby to można znaleźć pannę i z dobrego domu i po sercu, a tymczasem miło mi będzie korzystać z tak porządnego sąsiedztwa. Spodziewam się bowiem, że pan dobrodziej nie zamknie drzwi sąsiadowi...

To mówiąc, pan rządca dziwnie się jakoś rozczulił, że pocałował starego w rękę, Okoniewski znowu objął go za szyję i także pocałował w czoło.

Po tem niejako milczącym oświadczeniu się o Marynię i milczącej aprobachie starego, zeszła rozmowa na fundusze potrzebne do tej dzierżawy.

— Ech, jakoś to sobie poradzimy — przerywa stary...

— A panu dobrodziejowi, będzie łatwiej — mówi znowu rządca—bo jak mi się zdaje, zabraknie nam trochę zboża. Rachowaliśmy, że wszystkie kopy będą dawać po półtora korca, a tu powiem panu prawdę, na ostatku ledwie po półtory ćwierci.

— No, a cóż będzie z tamtymi?...

— Jakoś im się odda, może trochę innym zbożem, a zresztą cóż robić, jak niema...

Pan Mikołaj nieco się zamyślił i kto wie, czy nie przypomniały mu się ostrzeżenia Stanisława. Żał mu było spodziewanych zysków, na które już liczył.

— Z panem dobrodziejem łatwiej pójdzie—rzecze pan Józef, jakby czytając w jego myśli — sądzę, że o te zyski stracone ułożymy się... Jaskuła jest bardzo za tem. A co do tamtych panów, to niech się sami upominają, wszak to oni ten interes rozpoczęli...

Uwaga ta trafiła bardzo do przekonania Okoniewskiego i już od tej chwili widział się dzierżawcą w Sęko-
cinie, a swoją córkę panią Józefową z Wolicy. Zaczął tedy rozmyślać, ile on może włożyć w gospodarstwo, gdzie kupić woły i konie, gdzie kazać wozy robić, a wreszcie, czy się nie uda odkupić pary kasztanków, które, wyprowadzając się z Borowicy, sprzedał sąsiadowi.

— Zacni i poczciwi ludziska — kończył zawsze wieczorne swoje dumania — oni mi krzywdy nie zrobią.

W mieście z chwilą wyjazdu szanownego wspólnika kontrola nad postępowaniem Maryni od razu zwolniła, a choć pan Tadeusz, niby generalny zastępca ojca, jeszcze się chmurzył, widząc rozmawiających Kazia ze swoją siostrą, to względy finansowej natury zdołały udobruchać tego tak surowego dozorcę. Stary Okoniewski mało co pieniędzy zostawił zonie, więc z konieczności musiała się udać o zaliczkę do kasy spółników, z czego także i on korzystał więcej, niżby wypadało. Kochankowie zatem odżyli trochę, a ta swoboda czasowa kazała im prędko zapomnieć o tem, co było i nie myśleć o tem, co może nastąpić. Widywali się znowu codzień, chodzili do teatru, na przechadzki, a nawet Marynia zaczęła uczyć się ślizgać na łyżwach, w czym Kazio i brat Tadeusz, uchodzący za mistrza w tej sztuce, gorliwie jej pomagali. Uszczęśliwionej dziewczynie ani przez myśl nie przeszło, że stary ojciec wspólnie z panem rządcą Józefem, kują tam w Porębie plany na jej uszczęśliwienie, nie puszczając jakiegobądź przeszkody.

Owa uroczysta i pełna błogiej rozkoszy cisza trwała coś ze dwa tygodnie, a choć pan Stanisław niepokoił się, że zapowiadanej z drugiego folwarku banatki nie widać, to Kazio, zapomniawszy o całym świecie, puszczał mimo uszu ciągle utyskiwania szwagra, jakby te ani jego osoby, ani jego interesów nie obchodziły.

Aż tu pewnego dnia, wśród tak pogodnego nieba spadły naraz dwa pioruny w postaci dwóch listów, które odebrali jednocześnie prawie pan Stanisław od dozorca żydka z Poręby, że pszenicy już do młócenia niema, a pani Okoniewska adresowany do męża z Wrocławia. Ten drugi list był rekomendowany, a na kopercie miał nadpis firmy handlowej braci Eibenhut i spółka.

Stanisław, przeczytawszy relacją dozorca, rzucał się jak opętany, wymyślając na wszystkich, którzy go do handlu namówili, a szczególnie na Kazia i Okoniewskiego. Pokazało się bowiem, że nawet połowy sprzedanej pszenicy ci panowie nie dostawili, więc teraz procesuj się, proś i upominaj o swoje pieniądze i narażaj na różne szyderstwa. Posłano po Fridlera, którego za-raz na pierwszym wstępie obrzucił pan Stanisław gradem zarzutów i wymówek. Żyd ze stoicką powagą i cierpliwością wytrzymał pierwszy atak, dziwiąc się, jak panowie mogą w takich rzeczach mieć pretensją do faktora, który nie jest ani rządcą ani karbownikiem u dziedziców, mających zboże do sprzedania.

— No, co pan chce odemnie! Mój interes jest zarobić komisowe... Jak ja nie mógł ręczyć za panów, czy będziecie mieli tyle pieniędzy na to kupno, tak samo nie mogę zapewnić, czy oni mają tyle zboża...

Nie było co argumentować dłużej, lecz zaczęto radzić co tu zrobić i stanęło na tem, że Fridler pojedzie z listem pana Stanisława do Poręby, żeby jakoś wyrozumieć, co oni myślą.

W domu znów Okoniewskich ten pilny list z Wrocławia również niepokoił panią Mikołajową. Mało wiedziała o interesach męża z Dawidem, bo szlachcic nie bardzo jej się zwierzał, więc gdy przyszedł Tadzio z prelekcyi, postanowili list odpiczczyć i przeczytać. Pismo było w języku niemieckim i takim stylem handlowym pisano, że Tadzio ani odczytać, ani zrozumieć nie mógł, poproszono więc pana Kazimierza.

— Donosi dom handlowy z Wrocławia — mówi Kazio — że odebrał awizo nadesłanego sobie z Pesztu transportu wełny z polecenia pana Okoniewskiego, ale że wełna jest ordynaryjna i małej wartości, więc nie może zapłacić nałożonej na nią przez wysyłającego zaliczki. Zostawia ją przeto do dyspozycyi w magazynach kolejowych.

— To nie do mojego męża! — odzywa się Okoniewska — zkądże mój mąż wełnę posyła z Pesztu — w tej chwili bowiem zapomniała o Dawidzie i jego operacyach.

— Jeszcze tu w dodatku pisze, że poprzedni transport dotąd nie sprzedany i, że wełna jest nieczysta, mieszana, zupełnie inna, niż była w próbce — pyta więc, co ma z nią robić, bo więcej jak 46 talarów za centnar nie dadzą.

— Mój drogi panie — rzecze znów Okoniewska — to nie do nas... Niech pan będzie łaskaw odpisze tym panom, że...

— Mameczko! — przerywa pan Tadeusz — a może

to do ojca, bo pamięta mameczka, że tata mówił raz
o węgłach, że posłał Dawida gdzieś do Węgier...

— Prawda, może być, a czy to co złego w tem, co oni piszą?

— Zdaje mi się, że nie bardzo pomyślne, jeżeli nie chcą odebrać z kolei. Radzę przeto posłać ten list do Poręby, bo czem dłużej towar będzie leżał w magazynie, tem większe narosną koszta... Właśnie wysyłamy tam Fridlera.

Pan Tadeusz, dołączwszy parę słów od siebie, kopertę napowrót zakleił i jeszcze wieczorem dnia tego odebrał pan Mikołaj wspomniane pismo. Nie czytał go zaraz, bo właśnie panowie grali w preferansa, a karta szła mu szalona, więc dopiero przyszedłszy na noc do swego pokoju, rozciął kopertę i zdziwił się nie- pomału, jakim sposobem w liście z Wrocławia znajduje się kartka pisana ręką syna.

Okoliczność ta i wzmianka, że z porady pana Kazimierza wysyłają ten list umyślnym, już go zirytowała, a gdy przeczytał jeszcze nie bardzo zrozumiałe dla niego wezwanie i cenę 46 talarów za centnar, uczuł się mocno zaniepokojonym. Nie wiele tedy myśląc, wraca napowrót do dworu z prośbą o furmankę na jutro,

i właśnie trafia na walną naradę obydwóch panów z Fridlerem.

— Pan dobrodziej wie, co tu pisze Paternacki — odzywa się rządcą, pokazując list.

— A niech sobie pisze, co chce!—zawoła zirytowany—mam ja już dosyć tych spółników...

— Grozi procesem...

— To ich kupiecka sztuka panie dobrodzieju.

— A pan dobrodziej aprobeje?

— Ja? albo ja waryat! Mało mam innych kłopotów na głowie, żebym w nowe wchodził...

— Więc co do pana możemy być spokojni?

— Naturalnie, przecieżeśmy mówili, że zostanie moja część na tę dzierzawę...

Jaskuła i rządcą uścisnęli serdecznie rękę szlachcica, furmankę na dodnia zapowiedziano i pan Mikołaj cały wzburzony już nie kładł się spać do łóżka, lecz tę noc przechodził, odczytując kilkanaście razy owe fatalne pismo z Wrocławia.

Przyjechawszy do domu, wpadł jak bomba do pokoju i od razu wybuchnął z pretensją do żony, kto i kiedy upoważnił ich do otwierania listów do niego adresowanych.

— Myślałam, że coś pilnego — tłumaczy się żona. — Zresztą pan Kazimierz, który się na tem zna...

— Tak samo, jak wy!—krzyknie, oczyszczając się z drogi.—Ciekawość kobieca, nic więcej...

— I Tadzio radził...

— Ja jemu dam rajcować tutaj! Student niech pilnuje książki...

— A jednak tyle razy prosiłam, nie wdawaj się z tymi żydami... Nie słuchałeś i teraz masz!

— No, co mam co? — krzyczy już cały ponsowy, stając przed żoną. — Że ten facet, fanfaron, nagadał ci bredni, to zaraz: prosiłem nie wdawaj się... Moja kochana, zostaw mnie interesa, a sama" pilnuj swego... Ja, wiem co robię.

— I wybiegł do miasta zaraz i dalejże szukać przyjaciela wekslarza, aby mu treść i znaczenie owego listu wytłumaczył. Zaprosiwszy go na piwo do restauracji, siedli w kąci i rozpoczęło się czytanie. Żyd

powiedział mu to samo, co Kazimierz i radził, żeby dać komuś polecenie w Wrocławiu do wykupienia towaru, inaczej koszta składu na kolei, dojdą do ogromnej cyfry.

Pan Mikołaj usłyszawszy to, o mało że się nie rozplakał. Zwiesił głowę nad stołem i kompletnie odrętwiał. Widząc to wekslarz, zaczął go uspokajać, że to nie jest tak źle, że chwilowo mogły spaść ceny i żeby zatelegrafować o wyjaśnienie do Dawida.

Tej myśli uchwycił się pan Mikołaj obiema rękoma, więc zabrawszy wekslarza do domu, razem z Tadeuszem wykoncypowali telegram, który natychmiast do Pesztu wysłano.

Nie życzę nikomu doświadczać podobnego stanu zaniepokojenia, w jakim znajdował się nasz szlachcic podczas tych długich godzin, gdy czekał na odpowiedź z Pesztu. Skryty z natury, usposobienia zawsze despotycznego, jak każda zarozumiała miernota, nigdzie sobie miejsca nie mógł znaleźć. Cała rodzina musiała siedzieć cichutko po kątach, bo wszystko go drażniło, wszystko mu przeszkadzało, a najmniejszy objaw współczucia żony wywoływał gwałtowny wybuch gniewu i szereg narzekań, że to nikt inny, tylko ona i ten syn jej Tadzio są winni temu, że się wyprowadził do miasta... u Kolacyi nie tknął, rozbierać się nie myślał, a tylko chodził, kombinował, ów list niemiecki czytał, i niech odezwie się dzwonek przy bramie, on wskakuje na stół, otwiera lufcik, wysadza przez okienko głowę i pyta, czy to nie telegram do Okoniewskiego.

Tak zeszła cała noc wszystkim, bo i kobiety martwiąc się, płakały po cichu, a p. Tadeusz zlorzeczył w myśli sąsiadom, którzy podług niego, rozpoczynawszy handel, byli powodem, że ojciec puścił się na takie spe-

kulacye. Nareszcie dzień zaczął się robić, szlachcic już nie mógł wytrzymać i nałożywszy futerko, pobiegł do biura telegrafów. Lecz panu Dawidowi w Peszcie widać nie było tak pilno, bo jeszcze pana Mikołaja wytrzymał w takim rozdrażnieniu do samego południa.

Telegram jest—szlachcic czyta i nowe życie wstępuje w niego. Dawid oburzony donosi, że to nie może być, aby dom Eibenhut i Spółka był tak niedelikatny, że to jakaś pomyłka że telegrafuje do nich. Proszę być zupełnie spokojnym—dodaje w końcu—list objaśni, wena idzie w górę.

Gdy zobaczyła pani oknem, wracającego męża ze śmiejącymi się oczyma, aż się przeżegnała z radości, i czempredzej kazała podać obiad. Pan Mikołaj jadł, jak wilk zgłodniały, zapewnienia Dawida były dlań wystarczające, potem jak się położył spać po obiedzie, tak już na kolacyą nie mogli go rozbudzić.

Tymczasem pod wieczór nadciągnęli z Poręby pan Jaskuła z rządcą i Fridlerem.

— Nie chcę ich widzieć!—zawołał pan Stanisław, kiedy mu dano znać, że jutro rano przyjdą do kantoru.

— Stasiu, jakżeż można — perswaduje żona—czy się ich boisz?...

— Nie boję się, ale wszystko mi obmierzło, nie mogę już myśleć o interesach.

— Więc jakże będzie? Stracisz, jak się nie dopilnujesz... Przecie masz obowiązki...

— Niech stracę, a nie mogę...

Z porady Kazia zaproszono na konferencyą jednego z miejscowych adwokatów. Był to młody jeszcze ale zręczny, przytomny i rozsądny prawnik, więc napomknąwszy owym panom o dowodach, że sprzedając taką

partyą zboża, wiedzieli, że jej mieć nie mogą z tylu a tylu kóp—skłonił do zgodnego załatwienia sprawy— Zresztą sam właściciel Poręby, widząc krzywdę kupujących, od razu deklarował uczynić wszystko, co w jego możliwości.

Do układów przywołano pana Okoniewskiego. Ten zaczął ni to, ni owo, ja się zdaję na szlachetność pana Jaskuły, który mi krzywdy nie zrobi i jak nie może zaraz oddać, ja poczekam.

— Więc pan odstępujesz od układów? — pyta go adwokat.

— To jest panie dobrodzieju—mówi zakłopotany, spoglądając na rządcę—ja tego... jeżeli.

Pan Józef odciągnął go na bok i zaczęli coś szeptać, a skutkiem tej narady oświadczył, że co do jego trzeciej części on zrobi oddzielny układ z panami, i zwalnia ich od kontraktu.

— Niech pan da piśmienne zapewnienie — mówi adwokat...

— I... nie trzeba, my się tam już pogodzimy.

Cały dzień jeszcze trwały układy. Panowie wychodzili, wracali, udawali się ze swej strony do innego adwokata i stanęło na tem, że zamiast pszenicy, której już niema, Jaskuła oddaje wszystkie inne zboża, zbywające od potrzeb miejscowych po cenach umówionych, a gdyby i to nie wystarczyło na pokrycie całej należyto- ści, resztę z procentem sześć od sta wypłaci za rok z pierwszeństwem znowu zakupna nowego zbożni.

— Od złego dłużnika biorą się i plewy!—zawołał Stanisław, gdy mu przyniesiono notaryalny i formalnie sporządzony^układ do podpisu.—Przynajmniej możemy się teraz pozbyć miłego spółnika i ostatecznie obliczyć.

A. Wilczyński.—Tom XX.

— Dzięki inteligencji handlowej twego brata— mówi potem do żony—wychodzę na tym interesie z obrwanymi połami. I dobrze mi tak, bo człowiek nigdy nie uwierzy, dopóki sam się nie sparzy... Zapłaciłem frycowe, ale przynajmniej wielki ciężar spadł mi z serca, pozbywam się niedołęznego spółnika. No, pójdź Wandziu, nie chmurz się, niech cię uściskam, bo teraz dopiero odetchnąłem swobodnie.

Tego samego wieczora było u państwa Okoniewskich wielkie przyjęcie. Obaj panowie ze wsi bawili tam do późna w nocy; pan rządca ofiarował Maryni pudełko cukierków i tak się jakoś do niej przysiadł, a stary takie prawił dwuznaczniki, że biedną dziewczynę szczególniejszy strach ogarnął. Kręciła się tu i tam, zastępując matkę, lecz wszystko jej szło na opak. Matka się gniewała na tę nieporadność i ciągle dawała znaki, żeby to lub to podać, to przynieść, tego prosić. Chodziła więc, jak błędna, a serce jej się ścisnęło, oddechu nie stawało, i nogi tak się plątały, że kilka razy o mało nie padła zemdlona.

Po wyjściu panów i ucałowaniu jej rączek z dobitnym spojrzeniem w oczy przez pana Józefa, stary Okoniewski, który podobnie, jak goście jego, miał trochę zapruszoną głowę, zbliżywszy się do córki, wziął ją z karesem pod brodę.

— A co, tęgi chłopak z Józefa, hę?... Pieczesz raki, hę?... podoba się... Dobrze, dobrze, moja pieszczołko, to mi przynajmniej człowiek, a nie jakiś chłystek woniejący dziegiem.

— Proszę tatki, niech tatko da mi pokój!—mówi z pewną niecierpliwością w głosie, wywijając się lekko z przed niego.

— Az jakiej rodziny! — prawi swoje Okoniewski, gładząc z powagą wąsy. — Bierze cały klucz Porębski w posesyę, z którego i my tam coś oberwiemy... Po- fwiadam wam—mówi już zwracając się do żony i syna— biorę Sękocin od nich. Czteryście morgów ślicznego czarnoziemiu, dworek, jak pałacyk, ogród, rzeka i takie zacne sąsiedztwo... Już pomiędzy nami wszystko ułożone, obliczyli mi po pół reńskiego zysku na pszenicy, której nie dali i dzięki Bogu, że się wycofam z tej miłej spółki. Niech handlują dalej. Tak tedy matko dobrodziejko na wiosnę marsz na wieś, a potem... może się i wyprawi weselisko... Cha, cha, cha, czegoż uciekasz!—woła za Marynią—będziesz panią i basta! — Powiadam wam— odetchnąłem, gładko się wycofam z interesu, a ci niech sobie handlują dalej...

Trochę zawczasie wyrwał się ze swoim odetchnięciem pan Mikołaj, bo nie dalej, jak na drugi dzień rano odebrany list z Pesztu od Dawida, tego odpoczynku nie zapewnił. Uczciwy ten i zacny agent rozpisał się aż na trzech stronicach, najprzód, że jest chory na duszność, której się nabawił, zwiedzając magazyny z wełną i dlatego lekarze kazali mu brać ciepłe kąpiele w wodzie, która jest gorąca na drugiej stronie Dunaju; parę tygodni zatem musi tu pozostać. Dalej, że z wełną jest trochę flau, bo Australczycy przyłynęli do Amsterdamu na trzech okrętach, ale ich wełna jest sucha, to oni nie zrobią takiego interesu, jak myślą. Następnie dołączywszy odpowiedź telegraficzną z Wrocławia od domu Eibenhut et Comp., który jest bardzo znaczny dom, objaśnia, że oni, nie znając nowego klienta Okoniewskiego, nie mogą wełny odbierać; radzi tedy, żeby pan Mikołaj pojechał sam do Wrocławia i z nimi się poznał, to wszystko będzie dobrze. Wreszcie posyła mu oryginalne rachunki na kupione partye wełny, zapewniając, że pochodzą również od bardzo znakomi

tych i bardzo bogatych firm handlowych w Peszcie, jak zaś wróci po wyzdrowieniu, to z reszty pieniędzy złoży rachunek.

Po przeczytaniu tego listu na twarz szlachcica znowu pons wystąpił i nic nie mówiąc nikomu, zabrał wszystkie papiery i poszedł szukać wekslarza. Po drodze doręczono mu drugi list z Wrocławia, w którym ostatecznie wzywają go, aby wełną, zostawioną mu do dyspozycji, rozporządzał.

Nowy niepokój, nowe narady już z przybraniem trzeciego żyda, dawniej handlującego wełną. Powiadają mu: Niech pan jedzie natychmiast do Wrocławia i coś z tym transportem zrobi, bo inaczej kolej sprzeda za bezcen na licytacji.

Po obliczeniu rachunków przysłanych przez Dawida pokazało się, że przynajmniej trzeba tysiąc parę set reńskich mieć w kieszeni, żeby wykupić towar i fracht zapłacić.

— No, a gdzież są moje pieniądze! — zawoła wzburzony szlachcic — które posłałem Dawidowi.

Obliczono i Dawida, a z tego znowu wyszło, że on około ośmiuset guldenów zatrzymał u siebie, z których obiecuje złożyć rachunki, jak przyjedzie...

Okropność, co działo się z panem Mikołajem po tem wszystkim! W oczach mu się zaćmiło i o mało nie zemdlał, aż żydzi musieli go ratować w piwiarni, nim przyszła rada z kąd tu wziąć pieniędzy... Wprawdzie miał jeszcze w swej skrzyni kilka listów zastawnych, ale te już nie wystarczały, zaś akcyi Ost-Bahnów i innych papierów spekulacyjnych ruszać niepodobna, bo kurs ich tak niski, że zmieniając je, musiałby pół na pół stracić... A jednak wełnę ratować trzeba!...

Rozgorączkowany i cały wzburzony wpada do kantoru spółników.

— Słuchajcie panowie—mówi, udając spokój— dajcie-no mi z kasy tysiąc reńskich na mój rachunek.

Obaj spółnicy spojrzeli na niego wielkimi oczyma.

— Z jakiej racyi? — odzywa się po chwili zdumienia Stanisław.

— Z takiej, że mi się należy. Spółka już rozwiązana...

— Ale nie obliczona.

— A cóż tu długo rachować!—mówi nieco podniesionym głosem, wydobywając swoją notyskę z kieszeni.— Za zboże wzięło się tyle, moja trzecia część tyle... wzięłem na to tyle...

— Za pozwoleniem — przerywa mu Stanisław — a wydatki?

— No; co mogą wynosić te wydatki, parę set reńskich...

— Jednak trzeba obliczyć, tak nie można...

— Więc proszę o tysiąc reńskich teraz, a resztę jak się skończy...

— Najprzód tyle się panu w żaden sposób nie może należeć, powtóre zapomniałeś pan, że mamy owies jeszcze kupiony przez spółkę...

— Ja się zrzekam tego kupna...

— Ale ja się na to nie zgadzam...

— Więc nic nie dacie?

— Dopóki nie obliczymy—nic!...

— Więc proszę liczyć zaraz, bo ja koniecznie tych pieniędzy potrzebuję...

— To się nie da—wtrąca Kazimierz — nie ma

my rachunku od dozorczy z Poręby; są różne efekta wspólne...

— Jaki mi rachmistrz z pana!—ofuknie z szyderczym uśmiechem. — Cóż to na obliczenie tysiąca guldenów potrzeba miesięcy?

— Proszę pana, niech pan się nie unosi i nikomu nie ubliża!—zawoła nieco żywiej Stanisław.—Co się panu należy, będziesz miał do centa wypłacone, jak likwidacja się skończy.

— Bójcie się Boga! — mówi już zmieniając front pan Mikołaj — kiedy ja gwałtem potrzebuję, inaczej będę zgubiony...

— Otóż na taką mowę mogę panu tak samo otwarcie powiodsić, że w kiesie mimy wszystkiego parę set reńskich i te potrzebujemy na wydatki bieżące...

— Więc gdzież się podziały pieniądze!

Kazio zaczął go objaśniać, przerzucając kartki książki kasowej, gdzie i na co większe kwoty wydano, lecz szlachcic ani był w stanie zrozumieć, co on mówi do niego... Stał i patrzył bezmyślnie, jak człowiek, któremu zaczyna mącić się w głowie...

— Więc nie macie litości nad człowiekiem, który ginie!—zawoła, chwytając czapkę...

— Daję panu słowo honoru, że pieniędzy nie mam!

— Hm, ja wiem, że nie macie... dla mnie nie macie, ale na rzepak, kukurydzę, macie!—krzyknął, wybiegając z pokoju i z furją trzaskając drzwiami.

Zona i córka przeraziły się okropnie, zobaczywszy, jak stary wtoczywszy się do pokoju runął na krzesło,, głowę pochylił i ręce załamał...

— Co ci jest?

— Co tatce się stało?

— Zgubiony!... zabity, zrujnowany!... A bodaj- bym był tej godziny nie dożył, nimem wszedł w te interesa... Zlituj się matko nademną—błaga, wyciągając ręce do żony— idź do nich, prosz, niech dadzą tysiąc reńskich... Ci ludzie bez miłosierdzia, chcą, żebyśmy z kijem poszli!

I rozplakał się stary, jak dziecko...

W sercu Maryni coś zadrżało żywiej. Chwyciła chustkę na ramiona i nie mówiąc ani słowa, pobiegła do pani Wandy.

— Kochana, droga pani, ratujcie ojca! — zawoła, całując ją gwałtownie po rękach— on zmysły straci!

Ani jedna, ani druga nie wiedziały nic więcej nad to, że tu o jakieś tysiąc guldenów idzie. Zawołano więc Kazia z kantoru i ten ich objaśnił, jak rzeczy stoją.

Przez czas opowiadania biedna dziewczyna patrzyła na niego tak błagającym i rozpaczliwym wzrokiem, że bez namysłu postanowił zrobić dla jej ojca, co tylko jest możebnem.

— W kasie, wiem, że mało jest pieniędzy i ja niemi dysponować nie mogę, ale co mam swoich, daję tymczasem.

To mówiąc, wyjął pugilares z kieszeni, wyrzucił z niego cały swój majątek, którego pokazało się coś dwieście guldenów. Pani Wanda poszła również z prośbą do męża.

— Panie Kazimierzu, jaki ty jesteś dobry!—mówi panienka, chwytając go za rękę — ja tego nigdy nie zapomnę...

— Zawstydzasz mię pani — odpowiada, pieszcząc jej rączkę w swoich dłoniach. — Za co?... że pożyczam

dwieście reńskich. Żądaj krwi i życia mego, a gotów jestem dać go w każdej chwili. Szczęście, jakie mi da- je twoja miłość, nie ma żadnej ceny.

Stanisław sprzeczał się sam dość długo z żoną, jednak dał, co miał w tej chwili—trzysta reńskich, które zabrawszy Marynia, pobięła do domu.

— Jest proszę tatki pięćset reńskich! Jak tatkę kocham, dali wszystko, co mieli; pan Kazimierz dwieście, bo przy mnie wytrząsał cały pugilares, a pan Paternacki trzysta...

Rozjaśniły się trochę oczy zdesperowanego szlachcica, lecz i w tej nawet, tak uroczystej chwili, nie mógł się pozbyć uprzedzenia i podejrzeń do młodego Kazimierza, albowiem przeliczając przyniesione pieniądze, odezwał się z ironią:

— Mój Boże, czterdzieści reńskich bierze na miesiąc, a ma dwieście na zawołanie... Co to za wzór oszczędności!

Słowa te bardzo przykre zrobiły wrażenie na córce i wstyd ją ogarnął przed samą sobą za ojca. Westchnęła tylko, pokręciła główką i wyszła zadumana z pokoju.

W jaki sposób poradził sobie pan Mikołaj, żeby zebrać potrzebną sumę, to chyba wekslarz jego mógłby nas objaśnić. Wiem, że chodzili oba z panem Okoniewskim po bankach, żeby Ost-Bahny zastawić, ale ich przyjąć nie chciano i dopiero jakiś lichwiarz zdecydował się na trzy miesiące z małym bardzo procentem, bo tylko po trzy od sta na miesiąc, dać niewielką zaliczkę. Bądź co bądź jeszcze tego dnia wieczorem wyjechał do Wrocławia, zabrawszy na swój koszt wekslarza jako doradcę.

Po wyjeździe starego, stosunki Kazia z Marynią znowu się polepszyły. Czy pani Okoniewska wtajemniczoną była w plany małżonka co do przyszłości córki i ich nie aprobowała, czy też po prostu do Kazia miała sympatyę—dość, że nie broniła mu przychodzić, jak dawniej wieczorem na herbatę, z czego nadzieje ich zaczęły się odżywiać. Dziewczyna w tak krótkim czasie znajomości z Kazimierzem, jakby cudem jakim przedzie-rzgnęła się w myślącą poważniej kobietę.

Chwile pokoju i lepszej otuchy pewnego dnia przerwane zostały przybyciem z Poręby pana rządcy Józefa, który znów z pudełkiem cukierków i dwoma wazonikami kwitnącej kamelii, cały wyświeżony, zjawił się w mieszkaniu państwa Okoniewskich. Z dyplomatyczną uprzejmością, już prawie wrodzoną kobietom, przyjęła ona te podarki, chłodno i obojętnie, niby to podziwiając piękność kwiatów, i częstując wszystkich owerni cukrami, co jednak pan Józef brał za dobrą dla siebie wskazówkę. Zaproszono go na obiad, pan Tadeusz asystował mu z familiarną grzecznością, w charakterze przyszłego szwagra, czem zachęcony konkurent sadził się na komplementa, pilnując każdego ruchu i spojrzenia Maryni, żeby jej wody nalać do szklanki, podać półmisek i targować się do upadłego, że potrawy ona naprzód brać winna.

Rozmowa toczyła się prawie tylko o wsi, a szczególnie o polowaniu, które pan Tadeusz namiętnie lubi, o przymiotach psów, o gonitwach chartów, kiedy dają zwroty szarakowi, jak przez starego zająca czasem przeskakują, jak zachodzą drogę na przełaj i t. p., ale po obiedzie pan Józef upatrzył chwilę, kiedy mógł mówić

snm z Marynią i po dłuższych preambulacyach wystąpił z formalnem oświadczeniem.

Szaro już było w pokoju, więc pan Józef nie dostrzegł niezwyklej bledości twarzy Maryni, ale za to, stanąwszy blisko, może słyszał przyspieszone jej tętno serca. Nastąpiła chwila wzajemnego i bardzo dla stron obu kłopotliwego milczenia. Przerwał je pan Józef.

— Wszakże szanowny ojciec pani mówił już o mnie... to jest o moich zamiarach?

— Nic nie mówił—odpowiada suchym głosem Marynia.

— Mam przecież pewność, że sprzyja moim zamiarom, a zdaje mi się, że i pani nie może mi być tak bardzo nieprzychylną...

— Owszem, szanuję pana, wysoko cenię i wdzięczną jestem, że ojca tak panowie lubicie...

— A zatem pani się zgadza...

— Bardzo mi przykro, ale nie! — odparła stanowczo dziewczyna.

Pan Józef ustąpił krok w tył, jakby przestraszony niespodziewaną rekuzą.

— Dlaczegoż? Czyż jestem stary, czy ułomny, czy letkiewicz...; albo ze złej rodziny?... Dzięki Bogu, mam swoje fundusze, biorę całą Porębę w dzierżawę od Św. Jana i proszę pani, nikt mi nic nie zarzuci...

— Ja tego wytłumaczyć panu nie mogę, dlaczego .. Owszem, nic panu z jego przymiotów nie ujmuję, tyłka nie mam dla niego takiej sympatyi, jakiej potrzeba między osobami, które się chcą pobrać.

I postąpiła parę kroków ku drzwiom z taką powagą, jakby to była już wytrawna dama salonowa, a nie siedemnastoletnia dziewczyna. Pan Józef usiłował je

szcze raz przedłożyć swoje sen ty men ta, ale Marynia szła, nie odpowiadając wcale, a właśnie w tej chwili zbliżyła się matka. Pan Józef, pokraśniały, jak burak ćwikłowy, chwycił za czapkę...

— Nie zostanie pan u nas na herbacie? — mówi grzecznie staruszka.

— Nie, upadam do nóg! — zawołał obrażony i skonfudowany, a skinąwszy ledwie głową zdziwionej gospodyni, wybiegł przez kuchnię do sieni, gdzie spotkał go pan Tadeusz.

Zaczęły się dopytywania, co to się stało, dlaczego, potem wyszli obaj na dziedziniec i długo chodzili, rozmawiając żywo, a pan Józef rzucał się, jak szczupak, rękoma gestykulował, obracając wciąż ku mieszkaniu państwa Mikołajów.

— A, ślicznie się spisała Marynia! — zawoła, wpadając do pokoju młody prawnik. — Tak, niech mama pieści, niech mama pochwała waryacye — mówi, widząc, że stara trzyma na kolanach głowę zanoszącej się od płaczu panienki i przesuwa ręką po jej włosach.

— Dałbyś pokój! — ofuknie zagniewana...

— Najlepiej tak... Ojciec się bardzo ucieszy, gdy wróci... Oto są skutki romansów i sentymentów poetyckich... Odrzucić taki los!...

— Wstydz się Tadziu...

— Ja się moich przekonań nie wstydzę... Eozum powinien człowiekiem rządzić, a nie jakieś niedorzeczne sentymenta... Kogo ty znajdziesz lepszego? panna bez posagu, bez edukacyi!...

Dotknięta boleśnie i rozżalona, Marynia milczała, a stara Okoniewska ostro zaprotestowała przeciw zasadom syna.

§1 H H

_____ — Maseczka ^{m{1} zaw .}
f odparł Tadzio - a ja mówię ^{SW0Ję sercow3} filozofią— nas gubił i jeszcze zgubił ^{I' 8ent^ment} alizm
zawsze

f odważniej i z lepszą bronią' a ^{Walką o * kto 1 - No, to ty tak b_e t6n}
miał żenić! ~ odpowie ^{włT*2, jak} Mdziesz a lzy stanęły w oczach. ^{' 8erce S3} § Jej ścisnęło,
przytuliła się do niej, czaiao*^{t Z&S Jeszcze} Odziej ugodziły ją w serce. ^{' ze słowa s J^na} tak boleśnie
HL — Ja wiem, co to wszwi
lej rzecz sw<ję pan Tadeusz ^{:/naGZj!~prC>Wad2i da,,} zakręciła d głowę... j>iek ^{' to ta} fryzowana
małpa

rek bez innych studyów ^{Porównanie!} Jakiś pisa- ' obywatel zi^ski. ^{Pr2Jzn' a Zarozumialec>} Wągiar,
a to lo mieć takiego szwagra ku " ^{26 WStjd by mi b J"} zrobię, nieci on się tylko th ^{Ale Ja wiem>} co że
mu drzwi i precz! ^{J , 1362} ceremonii poka-

~ Sk óczyłeś? — ^{zał) , .} oczyma—wiśc ja ci teraz pj ^{JG arj?nia Już * suchemi rym tak się}
pogardliwie od, ^{TM6TM' Z? ten pisaret>} o któ- mawjedny»palcurozum/^{WaSZ, bez} studyów, więcej
jest człowiek z szlachetnem' ^{W Całsj,, głowie>} że to student, powtarzający iak ^{h a ^} niedowarzony

Papuga cudze opinie

Tadei*sz chciał ^{wjd0,,,} ■ ... matka przerwała tę nieprz*! ^{repllkować} ostro, ale dysputę, ^{^reszą i}
^{mi}§dzy rodzeństwem

wkrótce się upamiętał ^{tluJ D0ZUI%<*} Da filozofa,

0 przyszłość siostry, a ^{tru**0, Z®} głównie szło ^{mu dla mnie t>akże przyjemD^o "T^6 ~ ^wi}, iz}

¹ obywatela, niż pierwszego), ^{szw*gra} bogatego

zye matki V końcu tyle ^{zrnk->} ^{ZGg0, Prośba *} perswa-

* , ze postanowiono nie mó-

wić nic o tem ojcu, w sekrecie bowiem zwierzyła się synowi, iż może Marynia jeszcze się namyśli.

Dopiero w kilka dni powrócił z Wrocławia pan Mikołaj, niezmiernie zkwaszony i zamyślony, choć bez żadnych gwałtownych wybuchów. Nie powiedział ani słowa, jak mu interesa poszły, tylko na wspomnienie agenta Dawida czerwieniał, zęby zaciskał, a z siwych oczu rzucał pioruny.

Przez całe dwa dni siedział w swoim pokoju i ciągle coś rachował, wzdychał, a tak był przykrym dla domowników, że Marynia nie śmiała nawet pójść i prosić go na obiad. Widocznie, że z temi rachunkami nie mógł sobie dać rady, a wekslarzowi przestał ufać, skoro trzeciego dnia z bardzo uprzejmą i serdeczną miną zjawił się w mieszkaniu pana Kazimierza. Co mówili z sobą i co robili przez cały ten wieczór i dwa następne, trudno się było dowiedzieć; Kazio bowiem na liczne pytania siostry odpowiadał, że dawszy słowo honoru Okoniewskiemu na dotrzymanie tajemnicy, tego złamać nie może. Natomiast widziano, że pan Mikołaj kilka razy na wieczór przybiegał zaaferowany do domu, że szukał rozmaitych papierów i listów to w biurku, to po kieszeniach surdutów, że gniewał się na nieporządek w domu i ruszanie jego dokumentów przy ścieraniu kurzów.

Konferencye tajne skończyły się i pan Mikołaj razem z Kaziem udał się do tego samego młodego adwokata, który tak był mu pomocnym w załatwieniu sprawy z Jaskułą; skutkiem czego stary znowu, pomimo gorączkowej ruchliwości, z jaką cały dzień biegał po mieście—mniej jakoś rozpaczał i zdawał się być lepszej myśli. Na nieszczęście jednak, nie było mu przeznaczonym długo zażywać spokoju. Panowie z Poręby, trze-

ka, im to przyznać, sumiennie wykonywali umowę ze Stanisławem zawartą i regularnie nadsyłali transporta żyta, jęczmienia, prosa, i to w gatunkach dobrych, należycie oczyszczonych. Ceny po chwilowej stagnacji znów nagle podskoczyły w górę, na targu ruch się ożywił, i nasi panowie z dobrym zyskiem sprzedawali zaraz od jęki. Okoliczność ta wielce smuciła pana Mikołaja, kwasząc powracający dobry humor. Nie mówił nic, ale z oderwanych słówek, z sarkastycznego uśmiechu, z częstych westchnień znać było, iż żałuje, że nie przyłączył się do wspólnego układu. Napisał zatem do Poręby, donosząc, jak to dobrze na tej facyendzie spółnicy jego wyszli i prosił o ostateczne zdecydowanie co do posesji S^kocina, bo wiosna za pasem i on musi się przygotować.

Ukończono też rachunki likwidacyjne spółki, z których pokazało się, że przynajmniej straty nie będzie żadnej. Stanisław, aby za jednein cięciem zakończyć już wszelkie stosunki, zaproponował, żeby Okoniewski wziął sobie oddzielnie swoją trzecią część kupionego owsa, a co do rozdziału różnych pozostałych efektów, kasy ogniotrwałej, worków i innych, żeby je wspólnie sprzedać i pieniędzmi się podzielić. Kiedy Kazimierz wykończony już bilans oddawał panu Mikołajowi, ten go zapytał:

- No, jakżeż tam rezultat?
- Nieszczęśliwy. Strat niema, ale i zysk bardzo mały; dobrze i tak...
- A ileż mi się jeszcze należy od panów?
- Nie wiele, zależy to będzie od tego, co się weźmie za sprzedane utensylia. Może ośmdziesiąt, może i sto guldenów.

— Jakto z trzech tysięcy? — rzeknie porywczo, gdy na twarz występuje mu zwykła różowa chmura.

— Tu jest skrupulatnie obliczone pańskie eon- to... — mówi, wyjmując z papierów odpowiednią kartkę.

Szlachcic rzucił okiem na szereg cyfr ustawionych w kolumnie: winien, zobaczył na dole sumę i rzucając niegrzecznie papierem na stół, zawoła:

— Nieprawda! Ja tyle nie wybrałem, ja pamiętam każdy cent.

— Możemy sprawdzić.

— Dobrze, sprawdzajmy! — powtarza rozdrażniony, gdy ręce zaczynają mu się trząść, jak w febrze.

Przeszli kilka pozycyi, pan Mikołaj nie oponował.

— Dnia tego a tego—czyta Kazimierz—na żądanie pani dobrodziejki 80 reńskich.

— A to co?

— Gdy pan był na wsi, przysłała prosić!

— Kto ją upoważnił?

— Ja już nie wiem, tylko sędzę, że nie wypadało nam odmówić.

— Tak... to i moja imość zaczyna mię skubać! Dobrze ja wezmę te rachunki i przejrę—mówi, prędko zbierając papiery.

Jak wicher, poprzedzający burzę, wpada pan Mi kołaj do swego mieszkania.

— A' to wyborne! — zawoła, stojąc przed stoliczkiem, przy którym obie kobiety siedziały z robótką— matka tak robisz, że bierzesz pokryjomu pieniądze na mójrachunek! Jak Boga kocham, świat się już kończy...

Zona zaczyna się tłumaczyć, że wyjeżdżając zostawił jej mały zapas, że siedział na wsi kilka tygodni, że potrzebowała koniecznie na to, na owo, lecz on ani

słyszy tych usprawiedliwień, tylko wciąż krzyczy, że wszyscy go niszczą, że ostatni pot jego pracy marnują na zbytki, fatalaszki, stroje i wyprawianie bali.

— Zachciało wam się futer, historyi, mebli, temu fraków, więc teraz macie! Jesteśmy zrujnowani, jesteśmy nędzarze i pójdziemy o kiju po żebranie.

Gdzie tylko spojrzął koło siebie i zobaczył jakiś sprzęt lub sprawunek nowy, wyciągał go na środek i rzucał, i wymyślał, że to jest marnotrawstwo, zbytek, próżność, nierząd i t. p.

Burza taka z zawieruchą, grzmotami, szumem i świstem, którą zapewne dobrze zna wiele z czytelniczek moich, trwała więcej niż kwadrans. Pani Okoniewska, złożywszy na robótkę okulary, patrzyła wciąż na niego na pozór spokojnie, jednak z mimowolnych drgań rąk i skulenia jej twarzy, znać było, że ta po większej części apatycznie zachowująca się kobieta, silnie jest wzburzoną.

— Skończyłeś?—pyta go, podnosząc głowę — po- zwólże teraz i mnie parę słów powiedzieć. Otóż nie my i nasze zbytki cię zrujnowały, lecz twoi przyjaciele faktorzy: Dawidek na spekulacyach węgla, wekslarz na handlu papierami.

— Ocho, już musiał ten honorowy panicz z przeciwka coś wam napaplać...

— Przepraszam, nikt mi nic nie paplał, tylko także mam oczy i uszy i wszystko widzę i słyszę. Myśmy nie zmarnowali majątku, biorąc ośmdziesiąt reńskich, i przyznam ci się żałuję, że się tak oszczędzała i martwiła dlatego, aby twój Dawidek miał za co odbywać kurację paromiesięczną w Peszcie, wekslarz swo-

A. Wilczyński.—Tom XX.

jej żonie kupować tumaki... Tam szukaj przyczyny strat, a nie[^]w domu... Czy nie ostrzegałam tyle razy!..., Z atakującego, pan Mikołaj zeszedł teraz na odpierającego ataki, i to coraz słabiej, coraz niezręcznie. Odgrażał się, że żydom swej krzywdy nie daruje, że ich do więzienia powadza, że to jeszcze niema nic straconego, a w końcu przypomniawszy jakiś pilny interes do miasta, chwycił za czapkę i drapnął. Po jego wyjściu, rzeczywiście jak po burzy zapanowała smutna a głęboka cisza. Stara matka wzdychała ciężko, ocierając łzy, spadające jej na utrzymaną robótkę, co widząc Marynia, rozplakała się sama na dobre. Jeden tylko Tadzio nie płakał, lecz gryząc ze złości paznogie, chodził i mruczał od czasu do czasu, jak to jest źle, gdy majątek dostanie się w nieudolne ręce.

Upłynęło parę dni, stary milczący i wzdychający trutynował owe rachunki, to sam, to z córką i synem, a prócz tego jeszcze nosił się z nimi po mieście, radząc się kompetentnych osób i prawie gniewał się o to, że wszystko było w porządku.

Swoją drogą, narady tajemne i wycieczki z Kazimierzem do adwokata ciągnęły się dalej; ztąd niezmierna czułość do młodego spółnika. A gdy jeszcze pan Stanisław zgodził się przyjąć wszystkie efekta po cenie kosztu, dla miłej zgody, Okoniewski uściskał Kazia i w głowę go pocałował, nazywając jedynym przyjacielem swoim i opiekunem.

Cóż więc dziwnego, że wobec tego wszystkiego przyszła ochota młodym zakochanym przypuścić szturm do starego w sprawie sercowej. Uradzono, że Kazio napisze list i prześle go jutro rano przez służącą, że matka będzie uprzedzoną/, a jeżeli wszystko pójdzie do* brze, Marynia zapuka do drzwi, rozdzielających wspólne mieszkanie, aby Kazio stawił się osobiście i prośbę swoją powtórzył.

Cały wieczór, aż do pierwszej godziny po północy, układał nasz bohater osnowę tego listu, zaczynał, przekreślał, darł i znowu próbował inaczej, aby to było krótko, jasno a przytem malowało dokładnie jego intencje i uczucia. Skreślił pobieżny szkic swego życia, przyznał się do błędów młodości, objawił zamiary na przyszłość, i prosił o pozwolenie bywania jako narzeczony, mówiąc, że wtedy poprosi uroczyście o rękę panny Maryny, gdy będzie mógł zapewnić jej odpowiednie utrzymanie. Skończył, przeczytał parę razy, przepisał i zakleił w kopercie, żeby mu nie przyszła ochota jeszcze raz przerabiać. Potem wyjąwszy medalionik, dany mu przez nieboszczkę matkę, pomodlił się gorąco, prosząc o błogosławienie jego zamiarów, a choć czuł się niezmiernie znużonym i rozstrojonym, nie mógł zasnąć do samego rana.

Taki sam niepokój i takie same ciche a gorące modlitwy wydobywały się z piersi Maryni, której oczy również nie mogły się do snu skleić, więc gdy zaświtało, ubrała się szybko i pobiegła na ranną mszę do poblizkiego kościoła. A był to poranek już na pół wiosenny, chłodny jeszcze, ale cichy, wesoły, budzący w sercu każdego jakieś nieokreślone uczucia nadziei i szczęścia. Skowronki śpiewając, wzbijały się do góry ponad zamiejskie miogrodami, zielona trawka szydłowato zwinięta i obciążona brylantami rosy, na gwałt wydobywała się z wilgotnej ziemi, pączki bzów tureckich, choć jeszcze mocno posiniałe, rozpychały zieloną osłonkę, aby kwiat swój pokazać słońcu—jednem słowem, cała natura powstając z zimowego łoża, zdawała się jak małe, rozpieszczone dziecko otwierać śmiejące się i wyciągając pulchne rączka, aby objąć szyję ukochanej matki...

Więc też i Marynia z pewną otuchą w sercu powracała do domu, nie wątpiąc, że dziś właśnie usłyszy z ust ojca przychylny wyrok, który stanowić ma o szczęściu całego jej życia.

Pan Mikołaj już wstał i siedział przy stole weselszy, niż zwykle, rozkoszując się wyborną kawą, która dzięki staraniom Maryni, nie była nigdy tak smaczną, jak dzisiaj. Co kto poruszy kławkę od kuchni, jej serce drży i oczy zwracają się ku drzwiom, czy służąca nie podaje listu... Nieznośny ten Kazio, czego on tak się opóźnia—myślała sobie, gdy wtem...

— List do pana — odzywa się głos kucharki, a czerwona jej ręka składa podłużną laską zapieczetowaną kopertę na stole.

Maryni zaciemniło się w oczach, chciała wybieść do drugiego pokoju, ale nogi odmówiły na razie posłuszeństwa.

— Od kogo?—pyta Okoniewski, wyciągając rękę.

— Z Poręby, proszę pana, posłaniec czeka w sieni.

— Ach niegodziwy Kazio!—szepnęła dziewczyna, szarpnąwszy chusteczkę, którą miała na szyi.

Stary kazał sobie podać nożyczki, wyjął okulary z futeralka, założył je na uszy, a postąpiwszy parę kroków ku oknu, rozciął kopertę... wyjął list i zaczął czytać. Marynia wiedzona przecuciem, wlepiła w niego wielkie swe oczy i widziała, jak z razu uśmiech ironiczny przebiegał mu po twarzy, a potem twarz ta zaczęła przybierać kolor różowy, który od szyi podnosił się coraz wyżej na czoło.

— To tak! •— zawoła, zwracając się do matki —• tajemnice przedemną! Kto was upoważnił do dawania odmowy Józefowi?

A widząc, że obie kobiety milczą ze spuszczonei oczyma, przyskoczył do córki:

— A czy ty wiesz... — syczy na nią z pobladłemi od gniewu oczyma—coś ty zrobiła? Marynia stała wciąż milcząca i blada, jak płótno...

— Zabiłaś ojca, zabiłaś całą rodzinę! Teraz nie może być mowy o Sękocinie— jesteśmy kompletni nędzarze!...

— Proszę kochanego tatki — odważyła się przemówić, zbliżając się, aby go pocałować w rękę — ja nie mam do niego żadnej sympatii.

— Romanse!... Nie masz? Otóż ja ci powiadam ja twój ojciec, że musisz mieć!

— Nie mogę—odrzekła śmieiej—a przysięgać fałszywie i kogobądź oszukiwać nie chcę...

— Musisz!—krzyknie, trzęsąc się nad nią.—Ja te wszy stkie fantazyje romansowe potrafię wypędzić z głowy.

— Nie mogę!—powtarza swoje uporczywie. — Za nikogo nie pójdę, ale i za niego nie pójdę!

Pan Okoniewski wstrząsnął się cały, a rozogniona twarz jego przybrała kolor fioletowy...

— Mikołaju, nie zapominaj się — wszak to twoje dziecko!—zawoła żona.

— Ja nie mam dziecka! To żmija, którą wychowałem w zanadrzu...

— Proszę pana list!—daje się znowu słyszeć głos kucharki i czerwona ręka podaje także w wielkiej kopercie złożone pismo Kazimierza... Trzeba mieć takie fatalne szczęście, jak ten biedny chłopiec, żeby właśnie w tej chwili wybrać się ze swoją prośbą!

— Od kogo znowu? — pyta szorstkim głosem Mikołaj, gdy dyplomatyczny pan Tadeusz, stojąc w otwar-

tych drzwiach drugiego pokoju, uśmiecha się ironicznie do siostry i daje znaki głową i ręką, jakby mówił: „masz, coś chciała!”

— Od panów z przeciwka—odpowiada służąca.

— Cóż znowu nowego!... Listy przez sień.

Już nie rozcinał koperty, ale ją rozerwał z pasyą i zaczął czytać...

— Ot, wyszło szydło z worka!—mówi szydlerzo, podając list żonie.—Czytaj, to twoja nauka!... Dlaczego, zaraz pozwolę!... Tadeuszu, pióra i atramentu!... Dobrana para... On się postara o utrzymanie dla żony... Panna Maryanna go kocha...

Pani Mikołajowa przeczytała list i milcząc, oddała napowrot mężowi, który umoczywszy pióro w kałamarzu, siadł gwałtownym ruchem przy stole.

— Drogi, najukochańszy tatku! — zawoła w tej chwili, klękając przed nim Marynia — wstrzymaj się, ja go Kocham!

— Dobrze, dobrze—mruży, rozmachując się piórem—jak mu też odpiszę...

— Mikołaju, zastanów się! — dorzuca, zbliżając się matka—chcesz zabić dziecko...

— Ona nas wszystkich mogła zabić na starość, dlaczegóż ja?... Dobrze, dobrze — mówi z pozornym spokojem, odpychając córkę, kładącą głowę na jego kolanach.—Ot, czytaj, napisałem odpowiedź...

Marynia spojrzała, na liście Kazimierza, tuż pod jego podpisem, stały wielkimi literami nakreślone słowa:

„Dziękuję za zaszczyt... póki ja żyję. — Nie. — Gdzie moje pieniądze?! Okoniewski.”

— Odnies temu panu!—zawoła na służącą, otwie-

rając drzwi do kuchni i podając złożony list bez koperty... A teraz, moje sentymentalne damy, uszyjcie dla mnie i dla siebie torby, pójdziemy na zebranie! Ja nie. mam już nic!...

Rozgorączkowany, cały blady i drżący, z błyszczącymi oczyma czatował tymczasem pan Kazimierz przy owych drzwiach zamkniętych, odgraniczających sąsiednie mieszkanie. Nie mogąc nic dosłyszeć z dalekiej rozmowy w trzecim pokoju, przykładał ucho do drzwi, lecz prócz ogólnego gwaru i głośnych uderzeń własnego serca nic więcej nie usłyszał... List z odpowiedzią pana Mikołaja służąca podała pani Wandzie, która nic a nic o tym stanowczym kroku brata nie wiedziała. Zdziwiona, przeczytawszy wypadkiem jego spowiedź i tyle lakoniczną decyzją sąsiada, zdrętwiała ze zmartwienia.

— Kaziu!—zawołała, wchodząc do pokoju, w którym on czatował na dane hasło Maryni...—jakiś ty jeszcze dziecinny... Masz, co ci odpisał ten niedźwiedź, ale proszę cię nie bierz sobie tego do serca... To wariat, widocznie był w pasyi...

Kazio chwycił za papier, przeczytał i zachwiał się na nogach.

— Kaziu, jakieś mężczyzna! Cóż znowu—perswaduje siostra—nie trać nadziei, on sto razy jeszcze zmieni swoje zdanie...

Ale wszystkie perswazyje te były napróżno. Młody człowiek poprostu osłupiał. Mimo energicznych usiłowań pani Wandy, aby go zatrzymać w pokoju, wyrwał się z jej rąk, list schował do kieszeni i chwyciwszy kapelusz, wybiegł na ulicę. Przez okno jeszcze widziała go siostra widziała także i Marynia, jak biegł szybkim

krokiem gdzieś ku rogatce, a potem zniknął, skręciwszy na pola.

Wypowiedzieć, co się działo w sercach obu kobiet przez cały ten dzień, gdy Kazimierz nie wracał, nie podejmuje się moje pióro. Pani Wanda wysłała męża po obiedzie, aby szedł szukać gdzieś nieszczęśliwego młodzieńca, czy czasem coś sobie złego nie zrobił, a Marynia z twarzą bladą i suckem okiem stała wciąż w oknie, nie odpowiadając wcale na różne pytania, którymi ją matka i braciszek zarzucali. Dopiero o zmierzchu, kiedy jej pokryjomu pani Wanda dała znać, że Kazio, powróciwszy, zamknął się w swoim pokoju — odetchnęła, a łzy rzęsiste puściły jej się z oczu.

Wieczór był równie piękny, jak poranek. Światło sierpa księżycowego delikatnie oświecało błękitny horyzont nieba, zasiany milionem mrugających gwiazdek. Zapach surowizny zimowej mięszął się z zapachem wiosny, którą tylko odczuć można, ale nie opisać. Chcąc rozerwać trochę Marynię, zaproponowała jej matka przechadzkę po dziedzińcu kamienicy. Dziewczyna dała się wyprowadzić i chodziła tam i napowrót, trzymając pod rękę matkę, lecz rozmowa jakoś nie mogła się między nimi skleić. Okno pokoju Kazimierza wychodziło także na ten dziedziniec, a że roleta nie była zupełnie spuszczoną, mogło ciekawe oko panienki zobaczyć, co się tam wewnątrz dzieje.

Kazimierz siedział przy biurku i coś z żywością pisał. Od czasu do czasu tylko, położywszy pióro, brał się rękoma, za głowę, wstawał, to załamywał ręce i znowu siadał, pisał, zaklejał koperty, a potem przerzucał w szufladach biurka papiery, jakby tam jakieś robił porządki. Marynię ta jego gorączkowa czynność i de

sperackie ruchy niezmiernie przerażyły. Nie umiała sobie wytłumaczyć, co on takiego robi, ale jakiś nieokreślony strach coraz bardziej ją opanowywał, ściskając serce.

Nareszcie matka zaproponowała powrót do pokoju. Marynia szła, nie mogąc oderwać oczu od oświetlonej szyby, gdy nagle, jakby wiedziony jakimś tajemniczym prądem magnetycznym, Kazimierz wyszedł z pokoju i stanął tuż obok matki i córki. Ujrawszy przed sobą Marynię, stanął i milczał, jak gdyby trudno mu było wydobyć z piersi słów¹a. Marynia, zdobywając się na odwagę, pierwsza przerwała milczenie.

— Panie Kazimierzu!—rzecze prędko, podając mu rękę, a w tem słowie jednym przebijały się i boleść, i trwoga serdeczna, i pełne niepokoju zapytanie...

— Wyjeżdżam za parę godzin...

— Dokąd po co?...

— Muszę. Czuję, że gdybym jeszcze został tu dłużej dzień jeden, nie wytrzymałbym... Skazany jestem na wszystko, co życie ma najgorszego... Ja nie mara żadnej nadziei, żadnej iluzji...

Marynia uściśnęła mu dłoń silniej.

— Ufaj pan Bogu, ufaj własnym siłom i... mojej wytrwałości — dodała ciszej, a blada twarzyczka zapłonila się na chwilę.

Oczy Kazimierza ożywiły się na te słowa, jakby promieniem niespodziewanej otuchy.

— Jadę... —rzecze po chwili —Stanisław i siostra radzili jechać, więc jadę...

— Dobrze, jedź pan! — przerywa mu panna, siląc się na spokój — tylko jedź z celem. Mówiłeś mi parę razy, że masz pan w Tryj oście przyjaciela i kolegę, że

kilka razy proponował panu miejsce w kantorze swego ojca. Więc jedź pan, ufaj, pracuj i miej nadzieję.

Kazimierz ucałował ze czcią jej drobne ręce.

— Maryniu!— odzywa się w tej chwili głos matki, która sama wzruszona do głębi tą sceną, chciała ją przerwać jak najprędzej.

— Do widzenia! — szepnie Marynia, odwracając główkę, jakby chciała ukryć łzy, co cisnęły się gwałtownie do powiek.

— Do widzenia! — powtórzył Kazimierz, patrząc długo za Marynią, choć już zniknęła wraz z matką.

— Musiałam go pożegnać, mamó...—mówiła, jakby się chciała usprawiedliwić Marynia.—Jutro wyjeżdża ztąd na długo, może na bardzo długo...

— Zrobił, co mógł najlepszego — powiedziała ciężko wzdychając matka. — Na wszystkie bole serca czas, oddalenie i praca są najlepszym lekarstwem... Daj mu Boże wszystko jak najlepiej...

Nie wiele już miałbym do opowiedzenia czytelnikom z historii naszych osób, gdyby nie nowe pretensje pana Mikołaja do tej nieszczęśliwej spółki, do których główny powód dał ów list odebrany rano z Poręby. Otóż pan Jaskuła, wierny danemu przyrzeczeniu, wzywał Okoniewskiego, aby przyjechał zawrzeć umowę dzierżawną o Sękocin, stawiając takie warunki, że prócz pozostałej u niego kwoty zaniedostawioną pszenicę, żąda wypłaty czterech tysięcy reńskich z góry, za inwentarz znajdujący się na folwarku.

Otóż p. Mikołaj tak pięknie rozporządził swojemi funduszami, że nie tylko czterech tysięcy, ale czterech set w tym czasie[^]jiie miał do dyspozycyi. Ost-BaŁny, wełna w Wrocławiu, Dawid w Peszcie, wełna i owies

na wsi, a nawet pożyczka udzielona właścicielowi domu, gdzie mieszkał, w zupełności wyczerpały wszystkie jego fundusze. Zaczął tedy chodzić po swoich dłużnikach, próbował zastawić resztę papierów, telegrafował do Pesztu i do Wrocławia—lecz wszędzie doznał zawodu. List Jaskuły był stanowczy—zresztą, jak tu się brać do gospodarstwa z pustemi rękoma, więc popróbował jeszcze udać się do spółników, czyby jego interesów wełnianych nie nabyli.

Stanisław przyjął go nadzwyczaj zimno i sztywnie, i nie chciał mówić o niczem innem, jak o ukończeniu rachunków i podpisaniu rozwiązującej umowy.

— Chciałbym — mówi na wstępie—abyśmy skończyli nasze sprawy. Pan trzymasz rachunki już parę tygodni...

— Przecie jeszcze i z Jaskułą nie koniec?—odpowiada z filuternym uśmiechem Okoniewski. — Zboże idzie...

— To nie pana rzecz, ale moja.

— Niby to tak znowu nie. Przecież i ja dałem pieniądze do trzeciej części i tych nie odebrałem z Poręby.

Stanisław spojrział nań zdziwionerai oczyma.

— No, umowa między nami nie rozwiązana—cedzi wolno i nieśmiało Mikołaj — więc to zboże, które teraz nadsyłają, powinno być także do spółki.

— Przecież pan zgodziłeś się pozostawić u nich swój fundusz i nie chciałeś należeć do drugiej umowy... Przy świadkach pytałem go o to...

— Mówi się różnie, ale sprawiedliwość i sumienie nakazują, żeby nie krzywdzić nikogo. *

— Któż pana krzywdzi?

— A jużciż, jeżeli do strat jestem spółnikiem, to jak teraz są zyski na życie, wypadałoby, żebym i ja coś miał... Zresztą niech nas ludzie rozsądzą, ja jestem bardzo skrzywdzony i stratny...

— A ja nie?

— Taak—mówi przeciągle. —Panowie zarabialiście na innych interesach, na kukurydzy, na rzepaku, no i teraz...

— A pan na węgłach, podobno i na papierach, i ja do tego nie mam pretensyi. Z moimi funduszami przecie mogę robić, co mi się podoba, tak samo i pan ze -swoimi...

— Ha, i z temi funduszami trudno... Kasa była u pana dobrodzieja.

— Więc pan sądzisz, że ja jego pieniędzmi obracałem?

— Ja tam nie wiem, ale wypadałoby, żebyśmy jako uczciwi spółnicy oddali się komuś, niechby rozsądził, bo niech pan dobrodziej mi wierzy, ja jestem bardzo pokrzywdzony.

— A ja panu powiadam—przerywa z ogniem Stanisław—że nie! Żadnych sądów. Co zaś do podejrzeń pańskich, że obracaliśmy jego funduszami, to przejrzyj pan książkę kasową, a przekonasz się z dat, że kilka razy swoimi własnymi pieniędzmi zastępowałem spółkę...

Zegnam pana.

— Więc taki ma być koniec.

— Taki.

— A zatem trzeba się będzie uciec gdzieindziej—kończy, wychodząc.

— I owszem, jestem gotów odpowiadać, gdzie pan chcesz...

ł

Proszę nie oburzać się i nie podejrzewać pana Mikołaja o fałsz jakiś lub chęć czynienia wykrętów. Nie, on działał zupełnie w dobrej wierze i tak był przekonany o pokrzywdzeniu swoim przez spółników, że w tej chwili byłby na to przysiągł. W niespokojnym i podejrzliwym już z natury umyśle jego, stanęły do porównania dwa oczywiste kontrasty. Oni tak samo stracili, czy tam nic nie zarobili — a mają fundusze i żyją po dawnemu — on zaś kompletnie zrujnowany. Na wszelkie perswazyje żony i zdrowego rozsądku, który czasami próbował mu się sprzeciwić, odpowiadał słowami, które wypisał na liście Kazimierza: „A gdzie są moje pieniądze? Przecież miałem tyle i tyle, a teraz nic nie mam!”

Wróciwszy do domu po swej rozmowie ze Stanisławem — pioruny rzucał na obydwóch, że go oszukali, że wyzyskiwali jego ciężką pracę i teraz puszczają go z kwitkiem, jak wyssaną cytrynę...

Obie kobiety, nie znając szczegółów tej sprawy — milczały, lecz za to młody adept Temidy trząsł się z oburzenia i odgrażał przykładną zemstą... Jakoż tego samego dnia jeszcze popołudniu, służąca Stanisława daje mu znać, że jacyś młodzi panowie pragną się z nim widzieć. Idzie do swego pokoju i zastaje rzeczywiście dwóch kolegów uniwersyteckich pana Tadeusza, zupełnie mu nieznanych. Przedstawiają się kolejno, a jeden z nich występuje, że jako przyjaciele Tadeusza Okoniewskiego, za uczynioną ojcu jego obrazę, przychodzą żądać honorowej satysfakcji.

Po twarzy Stanisława przebiegł lekki uśmiech, jednak odzywa się z powagą:
— Bardzo dobrze moi panowie, jestem każdej

-chwili dać przyjacielowi panów wszelkie zadośćuczynienie, tylko radbym wiedzieć, kiedy i czym ojca tego pana obraziłem, bo już ciż przyznacie panowie, nie mogę się bić, nie wiedząc za co.

Sekundanci zaczęli spoglądać po sobie i widocznem było, że słuszne żądania pana Stanisława nieco ich zakłopotaly.

— Podobno panowie—odzywa się jeden—mieliście jakąś spółkę handlową, czy coś podobnego, i rachunki z tej spółki nie są...

— Rzetelne — podchwytuje gospodarz, oblewając się ponsem. — Ależ w takim razie proszę panów, ja mogłem się dopuścić chyba oszustwa, za co przecież honorowo się nie odpowiada... Proszę powiedzieć temu panu, który was tu przysłał, że ja pozwalam, a nawet żądam, aby przysłał tutaj znawców lub kogo chce, niech przejrzą i sprawdzą to wszystko, a jeżeli okaże się, że jestem winien—gotów będę na wasze rozkazy.

Młodzi panowie powstali, przyrzekając zanieść taką odpowiedź swemu przyjacielowi.

— A jeżeli pokaże się— dodaje już we drzwiach Stanisław—że wszystkie te zarzuty co do mej osoby są kłamstwem, w takim razie i od pana Tadeusza i od panów, przyjmujących podobną missyą—ja, powtarzam panom: ja żądać będę satysfakcyi.

Jakoż na drugi dzień rano stawiło się w mieszkaniu Stanisława trzech znawców razem z Okoniewskim, rodzaj sądu honorowego dla sprawdzenia ksiąg i rachunków. Stanisław do tego stopnia nie wierzył własnej cierpliwości, że poprosił znajomego adwokata, żeby go zastąpił. Eksperci z całą drobiazgową ścisłością sprawdzili wszystkie pozycye, przejrzeni dowody, faktury

— IGO —

i tym podobne dokumenta, a mimo nieustannie podnoszonych zarzutów pana Mikołaja, nie znaleźli nic nieprawidłowego. Adwokat tedy napisał mały akt rozwiązujący spółkę i zaproponował jego podpisanie.

Nie było co oponować dalej i pan Mikołaj zmuszony był podpisać umowę rozwiązującą.

— No i cóż, jakże się skończyło?—pyta żona, widząc nietęgą minę małżonka.

— Schował się i postawił adwokata, a kto adwokata przegada! Zrobili, co chcieli i basta;..

W parę dni Okoniewski pojechał do Poręby, a panie mimo że było przed terminem, na który wynajęto pomieszkane, wyprowadziły się bez pożegnania sąsiadów. Marynia tylko, spotkawszy przypadkiem panią Wandę na dziedzińcu, szepnęła, że jak przyjdzie list od Kazia, prosi, aby jej doręczono. Biedna dziewczyna, pod grozą nieprzyjaźni całej rodziny nie miała odwagi otwarcie tyle życzliwej jej pani Wandy uściskać.

Tak tedy pierwsza spółka, zawiązana dla rywalizacji z dotychczasowymi handlarzami zboża zakończyła swój żywot ze stratą i ogólną nienawiścią współników. A czy mało naszych spółek, zawieranych w różnych celach, inaczej się kończy? Podobno, że trzy czwarte. A dlaczego? Choćby dlatego, że do nich biorą się podobni do naszych dyletantów, bez gruntownej znajomości przedmiotu, bez ducha karności, a zawsze z przesadzonemu nadziejami. Pierwsze niepowodzenie już gasi zapał, wyradza kwasy, nasuwa podejrzenia i każe szukać winy wszędzie, byle nie w sobie samych. A i druga strona, z którą takie spółki mają do czynienia, nie zawsze bywa w porządku. Zamiast pomagać, choćby nawet z pewnemi ofiarami do wydzwignięcia się z dotychczasowego mono-

polu handlowego — ona chce natychmiast korzystać z nieudolności nowych zapaśników i rada podpisuje wyrok naszej nieporadności, który osłabia zaufanie we własne siły, zapewniając tryumf przeciwnikom.

Ale cóż się stało z Kazimierzem i Marynią?—zapyta niejedna czytelniczka.

Otóż jestem w prawdziwym kłopotcie co do tego punktu. "Wierście mi szanowne panie, że z duszy serca pragnąłem, żeby się pobrali, bo to i dla autora i czytelniczek niezmiernie jest przyjemnem, jeżeli wszystko dobrze się kończy i szlachetna miłość zostanie nagrodzoną. Dlatego też nie traćmy nadziei, że Kazio i Marynia jeszcze się połączą. O ile wiem, on dotąd pracuje w pewnym domu handlowym w Tryeście, bo mówił mi jeden z wspólnych naszych znajomych, urzędnik pocztowy, że pierwszego każdego miesiąca zgłasza się do niego panna Okoniewska po odbiór listu z przesyłką pieniężną i że te pieniądze lokuje w kasie oszczędności na imię Stanisława. Przypuszcza on, że musi być już spora sumka tam złożona, gdyż czasem przychodzi po dwieście i więcej reńskich.

Panna Maryanna wygląda zawsze pięknie, wyrosła trochę, zmężniała, tylko narzeka na krótki wzrok, albowiem zajmuje się retuszowaniem fotografii, co szkodzi jej pięknym szafirowym oczom.

A stary Okoniewski? Żyje, zajęty procesami na drodze cywilnej i karnej, które mu wiele czasu zabierają. Z Poręby jeszcze wszystkich pieniędzy nie odebrał, lecz z tymi panami zupełnie się pogodził, i wolny czas między terminami sądowymi przepędza u nich na wsi, grając w marysza ze starym, a czasami we czterech' w taroka. W pewnych epokach, kiedy mu się wewnątrz

nazbiera dosyć zółci, a niema jej gdzie wylać, siada i pisze arkuszowe listy do pana Stanisława, wymyślając za doznane krzywdy już wcale nie po szlachecku. O Kaziu odzywa się, że ten, chociaż aptekarczyk, to najwięcej miał serca, ale go też umyślnie wysłali, żeby mię, panie dobrodzieju, tak oporządzić.

Pozostaje pan Tadeusz. Ukończył studia i praktykuje przy adwokacie. Chłopak wyrósł, jak dąbczak, zapuścił faworyty i grzywkę po angielsku. Mieszka sam, ubiera się bardzo elegancko i często konferuje z lichwiarzami, jak się zdaje, eskontując naprzód swoją adwokaturę. Kiedy niekiedy, jak go już biedą przyciśnie, zjawia się w skromnym mieszkanku matki na przedmieściu, zjada słoik konfitur, które mama zawsze dla nie niego chowa i pożyczwszy od Maryni pięć reńskich, daje słowo honoru, że niezawodnie odda je na pierwszego. O ojcu odzywa się, że stary już zdziecinniał i zdziwaczał, choć i przedtem nie wiele miał rozumu, jeżeli tyle pieniędzy potrafił w tak krótkim czasie przepartaczyć.

KONIEC.

z NASZEGO ŻYCIA
SZKICE I OBRAZKI.

saSRia

■
ifrMr
fi
nut i
w
I
I VI

BK
1
H

lepazówka.
OBRAZEK.

Nic mogę przyznać się do autorstwa niniejszej historyi. Rękopismu takowej udzielił Uo mego rozporządzenia jeden z dawnych kolugów szkolnych którego nazwisko dotąd nieznanie publiczności polskiej. W liście swym uroczyście zapewnia, U żonie jego, której ten manuskrypt odczytał, nadzwyczaj się podobał, — nie wątpię przeto, że potrafi zająć i inne czytelniczki, które zazwyczaj mniej są wymagające od cudzych, aniżeli od swoich mężów.

Po tylu wstrząsających wzruszeniach, jakie dzisiejsza literatura powieściowa dostarcza, zdaje mi się, to obrazek ten pełen prawdy i prostoty, pozwoli odpocząć niejako umysłowi czytelników, a mnie wyjedna zasługę, że wydobyłem z ukrycia nowego na niwie literackiej współpracownika.

Pamiętam jeszcze w szkołach, tłumaczyli&ny z wypisów niemieckich pocieszoną i wielce interesującą historię pary pantofli, historię spisana na tle

opowiadań arabskich, których próbkę przedstawiają nam - powieści Secherezady w Tysiącu i jednej nocy. Powiastka ta, wywarła na młodociany mój umysł dosyć głębokie wrażenie tśmbardziej, że ani wątpić mogłem o rzeczywistości zdarzeń i kłopotów, jakie ta para zniszczonych pantofli przyniosła biednemu kademu, czy też kupcowi bagrfadzkiourau.

Z czasem, kiedy przyszedłem do przekonania, że nic wszystko jest prawdą, co stoi wydrukowano w książce, wrażenie historii owych pantofli zbladło zupełnie i do dziś nie wspomniałbym o niej, gdyby nie szczególniejsze zdarzenie z moją dubeltówką, zdarzenie prawdziwe, któremu można by śmiało położyć napis anonsowy bazarów wiedeńskich: „trudne do uwierzenia, a jednak prawda.”

Historia mojej dubeltówki, godna jest nazwy historii: jej posiadanie z dziecinnych lat moich tak wplotło się w dalsze losy mojego życia, tyle ma dla mnie uroczych i smutnych wspomnień, że, darując czytelnicy, muszę się z nimi ich przebiegiem podzielić.

Broń ta słynnej fabryki starego T. epaży, była własnością mojego ojca. Pamiętam jak dziś tę chwilę, kiedy ją stary Moszek pachciarz przekontrabandował ? Krakowa; dziwerowana długa jak u karabi * nu lufa, osadzona była w pięknie rzeźbionej kolbie której część górną na załomie zakończył łeb wąsatego mopsa. Żyłka myśliwska już podówczas obudziła się w chłopcu, całą noc nie spałem marząc, żebym to ja kiedyś taką fuzyjkę posiadał. Przy odbywaniu prób nazajutrz mimo silnego mrozu, asystowa-

łem ojcu i innym panom od początku do koftca, oglądałem postrzelono arkusze papieru, i z całą skrupulatnością liczyłem znaki od śrutu ile ich dostało się do samego centrum, a ile na boki; — była doskonale, na przestrzeń równającą się dłoni, zostawało po dziesięć do dwunastu ziarn grubego zajęczego śrutu.

Od téj chwili lepażówka, ho takie dostała miano, została ulubioną przyjaciółką; mićć ją w rękę, przyłożyć się do niej, ma się rozumieć za pozwoleniem ojca, było najżywszą rozkoszą. Znałem lepiej od ojca wszystkie jdy grymasy: ile potrzebuje prochu na nabój, ile ziarenek śrutu, jakiej wielkości przybitki, kiedy góruje, kiedy rozrzuca — i kiedy ją czyścić potrzeba. Podrastając w lata, przywiązania tego do lepażówki nie pozbyłem się wcale: przyjeżdżając na święta i wakacje do domu, pierwszą rzeczą po przywitaniu rodziny, było pebiedz do kancelaryi i zobaczyć jak moja przyjaciółka wygląda. Mimo to nie ważyłem się wziąć ją do ręld; ojciec, chociaż mię bardzo kochał, jednak był surowym: ^dzieci fuzyami się nie bawią" - była sucha odpowiedź, gdym ośmielił się czasami prosić o pozwolenie zawieszenia jej przez ramię.

Skończyłem lat trzynaście i przyjechałem na wakacje z promocją do klasy czwartej. Zdawało mi się, że mógłbym już unieść bezpiecznie lepażówkę — czekałem na to lat pięć od czasu jej kupna przez Moszka, lecz ojciec innego był zdania; „mój kochany Ignasiu trzeba miód wąsy do fuzyi, rozumiesz!"—odpowiedział dobrodusznie widząc czułe spojrzenie

zwracane do wiszącej na Udaniu dubeltówki. Przy- znam się, dotknięty zostałem do Żywego taką mową ojca, byłem formalnie obrażony, i w tej chwili postanowiłem sobie, że bądź co bądź muszę z niej wystrzelić. Zapewne wielu z czytelników moich przypomni sobie z dawnych lat tęambitność młodego chłopaka i upór, z jakim dąży do postawienia na swoim. Ja nie byłem ani lepszy, ani gorszy od innych.

Żniwa się rozpoczęły na dobre, pocziwe ojczy- sko od świtu do późnej nocy był na nogach: pogoda służyła, ludzi przychodziło dosyć, trzeba się było spieszyć i żąć i wiązać i zwozić jednocześnie, aby zebrać całoroczną pracę do stodoły. Korzystałem z tftj nieobecności ojca w pokojach i wziętem się do Owój lepażówki. Matka zajęta gospodarstwem domowóm nie zwracała na mnie uwagi, więc dostawszy się do gabinetu, mogłem dowoli nabawić się dubeltówką. Nad podziw mój nie była ciężką: i tak i inak przy- mierzałem się z nłej, celowałem do torby borsuczój wiszącej na ścianie — wybornie idzie, ręka ani zadrży, cel trzyma się poziomo.

Ale bawić się to zamało, zachciało mi się strzelać: myśl a wykonanie u młodego gimnazisty, to wszystko jedno: z gabinetu ojca trzeba było przechodzić do sieni przez pokój jadalny, gdzie uwijała się matka i mogłaby delikwenta zatrzymać, ale że na pomysłach nigdy nie brakło, więc otwiera się okno, wystawia fuzyę na zewnątrz, a potem koło okien chyłkiem w krzaki ogrodu, z ogrodu na pole, ma się rozumieć nie tam gdzie żniwo. W kieszeni miałem kil-

Jco gotowych naboí, skoro wic schowały si przed oczami memi wierzchołki kominów dwóm, odetchnąłem pełną pierś, jak człowiek, którego obawa pogoni minęła.

Nareszcie ziszczone tyloletnie marzenia — lepa- Mwka w moich rkach, mog strzelać swobodnie. Nie wiem, bo myśl moja nie siga tak wysoko, czy który dygnitarz, łaknący orderowej wstżeczki do swego fraka, mógłby si uczuć tyle szczęśliwym, zobaczywszy pierwszy raz błyszczący krzyżyk na piersiach, ile ja czułem podówczas rozkoszy; Położyłem si na trawie, obok mnie leżała wyciągnięta równio jak ja— lepażówka, Zapomniałem o wszystkich przykrościach studeuckiego życia, zapomniałem nawet o zemście dla Pancerama, profesora łacińskiej gramatyki, który mi systematycznie prześladował, dając każdego miesiąca dwójkę; zapomniałem nawet o chmurnem czole ojca, jego Iskrzącym wzroku, jaki mógłby mi spotkać, gdyby si o tm dowiedział. Z całą przyjemnością i ożywieniem niezwykle nabiłem moję przyjaciółkę, zachowując wszelkie reguły tej operacji: odwiódłem ostrożnie kurki, założyłem błyszczące kapiszony, a nie chcąc marnować naboju, z gotowością do strzału puściłem si dalej dla poszukania zajca. Cż tak trudnego zabić zajca, myślałem sobie, ojciec czasami przynosi trzech, czterech, niech no ja go spotkam... Lecz pokazuje si, że nawet do zajca, który tak dobrze ucieka, trzeba mieć szczęście: ja widocznie ju nosiłem na sobie przeznaczenie mijania si ze szczęściem, cho wten-

czas i dziś do szukania go sił nie brakuje. Prawda, potrzebowałem sił, bo choć lepażówka była lckką» to nosząc ją wśród upału lipcowego na otwartóm polu przez cało trzy godziny, można dyabelnió uczuć znużenie, a zająca jak niema tak niéma. I ażurowanie nogami, i świstanie głośnie, aby go wystraszyć, nic nie pomogły, wieczór się zbliżał, (rzeba było wracać do domu — wracać, nie zabiwszy żadnego żyjącego stworzenia...

Zasępiony tedy, spuściwszy kurki i nos na kwintę, idę ku wsi... Naraz przychodzi ini myśl, że fuzya nabita, i że w takim stanic powiesić ją w gabinecie ojca nic mogę. Wykręcać naboju nie umiem, trzeba wystrzelić... ba, wystrzelić, kiedy się boję... Otóż zniknęła resztką dobrego humoru; jak tu strzelić? wiem—pociągnąć za cyngiel... ale może... a nużby jaki wypadek. Biedzę się i pocę sto razy więcej, niż wtenczas, gdy słońce paliło mię prosto w gtowę: tu zachód się zbliża, ojciec może lada chwila wrócić, a jak zobaczy, że fuzyi ni éma na ścianie, to co?

To co?—gdyby nie to „co" ileby to ludzie głupstw nic porobili na świecie! To „co" czy ono się przedstawia w postaci gniewu ojca, surowego spojrzenia żony, gorzkiego wyrzutu dzieci, błyszczącego ostrza bagnetu, kratowanego okna, lub gorącej smoły po śmierci — zawsze to jest obawa kary, hamulec swawoli, wreszcie szlachetny dreszcz sumienia. To „co?" ze znakiem zapytania, to Jedyny symbol lojalności l

Nie było rady, trzeba było strzelić, ale strzelić najmniej szkodliwie: więc oparłszy fuzyę na kamieniu, kładę się koło niej na ziemi i raz, dwa, trzy... ciągnę cyngiel — fuzya wypaliła! Drugi raz §gl łatwiej idzie... Xo, myślę sobie, nie taki to straszny dyabeł jak go malują, i pędzę co tchu do domu.

Tą samą co przy wyjściu, powróciła lepa- zówka przez okno do gabinetu ojca i niewinna jakby nigdy nic nie było, zawisła na kołku. Najcię- tej raz stać się nielojalnym przed własnym sumieniem, dalszy ciąg idzie już łatwić. Kodeksy, obowiązki, wierność, na\vet sama uczciwość i honor przybierają mniej jaskrawą barwę... to można!

Więc kiedy można, powiedziałem sobie, to próbujmy drugi raz! Znowu więc nazajutrz łepażówka odbywa oknową peregrynację i znowu cieszymy się jej posiadaniem... Alo nie głupim włóczyć się po polach, kiedy zające w losie siedzą — więc prosto do lasu.

W lesie tak samo jak wczoraj na polu ani śladu zająca. - Co to jest ? czy ojciec w czasie mej nieobecności wszystkie powybił? Dosyć, że niema.

Znowu słońce schyla się do dołu, znowu trzeba wracać i wracać z pustymi rękami. Żeby jaki ptak duży nastreczył się na gałęzi... i tego niema, sam świergocący drobiazg — próbujmy i tego.

Przy wyjściu z lasu, maleńka sikorka uczepiwszy się na gałęzi, wywodziła swoje misterne trele: żółty jej gardziołek rozdyrzał się iikroć potrzeba było dobitnie śpiew zakończyć, biedaczka nio wiedziała.

że tuż obok taki jak ja bohater, czyha na jŚj życie, i oparłszy lepażówkę na niskiej gałęzi, mierzy i mierzy, jakby chciał zgładzić przynajmniej wawelskiego smoka. Pociągnąłem za cyngiel, ftizya wypaliła, a ofiara mojego krwiożerstwa jak kula spuściła się na ziemię. Wypadkiem, bo już ciż tego umiejętnością nazwać nie można, trafiłem ptaszynę. Jak bengalski tygrys na swoją zdobycz, rzuciłem się podjąc biedną sikorę niezważając, że jćj niezamknięte jeszcze oczęta wyrzucają mi żałośnie, jak śmiałem jój dzieci tak lekkomyślnie pozbawić matki.

Lecz gdzie mi tara było w głowie popełnienie taktój zbrodni. Tryumf zabicia, tryumf przyszłego myśliwca zagłuszył litość: zdawało mi się wtedy, że sam Aleksander Macedoński nad Granikiem nie mógł być większym bohaterem odemnie.

To też z uczuciem nicpohamowanćj dumy, wzięwszy z efektem w dwa palce nóżki ptaszyny, zarzuciłem fuzyę na ramię, i upojony tóim wszystkióm, porzuciwszy zwykłą ostrożność przy wciąganiu fuzyi przez okno, walę prosto przez ganek do domu.

— Ignasiu — co to jest?—krzyknęła matka zobaczywszy mię wchodzącego z fuzyą na plecach.

— Zabiłem ptaka! — odpowiadam z powagą, potrząsając w górę ptaszyną.

— Na miłość boską, kto ci pozwolił brać fuzyę?... O Matko miłosierdzia tyś chyba zwaryował I...

—Wielkie rzeczy, że wzięłem—mówię z gabinetu, zawieszając już lepażówkę na swoje miejsce. — Czyż zawsze mam być smarkaczem? A na dowód,

że umiera się z fuzją obchodzić, ma matna, zawłom ptaka... Niechno mama zobaczy gdzie go trafiłem, ot tu w samo serce. Śliczny ptaszek, jutro go wypcham ...

—Ależ dziecko moje, co ojciec powie ?

—A cóż może powiedzieć, chyba że strzelec i kwita.

— Nie rachuj na to radzę ci... ptaka wyrzuć i ani piśnij... Straszne rzeczy, co ty wyrabiasz?... A nuż trafiłoby się jakie nieszczęście; gdzież takie dzieciu- chy mogą same chodzić z fuzją do lasu... Jakżeś ty ją wyniósł z kancelaryi, że ja nie widziałam?

—Mameczka to tylko o wszystko się hoi...

—Jakże się nie mam bać, kiedy ty mogłeś się zabić. Tgnasiu proszę cię, wyrzuć mi zaraz tego ptaka, bo i ja miałabym za swoje... Poczekaj, muszę zamykać od dziś kancelaryę... znasz ojca jaki jest surowy...

Ta mowa matki, której byłem wypieszczonym dzieckiem, jakoś powoli ochłodziła butę i zarozumiałość chłopaka.

A nuż naprawdę ojciec się zgniewa? Zawsze to niebardzo dobrze, że nie wniósł strzelby przez okno. Myślałem, myślałem i przychodziłem do przekonania, że matka może ma rację; jednak żal mi było wyrzucić ptaka, zawsze to ładne stworzenie i do tego owoc pierwszego w moim życiu polowania... Więc zabrawszy go ze stołu, schowałem pod wielki stojący kufer, koło pieca i jakkolwiek zbity nieco z tropu, jednak w najlepszym humorze, poświęcając

Sobie, spałaszowałem talerz kwaśnego mleka, które mi matka na ochłodzenie podała.

Niedługo wrócił zmęczony ojciec z pol», zapalono świecę w pokoju i podano kolację. Po kolacyń ojciec zapaliwszy ulubioną fajeczkę, opowiadał matce różne zdarzenia dnia tego, a popijając z wolna herbatę, głaskał czteroletnią moją siostrę Jagusię, która tuliła się do jego kolan.

Naraz temu dziecku przychodzi do głowy wywlec z pod kufra ową zabitą ptaszynę— widocznie zauważyła ona gdzieś ją schował, a wywłókszy niesie do ojca i kładzie mu na kolanach... „Tatku — szczebiocze bęben — patrz aj, to Ignas zastrzelił.”¹¹

Ojciec zajęty rozmową machinalnie odsuwał rękę dziecka z kolan, lecz ta z upartym natręctwem kładła mu znowu sikorę powtarzając: że Ignas zastrzelił. Mnie rumieniec oblał twarz całą, matka spostrzegła ten przestrach.

— Nie nudź ojca — rzecze do Jagusi — odbierając jśj z rąk ptaszka — to ktoś kamieniem zabił...

— A nie, bo ze strzelby, — ja widziałam jak Ignas niósł na plecach tatową strzelbę — odpowiada szepleniąc siostra.

— Pokaż no tego ptaka — mówi żywo ojciec biorąc go z rąk matki. Nieprawda, to ptak zastrzelony a nie kamieniem zabity! — kończy spoglądając na mnie surowo i w tej chwili idzie do swego gabinetu obejrzyć dubeltówkę.

— Kto ci pozwolił?—krzyknie piorunująco, przy* skakując do mnie.

— Ale nie - - tłumaczy matka,

— Co mi ty bycb.ie.sz zaprzeczać? <uzywa świeżo wystrzelona, patrz jak smoli—dodaj o wyjmując z lufy zabrudzony palec.

Nic było się co zapierać; nastąpiła burza mimo próśb matki, w której nie obyło się bez piorunów jak przy każdej burzy. Godność moja studenta idącego do czwartej klasy została bardzo pokrzywdzoną. Przez kilka dni patrzyłem się bokiem na ojca udając obrażonego, ale za moich czasów ojcowie nie bardzo zważali na dąsy swoich synów, trzeba się było przeprosić i stracić na długo nadzieję zabawy z fuzyjką, którą już ojciec starannie do szafy zamykał.

Tak więc skończyła się pierwsza moja awantura z lepażówką, z której pozostała mi na długo nienawiść, a potem głęboka niechęć do Jagusi, którą naj- słuszniej uważałem za jedyny powód tej całej katastrofy.

Ale już taka natura ludzka: zrobimy źle sarni, a szukamy winy u drugich. Namówili nas, opuścili, obgadali, podstawili nogę tam gdzie i bez tego mogliśmy się przewrócić. Jak nam z kim dobrze, to serdeczny przyjaciel, jedyny człowiek; niechże tylko odwinie się karta, z przyjaciela robi się wróg.

A Wóćimy jednak do dubeltówki.

Od tego czasu upłynęły lata, z Ignasia zrobił się Ignacy, który pochowawszy najlepszego ojca, osiadł w rodzinnej wiosce, i tak samo pocił się podczas żniwa, tak samo narzekał na suszę, narzekał na deszcz.

narzekał na mróz i na brak mrozu, narzekał jak do dziś dnia narzekają wszyscy obywatele o ziemscy.

Jagusia poszła za męża, na jej weselu strzelały się wiwaty z lepażówki, też sama obowiązki wypełniła na moim weselu i używała wszelkiego szacunku i przyjaźni mojej tak samo, jak od pierwszej chwili kiedy ją Moszek przywiózł z Krakowa.

Biedna lepażówka i ona miała swoje nieszczęścia: najprzód, roztrzepany szwagierek jadąc na polowanie przewrócił się z sankami i złamał łożę właśnie koło główki mopsa. Ten wypadek uczułem boleśnie, choć miejscowy kowal istolarz zapewniali mnie, że tak wszystko porychtują, co znaku nie będzie.

Rada w radę, oglądali, dumali, radzili to skówkę pod spodem, to obrączkę na wierzchu, i jak zaczęli majstrować, skończyło się, że łebek mopsa przełu- pali na czworo.

— A czy to ten łebek ma co do strzelania? —zaopiniował kowal.

- Głupiś! — krzyknę - a jakże będzie pies bez głowy?...

— Juści wielmożny panic—wtrąca stolarz—skrobiąc się w łysinę — na żywego toby nic pasowało, ale na kolbie opiłujc się gładko, zaszmaruje szerla- ki em, spolituruje i kto pozna, że tu była głowa i to od psa.

Chciałem go wyrzucić za drzwi — niedołęga myślał, że mnie idzie o to czy kto pozna, że tu upiłowa- na głowa.

—A jeżeli już wielmożnemu panu idzie tak o ten łeb, to organista co wyrabia figury, dorobi taką głów* kę co ha J Weźmie się proszę wielmożnego pana na sztyfcik, i nikt nie pozna.

—Znowu nie pozna!—krzyknę — ale ja chcę, żebym ja nie poznał.

—' I wielmożny pan nie pozna- -odpowiada uśmiechając się z całym przekonaniem, że tak będzie.

— Dobrze, niech on dorobi, tylko czy potrafi? . — Jeszcze by tóż on x>sić głowy nie potrafił?

— A więc niechże spróbuje — rzeknę z despe- racyą.

Wzięli i poszli do owego rzeźbiarza organisty, a za kilka dni przynieśli mi dubeltówkę z tryumfem.

— No wielmożny panie - • rzecze stolarz — nie mówiłem, niech wielmożny pati zobaczy? — I podał mi z elegancyą dubeltówkę...

Parsknąłem śmiechem, choć wystko się we mnie gotowało ze złości zobaczywszy posmolonego guza zamiast psićj mordy. Z gniewu szarpnąłem silnie tę poczwarę, a razem z nią odpadła i część kolby, którą te niezdary wbijając sztyfcik nadłupali...

Artyści odeszli obrażeni i słyszałem jak nazwali mię w rozmowie z lokajem pianetntkiem.

Xio było innćj rady, zawiozłem lepażówkę do Warszawy, gdzie kazałem dorobić nową zupełnie osadę, lecz ta zmieniła zupełnie fizyognomię mojej przyjaciółki. Xie wierzę w przeczucia, a jednak ten pierwszy wypadek z fuzyą był początkiem szeregu innych nieszczęść, które spadły na mnio w ciągu jo-

dnego roku. Straciłem matkę, pochowałem kochającą żonę i zostałem samotny w moim dworze, a ile razy spojrzałem na lepaMwkę, zdawało mi się, to ona mi robi wymówki: „widzisz, trza było mię szanować!”—Jestto nonsens, ale trudna rada; jak komu się co przywidzi, tak wierzy temu, i pomimo woli robi się zabobonnym. Są ludzie nawet bardzo uczeni i rozumni, którzy przywiązują się do kapelusza np. lub do laski i pewnej sukni; zdaje im się, że to rzeczy przynoszą im szczęście, jak innym posiadanie starego grosza w portmonetce ma utrzymywać w obfitości zapas gotówki.

Podzielając złe i dobre losy, łatając z całćm zamiłowaniem archeologa wszelkie szczyby ętarzejacój się lcpazówki — to odmieniając brantki, to nakładając zużyte kurki, biedowaliśmy wspólnie długie lata. Osierocony, sam jeden na wsi mieszkając, oddałem się z zamiłowaniem polowaniu. Ekonom mój, Wąsowski, wysłużony podoficer, szlachcic zagonowy z Wąsosza, towarzyszył mi w tych wycieczkach, i on jeden tylko miał pozwolenie czyszczenia i utrzymywania w porządku faworytki. Dzieciństwem to się wyda, gdy powiem, że kazałem przybić dywanik na ścianie, gdzie ona wisiała, jedynie dla tego, iż zdawało mi się, że staruszka potrzebuje wygody, i że jćj musi być twardo opierać się na tynkowanym i chłodnym murze. Myślę sobie, niech już i ona ma swoją wygodę.

Xa święta Bożego Narodzenia pojechałem do siostry, mieszkającej o mil trzydzieści w Lubelskiem J

—a że widzujemy się co lat parę, więc zatrzymywali I mię i zatrzymywali z dnia na dzień, że zeszło do po- I łowy Stycznia. Wracając z powrotem do domu, już I przy wjeździe na dziedziniec, zobaczyłem światło I w oknach mieszkania.

— Kto tu jest — pytałem służącego w ganku.

— Rewizor od gorzelni, proszę pana, ten kulawy I Sobieraj ak i.

Przyjechał nad wieczorem i będzie nocował.

— No pół biedy — pomyślałem. Zawsze taki gość nie zawadza. A że to był dobry i usłużny człeczyna, więc chętnie go wszędzie przyjmowano.

Przy wejściu do sieni, spotyka mię niejaki Mali- | nowski pisarz gminny i mój zastępca; miałem bowiem to nieszczęście być samym wójtem gminy, do ! której prócz mojej wioski należało jeszcze siedmna- ! ścic osad szlachty podlaskiej, jak wiadomo, żywiołu przeznaczonego na udręczenie każdej nad nim zwierzchności.

— Wielmożny dziedzic — odzywa się do mnie po przywitaniu — zapewne już wić.

— Co ja mam wiedzieć?

— No, co się dzieje...

—■ A cóż się dzieje?

Mój Malinowski zrobił tak dziwnie, a zarazem i smutnie uśmiechniętą minę, że to mię zastanowiło. Jestto młody jeszcze mężczyzna z wielką głową wciśniętą pomiędzy podniesione ramiona, prawdziwy typ ówczesnego wójtowskiego biuralisty, którego razem z aktami gminy odebrałem w sukcesyi od rno-

i- W Kciyrf »*;. — Stitldf i obrado. o

jogo poprzednika. Również wioskowy szlachcic z urodzenia, wobec braci wasanów przybiera! ogromnie ważną i urzędową figurę- Każdy początkowy frazes w rozmowie, zaczynał od słów: „jakkolwiek- bądź, albo aczkolwiek" i w ogóle tyle mięszał utartych w urzędowych raportach wyrażień, że wszyscy, nie wyłączając uczonego Mrocza, szlachcica z Pod- łąża, nie mogąc go zrozumieć, mieli dla jego osoby respekt niezwykły.

Byłem trochę zaciekawiony miną Malinowskiego dla tego też po przywitaniu się z rewizorem, odzywam się do niego:

No, cóż to za nowiny?

—Wielmożny dziedzicu — powiada, oglądając się trwożliwie i zamykając drzwi od sieni — mieliśmy gwałt...

— Co za gwałt?

—Aczkolwiek proszę wielmożnego pana, każda władza w okresie stosowania odpowiednich przepisów, jest wysokością, której podwładne organa...

—Mój panie, dajmy pokój organom i wszystkim tego rodzaju instrumentom, ale gadaj pan co za gwałt, gdzie gwałt?

—Hm — mówi spoglądając z bojaźnią na rewizora akcyznego, którego miał za większą władzę ode- mnie — to jest pytanie którego wyjaśnienie spoczywać powinno w atrybucyi wyżój powołanych organów.

— Znowu organów! Ach mój panic Malinowski.

czemuś ty nie poszedł na organistę? Proszę cię skrócić r'ctn wstęp i mów o co idztel

— Wielmożny panie, lepażówka...

Spojrzałem na ścianę i zbladłem — strzelby monę j niema...

— Gdzie dubeltówka? — krzyknę do pisarza.

— Wyższa siła — wielmożny panie. Aczkolwiek mocą nadanego mi urzędu zastępstwa, czyniłem usiło-

! wania mogące narazić osobę moją na szwank oczy- twisty, lecz wielmożny panie przemoc, gwałt, rabu- Inek, bo jakkolwiek bądź czternaście indywiduów •^uzbrojonych naliczyłem...

Nie wiem jak długo jeszcze byłby mi prawil an- •drony spowite w urzędowe frazesy, gdy widząc niecierpliwość moją rewizor objaśnił mi rzecz całą. Rzeczywiście, kilkunastu nieznanych ludzi przed dwiema godzinami wpadli tu do domu i moją lepażówkę za- fbrali.

Oniemiałem z powodu wiadomości jakiej mi udzie- fcono.

— Aczkolwiek — odzywa się po chwili Malirtow- gski, wydobywając z kieszeni jakiś papier — nie jest l'.to urzędowa pora, jednak zważywszy na ważność i sprawy i okoliczności jej towarzyszące, napisałem raport wraz z protokółami, które wielmożny wójt ja- [•ko, właściwy organ w tej chwili przybyły, raczy łaskawie podpisać.

Nie sprzeczałem się i podpisałem dwuarkuszową [•litanię rozmaitych szczegółów tego napadu, w któ- [rój opisane były wszystkie ubiory sprawców, ich słó-

wa i słowa Malinowskiego przedstawiającego im z narażeniem własnego życia, w całej nagości sro- motę ich karygodnego czynu.

Stało się pomyślałem — moja lepażówka stracona. I jakkolwiek różno perswazye przychodziły mi do głowy, jakkolwiek starałem się pogodzić z położeniem, całą noc spać nie mogłem, myśląc o jej losach.

Stratę lepażówki wkrótce wyrugowały inne wypadki. Czasami tylko, gdy wzrok mój błakając się po nagich ścianach pokoju, spoczął na pustym dywaniku, na którym ona wisiała, westchnąłem mimowolne, lecz zaraz wstydzilem się swych westchnień. Cóż tam może znaczyć jakaś stara bez wartości dubeltówka. Przepadła — umarła i koniec.

Tymczasem los figlarz inaczej postanowił. W dwa tygodnie może po tym wypadku, zjawia się do mnie rano niejaki Żelazowski, artysta-mechanik wyrabiający w gorzelni mojej okowitę i mówi z tajemniczą miną:

—■ Wielmożny panie, lepażówka jest!

— Co pan prawisz?

— Jak Boga kocham jest. Wielądek z Orzechowa przyniósł pańską dubeltówkę.

Wiadomość ta jednak nie sprawiła takiego wrażenia na mnie jak się spodziewać należało. Zamiast się ucieszyć poczułem pewien żal. Oplakałem ją, stratę przebolełem i poświęciłem, zatem niespodziewane zmartwychwstanie zdzierało z niej ten urok nieszczę-

sćia, który powinna była znieść z godnością... pa- Ićj Zaraz nasunął się kłopot co tu z nią zrobić? Gro- rzelany widząc zakłopotanie moje, zaczyna znowu:

— Szkoda wielmożny panie zostawiać ją w rękach takiego cymbała. Czy on się pozna co ma? Pojadę do niego i odbiorę; takiój strzelby dychtownój niema drugiój na świecie, a jak ją schowam w gorzelnii, to nikt nie znajdzie. Niech wielmożny pan będzie spokojny, ja jestem jak grób!

I namówił" mię, że kazałem jechać do owego szlachcica do Orzechowa, który wieczorem przywiózł le- pażówkę.

Podziękowałem serdecznie poczciwemu szlachcicowi za to jego przywiązanie do lepażówki, uczęstowałem go, wynagrodziłem, a gdy poszedł, uradziliśmy z Żelazowskim, że najbezpieczniej będzie zamurować ją zaraz w gorzelnii na strychu. Futerału nie miałem, więc nasmarowawszy dostatnio oliwą, okręciliśmy całą powijakiem z płótna, obwiązali szpagatem, potem pakułami i pociemku zanieśli do gorzelnii. Sprytny Żelazowski na wierzchu muru, na którym opierały się belki, wykuł głęboki żłobek, tam położyliśmy lepażówkę, nakryli gruzem, potem cegłami, a na wierzchu zasmarowali wapnem tak że tylko świeży tynk mógł odkryć schowanie.

— Za parę dni wapno wyschnie, proszę wielmożnego pana, ja jeszcze śmiecia trochę na wierzchu posypię i pies się nawet nie dowącha, że tu co zamurowane.

Prawda, 20 się nie dowącha — myślałem sobie wróciwszy do domu, ale gdybym to ja sam jeden o tóćm wiedział? Współka z gorzelanym odrazu zaczęła mięć niepokoić, zostałem na jego łasce; a wiemy z doświadczenia, że ta łaska najczęściej za drogo kosztuje. Poczulem ja to wkrótce. Dotąd mały wydatek w gorzelnii spędzał się na złe materyały, ale było jeszcze pół biedy; teraz już i kartofle były dobie, i drzewo suche i sól należycie wyrobiony, a okowity codzień mniej.

— Wie wielmożny pan — zapewniał mięć z desperacką miną Żelazowski — że już w głowę zachodzę, co się z tą gorzelnią zrobiło? Czy kto co przez złość zadał, czy co u Pana Boga. Jak wielmożnego pana szanuję, ja już głupieję.

• A jednak panie Żelazowski — mówię, udając że wierzę temu wszystkiemu—trzeba coś robić. Jak się nie poprawi, wypadnie zamknąć gorzelnię.

— A inwentarz czym wielmożny pan wyżywi?

— Wolę spaść kartofle, niż dokładać drzewo, robociznę i mieć stratę. Dziewięć kwart okowity z kor- :a kartofli, czy to słychana rzecz...

— Ha, spróbujemy jeszcze odmienić drożdże; wyczyszczę sam kadzie fermentacyjne wapnem, może się :akwasiły...

Wzięliśmy się tedy do owego czyszczenia; wyda- em kilkanaście złotych na kupno świeżych drożdży jdzieś z dalekiego renomowanego browaru, — sam Żelazowski szukając tych drożdży trzy dni bawił fi drodze.

Jakoż poprawił się nieco wydatek; po zażyciu tych sposobów doszliśmy jedenastu kwart. Niestety krótko trwała ta uciecha; piątego dnia spadliśmy do dziesięciu, dali j bywało raz dziewięć i pół—raz dziewięć i nic więcej.

Męczyła mię i martwić musiała podobna strata, zwłaszcza w tych czasach, gdzie, wydatki" gotówką rosły w czwórnasób. Ekonom Wąsowski widział to zakłopotanie moje i uważałem z jego twarzy, że miał" ogromną chęć wygadania się z czemś przedemną, ale nie śmiał.

— Eh, wielmożny panie — rzekł jednego wiecz-^{ra}» gdyśmy już ukończyli naradę gospodarską —■ ja bym wielmożnemu panu coś powiedział...

— Mój Wąsowski, daj pokój; pewnie jaka plotka, a wiész, że ja tego nie lubię.

— Jak^wielmożny pan miarkuje, ale to co się po całych nocach dzieje u gorzelnego, to nie jest żadną plotką.

— A cóż tam się dziać może? — pytam niby obojętnie.

— Pijatyka, hulanka do samego rana; przyjeżdżają zkadś rozmaici ludzie, to jego znajomi z Jar- nic, to z T.i wa, to jacyś nieznajomi zupełnie i grają w karty. Słyszałem, że nasz przegrał wczoraj wię- cój niż trzysta złotych...

— Eh, to nieprawda, zkadby on wziął?

•— I ja tóż tak myślałem, ale że przegrał i zapłacił, to wióm dokumentnie, bo mi pisarz żydowski

z lasu pokazywał nawet papierki, które wygrał od niego...

— Ko, mój kochany Wąsowski, być może, te tak jest, ale powiedz mi co ja zrobię?...
wićsz jakio są teraz czasy...

— Oj, prawda, prawda, wielmożny panie! — odrzekł wzdychając Wąsowski, - - ale, tylko jeszcze na pewno nie mogę powiedzieć; gadają, że ten propina- tor z Kosowa coś tu w nocy przyjeżdżał wczoraj i brał od gorzelnego jakąś baryłkę... Antek powiada, że widział, jak oba z gorzelnym wynosili z sieni, a ona im z tyłu świeciła — ja się dowiem wielmożny panie, ja ich złapię.

— Nie, mój Wąsowski, nie rób tego, proszę cię — i tak wszyscy na ciebie — już ja znajdę sposób, że tego więcej nie będzie, to wszystkiemu winna moja lepażówka.

Roześmiał się pocziwiec i spojrział mi zadziwiony w oczy. Gdym jednak opowiedział wszystko, zgodził się, że mam najświętszą rację.

— Co toż to wielmożnemu panu przyszło do głowy, oddawać się w ręce takiego urwipołcia. Nie lepiój było oddać mnie, którego wielmożny pan zna od lat tylu, — jakbym ja schował, to by nawet po śmierci mojej nikt się nie dowiedział kto, gdzie, co...

— No, stało się — mówię — on się o nią dowiedział, on był przy tó, jak Wielądek odniósł... Ale trzeba nam to raz skończyć.

— Ba, jakże tu skończyć, kiedy ten łotr wiś?

— To toż musimy ją dziś wykraść z gorzeln, a ty

pocziwy Wąsowski schowasz ją sam tak, żebym i ja
o tóro nie wiedział; co, dobrze?

— To, to, to, wielmożny panie, to mi z wielmożnego pana mądry człowiek... zaraz
idziemy.

— Poczekaj tylko, niech wszyscy zasną; my wejdziemy tylnymi drzwiami, wezmę
latarkę ciemną

I pocichutku zrobimy wszystko. Idź, pilnuj drzwi, aby nie skrzypiały, i daj mi znać.

Itzczywiście udała nam się wyprawa: wydobyliśmy strzelbę, opatrzyli, czy gdzie nie
zardzewiała, odsmarowali na nowo, a uradowany niezmiernie Wąsowski z takiego figła,
zabrał ją z sobą i podług przyrzeczenia schował, nie powiedziawszy mi nawet o miejscu
schronienia.

Nazajutrz rano jeszcze leżałem w łóżku, gdy słyszę, Żelazowski dobija się do pokoju.

— Kto tam?

— To ja, proszę wielmożnego pana, gorzelany: mam pilny interes.

Otworzyłem drzwi, przybrawszy seryozną i zagniewaną minę.

— Wielkie nieszczęście! — woła załamując ręce.

— Co, kocioł parowy pękł?

— Jeszcze gorzej, -wielmożny panie, lepażówkę ktoś ukradł z muru.

— Żartujesz pan! — krzyknę przerażony — to nie może być — wszak nikt więcej nie
wiedział o niój, tylko ja i pan!

— To tóż, wielmożny panie, już nic wióra, jak się tłómaczyć. Wielmożny pan gotów mię
podejrzyc

a ja przysięgam — zawoła klękając przedemną — że jak Chrystusa Pana kocham, jak pragnę zbawienia duszy mojej, jak moją żonę i dzieci kocham — nie wziąłem. Jakaś psiakrew musiała podejrzeć, czy co, i w nocy wyjęła. Przychodzę rano, mur rozwalony; a fuzyi nióma...

— Mój panic! — krzyknę rozniewany — ja nic nie chcę znać, o niczym wiedzieć, a proszę pana, żeby mi fuzya była i kwita!

Sumitował się jeszcze, zaklinał, przysięgał, ja udawałem, że nie wierzę... i poszedł prawdziwie zdesperowany do gorzelni.

Ciągle potóm udawałem zagniewanego. Mój Żelazowski chodził przedemną na palcach, sypiał nawet w gorzelni i takich dokładał starań przy fa- brykacyi, żeby mię przebłagać, że wydatek okowity codziennie wzrastał, wzrastał i doszedł kwart czternastu z korca.

Do końca tegorocznej kompanii miałem spokój w gorzelni i na wsi; aż tu w dzień rozpoczęcia żniwa 2 lipca, przebudził mię o świcie karbowy, donosząc, że niema na Stancy i ekonoma Wąsowskiego. Przyszedłem jak zwykle po klucze — mówi przestraszony — Izba otwarta, skrzynka rozbita, przyodziewek porozrzucany... a ekonoma niéma...

Porwałem się z łóżka, przeczuwając nieszczęście i pobiegłem co tchu do mieszkania Wąsowskiego. Rzeczywiście zastałem to wszystko, jak opowiadał karbowy, a oprócz tego dostrzegłem nieco rozsypanego prochu strzelniczego na stole... Zapytany Józef

parobek mieszkający w tym samym domu przez ścianę, czy co nie słyszał w nocy, przysięgał się, że spał jak zabity i nic nie wiec.

— Proszę wielmożnego pana, człowiek napracuje się cały dzień w tej suszarni, jak się potem położy, to leży jak drewno.

— Bo by tóż wielmożny pan — rzecze kłaniając się ręką ku ziemi jego żona — kazał komu innemu a nie mojemu iść do tego słodu. On się ino obdarł z przyodziewku, wszystko na sobie popalił, a tyle bierze co inni...

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie wylać porządnie tej kobiety, która w chwili takiego nieszczęścia była tyle obojętną i myślała więcej o przyodziewku męzowskim. Doprawdy, ten lud czasami zanadto grzeszy egoizmem.

Na miejsce zaginionego, wziąłem jednego z gajowych tymczasowo do zarządu gospodarstwa. Był to poczciwy, również z drobnój szlachy pochodzący, Szczepan Dąbek, ało widząc co się z poprzednikiem jego zrobiło, stał się więcej sługą niż przełożonym swoich podwładnych.

Przynajmniej co do strzelby miałem zapewniony spokój—uważałem ją za straconą, gdyż nie wiedziałem gdzie ją rzeczywiście ukrył Wąsowski, a w takich czasach nie miałem żadnój ochoty robić jakie- gobądź poszukiwania.

Los jednakże, podobnie jak z owemi pantoflami kadego inaczej zrządził. Szczepan objąwszy zarząd folwarku i budowli gospodarskich, dostał klucze od

małej komórki, stojącej koło .spichlerza, w której przechowywały się różno matcryały i narzędzia gospodarskie: piły, choraonta, żolaziwo i inne drobniejsze sprzęty. Przeglądając i spisując te wszystkie rzeczy, ciekawy z natury, szperał poiróżnych kątach na dole i na strychu, dość, że przypadkiem natrafił na nieszczęśliwą lepażówkę, schowaną w strzesze owego budynku. Znalazłszy, był tyle uradowany czy nieostrożny, że zniósł ją na dół do światła, i nie- spodziewając się, aby kto mógł zobaczyć, w otwartych drzwiach zaczął odwijać sznurki krępujące opakowanie. Trzeba nieszczęścia prawdziwego, że właśnie podtenczas licho przyniosło tam Żelazowskiego, który dla jakiejś potrzeby szedł do gumien. Jednym rzutem oka poznał on natychmiast lepażówkę. lecz nim zdążył wpaść do komórki, Szczepan zatrzasnął drzwi na klucz i schowawszy do kieszeni, wsiadł na konia i pojechał w pole.

— Wielmożny panie!—krzyknie gorzelany, wpadając do mnie podczas obiadu — znalazła się zguba, jest majster, który wyprowadził z gorzelnii lepażówkę !

Gdyby mię piorun uderzył, nie doznałbym większego wstrząśnienia, anizeli na wiadomość, przyniesioną przez tego człowieka.

—Ktoby się spodział wielmożny panie, że ten Szczepan taki majster.

— Zdawało się panu—rzeknę ochłonawszy nieco.

—A cóż to ja nic znam wielmożnego pana strzelby czy co? Nawet wtem samem obwinieciu jest

jak leżała zamurowana -w gorzelni... Odwiązywał sznurki jak nadszedłem, ale sprytna bestya, tylko mię spostrzegł, trzask drzwiami i na klucz... Ale wielmożny panie dość mi raz rzucić okiem... poczekaj bratku...

Szczepan był w polu, nie było sposobności sprawdzić,—rzekłem więc obojętnie, dodając, że jak wróci Szczepan, to go zapytam.

— Albo on się przyzna?

— Ha, to cóż mu zrobię?

— Wielmożny panie, odbić zamek w komorzo zaraz i przokona się wielmożny pan, że jest.

— Chybaś pan sfiksował—mówię.—Cóż to, Szczepan ucieka, żebym gwałty robił; jeżeli jest, to odda.

Ledwie że pozbyłem się gorliwego przyjaciela mojej strzelby, a uczułem jak czarna troska osiadła mi na duszy. Co ja tu pocznę nieszczęśliwy człowiek, gdy ją wydobędę z rąk Szczepana — gdzie schowam? Myślałem, myślałem, biedziłem się i nic nie mogłem wymyślić. Niema rady, trzeba ją znów wykraść z komórki, ale jak? Miałem ja wprawdzie jeneralny klucz swój własny, który wszystkie zamki w budowlach dworskich otwierał, tylko jak tu pójść wśród dnia, nim wróci Szczepan, a znowu jak wróci, to schowa fuzyę tak, że jej w nocy nie znajdę. Biorę się tedy na sposób i przed wieczorem idę w pole, gdzie dozorem orki zajęty był ekonom—a udawszy, że mam pilny interes do miasta proszę, aby natychmiast pojechał oddać list rekomendowany na pocztę.

— List dla mnie nadzwyczaj ważny,—mówię oddając mu takowy, —boję się żeby finny posłaniec nie zgubił—proszę cię, Szczepanie, jedź sam na koniu.

Kiedomyślając się niczego pojechał prosto z pola, a ja tymczasem, gdy się ściemniło i cała służba poszła na kolację, otworzyłem komórkę i strzelbę przyniosłem do domu.

— Chwała Panu Bogu! połowa sprawy załatwiona, co będzie to będzie, ale Żelazowskiemu nie uda się trzymać mfę w swojej mocy. Teraz co z nią zrobić, gdzie schować? W mieszkaniu niopodobna. Chciałem już spalić osadę, lufę porąbać i wrzucić do sadzawki, ale gdym spojrzał na biedną lepażówkę jak pokornie spowita leżała pod łóżkiem, tak mi się jćj żal zrobiło, że ona już tyło wycierpiała, tyle się naponiewierała w swem życiu, że zdawało mi się, popełniłbym zbrodnię nad zbrodniami, zabijając z dziecinnych lat przyjaciółkę. Nie — raczój niech się dzieje co chce, a nie oddam jćj nikomu.

Schować znów gdzie koło domu- niebezpiecznie; zakopać w ziemi rdza zje... trzeba gdzieś chyba Wiesie wsadzić w dziuplę drzewa... Ton pomysł bardzo mi się spodobał, i poczekawszy jak wszystko się we dworze uciszyło, koło północks ruszyłem do lasu. Tymczasem już z wieczora deszcz lunął rześisty, na dworze ciemno, że na krok nic nie widać. Lecz ja nie pytam, a okrywszy się burką, brnę z fuzyą przez rozmoknięte pola. Ani drogi nie mogę znaleźć, ani między żadnój; lecz kierując się na chybił trafił w stronę lasu, idę i idę prosto przed siebie. Jak

długo szedłem, niw mogę powiedzieć, jednak poczułem silne zmęczenie; — z grzęzkiej ziemi nie mogłem już zabłoconych nóg wyciągać. Deszcz leje ooraż lepszy, odzienie kompletnie przemokło, szalony wicher świszczuje w uszy, jak podczas nocy Wal- purgi, zdaje mi się, że dawno już powinienem być w lesie—a tu pole i polo, żadnego drzewa, ani krzewiny. I'atalne położenie! widocznie zmieniłem kierunek i błędę po swoich polach. Niema ratunku, próbujmy dalej, przecież gdzieś dojdę nareszcie. Wyciągam ostatek sił, a wtem płaczą mi się nogi w kamieniach—upadam. Trafiłem na jodnę z gromad kamieni polnych, o które na zasypanych niemi polach podlaskich nietrudno. Sam, rok rocznie kazałem zbierać te rozrzucone kamieniska; i składać w ogromne kupy, otóż znalazłem jedną z takich kamienic, jak tam je nazywają. Dalej iść niepodobna—przychodzi mi więc myśl zagrzebać moją lepazówkę wta- kiój kamienicy. Odpocząwszy trochę, zapalam z trudnością latarkę, rozrzucam spiczasty czub tej przyzmo watój, gromady, i układam jak można najgłębiej nieszczęśliwą strzelbę. Położywszy, nakrywam na- powrót kamieniami tak, aby uformować nad nią sklepienie, a potem zakończę przyzme jak była przed- tćm. Niech się dzieje wola Boża, tu jej już nikt nie znajdzie.

Pocieszony więc tą myślą, dopomagając sobie już światłem latarki, wracam do domu. Proszę sobie wyobrazić głupowate zdziwienie mojego służącego Wojciecha, gdy rano zobaczył przemoczone i zabło

cone ubranie. Widział mnie wczoraj, gdym się kładł do łóżka; był zatóm przekonany, że jakiś zły duch musiał przez całą noc hasać w mojej burce.

Między Szczepanem i Żelazowskim, wybuchła gwałtowna scena nazajutrz. Ekonom nie wiedząc, że ja mam drugi klucz od komórki, zapierał się do ostatka, że nie widział żadnej dubeltówki, jednak nie chciał otworzyć drzwi i pozwolić rowizyi. Żelazowski znowu, który pilnował ekonoma od czasu jego powrotu z Węgrowa, i widział, że ten nie był do tego czasu w komórce, był pewny, że fuzya tam jest, i nic odstępując Szczepana na krok, sprowadził go do mo- j<§j kancelaryi.

O wykradzeniu dawniej dubeltówki z gorzelni wiedzieli wszyscy, więc gdyby ją teraz u ekonoma znaleziono, cała sprawa zwałaby się na jego głowę. Żelazowski napierał się koniecznie rewizyi, więc i ja też chcąc nie chcąc, musiałem użyć powagi gospodarza i we trzech poszliśmy do owego składu.

— A widzi wielmożny pan — szepnie mi po drodze Żelazowski—jak spuścił nos; zobaczymy czyja prawda i dowiemy się kto tu jest takim majstrem we dworze.

— No — rzecze szukając drżącemi rękoma w pęku kluczy Szczepan — ja tam nie wiem, co tam jest w komórce; odebrałem wszystko jak Wąsowski zostawił... kaduk ta wie, może ją nieboszczyk schował.

— Aha! inaczej pan śpiówasz, co?—pyta błyskając oczami gorzelany. — A czegożeś to wasan tak wczoraj raptem drzwi zamknął?... Łatwo zganiać na

nieżywego, ale my znamy ptaszka, co umiś łązić po nocach na gorzelnię... Ładna fuzyjka przydałaby się, ja wiem, bardzoby się przydała panu...

Szczepan nic nie mówił, ale widziałem, że otwierając drzwi zbladł jak ściana. Gor/olany jak kot skoczył do komórki i prosto w to miejsce, gdzie wczoraj nagle schował fuzyę ekonom.

— A co? jest, jest? he, jest?—pyta nagle czerwieniejąc z radości i ze zdziwienia Szczepan.

— Nic tu, to gdzieindziej, a jest!—dowodził energicznie Żelazowski, i z zaciekłością gończego psa zaczął odbywać rewizję w komórce. Ja stałem przypatrując się temu z powagą, a ekonom w miarę jak rewizya posuwała się dalej, nabierał coraz więcej odwagi cywilnej i dotkliwymi słowami przesładował go-rzlanego, dając mu nazwy donosiciela, szpiega, podszuwacza i tym podobne.

Łagodziłem ile możności tę kłótnię, bo Żelazowski przysiągł się na wszystko, że widział na własne oczy... ale zacierzewieni przeciwnicy już brali się do bicia.

— Gdzież więc fuzya? — pytam po skończonym przetrząśnięciu całej komórki od szczytu do podłogi. Jak to źle panie Żelazowski, że robisz hałasy...

— Musiał wynieść ten, ten...

— Bogiem się świadczę, że od tego czasu, kiedy to pan miałeś zobaczyć tę fuzyę nie byłem w komórce, a klucze miałem przy sobie... Niech powiedzą ludzie, a i wielmożny pan zaświadczy, że pro-

A. TMeayfrfei. — 8uuc*1 oferukl. \$

sto z pola pojechał do miasta na pocztę; dziś znowu sam pan gorz elany spotkał mię kiedym wracał...

Nie było czemu zaprzeczać, ja pogroziłem tylko gorzełanemu, ująłem się za Szczepanem i wyprawilem każdego do swojej roboty. Od tćj chwili zaczęła się jawna nieprzyjazń między obydwoma ofieyałi- stami,' która jednak nie doprowadziła do takich rezultatów, jak z Wąsowskim, raz, że Szczepan był lu- biony, a po drugie, że w kilka dni potem oddział wojska postawiono we wsi na kwatery.

Żaden z nich nie podejrzy wał mię o udział w tej sprawie, umiałem zachować minę neutralnego, lecz łatwo pojąć co oni sobie mogli myśleć i jak wytłóma- czyć zniknięcie broni.

Przez całą zimę miałem spokojną głowę o lepażówkę, choć ubolewałem, że od wilgoci może ucićpińć. Zawsze przez kamienie, choć je szczelnie ułożyłem, przecieknie woda i żelaziwo zje rdza ze wszystkim. Ale cóż było robić I

Kochany czytelniku, nie gniewaj się. że tu nie koniec jeszcze przygód moich i lepażówki. Na wiosnę nastala nowa bieda, groźniejsza od dotychczasowych. Pan kapitan na ćwiczenia wojenne swojej roty, leazał wyszukać odpowiednie miejsce dla ustawienia tarczy do strzelania. Młodszy oficer z kilkoma żołnierzami obeszli moje pola, i na odłogu nicza- sianym, wybrali równinę, odmierzyli dystans strzałowy i kazali usypać wał odpowiedni.

Trzeba zdarzenia, że właśnie meta, z której żołnierze mają strzelać do celu, wypadła obok tej ka-

raienicy, w której zachowana była dubeltówka. Późno już, bo w sam dzień pierwszego strzelania, przypadkiem dowiedziałem się o tem — a nie chcąc stracić chwili czasu, niby z ciekawości wyruszyłem z wojskiem na oznaczone miejsce.

Rozpoczęło się strzelanie, ja usiadłem na gromadzie owych kamieni i pilnowałem, aby przypadkiem nie zbliżył się który żołnierz. Siadając mogły się obsunąć kamienie, fuzya wylazłaby na wierzch, a że ją znali wscyscy ludzie na wsi, wykazałoby się zaraz że moja — i nowa bieda.

Do samego wieczora siedziałem na owej kamienicy i zszedłem z niej ostatni. Oficerowie dziwili się mojemu amatorstwu strzelania i proponowali, abym próbował... ledwie się wymówiłem.

Znów nowy kłopot, trzeba w nocy maszerować w pole i ciągnąć biedną fuzyę gdzie w inne miejsce. Mimo rozstawionych placówek na około wsi, które, co noc skrupulatnie i dość gęsto zaprowadzano, prze- kradłem się w pole i wydostałem moją lepażówkę. Doprawdy, już rozpacz mię brała, gdzie tu ją schować i co z nią zrobić. Wracając ku domowi, rozwiązałem opakowanie i po ciemku nawet mogłem n- macać liczne plamy rdzy na lufie; miałem z sobą oliwę, odsmarowałem jak mogłem, i rozdzieliwszy lufę od kolby, każdą część z osobna wsadziłem w strzechę stodoły, stojącej daleko na łąkach dla sprzętu siana. Schronienie to miało być tymczasowe, dopóki póinić coś lepszego nie wymyślę.

Zeszło dni kilka, jakoś nic miałem czasu czy sposobności przeniesienia w inne miejsce dubeltówki, jednak po południu puściłem się na łąki, zobaczyć, czy dobrze ją podczas nocy ulokowałem. Możecie sobie zatem wystawić moje przerażenie, gdy zbliżywszy się, zobaczyłem błyszczącą lufę na wierzchu poszycia. Schowałem ją dobrze, ale w nocy powstała taka burza gwałtowna, że wiatr jak czuprynę małego chłopaka pozadzierał snopki poszycia do góry, i moja lufa, utkwiona jednym końcem w słomę, drugim sterczała kompletnie odkryta. O ile się dało ukryłem ją w tem samym miejscu z zamiarem przeniesienia w nocy gdzieindziej.

Przyznaj czytelniku, że wśród takiego fatum, można się zadesperować i stracić nawet wszelkie przywiązanie do tak pamiątkowej rzeczy. Jednak nie było co robić; wleźliśmy raz w błoto, brrnijmy dalej.

W ogrodzie, w samym zakątku, otoczona drzewami stała lodownia, której gruby słomiany dach wystawał nad ziemię,—w strzechę więc tę. nocną porą ukryłem lepażówkę, oddzielnie lufę, oddzielnie kolbę i byłem pewny, że tu już wichur nie zrobi mi niespodzianki.

Wichur rzeczywiście nie zawiódł moich oczekiwań, i do jesieni następnego roku, strzelba spoczywała tam spokojnie, i były chwile, że zupełnie o istnieniu jej zapomniałem. Ale niestety! lepażówka moja jeszcze raz ostatni zrobiła mi kłopot, a powodem do tego był mój ogrodnik Andrzej, którego dotąd nie znają czytelnicy.

Malutki, wygolony jak żokej angielski, w bronzo- wym liberyjnym surducie i palonych butach, był typem sługi -wielkich panów, którego przed rokiem następczo mi jako jedyną w swoim fachu doskonałość. Był to człowiek żonaty, bezdzietny t kapitalista, udzielający pożyczek na zastawy gruntów drobnej szlachcie i włościanom. Zawsze kłaniał mi się uniżenie, zdejmując czapkę przed pałacem, tak bowiem nazywał mój ubogi dworek. Sad z trochę olszyny nad rzeczką miał szumną nazwę parku, a moja osoba tytułowała się jasnym panem hrabią, Xic nie pomogła opozycya—zawsze hrabia, pałac i park były' na jego ustach. Kiedy go przyjmowałem, ma się rozumieć za dobre pieniądze, ułożyliśmy szerokie plany na mój ogródek dworski. Tu klomby, tu gaiki, tu kręte ścieżki, tam winnica i szparagarnia; była mowa o truskawkach i ananasami, a wszędzie mnóstwo łacińskich nazw krzewów, kwiatów i roślin, które ja, prostaczek szlachecki, przyjmowałem w najlepszej wierze. Gospodyni moja Szadkowska, która miała także protensyę do znajomości ogrodnictwa, kładła nacisk na warzywa— Andrzej tylko kiwał ręką, uśmiechając się pogardliwie, że takie rzeczy dla niego drobnostką, o której rozmawiać nie warto.

Pierwszy rok jego gospodarstwa w ogrodzie nie wypadł wcale pomyślnie. Tysiące przeszkód i żywiołów spiknęło się na roboty mojego artysty-ogro- dnika: rozsadę na kapustę zjadły mszyce i musieliśmy do sadzenia u kobiet wiejskich kupować, w inspektach pojawiły się myszy i poprzecinały pędy

ogórków i melonów, nasiona cebuli, porów, selerów, przeł samego Andrzeja u renomowanych ogrodników kupione, nie po wschodziły; zamiast kalafiorów, urodziły się flance rzepaku, pietruszka nie mogła się udać, bo była siana z wiosny, a trzeba ją siać pod zimę, — latorośle winogron obcinała żona podczas nieobecności Andrzeja, który kopał wtedy dzikie płonki do szkółki po lasach— i obcięła tak nieszczęśliwie, że właśnie te, co rodzić powinny.

— Proszę jaśnie pana hrabiego, człowiek się nie rozerwie— mówił do mnie.- Idź tu, rób to, dopilnuj tego, gdzież tu człowiekowi dnia starczy... Moja żona i tak bez obowiązku pracuje ciągle w ogrodzie.

— A ogórki gdzie? — pyta Szadkowska.

— Moja kochana pani — mówi słodziutko Andrzej—ładnie weszły, ładnie kwitły.

— Ale na pusty kwiat.

- Otóż widzi pani, że prawda — to ten psiakość ogrodnik dał za świeżo nasiona, nicchże tu kto pozna; jakże tu wierzyć teraz ludziom...

— Nawet jednego agrestu i porzeczki nie było— zarzuca znowu Szadkowska— tak, że na galaretę nie mam nic do smażenia.

— A widzi pani Szadkowska— nigdy po przesadzeniu w tym roku nie rodzi agrest., a trzeba było przesadzić, bo takie gęstwiny były.

Słowem, mieliśmy tylko sałatę, którą z tryumfem oodzień przynosił Andrzej do kuchni na potrzeby dworu; — mieliśmy bób i kartofle, które Szadkowska na puste kwatery posadziła, mieliśmy pod sznur wy-

Cięte uliczki, piaskiem posypane i pięć nowych fcyr wieczek z darniny.

Pan Andrzej i jego godna małżonka, mimo ca- tój pozornej dobroci, kłócili się i bili po całych nocach. Przyjaźń z gorzclanym i traktamenta osób pożyczających od nich pieniędzy, dostarczały środków rozweselających humory państwa ogrodników, po których Andrzej rozczulony przypominał sobie zawsze, że nie ma dzieci. Z płaczu nad tem nieszczęściem przychodził do robienia wymówek żonie, które kończyły się stereotypowo co wieczór temi słowami: „gdybym zamiast ciebie trzymał krowę lat tyle, dochowałbym się już stada cieląt, a z ciebie co mam?”

Pani Andrzejowa unosiła się, obrażona taką mową małżonka i karciała czynnie podobną zuchwałość, a gdy i to nic pomagało, nazajutrz zabierała się do porzucenia męża. Tak było i tym razem.

— Jedź, jedź moja kochana—mówi niby łagodnie Andrzej—tylko zostaw mi klucze od skrzynki.

Żona oddała klucze pakując swoje manatki, najęła furmankę na wsi, i zegnała się ze wszystkim znajomemi, zanosząc się od płaczu. Kiedy już spako wano wszystko do wozu, Andrzej otworzył skrzyni< i dostrzegł, że nióma worka z pieniędzmi.

— Oddaj l—zawoła, chwytając konie za uzdy.

■—Nie oddam.

— Oddaj, bo cię tu zabiję!

— Nie oddam — tłómaczyła się ze śmiechem ba ba—bo nie wzięłam nic twojego.

— Ja poszukam — czekaj człowieku — woła do furmana.

Żona pozwoliła na rewizję, on obszukał wszędzie, między ubraniami, w zawiniątku, po kieszeniach i znajomych mu schowkach, worka ze srebrem nie było.

— Antosiu, bój się Pana Boga — powiedz gdzie się podziała moja praca, tyś wzięła?

Kobieta się wyprzysięga, zaklina na czem świat stoi — on z prośby przechodzi w gniew, z gniewu w szaleństwo.

Ludzie się schodzą, baba się śmieje, a mąż zagrożony utratą swojego skarbu, już nie wie co z sobą zrobić.

Właśnie nadszedłem na tę scenę.

— Jaśnie panie! — zawoła przybiegając do mnie — weź mię w swoją opiekę! Ja jestem sierota bez ojca i matki (miał lat sześćdziesiąt), któż się za mną biedakiem ujmie, jeżeli nie jaśnie pan hrabia?

I żal i śmiech brał patrząc na przestrach tego skąpca, gdy chodziło o utratę swego kapitału; rad nicrad musiałem interweniować w tej sprawie i wpłynąć na pogodzenie się małżonków. Trzeba było widzieć jak hamując wściekły gniew, który nim miotał, człowiek ten z najwyszukańszą grzecznością sprowadził babę z wozu, pozniósł rzeczy do stancyi i zagodził furmana.

Cały tydzień mieliśmy spokój we dworze; pani Andrzejowa miała rozum i nie oddała pieniędzy, a czuty mąż bojąc się aby nie uciekła, chodził przed nią na palcach, jednak potajemnie, śledził i szukał, gdzie ona mogła schować ton worków. Nie mogąc nic

wskórać po trzeźwnmu, próbował ją upoić, licząc, że w tym stanie prędcj się wygada. Lecz baba niby ujęta, wskazywała jakieś miejsce gdzie schowała srebrne ruble; Andrzej wśród nocy biegł tam, kopał, nurtował, ale pieniędzy nie było.

Nazajutrz powtarzała się ta sama scena i taki sam zawód. Otóż, potrzeba było tylko takiego nieszczęścia jak moje, żeby wśród takićj indagacyi przy kieliszku, przyszło Andrzejowej do głowy wskazać lodownię jako miejcc schowania pieniędzy. Od brzegu do brzegu wymacał on całą strzechę lodowni, i zamiast worka z rublami znalazł — moją lepażówkę.

W tćj chwili kiedy się to stało, przyjechał do mnie w odwiedziny sąsiad mój, niejaki Michał Ot-rcmbski, młody człowiek zarządzający gospodarstwem owdowiałćj siostry, pani Aurelii.

— Jaśnie panie hrabio 5 — woła wpadając z ferworem ogrodnik — znalazła się zguba jaśnie pana ! I to mówiąc wyjmuję z pod surduta pordzewiałe lufy strzelby...

— A niechże cię milion porwiel szepnąłem zgrzytając zębami...

— Co to za lufy ? — zapyta sąsiad.

— To od lepażówki jaśnie pana, którą wykradł ktoś z gorzelni — rzeczce rozpromieniony szczęściem ogrodnik. Moje pieniądze przepadły, ale zato jest jaśnie pana fuzya...

— Dobrze, dobrze, zostaw Andrzeju —' mówię, udając ile można obojętność — te lufy już na nic się

nie zdały, trzeba połamać w kawałki... rdza zjadła kompletnie...

— Jak tam uważa jaśnie pan hrabia?... — dodaje wychodząc ogrodnik wtedy, gdy mnie o mało diabli nie brali ze złości... Nie mogłem się powstrzymać i po wyjściu Andrzeja wybuchnąłem przed sąsiadem całym potokiem żalu i narzekań na tę nieszczęsną strzelbę. Opowiedziałem mu szczegółowo całą hi- storyę i szereg nieszczęść, jakie ona od roku na mnie sprowadza.

Dalibóg, już nie wiem co mam z nią robić; porąbię w kawałki i niech raz będzie koniec!

— Et, szkoda, zawsze to droga pamiątka i strzelba wyborna. Wiesz pan co, ja ją zabiorę do (Sorek i dam Aurelii do schowania; kobiety mają spryt lepszy od nas... a sąsiad będziesz miał spokój...

— Do śmierci będę wdzięczny szanownej jego siostrze! — zawołałem ściskając pana Otrembskiego. Zdejmiecie mi wielki ciężar z sercu.,.

— Drobnostka — rzecze — trzeba było dawniej już to zrobić.

— Przyznam się, nic przyszło mi na myśl... zresztą nie śmiałem kogobądź, a tembardziej pańską siostrę narażać na odpowiedzialność.

— Bagatela, sąsiedzie, proszę cię bądź spokojny.

Kiedy się ściemniło, wyszukałem kolbę w lodowni, odczyściłem co się dało i usłużny sąsiad zabrał do bryczki lepażówkę. Gorzelanemu, który się już dowiedział o znalezieniu lufy i rano przyszedł ją obejrzeć, powiedziałem, że rdza na nic ją pożarła,

że bez osady niema żadnej wartości, i że połamawszy ją w kawałki, wrzuciłem do wody.

— ^{To} Szczepanowi tylko może wielmożny pan podziękować.

— Wątpię, czy to on....

— Hm, hm, wielmożny panie, mnie oko nie myli, jeżeli potrzeba, przysięgnę.

— Stało się, fuzyę diabli wzięli, a nie mając dowodu, nie mogę nikogo obwiniać...

Sąsiadka moja, pani Aurelia, która przyjęła odważnie do zachowania lepażówkę, była to młoda, jeszcze trzydziestu lat nie mająca wdówka, bezdzietna i dosyć majątna kobieta. Nieładna, ale też niebrzydka i pulchna brunetka, nudziła mię swoim sentymentalizmem, a jeszcze bardziej zmuszaniem do jedzenia- Ile razy przyjechałem ztaratąd, chorowałem na niestrawność i migrenę. Nastawiała zawsze tyle konfitur różnego gatunku, jakieś pigwy, morele, gruszki osmażane w cukrze, a wszystkiego wypadało choć po trochu skosztować. Przy herbacie znowu twarde ciastka, paluszki, obwarzanki— to wędliny, i znowu kolacya na trzy potrawy, i znowu orzechy lub bakalie; słowem, jadłem i jadłem bez końca. Mam bowiem tak nieszczęśliwą naturę, że nie umiem się wymówić; w brzmieniu mojego „dziękuję” przebija się jakby nieszczerość jaka, bo zdaje się każdemu, że ja mam chęć, a tylko lubię żeby mię proszono. Dla tego do Górek przyjeżdżałem bardzo rzadko, chyba z koniecznej potrzeby, lub na wielkie uroczystości parę razy do roku. Najcięższą była dla mnie

wizyta w lecie. Pani Aurelia wyprowadzała mię zaraz do ogrodu i pokazywała swoje kwiaty: było tam tego tysiące, a wszystkie piękne, nawet wiele rzadkości. Gospodyni unosiła się nad każdym, pieściła, całowała, odkrywając szczególniejsze przymioty i wdzięki w układzie listków, w zagięciu brzegów, czystości kolorów; — entuzjamy taki i zamilowanie, wydało mi się udaniem. Pani Aurelia szczebiotała nieustannie, a ja kiwałem głową uśmiechnięty i powtarzałem machinalnie: prawda, bardzo piękny, wspaniały, przepyszny i t. p.

Nie posądzałem, aby pani Aurelia chciała mi się podobać, bo doprawdy nie jestem do zakochania. Człowiek tyle znękany nieszczęściami familijnymi i klęskami moralnymi, człowiek stetryczały i zdziczały, jakim ja jestem, trudno aby mógł zająć jaką- bądź kobietę. Zresztą, muszę się jeszcze przyznać, że osoba pani Aurelii nic była w moim guście. Ja lubię wiotkie, swawolne blondynki z niebieskimi jak turkusy oczyma, a ona mocno śniada brunetka, pełnych kształtów w rodzaju hiszpańskich piękności.

Brat jój młody Otrembski, bardzo dobrym byłby chłopakiem, gdyby nic to, że był straszny samochwał i arogant. Chwalił się wszędzie i ze wszystkiego; zdawało mu się, że na całym świecie niema lepszego gospodarza jak on, niema lepszej wsi jak Górki, lepszych inwentarzy, lepszego ogrodu, a wreszcie lepszój, piękniejszej i mądrzejszej kobiety jak jego siostra. Te jego przechwałki dojadły mi do żywego. ipokaidćj wizycie czyunich, czy umnio, psuły mi humor na kilka dni.

Jednak teraz, gdy wyświadczył mi usługę zabierając strzelbę do zachowania, wypadało pojechać do Górek i podziękować pani za taką grzeczność. Z dnia na dzień zwłóczyłem ten wyjazd, i dopiero coś w dwa tygodnie pokazałem się we dworku pani Aurelii,

Blizko rok nie widziałem mojej sąsiadki i dziwna rzecz, trafiłem tak nieszczęśliwie, że zastałem ją we łzach. Siedziała na kanapce w bawialnym pokoju wśród gaju zieloności i płakała, ale to płakała rzewnie.

— Daruj pan— rzecze podając rai rękę na powitanie — żo przyjmuję go w tym stanie. Fan jesteś tak rzadkim i miłym dla nas gościem, że nie miałam siły odmówić mu przyjęcia. Wióm, że masz dobre serce i przebacysz łzy moje... proszę, siadaj pan...

Nieśmiało pozwoliłem sobie zapytać ją o przyczynę tego smutku...

Przyczyny dotyczyły pewnego spotkania w drodze z osobą dobrze jój znaną, a znajdującą się w sy- tuacyi bez wyjścia.

— Od tej chwili nie mogę się uspokoić — mówi kończąc opowiadanie — coś tu w sercu rozpiera mi piersi... daruj pan... nie mogę... muszę płakać...

Nie przeszkadzałem wybuchowi szlachetnej boleści i milczałem, wstrzymując się z jakąbądź perswa- zją, tem bardziej, że pani Aurelia z tym płaczem, w czarnej zapiętej pod szyję sukni, wydała mi się zachwycającą kobietą. Dziwna rzecz, przez ten rok zeszczupłała do niepoznania: owe pełne kształty ki-

bici, dziś zeszyły do zwyczajnych rozmiarów giętkiej i zgrabnej figurki, śniada cera twarzy nabrała matowego białego blasku, a czarne oczy zalane łzami, błyszczały jak dwa czarne promieniejące węgle.

Zwolna jój nerwowe łkania ustały, zmieniliśmy przedmiot rozmowy. Przyszedł brat, podano herbatę. Wtedy dopięro przypomniałem sobie cel mej wizyty i dziękując za grzeczność i łaskę, uścisnąłem serdecznie rękę mojej sąsiadki.

— Gdybyś pan zadał sobie pracę poznać nas lepiej — rzekła z niejakim wyrzutóm — już dawno byłbyś się uwolnił od tych kłopotów, o jakich mi brat opowiadał. Proszę, pójdź pan — mówi biorąc mię pod rękę, pokażę mu gdzie jego lepażówka zachowana.

To mówiąc, przez buduar przeprowadziła mię do sypialnego pokoju i odsuwając na bok jedną z listew odrzwi rzekła:

— Patrz pan, czyje tu dobrze? Rzeczywiście, odświeżona, błyszcząca strzelba stała sobie w framużcc jakby umyślnie dla niej wy- robionój.

— Jak mogłam oczyścić sama ze rdzy i ziemi, brat mi dopomógł rozsrubować zamki, wyczyścić lufy.

— Ach! pani jesteś zbyt dobrą — rzeknę całując ją w rękę — nie spodziewałem się żebyś prócz litości nad moją biedą, miała tyle jeszcze delikatności i poświęcenia.

— Panie Ignacy, ja umięm szanować wszelkie

pamiętki, tak swoje jak i cudze. Znając historię tój strzelby, uważałam za obowiązek uszanować jój pamięć i ochronić od zniszczenia. Dajmy więc pokój podziękowaniom, to mię Żenuje tylko i zmniejsza moje zasługi. My kobiety lubimy zawsze być dobroczyńcami mężczyzn, proszę pana nie psuj mi tśj illuzji...

Byłem oczarowany i rozrzuwiony taką delikatnością i dobrocią serca pani Aurelii, a że przyjęcie było skromne, więc i zachęcanie do jedzenia wydało mi się tym razem tylko serdeczną uprzejmością ze strony gospodyni. Unikając wspomnienia o przyczynie płaczu pani Aurelii, powoli gawędka nasza weszła na więcój swobodną i poufałą drogę. Jaz natury małowomny i dzikiego, że tak powiém usposobienia, nieznacznie, pozwoliłem sobie być więcój o- twartym; gospodyni znowu umiała tak naturalnie kierować rozmową, słuchała z takim niekłamanćm współczuciem moich zwierzeń i moralnych utrapień, że cały wieczór zeszedł nam przyjemnie.

Późno już było w nocy, gdym wstał, aby pożegnać gościnną wdowę.

—Ależ ja nie pozwolę panu wyjechać o takiej porze; pokój dla pana przygotowany obok Michasia.

—Muszę jechać — tłumaczyłem się z niechęcią — koniom już dawno kazałem zajechać, mam pilne sprawy do załatwienia...

—Konie odpoczywają w stajni, pański stangret śpi od dwóch godzin... proszę być grzecznym i posłusznym, panie Ignacy. Pan dawno już odwykłeś

od uległości dla kobiet, a rennie się nie często zdarza. sposobność rozkazywania. Jeżeli to zapraszanie mojn nie podoba się panu, proszę zrób na ten raz wyjątek i udaj, że słuchasz... Pozwól niech I ranie się zdaje, że mara jakąś władzę.

Tak zapraszany, nie mogłem się wymówić, a położywszy się w wygodnym łóżku, w duszy rad byłem, że się nie potrzebuję tłuc milę drogi wśród cie- mnsj nocy po błotnistej drodze.

Długo nie mogłem zasnąć, rozmyślając nad przyjemnościami rodzinnego życia. Przykre myśli minionego szczęścia wtedy gdy otoczony byłem opieką matki, a potem nieocenionej małżonki, nasuwały mi porównanie terażniejszej na wsi wegetacji. Żadnej wygody, żadnej troskliwości i porządku domowego, a pełno niedostatków i zmartwień. Od rana do nocy tylko się gniewaj, kłóć, irytuj ze służbą, a gdy przyjdzie chwila spoczynku, nic ma do kogo słowa przemówić —• książka i własne myśli tylko! Do dyabła, i najlepsza książka znudzi, a własne myśli najstraszniejszy wróg dla tego rodzaju zgryźliwego jak mój charakteru... Myślisz, myślisz ijeszcze gorzej... wszystko się rwie, za tobą pusto, przed tobą pusto i czczo, ludzie egoiści... Nieraz przychodzi rai myśl plunąć na cały ten świat i małą kulką zakończyć ka- ryerę doczesną. Rozsądek, religia, przywiązanie do tego głupiego życia i coś, coś niby jakaś nadzieja... Czego nadzieja? Et, dajmy temu wszystkiemu pokój... najlepiej spać., Ba, żeby to można spać tak całe dnie i tygodnie.,, choćby noce... Szczęśliwi

którzy spać mogą... ja i tego nie potrafię: zatykam uszy, odpędzam przykre myśli, perswaduję sobie, pocieszam się, roję sztuczną, dziecinną nawet tkankę przyszłości, nic nio pomaga.

Otóż tak było i podczas owój gościny w domu pani Aurelii. Do piątój z rana nie zmrużyłem oka i już ruch zaczął się we dworze, już słyszałem szepczące rozkazy gospodyni przez ścianę, gdy skleci ty mi się wreszcie powieki i usnąłem. Zdawało mi się, że spałem godzinkę, tymczasem spojrzawszy na zegarek zobaczyłem, że jedenasta. Jezus Mary al—wołam zrywając się na równe nogi, a pan Michał śmieje się ze mnie stojąc na progu pokoju.

— A co, udało się mojej siostrze oszukać kochanego pana, kazała zamknąć okiennice i panu się zdawało, że to noc jeszcze... Jedyna kobieta, prawda? — Jej figle mają w sobio coś delikatnego, że choćbyś się chciał gniewać, nie potrafisz.

Zatrzymano mię na obiad; pani Aurelia clióć jeszcze z nabrzmiałemi od wczorajszego płaczu oczyma, cieszyła się widocznie z mojego zakłopotania, z jakim przeproszałem za naruszenie porządku domowego.

Gdym wrócił do siebie — już we drzwiach pokoju czekały mię przykrości kawalerskiego gospodarstwa. Gromada parobków, zostających na dworskim stole, szła procosyonalnie na skargę, że mają zło jedzenie. Dwóch z nich niosło z niezmierną powagą, ogromną miskę pełną barszczu; jeden trzyr

yrttelcńti —

<Ł

mar na widelcu kawał mięsa, a reszta z drewniane- rai łyżkami towarzyszyła pochodowi.

- - Niech wielmożny pan zobaczy — odezwał się przywódca, nazwiskiem Żołądek - -jak nam ta gospodyni, jeść daje, co to za barszcz ?

— To krouhraal — dodaje drugi — łyżka w nim stanic... — £ na dowód wsadza blaszaną łyżkę w środek miski.

— A mięso to tak czuć, jak zdcchłinę — niech wielmożny pan powącha — dowodzi trzeci, podstawiając rai pod nos widelec z mięsem.

— Psy t«go jeść nie chcą... — z junacką miną rzeknii: młody pomocnik stangreta.

— Dlatego, wielmożny panie dziękujemy za służbę ; niech tam kto chce pracuje o takim wichcic.

Jak mogłem załagodziłem interpelantów, przyrzekając, że dopilnuję sam, aby lcpiój gotowano.

— Bo ta Kaśka, wielmożny panie — mówi Żołądek— to tylko schlebia gospodyni, a nas jak psów traktuje — gospodyni za nią, a to z przeproszeniem flondra, co aż strach.

— Każę innój dziewce gotować od jutra, a! dajcie mi święty pokój I

Zwolna wyprowadzili się przecie z tą miską, I i wśród ogólnej uciechy, aby udowodnić słusność j swoich użalań, poczęstowali psy dworskie obiadem.

Jeszcze nie zdjął paltota, gdy drugimi drzwiami weszła z ogromną furią Szadkowska; przekręco- j ny czepek na głowie staruszki, dwa promienie siwych włosów spadające na oczy wskazywały, że jest na wszystko zdecydowaną.

— Proszę wielmożnego pana — rzecze składając roś pęk kluczy na stole — ja dłużej rządzić nie mogę, niech pan z łaski swojej każe, aby mi Szczepan dał jaką furmankę, jadę do córki.

. — Moja Szadkowska, chybaś zwaryował! Proszę, zabierz sobie klucze i idź do swojej roboty. Czy ja ci co złego zrobiłem, czy nie rządzisz sama, jak chcesz?

— Do wielmożnego pana nie mam żadnej urazy, Bóg świadkiem duszy mojej, ale jeżeli pan ma słuchać parobków i Kaśka ma nie gotować, to ja służyć nie będę.

— A cóż im miałem powiedzieć?

— Trzeba było wziąć kija i dobrze wymłócić tego Żołądka, prowodyra, i tego drugiego smarkacza,

- Ależ to nie wolno, i wiesz, że ja tego nie lubię...

— To tóż, że wielmożny pan zawsze tak delikatnie, a z tymi rozbójnikami inaczej nie można... A pan zamiastich zwymyślać, to jeszcze obiecał, że Kaśka nie będzie więcej gotować. Oni tóż tego chcą, żeby mię za nic nie mieli i przywodzili dziewczkom. Ja na to nigdy nie pozwolę, wolno panu wybierać, albo oni albo ja ?

.— Moja Szadkowska, głupie mi stawiasz warunki; i bez nich i bez ciebie obejść się nie mogę; trzeba żebyście się pogodzili.

— To niech ich wielmożny pan godzi; ja od Kaśki nie odstąpię, albo niech oni postawią na swojóm, albo ja postawię na swojsrn. Dzięki Bogu, nie je-

— "pa:----- --_-----

stem łaknąca paóskufgo chleba; pojedę do córki, i jut,...

Zirytowany do żywego tą sceną, zacząłem chodzić w około pokoju, rozmyślając, jakby tu wybrnąć z tych klótni domowych, które sit; pan; razy w tygodniu powtarzały. Podczas tego kołowania dostrzegłem, że jeden z cybuchów z ogromnym bursztynem, jeszcze pamiętka po ojcu, stoi tak delikatnie oparty o fajczaraię, że najmniejszy ruch może go wywrócić. Podchodzę machinalnie i biorę go w rękę, aby lepiej ustawić, a tu mój bursztyn rozpada się na dwoje. Widocznie ktoś go stłukł, zlepił śliną i ustawił umyślnie, abym zaczepiwszy, był przekonany, że go sam stłukłem.

— Wojciechu! — wołam pokazując mu szkodę - - kto zbił ten bursztyn?

Wojciech zrobił wielkie oczy, wziął bursztyn do ręki, obejrzał pilnie oba kawałki, i rzekł nadzwyczaj zdziwiony:

— Nie wiem, proszę pana.

— Jaktó nie wiész! krzyknę — a któż tu chodzi i sprząta w pokoju?

— Żebym się z tego miejsca nie ruszył, żeby się ziemia podemną rozstała, żeby... i żeby i żeby... tyle mi wyrecytował zaklęć na duszę, na ciało, na zbawienie... że nie wie i nie wie...

Pasya mię porwała, złapałam go za kołnierz i wyrzuciłam za drzwi.

— Jak idzie robota? — pytam wchodzącego ekonoma-

—Dobrze, wielmożny panie — odpowiada kłaniając się i zdaje raport o ruchu gospodarstwa.

— No, przynajmniej u ciebie wszystko w porządku — mówię pocieszony.

— Staram się, wielmożny panie, nie chwałę się... tylko ten Franek mały z cugowij stajni, to taka bestya rozpustna, że rady sobie z nim dać nie mogę.

— Cóż on takiego zrobił?

—J Posłałem go wczoraj na Krzymuskim do Węgrowa po mięso i coś mu zrobił w oko, że łzy mu lecą i lecą, oko spuchło...

Objaśnię nawiasem, że Krzymuskim nazywał się kofi wierzchowy, kupiony kiedyś od drobnego szlachcica tego nazwiska.

Pewnie mu wybił oko... każ go tu przyprowadzić przed ganek!

Wyszedłem, przyjrzałem się oku, i ani wątpić, oko wybite kompletnie, już wypłynęło...

—A leż ten koń nie ma już oka!

— Ja tóż tak myślałem sam, ale czekałem jak spuchlizna zejdzie... Widać tak jest, skoro wielmożny pan powiada.

— I cóż ty na to?

— A cóż, powiedziałem urwisowi, że zapłaci, bo spodziewać się że mu wielmożny pan nie daruje i wytrąci z pensyi.

— Koń kosztuje ośndziesiąt rubli, a jemu do nowego roku należy się sześć; z czegoż mu potrącać ?

.— Urn, hm - - bąknął Szczepan — to niech go wielmożny pan poilo do kancelaryi gminnej i niech go porządnie obijq. Czy ja sobie mogę dać radę teraz, kiedy im wolność dali.

Tknąć nie woźna... posłucha żadnego... wielmożny panie, urwanie głowy z temi ludźmi...

Otóż tego rodzaju przyjemności gospodarskie powtarzały się, jak mówiłem, parę razy na tydzień. Nie to, to co innego, a zawsze jakaś niespodzianka. Niema rady, trzeba siedzióć w domu i nie ruszać się ani na krok.

Utwierdzony w tem przekonaniu, zająłem się gorliwie dozorem gospodarstwa i zapomniałem o sąsiadach. Po upływie trzech tygodni odwiedził ranie pan Michał, robiąc grzeczne wymówki, że zapomniałem o Górkach, a siostra tak mile wspomina ostatnią bytność pańską u nas. Chyba się sąsiad obraziłeś na nią za owe okiennice?

Wytlómaczyłem mu jak mogłem, że niepodobna mi opuszczać domu; śmiał się, słuchając opowiadań o moich kłopotach i widocznie brał to wszystko za pretekst ograniczenia naszych stosunków do prostej ceremonialnej grzeczności.

Przed wami łaskawi czytelnicy przyznam się otwarcie, że podejrzenia jego miały rację. Rzeczywiście nie chciałem z panią Aurelią zawiązywać bliższych stosunków; zdawało mi się, że te zapraszania gorące i ta niezwykła uprzejmość miały już teraz osobliwszą intencją dotyczącą pewnych rachunków na moją osobę.

Nieraz, po śmierci żony przychodziła mi myśl powtórnego ożenienia, lecz do tego trzeba było aby poruszyło się żywiej moje serce na widok przyszłej towarzyszki. Kochając raz, pamiętałem te wszystkie symptomata rodzącej się miłości, ten niepokój duszy, te pragnienia wymarzone, nieokreślone, wśród których jak w wieńcu kwiatów wysuwało się; naprzód to migotliwe a wymowno spojrzenie kobiety, którem się zdradza sympatya. Wobec pani Aurelii niczego podobnego nie doświadczałem; może i były tam pewne dane oznaki życzliwości, ale te nie odbijały się w mój duszy.

Znowu upłynęły dwa tygodnie, a ja nie mogłem się zebrać z wizytą do Górek, i byłbym jeszcze dłużej namyślał się jechać czy nie jechać, gdyby nie przyniesiona przez gorzelnego nowinka.

— Wie wielmożny pan—rzekł wpadając raniutko do mego pokoju — że dziś w nocy była rewizya w Górkach. Nie mogłem się dowiedzieć, co tam znaleźli, lecz podobno zrobiło się coś niedobrego.

Zadygotało mi serce na tę wiadomość; a nuż pomyślałem, biedna kobieta narażona została na jakie niebezpieczeństwo z mojej przyczyny... Zerwałem się tody niespokojny i zmartwiony do żywego, kazałem zaprzędz do bryczki i jadę do Górek. Droga była okropna, ja się niecierpliwiłem, stangret smagał konie raz po raz, a mimo to ledwie w półtorej godziny stanąłem przed gankiem.

— Spodziewałam się pana — rzecze błada, lecz

uśmiechająca się życzliwie pan i Aurelia, podając mi rękę — dla Has byś paa nie przyjechał, nie mamy szczęśc/a do pana, przyznaj się, ale gdy chodzi o Je- pażówkę wiedziałam, że pośpieszysz.

-1 Przebaczy mi pani — mówię trochę urażony taką wymówką — pozornie może jestem winien—ale nie trzeba tak źle czyirtać o swoich przyjaciółach.

— Których fałszywa wiadomość o rewizyi zniewala dopiero dowiedzieć się, czy ci przyjaciel o żyją. Jednak bądź pan spokojny, żyjemy jak pan widzisz cało i zdrowo, żyjemy i jesteśmy wraz z ukochaną lepażówką...

Czułem swoją winę, a pani Aurelia umiała to uczucie wyczytać na mojej twarzy, bo odezwała się wesoło: pańska strzelba ma szczęście, że się do niej tak ludzie przywiązują, i jeżeli pójdzie tak dalej, będziesz pan miał we mnie niebezpieczną rywalkę.

— Bardzo wątpię — odrzekłem — czy można się przywiązać do rzeczy, które nam tyle przykrości i tyle kłopotów sprawiają. Co do mnie...

— A co do mnie przerywa z wdziękiem gospodyni - jestem kobietą, a my kobiety właśnie tém większą przywiązujemy cenę do rzeczy i osób, które możemy utracić, choć one nam kłopoty i boleść sprawiają. Jest to kontrast, anomalia, ale tak jest rzeczywiście.

— Ja właśnie' miałem prosić panią o zwrot tój nieszczęśliwej dubeltówki; postanowiłem ostatecz-

nitt potłuc ją w kawałki, aby raz na zawsze skończyć te swoje i cudze utrapienia.

— A ja na to nie pozwolę — odrzekła z pewnym przyciskiem — I fuzyt nie oddam. Proszę pana, nie kłopotz się nią więcej, ja biorę ją na swoją odpowiedzialność. Prawda, że mi pan nie odmówisz takiego prezentu, który przeznaczony na zniszczenie?

■ — Nie, tylko obawiam się, że panią narazi..

— Nie będę miała żadnej a żadnej do pana pre- tensyi, ani najmniejszego żalu... Co, zgoda, podaj rai pan rękę, lepażówka moja?

— Niech pani służy — odrzekłem ściskając jćj delikatną rączkę...

Nadszedł pan Michał w żartobliwym jak zwykle usposobieniu i zaczęło się opowiadanie jak to jego siostra przeraziła się rozniesioną plotką po okolicy, a szczególnie boląła nad moim niepokojem! - - A co? moja siostrunia ma serce, co? — szukaj drugićj takiej, co?

Brzydką jest ta zarozumiałość mężczyzn o wyższości swój własnej osoby. Mimo widocznie bezinteresownej życzliwości i dobroci tych ludzi, nie mogłem pozbyć się myśli, że to wszystko komedia ukartowana na to, abym się żenił z panią Aurelią. Oni mają w tem jakiś interes — powtarzałem sobie, wracając do domu — ale ja się nic dam. Kobiety potrafią tak zręcznie usidlić tego, na kogo zagięły parol, taką otoczyć go naturalną życzliwością, słody-

czą, dobrocią, ie w końcu biedak uwierzy i zrobi głupstwa..

Srożyłum się jak mogłem, a jednak ten naiwno* zdziwiony wzrok czarnych oczu pani Aurelii, zaczynał mi się coraz częściej przypominać. Rzeczywiście ta kobieta miała szczególniejsze spojrzenie: mówi spokojnie, z wdziękiem, uśmiecha się — wszystko to nic nadzwyczajnego: naraz, w pewnych chwilach, otwiera tak dziwnie te wielkie oczy niby przestraszone, że blask tego spojrzenia jakby gorącym ja- kiem oblewał mnie całego, a wyraz ich pozostawał utkwiony w pamięci. Ignacy — mówił w takich chwilach przypomnienia ten drugi ja niepodejrzliwy — przyłóż no rękę do serca, ty tam coś czujesz?... Fałsz - - odpowiadał mu złośliwy Ignacy, serce spokojne jak u dziecka. Mój kochany, czego się wypierasz? prześladował pierwszy. Kobieta przyjemna, wykształcona, delikatna, z najlepszym sercem...

— Bo chciałyby pójść za mąż i złapać sąsiada, więc się maskuje...

— Przyznaj żeś uparty zarozumialec; co ona miałyby za cel łapać cię w swoje sidła: kobieta młoda, zamożna, a ty co? Safandula, ztetryczały wdowiec, zaszargany w interesach...

— Ba, żeby to ta jej sympatya była szczerą?

— Dlaczegożby miała być inną?

— Dlaczego? — Dlatego, że kobiety wszystkie są próżne i lubią, żeby się w nich kochano. Ulegnie®*

ich słodkim spojrzeniom, wynurzysz się ze swemi 'afektami, a one parskną ci śmiechem i masz za swoje...

— To zdarza się u młodych, zepsutych panienek, ale kobieta rozsądna...

— Daj pokój i nie namawiaj, ja wiem dobrze co robię i na dudka nie dam się wystrychnąć.

W ten sposób uparty Ignacy zwyciężał zawsze . we mnie romantycznego Ignacego, a mimo to jeździłem częściej do Górek i wracając ztamtąd znajdowałem mój dom, moje gospodarstwo i moje otoczenie daleko wstrętniejszem i bardziej opuszczonym TUŻ dawniej. Dlaczego, u Pana Boga, nie mogę mieć takiego ładu i takiego porządku u siebie, jak w Górkach? Dlaczego u mnie tak pusto i chłodno, a tam wre życie i grzeje ciepło domowe?... Xó, czyż mężczyzna nie potrafi rządzić się z taką umiejętnością, jak kobieta?

Wlokły się to rozmyślenia i gniewy na samego siebie przez parę miesięcy, a ja nie mogłem się na nic zdecydować. Tymczasem nastaly czasy reform. Zakres mojego opowiadania nie pozwala rozwodzić się nad temi zdarzeniami, potrzeba zakończyć historię mojej lepażówki. Koniec ten jest bliższym, niż się zdaje, a motorem przyspieszającym to rozwiązanie, było dozwozenie obywatelom starania się o bilety na posiadanie broni.

Znowu byłem jednym z pierwszych, którzy się o to dopominali i którym takowe udzielono. Dotąd nie pomyślałem o lepażówce, ale zobaczy wszy w rę-

kach czerwony bilet. przypomniałem sobie, że darowałem pani Aurelii moją dubeltówkę, Jaktó darowałem? Czyż ja mogłam darować rócz taką dla umie droęą i pamiątkową? — A jednak darowałem. Okoliczność ta nadzwyczaj przykre na 'mnie sprawiła wrażenia., i nie mogłem się pogodzić z myślą, że lepaiówka nie moja.

Trzeba nieszczęścia, że i pan Michał dostał taki sam bilet, i że przyjechawszy zafrasowany do Górek zobaczyłem moją wyświeżoną, odpóHturowaną, na nowój, zielonój taśmie; zawieszoną publicznie lepa- zówkę. Powiadam wam czytelnicy, formalnie straciłem głowę.

— Panie Ignacy—pyta Michał — słyssałem, dostałeś bilet

— Dostałem — odpowiadam machinalnie.

— A fuzyę masz ? Powiem ci, że będąc u Bekie- ra w Warszawie widziałem przepyszne odtylcowe dubeltówki.

— Ja nie cierpię tój nowomodnej broni...

— Są i perkusyjne Lebedcgo, Mortimora, lufy prawdziwe francuskie Jakóba...

Weszła na to pani Aurelia, młodsza, piękniejsza i weselsza niż zwykle...

— Widziałeś pan lepażówkę? Jaka szczęśliwa jestem, że biedaczka zobaczyła światło dzienne; spodziewam się, że pan nie żałujesz swojej wspaniałomyślności. Patrz jak wygląda? Michasiu, bądź łaskaw, zdejm ją ze ściany.

Wzięta w rękę strzelbę i podała mi do obejrzenia-

— Ot, widzisz pan, zostały jej szramy z tej niewoli — tu, tu... na lufie, na zamku...
— Ręce mi zadygotały widocznie, serce biło jak młotem, a dotknięcie włosów pani Aurelii o moje czoło, gdy się nachyliła, pokazując rany lepażówki, do reszty odebrały przytomność.

— Pani! — rzekłem spoglądając jćj błagalnie w oczy — daruj mojej śmiałości...

— Co panu jest? — spytała nagle, oblewając mię tćm przestraszono-zdziwionćm spojrzeniem. — Pan drzysz, pan zbladłćś? Xa miłćś boskć! pan jesteś chory?

— Tak pani — jestem chory, czuję tu coś niezwykłego w sercu, zamęt w głowie...

Przełćkniona kobieta przyłćżyła mi rćkć do czoła.

— Czołć zimno... — szepco z niepokojem.

— Nie odejmuj pani tej rćki — mówię, przyciskając do ust drugć jej rćkć. Pozwól - błagam — niech odtćd ta szlachetna dłćń twoja koi nazawszo umysł szaleńca, który cić kocha całćm sercem...

• Panie Ignacy — rzecze zalćkniona, wysuwając swć rćkć z moich uściskćw — ależ to formalno oświadczyńy ?

— O przyjęcie którćch zćbrze twćj najwierniejszy przyjaciel i sługa.

Patrzyłćm w jćj oczy, jak w tćczć, oczekując wyroku, a po tej twarzy chwilowo bladej jak marmur* mignęła błyskawica ironii.

— Panie Ignacy — rzecze łagodnie, gdy oko za-

chodziło mgłą i łzawą — robisz za wielką ofiarę ze swego życia dla miłości tej strzelby.-
Znam twoje serce, i twoje do niej przywiązanie, ale tej szlachetnej ofiary przyjąć nie mogę...
Nie żądam tego, nic... proszę... woź swoją lepażówkę i zostańmy przyjaciółmi —
dokończyła, podając mi dubeltówkę.

Odrąciłem broń tak mocno, że upadła z hukie m na dywan.

—..... Jeżeli pani obojętną jest moja miłość i osoba zawołam rozpaczliwie

— Nie, panie Ignacy — przerywa zawsze łagodnie Aurelia — pan dobrze wiesz, że go
wysoko szanuję...

— To mała pani, to mała l Za moje uczucie najszczytniejszej miłości, za moje serce, za
moje...

— No, to masz, masz tę rękę... szaleńcze jakiś — rzekła podając mi obie rączki.—Niech
będą twoje, bo wiem że lepszego nic znajdę na świecie opiekuna.

Gdy minęła pierwsza chwila uniesień moich, i gdy płonąca kobieta potrafiła uwolnić się z
moich uścisków, podniosła z dywanu lepażówkę i całując ją pogroziła mi palcem:

— Proszę rai nie rozbijać mojej kochanki!—Jesteś
niewdzięcznik, ja ją przeproszę za ciebie i rozkazuję abyś ją kochał, bardzo koahaL. ale
zawsze ranić trochę od twojej Aurelii. »

Oto macie łaskawe czytelniczki koniec historyi raój dubeltówki. Przeczytałem ją głośno
drogiej

Aurelii przed kilku dniami, i zwróciła uwagę, że jest za długą i zanadto prawdziwą.
"Widocznie, nie podobała jej się ta okoliczność, o której napisałem wyżej, jakobym z początku znajomości naszej nie czuł od- razu gwałtownej sympatii do mojej przyszłej małżonki... Cóż robić, kiedy tak było l

- A widzi ojczulku- zrobił mi wymówkę ośmioletni nasz Kazio, słuchający z zajęciem tego czytania — jak ojciec to nie pozwala mi zbliżyć się do fuzyi, a sam to przez okno wynosił ją z gabinetu, co?

— I za to też oberwał porządną reprimendę od swego ojca, — czy i ty takbyś chciał?

— Hm, hm, — mruknął chłopak i umilkł, z czego wniosłem, że nie byłby od tego i z tej przyczyny ■wychodząc ze swego gabinetu, chowam fuzyę do szafy i na klucz zamykam.

ODRODZENI.
NOWELLA.

A. Wilczki. _ Szkic*i obmw.
5

Mamy prześliczny dzień majowy, jeden z tych w którym nawet człowiekowi odartemu z wszelkich iluzji i nadziei, jeszcze się życie uśmiecha. Zielona, jakby pełnią młodości tryskająca murawa, zaściela bujnie obszerne klomby miejskiego ogrodu, drzewa pokryte już błyszczącym liściem, krzewy od góry do do hi osypane wonnemi kwiatami, a zachodzące słońce, oblewając purpurą wspaniały fronton gmachu Sejmowego, z każdego okna tworzy gorejące ognisko, rzucające na ogród snopy złotego światła.

Jestto dzień świąteczny, więc po wszystkich zakątkach ogrodu gwarno i tłumno, odgłosy wesotój i nieco hałaśliwej rozmowy wdzięcznie się mieszają z pożegnalnym śpiewem ptastwa lokującego się po gałęziach do spoczynku; wietrzyk zdaje się, że usnął, bo żaden listek ani drgnie, a balsamiczna woń kwiatów i samej wiosny, zdają się upajać i nowych sił dodawać każdej piersi...

Różnobarwne tłumy spacerujących płyną wciąż po krętych alejach ogrodu, to skręcają się, to łamią,

to giną w masach zieleni i znowu się pokasują przewijając się wśród zieleni nieskończonym ożywionym pasmem. Zapewne, że miło i rozkosznie jest poić się urokiem takiego festynu natury, więc łatwo usprawiedliwić obojętność, z jaką przechodnio omijają siedzącą w tej chwili na jednej z ławeczek rodzinę, z którą właśnie mam zamiar bliżej poznać czytelnika. Jest ich troje tylko: mężczyzna, kobieta i ośmioletnia może, cudnej urody dziewczynka. On jeszcze w sile wieku, z ogorzałą twarzą od słońca, widocznie obywatel ze wsi, ubrany bardzo przyzwoicie, a nawet powiedziałbym wykwiłtnie, Jestto jedna z owych typowo-naszyc postaci, do których już z pierwszego wejrzenia czuje się pewien sympatyczny pociąg. Blondyn, z jasnym, w żółtawy kolor wpadającym zarostem, pan Teodor (bo takie ma imię) posiada figlarne i serdeczną jowialnością tchnące spojrzenie. Kto go zna bliżej, a niema przed sobą, może mu wiele, bardzo wiele zarzucać lokkości w usposobieniu, lecz niechno się przywita, ręce do uścisku wyciągnie, rozśmieje i w oczy pocziwie zagładnie — wszelka nawet usprawiedliwiona niechęć jak wosk topnieje, a wtedy bierz pana Teodora bez ceremonii i kładź na ranę—z pewnością pomoże.

Obok siedząca żona, młoda jeszcze i dość przystojna kobieta, wygląda nieco poważniej. Niezbyt regularną jej twarz zdobi szczególnie delikatności cera, od której w rażący sposób odbija karminowo-pasowy kolor ust. Spojrzenie szafirowych i połyskujących oczu nieco melancholijne, przypomina błękit

letniego nieba, a całość, choć może za pulchna, tchnie szczególniejszą dobrocią i łagodnością. O ile ubranie pana jest wykwintne i modne, o tyle toaleta pani choć także świeża i kosztowna, razi brakiem delikatniejszego gustu, po którym elegantki miejskie natychmiast rozpoznają damę z prowincyi. O dziewczynce powiedziałem, że jest prześliczna, a dodam tylko, że ubrana w bieli, cokolwiek za kuso, tak jest zajęta podziwianiem trzymanćj na ręku ogromnej lalki, że nikogo więcej nie widzi, ani słyszy głośno wypowiedzanych zachwytych innych przechodzących dzieci, które minąwszy ławeczkę, jeszcze długi czas w tę stronę sę oglądają.

Jeżeli publiczność nie wiele zwraca uwagi na siedzące grono rodzinne, to nawzajem i oni tóż nie wiele sobie z niśj robią, zajęci wyłącznie oglądaniem złotego cmalieaewznego zegarka, który pani na łańcuszku ma zawieszony na szyi. Właśnie w tej chwili uderzyła godzina siódma na zegarze semina-ryum ruskiego; pani wydobyła zegarek ów z za gorsu, a pocisnąwszy sprężynę, z uśmiechem pokazuje mężowi, że idzie punktualnio i na minutę.

— Szczególny traf—mówi Teodor—żeśmy wstąpili do tego sklepu.

— A widzisz, to ja cię namówiłam.

— Prawda, bo rzeczywiście zawsze miałem wstręt do wszelkich wysprzedaży, tymczasem pokazuje się, że czasem warto... Pięćdziesiąt reńskich za takie cacko z łańcuszkiem złotym, to za bezcen... Je

stem przekonany, że w sklepie zwyczajnym zegarmistrza kazanoby zapłacić dwa razy tyle.

— Nic dziwnego—odzywa się pani, przypatrując się Jeszcze zegarkowi — przymusowa sprzedaż z powodu bankructwa, pewnie niżój kosztu...

— I to uważasz, szczęśliwie się trafiło, że zapytałem się o radę byłego właściciela sklepu, który dopomaga komisji sądowej do wyprzedaży.

— Jakto, ten brunet nieco szpakowaty w szaracz- kowym surducie ?

— Ten sam biedaczysko, z pochyloną głową, krę- cif się tam jak nieznajomy. Dwa razy odprowadzałem go na stronę, prosząc, aby wskazał coś dobrego, a on mię aio mógł zrozumieć... Co ? jak ?—powiada spoglądając błędnie oczyma— to do pana adwokata, ja tu nic... albo do pana pisarza. Wreszcie zmiarkowawszy, o co go proszę, zbliżył się do gablotki i mówi: To dobra sztuka, niech pan bierze.

— Ja się mu nio dziwię — dodaje westchnąwszy pani — człowiek ten był tam jakby na swoim pogrzebie...

— Masz rację; fizygnomia jego przerażająca; a kiedy patrzył na mnie, w tych oczach malowało się coś takiego, coś... czego ja nigdy nie zapomnę.

Rozmowa się urwała, a po czole Teodora przesunęła się lekka chmurka zadumy, którą wnet spędził, kierując myśli na inny przedmiot.

— _____ Wiesz Ludko, żałuję, że kupiłem lożę na dzis : do teatru. Wolałbym, żebyśmy poszli na wieczór j do Ignacego... ' jjE

— Pójdziemy jutro...

— Prawda, al» on tak prosił, a przekonałem się, że to jest człowiek niepospolitej zacności.

— Nie zaprzeczam i tak samo myślę. Czémże on dla nas?—Niczóm prawie, brat naszego rządcy...

— Którego—podchwytuje pan Teodor— przyjeśliśmy parę razy, gdy przyjeżdżał odwiedzać brata i przyjeśliśmy jak wielu dalszych znajomych przyjmujemy; a tymczasem okazał się tak dobrym i życzliwym dla nas, jak pewnie żaden z krewnych albo najserdeczniejszych sąsiadów nie byłby uczynił. Wystaw sobie, przychodzę do niego, jako do urzędnika pracującego w banku i mającego stosunki z finansistami, prosząc, czyby mi nie poradził zkąd dostać pożyczkę? Naturalnie byłem pod wrażeniem opinii lekarza, który na gwałt każe ci jechać do Franzensbadu; więc powiadam otwarcie: — Panie Ignacy ratuj, z moją żoną bardzo źle!

— Po cóż skłamałeś? — przerywa z uśmiechem żona, że też ty musisz zawsze przesadzać.

— Duszko moja, kiedy, bo doktor okropnie potrząsał głową.

— To ich zwyczaj, bo ja się nie czuję tak chorą. Poprostu spałam przy oknie, przeziębiłam się i ztąd łamanie w głowie, ale zaręczam ci, samo przejdzie.

Jemu zaś' powiadam ci, łzy stanęły w oczach i zaraz: Na co pan dobrodziej masz się prezentować po kantorach bankowych, znosić tyle subiek- cyj, pisać weksle, szukać poręczycieli, a w końcu dać się obedrzyć, kiedy ja tu mam kilka tysięcy

w listach zastawnych funduszu moich pasierbów, to mogę panu dobrodziejowi służyć. Odda mi pan dobrodziej tak samo w listach zastawnych z kuponami, za sześć miesięcy, czy za rok... mnie nie pilno... I wystaw sobie, poszedł do biórka, wyjął cztery tysiące, dał, a ja naturalnie wyściskałem go, wycalowałem jak rodzonego brata... Tyle zacności i szlachetności, to rzeczywiście musi rozrzewnić człowieka... Porządny człowiek, niema copowiedzić, chociaż jak powiadają, z niskiego stanu...

I po tych słowach rozpromieniła się twarz Teodora, który jakby dla uzmysłowienia swój radości tnimowolme dotknął się ręką kieszeni tużurka, w którym znajdowały się owe listy' zastawne pasierbów pana Ignacego.

A jednakże, wczoraj jeszcze przed owym czynem szlachetnym ze strony brata rządcy państwa Teodorów, nie tak różowo i przyjemnie było w ich sercach. Przyjechali dla porady lekarskiej z bardzo małym zasobem gotówki i z tego powodu nawet zatrzymali się w jednym z tańszych hoteli tutejszych. O sprawieniu sobie garnituru wiosennego, żonie okrycia i zegarka, a nawet lalki córeczce, nie było mowy. Pan Teodor niespokojny był i o chorobę żony i z powodu kłopotów finansowych; bo na cóż mara ukrywać przed czytelnikami — sytuacja jego majątkowa bardzo krytyczna. Ma on trzy bardzo piękne folwarki w podolskiej ziemi, ale niestety tak obdłużone, że nieraz mimo naiwnego łudzenia się co do ich ciągle wzrastającej niby war-

tości, czuje, że w razie likwidacji małoby mu z nich zostało.

Pan Teodor nie jost utracyszem, nie zbytkuje, za granicę nie jeździ, a mimo to jakoś mu nie idzie i pieniądze poprostu topią się w rękę. Dobry aż nadto, dla miłego spokoju nigdy nie śmie upominać się energicznie o swoje, lecz przeciwnie daje się każdemu wyzyskać. Ztąd zawsze u nich w domu krucho, wieczny brak, wieczne zaległości podatków, rat bankowych, procentów i starania się o pożyczki. W okolicy wszyscy niezmiernie go kochają, odwiedzają, całują, chwalą, a swoją drogą kiwają głowami i szepczą, bo pan Teodor goni resztkami. Najlepiej o tem wiedzą podobno żydzi, którzy stają się coraz więcej natarczywymi na punkcie dawnych a wstrzemięźliwymi na punkcie nowych pożyczek, tak, że o jakiej- bądź większej pożyczce ani marzyć. Łatwo więc da się wytłómaczyć obecna radość obojga państwa, gdy poczciwy Ignacy z taką gotowością przyszedł z pomocą i sprowadził wesołe usposobienie, objawiające się zazwyczaj u ludzi, którzy niespodziewanie przyszedli w posiadanie czterech tysięcy reńskich.

— Ale to czas do teatru — odzywa się pani, znowu spoglądając na zegarek — o wpół do ósmej zaczyna się przedstawienie.

— Więc idźmy...

Powstali wszyscy, pani strzepnęła suknię, lecz nic postąpili dwóch kroków, gdy uwagę ich zwraca szczególniejszy ruch i gwar w ogrodzie. Mnóstwo ludzi, osobliwie chłopaków i kobiet niższego stanu,

biegnie co ty w© ku górnej części ogrodu, już nie zważając na ścieżki, ale wprost przez trawniki.

— Co «§ to stało? — zapytuje p. Teodor pędzącego bez czapki tuż koło nich chłopca.

— Jakiś pan się zastrzelił!

—Gdzie?

— Tam, na górze... — odpowiada, wcale się nie zatrzymując.

— Boże drogi, znowu jakieś nieszczęście! — rzecze z przerażeniem pani.

— Usiądźcie jeszcze na chwilę, pójdę się dowiedzieć...

— Po co.... nic chodź!....

— Zaraz... chwileczkę... wrócę — mówi Teodor, z pośpiechem kierując się za innymi.

I rzeczywiście na wzgórku w stronie od cerkwi świętego Jura, tuż obok ławeczki umieszczonej na brzegu tarasu, widać różnobarwną gromadkę ludzi, otaczającą jakby wałem puste pośrodku miejsce. Ze wszystkich stron ogrodu, niby wróble zwoływane na alarm, biegną ciekawi powiększając ów wieniec, do którego szybkim krokiem zbliża się i Teodor. Mimo tłumu i gwaru, party ciekawością, przebija się energicznie przez żywy wał ludzki, a wzrok jego uderza leżący na wznak pod krzakiem akacyi samobójca.

Ubranie ma na piersiach rozpięte, z rany na lewym boku sączy się krew, twarz i ręce już sino żółtym powleczone kolorem, usta na pół otwarte, a szkliste zamglone oczy patrzą się słupem gdzieś daleko, w niebo czy wieczność. Jestto mężczyzna

w starszym winku, brunet z siwiejącymi już włosami i brodą, ubrany w szaraczkowy podszarzały surdut, widocznie jakiś rzemieślnik, kelner czy coś ze średniej klasy miejskiej. Nad ciałem niedającym już żadnych oznak życia, stoi policyant i odsuwa cisnących się ciekawych, a tu dokoła lament i przerażenie, a szczególnie między kobietami, rozprawiającymi głośno o strasznym wypadku,

— Nie wiecio, kto to taki? — pyta jednę, wycofując się na zewnątrz Teodor.

— Niewiadomo, proszę pana; powiadają, że to jakiś zegarmistrz czy co, który zbankrutował... Siedział niedawno na tej ławeczce ot tu, i poszedł za krzak, a potem buch z pistoletu... Mój mocny Boże! jakie to jest to życie ludzkie... Niech mu tam Najwyższy da...

Zegarmistrz i bankrut!... — pomyślał w tej chwili Teodor i nagle uderza go podobieństwo samobójcy z owym właścicielem sklepu, gdzie rano kupowali z żoną ów złoty zegarek... Tak jest, to ten sam... ktoby się to spodziewał...

— Hra, bankrut... bankrut... — powtarza, wracając ku ławeczce, gdzie zostawił żonę i dziecko, a na twarzy jego zaigrał dziwnego rodzaju uśmiech ironu, jakby pan Teodor porównywał własne położenie z położeniem samobójcy.

Był tyle oględnym, że nie powiedział żonie, kto jest ten nieszczęśliwy, lecz starał się uspokoić ją zapewniając z miną na pozór obojętną, że po wielkich

miastach takie wypadki bardzo często się zdarzają. Ze najsześćfój na Zycie swoja targają się osoby w przystępie obłędu itd. Po drodze dolaty wały ich ciągle rozprawy i komentarze, io podobno na śmierć się nie zabił, że joshczo żyje, że sprowadzono lekarza i że odniesiono nieszczęśliwego do mieszkania na Gródeckie...

Grano dnia tego w teatrze wesołą operetkę, Zycie Paryskie, więc kiedy zasiedli w łoży, a pierwszo wrażenie minęło, pani i mała Anielka zapatrzywszy się na scenę, zapomniały o samobójstwie i z naiwną radością przypatry wały się wielce komicznym postaciom służby, ugaszczającj w przybranej roli arystokratów prostodusznego Szweda w salonach swoich panów. Inna rzecz była z Teodorem; jemu wciąż przed oczyma stoi tylko ten nieszczęśliwy zegarmistrz, który nie znalazł w sobie tyle siły charakteru, aby przeżyć upadek... Teatr trzęsie się od śmiechu i oklasków, żona przechyla się za poręcz łoży dopomagając rozentuzyazmowanćj publiczności, a on odwróciwszy głowę od sceny, pociera czoło ręką i widzi już siebie samego — tam pod drzewem w o- grodzie w Peretyńcach z rewolwerem w ręku. W chwili ciężkich rozmyślań niejako przeczuwa niedaleką własną ruinę majątkową. On także jest tylko bankrutem i jego czeka to samo przejście publicznej wysprzedaży, i on będzie zmuszony opuścić na zawsze śliczną posiadłość, w której się urodził, młodość przepędził i tyle doznał szczęścia w pożyciu z Ludwiką... A czy on to zniesie?... Zegarmistrz,

prosty człowiek, tyle miał pojęcia o honorze — nie zniósł... Ha... zobaczymy!...

- Spojrzał na scenę, aby zatrzeć wątek myśli, któ- go tak niespodzianie opanowały, chciał się zagłu- fszyć, zapomnieć o leżącym pod krzakiem samobójcy — lecz wszystko na próżno. Tańce i skoki pomalowanych aktorów, wydały mu się takim błazeństwem, że litość go brała, patrząc na owe setki bez- myślnie śmiejących się widzów... Poczul wstręt do teatru i oper. Muzyka zdawała mu się wrzaskliwym chaosem dzikich zgrzytów, miauczenia kotów i wycia psów, a w każdej twarzy patrzącej przez lornetę do ich łoży... widział konwulsyjnie wykrzywioną twarz samobójcy.

W międzyakcie wybiegł do bufetu, kazał sobie podać dwa kieliszki wódki, wypił jeden po drugim, i zdawało mu się, że tym sposobem odpędzi widmo, (rdzie tam! Jeszcze gorzój. Myśl o przyszłym bankructwie własnym prześladowała go teraz z większą jeszcze natarczywością, tylko miejsce gorzkiej ironii zastąpił żal sprowadzający łzy do oczu. Miarowy huk wielkiego bębna orkiestry, zdawało się, że bije wprost w jego serce, a brzęk janczarskich talerzy szarpał nerwy w kawałki...

% Wyjdźmy I — odzywa się do żony.

Czy słaby jesteś? — odpowiada, odwracając uśmiechniętą głowę od sceny...

— Nie, tylko mię te błazeństwa nudzą...

Ej, pozostaliśmy do końca... Anielka tak się bawi...

Pozostał, lecz UH go kosztowało to ustępstwo, Róg jeden raczy wiedzieć; tutaj dusiło go wszystko, a on chciał jak najprędzej wydostać się na obszerniejsze miejsce. Nareszcie skończyło się przedstawienie i nasza rodzina znalazła się na wieczerzy w restauracji. Teodor jadł niewole, ale zato pił dwa razy więcej niż zwykle, co nawet zwróciło uwagę pani.

— Mam szczególniejszy apetyt do wina i czuję, że zrobi mi dobrze — odpowiada, przybierając ile możności wesołą minę.

Następnie kiedy powrócono do hotelu, wszczęła się rozmowa o sprawunkach, jakie wypada poczynić do domu. Pan Teodor nic miał żadnej chęci prowadzenia tak błahej i w szczegółach drobnostkowój pogawędki o kupnie talerzy, szklanek, bielizny stołowej i tym podobnych rzeczach, jednak żeby nie dać poznać, że coś go trapi — słuchał cierpliwie, dawał rady a nawet się sprzeczał, gdy żona zaczęła mówić o oszczędności i zmniejszać kwotę przeznaczoną na te wydatki.

Tak zeszło im do jedenastej, Anielka już usnęła, on sam zdawał się nieco uspokajać i także zabierał do spoczynku, gdy na korytarzu hotelowym wszczął się jakiś zgiełk i rumor. Kilka osób, widocznie no- wo-przybyłych gości, szło hałaśliwie po schodach, a co dziwniejsza, głośno i rzewnie płakali. Kałwa- kata zatrzymała się na korytarzu, klucz zazgrzytał w drzwiach sąsiedniego pokoju, przedzielonego tyl-

ko zamkniętymi drzwiami od mieszkania naszych znajomych — i wszystko to ulokowało się
tut obok.

— A to ci piękna hi story al — odzywa się Teodor do żony, gdy najbardziej płacząca
kobieta zaczyna mdlóć. Okoliczność ta sprowadza krzyki i lamont dzieci; biegają po
korytarzu, a jakiś gruby głos mężki woła wciąż: Wody, wody... prędko... hej, wodyl
Zniecierpliwiony Teodor wychodzi na korytarz i łapie pierwszego lepszego kelnera.

— Co to takiego? — mówi, wprowadzając go do
numeru. — Co to za płacze i krzyki?

— Wielmożny panic, to żona i dzieci tego zegarmistrza, który do siebie strzelił dziś w
ogrodzie... On umarł, tam w domu nie mają gdzie nocować, więc jakiś znajomy pan tu ich
przyprowadził.

— Czy to był zegarmistrz?—wtrąca pani Teodo-
rowa.

— Eh, niewiadomo,, — dorzuca mąż.

— Z pewnością, ja go znałem doskonale — odpowiada służący — miał sklep, ale
zbankrutował...

— Teosiu, to może ten, u któregośmy dziś kupowali zegarek? — mówi żona i zwracając
się do kelnera, dodaje: — Taki szpakowaty już, blady na twarzy?

— Ten sam proszę pani, jemu cały sklep zabrali za długi.

— O mój Boże!... Biedna kobieta... jakże mijój żal!... a taka sympatyczna twarz jego....

~ ^{Mnie} się zdaje że to nic on, widziałem go

przecie, jakiś starszy już mężczyzna... — przorywa p. Teodor, starając się przekonać żonę, że to kto Inny.

Ale kelner w obronie swych informacji całymi siłami przekonywa, że nic może być kto inny tylko ten sam, że miał tu a tu sklep, skutkiem czego i Teodor dał pokój zaprzeczaniem.

Tymczasem w pokoju sąsiednim nie ustają lamenty i płacze. Żona samobójcy desperuje, dzieci szlochają po kątach; a jeden tylko gruby głos mężczyzny stara się ich uspokajać znanymi w takich razach frazesami: że Uóg dał, Bóg wziął, że Opatrzność Boska nad wszystkimi czuwa, że trzeba myśleć o żyjących tych oto dzledach, i że Pan Bóg kiedy zasmuci, to tak samo potrafi pocieszyć.

— Ja tu nie wytrzymam — odzywa się Teodor do żony —• trzeba się przenieść do innego numeru... Dziękuję, żeby mi kto jęczał całą noc tuż pod bokiem.

— Daj pokój... cóż ona winna!... Biedna i nieszczęśliwa kobieta I Nie znam jój, ale mi czegoś tak lal...

Zawołano znowu kelnera, lecz jak na nieszczęście wszystkie numera były zajęte i ani jednego wolnego....

— Trzeba się przenieść do innego hotelu I — zawoła rozdrażniony Teodor — niepodobna spać tutaj....

— Zlituj się, północ..., gdzie czego szukać, dziecko już śpi,. Niech się wypłaczą, to trudno...

— Nie, ja idę! — mówi, szukając kapelusza. — Jak cię kocham, nie mogę, to mnie tak rozdrażnia.... Widzisz do czego to prowadzi twoja oszczędność: „stańmy w tanim hotelu*... Masz tani hotel!

— Ja sama nie zostanę! — przerywa pani, zastępując mu drogę.

— Co znowu, czogo się bać, nie bądi dziecinna...

— Jak cię kocham, nie zostanę sama... Mój drogi, czego się znowu irytujesz?... Wielka rzecz, że nie do- śpiemy kilku godzin... Trudno, są różne wypadki na świecie... A przyjemnieby ci było, gdybyś był w podobnem położeniu... Ko, no zobaczemy mój niecierpliwy despoto... Usiądziemy, pogadamy, przecież się uciszą...

Dał się namówić i został, a w sąsiednim pokoju rzeczywiście płacz trochę się uciszył; widocznie dzieci usnęły, a tylko sama kobieta urywanemi słowy prowadziła rozmowę z mężczyzną.

— Idźmy spać — mówi ziewając pani — ja muszę wstać rano, żeby sprawunki porobić...

Więc położyli się, zgaszono świecę, a że łóżko p. Teodora dotyka ściany i drzwi sąsiedniego pokoju, więc dokładnie słyszy opowiadania zdesperowanej wdowy.

— Bo widzi pan kochany — mówi na pół z płaczem — myśmy nie stali tak źle i dzięki Bogu interes szedł dobrze, gdyby nie ten Wechsel Kopankie- wicza... Ach, ile razy ja mówiłam nieboszczykowi, czego się ty wdajesz z tym człowiekiem, bo mówię kochanemu panu, ten człowiek odrazu mi się niepo-

A. Wccrfakl. — 37.Mc« i obrtttW. ^—

dobął... i na moje wyszła, że nas zgubił... Będzie tomu pół roku, a może i więcej, mój przyprował go do nas na obiad. Spotkali przypadkiem w sklepie i poznali, że są koledzy szkolni. Wyglądał na pana, mówił, że ma jakąś wielką posessyę koło Stanisławowa, tyle a tyle kom', wołów, tyle zboża i tak się niby cieszył, że odszukał Wicusia, z którym kiedyś byli po przyjaźni. Powiadam panu, czułam wstręt do niego choć tak skakał koło mnie i w rękę całował i dzieciom cukierki znosił. Ale mój Wincenty, poczciwa dusza jak pan go znał, od razu doń przylgnął. A to porządny człowiek, a nie gardzi biednym rękodzielnikiem, chociaż na pana wyszedł. Więc prowadzili się przez parę dni z handlu do handlu, to do cukierni, to do piwiarni i całowali się i kochali się aż strach... Nareszcie Kopankiewicz pojechał, a mój ani słóweczkiem, że mu podpisał weksel na dwa tysiące... Dopiero jak czas nadchodził, mój Wicus jakos niespokojny, pisze jeden list, nic—pisze drugi rekomendowany —nic; telegrafuje, także nic, i wtedy przyznaje się przedemną, że tak a tak... Powiadam panu, myślałam że trupem padnę, bo to dwa tysiące dla nas cały majątek... Wicusiu — radzę — jedź sam i przekonaj się... Pojechał, wykosztował się na drogę i pokazało się, że to jest bankrut, że wszystko mu w onój wsi już dawno sprzedali, a on sam mieszka w Stanisławowie i gdzieś kopio naftę... Przez trzy dni mąż go szukał, bo się krył przed nim i dopiero, jak go przyłapał powiada: Cóż ci dam, kiedy nic nie mam, ale jak

znajdę naftę, to oddani, tego, owego... Zbył go niczem, choć mówili ludzie mojemu, że żyje sobie po pańsku w Stanisławowie, że trzyma drogie mieszkanie, a żadnej biedy u niego nie znać... Przyjechał mój taki zgnębiony, przybity i do nicz«go, że aż ja musiałam wszystko pozostawiać i zegary lepsze za sklepu i napożyczaliśmy gdzie można, aby te dwa tysiące zapłacić... Alo cóż z tego, kiedy znowu nie stało na te długi i zapłatę weksli za zegarki... Łataliśmy, szarpaliśmy się i jak pan widzi, musiało wszystko pęknąć. Com ja wycierpiała przy tem, och, com ja wycierpiała i namartwiła się, to tylko Bóg jeden wie, i ta poduszka łzami mojemu napojona. Kadzili mojemu różni, zrób tak a tak panie Wincenty, ale on powiada: uczciwym byłem całe życie i uczciwym zostanę... Wczoraj jeszcze przy tej wysprzedaży myślał, że się nam coś okroi, ale jak wszystko skończyli i obrachowali, że jeszcze dla dłużników nie wystarczy, bo towar poszedł na marność i na koszt dla adwokatów, tak mój już nie wrócił do domu...

— Moja pani — perswaduje mężczyzna, widocznie bardzo nabożny człowiek — trzeba to wszystko Panu Bogu ofiarować. On zasmuci to i pocieszy, a może też i ton Kopankiewicz co odda, to jakoś poradzimy, aby tylko zdrowia, zdrowia i nie desperować...

— Mówię panu, nie jestem złą kobietą, ale żebym mogła, tobym z zimną krwią tego zbrodniarza kawałkami krajała... Mój Boże, wsadzają do wiezie

nia złodziei i rabuśników, a caki chodzi sobie swobodny i iyje dobrze... Gdzie?, tu prawo i sprawiedliwość}... A toż on poprostu zrabował i zamordował mojego... toż on skazał mnie biedną t te czworo dzieci na głód i nędzę... Bożo wielki.. Boże i —woła podniesionym I rozpaczliwym głosem—cóż ja pocznę nieszczęśliwa?...

Teodor nio spał, a choć sprawa biednej wdowy po zegarmistrzu osobiście go nie dotykają, to słowa jćj wzywające pomsty, jsj skargi bolesne, jak krople roztopionego ołowiu raz po raz spadały mu na serce... Zapomniał już o własnym niebezpieczeństwie, które nasunął mu widok samobójcy, a natomiast stanął mu przed oczami poczciwy pan Ignacy i cztery tysiące rońskich jego nieletnich pasierbów... Czuł jakiś nieokreślony zamęt w głowie, całe ciało parzyło go ogniem, rzucał się na łóżku, poduszki poprawiał, a nawał myśli splątanych w dziwny, nieuchwytny chaos, wzburzył wszystkie nerwy, trząsł nim, w mózgu kotłował i sercom miotał, jakby to serce było dzwonem, którym niewidoma siła gwałtownie kołysze.

— Za wiele piłem wina — myśli, wstając cichutko, żeby nie obudzić żony i szuka karafki z wodą. Napił się, głowę pomacał i znów się kładzie. W sąsiednim pokoju rozmowa ustała, poczciwy przyjaciel pożegnał wdowę, i nie słyhać nic więcej, tylko ciężkie jej westchnienia i urywane łkania dają znać, że biedna nie śpi.

Mimo to i mimo spokojnego oddechu żony spo-

czy wając z dzieckiem—on nic moje zasnąć. Prowadząc dotychczas szczeliwa z dnia na dzień Zycie, czuje dziwną jakąś rewolucję w swoim umyśle. Z zamętu niejasnych pojęć, zamąconych tradycją» zwyczajom, opinią koła, w którórń się obracał, brzęczały mu dziwnie proste słowa znękanój kobiety, słowa piętnujące tego rodzaju niegodziwych, niesumiennych szalbierzy. NapróZno usiłował obalamucić samego siebie, przywodząc takie argumenta, jak walka o byt, o której coś zasłyszał, rozpaczliwa sytuacja, przykłady innych, choroba żony i tyle znanych wybiegów, któremi człowiek tak umie szafować, gdy idzie o własne usprawiedliwienie — nic to nie pomagało. Biały sztandar sumienia i prawdy podnosił się coraz wyżej na gruzach fałszu, wyrastał jasny i poważny, szumiał mu w uszach — a na jego tle wypisane były czarne słowa: „krzywda ludzka*.

Znużony tą walką, gdy zdrzemnął na chwilę, wnot budziło go widmo leżącego pod krzakiem w ogrodzie samobójcy, ale już nie zegarmistrza tylko poczciwego Ignacego, który szklistem i oczami swemi zdawał się mówić:

— Oszukałeś mnie, nadużyłeś dobrej wiary, skrzywdziłeś sieroty!...

— Ależ oddam — szeptał bezmyślnie w przystępie dosperacyi — jutro oddam!..,

I rzeczywiście, postanowienie to, wymuszone głosem sumienia, uspokoiło go od razu tak, że mimo rozpoczynającego się już ruchu na korytarzach hotelu i pierwszych promieni słońca, bijących do poko-

ju przez szpary w storach okna, usnął twardo i spał do godziny dziesiątej. W sąsiednim pokoju cisza, lokatorowi*? już wynieśli się dawno, więc spojrzął na łóżko żony i zdziwił się że ani tam, ani w całym pokoju jój nie wid/J. Zrywa się tedy, spojrzy na zegarek, podnosi stopy, rzeczywiście niema Ludwiki, a drzwi od mieszkania na klucz zamknięte.

— A to co znowu, gdzież ona tak rano poszła, pewnie robić sprawunki... Ach Boże wyda pieniędzy dosyć, cóż ja oddam Ignacemu...

Jakoż dla przekonania się o tem, biegnie do komody, gdzie wczoraj wieczór żona złożyła owe cztery tysiące, i zastaje również komodę zamkniętą. Pamiętał, że klucz schowała pod poduszkę, zbliża się więc do łóżka, na którym w pozycyi jak sobie wyobrazić można rozkosznej, z rozrzuconemi włoskami, z uśmiechniętą twarzą, obejmując jednym ramieniem lalkę—smacznie śpi Anielka. Widok dziecka, którego szalenie kochał, rozrzewnia go serdecznie i łzę sprowadza na oko...

— Nie! — zawoła, siadając na brzegu łóżka i wpatrując się z miłością w jój oblicze— twój ojciec zginie, a złego imienia ci nie zostawi! Jestem zrujnowany, ale w przepaść nikogo za sobą nie pociągnę... Sieroca krzywda nie splami charakteru twego ojca... Tak jest! Bóg mi użyczy sił, że zapracuję na ciebie drogie dziecko; fundusze sierot oddam, bo czuję, że w/ moich rękach niepewne...

Zapomniał teraz o kluczu i o komodzie, lecz sie-

dział tak i siedział przed dzieckiem, dopóki nie otworzyły się drzwi, a w nich nie pokazała się tona.

— Mój Ttosiu, nie gniewaj się, żem cię zamknęła i poszła. Spałeś tak smacznie* i mocno, że nie miałam odwagi budzić cię, a nie mogłam zostawić drzwi otwartych...

Tymczasem obudziła się Anielka, pan Teodor wziął się do ubierania, przyniesiono kawę, którą dziwnie drżące mi rękami zaczęła do filiżanek nalewać pani.

_ Moje życie — odzywa się Teodor już ubrany do wyjścia, i nie myśląc zabierać się do śniadania — gdzie masz klucz od komody?

— A na co ci? — odpowiada spuszcżając, oczy,...

— Potrzebuję. Chcę wziąć pieniądze...

— Pieniądze? — powtarza zakłopotana. — Cóż ty chcesz z niemi robić?...

— Ależ moja hochana, nie pytaj się! — mówi nieco rozdrażnionym tonem. — Potrzebuję i rzecz skończona...

Kobieta zamilkła i nio ruszyła się z miejsca, a na twarz stojącego przed nią Teodora wystąpił rumieniec gniewu.

— Proszę cię nie żartuj i daj klucz!

Ludwika jeszcze pokorniój skłoniła głowę.

Mój drogi ~ rzecze, drżąc cała — nie gniewaj się!

— Ja się nie gniewam, tylko chcę mieć pieniądze... Gdzie są?

^ićma... — wyjąknęła po chwili.

r— Jak to ał&nat — zawołał p. Teodor, przesywając Zonę niemal dzikiem spojrzeniem, od którego oczy mu naraz pobladły, a wargi poruszyły się febrycznym drżeniem. — Zlituj się kobieto, przecież nie wydałaś wszystkich na sprawunki.'

— Nio.

— Więc gdzież są?

— Teosiu mój drogi, nie gniewaj się... — szepnie, podnosząc na niego szafirowe oczy, z których łzy zaczynają gradem spadać na suknię.

— Daruj mi mój najdroższy — mówi dalej, wy-ciągając ku niemu obie ręce — ja nie spałam także przez całą noc i słyszałam opowiadanie tój kobiety...

— Więc cóż? — Mów na miłość Boską, dałaś komu...

— Oddałam... — szepnie ledwo słyszonym głosem.

— Komu?

— Panu Ignacemu... Ja nie chciałam, żebyśmy względem niego odegrali smutną rolę takiego Ko-pankiowicza... My nie będziemy w stanie oddać....

Teodor stoi i stoi przed nią jak odurzony, a dziki wyraz jego oczu topnieje, twarz przybiera zwyczajny jowialno-serdeczny wyraz, i tylko czuje, że z radości niedobrze mu się robi; pochwyciwszy więc oburącz Ludwikę, zaczyna ją z szaloną namiętnością całować bez końca.

— Ukochana ty mojal... To samo chciałem zrobić! — zawoła nareszcie z głębi rozrzewnionej du-

szy... — Jakie ja cię kochać ! czcić powiemenom, ty święta, najdroższa, najszlachetniejsza !...

I mimo woli, trzymając jej rękę, zsunął się na kolana, a ona okrywała pocałunkami jego czoło, schylając się także, gdy przełęczona Anielka porzuciwszy śniadanie skoczyła do nich i drobnymi rączkami objęła obie ich głowy razem...

Nareszcie uspokojono się nieco po krótkiej chwili uniesienia i rozpoczął się szereg zwierzeń o własnej walce z uczuciem i obowiązkiem, którą tej nocy małżonkowie stoczyli. Następnie opowiedziała pani, jak zdziwił się i prawie obraził Ignacy, gdy mu dziś rano przyniosła pieniądze.

Powiedziałam, że inaczej się rozporządziliśmy, że już nie potrzebujemy, że sprzedajemy majątek...

— Jakto, i to powiedziałaś?

— Byłam zażenowaną, więc mówiłam co tylko na myśl mi przyszło.

A ja na seryo postanowiłem to zrobić i właśnie idę do adwokata, który przed paru miesiącami pisał mi, że ma gotowego kupca... Dalój w ten sposób ciągnąć mi niepodobna; majątek niszczy coraz bardziej, i my żyjemy cudzym kosztem, a kto wie czy już i nie cudzą krzywdą... Nie wiem, jaką dostanę cenę za Peretyńce, lecz jeżeliby dało się uratować dwór i kilkadziesiąt morgów z ojcowizny, byłbym szczęśliwy nad wszelki wyraz... Ha, a jeżeli i tego nie będzie można — pójdziemy w świat między ludzi na wygnanie !... Tyle milionów żyje i pracuje bez wsi i dziedzictwa, więc może i my się między nimi

pomieścimy, a przynajmniej niczyja krzywda nie dostaniu na naszym sumieniu.

— Masz rację mój drogi. Niech tam zarabiają inni i majątki robią jak chcą, zawierając układy z sumieniem — lec/, ja przez tę noc jedną dosyć miałam przestrogi... Będziemy pracować, pozrywamy wszelkie znajomości dotychczasowe, zamkniemy się, odgradzimy od świata...

— Ja wezmę pług i kosę do ręki...

— A czy potrafisz?

— Przysięgam ci, że potrafię, bo uważasz kochanie moje. ja od dziś inny człowiek, ja zmartwychwstałem na nowo — zginę, ale nie upadnę!

* W- * i

Czy p. Teodor wytrwa i dotrzyma słowa, które wyrzekł w tak uroczystej chwili—jest to pytanie, na które nie mógłbym w danym razie twierdząco odpowiedzieć. Znałem w życiu wielu ponawiających po sto razy tego rodzaju przysięgi, a niestety bardzo mała liczba ich dotrzymała. Zanedbane wychowanie w dzieciństwie, smutny przykład innych, jak się wyraziła pani Ludwika, zawierających ugodę z sumieniem, wruszcło tak ponętą chęć do próżnowania, rozwiały zbyt często w proch szlachetne porywy, o które w narodzie naszym nie trudno.

Ale co do naszego pana Teodora, to jakoś więcej mam nadziei. Człowiek ten jakkolwiek wychowany i wzrosły w tych samych warunkach co my wszyscy,

zachował jednak w głębi serca uczucie prostej chrześcijańskiej prawdy, zachował szlachetny wstręt do wszelkiej ludzkiej krzywdy, a wreszcie gdy do tego wszystkiego Bóg dał mu taką siłę jak Ludwika—można oczekiwać, że potrafi się wznieść ponad wszelkie słabości i przesady, i kto wie, czy nie przędź zginie H upadnie.
J daj mu Boże, aby zwyciężył!

NA BROKU.
OPOWIADANIE.

— Ależ to prawdziwe skaranie Boskie z tymi krewnymi! Myślałem, że potyluburzach, schroniwszy się tu do Lwowa na koniec Europy, już będę wolny od wszelkich obowiązków rodzinnych, którą mi ty- lekroć rozczarowywały, aż tu przed tygodniem buch! — spada mi jak piorun imci pan Adam ze stryjecznych ciotecznych braciszek, właśnie ten, którego spotkania najmniej mogłem sobie życzyć, i który jako człowiek zamożny kiedyś, nie mógł mię straszyć Żądaniom pomocy.

Ja, proszę państwa, nie kryję się z tóim, że nie żądam nic od świata, ale ten świat niech również da mi spokój. Nie chcę ani przyjaźni, ani wdzięczności ani uznania — ot nic zgoła, tylko niech wszyscy zapomną o tem, że ja żyję na świecie. Masz jeden, drugi, jako zmartwienia lub kłopoty — dobrze: mój, gry się jak chcesz, głową bij o mur, wieszaj, zabijaj — ja nie bronię, tylko nic przychodź do mnie, i nad uszami nie jęcz... Na diabła mi jakieś uczucia lub wzruszenia, z powodu których tracę apetyt, son

i równowagę. W nocy biją na mnie poty, w głowie szumi, wiję się jak wąż na posłaniu, ot zupełnie tańc samo, jak po wypiciu dwóch szklanek dekoktu herbacianego u pani konsyliarżowsj— Szczególniejsza kobieta ze swoją gościnnością i ze swoją herbatą... Dalibóg we Lwowie, to nawet herbaty parzyć nie umieją!

Napróżno męcząc się tak przez całą noc, chcę korzystać z rady, którą tam jakiś facet w książce o starości podał, że trzeba zmienić tok przykrych myśli na coś przyjemniejszego... Dobrze mu radzić, gdy pewno nie miał takiego kuzynka Adama, zbankrutowanego szlachcica, który się mnie uczeplił jak pijany płotu i nachodzi dzień w dzień od ósmój z rana do dziewiątej wieczór, i jęczy i wzdycha przemawiając żalonym głosem, niby ten żebrak stojący gdzieś pod murem... Zróbże tu co z takiej facyaty przyjemnego, i zmień przedmiot myślenia...

A co mię najbardziej irytuje i do pasyi doprowadza, to ta nieznośna szablonowa grzeczność ludzka, ten gwałt zadany oczywistości, z powodu których nikt nie chce wierzyć, że ja taki jestem jak jestem, ale że to wszystko udanie i oryginalność. Gzy ja u Pana Boga mam tak baranio-dobrotliwą fizyogno- mię, czy nie umiem dotykalnie rozebrać się przed każdym do koszuli, aby zobaczył mój niezaprzeczony egoizm i obojętność na wszystko; dość, że jak tylko zacznę mówić to co myślę, to naprzykład konsylia- rzowa, ot ta sama co mię truje dekoktem, wzrusza ramionami i śmieje się w żywe oczy:

- Panie Tadeuszu — mówi — czego się pan lubisz tak obmawiać...
- Jak panią dobrodziejkę szanuję, powiadam prawdę. Mnie sprawy ludzkie nic a nic nie obchodzą.
- Nie wierzę, bo niepodobna, aby jakibądź człowiek był całkiem pozbawiony uczucia.
- Otóż ja takim jestem! Niech będzie potop, niech cały świat wymrze...
- I nic pan i nikogo nie lubisz?
- Daję pani słowo nie, ale to kompletnie nie...
- Ech, bo to prawda o kobietach?
- Przepraszam panią dobrodziejkę jako białogłową, lecz co się tyczy kobiet, to uważam je za najbardziej chybotliwy twór Pana Boga.
- Nawet młode i piękne?
- Tębardziej... Dla starszych jako użytecznych członków rodziny, mogę czuć jakiś szacunek za wypełnianie przez nie obowiązków, ale młode obudzają we mnie wstręt i przypominają kota, który tylko do miejsca a nie do osoby przywiązać się potrafi. Daruję pani dobrodziejka, ale ze wszystkich istot żyjących na świecie, podług mnie młoda dziewczyna jest...
- Chcesz pan powiedzieć najwstrętniejszą, co? — podchwytuje z uśmiechem filuternym.
- Tego nie utrzymuję, ale że jest najprzewrotniejszą, najbardziej interesowną, a zatem złą i ograniczoną...
- A. WUtsyAiki, — StWle, | ofctuU. f

— Et pleciesz pan!—mówi już zadąsana— a zdanie swoje wyprowadzasz z jakiegoś szczególniejszego wypadku, z osobistego doświadczenia.

— Tak jest tylko nie z jednego, ale ze stu swoich i tysiąca cudzych... Istoty te są bez charakteru... mam dowody na to, nawet bardzo bliskie...

— Ciekawam je usłyszeć.

-- I owszem; ja się nic kryję z tem, co myślę i na dowód powiem zdarzenie z panną Jadwigą, dzisiejszą Adamową, ot żoną tego, który mię dwadzieścia razy dziennie nachodzi... Byłem na trzecim roku prawa i przyjechawszy na ferye do rodziców poznałem na wieczorze w sąsiedztwie panienkę, która mi się wydała wtedy czémś więcej niż aniołem. Ma się rozumieć pani dobrodziejko, że byłem wówczas głupi i niedoświadczony, a że każdy człowiek musi w życiu swoim przejść tę naturalną ospę, zwaną miłością, więc zadurzyłem się w Jad wisi, ale to tak, że niech Bóg uchwata i bronie. Rodzice jej mieli się dobrze, mieszkali o milę w sąsiedztwie, więc ja też pod różnemi pozorami, których zakochanemu nie braknie, pędziłem na koniu do Plebanie i woziłem bukiety, woziłem książki lub nuty, wynajdywałem rozmaite interesa od rodziców, oglądałem liche gospodarstwo w Plebanicach, aby tylko popatrzeć w szafirowe oczy Jadwisi, usłyszeć srebrny śmiech pensowych ust, podziwiać pyszne zwoje jasnych blond włosów i dokuczyć jej sprzecząc się o wszystko. Z młodości już byłem takim sprzeką jak i teraz, dlatego też mimo stokrotnych wyrzucania sobie

dłaczego taki jestem — musiałem jej coś złośliwego powiedzieć, a potem gryźć się tómi i przepraszać. Kie trudno mi było spostrzedz, że panienska rozumiała się dobrze na moich zabiegach i czasami patrzyła na mnie tak słodko, tak omdlewająco i tak wyraziście, & nie tylko student z uniwersytetu, ale gimnazysta byłby się na t&em poznał. Pamiętam, raz na kilka dni przed wyjazdem była na inuoniny ojca u nas zabawa. Zjechało się dosyć osób, lecz dla ranie była tylko jedna Jadwisia, w jasno-niebieskiej sukience, z dwoma lśniącymi warkoczami opuszczonymi z tyłu głowy— Tańczyliśmy walca, a gdym przypadkiem spojrział xv j&eogon omdlewające oczy zwrócone ku mnie z wyrazem, który do dzisiaj pamiętam, mimowoli przycisnąłem ją bliżej ku sobie.

.— Jadwisiu — szepnąłem w końcu — ty musisz być moją!..

— Nie odpowiedziała nic, lecz czułem, że dreszcz po niej przeszedł, że ręka jej ścisnęła moją, a cała postać opuściła się niedbale.

— Panie Tadeuszu — przemówiła za chwilę — przestańmy tańczyć, już nie mogę...

— Posadziłem ją zajmąwszy miejsce obok, a co j&eogon wypowiedziałem wtedy, to żebym jeszcze sto lat żył dłużej, nie potrafiłbym ani słowa z tego powtórzyć. Czułem, że wyrazy po prostu płyną rai z ust potokiem, że nic jestem panem ani my&eogon ani woli mojej, ale że serce wprost ze mnie mówi. Salon nasz zamienił mi się w jaką&eogon niebotyczną świątynię pełną bla-

sku i światła, w lctdr&j nie było nikogo włączj, tylko nas dwoje...

— Jadwisiu, za dwa lata kończę stadya i wracana na wieś do domu. Czy zechcesz czekać na mnie tak długo?

Za całą odpowiedz' zasłoniła palającą twarzączkę wachlarzem i szepnęła ledwo dosłyszonym głosem:

— Czekać będę do śmierci.... A potem: Na miłość Baśką, nie mów więcej, mnie robi się niedobrze... mama idzie...

Co się wtedy działo ze mną, to doprawdy aż mi . wstyd przypominać. Zrobiłem się nagle tak wesołym, że to zakrawało na szaleństwo. Dowcipy strzelał) mi /. ust jak rakiety; wymyślałem tysiące figlów dla zabawienia towarzystwa, dlatego podobno ani ja, ani goście moich rodziców nigdy się więcej nie ubawili, jak podczas tych imienin.

Jadwisia odjechała rano z rodzicami, a przy wsiadaniu pierwszy raz odważyłem się tajemnie pocałować ją w rączkę.

Za kilka dni powróciłem i ja do nauki i liczyłem tylko chwile kiedy przyjdą święta B ożcgo Na rodzenia, podczas których znów ujrzę moją Jadwisię. Łatwo pani dobrodziejka zrozumieć, jak mi szła nauka, kiedy myśl zajęta była czém innóm. Nareszcie przysłała ta chwila; jadę, a przez całą drogę układam sobie co powiem jój przy spotkaniu, co potem będziemy mówili, gdy zastaniemy sami, jak ojciec odda mi folwarczek Wygodę w posesyę, w którym każę wyreporować dworek zajmowany dziś przez

ekonomi... Będą cztery pokoiki tylko, ale urządzone jak cacko, jak klateczka ze
wszystkimi porząd- czkami i komfortem... Przyznam się pani miałem już narysowany plan
rozkładu tego mieszkania, razem z oranżeryjką, którą się z jednej strony dobuduje. Miałem
upatrzony maleńki faetonik u pewnego fabrykanta w mieście, dowiedziałem się, że kosztuje
500 rubli i prawie że go już zamówiłem. Ze stadniny ojca wybrana była para kasztanków z
płowami grzywami; postanowionym było, że jak tylko przyjadę każę ekonomowi, żeby go
poostrzygać i wziąć do cugowśj stajni pod zgrzebło; tylko jedna rzecz nie była
zdecydowaną, czy ubrać je w krakowskie, czy angielskie chomonta... To już niech Jadwisia
powie, jak sobie życzy, chociaż będę ją namawiał do krakowskich, bo to jakoś z temi platanu
szafirowenu z białm więcej sprawia efektu.

Zajechałem do domu wieczór pełen humoru i wylania dla wszystkich. O Jadwinię nie
pytałem wcale, bo nazajutrz ułożyłem sobie pojechać konno z pakietem nowych nut, które z
sobą przywiozłem.

— Wiś mama — odzywam się rano po śniadaniu— chcę pojechać do Plebanie. Panie
prosiły mię, gdym odjeżdżał o nowe nuty, które kupiłem, i zdaje mi się że będzie grzeczniej,
jeżeli jo sam wręcę...

— Nie rób tego — odpowiada matka — możesz im zrobić subiekcyą... One teraz zajęto
są przygotowaniami na wigilię; spodziewają się mnóstwo gości * my nawet jesteśmy
zaproszeni...

— A skądże im przyszło wyprawiać tak szurano święta ? - pytam zaciekawiony. — Zresztą ja wpadnę tylko na minutkę, przywitam się, oddam...

— Nie wypada mój Tadius. Tam widzisz przygotowuje się ważniejsza uroczystość prócz wigilii.

— No — cóż takiego?

— Powiem ci, tylko nie wypalaj przed ojcem, który trzyma to w sekrecie... Będą zaręczyny Jad wisi—

— Krow buchnęła mi na twarz tak gwałtownie, że zdawało się strumieniem tryśnie oczami, albowiem w pierwszej chwili myślałem, że to o mnie idzie; powstrzymałem się jednak z wybuchem radości...

— Ojciec ją wyswatał i już rzecz ułożona. Oni są uprzedzeni, że przyjedziemy... Adaś ma być tu we środę...

— Jaki Adaś?

— Jakiś ty roztargniony — mówi śmiejąc się matka. — Nie znasz Adasia, czy co?... Matka jego daje mu zaraz Kosiłówkę, za nią dają pięćdziesiąt ty- sięcy gotówki...

— Mameczka chyba żartuje — przerywam siląc się na okazanie spokoju, a czuję, że poprostu krew przestaje we mnie krążyć... Jako, Jadwisia mogłaby iść za takiego bałwana, idiotę ?...

— Tadius, co tóż ty mówisz! Przecież to twój bliski krewny i przyjaciel.

— Ale bałwan«..doniczego;czteryklasy skończył...

— Ty o klasach tylko myślisz, i zdaj© ci się, ia cała mądrość ludzka spoczywa w książkach. Tymczasem mówię ci, że Adaś bardzo się wyrobił I ożywił...

— Nie uwierzę mameczko 1 To jakaś mistyfika- cya, albo że Jad wisi ę przymusili. Gdzieżby ona... niepodobna.

— Mylisz się, przeciwnie jest tak zakochana w nim, że nie zdarzyło mi się już dawno spotkać po- podobnej miłości, czasami są aż śmieszni... A jak wyładniała od tego czasu gdyś ją widział... Powiadam ci śliczna! Figurka jćj się trochę wypełniła, twarz nabrała życia jak zwykle pod wrażeniem nowego uczucia, a oczy to Jćj, cudne melancholijne oczy, podobno do gwiazd...

— Nio mogłem dłużej słuchać takich wiadomości i nieprzytomny prawie wpadłem do swego pokoju.—Dom nasz, właściwie nie był dworem szlacheckim jak zwykle na wsi, ale poprostu domem roboczym. Wszyscy tu począwszy od ojca, a skończywszy na sześciolatnim chłopcu sierocie przyjętym ze wsi, zajęci byli robotą, jak pszczoły w ulu podczas lata. Z tego powodu nikt nie troszczył się ani zwracał uwagi, co ja ze sobą robię. Tymczasem poprostu straciłem całą przytomność umysłu; w głowie czułem jakiś szum, coś jakby myśli moje kłębi- ły się nakształt kipiącój wody i parły na czaszkę, aby ją zerwać, niby pokrywę z garnka. W pokoju moim było mi duszno, zacząłem tedy biegać po innych, lecz i tu nie lepiej, zatem pochwyciwszy stu

denckie iuterko i czapkę, wybiegłem na dziedziniec a z tamtąd na drogę z nocy zasypaną świożyro śniegiem Latam jak waryat, brnąc po kolana, a łzy mi z oczu same płyną i marzną na policzkach, jednakie od nich zrobiło mi się lźć jakoś, i dobrze już było po południu, gdy powróciłem do domu.

— A gdzieżeś ty wędrował? — pyta stary.

— Oglądałem pola, czy będzie ponowa...

— Dobrze chłopcze, fe clę to zajmuje — mówi ojciec zapalony myśliwy. Pojutrze przyjedzie Adaś z psami i urządzimy sobie wyborne polowanko...

— Adaś rzeczywiście przyjechał czwórką z dzwonekami, w nowych politurowanych saniach. Fartuch obszyty niedźwiedziami, furman w niedźwiedziój czapce, jak grenadyer Napoleonowski, on sam także w niedźwiadkach, słowem szyk, jak na zaręczyny.

— Nie uwierzysz jakim ja teraz szczęśliwy! — mówi rzucając mi się na szyję — Jadwisia mię kocha, ale to szaleje, jak honor kocham. Starzy dają pięćdziesiąt tysięcy za nią, osiadamy w Kosilówce... wybiorą mię na radcę Towarzystwa kredytowego, jak honor kocham! jej ojciec już wspominał matce, że trzeba mię promować, a on ma głos między obywatelstwem...

— Jakże się to stało? — pytam z całym spokojem — bo przez te parę dni miłość moja już się tak przepaliła, że wzięłam na kiel i ambit nie wydawać się z niczem i na pośmiewisko się nie narażać.

— Ona uważasz dawno miała się ku mnie, ale mnie schodziło i schodziło, zem się nie brał. Dopie-

TO mama powiada raz: Adasiu czemu ty ste nie lenisz?—Z kim, mówię?—Z Jadwi&ia; Ładna dziewczyna, z dobrego gniazda, pocziwe i pięćdziesiąt tysięcy gotówką...— Pomyślałem: prawda, kazałem zrobić nowe szory na moją czwórkę, wałacha ze strzałką precz...* Szelma nigdy nie mógł dotrzymać kroku naręcznój, tylko zaraz hopki, hopki, jak honor kocham, a mnie aż nic wiodzić co się robiło; widziałeś teraz, jak idą równo, he?

— Widziałem — tylko jakże z Jadwisią?

.— No myślę sobie, trzeba i sanie nowe z antaba- mi, trzeba obszyć fartuch niedźwiedziami, sznury g boku — bo uważasz szyk zawsze szyk, a u panien to znaczy... Zajechałem tedy do Plebanie; mój Jędrus jak ci wywinie ósemkę na dziedzińcu i z bicza bach, bach aż szyby zabręczały...

— No i cóż?

— Jakto cóż? Wszystko wybiegło do okna? Ja- dwisia pierwsza i widziałem, że ślipięta jój mało nie wyskoczyły na moją czwórkę. Wystaw sobie Jędrus tą ósemką zrobił mi prawdziwą niespodziankę, a skąd się nauczył nie wióm... Chcesz, każę mu założyć a zobaczysz jak on ci wykroi tak es i es...

— Dziękuję ci, nic potrzeba, tylko powiedz mi, jak wam przyszło do oświadczyn...

— Bardzo łatwo. Wszyscy wiedzieli po co tam przyjeżdżam i że się przysiadam do panny, więc też i ona zaczęła mi okazywać, że jest za mną. A ja uważasz, znam się na tem i to spojrzę na nią, tak wiósz... to uścisknę za rączkę, aż raz w tańcu ona mi

mówi, że z panem tańczyć tak dobrze i tak lekko... jak z nikim... No, czegoż więcej potrzeba. Mówię tedy:—doprawdy? a ja myślałem, że pani z kim innym więcej ma przyjemności... Niedobry pan jesteś—odpowiedziała mi z wyrzutem, a ja zaraz jak honor kocham. recytuję, że ją kocham nad życie i tak dalej, jak zwykle się oświadcza...

— A potem?

— Potem ona zaraz do swojej mamy, a ja do swojej. Matka bardzo się ucieszyła, przyjechaliśmy do was, twój'pocziwy ojciec podjął się wybadać rodziców, powiedzieli dobrze, Jadwisia także dobrze— tylko nie chcieli teraz dać więcej jak pięćdziesiąt tysięcy. Trochę mało, uważasz, ale jakoś niewypada się targować, więc ułożone, że podczas wigilii będą zaręczyny ze wszystkimi ceremoniami, z księdzem, z pierścionkami, z błogosławieństwem et cetera... Mówiłem Jadwisi na co te głupstwa, ale ona koniecznie i koniecznie, więc musiałem kupić brylantowe kolczyki na prezent, bo powiedziała, że najbardziej lubi brylanty.

Otóż ma pani konsyliarzowa uczucia, stałość i charakter paniński, o których pani tak się rozwodzi. Potóm, kiedy moja siostra, przed którą się zwierzyłem, wymawiała jej to wszystko, Jadwisia powiedziała: jaki on dziccinny, cóż on chciał żebym szła za studenta, a coby ludzie na to?

— A pan się z nią nie widział potem? — pyta konsyliarzowa.

— Nie, bo na zaręczyny owo nie pojechałem,

i z tego powodu miałem bardzo przykrą przeprawę z nieboszczykiem ojcem. Czy się domyślił o co mi idzie, czy też ktoś mu powiedział, dość że jak powrócili z owój wigilii, na drugi dzień przyszedł do mego pokoju.

— Czego rai ty wstyd robisz? Dlaczego zamiast tara jechać—po drodze skręciłeś do sędziego w miasteczku? Rzeczywiście tak zrobiłem, nie mogąc się inaczej uwolnić od wstrętnej dla mnie uroczystości.

— Bo nie mam szacunku dla panny...

— Z jakiego powodu, jeżeli można zapytać?

Nie odpowiedziałem nic na to, a stary jak wsiądzie na mnie:

— Ty młokosie jakiś, ty taki owaki, we łbie ci zakręciło czy co! A do książki i pracy na kawałek chleba! Cóż ty myślisz, że będziesz tu miał jakiś majątek, he? Bardzo się mylisz. Jest was pięcioro i żeby was tylko wychować, oboje z matką dobrze musimy robić bokami. Tyle twego co daję na edukację, a potem w świat i szukaj sobie chleba... Zachciało ci się cudzej fortuny, he?

— Proszę tatki — odzywam się z protestem — mnie nie chodzi o majątek Jadwigi...

— Gadaj ty komu chcesz, ale nio mnie staremu!.., Mój Boże jaki to świat teraz... do gotowego zuchy, a nie łaska zarobić... Będziesz miał kpie własną klatkę, to szukaj sobie ptaszka, a tymczasem zasie...

Przekonałem się i ja, że ojciec miał rację, lecz swoją drogą nie mogłem z duszy wyrugować żalu

do panny, że tak lekkomyślnie zamieniła siekierkę na kijek i od tego czasu straciłem wszelką wiarę do kobiet... Takie one wszystkie, ładna czwórka zastąpi rozum u męża.

1 * * Przyznaję, że wracając tego wieczora od konsy- liarzowój do domu, byłem nieco wzburzony wspomnieniami, choć z drugiej strony czułem pewną sa- tysfakcję, widząc Adasia z całą rodziną na bruku... Widzisz pani — myślałem o Jadwisi, że czwórka w krakowskich chomontach, nie zawsze zastąpi rozum. Ja dzięki Bogu i mojej pracy, mam kawałek chleba, choć tyle przeszedłem burz i wypadków z całym majątkiem w dziesięciu palcach, a im z tych dóbr, z tych kapitałów i fanaberyj nie zostało nic na starość. Jeszcze kiedy mieszkałem w Królestwie, kilka razy Adaś zapraszał mię na wieś do siebie; ona przez kogoś mówiła, że jśj to przykro, dlaczego od nich Stronię, ale ja sobie powiedziałem: nie chcę jej widzieć, i nie widziałem... Ma teraz co sama chciała...

Adaś w gruncie rzeczy jest poczciwości człowiek—tylko bez głowy. Póki miał majątek, uchodził w całej okolicy za rozumnego; wybierali go to na radcę, to na sędziego pokoju, słowem powaga powiatowa. A tymczasem majątek rok po roku rozlaził mu się w rękach. Nie hulał nawet, w karty nie grał, za granicę nie jeździł, a tylko wciąż łątał i łątał swoje interesa i do tego jak powiadają spryt miał nie

mały. Nareszcie przed rekiem struna pękła, wyrzucili z majątku, siostry Felci posag przeczastał i teraz ma na karku prócz imci pani Jadwigi, siostrę Felcię i dwóclli wisusów do niczego... Dwaj synowie już wyrostki, to prawdziwe panicze... potrzeb wiele, pretensyi jeszcze więćój, a majątku figa.

Ja uważacie moi państwo, jestem człowiek stateczny i lubię porządek we wszystkiém. U mnie w mieszkaniu każda rzecz ma swoje miejsce, czyściutko, składnie, a życie idzie jak w zegarku. Służący Jakób jest tak wyćwiczony, że ja nio potrzebuję nic mówić, a on wić czego ja chcę: obróćę się, spojrzę gdzieś, chrząknę... Jakób biegnie i przynosi. Dla mnie dom jest wszystkiém, a zdrowie, sen i apetyt jedynemi przyjemnościami. Tymczasem trzeba mi takiśj kary Boskiej jak ten Adaś. Zkąd u diabła dowiedział się, że ja tu jestem we Lwowie i ściągnął z całą szarańczą. Rano, jeszcze leżę w łóżku, już słyszę na schodach ciężki jego słoniowy chód i to nieznośne sapanie z przerwami, na podobieństwo dziurawego kowalskiego miecha. Bo do całej biedy swej jeszcze utył, a głowa i twarz nabrała miedzia- no-czerwonego koloru tak, że jak wchodzi, myślę że idzie nie człowiek, ale kula holenderskiego sera osadzona na ludzkim tułowiu. Co dzień regularnie, jakby nic więć&j mówić nie umiał, zaczyna z płaksi- waminą od tego:

— A cóż, znalazłeś tam co?

I rozkłada się na kanapie, wyjmuje zabrudzoną płachtę z ceraty, rozkładają na stole, kręci papie

rosa, wzdycha i pali jeden za drugim, a nigdy popiołu nie strome jak się należy do popielniczki, pomimo, że mu Jakób stawia pod ręką, ale gdzie padnie...

— Czego ty tak dużo palisz? — odzywam się dusząc w dymie—to niezdrowo...

— Tak już z rozpaczy — odpowiada. Zresztą w domu nie mogę, Jadwiga zaraz się krzywi, powiada że ją głowa bardziej łupie i rnglić zaczyna... Nie uwierzysz, co ja mam z tą jej migreną... Dzień w dzień chodzi ci jak trup z zawiązaną głową, oblepiona plastrami cytryny obsypanymi kawą i tylko węszy, czy ją zapach jaki zkad nie zalatuje. Wychodzę jui do sieni z papierosem, palę do pieca... gdzietam—poczuję i zaraz w płacz i narzekania: jaki ty niegodziwy jesteś Adasiu, nic masz sumienia... mnie głowa pęka... Cóż robić, jak kogo ten podły los zacznie prześladować, to na każdym punkcie go dojmie... Ot i dla Felci wynalazłem lekcy francuskiego języka, trzy razy na tydzień po ośmdziesiąt centów i nie chce...

— Dlaczego?

— Bo u żydów. Powiada, co ja mam się wysługiwać żydom za takie pieniądze' Mówię do niej: moja Felciu, bardzoby nam się przydały te kilka reńskich na miesiąc, a ona: kiedyś stracił mój majątek, to się staraj żebym miała co potrzeba, nie myślę na nikogo pracować.

Spojrzałem na Adasia, w cybulastych jego wypłowiałych oczach pokazały się łzy i kap kap na mój stół politurowany i to jeszcze na popiół z cygareta...

A bodajże cię myślę .sobie, mógłbyś przecie wyjąć chustkę, oczy obotrzeć a nie psuć mi stołu... I do czegoż taki człowiek może być zdatny, kiedy nawet porządnie płakać nie potrafi...

Ja wstaję, golę się, myję, ubieram — on siedzi i wzdycha i oczami przewraca... Naturalnie, że mając tak przyjemny egzemplarz przed sobą, niepodobna pić kawy z jakim bądź apetytem. Proszę go na śniadanie — pić nie chce, a jeżeli zacznie, to tak nakruszy bułki, wąsiska w kawie pomacza, że nie mogę patrzeć... Ach Boże mój, żebym ja się mógł jakim sposobem go pozbyć. Nie mam serca, to jest chciałem powiedzieć odwagi, powiedzieć mu idź sobie mój drogi i daj mi pokój, a tymczasem on z tą desperacko - ślamazarną miną kompletnie mnie dobija. Jak Boga kocham, wierzcie mi państwo, od czasu jak przyjechał schudłem tak, że kołnierzyk na szyi lata mi jak obroża.

Idę do biura jak zwykle o dziesiątej—on za mną i znowu jęczy mi nad uszami:

— Tadeuszu kochany, zlituj się, znajdź mi jakie zajęcie. Masz tyło stosunków i znajomości tutaj, nio będzie ci trudnym, żebyś mnie gdzieś wkręcił...

— No gdzie ja cię wkręcę? — pytam już rozdrażniony—gdzie? Do czegoż ty jesteś zdatny?

— Możeby w waszem Towarzystwie jakie zajęcie...

— W naszym? Bój się Boga; toż tam trzeba specjalnych wiadomości.

— Naprzykład?

— Ko, rachunkowości podwójnej...

— Ja to umiem! Co, nie wierzysz, śmiejesz się? Zlituj się, kto w życiu swoim tyle się narachował, jeszcze z żydami, to nie tylko podwójnej, ale poczwórnej mógł się wyuczyć. Zresztą kupię sobie książkę.

— Trzeba znać korespondencję....

— Już co do niej wprawy mi nie brakuje. Ty mój Tadeuszu — mówi z pewnym wyrzutem — już mię masz za takiego niedołęgę, że nic nie potrafię. Przecież urzędowało się tu i ówdzie; przez dziesięć lat utrzymywałem gminę, sędzią pokoju byłem i delegatem Towarzystwa do szacowania majątków, szarwarkami rządziłem...

— Dobrze zobaczę — powiadam żegnając się przed drzwiami biura i myślę sobie, trzeba mu dać jaką robotę na próbę. Widzę, że z nim dość krucho, więc choć z własnej kieszeni zapłacę, powiem że to jest praca biurowa. A zyskam tyle, że przynajmniej ze trzy dni go nie będę widział. Jakoż miałem do skonfrontowania likwidację pewnego majątku, rzecz bardzo prosta, ot wypadło sprawdzić cyfry z dowodami, dodać, rachunek zestawzić i rzecz skończona- Kiedy mu po południu dałem wszystkie papiery, o mało mię w rękę nie pocałował z radości. Zainfor- mowałem go jak co, lecz on nie wiele słuchał tylko zapewniał, że zrobi wszystko sumiennie i akuratnie.

Rzeczywiście na drugi dzień nie pokazał się wcale i ja mogłem wypić spokojnie kawę. Po obiedzie także nie przyszedł; zato trzeciego dnia rano jest

— Co, jużś zrobił? — pytałn zobaczywszy foliały pod pachą.

— Nie, proszę cię, tylko w domu nie mogę. Mieszkanie mamy ciasne, Jadwisia jęczy, że jej się głowa rozlatuje, Felcia się krzywi że jej stół zajmuję, chłopaki mamrocą lekcye, i mieszają swoje seksterna z papierami — więc gdzie tu rachować. Dlatego przenoszę się do ciebie; żadnego ci nieporządku nie zrobię, ot na biurku się roztasuję jak pójdziesz z domu, i za parę dni skończę.

Ha, wlałem jut w jedną biedę, trzeba wejść w drugą, choć stary Jakób daje mi znaki, pokazując na posadzkę, żebym nie pozwał. Biurko mi było potrzebne, kazałem tedy w drugim pokoju stół przygotować do pisania, a sam biorę się do pracy, którą zabrałem do domu dla bliższego rozpatrzenia. Ledwie że rozpocząłem przegląd, wsuwa się na palcach Adaś.

— Mój drogi nie masz tu gdzie linii?...

— Weź, oto jest—odpowiadam siłąc się na spokój, nie lubię bowiem jak mi kto przeszkadza.

Za chwilkę słyszę, szasta papierami, coś kręci się i drepcze po pokoju i znowu go mam z unizone- mi przeprosinami, czy nie mam pióra gęsiego, bo on stalówkami pisać nie może. W pięć minut przychodzi znowu po ołówek, a w drugie pięć z arkuszem porubrykowanym u góry, i pytaniem czy tak będzie dobrze?... Naturalnie, że w towarzystwie takiego współpracownika niepodobna coś samemu zrobić, wstaję więc, zabieram papiery i idę.

iŁ.WHcayA<h —» Mt>scn I otr««k;. K

- Mój drogi Tadiusz — woła za mną, proszę cię na chwileczkę... Zatrzymuję się tedy i słucham.

— Uważasz, powiedz mi jaki u was zwyczaj w rachunkach; czy nagłówek ma być u góry, czy z Soku ?

— A gdzieżeś ty widział głowę jakąbądź z boku?

— Ale bo to różne są gusta i mnie się zdaje, że lepiej będzie z boku. Dam tu rubrykę tak na dół...

_ Dobrze mój kochany, jak chcesz, aby tylko było dobrze!...

— Dziękuję ci i przepraszam, bądź spokojny ja zrobię bardzo porządnie... ja już wiem... O trzeciój wracam po obiedzie, mój Adaś cały spocony i zakłopotany siedzi jeszcze przy stole. Obok niego na wszystkich krzesłach, na sofie, na oknach rozłożone są arkusze czystego papieru z rozpoczętym rubrykowaniem. Crdym wszedł, zerwał się i zaczął prędko zbierać owe arkusze...

— Jakto, już po obiedzie jesteś?

— A która to godzina?

— Kwadrans na czwartą...

— Już? dalibóg nie myślałem o tym...

— Czegóż tak się wysilasz! Idź na obiad, na dzisiaj będzie dosyć*

— Ja całe życie byłem taki, że jak się wezmę do czego, to ci panie dobrodzieju, nie dojem i nie dośpię, póki nie skończę. Mówiąc o takiój gorliwości, zaraz mu się przypomina jakieś zdarzenie z polowania, na- przykład z jaką to on cierpliwością do północy siadywał ze strzelbą na mrozie w noc księżycową i cza-

to wał. na zające, która wogrodzio szczepy ogryzały. Zona posyła służącego żeby
przyszedł- mówi--bo się zaziębię i zachoruję, a ja panie dobrodzieju xiii;, tylko ci czekam,
jedną noc, drugą, a trzeciej sprzątnąłem bestyę... Jak honor kociłam', taki był ogromny szarak
jak brytan, a stary, bo caluteńki siwy...

Wyprawiłem go przecie na obiad, i zaciekawiony wziąłem się do przejrzenia papierów,
co tóż zrobił. Ani mniej ani więcej, tylko zepsuł rubryko wa- niern czternaście arkuszy
papieru i ani jednego nie skończył. Ten mu się zamazał, ten poliniował krzywo, tu
poprzeciągał linie, na tamtym zrobił kleksa, ów przepalił iskrą z papierosa, słowem nie
mówiąc • już, że rozkład rubryk był do niczego, samo wykonanie wskazywało, że niéma o.
tera żadnego wyobrażenia. Litość mnie wtedy wzięła nad biedakiem i dałem mu wzór przez
siebie wygotowany.

— Aaa muszę ci przyznać Tadzio — rzeczy rozglądając się w rubrykach—że masz
kapitałną głowę. Teraz się nie dziwię jakim sposobem zrobili cię dyrektorem... Prawda, jak to
wszystko skoncypowano dobrze... Dostyc to i ja mam sensu i znam się na każdój rzeczy,
alebym tak nie zrobił.

Przyjąłem to smutne uznanie zdolności moich za dobrą monetę, i uważałem, że od tej
chwili patrzył na mnie z podwójną czcią i podziwem.

Cóż państwo chcecie. Dwa tygodnie całe siedział mi od rana do wieczora i pisał,
rachował, przerabiał, na co mający trochę rozgarnięcia potrzebowalby najwyżej dzień jeden.

— No masz!—rzecze z pewnym tryumfem oddając mi cały elaborat — Spodziewam się, że będziesz zadowolony i nie powiesz, że szlachta do niczego... Nie bój się Tadziu, kaidy z nas, jak się do czego weźmie, to żeby miał na samym diable jechać, tak spenetruje i zrobi. Nie darmo to powiadają cudzoziemcy o nas, że Polacy do wszystkiego.

Niestety jednak, spojrzawszy tylko na pierwszą stronicę jego bazgraniny, pełnej skrobanek, mazań i poprawek, nie mogłem podzielić tej opinii cudzoziemców o nas, a przynajmniej o Adasiu. Cała robota psu na budę się nie zdała i kazałem nią podpalić w piecu Jakóbowi. Swoją drogą, kiedym mu na drugi dzień doręczył pięćdziesiąt reńskich wynagrodzenia niby to od Towarzystwa i kazał podpisać kwit z odbioru, widziałem jak przyjmując je, dumnym był z tego, że pierwszy raz w życiu potrafił własną pracą coś zarobić. Ze dwa dni potem wcale się nie pokazywał, aż znów widzę go rano ubranego w tu- żurek, w rękawiczki świeże i z miną wcale inną.

— Kochany Tadeuszu—odzywa się w uroczysty sposób — przychodzę do ciebie w poselstwie od żony.

Dreszcz mnie przeszedł na wspomnienie Jadwisi i tego poselstwa.

— O cóż to idzie?

— Przykro jej bardzo, że dotąd nie miała szczęścia widzieć się z tobą, dlatego kazała cię prosić, abyś był łaskaw zjeść z nami jutro gospodarski obiadek...

No no nie wymawiaj się, musisz; obiadek będzie skromny, jak dla chorego...

— Proszę cię, ja nigdzie nie bywam... odwykłem od towarzystwa...

— Tego nam nie odmówisz Tadiusi! — przecież my tacy bliscy krewni... Jadwisę znałeś dawniej, podobno tam nawet między wami coś było, ale co było nie jest, nie pisze się w rejestr... chyba, że nas się wstydzisz, żeśmy zbiednieli... — dodaje w końcu z pewną, urazą, widząc że ja się wymawiani jak mogę.

Dla mnie proszę państwa, uczciwo ubóstwo nie jest żadną przeszkodą do znajomości, dlatego też mimo że nie miałem żadnej chęci iść do nich i wyciągać na koszt owego obiadu, przyrzekłem stawić się jak żądał. — Przyznam się, że w tym wypadku zrazu odgrywało tu pewną rolę uczucie małej zemsty; chciałem pani Adamowej pokazać jakto fortuna kołem się toczy, jeżeli się do niej zaprzęgną głupcy, ale dałem pokój, wytłómaczywszy sobie, że to nie było winą jej jako osoby, ale winą przyrodzonego charakteru kobiety.

I rzeczywiście, niepodobna było czuć dla niej nic innego prócz litości, gdym spojrzał na wynędzniałą z choroby i niedostatku postać pani Adamowej. Ani śladu dawniejszej uroczej Jadwisi. Wysoka, pochylona, z siecią przeróżnych zmarszczek na twarzy, wyszła do mnie niby to do saloniku, w którym się od kilku chwil znajdowałem. W podwórzu na dole, miejscu wilgotnora i cieranem, zaj

mowali trzy kii ty, * których pierwsza miała być bawialną. Ubogo tu było i bardzo ubogo, jednak czysto. Rozmowa szła nam z początku twardo; pani Adamowa trzymała się na stanowisku damy i gospodyni domu, nie wspominaliśmy dawnych czasów, ona się nie żaliła na nic prócz na brak zdrowia, a ja też grałem rutę etykietalnego gościa, jakbyśmy się pierwszy raz w życiu widzieli.

Zaproszono nas do drugiego jeszcze mniejszego pokoiku na obiad, podałem rękę pani jakby na wsi we dworze i zasiedliśmy do stołu. Wyszła i panna Felicja, osoba niemłoda, którą znałem kiedyś ma-łem dzieckiem, wystrojona, podmaiowana, preten- syonalna i nieco śmieszna. W żaden sposób nie dała się przekonać, że ją dzieckiem znałem i ozem wię- cój przyznawałem się do tego, tembardziej objaśniała, że ją biorę za kuzynkę Olesię bawiącą w te czasy u jej rodziców, albowiem ona wtenczas jeszcze nie mogła żyć na świecie. Zasiadło i dwóch synów Adasia, chłopaków wyrostków, dla których moje ubranie było szczególniejszym przedmiotem obserwacyi i cichych szeptów.

Pokoik jest mały i widocznie powynoszono z niego inne sprzęty, lecz stół urządzony ze znajomością tego rodzaju przyjęć. Nawet, co mię już oburzyło, zjawił się lokaj we fraku i białych na wyrost obliczonych rękawiczkach bawełnianych, których pałko- wate końce kosztowały sosu na półmiskach. No myślę sobie, kogo tu durzyć: dostał pięćdziesiąt reńskich i nie może wytrzymać, ażeby nie dać obiadu.

Wprawdzie ja tylko byłem przedmiotem tej owacy, jednak dając słowo wolałbym talerz mięsa i sztukę mięsa przy gospodarskim stole, siedząc na łóżku, aniżeli komedią błyszczącą biedą sprowadzoną widocznie z traktami. Ale cóż poradzić z naszym bratem, który nawet goniąc resztkami na bruku, nie może się pozbyć narodowej próżności. Mieliśmy tedy sześć potraw, wina trzy gatunki, lody, kawę czarną i likier, a nawet parę toastów.

Jeżeli kochany Adaś, cały dzień potrzebował pocić się nad porubrykowanymi arkuszą wykazu, to tutaj wyciął rai mowę tak gładko, zręcznie i serdecznie, że gdyby w hierarchii zajęć ludzkich istniało miejsce urzędnika od toastów, z czystym sumieniem pierwszy bym go na tę posadę promował. Po obiedzie, gdy panna Felcia zajęta była przyrządzaniem czarnej kawy, a pan Adam wyszedł do kuchni z papierosem, zostaliśmy w saloniku oboje z panią Jadwigą. Zdaje się, że od tych paru kieliszków wina, musiało mi trochę zasumieć w głowie, bo daleko nie wiem skąd wzięło mi się na czułość. Adamowa milczała i ja nie rozpoczynałem rozmowy, tylko patrzyliśmy sobie w oczy nieśmiało. Naraz widzę dobywa chusteczkę z kieszeni, odwraca głowę i przykładą ją do oczu, a mnie coś po sercu jakby kto widelcem skrobał na talerzu...

—Droga kuzynko — odzywam się ciszej—jesteś bardzo nieszczęśliwą?

—Nie — odpowiada z przymusem. — Adaś jest dla mnie bardzo dobrym... kochał mnie zawsze i ko-

cha i gdyby nie te nieszczęśliwe wypadki majątkowe, byłabym spokojna. A tak jestem mu strasznym ciężarem. Zapracować nie mogę i nic umiem, on zaś chociaż może i może, również nie umió... Żebym mogła umrzeć prędko, wszystkim byłoby lepiej...

— Na cóż takie desperackie myśli; wszystko jeszcze będzie lepiej...

Uśmiechnęła się smutno i mówiła dalej:

— Gdyby to był kto inny nie Adaś, mogłabym mieć nadzieję, ale kuzynek znasz obywateli naszych, że jak raz który z nich upadnie, już się nie podniesie więcej. W powodzeniu jesteśmy wszyscy pełni animuszu i fantazyi, pełni inicjatywy nawet często genialnej; wspaniałomyślni, wylani choć do rany przyłoż, ale niech się fortuna odwróci, potrafimy się tylko szamotać i schodzić coraz niżej. Czy tego przyczyną jest charakter narodowy, czy złe wychowanie, dość że tak jest. W innych krajach ludzie sześć razy upadają i sześć razy znajdują siłę podniesienia się z upadku; u nas rzadki to przypadek. Więc o nas mi nie idzie, my jesteśmy straceni, lecz o tych chłopców biednych, którymi żeby kto umiał pokierować, możeby na coś wyszli. My oboje z Adasiem nie potrafimy, nie rozumiemy jak trzeba ich przyzwyczajać do życia.

— Pozwoli więc kuzynka—wyrrywam się na to— że ja się tem zajmę. Zdaje mi się bowiem, że posiadam do tego kwalifikację...

— Ach! gdybym mogła liczyć na tę łaskę kuzyna...

— Daję pani słowo i rękę...

— Podziękować z głębi serca mogę—odpowiada cała wzruszona—ale ręki podać nie śmiem. Odrzuciłam ją raz...

— A ja mimo to, drugi raz ją choć w inny sposób i z innym celem ofiaruję —.dodałem chwytając wychudłą jój rękę, na której złożyłem gorący pocałunek... Oczywiście nie byłem przy zdrowych zmysłach, po trzeźwemu takiego głupstwa bym nie zrobił.

Wniesiono kawę, rozmowa się urwała, przyszedł Adaś i panna Felicja, więc rozpoczęła się pogawędka to o teatrze, to o zabawach miejskich, a w końcu ogólna jeremiada na życie tutejsze i porównanie go z wiejskióm.

— Żeby ja się mógł kiedy jeszcze dostać na wieś, choćby na stróża —powiada Adam — to wołałbym cały dzień drzewo rąbać, jak tu urzędować.

— Dziękuję za taką zamianę — wtrąca Felcia. —• Na wsi bardzo przyjemnie mieszkać, ale na swoim, miść dwór, wygody...

— Jaby ja zgodził się na rządę... mówię wam odżyłbym... Naturalnie sam...

— Przepraszam —• dodaje Adamowa— ja pójdę z tobą wszędzie, byle jak najprędzj z miasta...

— Mnie tam nie zobaczycie... Figurować jako siostra ekonoma na wsi, za nic w świecie; wolę tu być szwaczką, bo przynajmniej nik nie wiś czém byłam i żyję jak chcę, a na takiej pozycji ciągle upokorzenia zabiłyby mię niezawodnie...

* *

*

Całą noc po tym obiedzie nie spałem; widocznie wino mi już szkodzi. Majaczyło rot się Bógwiójuż co, to tn jestem w gimnazyum, że mają mię kłaść na ławkę i ćwiczyć różgami, to znowu, że wsiadam do powozu Jadwisi i całuję w rękę z afektem, a tu mię ojciec łap za kołnierz i odwróciwszy twarzą do siebie, powiada: smarkaczu zasię... Wstałem tedy kompletnie roznerwowany i postanowiłem, że więcój do nich nie pójdę. Najbardziej jednak dręczyło mię słowo dane pani Adamowój, co do tych chłopaków... Ot głupstwo zrobiłem, gdzie mnie na starość ubijać się za hebesami. Ale trudno, trzeba jakoś wywinąć się zręcznie i basta, zobaczymy...

Adaś, choć trochę lepszej myśli, widocznie z powodu owćj roboty, którą podpałem w piecu, znowu mię nagabuje o różne zajęcia powtarzając: co chcesz będę robił, kamienic tłukł na drodze, aby tylko pracować... Ciekawym kto mu broni, niech tłucze, a mnie się nie pyta.

W tym czasie jakoś Towarzystwo nasze musiało nabyć pewien folwark za długi i trzeba było do czasu, póki nie znajdziemy na niego kupca, posłać tam administratora. Przyszła mi myśl, że akurat dla niego byłoby odpowiednie zajęcie; więc panie daję mu szczegółową instrukcyę: jedź, rozpatrz się i urządz tak, abyśmy ztamtąd jakiś dochód mieć mogli. O prowadzeniu gospodarstwa na swój rachunek ani myśleć, więc mówię mu, grunta chłopom powynajmuj za ile można, propinacyę wypuść, dozór nad lasem rozciągnij...

Pojechał, a w trzy dni otrzymuję kilkuarkuszowy memoryał zabazgrany jego własną ręką, w którym opisuje mi ze Wszystkimi szczegółami plodozraian jaki tam zastał i krytykuje go na każdym punkcie dowodząc, że poprzedni właściciel tego majątku nie miał pojęcia o gospodarstwie. Natomiast szeroko i długo stawia swój plan jak być powinno na tego rodzaju gruntach. O stanie majątku, budowli i innych miejscowych stosunkach nie było ani wzmianki. Siadam tedy natychmiast do biurka i piszę, żeby się pilnował instrukcyi a nie wdawał się w krytyki, żeby starał się jak najprędzej pnwydziorzawiać na jeden zasiew grunta, sprzedał zbiory siana i t.p. Na- teraz usłuchał przecie i telegrafuje: „wszystkie grunta jut wypuszczone ...^M J;eez w dwa dni, razem z listem jego, pojawia się deputacya włościan ze skargami, iż zamiast im, pan administrator wydzierżawił ryczałtem grunta arendarzowi, który żąda to- raz od nich podwójnej ceny... W biurze alarm; wszyscy na mnie, jak ja mogłem takiego rekomendować delegata i dając z daleka do zrozumienia, że sprawa wydaje się nieco podejrzaną. Można sobie wyobrazić, jak mi ta rzecz musiała być przyjemną, zwłaszcza że upominałem, aby się nic wdawał z żydami, bo tego rodzaju manipulacya jest w kraju źle widzianą I... Nieprzebieając już w wyrażeniach, siadam znów i piszę mu sążnistą reprimendę z poleceniem. aby zerwał układy z owym Szwarzgeldom, Xa to otrzymuję w parę dni replikę, że chłopci są Wierutne gałgany, pijaki, intryganci, a pieniędzy nie

mają: jeżeli zaś poszli na skargę do Lwowa, to tylko podmówieni przez proboszcza, który sam chciał wydzierżawić, część gruntów, naturalnie za połowę tój ceny, którą żyd ofiarował.

A żyd ten nazwiskiem Szwarzgeld to sama chodząca poczciwość; bardzo porządny, zamożny i usłużny, z którym nie można już cofnąć umowy, bo zawarta formalnie przed notaryuszem. Co tu robić?— Każę mimo to zerwać i z włościanami ukończyć, z czego wywiązuje się między nami coraz drażliwsza korespondencya, w którą on w imię bezstronnej uczciwości obywatelskiej staje po stronie żyda, i zapowiada ze strony jego wytoczenie instytucji procesu.

Otóż sobie nawarzyłem piwa, Boże zmiłuj się i Przez dwa tygodnie pobytu swego w owym majątku, tyle tam narobił bigosu, nasprawdzał kłótni, nieporozumień i swarów w całej gminie, naturalnie pod wpływem żyda, bo sam na coś podobnego zdobyć by się nie potrafił, że musiałem sam prosić, aby go odwołano. Teraz dopiero naprawdę powstała burza ze strony kuzynka. Obrażony do żywego już się nie pokazał, ale mi napisał sążnisty list pełen wyrzutów i dla mnie jako egoisty, zacofańca, i dla instytucji, która z za zielonego stolika chce gospodarować na wsi, nie rozumiejąc swoich i całego społeczeństwa interesów, które przez nieudolność naraża na oczywistą próbę. Lecz co z tego wszystkiego było dla mnie najprzyjemniejszym, to zapowiedź, że nadal już mojej wyrafinowanej protekcji nie potrzebuje, bo

dzięki swym zdolnościom i ludziom zacnym, którzy się na jego wartości poznali, sam da sobie radę*.

Odetchnąłem całą piersią, choć te wyrazy: „/«- dzt&m zacnymbyły podwójnie podkreślone. Chwała Bogu, przecierem go się pozbył i mam tylko do- czynienia z chłopakami, których ulokowałem na stancyi u porządnego i energicznego profesora.

Przez dwa miesiące potem nie miałem ładnej wiadomości o nim, i nie dowiadywałem się wcale co porabia; dochodziły miętylkoniejasne wieści, że podjął się jako komisant sprzedaży win bordoskich, i że jeździ po dworach szlacheckich z ofertami. Ko myślę sobie, może trafił na właściwe zajęcie i ostatecznie da mi pokój. Prawda, że dał ale nie jego rodzina, bo pewnego pięknego poranku już późną jesienią, wpada do mnie zadyszany chłopiec jego, że mama koniocznie prosi, abym się natychmiast do niej pofatygował.

—Cóż takiego się stało, czy zachorowała ?

— Nie, proszę pana, tylko sąd tam przyszedł i wszystko nam poaresztowali.

Dobra historia, pomyślałem, ubieram się i idę. Rzeczywiście zastaję obie kobiety przerażone, zapłakane z gotowemi już zawiniątkami do wyjścia. Oto co się zrobiło: Adaś podróżował z winami po kraju i tak szczupłe przysyłał fundusze, że z tego ledwie wyżyć mogły, a już na opłatę mieszkania nie wystarczyło. Gospodarz więc uzyskał nakaz sądowy egze- kucyi i eksraisyi z mieszkania, który przed chwilą

* cxią bazwzgię<hiO!k:in wykonano. I'owiudziała mi lo wszystko pod sekretera panna Felcra.

-- Stokrotnie przepraszam kuzynka — rzecze Adamowa usuwając się na stronę — że odważyłam się trudzić go tutaj, ale jesteśmy same kobiety, i nio mamy nikogo ze znajomych we Lwowie.

— To mój obowiązek - mówię na to co pani rozkaże?

— Adaś niezawodnie zachorował gdzieś w drodze, od tygodnia nio mam żadnej wiadomości od niego, tymczasem rugują nas ą mieszkania za czynsz zaległy...

— Pozwoli pani, że go zastąpię i obliczę się z gospodarzom. Jak przyjedzie Adaś, to mi odda.

— O, nie — rzecze z powagą i wdzięcznóm spojrzeniem —i tak dłużej nie możemy tu mieszkać, wilgoć mię zabija, dlatego zdecydowaliśmy się poszukać innego mieszkania. Ale ja mam do pana inną prośbę. Zostało mi z dawnej świetności naszej kilka pamiątek po matce mających jakąś wartość* ja nic wiem gdzie się tu obrócić i gdzie sprzedać. Zrób mi pan tę łaskę i poszlij woźnego z biura, niech, zastawi w banku.,.

To rzekłszy podała mi płócienną torebkę, w któ- rój było kilka pudełeczek z klejnotami...

—Dobrze, ja z chęcią to zrobię, tylko gdzież panic tymczasem się podziejecie?...

— Chcemy wziąć numer w hotelu...

—Na co? Ja mam obszerne mieszkanie ztął niedaleko, i gdybyś pani zechciała zrobić mi tę łaskę...

Proszę, z całego serca proszę; wszak jesteśmy kuzynami, a ja natychmiast zajmę się wyszukaniem odpowiedniego dla pań pomieszczenia.

Wahała się czas jakiś i pomimo martwego na pozór spokoju jaki się malował na jej twarzy, widziałem, jak muszkuły jej drgały nerwowo...

-- Na parę godzin tylko... Pani Jadwigo, czy godzi się odrzucać tak drobną przyjacielską usługę, którąby każdy inny, obcy nawet, dla kobiet uczynił..

— Dobrze, jedziemy I—odrzekła z westchnieniem podając mi rękę—trzeba po tój pochyłości iść daWrj... Boże drogi, czyż spodziewałam się kiedyś takiej kary...

Zacząłem żartować z jej desperacji i obie zawiozłem do swego mieszkania, poleciwszy Jakóbowi, aby razem ze służącą pozostało ich ruchomości zwieziono.

Mieszkają tedy u mnie od dwóch tygodni, bo niepodobna w tym czasie znaleźć odpowiedniego dla nich lokalu. Oddzieliłem im dwa pokoje z kuchnią, a w pozostałych dwóch nie jest roi ciasno. Właściwie nigdy tamtych dwóch nie używałem, ot trzymało się dla zwyczaju lub dla ludzi, dlatego nawet noszę się z myślą, czyby im tę część mieszkania przynaj- mnićj na zimę nie odnająć... Najgorsza tylko sprawa z Jakóblem, który stanowczo jest przeciwny temu, aby jego wielmożny pan miał się mieścić w dwóch pokojach...

•— Ależ to tymczasem mówię.

— Choćby..! podłogę na nic zanieczyszczą, że

trzeba ją będzie na nowo zapuszczać. Zrosztą baby z pozwoleniem to zawsze baby, za nimi ściąga się różne robactwo, móle...

— Pleciesz stary niedorzeczności...

—Jak Boga ojca kocham tak prawda: Gdzie tylko kobieta, albo pies...

Nie dałem mu więcej mówić, bo znam jego nieprzyjazne usposobienie do płci pięknej od czasu gdy ożeniwszy się z młodą dziewczyną, ta po pół- rocznym pożyciu, uciekła od niego i znikła jak kamień w wodzie. Wprawdzie i ja nio jestem lepiój usposobiony do kobiet, zwłaszcza tóż młodszych, alo starsze to rzecz inna. Naprzykład, od czasu jak się stołuję u moich sąsiadek, daleko zdrowszy jestem niż stołując się w restauracyi. Daję słowo, ani roi się po jedzeniu nic nie przypomina, ani czuję gniewienia i język mam czysty jak karmazyn, a naj. ważniejsza, daleko mię tanićj to kosztuje... Dlatego też, kto wie czybym się do takiego życia powoli nie przyzwyczaił.

Upłynął miesiąc od tego czasu, gdy przedwczora leżąc jeszcze w łóżku słyszę jakiś harmider w przedpokoju Jakób nie daje wejść komuś, a ten się upiera, wreszcie otwierają się drzwi, wpada zasapany Adaś i na kolana przy moim łóżku.,,

—Co to jest Adasiu? — krzyknę przestraszony.

—Jestem niewdzięcznik i zbrodniarz!

—Bój że się Boga wstań, bo ja myślę że umieram, a ty mię prosisz o błogosławieństwo...

No daj-

że pokój, fe, stary człowiek całować młodszego w rękę...

— Nie wstanę, póki nie przebaczysz...

— Cóż u diabła zwaryowałeś, przecież się nie gniewałem...

Wstał i usiadł na krawędź łóżka, i rękami twarz zasłonił zanosząc się od płaczu...

— Dajże pokój i nierozdrażniaj mię!

— Ach! ten list... Bodaj mi była ręka wprzód uschła, nim się zabrałem do jego pisania...

Gdzie ja miałem rozum, gdzie sens pisać takie rzeczy do ciebie, który okazałeś się tak wspaniałomyślnym.

— Człowiecze, ty brodzisz! Gdzie i dla kogo ja byłem wspaniałomyślnym?

— Kie bój się, powiedziały mi wszystko Jadwisia, a ja mogłem...

— Twoja żona daruj, ale jest entuzyastką...

— Wziąłeś je do siebie.

— Przepraszam, tylko wynająłem mieszkanie i to za dobre pieniądze.

— Żywisz...

— Zawsze bredzisz! Nio ja ich, ale ono mnie żywią i jak żywią... Patrzaj, utylem i mara apetyt koński...

— F.h! na co to udawać — rzecze kiwając głową z niedowierzaniem...

To mię już dotknęło naprawdę i uniosłem się. Czyż całe życie mam uchodzić za filuta i udawać to, czego nie czuję lub nie rozumiem... Chcą ze mnie robić dobrodzieja, oryginała, cudaka, kiedy ja taki

Jk. WU<xvclXI. — Sztuce i ot>r>tl. 9

jestem jak mówię i myślę. Naprzykład, co prawda, pozbyłem się teraz trochę dawniejszych uprzedzeń do starszych kobiet, i przyznaję im wiele rozsądku, taktu i gospodarności. Dlatego tói i panna Folicya, wieleby zyskała w opinii u mnie, gdyby się gwałtem nie upierała być młodszą niż jest, bo co do młodych, to rzeczywiście czuję wstręt i antypatyę!

F

WSBBsBi

HrcIHkflH

mm

LITERACKA SOFA

FRASZKA.

Jeżeli miarą, szczęśliwości człowieka w danej chwili ma być dobry jego humor i wewnętrzne zadowolenie — to dla ich wywołania nie potrzeba wielkich zrządeń losu...

Nagła zmiana położenia na lepsze nie zapewnia na długo szczęśliwości, o jakiej wspomniani. Zdarza się, że pod wrażeniem pierwszej chwili ludzie, egoiści nawet, stają się nader szczodrobliwymi i szlachetnymi, lecz wybryk ten sprowadza wkrótce żal i wyrzuty, dlaczego tak łatwo dali się unieść. Z wielką pomyślnością daleko łatwiej człowiek się oswaja niż z biedą i to, co się stało, uważa, iż tak się stać powinno, a zatem, że nowa pomyślność wkłada nań rozsądne obowiązki, za którymi idą tuż utrapienia.

Do rachunku mego zwyczajnych szczęśliwców nie wliczam również ludzi wiecznie z siebie zadowolonych. Takich nic nie dotyka prócz spraw ich zdrowia lub kieszeni. Dotknie kraj jaka klęska ■ — oni się śmieją; ktoś z rodziny umierający — oni to

opowiadają z humorem; przyjaciela spotka nieszczęście — litują się nad nim Żarcikami, a irytują się tylko wtenczas, gdy kto w ich nieszczęście nie wierzy.

Tymczasem zwyczajnego pocziwca, który nie marzy o wielkich rzeczach i wielkich klęsk się nie lęka, byle częca uszczęśliwisz. Ot, krawiec zrobił mu dobrze suknię, znalazł jakąś drobnostkę w sklepie, której dawno pragnął; ten lub ta powiedzieli mu, że doskonale wygląda i że inni są nim zachwyceni — już to mu sprowadza dobry humor na cały dzień. Nieraz w parę godzin zapomni o tych rzeczach, a swoją drogą wesołe usposobienie go nie opuszcza tak, że przypominać sobie musi, co go też przyjemnego dziś spotkało, że tak jest zadowolony? Wychodzi tedy na moje, że prawdziwe szczęście codziennego życia nie zależy od wielkich a pomyślnych wypadków, lecz od drobnych a częstych przyjemnostek, nad którymi nikt się nie zastanawia, których nie szuka, ale które mimowolnie odczuwa i bierze za przedmiot marzeń, jak dziecko lalkę nim zaśnie w łóżeczku.

Przyznaję się, że ja sam pod tym względem nie jestem ani gorszy ani lepszy od innych i że raz z powodu sprawienia nowej sofy zdarzyło mi się używać tego rodzaju szczęśliwości. Kilka już lat przedtem posiadanie dużej, wygodnej sofy, jaką raz w pewnym zamożnym domu widziałem, stało się jednym z najuporczywszych marzeń moich. Ilekroć, zabierając się do poobiedniej drzemki, kła

dłem szanowną osobę moją na zwykłą zaokrągloną i wygniecioną kozetkę z śpiewającymi sprężynami (do której nb. przystawiało się krzesło na nogi), tyle razy przychodziła mi na myśl owa niegdyś widziana sofa. Ach, myślałem sobie wtedy, jakżebym ja się na nią wyciągnął, jakbym rozkosznie tonął w jej elastycznym wysłaniu, a plecy oparł o miękkie poduszki... W pozycji załamane w kilkoro ciesielskiego łokcia, leżąc i drzemiąc przy dźwięku sprężyn odzywających się pod mną, przypatrywałem się oczami duszy mojej przyszłej sofie i decydowałem, że jak tylko będę miał pierwsze zbywające pieniądze, to koniecznie muszę ją sobie zafundować.

Maturalnie, że już po przebudzeniu się zapominałem o tej decyzji, a tymczasem płynęły lata i ja się tych zbywających pieniędzy nie mogłem doczekać. Raz, zdawało mi się, że je mam i humor mój na myśl sprawienia sofy poprawił się znakomicie. Ale cóż? — Na drugi dzień wprowadziła się do mego domu szkarlatyna. Nietylko pięćdziesiąt reńskich, przeznaczonych na sofę, ale jeszcze dwa razy po pięćdziesiąt wzięli doktorzy, aptekarze, felczerzy, razem z dobrym humorem i spokojem, wieszając mi jakby na szyderstwo, że choroba tak dobrze i prędko się skończyła.

Coś znowu przez dwa lata potém ani marzyć o sofie i zbywających funduszach. Łamałem się więc dalej w kilkoro na mojej kozetce i przekonywałem, że jak nie można, to człowiek się bez wielu

rzeczy na świecie obejdzie. A ż tu pewnego pięknego poranku, przed miesiącem, jakaś pocziwa dusza wydawnicza z Warszawy pisze mi, że gotowa jest zrobić drugie wydanie dawnj mojej powieści i za ten zaszczyt, jaki jej uczynię, zezwalając, gotowa osobiście, za dwa tygodnie wręczyć mi sto pięćdziesiąt rubli...

Przyznaję się, byłem wzruszony taką niespodzianką wydawniczą i pod wrażeniem tego szczęścia postanowiłem w krótkiej drodze, że jeżeli kiedy, to teraz będę miał ową sofę, choćbym ,nie wiedzieć jakie miał pilniejsze potrzeby.

A że były, to przekonałem się w parę minut, do- losząc o tej nowinie szanownj małżonce.

— Mój drogi — odzywa się także uszczęśliwiona — kiedy cię taka niespodzianka spotkała, wypalałoby to, wypadałoby tamto kupić, to kazać odno- yić, to poreperować...

— Dobrze, moja kochana jejmość, kupujcie, odławiajcie, reperujcie, ale ja przede wszystkim zabawiam siebie sofę... Dalibóg, na tój skrzeczającej 0setce sypiać dłużej nic mogę... Jak cię kocham, e razy wstanę z nićj, to mię tak kości bolą i krzy- 3 i nogi drętwieją, że niepodobna. Pięćdziesiąt i;ńskich biorę, a z resztą róbcie, co chcecie.

Spostrzegłem, że ta niezwykła stanowczość moja ie bardzo się podobała familijnej naradzie; lecz ja lałem, że tego nie widzę i oddałem się marzeniom moim tyle upragnionym sprawunku. Natych- liast siadłem do biurka i odpisałem wydawcy,

że zgoda i żeby nio tracić czasu, puściłem się na zwiedzenie magazynów z meblami. Domowa rada familijna, wiedząc, że tu na nic 6ię nie zdała wszelka opozycya, przyjęła fakt spełniony i chętnie wzięła udział w moich poszukiwaniach. Chodziliśmy gromadą, ja, żona, dwie córki, cały dzień od sklepu do sklepu, oglądali, próbowali, porównywali, niby to targowali, a w końcu przekonali się, że takiój sofy, jakiój ja chcę, w całym Lwowie nie dostanie za pięćdziesiąt reńskich.

Wieczór powróciwszy zmęczeni i trochę rozczarowani, zaczynamy na nowo dysputę.

— Wziąłbyś zwyczajną otomankę, obitą jutą za trzydzieści reńskich — mówi jejmość — i będzie bardzo dobra.

Obraziłem się na tafczę propozycyę i byłem przekonany, że żałujn mi pięćdziesięciu reńskich na sofę, aby więcej zostało na inne sprawunki. Zmiarkowała żona, że radę jój tak wzięłem i dalejże się usprawiedliwiać szeroko i długo, że tego, czego chcę, nie dostanę, a zwykła otomanka tę samą odda usługę. Zresztą — powiada - cóż ci tak pilno? Mogłeś się obejść tyle lat, to poczekaj jeszcze kilka dni, poszukamy gdzieindziej... może się rozmyślisz inaczej.

—Tak najlepšíj, poczekaj! —powtarzam z urazą. Właśnie dlatego, że tyle lat czekałem, chcę ją mióc jaknajprędzój i miść będę...

—Jeszcze i pieniędzy nie masz...

' — Wszystko jedno, jakbym je miał... Taki wydawca z Warszawy przecie nie żartuje.
Zapłacę

tymczasem z innych funduszków...

— Pamiętaj, Żebyś się nie omylił...

— No, no, już zostaw mnie tę sprawę...

— Przypomnij sobie, ile razy ja ci przepowiedziałam wiele rzeczy...

— Pajże pokój ze swojemi prorocztwami. Wam, jak tylko co się robi nie po waszej myśli, to tysiące zjawia się przeszkód...

liłem rozdrażniony i postanowiłem nie mówić więcej o tej sprawie, ale sam działać. Jakoż, przespawszy noc niespokojnie, trapiiony różnemi kombinacyami co do kształtu i rozmiarów przyszłej sofy, od rana puściłem się znowu na zwiady.

Jeżeli sobie panowie składnicy mebli, stolarze i tapicerów i o zechcą wizyty moje z owego czasu przypomnióc, to sądzę, muszą mię błogosławić dotąd za owe nudy, wypytywania, oglądania i wodzenia po wszystkich zaułkach ich składów. Chciałem za moje pięćdziesiąt reńskich mieć coś tak wygodnego, pięknego, eleganckiego, czego jeszcze niśma we Lwowie. Wszystko, co widziałem, nie przypadało mi do gustu; albo za krótkie, albo za długie, to niefo-remne, to twarde — jedném słowem nie dla mnie. Jeden z nich cierpi i wszy i grzeczniejszy od innych, zaproponował obejrzenie rysunków różnych mebli, żebym wybrał jaki fason, a on podług tego każo mi zrobić.

I rzeczywiście znalazłem cos podobnego do mo-

jój wymarzonej sofie. 'Zaczynamy tedy liczyć, mierzyć długość, szerokość, wysokość, a potem targować. Stało na tem. Ze wzięwszy za wzór jeden z rysunków, uzupełniłem go różnemi dodatkami podług moich życzeń, i z elaboratu tego spisali formalny protokół z dołączeniem planu przyszłej literackiej sofie. Najgorsza sprawa była z cuną. Pan majster czoło tarł. liczył, ołówkiem sobie dopomagał i jak mi zaczął stawiać pasy, sprężyny, włosień, płótna, drzewo i intie dodatki, tak urosło całe pięćdziesiąt reńskich, bez pokrycia i innych zewnętrznych ozdób szrauklerskich...

—Tanić nie mogę, daję panu dobrodziejowi słowo.

Ja w perswazyje i prośby.

—Chyba pan dobrodziej zgodzi się, że dam na spód pakuły albo trawę morską a włosień tylko na wierzch, i przy tój sposobności zapoznał mię z cenami włosia, które nie tylko codzień ale i co godzina rosna, tak, że jeżeli dziś stanowczo się nie zgodzę, to on już nie ręczy na jutro za tę kwotę.

Zdecydowany byłem, choćby pokryjomu przed radą familijną, coś dorzucić nad przeznaczone 50 reńskich, ale rozchodziło się o tak wiele, że musiałem spuścić z tonu i zgodzić się na utajone pod spodem trawy, pakuły i tym podobne tapicerskie falsyfikaty... Dobiliśmy targu na czterdzieści reńskich, a ja sam miałem wybrać w składzie dywanów obicie i podać próbkę, podług której majster potrzebną liczbę metrów kupi na mój rachunek.

Idę tedy do owego składu i jestem w jeszcze gorszym ambarasu;. Co mi się tylko podoba, to drogie,

a co tańsze, razi pojęcia estetyczne. Nićma rady, myślę, trzeba kapitulować i zawezwać do pomocy kobiety... Biorę tedy pakiet próbek i składam na stole przed moją domową radą...

—Mam już sofę, zamówiłem, będzie na urząd dla mnie zrobiona. Oto są próbki obicia, wybierajcie, które będzie dobre...

W pokoju zapanowało grobowe milczenie. Cała rada w komplecie, nie wyłączając ośmioletniej Lul- ci, była obrażona, jak śmiałem bez ich aprobaty zamawiać i godzić dla siebie sofę... Widzę jednak po chwili, że ciekawość kobieca przemaga, i choć z pod oka, wszystkie spoglądają na pęk różnorodnych próbek. Ko, myślę sobie, ja was tu przetrzymam i milczę. Jakoż z miną jak tylko można najbardziej obojętną zbliża się jedna i od niechcenia bierze skrawek do ręki. Ogląda, maca i mówi:

- Wszystko na pół z bawełną, w miesiąc spłowieje.

Chwała Bogu — skoro obraz przemówił do dziada, to ja was tu wprowadzę w dyskusję... Jak tylko chodzi o te strzępki, które się nazywają materyami, i o radę, co kupić a nie kupić, tam żadna kobieta długo nie wytrzyma i musi się wtrącić.

— Mylisz się, to śliczna raaterya, kupiec zapewnia, że czysto wełniana...

—Co on mówi! — odzywa się jejmość, wyciągając nitki do światła — pół na pół z bawełną...

W kilka minut, dzięki mej sztucznej opozycji co do wartości materiałów z przedstawionych próbok— zawrzała dyskusja na całej linii. Dowiedziałem się też przy tej sposobności, że my mężczyźni na niczera się nie znamy, że zawsze i wszędzie jesteśmy oszukiwani, wyzyskiwani, że nie mamy żadnego gustu, smaku, powonienia i tylu innych przymiotów człowiekowi potrzebnych, a wreszcie żeby nie kobiety, które nas we wszystkich dolegliwościach ratują, byłibyśmy najniezwyklejszymi istotami na świecie.

I cóż powiecie na to czytelnicy? Niezupełnie to prawda, ale po części dałem się w tej sprawie przekonać, upokorzyłem się jak winowajca i poddałem komendzie, prosząc, aby poszły do składu obić i wybrały coś odpowiedniego. Kad podziw mój nie dały się długo prosić, z czego wyniosłem spostrzeżenie, iż nasza pleć piękna urnió być wspaniałomyślną.

— A ileż potrzeba?

—Ośm i pół metra...

— Co, co?... — pyta drugi raz żona. — Chyba ten twój tapicer myśli kamienicę objąć nie sofę?

— Tak obliczył, bo uważasz, sofa będzie miała dwa i pół metra długości, blisko metr szerokości, plecy tyle a tyle, i materac, który się ma wkładać w oparcie... wałki dwa...

Xowa protestacja i nowy krzyk...

— Ależ to będzie gmach nie sofa! Na co materace, gdzież jest taki człowiek, któryby miał długo- ści dwa i pół metra?... Zlituj się, to będzie poczwara...

Napróżno przekładam, że ja na tój sofie chcę sypiać i w nocy, że z materacami będzie wyjfordniśj, że inaczej będzie wąska i krótka... Śmieją się, żartują, dowcipkują, a w końcu biorą się do mierzenia mej osoby tasiemką metrową, każą mi się kłaść na łóżku, mierzą łóżko wzdłuż i wszerz... aż w końcu ja sam zaczynam się przekonywać, że sofa, którąśmy z tapicerem wykoncypowali, będzie jakieś monstrum.

Odkrycie to zasmuciło mnie wielce i wprowadziło w kłopot, co tu rohić, bo pewnie już podług tój dyspozycyi zamówiono drewniany szkielet u stolarza.

— Biegnij do niego i powiódz, żeby zmniejszył, dopóki stolarz nie zacznie roboty.

Na dworze zmierzch, sklep może już zamknięty, ■ więc palto na siebie, kapelusz, laskę w rękę i biegnę do tapicera... Zły jestem, niespokojny i trochę zawstydzony, ale się śpieszę. Jak na złość, bo tak zwykle bywa, mnóstwo znajduję przeszkód po drodze. Na kaidem przejściu ulicy muszę spotkać przejeżdżającą dorożkę i to noga za nogą. Niema fiakra, to wóz z ciężarami stoi na samym środku, tam wyjeżdża fura z bramy — tu mię ktoś znajomy łapie na pogawędkę; słowem wszystko się składa, aby mi tamować drogę... Ot masz — sklep zamkną i stolarz robi poczwarę.

Nareszcie przebrnąłem tuzin przeszkód i jestem niedaleko, gdy właśnie wpadam na jakąś damę idącą naprzeciw.

— A to gdzie tak pilno, gdzie? — zaczepia ku-

zyrika, osoba wielce przyjemna, wielce gadatliwa i -wielce ciekawa...

— Przepraszam, dobry wieczór... śpieszę się... pani pewnie do nas... żona jest w domu...

— Chwileczkę kuzynku - rzecze, zastępując mi drogę swoją osobą — miałam dla ciebie jakąś ważną nowinę...

— Dohrze, ja wrócę natychmiast... przepraszam, sklep... tego...

Kio puszcza mię, ale powtarzając ciągle, że ma ważną nowinę, bije się w czoło, aby ją sobie przypomnieć.

— Aha... wiem... Otóż doskonały temat do powieści... wyborny.

— - Daruje pani, w tój chwili nie mam czasu, zamówiłem sofę i to za szeroką, biegnę więc zmienić dyspozycję...

— Sofę nową, a na cóż kuzynkowi sofę ?... Po- czekaj że... gwałtu nicma... Zbytki robicie, zbytki... a jakaż to szerokość?

— Metr pani — mówię, wywijając się, żeby mię tylko puściła — żona powiada, że będzie niepropor- cyonalną... daruje pani...

Twoja żona się nie zna--prowadzi swoje, biorąc mię pod rękę.—Metr szerokości dla sofę, to właśnie akurat, bo powinna być wygodna... obszerna... Sofę się sprawia nic na rok...

~ Więc cóż?

— Czóm szersza, tóm. lepsza, a jak kuzynek uty- jesz? pamiętasz, nieboszczyk twój ojciec...

Argument ten zwrócił moją uwagę; prawda, mogę utyć, a że człowiek, trzy razy nawet przebrawszy sprawo* zawsze jest przekonany, że jeszcze ma rację, więc spostrzeżenie kuzynki zachwiało rację moją żony—naturalnie, dlaczego robić wąską...

— Tak jest, mówię ci, nie-śpiesz się, a wróć ze mną do domu... Proszę cię, w takich razach nio słuchaj nigdy rad kobiecych, bo cię zaprowadzą na manowce... Ta nasza zielona sofa, znasz ją, co stoi w jadalnym pokoju, szersza nil metr... z pewnością, a nie razi.

W tój chwili nie zmiarkowawszy się, że piękna kuzynka jest także kobietą, w myśli przyznałem jej rację co do ważności rad kobiecych i zawróciłem z nią do mieszkania.

— Bądź spokojny kuzynku, ja twoim paniom zaraz tę rzecz objaśnię... Mówię ci, jak matkę kocham, metr to nie będzie zhyteczna szerokość, wierz mi... A teraz słuchaj, wyborny temat dla ciebie do humoreski...

Niegrzecznie to będzie względem płci pięknej, gdy się przyznam, że nic a nic nie słuchałem, co opowiadała. Mnie w głowie siedziała sofa i jój szerokość, a ona szczebiotała o jakimś obywatelu ziemskim, u którego bawiła kuzynka Cecylia, że to jest taki sobie oryginał, że wszystko ma u siebie ponumerowane, oficyalistów, parobków, trzodę, konie, uprząż, wozy, a nawet dzieci.

— Powiadam ci, znakomita rzecz do humoreski; ja się tak śmiałam, że aż łzy mi kapwały...
Wystaw

sobie, chciał Cesię ponumerować i gwałtem wieszał jój tabliczkę na szyję... "Daję ci słowo, wszyscy tam noszą blaszane tabliczki z numerem...

— Eh, to chyba waryat?—przerywam.

— Podobno, że ma bzika, ale kapitalny sobie... prawda? No, podziękuj mi za temat...

Podziękowałem i weszliśmy do naszego mieszkania.

— No jakże?—pyta mię żona.

—Nio byłem, bo kuzynka powiada, że metr wcale nie zawiele. I mnie się tak zdaje, bo uważasz mogę utyc, a wtenczas co?

Naturalnie wmięszała się zaraz kuzynka dla mo- jój obrony, dowodziła, przekonywała, a moje kobiety sprzeczały się i upierały do ostatniego. Wreszcie, gdy słowa nie pomogły, wzięły się do mierzenia tasiemką metrową wszystkich kanap i sof, będących u nas w mieszkaniu.

Ależ ja pamiętam—twierdzi stanowczo kuzynka, że kiedy mój Janek zamawiał naszą zieloną sofę przed sześciu laty, to mówił do tapicera: metr szerokości.

—Ot i już mylisz się, bo przed sześciu laty na metry nio mierzono...

—Może być... nie sprzeczam się — rzecze, przypatrując się długości metra i mięknąc trochę w zapale—że to łokieć... Tak, tak, przypominam sobie, to łokieć wiedeński...

Moje kobiety w śmiech, i dalejże tryumfować,
a ja spuszczam nos na kwintę...

A, Wik«Ayt5ił. — Srtlce l obrMfcJ. 10

_ Metr a łokieć to wielka różnica... po co się to upierać?... Ja wiem, że to będzie szeroczyzna... Widzisz—kończy moja jejmość—jak to ile, że słuchasz rad kobiecych... Nie poszedłeś, stolarz zrobi za szeroką i będziesz miał szkaradzieństwo.

Znalazłem się w tej samej pozycji, co ów młynarz, syn jego i osieł z bajki Lafontaine. Przyjemność, jaką sobie obiecywałem ze sprawienia sofy, zmieniła się teraz w udręczenie, że za tak drogie pieniądze, po tylu latach oczekiwania będę miał dziwoląga. Naturalnie całą noc źle spałem, a rano, nawet bez kawy pobiegłem do majstra, aby moją sofę zwężono do 80 centymetrów...

Zawiele wynudziłbym czytelnika, opowiadając mu dalsze szczegóły o tysiącu kłopotów, jakie mi budowa tej sofy codziennie nastęczała. Pokazało się naprzykład, że materyi do obicia, którą kobiety moje wybrały, a która, mówiąc nawiasem, wcale mi się nie podobała, szanowny mój majster zapomniał wziąć ze składu, a tymczasem ktoś ją kupił. Więc nowa pielgrzymka familijna do składu, przerzucania, targowania, a w końcu uchwała, że takiej pięknej i modnej i taniój jak tamta była, już niema. Uprzejmy kupiec powiada, że może sprowadzić tę samą z fabryki, tylko trzeba będzie tydzień poczekać i zapłacić koszta przesyłki pocztą... Zgodziłem się, ale ten tydzień kosztował mię niemało niecierpliwości, a mianowicie: ile razy przyszło położyć się na starej brzęczącej kozecie, która rzeczywiście przez te kilka dni tak się zdezelowała, że ofiarą było z mój strony

powierzać jej swe członki. Nareszcie matrycę na obicie przysłano, ale znów pojawiły się w pracowni majstra inne, wewnętrznej natury przeszkody, które zmuszały go trzy razy naznaczać termin, że już sofa niezawodnie będzie gotowa — a swoją drogą trzy razy nie dotrzymać.

— Przynajmniej -mówię pewnego dnia po dwutygodniowym czekaniu — niech ja ją zobaczę w robocie.

—Bardzo dobrze panie dzieju, tylko gdzieby się pan d/ićj chciał fatygować do warsztatu na przedmieście. Ja panu dziejowi daję słowo, że dziś tia wieczór będzie z pewnością...

—A jakże ona wygląda ?

—Bardzo dobrze, panie dzieju, sofa śliczna; pan konsyliarz, który jest posłem, taką samą kazał sobie zrobić.

Opinia konsyliarza i do tego posła bardzo mię pocieszyła jako autora, naturalnie sofy, a nie powieści; wiadomo bowiem, że człowiek nigdy nie chce poprzestać na jednj sławie ze swego fachu, ale gwałtem chciałby uznania na polu, gdzie ledwo jest dyletantem. Naprzykład nie zapieram się, że w tój chwili rozkoszowałem się sławą tapicerską i przedstawiałem sobie mój tryumf, gdy znajomi, podziwiając sofę literacką, dowiedzą się, że to ja jestem twórcą tego pomysłu.

Szcześnie tego dnia powiększyło się jeszcze, gdy wróciwszy do domu zastałem bilet wizytowy oczekiwanego wydawcy dobrodzieja, który ma uiścić owe

„r10 ru bH. Bilet był zagięty w sposób, jak się wizyty anonsują, więc dowiedziawszy się, że stoi w hotelu Angielskim, idę go odwiedzić.

— Jak się to złożyło ślicznie — myślę przez drogę _ sofa i wydawca naraz. Ot zaproszę go na herbatę, niech się oboje nawzajem poznają.

Wchodzę do numeru, który mi w hotelu wskazano i proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie i radość, gdy zastaję dawno mi znaną przyjazną rodzinę państwa Bonifacych. Z Bonusiem kolegowaliśmy kiedyś w szkołach, potem losy razem nas zanosły na teren galicyjski, a jużesmy się dwa lata nie widzieli, gdyż Bonus dostał posadę inżnicra na prowincyi i tam z rodziną zamieszkał.

Zrazu sądziłem, że się pomylił, wchodząc tutaj, lecz wkrótce objaśnił mię gospodarz, przedstawiając dalekiego kuzynka swego pana Nikodema, właśnie owego księgarza i wydawcę z Warszawy.

Szczególniejsze zdarzenie, myślę, podając rękę wydawcy, który mi się wydaje człowiekiem dosyć przystojnym, a wyświeżonym i ugrzecznonyui na sposób warszawski. Jestto człowiek lat może trzydziestu kilku, okrągłutki, pulchniutki może zanadto, i jak mi się zdaje, trochę pretensjonalny w swej powierzchowności, albowiem wszystko na nim modne, opięte, szykowne; broda skrupulatnie wygolona, rękawiczki jasne na rękach — słowem wcale nie wygląda na księgarza wydawcę, przynajmniej takiego, jak ja sobie dotąd księgarzy warszawskich wyobrażałem.

Zasiadamy tedy do gawędki; ja przysuwam się do Antosi, córki Bonifacego, którą kiedyś jeszcze na rękach nosiłem, i dowiaduję się, że pan Nikodem umyślnie był u nich na prowincyi i namówił jej rodziców, żeby przyjechali do Lwowa...

—Uważasz — mówi Bonus, odprowadzając mię nieznacznie na stronę — on tak coś myśli o naszćj Antosi.

—To bardzo szczęśliwie.,, porządny człowiek.

—Tylko jakoś to nie idzie...

—Dlaczego?

—Antosia kaprysi...

—Ale dzieciństwo, mężczyzna przystojny, sytuacja dobra...

—Ja toż samo powiadam, a ona grymasi, że taki otyły.

—Namyśli się — mówię z powagą...

—I my tak sądzimy z żoną, dla tego też mój drogi, jak będziesz mówił z Antosią, to uważasz tak tam jej... no wiesz... ona cię bardzo poważa...

—Z największą chęcią, mój kochany, i owszem, ażeby mieć lepszą sposobność, to wiśszco, przyjdźcie dziś wieczór do nas na herbatę, zobaczycie jak moja Łulcia urosła... i o mały nie powiedziałem: nową sofę mojego pomysłu — ale się jakoś w porę wstrzymałem.

Zaprosiny moje goście chętnie przyjęli, a ja wracając do domu, wstąpiłem jeszcze do tapicera, upominając, żeby sofa koniecznie była dziś na godzinę piątą.

Nirwawodme, panie dzieju... niezawodnie.

— Tylko proszę pamiętać na piątą!

— Z pewnością, panie dzieju.

Wracałem do domu zachwycony myślą, jakie sofa moja sprawi wrażenie, a nawiasowo tylko pochwalałem zamiar wydania Antosi za wydawcę... Dziwna dziewczyna, dlaczego nie chce iść za niego, taki porządny człowiek...

Zkąd odrazu zrobił się dla mnie pan wydawca porządnym człowiekiem, tego doprawdy nie wiem, bo pierwszy raz widziałem go w życiu, i pierwszy raz słyszałem o nim, gdy do mnie list napisał... Chyba dlatego, że kupuje drugą edycję mojej powieści — naturalnie musi być porządny, skoro nam robi dogodność i jest sprawcą tak długo oczekiwanej sofy...

Powiem Antosi, żeby nie kaprysiła; teraz o mężów trudno... a co tam, że za otyły, czy to człowiekowi w czym ubliża... Zresztą nawet nie bardzo, w pojedyncze drzwi doskonale się mieści... Oho, ja tak żartami do jej rozumu przemówię... No, dalibóg zkąd mnie się wzięło, żeby zostać swatem... I gdybym wprzód przewidział tę okoliczność... Tu wstydzę się przyznać, ale jak błyskawica przebiegła mi myśl, że mógłbym żądać więcej niż 150 rubli za ów tom... No, ale i to dobre, co tam. sofę mam z jego łaski...

Uwzględniłem żonę, jakich będzie miała dziś gości na wieczór, a swoją drogą nie myślałem o ni- czym więcej, jak o sofie. Łóżko się wyniesie na strych, jak przyjdą ludzie, ona stanie tu, okno się

roletą zasłoni, żeby zbyt blask nie bił i spodziewam się będzie wspaniało wyglądała, tak w guście gotyckim.

Z tej radości i niecierpliwego oczekiwania już nie kładłem się jak zwykle na śpiwającej koczce, tylko od samąj czwartej wyglądałem oknem, czy mo- jój sofya nio niosą. Niestety wybiła piąta — niema; wybiło pół do szóstej — niema... Porywa mię pasya jak można tak kogoś zwodzić i słowo honoru dawać, więc znowu za palto i kapelusz i nędzę do składu mebli.

— Jaktó? pan dziej nic odebrał?

— Niema dotąd...

— Daję panu dziejowi słowo honoru, już przed godziną ponieśli...

—Może zły adres pan dałeś ?

— Ale gdzie, panie dzieju, oni wiedzą...

Nie było się co spierać; posłano to posłano, więc biegnę do domu — niema... Nie namyślając się, zawracam napowrót, a tu już blisko siódma, lecz spotykam przecie tragarzy niosących jakąś płótnem nakrytą kanapę, którą po kolorze obicia poznaję, że to moja... Zmęczony, spocony, lecz uspokojony biegnę do siebie i wpadłszy do pokoju, zaczynam uprzątać dla niój miejsce... Łóżko wysuwam na środek, wołam służącą ze szczotką, zwijam się, a tu dochodzi mych uszu tumult ze schodów — chwała Bogu, niosą...

Zapewniam was czytelnicy, że gdy posłyszałem szcęk klamki u drzwi, serce mi biło daleko żywiej

nii wtenczas, gdym pierwszy raz zobaczył swoją powieść w druku. Nieprzytomny prawie, krzyknąwszy do drugiego pokoju kobietom: „Sofę niosą!” odpowiadam na stukanie: zaraz, zaraz, otworzę... a tymczasem wyrywam szczotkę służącej, aby czém- prędeż w kącie, gdzie ma być ustawiona, zrobić porządek.

Klamka wciąż się porusza i coraz energiczniej, więc pełen roztargnienia, biegnę do drzwi powtarzając: zaraz, zaraz... Przekręcam klucz w zamku i nie zważając, że ktoś z sieni pakuje się ku mnie — odsuwam rygle i otworzy wszy naraz podwoje:

—No, teraz się zmieści I — mówię, usuwając się na bok.

A tu zamiast sofy kto? Mój tłusciutki wydawca, z twarzą zaczerwienioną po same białka, wkracza do pokoju...

—Przepraszam... bardzo przepraszam!—belkoczę, stając przed nim—myślałem że to sofą...

On się kręci zdejmując palto, kobiety moje, które w całym komplecie już stały przy drugich drzwiach, czekając na sofę — cofają się w głąb, a za panem wydawcą pokazuje się cała rodzina Bonusia, na czele której wesoła Antonina tak się czegoś śmieje, że buzię zatyka chustką.

Prawda, że było się z czego śmiać, bo w pokoju prawdziwy chaos; meble porozstawiane, ja roznegliżowany, zabrudzony, rozczochrany...

Skonfundowany trochę, gości wprowadzam i mi

ną nadrabiam jak mogę. starając się być ile można uprzejmym, ale widzę, iż mój wydawca jest czegoś sztywny, a tymczasem pokazują się tragarze z sofą."

Kie mam czasu oglądać, więc każę stawić na środku pokoju, płacę na piwo tragarzum i wracam do gości. Prawda, że wracam bo muszę, ale wewnątrz tak mię coś korci, żeby wyjść i zobaczyć jak ona wygląda. Dostrzegam, że ten sam niepokój owładł i resztą mojej rodziny, bo kiedy ja się wysiłam na podtrzymanie ogólnej rozmowy, co chwila to wysunie się żona, to która z córek, a każda wraca z bardzo podejrzaną miną. Najmłodsza nawet, kllkole-tnia Lucia, nie może już wytrzymać, tylko przysunąwszy się nieznacznie do krzesła, mówi mi do ucha:

— Wie tatko, mama powiedziała, że szkaradzień-stwo ta sofa...

Nareszcie podano herbatę, goście idą do jadalnego pokoju, a ja ze świecą do mego arcydzieła. Widzę, że monstrum, ale swoją drogą nic mogę się przekonać, że tak jest. Miłość własna każe mi przekonywać siebie, iż wcale nie brzydka i staram się ile możliwości nadrabiać miną wobec złośliwych spojrzeń i uśmiechów jejmości...

Zajęty wyłącznie myślą o sofie, ani zważam, iż pan wydawca jakoś zanadto etykietalną ma minę, cedzi słówka przez zęby, nic jeść nie chce, ale się ceremoniuje i o interesie drugiej edycji ani wspomina. Skręcam rozmowę na literacki ruch w Warszawie, kołuję zdaleka, żeby mu przypomnieć o na-

azij umowie—on jednak zdaje .się tego nie rozumieć ani słowa...

Tymczasem, mój kochany Bnuś także czegoś nie w humorze, daje mi ciągle znaki głową i oczami, których ja. mając tyle różnorodnych niepokojów w umyśle, nic a nic zrozumieć nie mogę, a tylko może nieco trywialnie również kiwam głową.

— Obiecałeś pomówić z Antosią — szepcze mi, gdyśmy wstali od stołu i przechodzili do bawialnego pokoju.

— Aha, dobrze, zaraz...

I rzeczywiście, korzystając, że dziewczęta usadowiły się w kącie pod lustrem między koszami kwiatów, przysuwam krzesło do panny Antoniny.

— Ach) jakże ja panu wdzięczna jestem—odzywa się wesoło, szczerząc śliczne jak perły ząbki.

— Mnie? a to za co!

— Nie udawaj pan...

— Dalibóg, że nie wiem.

— Doskonale się panu udało z temi drzwiami. Patrz pan, jaki on zły?

— Kto?

— No, ten mój niby konkurent... Jeżeli pan pisze czasem dowcipne rzeczy, to figiel z temi drzwiami jest jeszcze dowcipniejszy... Cha, cha, cha!... „teraz się pan zmieści"... jakie to było doskonale... Jak mamę kocham jemu się zdaje, iż jest taki powabny i wysmukły, a to... baryła...

— Co też pani mówił Przystojny i porządny człowiek... Gdzież jabym śmiał robić mu jakąś im-

pertynoncyę—mówię, przypomniawszy sobie otwarcie drzwi na rozcież i zachmurzoną minę wydawcy, którą dopiero teraz zrozumiałem.

— Pani się myli — mówię dalej — otwierałem drzwi dla wniesienia sofy, którą nieśli tragarze po schodach...

— Ale na co się zdały takie wymówki!... Ja wióm, iż pan mi dobrze życzy i że zrobił to pan umyślnie... Kie, nic, nie... proszę się nie zapierać, figiel doskonały... i za to kocham pana...

Nie pomogły moje objaśnienia, wypierania, przysięgi—wesoła dziewczyna podziękowała mi, ciesząc się otwarciem ze skwaszofiej miny wydawcy...

— Zarozumialec, myśli, że każda kobieta, to ciełę, wystawione na sprzedaż na jarmarku. Przyjechał dwa dni temu, i zaraz żenię się, pójdź panna za mnie...

— Żle pani robisz, odstręczając tak porządnego konkurenta...

— Jestem obrażona-^mówi na to z pewnym uniesieniem—i żeby on miał większą bryłę złota niż sam waży, nie poszłabym za niego!...

Poselstwo moje skończyło się; dalibóg nie jestem zdatny na swata, a tembardziej na modelatora ta- picerskiego, bo skoro tylko opuścili nas goście, nastąpił prawdziwy sąd Boży nad moim utworem i jego wykonawcą panem tapicerem. Cała familijna rada, nie wyłączając kucharki i jój małoletniego syna, mających głos doradczy, stanęła nad ową literacką solą i pastwiła się bez litości.

A rzeczywiście było nad czóm, bo wyglądała jako prawdziwy dziwoląg t a pic er s ki. Nieproporcjonalne i wysokie plecy, zakończone w trzy gotyckie łuki, dawały jej pozór kanonickiej stali, jaką w pres- byteryum kościołów katedralnych spotykamy. Za- długa do swój szerokości, zamiast wałków miała po bokach plastry kształtem podobno do bitych kotle- tów z kostkami, w plecach zaś wepchnięty materac w ten sposób, że tylko na brzegu można się było usadowić.

Wszystkie te zarzuty, z mnóstwem dowcipnych spostrzeżeń, obijały się o moje uszy, kiedym sofę ustawiał w przeznaczonem dla niej miejscu i z cierpliwością godną lepszej sprawy milczał, jak człowiek wyższy nad wszelkie krytyczne pociski. Czułem w głębi duszy, że mają rację, lecz ambicya nie pozwalała przyznać się do porażki.

— Niech będzie jaka chce podług was—odzywam się z powagą—ale dla mnie jest dobra, bo takiej sobie życzyłem i taka mi się podoba.

Jakoż dla poparcia tej opinii, kazałem urządzić posłanie na nią i położyłem się na noc. Nic brzęczała to prawda, lecz tak mi było twardo i wąsko, że długo usnąć nie mogłem, a gdym już zaczął marzyć, śni mi się, że spoczywam gdzieś na stogu stę- chłego siana i walczę z prądem wiatru, który mię gwałtem spycha na ziemię.

W pierwszej chwili, gdym się obudził, wrażenie snu przedłużało się na jawie. Rzeczywiście stoczyłem się w jaskinię powstałą w oparciu sofy po wy-

jęciu materaca, a dokoła otaczał mię zapach wiejskiego siana z pewną domieszką stęchlizny... Niestety, pan wydawca mój sofę zadaleko się posunął przy zamianie włosia innymi materyałami: nie żałował domorosłego siana.

Nazajutrz rada familijna tryumfowała — skłoniłem głowę przed jej opinią i bijąc się w piersi mówię:

— Macie rację, moja wina. Więc cóż robić?

— Nie przyjąć.

— Ba, kiedy dałem zadatek.

— Ile?

-r- Dwadzieścia reńskich...

— A widzisz, po co dajesz, czemu się nie poradzisz, czego to swoją głową mędrkujesz?...

A nie szkoda to pieniędzy?... Mamy tyle innych pilniejszych potrzeb... nie mówiłam, kup zwyczajną otoman ką?...

W głowie mojej z powodu tego zmartwienia utworzył się prawdziwy bigos; w tym przynoszą mi bilet z hotelu od pana Nikodema. Pilny interes, nieprzewidziany, i coś tam jeszcze zmusza go do wyjazdu Ze Lwowa, zatem sprawę o nabycie drugiej edycji z przykrością odkłada na później...

— Masz tobie, jeszcze tego brakowało! — myślę dokładając tę niespodziankę do dawniejszego bigosu. Nióma rady, trzeba oddać sofę... Tak jest, cóż to za robota, jakie wysłanie i wybicie, twarda, nie-foremna i t. p.

Siadam tedy do biurka i na trzech stronicach redaguję zarzuty przeciw panu majstrowi i staram się przekonać go o mój słuszności. Ala to wszystko na licha się zdało. On ani chce słysząc o przyjęciu sofy; kazał ją zabrać do siebie dla poczynienia poprawek podług pierwotnego planu, lecz jednocześnie wytoczył mi proces o dopłatę reszty należności za sofę, którą, jak to oświadczył przed kratkami, pies nawet nie zechce kupić od niego..

— Bo to prześwietny sędzie—powiada—ten pan chciał inić literacką sofę, jakiś tu we Lwowie nikt nic widział. Dał rysunek, wymiary jakieś dziwaczne, zwyczajnie jak literat, a teraz, panie dzieju krytykuje swoją własną robotę..; Póki życia, prześwietny sędzie, nic chcę mieć z żadnym literatem do czynienia, bo to naród, panie dzieju, nie tak panie dzieju, jak się należy...

Nio wiem, jaki mię wyrok spotka, a tymczasem co się namartwię i nakłopotę, to każdy pozna zobaczywszy, iż schudłem i zmizerniałem do połowy poprzedniej tuszy. Dlatego leż może po przeproszeniu się z dawną kozetką daleko mi wygodniej sypiać teraz niż przedtem, bo nawet sprężyny, litując się nademną, dały pokój muzyce i tylko kiedy niekiedy zgrzytną, wtórując mojej goryczy, z jaką prowadzę sprawę z przeciwnikiem.

LOS! ŁADNEGO CHŁOPCA.
SZKIC Z NATURY.

Staś niedawno jeszcze był bohaterem na bruku lwowskim. Z powierzchowności chłopaka kawał, lat około trzydziestu, twarz przystojna, trochę zanadto pełna, ale to już kwestya gustu. Większość pięknych pań powiedziała, że jest ładny chłopiec, większość mężczyzn, że ma szalone szczęście do kobiet i te dwie opinie publiczne zrobiły zeń przedmiot tajemnych westchnień wszystkich pensyonarek i tajemniejszej zazdrości męskiego rodzaju. Wskutek tego mój Staś wcześniej dosyć poznał się na swojej wartości i jak pączek w maśle, pływał we względach i adoracyi publicznej.

Wiadomo powszechnie, jakto każde powodzenie rozzuchwala człowieka, a tímbardziej młodego, któremu się zdało, że cały świat powinien być na jego rozkazy; ztąd też i mój Staś, idąc ulicą, nie wiedział już jak stąpać. Nabrzmiałe policzki, dla dodania sobie estymy, jeszcze bardziej nadymał, rozmawiał głośno i rezolutnie, znajomym tylko końce palców podawał, traktując dawnych przyjaciół, jak to mó-

A. WUv»yi>kłJ. — Os'4le* i obiaiki.11

wig, przez ramię. W lokalach publicznych i na spacerach, mój Staś zdawał się królować. Sobą przedewszystkióm zajęty, otoczony rojem tych drobnych istot, czepiających się zawsze każdego choćby słoneczka, rzucał na prawo i lewo sarkastyczne dowcipy, bez względu, czy one się komu podobały, lub nie podobały. W towarzystwach, do których uczęszczał, okazywano mu niezwykłą adorację i osobliwie wyszczególniano. Na powitanie, sama nam zrywała się z kanapki, ścisnęła mu serdecznie rękę; przy stole sadzano na lepszym miejscu, córka gospodarstwa pamiętała, żeby mu smaczniejsze kąski podawano, często sama nakładała na talerz, błagając aby jadł: „jeżeli mi pan dobrze życzy”. Ojcowie, jak zwykle ojcowie, napompowani przez żony i córki, najprzód zbliżali się do niego częstując wódką, pilnowali, aby kieliszek jego nio był nigdy próżny, a częstując cygarami, mimiką lub szepkami wskazywali, które są lepszo. Przyszły tańce, Staś był obleżony zamówieniami.

— Pan Stanisław tańczy z mną kontredansa, prawda?

— Pani dobrodziejko (mój bohater mówił jeszcze każdej mainio pani dobrodziejko i każdemu papie panie dobrodzieju) nie wiem doprawdy...* ale prosiłem... tego...

— Ślicznie tak zapominać, przecież mnie pan prosił...

— Być może, pani dobrodziejko...

— Więc anektuję pana...

W ten sposób zaanektowany, musiał iść i zebrać o przebaczenie tój, którą rzeczywiście zamówił i z re-zygnacją znosił pociski dotkliwych nieraz wymówek.

— Stasiu — woła joden ze znajomych, chwytając go pod ramię - -- tańczymy vis a vis?

■ - Już mam i kim innym.

«— Ze mną musisz. Pani Adela koniecznie sobie tego życzy...

Staś spojrział w stronę pani Adeli, taka była ładna, tak ślicznie patrzyła na niego, domyślając się treści rozmowy obydwóch panów, że niepodobna odmówić. Znowu więc szukaj tamtego pana, przepraszaj, usprawiedliwiaj się i znoś przykro nieraz słowa. Pokazuje się stara prawda,)u niema róży bez kolców i niema powodzenia bez upokorzenia.

Zagrali mazura.

Mój Staś w tańcu nie bardzo zgrabny, taktu nie pilnuje, w pomysły figurowe nie bogaty, lecz na jednozgodno życzenia part, obejmuje dowództwo. Komenda idzie fatalnie, Staś głowę traci, mazur wikła się haniebnie, a swoją drogą po skończeniu, grono wdzięcznych pań otacza go wieńcem i składa podziękowania.

. W czasie wybierania mężczyzn do figur, jestem przekonany, że Staś przeklinał w duszy swoje szczęście do kobiet.

Z natury jest leniwego temperamentu, wielki wygodniś, więc radby zapalić papierosa i odpocząć na wygodnej otomance, a tu porywają go w przelo-

cie, prowadzą z tryumfem do sali i każą wyprawiać łamane sztuki. Spocony, zziębnięty, ucieka do gabinetu gdzie grają w karty i bawią się przy kieliszku;]c:cz i tu wyciąga go z za stołu przekwitła piękność w postaci pewnej guwernantki, która przez drogę zasypuje go tuzinami wymówek i docinków, jakoby za niedotrzymanie gdzieś, kiedyś, paru słów wyrzeczonych do niej, o których on sam już dawno zapomniał.

Przy kolacyi, pomijając wielu poważniejszych i zasłużonych mężów, gospodarz domu, lub któryś z namówionych małżonków, raptem wznosi jego zdrowie, a panie jak różnobarwne motylki zlatują się ze wszech stron, aby się trącić z nim kieliszkami,

Oto[^], co 3*3 nazywa szczęście u kobiet!

Kie też dziwnego, że poczciwemu Stasiowi, podobne tryumfy przewróciły głowę. Zdawało mu się naprawdę, że on jest bardzo ważną osobistością na świecie, i że te hołdy słusznie mu się należą.

Kto znałem wtedy sytuacji majątkowej Stasia; był podobno małym urzędnikiem sądowym, czy praktykantem u adwokata, lecz słyszałem, że dość często u poczciwych wekslarzy z Hetmańskich Wałów eskontował naprzód przyszły posag przyszłej swojej małżonki. Tego rodzaju eskont przyszłości, jest bardzo zwyczajną rzeczą u młodzieży we Lwowie, i spłacenie długów młodości należy często do warunków kontraktu przedślubnego. Mój Staś kochany liczył na to, jak na Zawiszę. Z początku, gdy dopiero wchodził w modę, cyfra dwudziestu tysięcy

reńskich zdawała mu się wystarczającą; lecz w miarę jak wzięcie rosło, powiększał się apetyt, i w chwili gdy go bliżej poznał, o mniejszej kwocie niż czterdziestu tysiącach, ani chciał słyszeć.

- Zlituj się panie Stanisławie — odzywam się raz do niego — cóż ty chcesz &ie sprzedać?

—Dlaczego nie. Dziś każdy spekuluje...

Uważałem za autorski obowiązek, zwrócić jogo uwagę na moralno-uczuciową stronę małżeństwa, bo trzeba wiedzióc szanownym czytelnikom, że my wszyscy literaci minor urn gentium, z całą książkową naiwnością, rządzymy się jeszcze po starym zasadami wysokiój bezinteresowności. Naczytawszy się tylu powieści i rozpraw, jakie to powinno być społeczeństwo na świecie, wierzymy w szczęście na poddaszu, w suchy kawałek chleba, spożywany z rozkoszą przez dwa kochające się serca i inne tego rodzaju sielankowe eksperymenta, w których materyalna strona życia odpychana jest z pogardą na dalszy plan. tak jest, proszę zapytać chlebobawców naszych, panów księgarzy i wydawców, a jeszcze lopićj, porównać ich syluacyę z naszą...

—A proszę cię — odpowiada mi, wysłuchawszy całego potoku argumentów, przemawiających do uczucia i godności. — Jakże dziś porządny człowiek może istnieć bez funduszów? Cóż pan myślisz, że czterdzieści tysięcy jest majątkiem, czy co? Czyja żeniąc się, miałbym sumienie skazywać porządną kobietę na kucharkę, praczkę, niańkę i t. p. J&d tvm względem jestem człowiek uczciwy i pragnę

moją żonę uszczęśliwić; zawodu nie chcę robić nikomu, a taniej jak za czterdzieści tysięcy niepodobna.

Zamknął mi usta, bo co tu na podobnie raemonalny wykład odpowiedzieć-

Stas jest człowiekiem praktycznym, a poezye o życiu zostawia literatom i pensjonarkom. — Szukał tedy coś przez cały rok owych czterdziestu tysięcy, i moieby je znalazł, gdyby mu nie przyszła chęć prócz tego mieć żonę młodą i piękną.

W sprawio tych poszukiwań, najżyczliwszą dla Stasia okazała się pani Adela, kobieta przystojna, lat trzydziestu kilku, żywa, wesoła, mało ceremonialna, która mu z całą szczerością oświadczyła, że za nisko się ceni, i jeżeli tylko chce, to gotowa swatać go z pewną kuzynką, mieszkającą na Podolu, piękną jak anioł, z posagiem stu tysięcy rubli w gotowiźnie, a która z pocałowaniem ręki pójdzie za niego.

Któżby nie chciał anioła, stu tysięcy rubli i pocałowania ręki ? Dlatego nie można się dziwić, że pro- pozycję przyjął z wdzięcznością.

Rozpoczęła się korespondencya z Podolem, posłano i przysłano fotografie, a pan Stanisław czę- ścior niż zwykle odwiedzał dworek protektorki na Łyczakowie i dowiadywał się o tysiącu przymiotach przyszłej narzeczonej.

Skoro tylko spostrzeżono w kole znajomych, w którym się obracał Stanisław, tryumf pani Adeli powstał na całej linii niezmierny popłoch, wrzawa,

krzyk oburzenia i wiele innych okropności, płynących z obraioną miłości własnej. Dziwna rzecz tylko, ii przy tóim wszytkióm, nie obwiniano Stasia, ale zwrócono wszytkie pociski przeciw pani Adeli.

Więcej gorliwe damy w pracy oczyszczania moralności publicznej, biegały jak listonosze od domu do domu, przynosząc coraz groźniejsze w i ości. Wczoraj widziano go w jednój loży z panią Adelą i to na Stopie zanadto poufałój. Były tam wprawdzie dzieci, ale jak wiadomo dzieci gapią się na scenę i za siebie nie patrzą. Dalćj, że chodzą na przechadzki ustronne, proszę zauważać dla czego ustronno, dla czego nie idą na wysoki zamek albo do jezuickiego ogrodu.

—No, ale i mąż chodzi - - ktoś robi uwagę...

—Mąż!?... — powtarza jedna głosemlekcewa- żąco-wesołym, z odpowiedniem poruszeniem rączki — co który mąż widzi, a szczególnie uczony... ja wam powióm, że właśnie mąż jest najdogodniejszym stróżem swobody kobiecej...

Mówiła to pani Cecylia, osoba muzykalna, matka dwóch córek, w których dawniej pan Stanisław gustował. Śledząc obecnie stosunki jego z domem pani Adeli, nie miała bynajmniej żadnej urazy do Stasia — ot poprostu, kierując się uczuciem czysto ludzkim, chciała ratować tonącego, wyrwać młodocianą duszę ze szponów zatracenia, llywałem podówczas w towarzystwie tej kobiety i o ile sobie przypominam caluteńki wieczór nio mówiono o niczem

więccj, jak o Stanisławie i Adeli. Szanowne matro-
ny obywatelsko-urzędniczej sfery,
zażywne, wysznu-
rowane, że oddychać trudno, ożywiające się dawniej zwykle przy kolacyi
— dziś mówiły po trzy naraz, jedno i toż samo w koło, tak, że jak człowiek się pomiędzy nie
dostał, przez dwa dni potem miał imię Stanisława w uszach, a przeraźliwe sny trapiły go
panią Adelą.

Powiadają wszyscy, że kobiety posiadają charakter lekki i zmienny, że nie lubią się na
jednym przedmiocie długo zatrzymywać, a tu przekonałem się, że bywa inaczej. Xaprzykład
rozmowy o strojach, narzekania na sługi i kucharki, a wreszcio dysputy o cudzej moralności
nie ulegają nigdy wyczerpaniu. Wyśliinicz się z ich grona na jaką godzinkę, przegrasz robra
w wista, wrócisz do salonu, i zastaniesz ten sam temat rozmowy, prowadzony z ta-
ktém
samem ożywieniem.

Przyjaźń Stasia z domem pani Adeli trwała przez całą zimę. On zjawiał się coraz rzadziej
między nami i unikając wspólnój rozmowy, natychmiast siadał do kart—pani Adela zaś nio
pokazywała się wcale. Raz pamiętam, siedzi u nas osób kilkanaście, zajętych przeglądaniem
albumów z fotografiami, co zalicza się do bardzo przyjemnych zajęć w towarzystwie, gdy
wpada pani Cecylia.

— Wyobraź sobie Luniu (Lunia jest gospodynią domu i kuzynką Stanisława) —już się u
niej stołuje...

— Kto?

— A moja droga, któż, jakby nie Staś! — Jak

Zdzisia mojego Kocham 1 (Dotąd nio mogłem dojść, kto byt Zdziś). Kucharka moja przypadkiem spot* kała się w jatce z jej kucharką i opowiedziała hi- storyę. Od tygodnia przychodzi tam regularnie o trzeciej na obiad, a jadal dawniej o pierwszej, lecz teraz wszyscy na niego czekają. Co dzień befszyk z polędwicy, ciasteczka domowe, nowalijki; daję wam słowo, kompletna rewolucya w domu-, Co sobota pieką się umyślnie bułeczki maślane do kawy, które służąca zanosi do jego mieszkania...

—Moja droga—przerywa jej na to z szyderym uśmiechem gospodyni — są to stare, wypróbowane recepty łowienia przyjaźni ludzkiej: papką, s/kapką, czapką...

—To nie jest do śmiechu, moja kochana, to są rzeczy straszne, żebyś wiedziała co jeszcze dalij...

—No co ? — zapytało kilka ust, zbliżając się z wytężonym słuchem do mówiącej.

—Przesiaduje tam całe wieczory do jedenastej w nocy, czasami i dłużej.

—Ciekawa jestem, czem ona go bawi — wtrąca konsyliarzowa, która zwykle o dziewiątej godzinie nie może sobie rady dać z ziewaniem,

—Grają taroka wo czworo: mąż, ona i Pelcia...

—■ Ależ to dziecko jeszcze...

—Co to szkodzi żo się poświęca czas panienki, przeznaczony na naukę...

—Myślicie, że to koniec — dorzuca z tryumfem pani Cecylia. Prócz tego zachciało się Adeli używać przechadzki w ogrodzie miejskim. Dla zdrowia

Albinka, codziennie fatyguje się przed południem z Łyczakowa do ogrodu i włości za sobą dziecko po górnych alejach...

— Sama?

— Mnie się zdaje—odpowiada narratorka—żo nie sama... Już ja znam się dobrze na tych ogrodowych spacerach... Widziałam dosyć troskliwości tego rodzaju o zdrowie dzieci... Dlaczego to ani ja, ani żadna z pań nie chodzi do ogrodu w tych godzinach?... Straszne rzeczy do czego to dojdzie...

Nastąpiło pełne znaczenia milczenie, a po chwili dało się słyszeć parę półgębkiem objawionych zdań, że szkoda takiego chłopca, że się zmarnuje, że przyszłość jego stracona, z czego w bardzo naturalny sposób wypłynęły wnioski, że kto ma serce w piersiach, a Boga w sercu, powinien zbłąkaną duszę ratować. Najpierwszy obowiązek spoczywa, ma się rozumieć, na J. uni, kuzynce Stasia.

— Cóż ja poradzę na to? Jest dorosłym mężczyzną, ma swój rozum i wolę...

— Właśnie, że nie ma... Powinnaś, albo sama, albo przez męża powiedzieć mu całą prawdę w cztery oczy..**

— Przepraszam panic—odzywam się i ja—mnie się zdaje, że to wszystko są przesadzone obawy. Staś jest tak trzeźwym pozytywistą, że z podobnej próby wyjdzie zwycięzko...

— Nie znasz pan kobiet tego rodzaju, co Adela.

— Podobno i innych rodzajów nie znam, lecz sądzę...

Xie dano mi dokończyć, i śmiano się z mojej serdecznej naiwności...

- — Ach ci autorowici! — szczebiotała jedna z młodych i wesołych mężatek — oni ślicznie umieją opisywać historię cudzych uczuć, kierując koniecznie, żeby Numa poszła za Pompiliusza, a jak im samym przyjdzie umaczać rękę w zdroju życia, to tak ją wycierają zawzięcie, żeby ani kropla prawdy na niej nie została...

— Otóż pan, jako przyjaciel Stasia, jako człowiek poważny, powinieneś zająć się tą sprawą... Za cobądź trzeba go odciągnąć* jest to obowiązek sumienia... — mówi Cecylia, zwracając się ka mnie.

Jednogłośnie zgodzono się na moją interwencję, rozkazując przemówić do jego rozumu, uczucia, obowiązku i czego chcę, aby tylko zrzekł się obiadów, bułeczek na maśle, taroka familijnego, wreszcie pani Adeli.

Uprawniono mnie do powtórzenia zgromy publicznej, rozpaczki kuzynki, kręcenia głową jego przełożonych, wreszcie obawy skandalu, który musi wybuchnąć i zabić przyszłość jego na wieki.

Przyznaję się czytelnikom, że z misji tój wywiązałem się jak najgorzej.

Stanisław, zarumieniony po uszy, kiedym zaczął wywodzić genezę pierwszych zawiązków społecznych między ludźmi, wybuchnął tak serdecznym śmiechem, że poprostu straciłem cały rezon krasomówczy.

— Powiedz pan tym plotkarkom, że ja opieki

ich nic potrzebuję i będę robił, co mi się podoba. Z próżniactwa, zamiast pilnować domu, dzieci i garnków, wsadzają nosy gdzie nie potrzeba, a każda z nich nie warta rzemyka rozwiązać u trzewika pani Adeli Hądź pan spokojny, dziękuję mu za dobre chęci, ale jakoś ja sobie dam radę f

Łatwo to jest butnemu młodzieńcowi, w kawa- lerskićm swojóm mieszkaniu rzec do przyjaciela: „idź powiedz tym babom, niech nie wtykają nosa etc”...; za płotem my wszyscy jesteśmy odważni. Więc ja też jako kawałek dyplomaty zdałem sprawę w bardzo zręczny sposób. Mówiłem to i owo, że się sumitował, tłómaczył, a w końcu, żeby przeciąć dalszy wątek interesowania się jego osobą, pozwoliłem sobie wykoncypować nowinę: że Staś się żeni.

Interesujące się jego losami damy, jakby kto naraz zimną wodą oblał.

—Z kim, gdzie, kiedy? — obrzucono mnie naraz pytaniami.

—Więcej nic nie wiem, tylko że się żeni.

—Mój drogi panie, z kim?—zawoła pani Cecylia z tak czułym i błagająco-miłym wejrzeniem, pozwoliwszy sobie pogłaskać mnie tłuścą rączką po ramieniu, że gdybym rzeczywiście coś wiedział, nie szczędziłbym całego zapasu wiadomości. Ale żem nie wiedział, więc posądzono mnie o skrytość, niezyczliwość, finezyę i odwrócono się odemnie, jak od człowieka, który nióma żadnej wartości u kobiet.

Kłamstwem tem napytałem sobie mnóstwo przykrości. Ciekawość pań rosła jak na drożdżach. Dla

dojścia prawdy, napastowano kilka razy dziennie Stanisława, zniżono się do tego stopnia, ta kilka odważniej szych złożyło wizytę pani Adeli, aby się czegoś pewnego dowiedzieć, a czern więcój zapewniano, że to plotka, tfem niespokojność całego obozu opiekunek ładnego chłopca wzrastała. Aby uniknąć indagacyi, usunąłem się na jakiś czas z tego towarzystwa i w końcu zapomniałem o Stasiu i jego losach.

Aż tu pewnego razu, spotykam na ulicy mojego przyjaciela. Pamiętając odprawę, staram się zejść mu z oczu, lecz on dopędza mnie i sam bierze pod ramię.

•— Co, gniewasz się?

—Nie, tylko nie życzę sobie drugi raz narazić się na szorstką odprawę...

—No, no* co było to nie jest... A teraz powtórn ci nowinę, że się żenię...

—Za ilo?--pytam porywczo.

Zaczerwienił się po same białka oczu i zażenowany tłómaczy mi, że to by ły frazesy, bo któżby tam gonił za posagiem.

—Zapewne coś tam dodadzą, lecz daję ci słowo honoru, nio pytałem. Za to moja Marylka, istne pie- ścidełko... Maleńka, figlarna, bruneteczka, a oczy, jak Pana Boga kocham, takich oczu w życiu nie widziałem... Uważasz, coś takiego, co porywa, w serce się wpija.

Spojrzałem na niego."— Ten człowiek jest zakochany do szału, więc już nie przerywam potokowi

uczuc i dowiaduję się, że owo picścidełko, jest wysokiego powiatowego rodu, córka wdowy po obywatelu ziemskim, że poznał ją przypadkiem miesiąc temu, wozwany do narady prawnoj, i to z rekomen- dacyi pani Cecylii, że śpiewa, gra jak Liszt, dobra, skromna, potulna i zakochana w nim po same uszy.

— A cóż się stało z panią Adelą ?

— Zerwałem... Proszę cię, to nie dla mnie znajomość. Pod pozorem swatania mnie z jakąś kuzynką z Podola, mizdrzyła się...

Otóż, pomyślałem sobie, masz smaczne obiadki, połędwice, ciasteczka ze śliwkami—oto wdzięczność ludzka i przyjaźń ładnych chłopców... Wiercie mi szanowne panie, że cały ten ród męski, funta kłaków nie wart wobec waszej tkliwości serca i troskliwości.

Dalibóg, nie warto być dla takich dobrą i życzliwą.

Wiadomość o żenieniu się Stanisława, którą cudownie przepowiedziałem, nie dała mi na chwilę spokoju. Pierwszy raz w życiu, uczułem prawdziwe świerzbienie języka. Biegnę tedy do pani Luni, kuzynki Stasia, i zwiastuję nowinę.

— Stare dzieje, już mi to Cecylia, ze wszystkimi detalami opowiedziała. Ale oto i ona, więc dowiesz się pan wszystkich szczegółów.

Zostaliśmy sami, bo pani Lunia musiała wyjść do kuchni, a moja pani Cecylia z nieukrywaną radością wprost do mnie:

— A co, nie zemściłam się?

—Za co, i na kim?

—Na Adeli, za nas wszystkich. Powiadam ci (pani Cecylia jak się zapali, to do każdego mówi ty) jest brzydka, stara, zła i bez grosza posagu... Wszystko wiem, całe szczegóły jćj życia od samego urodzenia. Ojciec stracił majątek i umarł, matka z dwiema córkami wyniosła się do miasta i żyła z łaski rodziny. Marylka ma łąt dwadzieścia ośm, jedna łopatka krzywa, bieli się, różuje, zła i kapryśna jak diabeł, matka nie może z nią wytrzymać — recytuje bez tchu, wymachując rękami—nieporządna...

—A on taki zachwycony i zakochany...

Uśmiechnęła się i lekceważąco wzruszyła ramionami.

—Mój drogi, czy to tak trudno rozkochać mężczyznę... Otwarcie ci powiem, jesteście barany... Trochę pochlebić miłości własnej, mrugnąć oczami, przywabić, i każdy z was leży... Mama jćj przebiegła kobieta, w miesiąc pokierowała tak, że go mają... Szaleje kochany Staś; słyszałam, ekwipuje się jak hrabia... dywany, portyery, srebra... Dobrze mu tak; zadłuży się, rozczaruje... potem biada— Nic go nie żałuję, miał do wyboru tyle bardzo ładnych i posażnych panien... nio umiał ocenić — niech ma złe brzydactwo...

Jeszcze czas jakiś, nim ślub nastąpił, interesowano się w riaszćm kółku wszystkicnai drobnostkami życia przyszłych małżonków z gorliwością, go- dniejszą lepszćj sprawy. Gdy Staś przypadkiem pokazał się na ulicy pod rękę z Marylką, zastępowano

im drogę, oglądano każdy .szczegół ubrania, krytykowano, spoglądano impertynencko w oczy.

Pani Cccylia weisnęła się nawet do mieszkania Stanisława, obejrzała wszystko, nawet fotografię Marylki, stojącą na biurku, i zdała z nią młacyę znajomym.

Całe towarzystwo nasze ogarnął szal ciekawości ; wiedziano o każdym kroku ładnego chłopca, o każdym sprawunku, a jednocześnie o każdym gał- ganku, który matka panny młodej na wyprawę zakupiła... I dziwna rzecz, nastąpiły przeprosiny z panią Adelą. I ta śledziła podobno najgorliwiej, wróżąc jak najgorsze pożycie na przyszłość.

— On jest despota i kapryśnik, ona toż sarno. Gdzież takie charaktery mogą żyć wygodnie! A przy- tём jest niedelikatny i bez wychowania. Wystaw sobie pan, mój mąż jest formalnie oburzony. Bywając w naszym domu tak długo, przyjmowany z taką serdecznością, wobec grzeczności, jakieśmy mu wyświadczeni, bo co tara się chwalić, ale stołowałam go za dziesięć reńskich na miesiąc, naraz przestał przychodzić i nie powiedział, że się żeni... Przy- znasz pan, że to jest brzydko.... prawda?

— Naturalnie.

— Nawet służącej, która mu się wysługiwała, nosiła bułeczki, nie dał ani centa...

— Aaa, bardzo brzydko.... — potakuję.

— I był tyle zuchwałym, że przysłał tuzin chustek do nosa, żebyśmy dała mojej szwaczce do znaczenia...

— Zbrodniarz!...

— Pan żartuje, ale ja i mąż byliśmy oburzeni, odesłałam napo wrót i kazałam powiedzieć, że nie utrzymuję szwalni...

Nadszedł dzień ślubu, i jakkolwiek Stanisław miał zamiar urządzić niespodziankę swoim przyjaciółkom, rozgłaszając, że odbędzie się o szóstej wieczorem— zajechawszy do kościoła w południe o dwunastej, zastał go przepelnionym. — Byłem i ja, i żal mi się zrobiło tych nowożeńców, którzy jak zbrodniarz, skazany na różgi, przejść musieli dhigi szpaler ciekawych, mierzących od stóp do głów zażenowaną parę. Cała falanga znanych opiekunek Stasia ulokowała się przed samym ołtarzem i z całą otwartością wypowiadała głośno opinię o stroju panny młodój, która, idąc do ślubu, nie mogła dosięgnąć ręki prowadzącego ją pana, ale trzymała się jego kieszeni.

Otóż i skończona komedia ciekawości i opieki nad ładnym chłopcem. Jeszcze ze dwa tygodnie rozmawiano o nim, litowano się, krytykowano zachowanie się młodego małżeństwa; potem wspomniano coraz rzadziej, zwyczajnie jako o zmarłym, albowiem młody mężczyzna, ożeniwszy się, traci już cały walor i uważa się dla pewnych aspiracyj za pogrzebanego.

Straciło tedy nasze kółko towarzyskie ładnego chłopca, który, wszedłszy w nową rodzinę, został tam zupełnie przyswojony z nakazem, aby, dla utrzy-

A. "WUwyAsW, — Szkice I o bruki. 12

mania spokoju rodzinnego, nie ważył się pokazywać na placu poprzednich tryumfów.

Coś przez trzy lata potem, spotykaliśmy się tylko na ulicy, kłanialiśmy się wzajemnie i podobno wzajemnie unikali. Spostrzegłem tylko, że nalana twarz jego przybierała coraz więcej kształt pełni księżycowej, korpus się rozrastał, dając mu kwalifikację na zajęcie krzesła w jakiej radzie miejskiej, lub sędziowskiego fotelu gdzieś w powiecie. Nie dość na tem, ale pod względem powierzchowności samej, coraz to bardziej się zaniedbywał. Dawnińj, zawsze wykwintnie ubrany, wyświecony i pachnący, dziś chodził w przybrudzonym kołnierzyku, paltocie wymiętym, nieco zapierzonym, nieogolony, co wszystko razem wzięte, nie mogło pochlebnie świadczyć o domowym porządku młodej gospodyni.

Już widzę, jak szanowne czytelniczki gotowe oburzyć się na mnie, Ze czynię je odpowiedzialnymi nawet za nieporządek w ubraniu ich mężów, jednak jestto fakt, który niejednokrotnie już sprawdziłem i przy nim obstać, że z czysto utrzymywanego mieszkania porządna żona, nie puści męża na ulicę w stroju zaniedbanym i z pierzem na surducie.

Trzeba zdarzenia, iż nie wiedząc wcale o tera, nająłem mieszkanie w tym samym domu, na tem sa- móm piętrze i tuż obok państwa Stanisławów. Okoliczność ta uratowała od wiecznego zapomnienia szacowną postać ładnego chłopca, dała mi bowiem sposobność do zapoznania czytelników z dalszą jego historią. Nie jest ona zbyt interesującą, to prawda,

lecz może służyć do wiadomości, dla wielu z pań naszych, dla których udatna powierzchowność mężczyzny jedyną jest kwalifikacją do ich względów i serca.

Zaraz przy znoszeniu moich gratów, spotkaliśmy się na schodach.

— • A co ty tu robisz? — pyta mnie zatrzymując.

— Sprowadzam się do mieszkania.

— To ty nająłeś lokal obok nas:...

— Jak widzisz, że ja.

— Ach! jakże się cieszę, wierz rui, prawdziwie się cieszę — mówi, ściskając mi rękę i zastępując drogę tragarzom, windującym z trudnością fortepian.

— - Dobrze mój Stasiu, że się cieszysz, ale ustąpmy się trochę—odpowiadam, zajęty losami fortepianu, który w rękach niezgrabnych posługaczy zanadto głośno rysuje kantem ściany klatki schodowej.

Odsunęliśmy się na bok, lecz on ręki mojej nie puszcza, i cieszy się dalej.

— A grasz ty w wista z licytacją?

— Xie, odpowiadam, bo nie mam czasu; a on:

— Pewnie grasz, więc będziemy sobie cięli co wieczór partyjkę. Żonę wyuczyłem, mama jest pa- syonowana, a tak z dziadkiem, pojmujesz, nićina przyjemności... Nio obawiaj się — prawi dalej, widząc niepokój na mój twarzy- gramy bardzo tanio, a jak chcesz, to i bez pieniędzy... Jakże ja się cieszę... prawdziwie...

Nareszcie wyrwałem rękę z jego uścisków i podążyłem za tragarzami. Tu szukają krzesel, ażeby je podstawić dla przykręcenia nóg, tu fortepian

trzeszczy, mnie aż niedobrze się robi, a on krok w krok za mną i rozpowiada, z jakimś oni to zajęciem grywają do północy w wista.

— Więc do widzenia mój drogi, przepraszam cię, jesteś zajęty... za godzinkę przyjdę tu jeszcze, to się nagadamy... Jakże się cieszę—powtarza znów miętosząc moją rękę w tłustych i spoconych dłoniach.

Poszedł przecie, a ja odetchnąłem, gdy za minutę wraca:

— Wystaw sobie—woła od progu—jaki ze mnio gapi A tuż zapomniałem ci powiedzieć o najważniejszej nowinie... Co, nie zgadujesz ?

— Mój drogi, widzisz jak jestem zajęty, powiiesz mi później;

— Urodził mi się syn, ale jaki! chłopak jak ciołek. Daję ci słowo, nie przesadzam, ot taki. Żona rady dać nie mogła, musiałem wziąć mamkę, ale to wszystko dla niego mało... Wczoraj go ochrzciłem po staropolskuna karabelach, dajęcisłowo... A wiesz, jakie ma imię?

Naturalnie, że zajęty ustawianiem fortepianu, tylko chwytam dźwięki jego mowy, ale to go nie zraża:

— Batory...

— Batory—powtarzam zdziwiony — nie słyszałem o takim imieniu.

— No, no właściwie nazywa się Stefan, ale żona powiedziała, że będziemy na niego wołać Batory, albo Baci, bo to więcej po rycersku... Jestem przekonany, że nic zawiedzie swego patrona, z oczu mu to patrzy, że będzie tęgi rębacz.

Łoszedł przecie, i na moje szczacie przed godziną nie wrócił. A ja też zamknąwszy drzwi na klucz, siedziałem cicho, udając, że mnie w domu niAma. Fostukał kilka razy, potim powiedziawszy sobie głośno: „musiał pójść na kolację”, zawrócił do swego mieszkania.

"Wizyty na teraz unikałem, to prawda, ale jego Batory, diablo mi się dał we znaki przez całą noc. Byłem znużony przeprowadzką i tyle niebaczny, że sąsiadujący, i drzwiami tylko oddzielony pokój od jego mieszkania obrałem za sypialnię. Co tylko się zdrzemnę, aż tu młody "Batory: o a, o al takim podnosi głosem, że ani sposób usnąć. Za tćm nieszczę- snćm o al idzie skrzek rozdzierający piersi, budzenie mamki, kołysanie na biegunach, które odbija się echem w mojsm sercu, potem huśtanie, z różnemi chi, chi, sia, sia... wreszcie przywoływanie Stasia, aby Szedł na ratunek. Co nastąpi chwilowa pauza, możó kilka minut, Batory znowu zaczyna o al i powtarza się ta sama scena do samego świtu.

Jakie ja błogosławieństwa przez tę noc posyłałem w myśli przyszłemu "Batoremu, jego ojcu, matce, marace, mieszkaniu mojemu i samemu sobie, ten tylko zrozumie, kto kiedybądź znajdował się w podobnej pozycji. Co do mnie, wstawszy rano, czułem się rozdrażnionym do ostatecznych granic i byłem zdecydowany dziś zaraz wynieść się bodaj do hotelu.

Można sobie tedy wyobrazić, z jaką dobrą miną przyjąłem rano wchodzącego Stanisława.

— Zmiłuj się, alei ten twój Batory darł się całą noc, jak najęty...

— Prawda jaki głoś, hę ? — odpowiada ucieszony — hultaj, jeżeli nie wyjdzie na jakiego generała, to przynajmniej królować będzie na scenie...

— Wszystko to dobrze—ale ja tymczasem przez całą noc oka nie zmrużyłem...

— Taoki A to dziwna rzecz, bo ja ci śpię, choćby kto z armat walił, i nie zważam na nic. Nawet powiem ci, że hałas mi służy... Niech tylko będzie cisza w pokoju, zaraz się budzę. Dlatego zrób toż samo i nie zważaj na krzyki, a śpij... Zresztą, niech się przyzwyczai ssać systematycznie, to się uspokoi. Dziś dlatego krzyczy, że ja nie pozwalam części ój jak co trzy godziny... Matka żony wojnę toczy ze mną

O to, ale ja czytałem najnowsze dzieła medyczne,

I wyrobiłem sobie moją metodę. Zobaczysz starszą Maniusię, jaka to dziewczka panie, dlatego, że chowana racjonalnic... Dwa razy dziennie nacierania zimną wodą, mleko i nic więcej. Mój drogi, społeczeństwo naszo nikczemnieje, trzeba je z gruntu restaurować, a świat stoi na sile fizycznój.

Zaczęła mnie niecierpliwic ta wyższa gadanina Stasia, ale szczęście, że przyniesiono od niego kawę.

— Wiész, wypijemy tu, gdzie tam będziesz chodził, kawa doskonała, ja ci ręczę, bo sam ją gotuję i śmietankę mam z pierwszej ręki.

Byłem głodny, więc jakoś ugłaskał mnie kawą tak, że zacząłem się bawić, słuchając opowiadań o jego energii w zarządzie domowym.

~ Nie wiem, czy tak samo myślisz o kobietach, ale ja przekonałem się, że one nic porządnie nie robią. Dlatego też ja myślę o wszystkim; ja idę ze służącą na targ, ja dysponuję kucharką, ja trzymam porządek domowy...

— A żona co ?

— Żona tak... ot, gra, śpiewa, czyta, rysuje. Ona jeszcze lckeye bierze na fortepiano... bo szkoda talentu... Zdolność kolosalna do wszystkiego... Jak będziesz u nas i zobaczysz jej rysunki kredą, to zdumiejesz... Kiep Grotger... Nie kiwaj głową, bo to jut znawcy orzekli... Książki, mówię ci, połyka; nastar- czyć nie mogę zmieniać w czytelnicy... Przekonasz się, jaka tam potężna inteligencja. Zna się na polityce, filozofii, prawie... Często w zawilszych sprawach ja sam się jej radzę i mówię ci, kwestyę przecina nożem, tak!

— A dziećmi kto się zajmuje ?

— Naturalnie, ja. Gdzież ona do dzieci, nawet wziąć nie uraió i ja drzę, aby nie upuściła Batorego. Matka, to tam jeszcze się wtrąca; te stare kobiety wszystko chcą po staremu; na przykład dziecko do kołyski, żeby sobie mózg rozklekotało i zeszło na bałwana... Wystaw sobie, koniecznie chciała krępować mi Batorego powijakami... paradna rzecz; Batory w więzach!... Szczęściem, że moja żona, z przekonania wolnomyślna, stanęła po mojej stronie i nie pozwoliła... Już to co do mojej Marylki, to powiem ci wyższy oryginalny umysł, co innego niż pospolite kobiety...

Niezmiernie byłem ciekawy poznać ten wyższy, oryginalny umysł pani Stanisławowej, i dlatego w parę dni wybieram się wieczorem na owego wista familijnego.

Sąsiedzi moi zajmują dość obszerne mieszkanie, coś pięć pokoi, lecz żeby się dostać do nich, trzeba w przedpokoju przypomnieć sobie cały kurs gimnastyki i mieć jeszcze drugą parę oczu na skroniach. Jest on tak zapakowany potwornej wielkości szafami, skrzyniami, kuframi czatującymi na całość osoby przechodnia, że ja pomimo lampki Stasia, którą mi naprzód przyświecał, musiałem nogami i całym korpusem wyrabiać różne esy i floresy, aby się dostać do drzwi pierwszego pokoju. Ten przeszliśmy już swobodniej, więc nie miałem czasu w nim się rozpatrywać i dopiero wszedłszy do salonu, pan Stanisław zaczął się tłumaczyć, że po takiej katastrofie rodzinnej, jak przybytek Batorego (notabene cztery tygodnie temu), niepodobna zaraz przyjść do porządku.

•— U mnie jest tak, że nikomu bez mego pozwolenia nie wolno nic ruszyć. — Wszystko ja sam, bo nikt mi nie dogodzi, a tymczasem rozrywają mnie na wszystkie strony. Przepraszam, że cię zostawię samego na chwilę — mówi, stawiając kuchenną lampę na stole — ale muszę zawiadomić Marylkę, jakiego mamy gościa.

Jak poszedł zawiadamiać, tak i zginął. Siedzę ja tedy, przypatruję się syczącej lampce przedemną, a z sąsiedniego pokoju dolatuje mnie małżeńska rozmowa. On szepcze cicho, powtarza

jąc często: pst, pst, a ona odpowiada głośno, nio zważając na ostrzeżenia:

— K.to taki, kto?

— Pst... — i ęoś ciszćj, zapewno moje nazwisk o.

Wielka rzecz, niech poczeka; przecie! w talara negliżu do niego nie wyjdę... Zawołaj Magdusi.

— Posyłam ją do miasta po szynkę.

— Idź sam, ona mi potrzebna...

— Dobrze, a ile wziąć ?

— Ile chcesz.

— Myślę funt...

—Na co? Dość pół funta... zresztą weź pół mię- szaniny, ułóżysz pod spód... tylko powiódz, żeby krajali cienko...

Potém znów jakiś szept jogo, na który odpowiedź pani:

— Nie nudź mnio... to twoja rzecz; podaj, co ci się podobał

Staś wyszedł po ową szynkę, pani zaczęła się ubierać, bo dolatuje innie szelest krochmalonej bielizny i ciągle nawoływanie Mag dusi, że tego lub jeszcze tego potrzeba. W pokoju chłodno, lampa trzeszczy, więc i cierpliwość moja zaczyna się wyczerpywać. Wstaję tedy, chrząkara i rozpatruję się dokoła. Pokój duży, ale w takim stanie porządku, jakby się kto dzisiaj do niego sprowadził. Obok paradnych mebli, szafirowym aksamitem pokrytych, w kącie stoi łóżko pana, zdaje się od czasu opuszczenia go rano przez właściciela, nietknięte. Dalej biu-

ro dębowe, umieszczone tymczasowo na ukos do okna <oło fortepianu umywalnia otwarta, niedaleko pieca dziecinno Żelazne łóżeczko, w jodnćm oknie brakuje firanki; kosz z kwiatami krzywy, a samo rośliny, snać dawno nie podlewane, opuściły liście na- kształt brzozy płaczącej.

Ciekawość mnie bierze pooglądać arcydzieła rysunkowo pani rozwieszone dokoła salonu; przyświecając sobie lampką do góry, obchodzę ściany. Nie są złe, ale wszystko to kopie nieprzechodzące wartością zwykłych studyów, praktykowanych po pon- syonatach. I przy tśj czynności właśnie otwierają się drzwi, a mała, o szczupłej i bladej twarzy kobiecina, z czarnymi żarzącymi oczyma, krótko przystrzy- żonemi włosami jak u nihćlistki, staje przedemną.

Widocznie jest śmiałą i pewną siebie, podaje mi bowiem rękę z całą swobodą, wstrząsa nią mocno i zaprasza do siedzenia:

—A cóż to za lampę dali panu... Kscniu! woła, zwracając ku drzwiom — podaj nam lampę z mojego pokoju...

Lecz Ksenia się nie odzywa, więc idzie sama i prowadzi ją z lampą...

— Moja mamka ma ten dar, żo pozostawiona na sekundę w spokoju — zasypia... Otóż teraz możemy się przynajmniej widzieć, a ja muszę zapytać pana, dla czego nie uprzedziłeś męża o swójój wizycie.

— Jako tak bliski sąsiad i dawny przyjaciel męża pozwoliłem sobie bez ceremonii...

—Nie o to mi idzie—przerywa—bo sama jestem

nioprzyjaciółką wszelkich form, tylko u nas przy systemacie gospodarskim męża, jest to koniecznem. Ja zupełnie domem się nie zajmuję, Sta,» aie pozwala, o co się tóż nie dopominam, a on ma swój syste- mat, że każda czynność musi iść po porządku. Byłby tu posprzątał, wcześniej kupił szynkę, a tak musiał iść teraz... Przyznaj pan. że wy mężczyzn! nie macie w sobie nic gospodarskiego rozgarnięcia... Co ja się uśmieję nad jego zakłopotaniem, jak on zwija się niby mucha w ukropie, a nic mu nie idzie...

— I to panią nie drażni?

— Wcale nie. Kiedy chce, niech się bawi...

Urwała się rozmowa na chwilę, ja odważyłem się spojrzeć na nią; (izyognomia bardzo interesująca, jak się zdaje inteligentna, co odrazu wyczytać można z błysku i ruchliwości wcale pięknych, bogatą czarną rzęsą ozdobionych oczu.

— Zgaduję, co pan myśli w tój chwili — zaczepia mnie z uśmiechem.

— Wątpię.

— Pan myślisz, że ja jestem kobieta...

Zdumiałem i spojrzałem na nią nieco przestraszony, czy ona czasem nie ma zajączka.

— Zdajo mi się, że to nie może ulegać wątpliwości.

— Naturalnie, sądząc z powierzchowności, alo tu — dodaje, pokazując ręką na głowę i piersi — ja jestem mężczyzną. Natura tylko omyliła się...

— Tak, nie zaprzeczam... i dla tego sędzę, po-

zmienialiście państwo swoje role. Fani jesteś zwolenniczką emancypacji...

— Broń Boże — przerywa — a to mi na co? K emancypacja, znaczy równość, to jest, żeby kobieta zaprzęła się do wspólnej pracy z mężczyzną, a ja przyznam się panu wolę powozić, niż ciągnąć.

— Jest racja, jeżeli tylko się da...

— Zawsze się da. Od czegoż rozum i spryt? Pan zapatrujesz się jeszcze na świat po staremu, a dziś inaczej życie idzie... kto mocniejszy pięścią czy rozumem, ten lepszy... Dla czegoż mój Staś sam się zaprzęgał i wzorowo ciągnie? — Bo nie czuł się na siłach do powożenia. I mogłeś pan zauważyć, że z tem mu bardzo dobrze; szczęśliwy jest, że kąpie i powija swojego Batorego w przekonaniu, że nic mędrszego i ważniejszego do roboty niema na świecie...

— Pozwoli pani — odzywam się na to — że kiedy już mówimy otwarcie...

— Ja zawsze mówię co myślę.

• - Więc dla czego pani wyszła za mąż?

— Właśnie toż samo pytanie zadaję sobie sto razy na dzień.

— Chyba żeby mieć kim powozić?!

— Ech... — rzecze, machając rączką z pewnym grymasem na twarzy — niewielka to satysfakcja. Wolałabym trochę więcej oporu i fanaberyi. Jestem nerwowa i potrzebuję wrażeń. Nieraz czuję w sobie jakąś nieprzepartą chęć walki, przynajmniej na słowa. Chciałabym się z kimś wyklócić, posprze-

czać, zirytować; zaczepiam wtedy, gderzę, narzekam, dokuczam — cóż, kiedy on ustępuje... Otóż idąc za Stasia, omyliłam się pod tym względem. Ładny chłopiec, zdobywca tyła serc, bożyszczko kobiet, zdawało mi się będzie dospota, nieugięty, kapryśnik... Pochlebiało moją ambicję zdobyć go dla siebie, a teraz przekonałam się, że on taki sam jak inni.

— Więc pani go kocha? — pytam już nieco oburzony.

— Albo ja wiem, czy jago Kocham!... jest za bardzo dobry i potulny, żebym go miała nie cenić lubię go... ale mi czasem nudzi i w ogóle w tym otoczeniu jestem znudzona, zła... kapryśna...

— Dlaczegoż państwo tak się zamknęli i odosobnili?

— A po cóż ja mam szukać towarzystwa, szczególnie kobiecego, żeby zobaczyć galerię gadających sukien, zająć smaczne kolacje, a w końcu nabrać takiej tuszy, jak wszystko dawne przyjaciółki Stasia? Byłam raz czy dwa u kuzynów męża i myślałam, że nie wytrzymam. Jedno i jedno w kółko o strojach, o kucharkach, chorobach dzieci, o strudlu i panach Kazimierzach, Władysławach lub tym podobnych bohaterach, grających w taroka w drugim pokoju... Ziewałam też zawiście i wiem, że zrobiłam bardzo złe wrażenie... Mam kilku panów znajomych Stasia, którzy tu przychodzą na wista, siadam wtedy i gram, żeby nie mówić i nie myśleć...

Nareszcie pokazał się i sam gospodarz, prosząc

aa herbatę do jadalnego pokoju. Pani podała mi rękę, wcale nie patrząc na niego i nieustannie kaprysiła przy jedzeniu, kaprysiły dowcipnie, chociaż złośliwie i śmiało... Na jego twarzy zato malowała się rozkosz; dobry humor żony wprawiał go w zachwyt, patrzył więc w jej oczy, jak w tęczę...

—Mój Stasiu — zawoła nagle, przybiegając do niego — zrób mi jedną łaskę.

—Co chcesz, wszystko moja pieszczotko...

—Przypasz ten fartuszek... — mówi, podając mu zwykły fartuch w paski, jakiego używają gospodynie przy zajęciach domowych.

—Alo cóż znowu... Marylko...

—Jeżeli mnie kochasz, Stasiu, pamiętaj... no Stasiu — dodaje, głaszcząc go obu rączkami po twarzy. — Co ci to szkodzi... dla swojej Marylki nie możesz odmówić takiej drobnostki...

Opierał się jeszcze, lecz w końcu przypasał sobie fartuszek, jak chciała i kręcił się w nim około herbaty, gdy obie służące, spoglądając z drugiego pokoju, tylko sobie usta zatykały, aby nie parsknąć głośnym śmiechem.

— A co, nie oryginalna, hę? — szepnął mi, gdy żona wyszła do sypialnego pokoju.

—Prawda...

—Jćj się nie można w niczem sprzeciwić, bo zaraz atak sercowy... Biedna nie ma zdrowia, raz jak dostała bólu, myślałem że koniec.

Tymczasem pani wróciła, prowadząc za rączkę, małe dwuletnie dzieciątko w ubiorze arlekina. Miało

na sobie buńczasty spuncerek z inatcryi w szerokie paski czerwone z łólttm i także spodenki, odstające mocno z przodu i z tyłu...

— Nasza Mamusia — mówi, przyprowadzając dziecinę. — l'owiedz panu pał

Zalęknione dziewczątko w ubraniu oudackiém dygnęło, zrobiwszy pa rączką.

— Myślałem, że to chłopiec — odzywam się do matki — w takióm ubraniu...

— Umyślnie takie jej wyfcomponowałam, bo zwykłe sukienki dziewczynek są za lekkie pod wiosnę i tak dobrze nie przystają, a to kostium grubo wutowany...

— Sama własną ręką uszyła — szepcze mi z dru- giój strony Stanisław, pełen uwielbienia dla talentu tony.

— Dlaczegoż taka blada — mówię, przypatrując się jój cerze białej, prawie przejrzystój jak porcelana.

— Ha, to już metoda mojego męża. Manusia dotąd nic zna innego pokarmu prócz mleka.

— Co, mizerna? powiadasz -wtrąca się ożywiony Staś, biorąc dziecinę na rękę- spróbuj, jaka ciężka, a ciało jak rzepa.

— Ależ ona krwi nic nie ma w sobie!

— Zdaje ci się, zdrowa i silna...

— Mama mówi toż samo, aleja się nie wtrącam; jego dziecko, on powiada, że się zna na tem... niech karmi mlekiem.

— To wszystko staro przesady! Ja tę rzecz ba

dałem i badam ściśle i zgadzam się co pisze Barfeld, taka powaga dziecinna, że póki dziecko nie ma wszystkich zębów, to mleko mu wystarcza. W mleku, proszę cię, masz wszystkie pierwiastki do życia i rośnięcia potrzebne; masz to, masz to...

I zaczyna mi wyliczać części składowe mleka, dowodzić, w co się obraca, a wreszcie stawiać przykłady z historii i z teraźniejszości, że tego a tego lekarza dziecko tak samo się karmi i jest zdrowe.

Tymczasem ów cudak Maniasia zaczyna drobne- mi nóżkami biegać po pokoju tu i tam, aż z tego się zadyszała.

— Marii usiu!—woła, przybiegając ojciec — zamknij buzię, tak... oddychaj noskiem.

—A to co znowu, proszę cię, dlaczego?—pytam, widząc że biedne dziecko, śnać wyuczone do tego, sznuruje blade usteczka.

— Może dostać zapalenia płuc. Barfeld tak radzi i ja przestrzegam, aby nagle płuca się nie roz- dyrwały...

Już nie wtrącałem się więcej do tój sprawy, lecz serdecznie żal mi było ofiary metody dyletanta, któremu elukubracje niemieckiego doktora zakręciły głowę...

* * *

Powróciwszy do siebie z tój wizyty, długo jeszcze w nocy myślałem o ekscentryczności mojej sąsiadki. Czy ona udaje, czy rzeczywiście tak myśli, jak mówi, nie mogłem dociec, lecz mimo to nie mogłem zaprze-

czyć, ii przy wielu nindorzecznych fantazyach i spaczonym umyśle, jest to kobieta niezwykajna, która, nachwytawszy z różnych książek mnóstwo różnorodnych teoryj i wiadomości, pozostawiona sama sobie, nio mogła tego wszystkiego strawić. Cała jej wina, że matka nie miała na nią żadnego wpływu, a męża dostała bałwochwalcę, który bezgranicznym zachwytem dla mój dopomógł do zawrócenia głowy i wytworzenia cudaka.

Przez całą zimę, sąsiadując z niemi, miałem sposobność sprawdzić dokładnie moją opinię o pani Stanisławowej, jaką przy pierwszym spotkaniu powziąłem. W kamienicy naszej o niczem innem nie rozmawiano, jak o dziwactwach parni z pierwszego piętra, a echa tych rozmów przynosił mi co rano miejscowy stróż, jako nowinyienne. Często pani zachciewało się iść na przechadzkę o dwunastej w nocy i ciągnęła za sobą Stasia po różnych zaułkach miasta. Do teatru chodziła tylko na sztuki drastycznego lub wysoce dramatycznego nastroju, po których przychodziła rozdrażniona i następny dzień przeleżała w łóżku. Raz przyjęła mnie przebrana w suknie męża, z papierosem w ustach. Suknie i okrycia robiła sama podług swoich pomysłów, w których, jak pokazała się na ulicy, wy tykano ją palcami.

Stasia nio żałowałem, bo jemu było z tem dobrze; dziwactwa żony nie widział, owszem zachwycał się nad każdą jej ekscentrycznością. Nie mogę zapewnić o tém, ale zdaje mi się, że pomagał jój w fcra- 4, Tptazytali. — ałiliito 1 Obratkt. 13

wieckiej pracy, szyjąc na maszynie... Spostrzegłem tylko, że coraz bardziej zniechęcała się do niego i tyranizowała, przeplatając czasem dokuczliwość swoje wybuchami szalonego uczucia. Wtedy rzucała mu się na szyję, całowała i pieściła tak, że zdawało się, iż biedny Staś w tych uściskach ducha wyzionie.

Na wiosnę następnego roku zaczęła chorować. Była to słabość nieokreślonego charakteru, którą lekarze w ogóle nazywają nerwową. Wobec interesowanych kiwają poważnie głowami, zwołują konsylia, zapisują drogie lekarstwa, a gdy to nie pomogą, przybierają doktora specjalistę chorób kobiecych — żeby on jakiś błąd w organizmie wynalazł. Jeżeli wypadek podobnej przypadłości zdarzy się w domu bogaty/n, kuracya ciągnie się czasami lata; jeżeli znowu honorarium nieobfity, a grymasów i wymagań u klientki bez liku, wtedy jednogłośnie ordynują wyjazd za granicę, najczęściej do wód żelaznych, a potem do morza.

Ta sama historia powtórzyła się i ze Stanisława małżonką... Morze i morze, nic więcej...

Sytuacja materialna przyjaciela mego wobec ekscentrycznych wymagań żony nie była świetną, więc pożyczaj, poręczycieli szukaj, zastawiaj, aby tylko kochanćj Marylce powrócić zdrowie. Śmiałem się w duchu z tój żarliwości Stanisława, z jaką czynił przygotowania do podróży, pamiętając o najmniejszych potrzebach jćj toalety, lecz z drugićj strony tal mi go było serdecznie, że z całą abnegacyą nie-

wolnika oddał się kobiecie, która tego cenić nie umiała.

Pojechali... Matka jój wzięta dzieci pod swoją opiekę, dla których Staś wypisał parę arkuszy regulaminu, co i kiedy jeść mają, w co się ubrać, czóm bawić, i wreszcie czém leczyć na wypadek choroby. Matka przyrzekła solennie, że się zastosuje do tój instrukcyi, na mnie włożył obowiązek nadzoru, który z taką sumiennością wykonywałem, że tego samego dnia po naradzie z matką pozwoliliśmy dziewczynie jeść, co jej się rzy wnie spodoba, a Batoremu ssać, choćby dziesięć razy na godzinę i to rzeczywiście wyszło im na zdrowie, »

Przy wyjeździe pani Marylka miała słodko-melancholijną minę, na dzieci ledwie spojrzała, a mnie, podając rączkę, westchnęła.

— Mam jakieś przecucie, że więcej się nie zobaczymy...—odezwała się wsiadając do wagonu.

Wziąłem to za frazes, aż tu patrzę mojemu Stasiowi łzy z oczu kap, kap, kap...

— Jeżeli — mówi urywanemi słowy, obejmując mnie za szyję—ona... tego... pamiętaj o moich dzieciach, ja nie przeżyję...

Niepotrzebnie biedaczysko Staś tak naprzód się martwił, bo w końcu września wrócili cbojc zdrowi jak nigdy. Marylka dostała rumieńców i porzuciwszy swego pomysłu mody, zaopatrzyła się zagranicą w europejskiego fasonu stroje, w których było jej wcale do twarzy. Kiedym ją zobaczył pierwszy raz w słomkowym kapeluszu o dużym rondzie i jasno-

niebieskiej satynowej sukni, Joźacją bardzo zgrabnie, wydała mi się nawet piękną.

I pod względem usposobienia zmieniła stę zupełnie. Zapraęnęła na gwałt bywać w świecie, przyj, mować u siebie, urządzać muzykalne wieczory, a przede wszy stkiem stroić się, podobać i błyszczeć.

Oporządzono dom, poskładano wizyty, Stanisław się cieszył, a po nocach pracował jak wół roboczy, aby tylko pieszczotce jego na niczém nie zbywało.

Pamiętam dobrze, było to w końcu stycznia i pani Marylka wybierała się na jeden z balów publicznych. Dotąd wyborny humor jój nieco się przyćmił; nie miała sukni aksamitnej, w której chciała wystąpić Mówiła o tsm oględnie, stawiając ową suknię w rzędzie oddalonych marzeń, na co Staś udawał zupełną obojętność.

— Mój drogi, wielki sekret — szepcze mi uszczęśliwiony, gdy się oddaliła do drugiego pokoju- będzie miała aksamitną suknię na imieniny... Tylko zlituj się, ani słowa... to niespodzianka.

Przyrzekłem, musiałem nawet dać słowo honoru, tak mnie obligował, a naprawdę nie wiele ronie ono kosztowało, bo i suknia pani i sama jój właścicielka były dla mnie kompletnie obojętne.

Na drugi dzień popołudniu, ledwie co ułożyłem się na sofio do poobiedniej drzemki i oczy kleić się zaczęły, gdy gwałtowne uderzenie dzwonka w przedpokoju nagle mnie przebudza. Nie mam zwyczajów pańskich i każdego przyjmuję choćby o północy, lecz gdy idzie o poobiednią drzemkę udaję głuchego

i nie otwieram. Tak było i teraz, aż tu powtarza się jeszcze energiczniejsze dzwonięcie, i tuż zaraz silne kołatanie do drzwi.

— Ha, coś bardzo ważnego— myślę. — Wstaję i otwieram.

Jak Iow, wypuszczony z klatki na arenę, wpada Stanisław blady, zmieniony, rozczochrany, rzuca mi się na piersi, obejmuje szyję rękami, a oparłszy głowę na ramieniu, zaczyna mi płakać w samo ucho.

— Co się stało?...

— Zgubiony jestem!

— Zlituj się, mów, cóż takiego? — mówię przestraszony, zdejmując jego osobę z moich piersi i sadzając na sofie...

Usiadł, oczy dłońmi zasłonił i płacze tym męskim, grubym płaczem, który na mnie daleko przykrzejsze sprawia wrażenie, niż dystyngowany płacz kobiety...

Chodzę po pokoju, dopomagam mu pytaniami, czy Batory zachorował, czy kto umarł, czy pofalshował jakie dokumenty, bo już doprawdy nie wiem, co mu jest...

— Porzuciła mnie!— wybąkuje wreszcie łkającym, głosem.

— Kto?

— Marylka...

— Nie może być! kiedy?

— Dziś przed godziną, jak Boga kocham... porzuciła!...

Staram się go uspokoić, że to żart, że wróci, że

nie wypada rozpaczać... daję szklankę wody i jakoś, widzę, przychodzi do siebie.

— Pdwiedźże mi, z jakiego powodu ?

— Niewinnie, daję ci najświętsze słowo honoru, jak Marylkę kocham, jak zbawienia pragnę... nie pocałowałem... Nachyliłem się tylko...

— Zlituj się, mów porządnie i nio bądź mazgajem !—rzeknę zniecierpliwiony.—
Większo nieszczęścia bywają na świecie.

— Większo?—powtarza, spoglądając na mnie z komicznie wykrzywioną twarzą. Nic mówiłbyś tak, żebyś ją kochał, jak ja,«

— Spodziewam się, że mnie nie posądzasz...

— Ty jesteś poczciwy i prawdziwy mój przyjaciel...

— Ale do miliona diabłów, mów... kogoś całował?

— Jak honor...

— Mów od początku!

— Słyszałeś wczoraj, że robię jój niespodziankę z aksamitnój sukni.

— Słyszałem, i trzymałem to w sekrecie.

— Otóż lepiój gdybyś był powiedział Marylce, nie przyszłoby do tego... Kazałem robić w magazynie, a że trzeba było stanika na miarę, więc uprosiłem pannę Justynę, wiósz tę szwaczkę, która u nas szyjo...

— Uważałem, ładna blondynka z fiołkowemi oczyma.

— A bodaj ona miała oczy jak bioto lwowskie, bodajern nio widział jćj w tyciu...
Yvohrai sobie, nic odniosła stanika, jak kazałwn. Wracam z miasta, w magazynie powiadają
Ze niema... A niechże cię, myślę sobie zirytowany i biegnę do domu. Jak raz siedzi w
jadalnym pokoju i szyje; drzwi od pokoju żony otwarte, więc nachylam się do niej i mówię
ciszej — jak Boga kocham, tylko dlatego — czemu nie zrobiła, o co prosiłem. A
zapomniałem na śmierć, że w pokoju żony lustro naprzeciw drzwi, i że ona, leżąc na
otomance, może widziała to wszystko...

— Iso, no, cóż dalej, bo to ciekawe.

— Powiedziałem, co miałem i idę do Marylki, a ta zrywa się z kanapy, czerwona jak
pons:— Precz z moich oczu i To ty śmiesz całować szwaczki w mój przytomności... Precz,
precz, nie zbliżaj się!

Zdrętwiałem, mówię ci i zaczynam się tłumaczyć, sumitować, objaśniać — że tylko się
nachyliłem, mając interes — nic to nie pomaga, słuchać nie chce, rękami trzepie, ucieka do
sypialni i na klucz się zamyka... Podali obiad—myślałem, że wyjdzie—gdzie- tam, nie
przyszła. Naprózno stukam do drzwi, błagam, proszę... nic — jak do muru.

— Czemużeś nie powiedział, że to szło o aksamitną suknię; z pewnością by się
przeprosiła.

— Otóż nie mogłem, bo widzisz miała być niespodzianka.

— A możeś ty rzeczywiście pocałował? — mówię, śmiejąc się z jego kłopotów, które
niestety bar-

dzo często w podobny sposób mężom się przytrafiają.

- Wiósz — powiada, przybierając minę poważną obrażoną — gdyby mi to kto inny zarzucił coś

podobnego, tobym mu...

- A, mój drogi — kto zażywał sławy takiego bałamuta jak ty, łatwo może być i teraz podejrzy wa- nyn. Jestto Nemezis uczuciowa...

- Jak pragnę zbawienia duszy...

— Ale wierzę, żartowałem... Cóż dołój?

— Pierwszy raz się zdarzyło, żeby tak długo była zawzięta. Trafiały się między nami nieporozumienia, ale zawsze dała się przeprosić, więc też nie wiedząc co robić, z desperacji łap za kapelusz i do jój matki, żeby się jakoś wdała w tę sprawę... Biegnę jak szalony, chcę jój powiedzieć, o co rzecz szła z panną Justyną, lecz jak na złość matki nie zastaję w domu... Poszła na nieszpory, niewiadomo do którego kościoła. Nieznośna baba, z tem nabożeństwem. Co tu robić — więc wracam znów do domu, a tu mi powiadają, że pani przed chwilą z pakunkami wy- echała fiakrem... Myślałem, że padnę trupem... Ma- ylka mnie rzuciła!... Nie mogła gdzieindziej pojechać jak do matki; więc tam znowu pędzę. Powła- lają mi, że jest, ale niekazała puszczać nikogo, że hora i położyła się do łóżka... No wystaw sobie, hora, niezawodnie dostała ataku sercowego, mnie łm niema, ona skończy!

Znów zakrył oczy rękami idalójże szlochać, a tu po 'ąsach i brodzie łzy mu się leją i taki jest śmieszny...

—Przyszedłem do ciebie drogi przyjacielu, ratuj, i radź, bo ginę, widzisz, że ginę!....

—Mój kochany uspokój się i śmić z tego. Kaprys kobiecy, nieporozumienie, trochę zazdrości. Owszem, powinno cię to cieszyć, że jesteś w ten sposób kochany... Kie nie rób, czekaj cierpliwie. Ona sama wróci.

- Nie mogę czekać I Każda minuta niepewności rani mi serce... Zmiłuj się nademną, idź do nu; j, powiedz, jak to było. Ty znasz tajemnicę sukni, możesz sumiennie wyjawić prawdę,.. Ja nie wytrzymam dłużej!... Drogi przyjacielu!•— zawoła, chwytając mnie w objęcia — ratuj nieszczęśliwego!

Człowiek, a nawet pisarz otrząskany z tego rodzaju scenami na papierze, nie jest przecież z kamienia, więc choć nie brałem całej awantury tak na seryo,- choć musiałem poświęcić zwyczajną poobiednią drzemkę, ubieram się i idę.

Przez całą drogę prowadzi mnie pod rękę i kładzie w uszy, co ja mam jój mówić, co odpowiadać, jeżeli zechce takie a takie zrobić zarzuty, wreszcie co w imieniu jego na przyszłość przyrzec, to jest, czem będzie dla niej, skoro powróci. Już w samym progu kamienicy, rzucił mi ostatni frazes: „Powiedz jój, że będę służył jej jak pies... daję słowo, jak ostatni pies...”

Matka p. Maryli mieszkała na Ormiańskiej ulicy, zajmując na drugim piętrze dwa pokoje z kuchenką. Była to osoba dobra, litościwa i nabożna, ot tak sobie poczciwa niewiasta, widząca w swój córce prawdzi

wy klejnot pici nadobnćj. Pod względem uległości dla niej stanowiła taki sam egzemplarz jak Stanisław i kochała ją zapewne nie mniej od niego. Marylka była jedyną jej córką, a chociaż widziała czasami jej wady i starała się łagodzić za szorstkie obchodzenie się z mężem, jednakże czyniła to więcej dla powagi swój jako matka, aniżeli z przekonania.

Kiedym zadzwonił, drzwi otworzyła mi sama.

— Ach, jak to dobrze, że pan łaskaw — mówi ocierając łzy z oczu. — Wielkie nieszczęście nas spotkało.... wie pan...

— Wiem i właśnie w tój sprawie chciałbym się rozmówić z panią Stanisławową... Drobnostka, nieporozumienie chwilowe...

— Właśnie toż samo jej powiadam, że w małżeństwie jeszcze gorzój bywa. W dzisiejszych czasach zepsucia, panowie sobie wiele pozwalają, ale cóż robić, taki duch nastał... Ot i w naszćj kamienicy mieszka człowiek na pozór stateczny, już siwy, a co o nim wygadują!... takie czasy, takie...

— Ależ Stanisław nic nie winien, daję pani słowo uczciwości, to tylko pozory.

— Śliczno u pana słowo uczciwości I — odzywa się na to wychodząc z drugiego pokoju pani Maryla, dzięki Bogu w pełni zdrowia i wdzięków, a nawet z papierosem w ustach.

— Pani! W życiu mojm nigdy nie skłamałem i proszę mi wierzyć, że tu chodziło o porozumienie się

co do aksamitnej sukni, którą Staś na imieniny dla pani zamówił.

—A widzisz, nie mówiłam ci, że to jakieś nieporozumienie...

—Ładnie ułożona bajeczka — dodaje sama pa- tib — Ho ho, już to panowie potraficie jak wam trzeba bronić jeden drugiego...

— Za pozwoleniem pani...

—Niech pan się nie fatyguje - widziałam sama to dla mnie dosyć... Mało mu było tryumfów przedślubnych w salonach waszych, żeby dziś potrzebował schodzić do garderoby i to tuż pod moim bokiem... Ustępuję przed taką rywalką i owszem,

—Proszę pani, jestem ambasadorom, dlatego racz pozwolić, że wygłoszę moją oracyę...

—Dobrze, słucham, ale z góry zapowiadam, że nie wierzę... Dosyć tego...

Opowiedziałem historię owój sukni i stanika, powołałem się na moje sumienie, wskazałem dowody i świadectwo magazynu, gdzie suknia zamówiona, lecz ona wywodów moich słuchała z lekceważącym niedowierzaniem.

—Już to mój mąż potrafi urządzić spektakl doskonale; nic dziwnego, miał tyle doświadczenia...

—Ależ koniec końców pani, jeżeli już mojemu słowu nie wierzysz, to proszę, przekonaj się, có ten człowiek wyrabia z rozpaczy...

—Pociesz się.

—Pani, trzeba miś trochę więcej współczucia. On taki dobry zawsze, i z lakiem poświęceniem dla niej.

— Poświęceniem — powtarza, puszczając dym z papierosa — tego nie widziałam. Z mojej strony to rzeczywiście było poświęcenie, którego teraz Żałuję.

— Pani poświęcenie? ależ to żarty...

— Więc cztery lata pożycia z taką bezduszną istotą — mówi, zapalając się — pan nie nazywasz poświęceniem!... Wierz pan, że krok mój dzisiejszy nie jest skutkiem przypadku. Ja już dawno myślałam, żeby zerwać te nienawistne mi więzy... Ten człowiek ze swoją bałwochwalczą uległością szarpał moje nerwy, męczył mnie i wstręt obudzał... Czułam, że w takiej atmosferze bezdusznój, w tym chaosie drobnostek, ginu i usycham... Stało się. zdobyłam się raz na odwagę, aby to męczarnie zakończyć i za nic w świecie do nich nie powrócić!

Zdumiałem się i języka zapomniałem w ustach...

— Jakto! — zawołałam żywiój — ten człowiek był złym mężem dla pani?...

—Więcej niż złym, bo był za głupimi—odrzekła popędliwie, a iskry z oczu sypały się jej niby z rakiety...

Spojrzałam na matkę, siedziała z rękami założonymi na kolana, jak posąg boleści; kiwała tylko głową ze zdziwienia, jakby pierwszy raz dopiero w życiu zobaczyła swoją córkę.

— Maryl kol

— Niech mama napróżno nie patrzy w ten sposób. Ani mowa tego pana, ani desperacka mina mamy, postanowienia mego nie zmieniają. Mam lat dwadzieścia pięć i wiem co robię. Nie jestem stwo-

rzona na Zonę takiego Stanisława. Dla innej może on być bardzo dobrym, ale nie dla mnie. Ja potrzebuję powietrza, światła, obszaru myśli i walki....

—A dzieci? — wtrącam, hamując oburzenie.

—Dzieci? — powtarza nieco zmieszana — dzieci... Ja nie potrafię być dla nich matką... One mają takiego ojca, który im matkę zastąpi... Zresztą łaskawy panie, dajmy temu pokój — losy rzucone!

—Skoro taki — zawołam, zrywając się z krzesła, to pozwól pani sobie powiedzieć, co myślę o niej..., Czy jesteś pani więcej zepsuta, czy rozbałamuconą zbytkiem samowoli, o tym nie mogę sądzić, ale że jesteś kobietą bez serca, o tym nie wątpię!... Za tego nieszczęśliwego Stanisława los kiedyś zemści się na pani... Proszę sobie zapamiętać te moje słowa.

—Marylko! dziecię mo;*e... Marylko, zastanów się!

—Śliczny panu udał się frazes, to tak, jakby do powieści, i radzę go sobie zanotować, bo pan zapomnisz. A tymczasem żegnam!

Doprawdy nie pamiętam, jak i kiedy znalazłem się w bramie kamienicy. Wszystko we ranie się trzęsło, w uszach czułem szum niezwykły, a w oczach tak mi się ćmiło, jakbym wyszedł gdzieś z hotelu po dobrej uczcie przyjacielskiej.

—No, jak ? — pyta, chwytając mnie za obie ręce Stasio—atak już przeszedł ?

—Twoja żona! -- krzyknę mu nad głową — jest prawdziwym potwoerm kobiety, jest nędznicą bez serca... Mój kochany, pluń i zapomnij t

Myślałem, że mnie pożre oczami, gdy usłyszał to słowa. Puścił moje ręce, odsunął się parę kroków, zbladł i cedząc przez zęby ostre jak zgrzyt piły słowa, powiedział:

— Kto śmie w podobny sposób odzywać się o mojej żonie, może być tylko moim wrogiem... Bądź zdrow.

A kiedy bądź zdrow, to i owszem, powtarzam sobie, biegnąc ku wałom Hetmańskim. Na dworze było już ciemno, więc i to szczęście, że mnie nikt ze znajomych nie spotkał, bo pewno oddałby mnie, jako waryata, do policyi. Dopiero pod cieniem drzew, wśród drastycznie orzeźwiających zapachów naszej Pełtwi, przyszedłem nieco do siebie i zacząłem się śmiać, ale to śmiać serdecznie... Paradna rzecz, ja się mam irytować za cudze sprawy... Dalibóg, co mnie się zrobiło... Niech go porzuca, niech on sobie w łeb pali pod jej progiem, a mnie co do tego... No, no, nie spodziewałem się, aby moje poselstwo tak mnie rozdrażniło; nie spałem po obiedzie, jak zwykle i ztąd cała historia... Oho, na drugi raz żeby sam święty Piotr do mnie pukał o tym czasie— nio otworzę.

« *

Przyjaciel mój, Stanisław, święcie dotrzymał słowa i odtąd został moim nieprzyjacielem. Ani razu potém nie widzieliśmy się więcej i słowa ze sobą nie zamienili, nawet spotkawszy się na ulicy, udajemy obcych, jakbyśmy się nigdy nie znali.

Naturalnie, ten wypadek jego z żoną wkrótce stał się głośnym w pocziwym naszym miasteczku, obrabiano go w miejscach publicznych, opowiadano różne szczegóły w cukierniach i po restauracjach, a już w znaj om kółku naszego coś przez parę miesięcy nie schodził z porządku dziennego.

W dwa tygodnie po opuszczeniu domu męzowskiego, pani Maryla wraz z matką wyjechała do Lwowa i, jak slyszalem, wstapila jako artystka do teatru, grajacego podowczas w Poznaniu. Dotad pisma publiczne wspominaja czasami o jej grze, oddajac balwochwalcze pochwalny, ale czuc w nich, ze to sa przyjacielskie recenzje, na ktorych my piszacy dobrze sie znamy. Mowiono mi, ze nawet probuje pisac nowelki pod pseudonimem, ktorego w toj chwili nie pamietam, i w nich przeprowadza zapatrywania swoje na bezwzglydna swobode serc i uczuc ludzkich. Moze i dobije sie slawy na tem polu, wszak to idee dzis poplatne.

W dawnym koleczku naszym dlugi czas nie bylem, az tu raz zaciagnela mnie kuzynka Stasia, pani Lunia, i poczela rozpowiadac o nieszczęściu jego i kłopotach, ktore ma w domu.

Powiadam panu, zupełnie sie zmienil. Nigdzie nie bywa, do mnie nawet na minutke wstapic nie chce... Nic tylko dzieci i oszczednosc, 'robił sie skapcem, dlugi wszystkie, ktore podczas pozycia z zona porobil, zaplacil — zdiadzial, zaniedbal sie zupełnie, tak, zo wyglada jak starzec...

— Ale dotad jest to tajemnica—odzywa sie na to

pani Cecylia — co rzeczywiście zaszło pomiędzy niemi, że ona go porzuciła. Mówią to i owo, jednak pan, jako ich najbliższy sąsiad i przyjaciel, powinieneś wiedzieć dobrze... proszę, powiéd/ nam.

—Chcecie panie wiedzieć, t owszem, powiém. On winien wszystkiemu dlatego, że nie umiał irzy- mać za cugle młódj małżonki.

— Co? Coś pan powiedział? Proszę wytłumaczyć się jaśniśj.

—Był mężem mazgajem, a kobiety tego rodzaju co pani Stanisławowa, nie chcą dodawać że wszystkie, potrzebują wędzidła. Nikt na świecie nio jest tak chciwym władzy, jak kobiety, i nikt nie potrafi zręcznie dostawać się do niej; lecz cóż z tego, kiedy na wysokościach tych każda prawie dostaje zawrotu głowy i nie wie, co z tym fantem zrobić...

Na te słowa, twarze wszystkich słuchaczek moich przeciągnęły się bardzo nieprzyjemnie, a na czoła wystąpiły bruzdy oburzenia. Jedna nawet śmielszj natury, odważyła się powtórzyć mi słowo w słowo wyrazy pani Stanisławowej:

— Śliczny frazes do powieści 1

Skoro śliczny, to przebaczą mi czytelniczki, że go tutaj powtarzam i choćbym miał narazić się na utratę całej ich sympatyi, powiem każdemu mężowi: „Przyjacielu, trzymaj cugle mocno w ręku, ojji trzymaj i nie puszczaj I”

FACET.

SZKICE Z MIASTA.

%

4, TPncJGrtett* — Sakk* i OftrukL

11

Zdarzyło mi się pewnego razu napotkać w towarzystwie dość niepoczesną figurkę, wystrojoną pre-tnnsyonalnie, która kręcąc się- tu i tam, staje naraz przedemną:

— Jestem Niciński...

— Bardzo mi przyjemnie — odpowiadam nieco zdziwiony, z kądem przyszła ochota panu Kicińskiemu zaznajomienia się ze mną; dlatego też uściskawszy prawicę jego i wyszeptawszy nawzajem swoją godność, zwracam się do jednego ze znajomych:

—Kto jest ten Kiciński czy Miciński, bom niedosłyszał — pytam po jego odejściu.

—Eh, to taki sobie facet— odpowiada wzruszając ramionami.

—Facet — myślę — cóż to za godność czy charakter i zaczynam baczniej obserwować nowego znajomego, który z tą samą efronterią i żywością narzuca się innym...

Jestem w teatrze, dają sztukę stojącą poniżej wszelkiej krytyki, bo z wielką pretensją doarcy-

działa, a w rzeczy samej parodię jakiegoś dramatu. Artyści grają jak nie można haniobniej, a mimo to w miejscu niby najbardziej dramatycznym, gdy bohaterka zamiast grozy, śmiech pusty obudzą, ktoś za mną w trzecim rzędzie zaczyna bić tak energiczne brawa, te doprawdy aż w uszach trzeszczy.

— Przepraszam pana — odzywam się do najbliższego i nieznanego mi sąsiada — kto to jest ten jegomość, który tak klaszcze zawzięcie, jakby nie ludzką skórę miał na dłoniach?

Zapytany jegomość obejrzał się, ramionami takie wzruszył i powiada z przekąsem:

— To facet gratysowy i protektor artystki... klaskaniem daje sygnał galeryi...

Znowu facet — myślę przyglądając się uważniej zapalonemu adoratorowi komicznej tragiczności i widzę, że to nie jest Kiciński, ale swoją drogą z fizyognomii swój i ruchliwości krzykliwej, ma coś z tamtym wspólnego.

Na drugi dzień jestem w biurze pewnego konsyliarza, do którego mam ważny interes. Siedzimy, rozmawiamy, a wtóm wpada jakiś młodzieniec pół dzokicj, pół gogo, z grzywką nad czołem, wjasnjej krawatce na szyi, a rozmachawszy się więcej niżby na podwładnego urzędnika przystało, kładzie stos papierów do podpisu.

— Proszę zostawić — mówi konsyliarz wskazując miejsce na biurku. Młodzieniec położył, ale niema żadnej ochoty pójść s obie z Panem Bogiem jakby po tonie mowy radcy uczynić należało, prze-

ain

ci w nic widzę, ie ma ochotę przyjąć udział w naszej rozmowie. Nie miałem żadnych sokretów, zatem ciągnę rzecz swoją, lecz przy pierwszych słowach o naszym powiecie, młodzieniec z grzywką do mnie:

—A pan dobrodziej z C.ieszanowskiego? Ja znam doskonale tamte strony.

—Nic panie, jestem z Mieleckiego — odpowiadam z widoczną niechęcią.

—Ba — to jeszcze lepiej znam Mieleckie— Matka moja z tamtych stron; pewnie pan dobrodziej zna Kwikalskich...

— Znam.

— Pan Szymon, to rodzono-cioteczny brat mojej matki, daję słowo honoru... Panic, ja Kwikalówkę znam jak stary złamany szeląg, tam się chowałem, daję słowo...

—Bardzo mi przyjemnie — rzeknę, spoglądając ku radcy, na którego obliczu widzę niecierpliwość.

— Pan dobrodziej niezawodnie jest Cybulski, oho i tych znam — a nie czekając mojego potwierdzenia prawi z coraz większym zapalem. Panie, kogo ja nie znam z Mieleckiego..., to moja ojczyzna, daję słowo... Mam zaszczyt się zarekomendować, jestem Anastazy Wiaterek... Nawet gdybyśmy się tak z panem dobrodziejem chcieli porachować skrupulatniej, tobyśmy znaleźli pokrewieństwo między sobą. Daję słowo, siostra mojego nieboszczyka ojca była za przyrodnim bratem jednej matki a innego ojca Kalasantego Cybulskiego... Nie, nie, przepra-

sram zdaje mi się, że Antoniego, czy też Karola... tak, tak, *l'ehtyg Karola...

—Bardzo mi przykro—przerywam ten potok dochodzeń familijnych, spoglądając na radcę w nadziei, że jakoś przerwie owe zwierzenia—ale ja wcale nie jestem Cybulski...

—Tak—odpowiada zdziwiony — a ja myślałem i byłbym się założył... pan dobrodziej ma w sobie coś z Cybulskich...

—JMój panie Wiaterek—wtrąca się radca przeglądając papiery—bądź tak dobry i przypilnuj, aby mi przyniesiono z archiwum ten akt w sprawie emolumentów, o który prosiłem...

— Natychmiast służę panu konsyliarzowi — odpowiada uprzejmie i zawraca ku drzwiom gabinetu. Ja zaczynam swą rzecz dalej, gdy on znów wraca,

—Przepraszam bardzo pana dobrodzieja i pana konsyliarza—mówi zapatrzony w niższą część mojego korpusu—ale kto panu dobrodziejowi robił te pan-talony?

Zrobiłem wielkie oczy z kądemu raptem przyszła myśl o moim ubraniu, ale nie mając odwagi na danie mu należytej odprawy, bąknąłem, aby go się pozbyć:

— Kupiłem gotowe w Wiedniu...

— Aha — ja zaraz się domyśliłem, że to nie tutejsze—dorzuca niezmiernie ucieszony ze swego domysłu — bo ja znam wyroby wszystkich tutejszych krawców i nigdzie nie widziałem w drobną kratecz-

kę... Czytałem że to najświeższa moda, ale jeszcze do nas nie doszła.

—Nie widm—rzeknę na to, powstając z intencją pożegnania konsyliarza. — Pan radca widzę zajęty, przyjdę więc jutro...

—Może ja przeszkadzam? — pyta, zmiarkowawszy się, że jest natrętnym pan Wiaterek — to przepraszam, bardzo przepraszam... I zaczyna się rejterować ku drzwiom, nie spuszczać oka z mojego kratkowanego ubioru, widocznie aby dobrze te kratki zapamiętać.

— Co to za jeden? — pytam radcę po jego wyjściu.

—Nasz urzędnik, taki sobie factt biurowy. Dobry chłopiec i usłużny, nawet pracowity, ale narzucający się czasem i nieznośny...

—Że też pozwalacie...

—Cóż robić, ma protekcyę u góry i u dołu; zresztą takie czasy teraz—dokończył machnąwszy ręką.

Tego samego dnia po południu wstąpiłem do cukierni na lody, gdzie miałem się zejść ze znajomym, dawnym kolegą szkolnym, kanonikiem. Wszedłem do pokoju, przylegającego do cukierni; dymu pełno, gości jak nabił, że kąta nie można znalazby gdzie usiąść. Przyczepiłem się jak mogłem do jakiegoś stoliczka, kazałem podać porcyę lodów i rozpatruję się dokoła. Obok mnie przy okrągłym stole siedzi kilku już poważnych mężów i rozmawia o wielldćj polityce curópejskiój, o której ja mam tyle wyobrażenia, co ciemny o kolorach. Słyszę, ni

cują Biśmarka, pastwią się nad jakimi kołem w Wiedniu, aż tu wpada już prawie średnich lat mężczyzna, z głową wyłysiałą niby kolano, niski, przysadkowaty, z rudą brodą i kilku konstelacjami piegów na twarzy. Wszedł, stanął przy stole i z wielkim zapalem wygłosił:

— Wiecie panowie, nie chce stanąć!

— Czy ja nie przepowiedziałem! — zawoła jeden z siedzących...—Ja go znam...

myszygen...

— Kto, co?—pytają inni głowy swe wysuwając z ciasnoty ku przybyłemu.

— Ko kto?—rzecze z odcieniem pewnego politowania ów łysy — nasz poseł!... Byliśmy we trzech u niego w deputacyi, przedstawiliśmy, że należy się satysfakcyę wyborcom, że opinia publiczna tego wymaga...

—A on co?

— Nie stanę nie tylko na ratuszu, ale gdziebądź, bo mi się niepodoba...

— Patrzaj go, jaki zuch!

— I nie stanie — dodaje drugi — moi panowie, jago znam oddawna; kary ero wicz, na wszystkich stołkach siedzi...

— Musi panie! — zawoła podniesionym głosem ów przybyły i uderza ręką o stół.—My mu, zobaczycie panowie, taką urządzimy sztukę, że ani się spodziewa. Co to jest lekceważyć wyborców stolicy kraju!... Stanie, a my go zwalimy... Ot tak — dodaje, dmuchnąwszy na dłoń—ani śladu po nim.

— A któż to agitował przy wyborach, kto biega jak kot zagorzały, żeby go wybrano— wtrąca jeden.

- No ja, przyznaję się, ale ta sama ręka, która go wzniosła, potrafi go strącić... Wierście mi panowie, co ja powiôm, to święcie się stanie; mamy już innego kandydata. Niech tylko złoży mandat, a on się przekona, co to jest zadzierać z nami...

Nio mogłem uważać co dalej prawil i jak żartowano z jego wszechpotęgi wyborczój w mieście, bo właśnie wszedł kanonik, na którego czekałem i usunęliśmy się do drugiego pokoju.

— Zmiłuj się — mówię do niego, wskazując na oratora wywijającego ręką w tamtym pokoju - kto to taki?

Ksiądz wysadził głowę za drzwi, oczy przymrużył i powiada ciszej:

—Kb, to taki facet polityczny, znany agitator, nauczyciel czy pomocnik nauczyciela z którejś szkółki ludowej.

— A dla czegoż on się tak rozrzuca?

— Ba, któż mu zabroni ? Polityków tego rodzaju mamy tu dosyć, a ten jest wszędzie, gdzie go nawet nie posiejesz... taki duch teraz...

We dwie godziny potem wstępuję do księgarni, gdzie wypada mi załatwić interes rachunkowy. Właśnie w tój chwili właściciel sam jest zajęty dość ożywioną rozmową z pewnym młodzieńcem o słabym jeszcze zaroście na twarzy, nadzwyczaj ruchliwym i w gestach energicznym. Czarne jego oczy rzucają blask fosforyczny przed siebie, gdy ręce miętoszą

spory zeszyt papieru który co chwila to zwija, to rozkłada, pokazując palcem pewne ustępy. Mówią ci- szój. Księgarz, jak zwykle, z dyplomatycznym spokojem, on z as bez ceremonii daje folgę swój burzli- WóscŁ Założę się, że to autor, traktujący o sprzedaż rękopismu i to autor początkujący, który nie może znieść braku uznania dla swój pracy. Jakoż nie omyliłem się, bo za chwilę wybucha szarpiąc nerwowo słabe jeszcze wąsięta:

— Ja wióra kto panu odradził!... To ten—dodaje ciszej, wymieniając nazwisko; którego nie dosłyszałem.

— Daję słowo...

— Już niech się pan nie wymawia. On tylko mógł panu zganić...

—Daję słowo, że nie, tylko widzi pan łaskawy, z zasady nie wydajemy rzeczy autorów, nie mających ustalonego imienia.

—A kto panu powiedział, że ja nie mara! Proszę pana „Kolebka rodzinna” drukowała moje „Baby przed bramą”, drukowała „Domicylkę”, a wszystkie pisrna humorystyczne zasilają się mojami wierszami.

— „Kolebka rodzinna” upadła—mówi księgarz - zresztą...

— Wskresimy ją, bądź pan spokojny. Wszystko już gotowe „Kolebka” wstanie, redakeya już jest...

—No, alo to? — przerywa księgarz, robiąc rucb palcami, jak się pieniądze liczą.

•— I to będzie ; kaur.y a pewna, a co do nakładu, znaleźli się i tacy... Zresztą 'pan zobaczy i spodzie-
wam się, poczuje naszą „Kolebkę”, a tymczasem ja tego blagiera literackiego, tego osia,
wołącego piasek krytyczny, nauczę, aby siedział cicho.

—Mówię panu, te nie wi4 o tórn.

—Tsa co się zdało zapieranie, ja wiśm, że to mój nieprzyjaciel... Krytyk... taki on krytyk i
znawca, jak ja biskup... Alo go tóż zerżnę, mój ty Boże, że będzie on mi się wił, jak wąż!—I
przy tych słowach szanowny mówca zrobił gest ręką, jakby kogoś ba-
tożkiem podcinał, a potórn znów świdrując palcem ku podłodze, chciał pokazać, jak on to się wić będzie.

—JEj, kochany panie—rzecze księgarz, biorąc go poufale za oba ramiona. — Za wysoko
stoi, żeby artykuły pana mogły go zachwiać... Zresztą kto tu panu taką rzecz wydrukuje...

—O ja wiśni! Stowarzyszenie wzajemnej ado-
racyi nie dopuści, ale niechno wstanie „Kolebka”.

-j- Długo czekać...

•— A Warszawa co? — Nie bój się pan, mam ja swojo uznanie i drogi, któremi trafię d o
publiczności Na nic mu się nie zda trąba krakowska; pozdzieramy mitry i z tamtejszej
chwały, przekłujemy pęcherze uprzywilejowanych powag... Ja znam tę sławę: tandeta,
frazesy, łatanina, brak twórczości...

Przyznam się, że stojąc przy kantorze księgarskim, zajęty niby przeglądaniem nowości,
czułem, jak po plecach zimno mi idzie wohec tój dwudziestoletniej potęgi literackiej ; to ci
werwa... Dlatego leż

skoro nabity piorunami koryfeusz wybiegł ze sklepu, trzasnąwszy drzwiami, ja do księgarza:

— Panie kochany, kto to ?

—• Kie zna go pan ?

— Nie znam.

— To... to — mówi krzywiąc się księgarz — taki sobie „facet literacki"... Przyniósł mi jakąś ramotę czy nowelkę i gwałtem żeby wydrukować z portretem jego i facsymilem i jeszcze płacić.

— Zkądże ta pretonsya; dość i ja czytam i dla tego ciekawy jestem nazwiska wielkiego literata, jak się nazywa ?

— Karczoch.

— Co za Karczoch?

— Taki sobie Karczoch, student, czy też eks-stu- dent uniwersytetu, satyryk, recenzent artystyczny, nowelista, korespondent, poeta, dramaturg, oto wszystko, a jednym słowem, narzucający się facet.

Przyznaję, iż wychodząc z księgarni, byłem nieco zirytowany.

Co to się dzieje tutaj, myślę, gdzież tedy są ludzie nauki, ludzie poważni. Kogo zobaczę więcej ruchliwego i wysuwającego się naprzód, powiadają mi „facet". Biegnę tedy po Wałach Hetmańskich i nie chcę już patrzeć na ludzi, w przekonaniu, że to wszystko także sami faceci, gdy nagle chwyta mię ktoś pod rękę:

— A gdzie taki zamyślony? — mówi dawny mój przyjaciel, sędzia trybunału.

Spojrzałem na niego i oprzytomniałem, lecz że

u mnie zawsze co w sercu to i na języku, więc ber. ładnych .ceremonij mówię:

—■ /lituj się, co tu u was się dzieje. Od dwudziestu czterech godzin jak jestem we Lwowie, spotykam na każdym kroku samych facetów, wystaw sobie dotąd pięciu...

— - Pst—przerywa mi, trącając łokciem—pokażę ci zaraz szóstego...

Jakoż, ledwie, że zdołałem powstrzymać się z dalszym wybuchem, aż tu zbliża się ku nam mała, nie- poczesna figurka z twarzą zarośniętą pod same oczy. Całe ubranie wisi na nim jakby na wyrost było robione, a swoją drogą po koniec butów zaplamione, jednóm słowem coś w rodzaju diaczka cerkiewnego z Bukowiny albo nowoczesnego pasiecznika.

— Pan sędzia dobrodziej będzie na jutrzejszym posiedzeniu ?

—Wątpię, pan wiesz, że ja nio mam zbyt wiele czasu - odpowiada przyjaciel.

. — Warto i trzeba koniecznie byó. Stowarzyszenie ma wielką przyszłość dla rozwoju pracy organicznej w kraju naszym; już 62 członków jest zapisanych, ale to w samym Lwowie na setkach się nie skończy.

Licho mi nadało wtrącić się do rozmowy i zapytać co to za Stowarzyszenie, albowiem okoliczność ta spowodowała rekomendację pana Alojzego Roberta dwóch imon Kogucińskiego, następnie zaś potok monotonnój jakby wyuczonej wymowy, który w usypiający sposób oblewał mnie letnią wodą.

— Towarzystwo nasze założone w myśl ustawy, (której datę i Nr. Dziennika ustaw państwowych wymienif.l nosić będzie nazwę „Towarzystwa wzajemnej pomocy”. Cel jego...

— Za pozwoleniem — przerywam — co to znaczy pośredniej pomocy?

— Widzi pan dobrodziej, udzielanej nie wprost, ale za pośrednictwem innych czynników, mówiąc nawiasem delikatniejszej natury.

— A na cóż ta pomoc i dla kogo ?

— Ma się rozumieć dla członków czynnych, bo będą i wspierający, honorowi protektorowie; a co się tyczy pomocy samej, to trudno mi ją szanownemu panu pozytywnie zdefiniować. Ale główna rzecz — mówi ciszej nachylając się do mnie — że idzie tu o podniesienie ducha, który przyzna pan dobrodziej okropnie u nas upada od niejakiego czasu. Stowarzyszenie dzieli się na kółka, a kółko zgromadza się raz na tydzień dla wzajemnego zbliżenia się członków, wysłuchania odczytów, a szczególnie nabycia wprawy w deklamacji. Na deklamację kładziemy główny nacisk, bo pan dobrodziej nie zaprzeczysz, że nic tak nie podnosi jak deklamacja, którą niestety dzisiejsze pokolenie kompletnie zaniedbało.

— Więc to będzie rodzaj bractwa w celach idealnych?

— Niezupełnie. — Kółko udzielać będzie rad, wskazówek w sprawach rozwoju swojskiego przemysłu i handlu, będzie wydawać pismo, udzielać

subwencji dla członków, a wreszcie zapewni członkom emeryturę.

— Za co i z jakich funduszków?—pytam przypatrując się bliżej mojemu KoguciAskimowi, czy tóż on rzeczywiście nie ma w mózgu jakiego kogucika.

— O fundusze mniejsza, znajdą się; przedstawienia amatorskie, festyny, 'Odwyty, składki członków i pewno arcynowe źródło mojego pomysłu, o którym jeszcze z wielu a wielu względów muszę zamłczeć, zresztą pozwolę sobie zaofiarować szanownemu panu statut a nasze, odezwy, instrukcje i regu lamina, które pana dobrodzieja dostatecznie o wszystkim objaśnią, a spodziewam się, raczy pan dobrodziój zaszczyścić jutrzejsze posiedzenie nasze o godzinie 5-tój w sali ratuszowój.

To powiedziawszy sięgnął do bocznej kieszeni narzutki i wyjął cały plik druków, które porządkując w ręku jeszcze mi dogadywał:

—Oto są depesze z Kukizowa, z Mośeik, z Żabna, z TCozowa, spodziewamy się jeszcze ze Stanisławowa, w których tamtejsza publiczność przystępuje duchem do naszego Stowarzyszenia... O panie dobrodzieju 1 mamy świetną przyszłość; cały kraj przy- kłaśnie naszej pracy... Spać me można, daję panu dobrodziejowi słowo honoru, musimy czuwać...

Odebrałem zwój ważący przynajmniej pół kilograma i obiecałem przyjąć udział w zebraniu.

—A co? powiada mi sędzia, gdy Koguciowski oddalał się, porządkując długi czas jeszcze papiery w bezdennój kieszeni - czy to nie czysty facet, he?

— Rzeczywiście", Bóg¹ wie czego on chce.

— On sam nie wie; to już taki nałogowy organizator stowarzyszeń i wszelkich uroczystości publicznych.

— Czy z tego ma co ?

—Ale gdzie. Robi wszystko z przekonania, że coś koniecznie robić trzeba, a najczęściej jest narzędziem w rękach innych. Zresztą, radzę, idź jutro na posiedzenie, bo u nas zaczyna się epoka panowania facetów, dla tego warto się przyjrzeć.

Sądząc z tego com widział i słyszał w ciągu tak krótkiego czasu, wzięła mię ochota przypatrzenia się bliżej owemu panowaniu facetów i otó rezultat moich obserwacyj oddaję dla uciechy czytelników.

Nie potrzeba szukać w historyi dowodów na to, że facetów nigdy na świecie nio brakowało, chociaż inne może nosili nazwy. Rodzicami ich bywały jak dawniej tak i dzisiaj : miernota umysłowa ożeniona z gwałtowną chęcią rozgłosu. X temu dziwić się nie można, bo jużciż trudno porządnemu człowiekowi pogodzić się z tą myślą, aby cały żywot swój miał zostać jednostką w szeregu, kołkiem w płocie, lub kłosem na łanie, które społeczeństwo bez ceremonii sierpem zrżyna, w snopy wiąże i ryczałtowo wymłaca. Kto tylko więc poczuwa w sobie zgrozę na myśl podobną i czuje zapas siły w łokciach, aby się przepychać przez tłumy — próbuje. Jednym się uda wypłynąć, drudzy giną, facetom tylko udaje się podążać za armią, choćby tylko jako trębacze lub sma- rowozy.

Schodząc ku bliższemu określeniu charakterystyki facetów, o których nam idzie, przychodzimy do wniosku, iż sami przez się nie stanowią oni oddzielnego gatunku, lecz stają pośrodku między Magierami a trefniasiami. Facet gdyby miał trochę więcej rozumu niż ma i potrafił bez zająknięcia się kłamać, jak z nut — byłby błagierem. Przeciwnie znów, gdyby umiał wyprzódzić się naturalnej dobroci charakteru i przyćmić nieco drażliwość swój ambi- cji — zszedłby na zwykłego trefniasia. Otóż z powodu tak wyjątkowej sytuacji swojej, musi on nienawidzić od serca najbliższych sąsiadów swoich na drabinie społecznej, i z całą energią ich też nienawidzi.

Wspomniałem, zdaje się, że ruchliwy temperament faceta jest głównym czynnikiem przy wpływaniu na wierzch; dlatego też w czasach powszechnych poruszeń w społeczeństwie jakimś, ginie wśród fal huczących głośnień. Lecz niech tylko nastanie cisza, czy apatya, facet podnosi głowę, ruchliwość jego zaczyna się uwydatniać tak, że kto nie chce musi dosłyszeć jego brzęczenie, niby wielkiej, czarnej muchy bujającej po pustym pokoju.

A dziwna rzecz, iż facet każdy, mimo wewnętrznego usposobienia, już przez samą powierzchowność swoją odróżnia się dość wybitnie od innych ludzi. Zwykle coś mu brakuje do konwencyonalnej powszedniości, chociaż ten brak nie można jeszcze oryginalnością nazwać. W ruchach niespokojny, w krzy-

A. WrtwaAi. — Silitoc > ol>i=«lu. ł.i

żu giętki, ma w sobie coś z natury piskorza, bo wśli- zga się nawet tam, gdzie inny daleko gładszy od niego tej sztuki nic dokaże, wszystko może zrobić z swej fizyognomii prócz powagi; wtedy bowiem robi się poprostu pociesznym. Idąc, zdaje się ma oczy na wszystkich stronach głowy poosadzone, a na przodzie nos wysunięty do wietrzenia. Na ustach jego gości wieczna skłonność do uprzejmego uśmiechu.

Często, jeżeli urody mu Pan Bóg poskąpił, owa gotowość do śmiechu ma w sobie coś karykaturalnego, jednakże z nią łatwo oswoić się można. Szczególną też trapiący jest pasją całowania i chwytania w objęcia; dlatego nie ominie żadnej sposobności, żeby na pulchnych rączkach kobiet, jako naturalnych jego protektorek, nie zostawić mlaskotliwej i z prawdziwym apetytem wyciśniętej pamiętki.

Każdy z facetów tyle już ma rozumu i tyle wie, że nie posiadając ani w głowie ani w powierzchowności swój takich przymiotów, któreby torowały drogę do sympatii ludzkiej, szukać jój należy u najpewniejszego źródła pobłażliwości, to jest u kobiet. Z góry przeto wylany jest na wszelkie dla nich pochlebstwa i usługi, szczególnie dla starszych matron i panien na emeryturze. Czóm która kapryśniejsza, tćm miłsza dla faceta i tój staje się najwierniejszym poddanym. Orzą tśz nim i kręcą podług upodobania. Swoją drogą jednakże łaskawość kobiet prawie nigdy nie ma wpływu na sercowe uczucia jego protektorek. Nie wićm dla czego, lecz płeć piękna

— —
facetów nie poczytuje za mężczyzn, bo nawet panienki z garderoby, nie uważają za ujmę swój wsty- dliwości niewieściej, jeżeli ją tam gdzieś w kącie uściska lub pocałuje. „Jaki pan Fclcio zabawny jest”—mówią niby się dając...

Zdaje się, że prócz gotowości na wszelkie usługi kobiet, wiele do ich łask pomaga facetowi jego gadatliwość. Niewiasty nasze a podobno i całego świata, przeważnie milczków nie lubią, więc skoro nawinie im się facet, który już z powołania cierpliwie umie słuchać, a jak potrzeba, na raz trzy przegadać potrafi — delektują się nim jak śpiewającym kanarkiem.

Mając na względzie szczupły zakres moich szkiców o facetach, przystąpić muszę jednak do pewnej klasyfikacji. I tak: naprzód wypada podzielić ich na dwie główne gromady. Pierwszą facetów właściwych w dobrej wierze— drugą: facetów z celem, czyli tak zwanych karyerowiczów, już bardziej zbliżonych do trefnisiów, chociaż znających się dobrze na kombinacjach rachunkowych i słabościach ludz- kiój natury.

„Facet dobrej wiary” z gruntu jest człowiekiem dobrym, uczciwym i najlepszego serca. Cała troska jego zawiera się w tórn, że nie może znieść, aby o nim ludzie choć przez dwa tygodnie z rzędu nic nie mówili lub nie drukowali. Zdaje mu się przez ten czas, że on już umarł i zaraz widać na jego fizyognomii prawdziwe zmartwienie. Spać nie może, apetyt traci, humor traci, czuje się nieszczęśliwym, staje się

dla sług i domowników zgryźliwym, składając winę na katar żołądkowy lub wątrobę-
Chodzi zadumany i myśli wciąż i kombinuje coby tu takiego podjąć, żeby sława jego mogła
się odświeżyć i żeby świat o nim nie zapomniał. Chcesz przyjacielu takiego pocziwca
uratować od melancholii, napisz tylko pa- rę słów do której gazety, że ten a ten nasz znany
coś zamyśla, organizuje, pisze, lub pracuje nad wynalazkiem, a zobaczysz jak mu się
rozweseli oblicze, jak znikną wszelkie choroby i nowe życie wstąpi w niego. Jeżeli nawet
posucha będzie na wszelkie nowości, dość będzie odświeżyć dawniejsze czyny, oświadczyć
publiczny żal, że niema naszego znanego Felusia, który gdyby był w tó m a tem zdarzeniu czy
uroczystości przyjął osobisty udział, inaczejby rzecz poszła.

Zostawiając na później studia o facetach spekulujących, do których wiele mi jeszcze nie
dostaje materiału, przystąpię do rozgatunkowania egzemplarzy pierwszego działu na
szczegółowe kategorie facetów, odpowiednio do zajęć i na pierwszym miejscu postawię
najpospolitszy okaz, który jest u nas:

H.

FACET TOWARZYSKI.

Jeżeli tego rodzaju facet znęci się gdzie do jakiego domu, oprócz stu pociech dla
wszystkich, staje się on nieocenionym skarbem dla gospodarstwa.

7. natury mata wymagający i mekapryśny, służy on tam -wiernie, trzeźwo i pilnia.
TDawnemi czasy funk- oję tę pełnili tak zwani rezydenci, lecz d«ś, gdy nas już ni© stać na stabilizowanie tej posady, musimy się zadawałniać rezydentem przychodnim. Który dom familijny opatrzył Pan Bóg tego rodzaju opiekunom, gospodarz już nie potrzebuje kłopotać się o marszałka dworu, czy kredencera, a często i szczególniejszego majstra, bo facet sam jest tóm wszystkim, na wszystkióm się zna i wszystko potrafi. Kie leni się i nie żenuje, gdy trzeba informować służbę i cos osobiście pokazać, szczególnie przy więcej dystyngowanych zajęciach, jak naprzykład ubraniu sali i schodów, ściąganiu wina do butelek i t. d. Facet wtedy, aby pokazać swoją sztukę, odkłada na bok wszelką dumę, dyryguje, poprawia, łaje, uczy, na wstyd i umartwienie całego personalu służbowego, a na podziw i adoracye pani domu i jój rodziny. Zwykle cała falanga niewieścia między sobą nazywa faceta zdrobniale po imieniu, a do niego mówi: ..Jaki pan*Tadzio dobry, zręczny, poczciwy, nieoceniony i t. p., doprawdy nio wiadomo już, jak panu Tadzioowi podziękować.*¹ A nasz Tadzio, czy Kazio rośnie, rośnie pod wpływem takich kadzideł do nieskończoności. Słodkie słówko uznania, czulsze spojrzenie, wdziępny uśmiech, coś, coś z intencyi uściskania— mogą rozrzewnionego faceta poprowadzić za morze. Widać po nim, jak roztapia się pod wrażeniem pochwały, a wtedy można już robić z nim co się komu podoba...

Jednak kulminacyjnym punktem zdolności towarzyskiego faceta jest dopiero na większą skalę urządzona uroczystość lub zabawa domowa. Gdzie ma pewne obowiązki być usłużnym — tam przyjmuje urząd reżysera z ochotą; lecz gdzie to ma być grzecznością tylko, lubi się kazać prosić, a czasem stawia pewne warunki co do rozciągłości jego dyktatury. X od tój chwili zaczyna się dla niego najmiłsza sercu kampania: wszędzie jest. o wszystkich wic i wszystko sam dysponuje. Nawet przy układaniu listów zapraszających ma swój głos, a już z kucharzem sprzecza się do upadłego o memt wieczery. Gdzie niewiele ma sił do rozporządzenia, tam pomaga przybijać kinkiety, rozwieszać lustra i kwiaty, urządzać gabinety damskie I pokoje do gry. On zamawia muzykę, szuka tancerzy do kompletu, wprowadza ich, napędza do pracy, skoro zobaczy, że werwa gaśnie. Dawniej nawet do mego należała dyrekeya tańcami, ale od czasu jak urząd ten został wyemancypowany na stanowisko niezależne, wyrugowano ztąd faceta. Jednakże jako amator-pomocnik, nie może się powstrzymać ze swoją interwencją, gdy widzi zamię- szanie w tańcu, aby widziano publicznie, że i on zna się cokolwiek na tćm. Zato znów obrał on sobie inny dział porządku tańczącego, to jest zaopatrywanie siedzących pań tancerzami, za co zjednywa sobie serca wszystkich matek. Przy wirowych płasach, sam jest niezmordowanym, a spieszy tam, gdzie mu nakazuje obowiązek. Zazwyczaj fatalnie tańczy i bez taktu, lecz gdy na bezrybiu i rak ryba, a facet rzešką

miną. fantazyą i ochotą nadraóU. ten brak talentu— ofiary jego przyjmowane są 2 wdzięcznością,

Przy innych tańcach, bystre jego oko zaraz dojrzy, której z dam grozi opuszczenie, więc tylko się zakreśli między młodzieżą, a za chwilę już prowadzi 1 rekomenduje amatora

—Masz pan damę do kontredansa? — pyta zaczepiając pierwszego z brzegu młodzika.

—Nie mam — odpowiada nagabywany — i nie myślę tańczyć.

—Jak to być może l Pan taki sławny tancerz... Proszę, pójdź pan, zaraz go przedstawię prześlicznej paniencie.

— Której?

— Ot tój w różowej sukni z koronkami... Panie, jak ona tańczył...

Być może, iż różowa sukienka wybornie tańczy, ale grzeszy urodą, która to okoliczność nie działa zachęcająco na oprymowanego młodzieńca. Ale on go już wziął silnie pod rękę i wiedzie wprost do nii-j, dodając półgębkiem przez drogę: Bogata, słowo honoru dają... dwakroć... trzy sukcesy w speran- dzie... dowcipna, a ród jaki...

Dwakroć jest zawsze wielkiem słowem w dzisiejszych czasach, a choć panna i dwóchset nie ma, on dla sprawy publicznej kłamstwa za grzech nie poczytuje. — Przykrzejsza nierównie sytuacja nasuwa się facetowi, gdy wypadnie szukać tancerza dla młodej i dystygowanej mężatki. Panny są mniej wybredne i aby tylko nie siedzieć, koncert tują się pier

wszym lepszym. — Inna rzecz z mężatką w aksamitach, piórach, brylantach, z mężatką zajmującą pewne stanowisko w społeczeństwie, względem której facet poczuwa się do większych obowiązków niż dla innych. Dają znak do mazura, pary się formują i straszna rzecz, dama siedzi z zachmurzoną twarzą. Mąż, zwykle jak mąż dystygowanej damy, gra tam gdzieś w karty, lub zagadał się o polityce Stanów Zjednoczonych, a tu młodzieży już nióma... Okropność, co wtedy czuje opiekun-facet i jak się kręci, nagabując każdego, czy ma już damę do mazura. Nareszcie chwycił gdzieś tam w bufecie bardzo nio- poczesnój powierzchowności młodziana, którego dla uratowania sytuacji prowadzi do owej matadory w aksamitach. Skłoniła się zimno, gdy jej prezentowano z różową twarzą bez zarostu żadnego niewiniątka, jednak ponieważ lepićj byle z kim tańczyć niż siać balową rutkę, podała mu rękę i stanęli w kole.

Kasz facet, chociaż nie służył nigdy w saperach, jednak zna się doskonało na „minach”¹⁴, dlatego obserwuje zdaleka całe zachowanie się młodzieńca i widzi przerażającą sztywność damy.

— Jak honor kocham, pani dobrodziejko—mówi, przybiegając przy pierwszój sposobności —• nic było lepszego.

— Dziękuję za taką łaskę — odpowiada na seryo obrażona matadora.

— Jednakże widziałem, starał się, bawił panią rozmową...

— Prawda—rzeczona to z usniicchem pani—przekonywał mię ciągle, zcęc nie jest męzczyzną,..

— To nieprawda, pani dobrodziejko, ja go znam...

— Daję panu słowo. Powiada, Ze wychował się między kobietami samemi, że nie czuje w sobie nic męskiego, i że dla tego taki nieśmiały.

— Być mozo — tłumaczy się trochę zakłopotany facet ~ bo to w naszych sferach wyższych różne rzeczy się dzieją... Matka jego hrabianka z bogatego domu...

— A któż on taki? — przerywa dama.

— No hrabia, ale proszę pani dobrodziejki, z przekonañ demokrata, i dlatego obraża się, gdy go kto hrabią tytułuje... W głowie u niego dobrze, to ja więc, bogaty, a cała rzecz, że nieśmiały... on się jeszcze wyrobi...

Pocziwy facet, dla udobruchania aksamitnćj pani mecenasowćj skłamał znów pro publico bono i sztuka mu się udała. Hrabiemu i bogatemu wiele się rzeczy darowuje, nawet gdyby nie czuł w sobie nic męskiego, to tóż i facet nasz w dalszym ciągu swych spostrzeżeń miał już tę pociechę, że okazała pani nawet w bardzo ożywiony sposób prowadziła rozmowę z młodziutkim tancerzem.

Otóż jest i mazur, podczas którego facet rozwija cały swój talent towarzyski, aby tylko ożywić zabawę. Pot leje mu się z czoła, zakręcone w baranka włosy opadają na czoło, a on skacze zapamiętale, tupie, rozpędza się niby farys na puszczy i całą po

stawą swą pełną werwy i życia dodaje ochoty wszystkim. Gdy wypadnie figura* w której tancerka rzuca chustkę do góry, facet za każdym razem staje do kółka i tak zabawne wyrabia szprinco, żeby tę chustkę uchwycić, tak się o nią dobija, że doprawdy sto pociech jest z niego. Nad ranem dopiero, kiedy zmęczona jenoralna komenda zacznie folgować w dowództwie, facet powraca do używania praw swoich i z całym zapalem prowadzi białego mazura. —• Jest to już zenit tryumfu jego, dla tego też zamyka drzwi od przedpokoju, futerka damom chowa, aby się armia nie rozbiegła. Dla mężczyzn ma on tam gdzieś w piecu czy wkredensie zachowaną baterię butelek, wynosi ją, komponuje figury z piciem na klęczkach, wznosi toasty dam, taniec prowadzi po wszystkich pokojach, a to wszystko dla honoru domu, żeby zabawa przeciągnęła się do 9-tej godziny zrana.

I powiedzcież rai państwo, jak tu nie cenić zasług, poświęcenia i talentu faceta. Literalnie rzecz biorąc, wychodzi ostatni z balu sponiewierany, zziązany, z miętoszony jak futro wyjęte z letniego przechowania, a mimo to, jak potrzeba, odprowadza jeszcze do domu panie, które nie mają męski śj opieki. I myślicie, że tu już koniec jego pracy i służby, i że przyszedłszy do domu, cały dzień spoczywa po tylu forsownych trudach? — Nie, facet tak prozaicznie nie kończy. Wypiwszy kilka filiżanek kawy czarnej i orzeźwiwszy się zimną wodą, siada i pisze relację do gazot z owej zabawy, która się odbyła ze staropolską gościnnością. Ten frazes „staropolski^k stale na-

leży do jego zapasu literackiego, baz względu, ery w polskim, lub niepolskim domu odbywała się zabawa. — Znając się jak nikt inny na strojach kobiet umić zestawiać opisy tak, iż każda znajdzie tam dla siebie coś wyszczególniającego i pochlebnego; nawet młode panienki w białych muszlinowych sukienkach będą porównane do owych istot ulatujących przed oczami widza w białej mgle fruujących falbanek niby w obłoku marzeń. — Facet pisując podobne sprawozdania, nie liczy się bardzo z sensem; czém więcej frazesów górnolotnych, tem bardziej się interesowanym podoba, aby tylko było coś uderzającego. — Napisawszy swój panegiryk, biegnie sam do redakcyi i targuje się jak żyd o każde słowo, które mu kronikarz dziennika chce zmodyfikować... — Zagada, ogłuszy, wymodli i sam korektę zrobi, żeby przypadkiem czegoś nie zmieniono. — Skończywszy z redakcyą, biegnie jeszcze uczynić porządek po balu, i gdy cała rodzina gospodarzy spoczywa snem błogosławionych, facet ze służbą przynosi meble, odsyła pożyczone serwisy, targuje się z dostawcami i czyni wszystko to co porządny aranżer uczynić powinien. „Xie powić mi nikt — odzywa się, gdy go obsypują pochwałami - żem opuścił swoje stanowisko i honorowo nio wypełnił obowiązku!”

Wśród takich zajęć i nieustannej służby po domach zaprzyjaźnionych, najczęściej facet nie ma czasu pomyśleć o własném szczęściu. Zostaje tedy do późnego wieku starym kawalerem i z dobrą już łysiną a nawet siwizną na głowie, jeszcze urządza bale

i wieczorki, przewodniczy na wycieczkach i kuruje się zimną wodą. Tysiące jeszcze mógłbym tu wymienić usług, które oddaje facet zaprzyjaźnionym damom. Ułatwia sprawunki, odprowadza i sprowadza z kolei, urządza niespodzianki, bierze udział w wyborze strojów, zamawia bilety do teatru wyszukuje rzeczy w garderobie, zajmuje się leczeniem pieszków — jednym słowem nieoceniony to i zwykle bezinteresowny adorator płci pięknej, Trafi mu się czasem i to, że zakocha się w jakiejś na schyłku okwitnięcia mężatce, która zdaje się tolerować to jego uczucie w imię zasady, że na bezrybiu i rak ryba. Facet służy jej wiernie póki tylko sama zechce, przysyła bukiety na imieniny, częstuje cukierkami dzieci, nosi książki i nuty, przychodząc regularnie w dni przyjęcia na herbatę. Mąż wcale nie bywa o niego zazdrosny, choć widzi te niewinne afekta, skutkiem czego, wolny od wszelkiej grozy, przywiązuje się do domu jako stary przyjaciel rodziny. I chodzi tam całe lata, w naradach i sprawach rodzinnych bierze czynny udział, czasami nawet burmistrzkuje, a choć ludzie na rachunek tej zażyłości lubią go prześladować i nieco dokuczać—facetowi robi to pewną przyjemność, a nawet zaszczyt, że i on też coś może i coś znaczy.

Ale trafia się i to, że znajdzie czasem jakąś chybioną gwiazdę salonową, która zdecyduje się los swój połączyć z facetem. — Bywa to zwykle wyższy jakiś sentymentalny umysł, jakaś zwichnięta artystka, zubożała z lepszych sfer osoba, a najeżęścić

rozkapryszona guwernantka. Facet nie ożeni się ze zwyczajną kobietą; on potrzebuje czegoś, coby tnu imponowało rodem, czy nauką, - czy talentem, aby mógł służby swoje i po winną adorację ofiaro* wać... Wtedy z faceta towarzyskiego staje się wzorowym mężem, ale to takim mężem, którego zwykle za wzór inne żony swoim mężom pokazują. — Pełen uwielbienia i zachwyty dla swój bogini, z całą rozkoszą i pychą służy on jój aż do znudzenia. — On sam jest gospodynią i matką w domu, a ona jego królową. Z uczuciom przywiązania psa, patrzącego w oblicze pana, śledzi on wszelkie życzenia swej pani i widzi w niój tylko, spotęgowane wszelkie przymioty doskonałości kobiecój. Do żadnój pracy domowej dotknąć się jój nie pozwoli, a chciałby, żeby była najlepšíj ze wszystkich ubraną, najlepiej obsłużoną i wszędzie adorowaną,.. I rzeczywiście, dla kobiety lubiącej wygody, kadzidla, bałwochwalcze hołdy i nieograniczoną miłość, facet jest najlepszym kandydatem na męża. Zapracuje się, zdrowie utraci, jeśli nie ma odpowiedniego majątku, aby tylko żonie jego na niczem nie zbywało, a kiedy mu ktoś ze znajomych zwróci na to uwagę, odpowiada mmój więcej w te słowa: „Trudno, łaskawa pani, piękny brylant potrzebuje pięknej oprawy.

Wypada tu jeszcze dla zaokrąglenia charakterystyki faceta towarzyskiego, powiedzieć parę słów o stosunkach jego z innymi mężczyznami. Otóż w tych stosunkach, prawdę powiedziawszy, leży całe źródło utrapień, jakie tylko niewinnego człowieka

dotykać mogą. Pomimo wszelkich z jego strony usiłowań, aby jakoś dobrze usposobić dla siebie ten zadzierzysty żywioł mężczyzn, pomimo unikania na każdym kroku nawet roli barana do mącenia wody, spotyka on ciągle tylko same żarciki i szyderstwa. Młodzież uważająca się za powagę, widocznie znosić nie może jawnej przewagi faceta w łaskach u płci pięknej i dla tego przy każdej sposobności, w sposób dość brutalny, wyrzuca mu jego zniewie- ściałość. Jeżeli się to dzieje w gronie samych mężczyzn, wywija on się z całą dyploraacją. Żarty i docinki przyjmuje z całą otwartą wesołością i sam śmieje się z drugimi z siobie; lecz ile go to kosztuje potem i do jakiego stopnia rozjątrza, Bóg jeden wiedzieć raczy. Inna rzecz, gdy zostanie napadnięty w obec kobiet. Wrodzona lękliwość nie pozwala na energiczne odbijanie ciosów, zaperzy się tedy więcej może niż potrzeba, co jeszcze bardziej naraża go na śmieszność. Sam byłem świadkiem, gdy na pewnym balu publicznym nastąpiła tego rodzaju mała awantura między facetem a wytrawnym już borbifaksem salonowym. — Chciał on się wmięszać w jakieś zarządzenie tańcami, czy coś tego rodzaju, dość, że go bez wszelkiego respektu usunięto na bok.

— Kto pan jesteś! — krzyknie ów jegomość zaczepiający.

— Kto ja — to ja sam wiem, bez pańskiego pytania, ale kto pan taki! odpowiada z pewną hardo- ścią facet. — Daję panu słowo honoru, że tego nie

----- —
— Jaki pan masz honorV — wola z zarzutem borbifaka stając w groźno-drwłącym postawie.

— Jaki ja mam to wiem!... ale jakipau masz?... Co panu do mego honoru, proszę pilnować swego — odpowiada, parafrazując zwykle pytania,

Borbifaks wzruszył ramionami, odwrócił się tyłem i poszedł dalej, a nasz zmaltretowany facet rzucał się czas jakiś między bliżej znajomymi, odgrażał, wymyślał, lecz wkrótce o tem zapomniał.

Inna rzecz gdy zajdzie awantura jaka między jednym a drugim facetem z tego samego lub innego obozu. Awantury takie niestety trafiają się dość często, bo z samej natury rzeczy i rywalizacyi, każdy facet drugiego serdecznie nienawidzi; z tego powodu wyprawiają oni też bardzo często pocieszne widowiska, w których zarzucają sobie wzajemnie facetostwo i kończą zazwyczaj na ostentacyjnym wyzwaniu, (idy się to stanie, całe miasto już w parę godzin jest zaalarmowane tym wypadkiem. — Faceci jednej i drugiej strony biegają po wszystkich miejscach publicznych i trąbią o przyszłym starciu.— Co godzina przybywa jakiś fakt nowy, po ulicach zbierają się gromadki zaaferyowanych przyjaciół, coś radzą, fiakrami się rozbijają, następują narady sekundantów, tworzą się komitety ugodowo, głos publiczny oburza się przeciw rozlewowi krwi, a jeden i drugi facet są prawdziwymi bohaterami dnia.

Zatrwożono stronniczki każdego z facetów, wysyłają mężów, aby interweniowali w sprawie owych szaleńców. — Co chwila sytuacja staje się groźniej-

szą, idą bezimiennie doniesienia do policji i czynią siy wszelki u usiłowania na złożenie sądu honorowego. A tymczasem nasz facet jest rozrywany, a fantazyja i odwaga kawalerska rośnie w nim, rośnie i czasami wyrasta nad jego głowę. Pięćdziesiąt razy przynajmniej w ciągu dnia musi opowiadać ze wszystkimi szczegółami przyczyny zajścia, pokrywając wymuszonym milczeniem nazwisko damy, (bo zawsze musi być dama przyczyną pojedynku). Słuchające kobiety załamują ręce z przerażenia, modlą się do bohatera, żeby pofolgował obrażonemu uczuciu honoru, nasyłają różne osoby dla perswazyi, ale facet zostaje zimnym i twardym jak gład.

Sąd honorowy zebrany zwykle z podobnych facetów, nie przychodzi do skutku i zacierzewieni przeciwnicy gotują się już na bój śmiertelny, — Facet podług wszelkich znanych z romansów zwyczajów, pisze listy, pieczętuje, oddaje w pewne ręce, a rozdrażnienie wzmaga się z każdą chwilą. Już o pałaszu nie chcą obadwaj słyszcć, na plac występują pistolety, meta się skraca, jest mowa o strzale na długość chustki od nosa, którą przeciwnicy mają trzymać w zębach. Dalój idą tłumione pogłoski o pojedynku amerykańskim, wreszcie pokazują się w tonie dość przezroczytym, pełne jednak oburzenia, artykuły w dziennikach miejscowych...

Nareszcie przychodzi dzień fatalnej rozprawy. Tradycyjalne miejsce w lasku krzywczyckim, zostało wyznaczone, fiakry wiozą rychło świt przeciwników z całym aparatom sekundantów i zwykle

po dwóch lekarzy z felczerami, instrumentami, noszami i bandażami*.. A tu, jak zapewniają przyjaciele obu stron wojujących, polowa miasta całą noc nie spała, artystka ta a ta nie mogła grać wczoraj, pani Idalia dostała paipitacy serca, panna Seweryna mdlała sześć razy — facet tylko sam zachowuje zimną krew, jak przystało na honorowego męża.

Fiakry zatrzymały się pod lasem, wrogowie oddali sobie zimny ukłon i cała kawalkada w uroczy- stém milczeniu stanęła na umówionój polance. — Odmierzono kroki, nabito pistolety i pojedynkujący się stanęli naprzeciw siebie. Jeden z najodważniejszych mężów- sekundantów, człowiek, który jut nieraz proch wachał, opowiadał mi, że w obec tej sytua- cyi i zimnej krwi przeciwników, poprostu zgłupiał: Mówię panu dobrodziejowi, było w tem coś nadludzkiego, bohaterskiego...⁴¹ Sekundant, mówca jeneralny na zgromadzeniach różnych stowarzyszeń, znany Koguciński, według przyjętego w takich razach zwyczaju, występuje ostatni raz z propozycją zgody... Ulokował się na ściętym pniu, brodę rozpuścił na wiatr niby wajdcłota w rysunkach An- driollego, oczy podniósł do góry, a ręce ułożył podług Skargi z obrazu Matejki. Początek przemówienia cichym był, niby szmer płynącej wody w pod- ziemnych kanałach, którego przeciwnicy oglądając z całą flegmą trzymane w rękach narzędzia śmierci, zdawali się wcale nie słyszcć. Lecz w miarę napływającej do duszy oratora myśli poważniejszój i nastroju czulszej nieco natury, wymowa jego z tonu

A, WiJciytiki, _ sikiee 1 ohrukl. Id

lekkiego wiosennego deszczyku, przechodziłam ulewę... — Jut, już, jak zapewniał mnie jeden ze świadków, zaczęły po sercach słuchaczy przebiegać błyskawice niekłamane go wzruszenia, już dawał się słyszeć oddalony grzmot... cała natura nadstawiła uszy w trwożnym oczekiwaniu, aż wypadł grom z jasnego nieba: „Panowie! czyż w obec tych faktów i świętego obowiązku oszczędzenia każdej kropli naszej krwi, tyle potrzebnej dla wyższych, szczyt- niejszych celów — postępek wasz nie będzie zbrodnią? Czyż godzi się wam, którzy powinniście przyświecać przykładem młodszej braci, niwoczyć przyszłość naszą, wykradając ze skarbu majątku narodowego znaczną część siły jego? Panowie! w imię potomności która wam zlorzeczyć będzie, w imię celów najdroższych dla każdego z nas, zamiast wyrzucania kul z tych morderczych narzędzi, wystrzelcie serca wasze ku sobie, splećcie ręce i ramiona, o to wzywam was po raz ostatni, stojąc nad otwartą jamą grobu waszego!..” * Nie skończył jeszcze mówca, potrzęsął głową i wydał oratorskie usta, aby razem z przyszłą trumną przeciwników spuścić się do owój jamy, gdy w twarzach i całej ich postawie okazała się dziwnego rodzaju reakcja.

— Strzelaj pan! — krzyknął jeden, rzuciwszy broń po za siebie i rozerwawszy z gwałtownym ruchem szaty na piersiach... dodaje: — Ja nic mogę, daję słowo honoru, nie mogę.

Lecz któżby strzelał do bezbronnych i ktoby chciał ostać się zimnym w obec wypadku takiej do-

niosłości. Przeciwnik wypalił do góry, wyjął chustkę, a ocierając łzy rozrzewnienia rzucił się w objęcia wroga. Ze wszystkich stron posypały się oklaski, adoracje, łzy, ściskania i tym podobne oznaki szczęśliwie zakończonej sprawy. Honorowi obrażonemu stało się zadość i — krzyknęła opinia, a zapaśnicy wraz z alegantami i całym ratunkowym aparatem, kończą zjednoczenie serc swoich u Mańkowskiego. Nic to nie znaczy, iż po mieście krążą różnego rodzaju złośliwe pogłoski—2e mówią tam cos o rzeczach naprzód ukartowanych, o braku ołowiu w lufach i tym podobnych mankamentach — facet jest wyższym nad wszelkie oszczerstwa nieprzyjaciół, podnosi głowę wyżej, jak człowiek który już przebył pierwszy chrzest honorowy i szczęśliwy jest i zadowolony, bo zajmowało się nim całe miasto przez parę tygodni.

— I pan, panie Feliksie — pyta go z trwogą jedna z przyjaciółek — mogłeś tak z zimną krwią patrzeć w otwór nabitój lufy pistoletu?... Jabyś zaraz zemdlął.

— Trudna rada — odpowiada z zimną powagą facet — honor, pani dobrodziejko, jest jak przepaścista skała, na którą ani wejść, ani zejść nie można bez szwanku!

Na to i my też nie mamy co więcej do powiedzenia.

Być może, nie wyczerpałem do dna całej charakterystyki faceta towarzyskiego, rzuciłem szkic tylko

imP^lpWWm^

[P8] <S>iiętl proszę o przebaczenie ... fcsW, MfttfZfigając 30We ich łaskę do nastę.
Cfflgo feceta z innego już daSalw, fctdtego opia, o Whier&m ijteteryału, podad wrtkoo nie
omie-

want

-• . .

»

i ■

ZE STRACHU.
HUMORESKA.

Zmiana dziedzica we wsi jest zwykle faktem doniosłego znaczenia dla włościan i służby dworskiej.

Kiedy stary pan już zacznie się kręcić, szukając nabywcy, i gdy zobaczą ludzie, że jeden, drugi przyjeżdża na oględziny, po których następują dłuższe narady we dworze -w całej wsi wrze i kipi, jak kasza w garnku. Pan arendarz, jeżeli przypadkiem nie bierze udziału w pertraktacjach, chodzi jak struty koło dworu, nadstawia uszu, 'wypytuje się służby, bada, zagląda do okien i z całą serdecznością zaprasza w gościnę faktora, który przywiózł owego pretendenta do nabycia. Ekonom również nieswój, przybiera taką uniozoną minę wobec swojego pana, taki staje się pokorny, gorliwy, usłużny i o dobro pańskie dbały, że w całym otoczeniu rodziny sprzedającego obudzą prawdziwą sympatyę. W oznakach tój służ- bistości, w żalostnym spojrzeniu jego, w cichym głosie i chodzeniu na palcach przez pokoje, widzą oni życzliwość i smutek rzetelny z powodu spodziewanego rozstania.

Są i tacy, którzy naprawdę smucą się taką sytuacją dziedzica, lecz ekonom wyjadacz czyni to dla czego innego. Dla jego sentymentu zmiana służby ma to samo znaczenie, co zmiana bielizny w niodzie- lę, a jeżeli wobec nowonabywcy staje się tak czułym i uniożonym, to idzie mu o dobrą rekomendację starego pana, aby mógł dalej zostać na miejscu. Już to prawda, że w owych czasach przejściowych biedny ekonom musi być niepomiernym dyplomata. On to bowiem obwozi amatora kupna po polach i lasach, on daje wyjaśnienia i opinię co do wartości majątku, a tu panie zorjentować się nic można, czy kupno przyjdzie lub nie przyjdzie do skutku. Nuż nie kupi, to obecny dziedzic będzie miał żal do niego, iż mówił zawiele prawdy; nuż kupi, a potem okaże się, że nie tak jest jak informował—straci zaufanie jako niesumienny człowiek, którego dalej trzymać nie warto. Pozwolenie zamiany chudej i starój krowy swojej na inną ze stada dworskiego, jakie się często udziela ekonomowi przez dawnego pana (ma się rozumieć jeżeli majątek sprzedawany jest z inwentarzem), nie potrafi mu wynagrodzić utraty służby na miejscu. Dlatego też nic dziwnego, że podczas takiego interregnum zacny ten sługa pański jest wciąż roznerwowany i niepewny co się z nim stanie od sw. Jana.

Jeżeli nowonabywca przyjeżdża swojemi końmi, woźnica jego odgrywa tu dość ważną rolę wobec ciekawości pana arendarza i pana ekonomia. Ale niech na nieszczęście przyjedzie fiakrem z miasta

lub najętą furmanką, ten już nic mewie, a z nim i cała rzeczpospolita wiejska. W karczmie na rachunek przyszłego dziedzica odbywają się narady i libacje między gospodarzami, którzy z dziwną przenikliwością już % oblicza pretendenta potrafią odgadnąć, czy to gospodarz z gospodarzy, lub czyli fryc, z którego można będzie pociągnąć, Jednym słowem, zmiana dziedzica porusza wszystkie intere- sa, niepokoje i nadzieje znacznej liczby osób nie tylko we wsi, ale i w sąsiednióra miasteczku między żydami.

Przez taki sam ogień nowego dziedzica przeszedłem i ja kupując Cierpiątka, wioskę o kilka mil ml Warszawy, na Podlasiu leżącą, której najbardziej bijącym w oczy przymiotom były: piaski, przetrzebione zarośla karłowatój sośniny i obfitość nieprzebrana kamieni polnych, mających, podług teorii obwożącego mię ekonoma Sieczkowskiego, dodawać wilgoci i urodzajności roli.

Pan Sieczkowski, typowy ekonom dawnój daty, przysiadły, rozczochrany, z twarzą koloru świeżój wątroby, polecony mi został przez poprzednika jako zawołany gospodarz, a pilny, a gorliwy, a dbały

0 pańskie dobro—jak żaden inny w okolicy.

Kupiłem tedy Cierpiątka, sprowadziłem manatki

1 zacząłem oporządzać mieszkanie, aby przyjąć godnie połowicę moją, która pozostała jeszcze w Warszawie do czasu aż wszystkie roboty będą pokończone. Tymczasem w Warszawie pokazała się cholera, niewielka wprawdzie, ale że strach ma wielkie oczy,

więc nalegał* małżonka, żeby się śpieszyć, bo jednej godziny chciałaby 'już być na wsi. Spieszyłem się tedy, a majstrowie kochani i panowie sąsiedzi gospodarze darli mię gorzój niż młodą lipę z łyka, do czego pomagał im chętnie wierny Sieczkowski, przedstawiając, tys w tych stronach majstrowie są na wagę złota szacowani. Siedziało ich tedy kilku, robili ni« robiąc, naturalnie na dworskim stole, o który zdaje mi się więcej dbali niż o sam zarobek, był to bowiem rok wielkiego przednówka i drożyzny. Dla dogodzenia tedy delikatn}^m podniebieniom, szczególnie pana mechanika ustawiającego nową mło- carnię, przyjąłem z rekomendacyi ekonoma znakomitą gospodynię, znakomitą kucharkę, osobę lepszego urodzenia, wdowę po gorzelanym, lecz wnuczkę obywatelską; matka jej bowiem pochodziła z obywatelskiego domu, chociaż pokochawszy się w rządcy, poszła za niego z czystej miłości.

Panią Fijałkowską przyjąłem z dziewczynką ośmioletnią i oddałem jej zarząd nowego dworu. Widziałem, że pani ta wielce układna i niepierwszej młodości, zrobiła mi wielką łaskę przyjmując ten obowiązek, a ujęła mnie jeszcze więcej, gdy się zaoferowała własną z obywatelskiego rodu pochodzącą ręką, gotować obiad dla mej godnej osoby. W prawdzie powierzchowność jej i zbyt szczupły zapas ruchomości, po które posłałem aż dwie furmanki, kiedy mogła je przynieść pod pachą, komu innemu dawałyby wiele do myślenia, lecz ekonom zaręczał mi, że to jest bardzo porządna kobieta, że ma rzeczy

u brata i to tego moc wielką i nie sprowadziła ich zaraz, bo nie wić czy się trutce u mnie uda.

Nie mogę powiedzieć inaczej, tylko że zwijała mi się pani Fijałkowska jak się natafcy i tok gorliwie pilnowała gotowania, it biedaczka od tego ogma spaliła sobie na nic delikatną cerę twarzy, a na nosie dostała nawet trochę fioletowego kolorytu.

Kto kiedy nabywał majątek i sprowadzał się do niego, to wiś, ile on w pierwszych dniach daje gospodarzowi zajęcia. Miałem i ja go dosyć, to tci jak przyszło o dziesiątej godzinie położyć Się do łóżka, spałem jak drewno na jednym boku. I'ewnćj jednak nocy, mimo twardego snu, zdaje mi się, że słyszę jakieś jęki przez ścianę i głośny szloch dziecka. Dom był drewniany, tuż obok mego pokoju mieściła się stancyjka, przeznaczona tymczasowo dla pani Fijałkowskiej, więc nikt inny tylko ona musi tak jęczeć, a płacz jest widocznie płaczem jej dziecka. Zrywam się tedy, zapalam świecę i biegnę się dowiedzióć. Okropność co się tam dzieje! Fijałkowska wije się na łóżku i jęczy tak przeraźliwie i charczy i zrywa się nieprzytomna z obłąkanym wzrokiem, iż zdaje się za chwilę ducha wyzionie. Dziewczyna siedzi na ławce obok łóżka i zawodzi, a na moje pytania wśród płaczu i łkania plecie trzy po trzy, czego ja zrozu- mić nie mogę.

— Co pani jest, co się stało? — pytam zbliżając światło do chorśj.

— Tu, tu—krzyczy, pokazując na piersi i nićój— straszne boleści... O święta Maryo Boga rodziciel

ko... o rany przenajświętsze... ratujcie... Och... ach... ratujcief...

Spojrzałem na nią... Twarz kompletnie zmieniona, oczy zamglone, a prawie już cała sina... Cholera, pomyślałem sobie w tój minucie i dreszcz mię przeszedł, bo inne symptomata tój złowrogiej choroby potwierdzały moje przypuszczenia.

Nie tracąc chwili, biegnę rozbudzić dziewczkę do kuchni, walę we drzwi mieszkania stangreta, ażeby jego kobieta przyszła, a on rozbudził ekonoma. Na wsi ludzie nie są tak skorzy do rozbudzenia się, jak to się nam nerwowym mieszczuchom zdarza, którym brzęk muchy może sen odjąć — więc nim się tam jedno i drugie rozezmychało, zapalam ogień na kominie w kuchni, grzeję pokrywki, a obwiązawszy w serwetę, niosę chorćj do przykładania. W kwandrans może zjawia się napół ubrany ekonom, przybioga żona stangreta, pokazują się dwie jeszcze kobiety, więc grzeją pokrywki, popiół—kobiety trą szczotkami nieszczęśliwą, którą już siły zaczynają opuszczać, a swoją drogą kurcze się wzmagają.

— Cholera—szepnę do ekonoma.

Oślupiał wylupiwszy na mnie zaspane oczy i trzymaną w ręku pokrywkę upuścił ze strachu.

— Biegnij pan co tchu do stajni, rozbudź którego parobka, niech zaprzęga natychmiast do bryczki i jedzie po doktora.

— Parobcy, proszę jaśnie pana, na łąkach z końmi...

— Zbudzić Jaśka czémpręż), niech Jedzie parą cugowych...

Jasiek był to pół lokaj przyszły, pół ogrodniczek, już coś lepszego od zwykłego parobka, ale końmi umiał powozić.

F.koTtom wybiegi, a tu ratunek idzie daUj pod moją komendą, chociaż, z wielkim niepokojem widzę, że to wszystko napróino. Naraz przypomina mi siy, że właśnie jutro rano żona z dziećmi ma wyjednać koleją żelazną z Warszawy, a Franciszek stangret 0 ósmej ma zadysponowane jechać powozem do stacyi. Ot, wybrała się w sam czas, ucieka przed cho. lera, aby ją znaleźć u siebie w domu... Co tu robić— prawdziwe nieszczęście; trzeba zatelegrafować, aby się wstrzymała z wyjazdem. Każę tedy Franciszkowi osiodłać konia, i sam biegną do mego pokoju napisać depeszę. Lecz jak tu napisać! Że cholera tutaj, to oczywiście, nie przyjedzie, ale będzie niespokojną o mnie. Siedzę tedy, pióro gryzę, jak tu ową depeszę wystylizować, a tymczasem bije zegar czwartą. Trzy opętane mile od stacyi koiejowój. a zatem

1 do telegrafu. Franciszek przeto nie zdąży jak na siódmą godzinę, więc depesza już niedojdzie przed jej wyjazdem z Warszawy, a rodzice zaniepokoją się podwójnie o nas obojga. Niéma rady, trzeba samemu jechać naprzeciw niej, wstrzymać wyjazd na wieś « zawrócić napowrót do miasta.

Już się zdecydowałem i wstałem z krzesła, aby dać polecenie Franciszkowi, gdy wpada Sieczkow-

siei t miną człowieka, który, jui nio wie sam co robi.

— Jaśnie panie f

— No, co, umarła? — pytam myśląc o Fijałkowskiej.

— Jasiek nio może jechać...

— A. niechże pana Bóg kocha t — rzeknę na to uśmiechnięty — nie może, to niech jedzie kto inny, a pan wpadasz z taką miną, jakby przynajmniej Jasiek umierał...

— Jaśnie panie—odzywa się płaczącym głosem, ruszając smutnie głową—nie wiele mu się do śmierci należy...

— Co? Jasiek? Cóż mu się stało?

— To samo co Fijałkowskiej; zaszedłem do oficyny, żeby go obudzić jak jaśnie pan kazał, a on, proszę jaśnie pana, niby tak, nicprzymierzając, jak wąż po podłodze, i tu i tam, i wrzeszczy, a tu, z pozwoleniem, jedno i drugie, aż strach.

Przyznaję, że mrowie przeszło mnie całego, włosy podniosły czapkę, i zdawało mi się, że coś zaczyna mię wewnątrz niepokoić... To ci los — myślę — tak gwałtowny początek epidemii... Zrazu nie mogłem się zojentować co tu począć, wiadomość przynicsio. na przez ekonoma uderzyła mię jakby pałką po głowie, zem myśli nie mógł zebrać. Trwało to jednak tylko chwilę.

— Poszukać kogobądź ze wsi, aby jechał po doktora, Franciszek niech natychmiast zaprzęga do bryczki, pojedzie ze mną... rozbudzić karbowego

i ludzi ze wsi, niech przyjdą ratować jaśka... okładać go, trzeć... ja zaraz tam idę...—
wyrecytowałem jednym tchem, oglądając się zą ubraniami na drogę.

Ekonom wysłuchał tego niby, ale stoi z dziwnie wykrzywioną twarzą...

— No, słyszałeś pan, czego stoisz?

— Jaśnie pan jedzie? — mówi płaczącym głosem...

— Jadę, albo co?...

— A cóż my tu nieszczęśliwi?

— Idźże pan do kaduka! — krzyknę już zły i zniecierpliwiony — cóż ja wam poradzę... No
prędzój, ratować tego biednego chłopca. Jakże gospodni?...

— Posłałem dziewczkę po sołtysa, żeby księdza przywiózł... Ustały podobno bóle... ale
ledwie dyszy... I mnie coś, jaśnie panie tak... — mówi drżącym głosem i ze łzami w oczach —
nie wióra, czy jaśnie pan mię zastanie.

— Co się tam bać, ot napijmy się wódki, panie Steczkowski, mam tu z kroplami.

Jakoś po owym napiciu się i mnie i jemu zrobiło się rzeźwić, bośmy palnęli po dwa
spore kieliszki. Obejrzałem Jaśka — prawda I Słowo w słowo toż samo co u Fijałkowskiej;
chłopak jęczy, trzymając się za żywot i tak samo czernieje...

Tymczasem już od wschodu świtać zaczęło, po lekarza pojechał karbowy, więc
zostawiwszy ekonomowi dyspozycję jak przyjąć lekarza, zostawiwszy mu pieniądze na
honorarium i lekarstwa, wsiałem do bryczki, zapowiadając, ia po południu powrócę.

Droga była zła, bo to nie puści to jeszcze zupełnie, więc tu skorupa śniegowa, którą koła krają, tu jama z wodą po pas, a na spodzie kochane podlaskie kamienie, o które jak uderzy koło, człowiek podskakuje niby elastyczna piłka o łokieć nad siedzenie. Je- dziomy prędko, konie miałem dopiero co kupione, spasione i wypoczęte, więc tylko się migają drzewa przy drodze, a białe płaty śniegu po polach wydłużają się w nieprzerwane smugi, ot tak samo, jakby się jochało koleją żelazną...

Pomimo to wszystko jeszcze mi się zdaje, że wolno jedziemy, bo w duszy niepokój i przykro myśli, od których oderwać się nie można. Już to takie moje szczęście — myślę sobie — jak w podobnych wypadkach każdy człowiek myśli, że on nigdy w życiu swm nie zaznał szczęścia, a tylko ciągle borykać się musiał z przeciwnościami. Więc też i ja, sięgając głębiej w moją przeszłość, przypominałem sobie wszelkie najdrobniejsze zdarzenia, owe kolce codzienne, które mię kłuły i kłuły, nie dając chwili wytchnienia, począwszy od czasów szkolnych, w których ile razy nio wyuczyłem się lekcyi to z pewnością profesor mię wyzwiał. Potem szły inne, w życiu człowieka dość pospolite, a które właśnie przypominają się i rozgoryczają, skoro chwilowe usposobienie po temu.

Na godzinę dziewiątą byłem już w powiatowém mieście, zkąd już niecała mila od stacyi kolejowój. I

Mijając dom, w którym mieszkał naczelnik powiatu, zobaczyłem go właśnie w oknie.

Niedawno poznałem [uj /naczelnikiem, lecz jakoś odrazu przyłgnęliśmy do siebie i stosunki nasze stały się serdecznymi.

— Dzień dobry — zaczepia mię — a gdzie to tak nagle?...

—Dzień dobry — odpowiadam ~ do kolei po żonę.

—Jeszcze dość czasu, pociąg przychodzi o jedenastej, proszę niech pan będzie łaskaw wstąpić na kawę; właśnie dopiero co podali.

Wysiadłem i idę do jego gabinetu i opowiadam o moich tarapatach...

—Nie może być, żeby to była cholera', dzięki Bogu w powiecie nie zdarzył się żaden wypadek...

Ja przekonywam że tak jest, że dawnymi laty widziałem chorych na tę chorobę i że wszelkie oznaki nie pozwalają wątpić.

—Skoro tak — powiada mi naczelnik — to muszę tam pojechać. Jest to wypadek ważny, trzeba coś zaradzić. Wezmę ze sobą lekarza i cyrulika, a łaskawy pan zechce'nam udzielić swój gościnności.

Jakoż zaczął się zaraz ubierać i konie kazał zaprzęgać, posłano po lekarza powiatowego, a ja tymczasem wsiadłem na bryczkę i dalej do stacyi kolejowej.

Jużeśmy mieli dojeżdżać, kiedy mi przyszło na myśl zapytać się Franciszka, zkąd Fijałkowska pochodzi, bo bardzo być może z miejscowości gdzie panuje cholera, której zarodki z sobą* do nas. przywiozła.

^ WJIBij-tłrtM. — Sftiue 1 obrazki.

- Pono z Łukowa—mówi furman obojętnym tonem; jest to bowiem człowiek dobry i uczciwy, lecz tak powolny, a nawet powióm apatyczny, że nióma wypadku, któryby go ożywić i wstrząsnąć nim potrafił.

— A nie słyszałeś, czy jest tara cholera w Łukowie?

- Nie słyszałem i ludzie na jarmarku nie gadali to może nióma.

- Więc zkadże u Boga — mówię prawie do siebie — mogła się objawić u niój ?

— U kogo? —pyta oglądając się z kozła.

— No, u pani Fijałkowskiej.

— Eh, proszę pana, albo to cholera!

— A co myślisz że nie! znam ja się dobrze, na cholere straciłem wuja przed kilku laty i przy całej chorobie byłem.

— U Fijałkowskiej, proszę pana, to nie cholera, rzeknie z dziwnym uśmiechem.

— No, a cóż takiego ?

Zawahał się, głową pokręcił i nic nie odpowiada.

— Gadajże, głupcze! — zawołał — bo to nic żarty...

— - A, wielmożny pan mnie nie zdradzi ?

— Gadaj śmiało, co mara zdradzać.

— Oto wydała się ona przed moją, która ją tarła, że te wszystkie leki po próznicy, bo oni z Jaśkiem napili się wczoraj tej wódki z haloesem, którą wielmożny pan trzyma w przedpokoju dla koni na lekarstwo i że ją to lekarstwo tak stargało; widzi wielmo-

żny pan, ona jest kobita, pijąca, a nie miała za co posłać po wódkę do karczmy, więc wzięta się do onfci butelki.

— -A- czemużeś mi niedołągo nie powiedział

0 tём gdyśmy byli w domu!

— Cóżem ta miał gadać, kiedy mnie nikt nio pytał, a we dworze okrzyknęliby mię za baczar/.^, co ino panu bajki znosi... U nich to proszę pana jedność jest między ekonomem, gospodynią i pacheta- rzem, i potćmby na mnie ogniem cisnęli... Dlatego też niech mię wielmożny pan nie wydaje...

—A ty myślisz, że to prawda, iż od owego aloesu ta choroba?

—Od czegóżby, kiedy nawet czuć było od niej okowitę i haloes, jak się było nad nią nachylić.

Sytuacya się zmieniła. Rzeczy wiście spora butla z aloesem rozpuszczonym w okowicie stała za szafą w przedpokoju; nie zamykałem jej bom nic przypuszczał, aby znalazł się jaki amator, któryby się odważył pić podobnie gorzki eliksir koński. Ale co tu poradzić teraz? Po lekarza posłano, naczelnika zaalarmowałem niepotrzebnie, co zrobić z żoną

1 dziećmi, które nadjadą, a które trudno wieźć do domu trzęsącą bryką. Czasu mam do przyjścia pociągu zaledwie pół godziny, więc nio sposób wracać do miasta i ostrzegać naczelnika, aby nie jechał do Cierpiątok. Z drugiej strony rzecz biorąc, cieszyło mię, że to nio jest cholera i że rodzinę moją będę mógł sprowadzić, a że będzie trochę niewygodni o jechać, no—to jakoś musimy radzić.

Niestety; szanowna małżonka moja inaczej się na sprawo podróży zapatrywała, bo kiedym jej po pier- wszćiu przywitaniu opowiedział wszystko i pokazał bryczkę stojącą przed dworcem, na której mieliśmy się. pomieścić z dwojgiem dzieci i służącą, zrobiła tak kwaśno- ządzi wioną minę, że mnie aż w pięty poszło. Jechała, co prawda, pierwszy raz na wieś i spodziewała się odbyć tg podróż nowym powozem, któryśmy dopióro kupili, a tu zamiast parady, każą jej drapać się na bryczkę bez drzwiczek, na którą aby się dostać, musiałam prosić o pozwolenie krzesła ze stacyi. Rozczarowanie i zawód dla młodj kobiety, przyznaję sam, niebordzo przyjemne, więctńż nająwszy oddzielną furmankę pod pakunki, usadowiłem gromadkę moją jak można najdogodniój, a sam przez całą drogę odgrywałem pokorną rolę owego poczciwego stworzenia służącego na łapkach, aby tylko ile można rozpędzić chmury z oblicza sza- no wnój małżonki. Wracając przez miasto dowiedziałem się, że naczelnik z lekarzem już wyjechali, przeto nie mówiąc nic, że zastaniemy w Cierpiątka eh gości, kazałem kupić nieco zapasów do jedzenia i picia, i ruszyć co prędzój ku domowi.

Droga jak powiedziałem była zła, deszcz ze śniegiem potroszc kropił, więc łagodząc ile potrafiłem zły humor małżonki i pisk dzieci, około czwartj ściągnęliśmy do Cierpiątek. Patrząc, przed dworem pełno furmanek, a w pokojach kilkanaście osób: naczelnik, jego sekretarz, wójt, pisarz, sołtysi, dwóch lekarzy, ksiądz, felczer i Bóg wie kto. Odprowadziwszy

żonę do jej pokoju, pierwsza rzecz była zobaczyć butlę z aloesem w przedpokoju. Pusta, a kropli, a pamiętałem dobrze, było jeszcze wczoraj eliksiru z pół kwarty - • niema tedy wątpliwości, ja Franciszek prawdę powiedział. A tu panie za moim wejściem do kancelaryi, gdzie obradowano nad środkami sanitarnymi, ogólny krzyk, jak mogłem, jak miałem sumienie zwozić żonę i dzieci w takiej chwili.

— A czy to rzeczywiście cholera? — pytam ko- misyę.

— Najprawdziwsza — odpowiada lekarz osoba wielce z powierzchowności poważna, trzymająca jakiś flakonik z kroplami pod nosem, albowiem wtedy jeszcze o żadnych środkach dezynfekcyjnych nie wiadano.

— Cholera morbus czy nos/ras—przebąkuje drugi lekarz, po którego posłałem. — Wszystkie syrnp- toma są, kurcze i to i to... Siność twarzy...

— A jakże się mają?...

— W mocy Pana Boga ich życie - - dodaje proboszcz, kurcze ustały, ale jedno i drugie tak osłabione, że tylko opatrzyłem ich Olejami świętymi, bo spowiadać się nie mogli...

— Dałem środki wstrzymujące — mówi znów lekarz — ale panie łaskawy sił brakuje, sił... gdyby wcześniej mnie wezwano...

— Szczególniejsza rzecz, panie — odzywa się naczelnik — że nie możemy dojść, z kąd się zaraza wzięła i co jej za przyczyna. Od Warszawy mil to, w całym powiecie ani słyhu o epidemii; badamy

ludzi, śledzimy, żadnój poszlaki... Swoją drogą, kazałem chorą przenieść do oficyny i tam tymczasowo urządzić szpital...

— A może jabym wskazał przyczynę — rzeknę wesołym tonem...

— FJi, to trudno — odpowiada sekretarz piszący protokół...

— Wola Fana Boga — dodaje proboszcz — której opierać się nam, ani nad nią mędrkować nie trzeba...

— Jednakie ja popróbuje wskazać przyczynę—mówię na to, wynosząc butlę próżną z przedpokoju —oto w tój butelce była zaraza choleryczna.

—Żarty — przerywa doktor.

Więc ja tśż opowiadam wszystko, jak się dowiedziałem o tém dopiero przed samą stacją od Franciszka i że moja okowita z aloesem sprawiła tyle zamieszania. Lekarze kiwali jeszcze głowami, że to nie może być, lecz gdy naczelnik udał się sam do improwizowanego szpitala i zaczął badać Jaśka, który już nieco przyszedł do siebie, ten się przyznał, że Fijałkowska zaprosiła go wieczór na wódkę i że po niej zrobiło mu się niedobrze. Dopiero zaczęły się żarty z naszej obawy i panów eskulapów.

Zona moja także jakoś się udobruchała, więc i ko- lacyę z pomocą niańki ugotowano, a że wina miałem niezły zapasik, cały tedy wieczór przeszedł nam wesoło przy preforansie, któregośmy rozegrali coś cztery pule.

Kto z nas w swoim życiu nie spotkał człowieka, robiącego świetne interesy! Tego rodzaju meteory społeczne zanadto wysoko szybują ponad głowami pospolitego tłumu, żeby ich nie można dostrzedz, lub przynajmniej o nich nie słyszeć. Idziesz naprzykład ulicą w większym mieście, a tu naraz trąca cię znajomy:

— Patrz, patrz, to Szafrankiewicz!

— Co to za Szafrankiewicz?

— Zlituj się, nie wiesz! A toż całe miasto mówi o tym szczęśliwym człowieku!

— Wygrał na loteryi, czy co?

— I wygrał i ożenił się bogato i czego się dotknie, to mu się jak Midasowi w złoto zamienia. Nie dalej jak przed tygodniem zrobił znowu interes świetny na kupnie Wydrzyńca. Na drugi dzień odprzedał ten majątek hrabiemu X i wziął sześćdziesiąt tysięcy odstępnego.

Słyszac takie cudowne rzeczy, pomimo woli bierze chęć przypatrzenia się owemu wybrykowi losu choćby dlatego, żeby mieć pojęcie, jak też wyglądają ludzie,

robiący świetne interesa. I rzeczywiście, buńczuczna mina tego jegomości, jego zuchwałe ruchy, bezceremonialne zachowanie się w obec kilku kobiet, którym towarzyszy, s% tak uderzające, że ktoby nie wiedział nawet, co on za jeden, pomyśli sobie, że to musi być coś oryginalnego.

Pan Szafrankiewicz jest przekonany, że wciąż występuje na scenie, a całym obejściem daje poznać, że wie i czuje, jako jest przedmiotem powszechnej uwagi. Nawet zazdrośne spojrzenia i uśmiech ironii, którymi częstują go ludzie żółciowego temperamentu—sprawiają mu pewną przyjemność. Mając za sobą powodzenie, ma również poczucie własnej wartości i siły; irlzie więc wśród tłumów z taką samą swobodą, jak dobry pływak rozpycha falowody, po której płynie.

Ile razy zdarzy się zobaczyć podobnego szczęśliwca, pomiinowoli musi sobie człowiek westchnąć, dlaczego to na niego ten los nie padł. Zazdrościć, nie zazdrościć, ale że przykro się robi na sercu—tego nie mogę zaprzeczyć. Ot, jednego nawet znałem bardzo blisko, siedzieliśmy bowiem przez kilka lat na jednej ławce szkolnej; tuż obok siebie. Daję słowo, nieraz uczyłem się gruszki trząść na jego czuprynie, częstowałem studenckimi boksami, ani przypuszczając, że z tego potulnego Szafranka (takeśmy go w szkołach nazywali) wyrośnie kiedyś meteor, robiący świetne interesa. Co prawda, było to dobre i uczynne chłopczysko: nie bronił nigdy maczać pióra w swoim kałamarzu, podpowiadał wybornie łacinę, grał nawet w marysza pod ławką w czasie historyi, a jak przyszło napisać zadanie szkolne, to Bóg wie co obiecywał, aby mu tylko dopomódz. Pamiętam raz, za rozwiązanie przykładu z reguły łań

cuchowej pożyczył mi na dwa tygodnie swój cybulasty zegarek, z którym paradowałem w domu wujenki, gdzie mnie na święta zaproszono.

Szafrankiewicz już nie miał ojca, tylko matkę utrzymującą się z bardzo szczupłej emerytury, coś dwu- * stu złotych polskich na rok. Pamiętam i tę panią, kobietę niezmiernie żywą, gadatliwą i uprzejmą, wiecznie zajęta cudzemi interesami, a szczególnie panów i pań lepszego towarzystwa. Z dobrem sercem, wylana i usłużna dla swoich protektorów, była na każde ich zawołanie. Zachoruje kto w domu, posyła się zaraz po Szafransię, a ona siedzi po całych nocach i pielęgnuje sła bego jak siostra miłosierdzia. Wyjeżdża ktoś na dłuższy czas— pani Szafrankiewiczowa obejmuje zarząd domu i opiekę nad dziećmi. Potrzeba o coś się wystarać wyszukać służącą, dostać formę na suknię lub okrycie pomódz szyć przed jakim balem—Szafransia zjawia si[^] i powiada: „Dobrze łaskawa pani prezesowo, idę, lecę zrobić.” A mówi to z taką serdeczną ochotą, z tak dobroduszną gotowością, że trudno nie lubić takiej życzliwej osoby i nie cenić jej usłużności. Dopomagam więc biednej wdowie, jak kto mógł i czem mógł, dość że egzystowała i Alfredek się uczył i ubierał lepiej nawet od innych, mających zamożnych rodziców.

Skutkiem ciągłego ocierania się w lepszym towarzystwie, Alfredek miał już powierzchowność paniczyka co właśnie koledzy poczytywali mu za grzech śmiertelny. Studenci, jak wiadomo, lubią pozować na burszów i demokratów, lubią strój zaniedbany, szorstkość w o bejściu, więc potrafią odczuć każdą chętkę odróżniani* się, prześladując takich z całą młodzieńczą zapalczywością. Alfredek zawsze przychodził do szkoły z włosami

starannie uczesanymi i wypomadowanymi, więc też nie było dnia, żeby mu pod jakimbądź pozorem nie rozczochrano owej fryzury. Szafrank się bronił i awantury wyprawiał, ale to nic nie pomogło, bo zawsze wyglądał z temi włosami jak straszdyło.

Skończyliśmy gimnazjum; ja z pierwszą nagrodą, a on ledwie że przelazł piecem—i potem każdy w swoją stronę. Mnie się zdawało, że za parę lat powinienem zostać co najmniej ministrem, a Szafrank olśniony moją nagrodą powiada:

— Mama chce, żebym poszedł na aplikanta do trybunału i z czasem jak nieboszczyk ojciec został archiwistą... Mama mówi, że to jest bardzo dobre miejsce, bo co pięć lat dwieście złotych dodatku.

"Wzruszyłem ramionami, litując się nad taką skromnością żądań Alfreda, jednak pożegnaliśmy się jako serdeczni przyjaciele.

W sześć czy siedm lat potem, jestem ja w Warszawie, a odszukawszy kilku z dawniejszych kolegów, idziemy na śniadanie. Gawęda idzie o tem i o owem, jak zwykle między przyjaciółmi, którzy się kilka lat nie widzieli, aż tu jeden z nich powiada:

- Kto zrobił karierę, to Szafrank!... Pamiętasz, ten wylizany zawsze Alfredek...
- Cóż, został już archiwistą? Przypominam sobie, że było to jedyne jego marzenie.
- Ale gdzież tam! Ożenił się z jakąś kupcówną, i wziął sto pięćdziesiąt tysięcy posagu!
- Powiedzcież mi jak się to stało?—mówię zaciekawiony.—Toż to taki niemowa...

Aplikował w sądzie i jednocześnie pisał w kancelaryi jednego mecenasa. Tam poznał matkę swej

przyszłej, wdowę po kupcu, której sprawy prowadził mecenas. Otóż tak jakoś umiał się koło nich zakręcić, że przed dwoma miesiącami ożenił się i basta... Teraz mieszka sobie jako hrabia, zajmuje sześć pokoi na Kra-kowskim-przedmieściu, i słyszę robi świetne interesa... Anibyśgo poznał, taki się zrobił rezolutny, imponujący...

Rozpytawszy się kolegów o mieszkanie Szafran-kiewicza, idę ja tego samego dnia do niego. W przedpokoju siedzi lokaj w kamaszach, daję słowo, w piaskowej liberyi z opiętymi łydkami i powiada mi:

— Proszę pana o nazwisko.

— Idźże precz, ja ci się pytam, czy pan jest w domu?

— Jest—mówi, zastępując drzwi swoją lokajską osobą — ale zajęty i nie kazał nikogo wpuszczuć bez meldowania.

Chciałem się już wrócić — jednak ciekawość przemogła. Daję więc bilet i czekam już trochę zły.

Za chwilę wypada mój kolega cały rozpromieniony i chwyta oburącz z taką siłą, że ledwie mnie nie udusi...

— Cóż u kaduka znaczy ten drab w kamaszach i to meldowanie?—mruczę, idąc prowadzony pod rękę przez wielki salon jadalny do gabinetu.

— Musiałem to zrobić—tłumaczy się nieco zakłopotany—bo tak mię różni ludzie nachodzą, że niepodobna się opędzić... Ach, nie uwierzysz, co ja mam interesów!

— Słyszałem—przerywam —los ci poszczęścił przez ożeniecie...

— Ech, drobnostka, taki posag. Ja potem już zrobiłem parę interesów dosyć korzystnych... Wczoraj na-

przykład kupiłem majątek na Podlasiu, siedmdziesiąt włók, ale to mówię ci majątek całą gębą...

W gabinecie zastaliśmy kilka osób. Jakiś maleńki jegomość z młodą różową twarzą lecz całkiem siwy, siedzi przy biurku i coś ołówkiem notuje. Gruby żyd na pół cywilizowany z karkiem potężnym i czerwonym jakby u wołu, rozpięra się na kanapie i dmucha ustami, jakby mu tam w piersiach miechy pracowały. Dwóch innych także żydów, jeden w kurteczce popielatej i w ta- kichże krótkich majteczkach, drugi w chałacie jeszcze, cienki, chudy, o żółtej cerze z rozstrzępioną brodą— stoją przy drzwiach oparci na laskach, widocznie to są faktorowie.

Alfred przedstawił mię owemu różowemu jegomości z siwymi włosami, ale nie dosłyszałem nazwiska. Zdaje się, był to sprzedający ów majątek nazywał się Dychawica, bo to nazwisko ciągle się powtarzało w rozmowie. Przeprosiwszy mię, że musi jeszcze kilka minut pomówić z tymi panami, wyprowadził do sąsiedniego salonu, gdzie zajmąwszy miejsce na fotelu, zacząłem przerzucać leżące na stoliku albumy, Z pochwyconego toku rozmowy domyśliłem się, że tym parci).. chodziło jeszcze o kupno zostającego w Dychawicy inwentarza, bo ciągle targowano się o krowy, konie, owce i inne ruchomości. Zauważyłem jednak, iż Alfredek trzymał się twardo w cenie, którą ofiarował, bo często żydek w popielatej kurteczce odciągał go na bok, właśnie ku drzwiom otwartym salonu, w którym siedziałem, i z całą giesty- kulacją swoich dziesięciu chudych i brudnych palców, migając przed oczami Alfredka, przekładał, że nie powinien być tak upartym.

— Co jaśnie pan dał zadatku, te głupie trzy ty-

siące rublów!—mówi żyd, robiąc z postawy znak zapytania. — Ja jaśnie panu powiadam, co on w godzinę odda podwójny zadatek, na moją uczciwość, bo ja mogę mu nastreczyć kupca, który da zaraz dwadzieścia tysięcy więcej za Dychawicę...

— To mu daj!—odpowiada z uśmiechem Szafran- kiewicz.

— Jakto? jaśnie pan myśli, co Winower jest taki żyd łapserdak! Jaśnie pan się myli. Winower jest żyd honorowy i komu ja służę, to służę uczciwie... Co jaśnie panu o tę krowę idzie dla mamki... Niech on wybierze... Mamka to zawsze jest taka sługa, co ona panicza karmi... to państwo dla niej zawsze rarytne... Niech jaśnie pan nie będzie taki kozioł, ja jaśnie panu każę dać te krowę... Albo te bryczkę, co on nią chce wyjechać... Jak to można żeby on na cudzym wózku z swoich dóbr wyjeżdżał... To niepięknie... Wszystkie sąsiady powiedzieliby, że nowy dziedzic nie jest szlachcic...

— Nie wiem jak tam skończyli z tą krową i bryczką, ale sprzecjali się jeszcze dość długo, a ja przez ten czas miałem sposobność przypatrzenia się lepiej mojemu szczęśliwcowi. Zmężniał, urósł i zmienił się nie do poznania. Więcej niż średniego wzrostu, barczysty, z widoczną tendencją do tycia, pan Alfred ma twarz dużą, pulchną, o śniadej cerze, na której para dużych nieco wypukłych oczu zdaje się biegać tu i tam jak czółenko tkackie w rękach mistrza. Włosy ma ostrzyżone krótko, wąsiki czarne z węgierska zakręcone, a tu i owdzie sterczące szczotką kępki włosów każą się domyślać, że mój Alfredek znajduje się w stadyum zapuszczenia obywatelskiej brody. Patrząc na jego żywe

ruchy, częste ogryzanie paznogi i tę dziarskość właściwą, wytresowanym podoficerom, nie mogłem pojąć, jak to wszystko wyrobiło się u owego nieruchomego i leniwie spoglądającego niegdyś Szafranka... Ha, widocznie powodzenie sprowadza taką metamorfozę.

— Otóż tak jestem od rana do ciemnej nocy!— woła, wpadając do salonu i rzucając się na fotel p. Szafrankiewicz!—Palże mój drogi... doskonale cygara, sam sprowadziłem z Hamburga... A może papierosa... prawdziwe tureckie, z Odesy, jak honor kocham...

— Więc idzie ci dobrze?

— Aż się boję potwierdzić, żebym w złą godzinę nie wymówił... Samo szczęście pakuje mi się drzwiami i oknami... Dychawica to pański majątek, pałac, park, oranżerye, historye, pomniki—las, mąka, łąka, ryby> grzyby...

— No, ale sam nie myślisz gospodarować?

— I owszem, przenoszę się za parę tygodni. Patrzy już brodę zapuszczam i ubranie sobie sprawiłem gospodarskie... kurtka z wielbłądziego sukna... co, dobra?— mówi, podając mi fałd owej do spróbowania.

— Ależ ty nigdy nie byłeś na wsi, nie masz wyobrażenia...

— Paradny jesteś koleżko! — odpowiada, uderzając mię krotchwilnie po ramieniu... Wam szlachcie to się zdaje, że tylko wy się rodzicie gospodarzami... Wielka mądrość to wasze gospodarstwo, na którym zna się każdy chłop prosty... Zorać, zasiać, zebrać... wielka sztuka...

Chciałem zaprzeczyć, ale nie pozwolił mi przyjść do słowa.

— Wiem, wiem, co chcesz powiedzieć: nauka, chemia, skład ziemi, hodowla inwentarza... meteorologia...

— Tak, tak... i...

— Otóż wszystko tu mam i wiem i umiem—przerywa, chwytając kilka książek ze stołu, które składa przedemną. Śmiejesz się... no zobaczysz... Niby to ja nie znam szlachty naszej! Albo ona co czyta, co wie, a do tego jeszcze głowy szalenie konserwatywne. Jak człowiek ma odrobinę tu a pełno tu—dodaje, pokazując na czoło i kieszeń — to całą umiejętność gospodarską posiada. Ja już od dwóch tygodni wertuję, czytam, robię notatki i kombinuję... Patrz, to są próbki mojej ziemi z Dychawicy—mówi, stawiając przedemną kilka szklanek napełnionych wodą, na spodzie których czernieją osady ziemne.—Tu masz cały skład jak na dłoni, ile piasku, ile gliny, a ile pruchnicy... Prawda, że stosunek tej ostatniej bardzo pomyślny... A tu masz margiel... hm, hm, jaki margiel... będzie z ni ego cement, ja ci powiadam... będzie. Robiłem próby!... I w tej flaszeczce, zgadnij co?

— Woda—mówię, patrząc na czysty kolor płynu.

— Woda? ja wiem że woda, ale proszę cię, powąchaj...

Wącham—nic nie czuję.

— Lepiej powąchaj i pomyśl, co ci ten zapach przypomina...

— Jakby siarkę czy coś...

— Aha, czy coś... Otóż to coś jest żelazo... Ko*perwas czuć, prawda, spróbuj!

Spróbowałem, rzeczywiście woda ma pewien smak cierpki, przypominający atrament.

— Woda mineralna... ale proszę cię, cicho, sza, bo dopiero spisaliśmy punkta przedugodne i gotów się-

Szuberski zrzucić... A trzeba ci wiedzieć, że to jest fines obywatel i myśli, że mnie orznął... a tymczasem ja jemu pokażę...

Napomknąłem coś o sobie i chciałem się wywnę- trzyć, jak mi się powodzi, lecz on ani słyszy tego, tylko wciąż swoje:

— Głupiec, zostawił mi sto tysięcy na wypłatę w sposób amortyzacyjny na lat trzydzieści...

— A będziesz miał fundusze na nakłady? *-odzy- wam się nieśmiało, bo jakkolwiek nie znam się na gospodarstwie, jednak ciągle odbijały mi się o uszy te nakłady...

Uśmiechnął się trochę ironicznie, litując się nad moją dobroduszością:

— Pieniądzy ile chcę, mogę mieć na zawołanie. Ale ja cudzych nie potrzebuję, bo dwie trzecie szacunku zostaje przy gruncie. "Widziałeś tego grubego żyda w gabinecie?"

— Widziałem, tego co ciężko oddycha...

— Niech on oddycha jak chce, ale to Krezus siedlecki. On także jest wierzycielem Dychawicy, i chciałby zostawić dalej swoją sumę, ale ja nie głupi, baares Geld mości panie.

Rozmawialiśmy jeszcze w ten sposób całe pół godziny, to jest właściwie on mówił, zmuszając mnie co parę sekund do potakiwania, gdy rozwijał świetne plany względem owej Dychawicy. Potem recytował o innych korzystnych propozycjach, a wszystkie coraz bardziej świetne i kapitalne.

— Ot, dziś rano kupiłem na wspólkę dwadzieścia tysięcy sztuk dębów na wywóz do Francji...

— A obejrzałeś te dęby? — przerywam, jako tro-

— Ia

chę w tej sprawie kompetentny, zajmując bowiem posesję w leśnictwie rządowym, miałem pretensję, że się znam trochę na drzewie.

— Zlituj się, któżby się w takie drobnostki wdawał!... Przesłali mi próbkę, posłałem do Paryża, odpisali, ile można wziąć za metr kubiczny, a potem rachunek, fracht, tego, obrobienie, ścięcie, piłowanie i wypadło, że będziemy mieli zysku dwa ruble na sztuce.

Podziw mój nad szczęściem kolegi coraz bardziej rosnął, więc nie zdając sobie sprawy dlaczego, jednak czułem w głębi duszy pewien żal do losu, jak to jednym szydła gołą, a mnie i brzytwy nie chcą.

Na dworze już mrok zapadał, w salonie zrobiło się ciemno, a mój Alfredek rozwodzi się i wy wnętrza nie tyle przedemną ile przed sobą samym—nie zważa bowiem na moje skromne uwagi, jakie od czasu do czasu wtrąca do rozmowy.

— Co, już chcesz iść?—zapytuje, widząc, że podnoszę się z kanapy i szukam oczami kapelusza. — Ale proszę cię nie spiesz się, co ci tak pilnego! Jeszcze ci wiele rzeczy nie powiedziałem... No usiądź, proszę cię, tak dawno się nie widzieliśmy... Pozwól niech się nacieszę tobą... Każę podać herbatę... co, dobrze? Napijemy się, a mam pyszny gatunek, wprost z Kiachty...

— Możebyś mnie zaprezentował żonie?—odzywam się, ciekawy poznać tę uszczęśliwioną przez Alfreda osobę.

Dostrzegłem, że ta propozycją trochę go zakłopotła.

— Jak chcesz, to dobrze, i owszem... Ale ja z kobietami nie lubię rozmawiać, one tylko drobnostkami zajęte...

Zawołał na służącego, coś mu szepnął, przyniesiono lampę, ale od tej chwili stracił już na rezonie. Dano znać, że do herbaty nakryto, więc biorąc mię pod rękę, prosi do jadalnego pokoju.

— "Widzisz, moja żona—szepcze, nąchylając się ku mnie — nie jest tak bardzo, tak trochę to z mieszczan... No, ale kocha mnie szalenie, uczciwości kobieta... Ja dla niej jestem wyrocznią... Bogiem...

— Szczęśliwy z ciebie człowiek...

— No tak, nie mogę narzekać... Jednak ja myślę, że ona się wyrobi i ośmieli, jak wejdzie w porządne towarzystwa. Dotąd nie bardzo miałem czas nią się zajmować... Matka także pocziwina sobie, trochę naiwna i taka skąpa mówię ci, że aż piszczy... Ale szanuje mnie ogromnie i zupełnie ufa...

Jadalny pokój jest obszerny, pomimo to tak zapchany kosztownymi meblami, że trudno przejść do stołu. . Kolosalnej wielkości dębowy kredens ciągnie się przez całą ścianę, na wierzchu ma ustawione popiersia gipsowe. Na środku stół owalny, koło niego dwanaście krzeseł w stylu gotyckim z tak wysokim i spiczasto zakończonym oparciem, że znalazłszy się między nimi zdawało mi się, że jestem na dachu kolońskiej katedry a koło mnie piętrzą się szczyty smukłych wieżyczek. Nad stołem wisi wielka baniasta i błyszcząca lampa, rzucająca dość przyćmione światło na całą zastawę do kolacyi.

— Mój przyjaciel i kolega szkolny pan N., obywatel z Radomskiego—odzywa się Alfred, zatrzymując przy stole...

Czy z powodu ciemności, czy też małego wzrostu obu dam znajdujących się w pokoju, nie mogłem ich do-

strzedz, dopiero gdy się coś ruszyło przed oczami, spostrzegłem dwie podobniuteńkie głowy, umieszczone pod dwoma wieżyczkami krzeseł gotyckich. Albo stół był za wysoki dla nich, albo one nie dorosły do niego, dość, że tylko widziałem same głowy.

Dostrzegłem, że Alfredek bacznie obserwował, jakie też na mnie zrobią wrażenie jego damy, więc uzbrojony w powagę udałem, że ta karłowatość pań wcale mnie nie zadziwia.

Matka i córka są nadzwyczaj podobne do siebie i wzrostem i wyrazem twarzy. Widziałem dużo kobiet, ale te wydały mi się najmniej ładne. Czoła szerokie, oczy okrągłe i dziwnie świecące, nosy cienkie, spuszczone haczykowato, a jeżeli jest jaka różnica między starszą a młodszą, to chyba ta, że cera pani Alfredo w ój nieco świeższa od cery matki i że głowa matki ma czepek podwiązany pod brodą, a córka ubranko aksamitne. Nawet kolor sukien mają jednakowo szary i równą ilość świecideł złotych, jak się zdaje umyślnie i naprędce włożonych, bo jeden kolczyk pani Alfredowej siedzi w uchu jeszcze nie zapięty.

Umieszczono mię obok pani Alfredowej, i ta zaraz rozpoczęła ze mną urzędową rozmowę.

■— Pan dawno mieszka na wsi?

— Od czasu wyjścia ze szkół.

* — Musi pan być szczęśliwy. Prawda że na wsi jest bardzo przyjemne życie. Swoboda zupełna... I my się wyprowadzamy na wieś, Fredzio kupił majątek...

— Mówił mi, że bardzo nawet korzystnie.

— Tylko tak brzydko się nazywa, Dychawica, dodaje matka.—Dotąd jeszcze nie mogę temu wierzyć, iż mamy mieszkać w Dychawicy...

— Powiedziałem mameczce—dodaje Alfred, podkręcając lampę, żeby się jaśniej paliła—że postaram się o zmianę tej nazwy.

— Mój Fredziu, zrób to... Mama tak się martwi... Prawda panie, że na wsi są bardzo przyjemne sąsiedztwa i bez żadnej subiekty. Ma się swój powóz 1 konie, tyle kurcząt, śmietany i owoców. U nas jest oranżerya nawet, prawda Fredziu, że jest i to drugie jakże się nazywa, trop... tryp... czy trap...

— Treibhaus...—odpowiada mąż.

— Aha treibhaus, gdzie ananasy się rodzą... i cytryny można mieć swoje, tylko podobno kwaśne...

— Mój Fredziu czego tak podkręcasz lampę— odzywa się mama—mniej blask ten razi.

— Kiedy ciemno w pokoju...

— Dostyc światła... bardzo dostyc...

— Ja też cieszę się jak dziecko z tego wyprowadzenia na wieś—mówi dalej Alfredowa—Fredzio zostanie obywatelem... Dlaczego Fredczku nie poczęstujesz pana cygarem?... Może pan palić, ja jestem przyzwyczajona.

A widząc, że mąż jakoś kręci się zakłopotany i wciąż zagląda do sąsiedniego pokoju, zapewne żeby dawano kolację, zrywa się sama z krzesła, biegnie do stojącej w kącie szafeczki, przynosi paczkę z cygarami, częstuje, zapala zapalną i mimo energicznego oporu z mej strony, przytyka mi do cygara.

— Anielciu kochanie... Piotr by panu podał, ty nie umiesz.

— Otóż umiem, prawda panie, że umiem—odpowiada na to z uśmiechem.—I chociaż nie jestem obywatelką, potrafię być gościnną... Fredziu, to Radomskie

gdzie pan mieszka, niedaleko od Dychawicy? Musimy się zapoznać bliżej z pańską rodziną.

— O daleko—odpowiadam—pewnie mil dwadzieścia kilka...

— No, ale w zimie sanna mógłby pan przyjechać... bardzobym sobie życzyła...

— Wdzięczny pani jestem —odzywam się z ukłonem—ale ja w zimie najwięcej mam zajęcia.

— Cóż tam panowie na wsi mogą mieć za zajęcia, jeżeli ma się służbę, ekonoma, rządcę, to oni wyręczą...

— Ja proszę pani, nie mam się kim wyręczyć. W zimie odbywa się cięcie lasu, muszę sam pilnować, bo za to płacą, a nadleśny często rewiduje.

— Więc pan tylko lasem gospodaruje?

— Tak pani i to nie swoim, tylko rządowym.

— Jako? pan nie jesteś obywatelem?

— Jestem w służbie rządowej jako leśniczy...

— A ja myślałam, że pan... Fredziu, zdaje mi się takeś prezentował...

— Więc już nie gospodarujecie?— pyta zdziwiony Alfred. — Wiedziałem, że rodzice twoi mieszkali na wsi; pamiętasz, jakie to ze świąt przywoziłeś wyborne placki z serem?

— Było to, ale ojciec już dawno zwinął gospodarstwo... Dzierżawa się nie opłacała, i teraz mieszkają rodzice razem zemną...

Wiedziałem, że ta wiadomość bardzo złe wrażenie zrobiła na pani Alfredowej, bo zaraz umilkła, spojrzawszy znacząco na matkę krzątającą się koło stołu. Zato przysunął się do mnie Alfred i dopiero teraz przypomniał sobie, że wypada i mię zapytać, jak mi się powodzi?

A.* Wilczyński.—Tom XIX.

. 2

— Cóż może być za powodzenie w służbie leśnej! Zostałem w przeszłym roku leśniczym, mam tysiąc dwieście złotych pensyi, mieszkanie opał i piętnaście morgów gruntu...

— Zdaje mi się, Fredziu — wtrąca pani zupełnie już innym tonem — że nasz leśniczy w Dychawicy bierze coś tyle, czy nawet więcej...

— Nasz co innego, a pan Stanisław co innego...

— Myślałam, że to jedno... Ja nigdy w życiu nie chciałabym mieszkać w lesie... i jeszcze służyć. Fredzio nie służył nikomu, a tylko był arferystą, to jak jedna pani powiedziała mi to słowo, myślałam, że się spalę ze wstydu...

— Aferzystą—poprawia ją małżonek.

— Wszystko jedno—mówi dalej—czy arfista, czy tam aferzysta, to pamiętasz, spłakałam się i koniecznie prosiłam, żebyś jaki majątek kupił... Obywatel to przynajmniej jakieś stanowisko.

Tymczasem ów facet w kamaszach i białych bawełnianych rękawiczkach przyniósł półmisek, a starsza pani zabrała się do jego mustrowania. Szanowny Paweł czy Piotr w kamaszach, widocznie nie bardzo był obznajmiony ze służbą, bo pani co minutę ciągnęła go za rękaw i popychała, z której strony ma podawać półmisek. Na czoło jego kroplisty pot występował; i znać było, że wiele go kosztowała ta służba. Nawiasem powiem, że połędwica czarna była jak węgiel, matka zaś pani Szafrankiewiczowej tak mało musi mieć zaufania do wstrzemięźliwości Piotra, że krok w krok chodzi za nim i za półmiskiem do kredensu. Toż samo jest z cukiernicą i arakiem przy nalewaniu herbaty, dlatego bę

dąc zajęta kontrolą, lokaja, nad którym ciągle coś pomrukuje, wcale nie wtrąca się do naszej rozmowy.

A i ta rozmowa nie idzie nam gładko; pani Alfredo wa zmieniła ton uprzejmy i odzywa się już ledwo półsłówkami, gdy przeciwnie pan Alfred, widocznie żenowany chłodnym obejściem żony, stara się grzecznością jej złe usposobienie dla mnie wynagrodzić.

— Widzisz Anielko—odzywa się do niej—Stanisław był najpierwszym uczniem w szkołach, a ja choć miałem zdolności, to zwyczajnie trochę się zaniedbywałem...

— Słyszałam to nieraz, że szkolne geniusze później często zawodzą...

— Ma pani rację — wtrącam i ja. — Na świecie lepszy łut szczęścia, jak mówi przysłowie—niż funt rozumu...

— No, przyznasz — rzecze Alfred—że mówi przez ciebie uprzedzenie, bo przecie i do interesów trzeba mieć rozum. Tylko uważasz, zdolności ludzkie w praktycznym życiu zwykle biorą dwojaki kierunek. Jedni znakomici są w teorii i tych bym przeznaczał na profesorów, drudzy znowu zdolności swoje stosują do celów praktycznych...

.— Wszystkie teorie — mówię ja — dobre są jako teorie, bo na przykład zrobię co w mojem położeniu! Nie mając majątku, lecz przeciwnie obowiązki względem rodziny, musiałem brać zajęcie, które było na brzegu, a jak człowiek raz zagalopuje się w pewnym kierunku, to trudno się cofać i szukać nowej drogi... Okoliczności częstokroć ścierają nie tylko zdolności, ale nawet geniusze...

— Nie uwierzysz Stasiu, jak mię zasmuca twoje położenie...
— Nie kłopotz się, mnie jest z tem dobrze, mało potrzebuję.
— Ale mój drogi, za 1200 złotych rocznie żyó gdzieś tam w lesie, to nędza... Czekaj, my tu wymyślimy coś dla ciebie... Anielko, proszę cię, ażeby go tak ożenić gdzie, hę?... Masz tyle krewnych i znajomych, co? Doskonale... A wiesz co—zawoła klasnąwszy w ręce—Franią!... Wybornie, musimy go ożenić z Franią...

Pani spojrziała uważnie w moją stronę, jakby chciała ocenić, czy mogę być odpowiednim dla owej Frani, on zaś uszczęśliwiony ze swego projektu zaczyna mi w bardzo ożywiony sposób rozpowiadać, jaki to rodzice Frani posiadają majątek, co wart ich browar pi- • wny, co warte są kamienice, ile jest dzieci i t. p.

— Prawda Anielko—mówi, zwracając się pieszczotliwie do żony—ty jak zechcesz, to pokierujesz tak sprawą, że będziemy mieli Stasia w naszej rodzinie. Wierz mi, on wart jest tego, serce złote i z dobrej szlacheckiej rodziny... A wtedy, mój szanowny kolego, puszczaemy w trąbę urząd za tysiąc dwieście złotych i razem będziemy robili interesa.

Pani widocznie pochlebiało oddawanie mię pod jej opiekę, bo zaraz wystąpiła z radami, gdzie i jak wypadałoby poznać się z panną Franciszką, co ona lubi a czego nie lubi, i pod jakim pozorem mógłbym jutro złożyć wizytę jej rodzicom.

Niestety niepodobna mi było korzystać z takiej życzliwości pani Anieli, bo jutro pociągiem rannym musiałem wracać do domu, zatem rzecz całą musieliśmy odłożyć do czasu kiedy państwo Alfredowie, urządziw

szy się w Dychawicy, zaproszą Franię do siebie, a mnie dadzą znać, żebym przyjechał poznać się, zakochać i naturalnie ożenić. W pogadance przyjacielskiej takie rzeczy nadzwyczaj łatwo się urządzają.

Po wyjściu z domu państwa Alfredów przyznaję, że ta propozycja jego nieco mię zajęła. Powodzenie kolegi i to jeszcze takiego, któregośmy uważali za hetkę pętelkę, podrażniło moją miłość własną. Jakto, myślę sobie, jemu się udało, a jabym nie potrafił? On dzisiaj pan całą gębą, ma stanowisko między ludźmi, a ja razem z sosnami w lesie mam butwieć, klepiąc biedę do śmierci? Przyznaję, że w tej chwili czułem się podrażnionym do tego stopnia, że osoba panny Franciszki nawet na myśl mi nie przyszła. Ha, byle nie straszycie jakie, to przecież damy sobie radę—wyidealizowana miłość książkowa jest niedorzecznością w życiu praktycznym. Lecz kiedy przyszedł do hotelu i położywszy się do łóżka, puściłem wodze rozmyślaniom, owa karyera ożenienia zaczęła mię opuszczać, a poczucie osobistej godności brało górę. Śmiałem się ze swoich pragnień i paplaniny Alfreda, pozującego na człowieka z wielkiego świata, którego puszczenie tego rodzaju frazesów i obietnic nic a nic nie kosztuje. Obiecanka cacanka, a głupiemu radość. Kto tam na serio chce się kłopotać sprawami drugich, kiedy jemu jest dobrze. Ot, puszcza się dym w oczy, aby uchodzić za protektora!...

I rzeczywiście tak było ze mną. Przeszedł jeden rok i drugi, a Alfred, chociaż tak uroczyście zanotował sobie mój adres w pugilaresie, nie napisał ani słowa, więc i cała ta historia wywietrzała mi z głowy. Aż tu jednego dnia na wiosnę, dostaje krótkie wezwanie od niego:

„Kochany Stasiu, przyjeżdżaj do Dychawicy, oczekuję cię z upragnieniem... Nie myśl, że zapomniałem o naszym projekcie — właśnie teraz mam dla ciebie coś, o czym dowiesz się, jak przyjedziesz, a przy tym chciałbym zasięgnąć rady twej w pewnym interesie lasowym
I liczę na ciebie jak na Zawiszę...”

Wahałem się długo, czy jechać czy nie jechać, bo to dwadzieścia kilka mil opętanej drogi i koszt podróży dość znaczny jak na moje fundusze, lecz poczciwa matka, której kiedyś o tych projektach Alfreda wspominałem, powiada:

— Jedź, mój drogi synu, jedź! Kto wie co komu przeznaczone, a szczęście niezwykle dwa razy w życiu pukać do chaty...

Chociaż tedy z niechęcią, jednak puściłem się w tę daleką podróż, a co zobaczyłem i dowiedziałem się o świetnych interesach Alfreda, wiernie opowiem czytelnikom. V

Mania kupowania dużych majątków z małymi funduszami była u nas dawniej tak powszechną, że w tej okolicy, gdzie leży Dychawica Alfreda, nie było wsi ani folwarku, któryby dłużej jak pięć lat w jednym ręku pozostawał. Luzowali się właściciele jak żołnierze na arenie, każdy forsował się z początku, lecz spostrzegłszy, że to nie na jego siły, szukał takiego samego fryca żeby się pozbyć obywatelstwa. Z rozpaczą nie przebierano w środkach, więc zamieniano się na inne majątki lub kamienice w Warszawie, a gdy już bardzo przycisnęła bieda, parcelowano między drobną szlachtą, mieszczan i włościan. Naturalnie, że po takich operacjach rzadko który wychodził z całymi polami, ale zato nabywał tyle szacownych wiadomości z gospodarstwa wiejskiego, o których zapewne do grobowej deski nie zapomni.

Kto kiedy w życiu kupował majątek ziemski, to przyzna, że niema na świecie więcej grzecznych i gościnnych ludzi, jak są niemi sprzedający. Kupujący, ajeszcze dobrze rekomendowany przez faktorów, jest

niezmiernie szacowną osobistością; panie znajdują go miłym, panowie rozumnym i wytrawnym, a tak bywają skłonni do wszelkich ustępstw, że w dwóch słowach mogą z ceny spuszczać tysiące pomijając wszelkie drobnostki, jak to się dzieć powinno między porządnymi i uczciwymi ludźmi.

Jota w jotę odbyła się też sama historia z Dychawicą, jedną z tych chudych szkap, z których już dosyć śmiałków z nadwerężonemi bokami pospadało. Zajmowała coś siedemdziesiąt włók rozciągniętych na znacznej przestrzeni w figurze mającej na mapie różne esy floresy, niby zatoki, półwyspy i międzymorza i do tego stopnia imponującej obszarem, że dwanaście czy piętnaście wsi innych z nią graniczyło. Po piaszczystych i kamienistych wzgórkach widniały przeświecające laski z resztkami karłowatych sosen oszczędzonych siekierą żydowską. Dolinami ciągnęły się moczary zarośnięte już olszyną—tu większy łąn dworski, tu kawał pól włościańskich, a między to wszystko wciska się klinem obca posiadłość. Po polach narzucanych kamieniami jakby na placu, gdzie ludzi kamienowano, ciągną się wąskie płaty tarniny, przy których sterczą większe gromady tak zwanych kamienic. Tu polna grusza rozsiadła się na miedzy, tam zabłąkała kępka brzeziny z dawnego lasu, a sama rola odznacza się taką wegetacją, że wśród białego na niej żyta nie potrafi się schować zwykły legawiec, tropiący skowronków...

Poprzedni właściciele Dychawicy, ten sam jegomość z różową twarzą a białymi włosy, którego wówczas w gabinecie Alfreda spotkałem, przed ubraniem w nią mojego kolegi, prawdziwie ledwie dyszał w owym majątku...

Pan Anastazy, kiedyś przedsiębiorca krycia dachów w "Warszawie—dopiero przed pięciu laty zamienił z panem Zabskim kamienicę przy ulicy Żelaznej na te dobra. Powiadają przyjaciele Zabskiego, że kamienica była mniej wartą od Dychawicy, naturalnie biorąc obie po potrąceniu długów—ale pan Anastazy przysięgał się na wszystkie świętości, na Reginkę i pragnienie zbawienia wiecznego, że jak on miał kamienicę, to był panem, a jak lichy i owa Reginka skusiły go żeby przyszedł na wieś, to jest prawdziwym obywatelem, bo bez wielu rzeczy musi się obywać. Rozmowy takie, ma się rozumieć, prowadziły się tylko w gronie rodziny i bliskich przyjaciół, bo przed kupcem Dychawica bywała zawsze złotem jabłkiem.

Otóż już ze trzy lata pan Anastazy kręcił się na gwałt, żeby się jako pozbyć tego złotego jabłka. Rozesłał opisy po wszystkich kantorach, jakie tylko istniały w Królestwie, dawał ogłoszenia nawet do zagranicznych gazet, próbował zamieniać się znowu na kamienicę, jiawet na jakąś willę w Wrocławiu, którą mu pewien spekulant po wyczytaniu inseratu proponował— lecz wszystkie te starania pozostały bez skutku. Każdego roku w nadziei, że teraz już sprzeda—obsiewał pola jak dla kupca, to jest pośladami, a ci kupcy zjeżdżali się do Dychawicy, niby do jakiego cudownego miejsca, oglądali, kręcili nosem, zjadali doskonałe obiadki, zajeżdżali konie, któremi przez grzeczność trzeba ich było odsyłać do kolei, a w rezultacie —jakiś bilecik z usprawiedliwieniem i rejterada od kupna. Również co roku na wiosnę malowało się na niebiesko ściany pałacu (dwór w Dychawicy miał nazwę pałacu), bielilo kamienie, któremi obłożony był w pewnych od

stępach owalny gazon na dziedzińcu, lepiło się i bieliło ściany stajni cugowej, rozpinano dzikie wino po ganku— aby ta Dychawica dla fryców miejskich jakoś animująco wyglądała. Przyjeżdżający jednak najprzód brali się do oglądania pól i lasów, łąk i pastwiska, a na owe sztachetki i malowidła nie zwracali uwagi.

— Żeby choć spojrzeć na moją pracę — mówił z rozpaczą pan Anastazy po wyjeździe pretendenta.— I to mi jest szlachta, która nie ma żadnego poczucia, co piękne... i to są ludzie i filary nasze.

Pod jesień trzeciego roku już z panem Anastazym było bardzo krucho; trzy raty Towarzystwa niezapłacone, licytacja wisi na karku; o podatki co drugi dzień zjeżdża wójt z pisarzem, opisują meble, powozy, inwentarze i krestencyę. Arendarz miejscowy jak zły duch siedział przy młócce w stodole i brał zboże z pod cepów. Al ramko. Herszko, Szłoma i kilku jeszcze innych z miasteczka realizowali swoje należytości za mięso, cukier i inne potrzeby brane ze sklepów, pierwotnym sposobem zamiany za żyto, owies, i inne zboże, które już swoim kosztem młócili—słowem, była to rozpacz finansowa.

Najbliżsi sąsiedzi, znający bardzo dobrze to położenie pana Anastazego, wydziwić się nie mogli, z kąd mu dotąd starczy na zwykłe utrzymanie domu i sute przyjmowanie gości. Kiedy żydzi w sąsiednim miasteczku nie chcieli dawać na kredyt już soli, a konie fornałskie padały już z głodu, panie z Dychawicy paradowały czwórką wypasionych gniadoszów do kościoła, a gdy się pokazał wędrujący kramarz z towarami, brały td niego sprawunków za kilkadziesiąt złotych. Otóż pod względem dostawiania pieniędzy na takie rzeczy pan Anastazy był mistrzem i tak umiał obalamucić

prostaczków, mających jakiś grosz w kalecie, tak umiał wymyślić jakiś interes na ruinach, że doprawdy warto było, aby go powołano na ministra finansów tureckich. To sprzedał młynek niby to z wieczystym maleńkim czynszem i Chapman parę setek, to znalazł amatora na propinację, która dopiero za rok lub dwa będzie do wzięcia, to sprzedał chłopu ogród lub kawał pustki i od niego coś wydobył. Jak wiadomo, prości ludzie są bardzo niedowierzający, i otwarta propozycją ich przeraża, lecz kto im potrafi zaimponować i da się niejako zmusić do zawarcia jakiej umowy—ten ich trzyma na swojej wędce. Dlatego też pan Anastazy nie lubił długo z nimi dysputować: „chcesz, nie chcesz i idź z Panem Bogiem”—i..to skutkowało. A dopomagał mu w tym dzielnie po za sceną pachciarz Jankiel, który na podobieństwo owych psów wytresowanych do szukania trufli, wybornie wietrzył, gdzie kto ma grosz jaki. Nie potrzebuję wreszcie objaśniać, że tego rodzaju interesu odbywały się zawsze w tajemnicy, nie przez wzgląd na pana Anastazego, lecz dla spokoju samych interesantów i aby uniknąć ludzkiej zazdrości.

Na wiosnę tego roku, w którym się opowiadanie nasze zaczyna, wypadło panu Anastazemu pojechać do Warszawy. Trafiła go mocno zaległość rat asekuracyjnych od ubezpieczenia; z którymi nie można było żartować.

— Jedź, jedź—mówiła żona—bo niechby się czego Boże broń spaliło...

— Ech...—odpowiedział na to z desperacką miną, oglądając się dokoła — możeby lepiej żeby się spaliło... przynajmniej jestem ubezpieczony.

— No, ale trzeba raty zapłacić...

•— To też pilnuję się i rejestra porządnie prowadzę, a jak ma przyjść nieszczęście, to niech przyjdzie.

Otóż, trzeba takiego szczęścia dla niego (i bankruci bowiem miewają szczęście), że właśnie jadąc do Warszawy, poznał się w drodze z naszym znajomym, panem Alfredem Szafrankiewiczem. A było to już po ożenieniu się jego z panną Anielą, właśnie w epoce rozkwitu świetnych interesów i powziętej decyzji na kupno dóbr ziemskich. Pan Anastazy mimo blacharskiego pochodzenia swego przyswoił sobie tę dobrodusznie jowialną powierzchowność szlachcica wiejskiego z żyłką do gadulstwa. — Alfred również lubi się szastać i chwalić ze swoich spekulacyj, więc bardzo prędko i łatwo zawiązała się między nimi pogawędka.

— Pan dobrodziej zkąd?

— A pan dobrodziej zkąd?

— Jadę z majątku swego do Warszawy.

— A ja właśnie oglądałem majątek ziemski do kupna...

— Teraz w zimie?—pyta Anastazy, przypatrując się lepiej towarzyszowi.

— Dla mnie wszystko jedno, zima czy lato, bo ja się panie dobrodzieju na tem znam.

Ale ten, który oglądałem, wcale mi się nie podobał. Dom mieszkalny to jakaś słomą pokryta chałupa, pozycya równa, że oko nie ma na czem spocząć, ogród zaniedbany. Doprawdy nie rozumiem, jak ludzie mający pretensję do czegoś lepszego, mogą żyć i prosperować w podobnych razach,.. Panie łaskawy, nie samym chlebem człowiek żyje...

W oczach pana Anastazego pokazał się szczególniejszy błysk, poruszył się na ławce, jakby mu nowa myśl przysłała do głowy, a zobaczywszy iż pan Alfred

wyjmuje papierosy z kieszeni, czempredziej dostaje zapalkę, pociera ją o rękaw i sam przytyka mu do owego papierosa. Uprzejmość taka podobała się kandydatowi na obywatela, więc prezentuje się panu Anastazemu, a ten nawzajem powiada mu, kto jest i zkad. Zaczyna ją rozmawiać już śmieiej; pan Anastazy więcej słucha niż mówi, Alfred znowu, wpadłszy na tor swoich interesów i stosunków, rozwija przed nim całą ich świetność i wielkie sukcesy. Obywatel słucha, uśmiecha się, potakuje, a od czasu do czasu zachwyca się rozumem młodego spekulanta.

— A pan dobrodziej duży chce kupić majątek?

— To dla mnie wszystko jedno, duży czy nawet wielki za dwakroć, pół miliona, aby tylko coś porządnego i niedaleko od kolei. Bo choć na stałe osiedlić się na wsi, jednak nie myślę porzucić innych interesów, ani zakopywać się tam gdzieś na pustyni. Kupuję majątek, żeby mieć stałe locum i pozycję, ale ze światem cywilizowanym zrywać nie chcę.

— Bo właśnie widzi pan dobrodziej — odzywa się p. Anastazy — może i ja bym miał do sprzedania majątek. Leży on o małą milkę od stacyi, i jak mogłem wymiarkować intencje pana dobrodzieja, kto wie czy nie byłby jak raz dla niego.

•— Przepraszam, a jak się nazywa?

— Nie bardzo dźwięcznie, bo Dychawica Wielka, ale daj Boże każdemu mieć taką dychawicę... Złote jabłko, panie dobrodzieju!

— Czekajno pan, coś, coś o tej Dychawicy czy słyszałem, czy też dawał mi jakiś faktor opis, lub czytałem coś w gazetach...

— Ech to z pewnością nie o mojej—rzecze Anastazy, uśmiechając się obojętnie.— Dychawic panie jest kilka w kraju. Jest w Lubelskiem Dychawica mokra, jest sucha, jest podobno i ciężka, ale moja jest wielka i o niej nie mógł pan czytać, bo ja panie dobrodzieju nie wdaję się z faktoraami i dotąd żadnych kroków o sprzedaż nie robiłem... Jest to majątek całą gębą pański: siedmdzie- siał kilka włók, dwa folwarki, gorzelnia, browar, lasy, łąki, stawy, młyn, kamień do budowy i na drogi, i żeby go wzięły młode ręce zasobne, to znalazłoby się i wapno, i cement i wody mineralne a nawet co więcej.

— Adom?

— Pałac panie dobrodzieju: szesnaście pokoi', salony, kaplica, a piwnice starodawne takie, że bryczka w cztery konie zawróci!

— Ogród jest?

— Park a nie ogród. Oranżerya, stawy dwa w tym ogrodzie, wyspa, mosty, historie, choć to mości dobrodzieju nie tak utrzymane jak być powinno, bo to ja stary dawnej daty człowiek nie do tego...

— I dlaczegóż pan dobrodzieju chce się pozbyć tak pięknego majątku.

— Dlaczego? — mówi gorzko się uśmiechając pan Anastazy—dzieci panie dobrodzieju, obowiązki. Córka idzie za mąż i zięć patrzy, żeby co dać, syn również by się ożenił i poszedł na swoje—także trzebaby dać... Oj ciężko to, ciężko rozstawać się z tą ziemią, w której pot krwawy człowiek zakopał, ale cóż robić! Dlatego ociągamy się już ze trzy lata, a może, a może, jakoś się ułoży, lecz serce boli patrzeć, jak dzieci się marnują.

— Kto wie, możeby mi się i spodobał—odzywa się

na to, udając obojętnego pan Alfred — i żeby pan dobrodziej dał mi opis...

— Te opisy to na licha się zdały. Ot, niech pan dobrodziej przyjedzie kiedy sam, obejrzy, to będzie najlepiej... A i moja żona się ucieszy, jak pozna tak miłego i rozumnego człowieka, bo Reginka jest bardzo wykształcona osoba... nawet pisze czasami do gazet... ale to sza... Dwie godziny jazdy koleją, pół godziny końmi,, to jakby spacer...

■— A te wody mineralne, to jakie?

— Ech, kto tam wie—odpowiada śmiejąc się Anastazy.—Jest źródło na łące za dworem, z którego bydlę ani chce powąchać wody... Reginka powiada, że to jest mineralne.

— A smak?

— Przyznam się, panu dobrodziejowi, nie próbowałem...

— Jakże tak można?

— My na wsi na takie rzeczy nie zwracamy uwagi. Powiadają, że woda jest słonawa, że ją czuć atramentem.

— A zapach?

— O, brzydki! Kiedy się tamtędy idzie trzeba szybko mijać. Tak coś... coś... No ale co tam o takich tęczach gadać—poprostu odor...

— Otóż to, że panowie na wsi wyrzekacie na biedę a wszystko, coby mogło was podreperować, lekceważ życie—mówi z pewną ironią zamysłony Alfred...

— Albo to takie rzeczy możnaby mieć na wsi, gdyby człowiek lepiej się znał! Dwa lata temu nająłem jakiegoś Prusaka do kopania studni. On dawniej pra

cował w kopalniach węgla kamiennego na Szlązku—to on "powiada: proszę jaśnie pana tu akurat taka jest ziemia jak koło Mysłowic, gdzie węgiel się znajduje. Pokazywał mi różne gródki i piaskowe kamyki... Kopać proszę jaśnie pana durch, a będzie niezawodnie węgiel.

— No i cóż pan?

— Zaśmiałem się i jak pokazała się woda, kazałem ocembrować i jest studnia...

Z zamyślanej twarzy Alfreda znać było, że go wszystko zajmuje i że w głowie jego już rosną jakieś plany na świetne interesa. Nie pytał dalej o Dychawicę, lecz gdy wysiadali z wagonu w Warszawie, poprosił o adres pana Anastazego, przebąkując, że jak mu interesa pozwolą, to może go na wsi odwiedzi.

— Napisze pan dobrodziej na dwa dni wprzód, że tego i tego dnia przyjedzie, a ja wyszlę na stację koniki. Bardzo nam będzie przyjemnie, choćby nie dla interesu...

Pożegnali się uprzejmie i każdy z nich, zaledwie stanął ten w hotelu, a ten w domu, natychmiast posłał po swego faktora.

— Słuchaj Winower — mówi Alfred, kładąc rękę na ramieniu małego szaro i kuso ubranego żydka — idź mi natychmiast do hotelu i dowiedz się, co to za jeden niejaki pan Anastazy..., On mieszka na wsi, która się nazywa Dychawica...

— Dychawica? — mówi żyd, robiąc właściwy faktorom grymas.—Dychawica, to chuda kobyła.

— Mój kochany, ja cię nie pytam, jaka jest Dychawica, tylko kto jest pan Anastazy, rozumiesz! Jak stoi w interesach, z kim ma stosunki. Nie lubię żadnych uwag.

— Pan chce kupić Dychawicę?

— Ale mój kochany, co tobie do tego, co ja chcę zrobić. Idź i dowiedz się, co każe... Tylko wracaj prędko, żebym jutro rano o wszystkim już wiedział...

Pan Anastazy prawie tak samo położył rękę na ramieniu Herszka, długiego i chudego żyda jak tyka chmielowa, którego czarne w pożółkłej i pomarańczowej twarzy zagłębione oczy biegały wciąż jak u ostro- widza.

— Mój kochanku, idźno mi zaraz na miasto i dowiedz się, co to za jeden ten pan Alfred, który chce kupić majątek ziemski... Mieszka tam a tam, niedawno się ożenił bogato, robi różne interesa, sprowadza kamienie na bruki...

— A jak on wygląda?

— Wysoki, tęgi, wąsik czarny, na twarzy smagły... ■ — Ny, to ja znam, ale to jest myszygen... Ho, ho, on słyszy jak trawa rośnie...

— Panie dobrodzieju, ty nie pytaj, a zrób co chcę... •

— Może wielmożny pan da co na dorożkę... To jest kawał drogi... Wielmożny pan. kiedy odjeżdżał, obiecał...

Pan Anastazy chociaż z niechęcią wydobyl portmonetkę i coś tam długo szukał drobnych, nareszcie wcisnąwszy mu parę złotych do ręki, ostrzega:

— Tylko uważasz, ostrożnie, zdaleka, żeby nikt nie wiedział, kto, po co i na co...

Obaj faktorzy wybiegli do swoich panów prawie jednocześnie, a idąc naprzeciw siebie, naturalnie musieli się spotkać. Długi Hersz był pilniejszy i właśnie roz-

A. Wilczyński.—Tom XIX.

pytywał stróża kamienicy, gdzie państwo Alfredowie mieszkają, gdy w popielatej kurtce Winower schodził ze schodów. Żydzi mają szczególniejszy węch, gdy idzie o interes; ledwie więc jeden usłyszał nazwisko Alfreda, przystanął, popatrzył na drugiego, Herszko nawzajem popatrzył na Winowera i choć nie znali się przedtem, zaraz do siebie mru mru, szwar szwar... wysunęli się w głąb bramy, dalejże szwargotać, pomimo, że przechodzący trącali ich, nie mogąc wyminąć.

O czym oni radzili, trudno nam wiedzieć — dosyć, że każdy z nich zamiast pójść tam, gdzie powinien, poszedł z drugim na ulicę, z ulicy do ogródka, gdzie jest piwiarnia. Tu kazali sobie podać po szklance, zapalili papierosy i siedząc tak z godzinę, szeptali, kłócili się, gestykułując każdy na swój sposób...

Pan Anastazy przez ten czas już miał parę wizyt. Inny hotelowy faktor sprowadził mu jakiegoś majstra, który miał chęć założyć garbarnię w Dychawicy, a na tę garbarnię szanowny dziedzic gotów był sprzedać jedną ze swych karczem stojących po nad stawem tuż około młyna. Wyliczając przybyłemu tysiączne dogodności, jakie znajdzie na miejscu, między innymi łatwość nabycia kory z dębu i obfitość wody, oświadczył chęć wzięcia udziału w interesie, dać kilkanaście morgów gruntu dla fabrykanta, żądając małej rzeczy, to jest kilkuset rubli za budynki...

W trakcie tego pojawili się obaj faktorzy i Herszko, dawszy znak panu Anastazemu, wyprowadził go na korytarz.

— To jest faktor tego pana Alfred—mówi, pokazując na Winowera.

— A nie mówiłem ci, żeby cicho...—ofuknie stary.

— No, jest cicho...

Przystąpi! na to Winower, i gdy zaczęli szeptać dłużej, pan Anastazy poprosił owego amatora na garbarnię, żeby przyjechał później, wprowadził obydwóch do pokoju.

— Interes może być—mówi Winower, zapalając cygaro, którymgo poczęstował pan Anastazy—tylko co ja będę miał z tego?

— Zwyczajny procent dwa...

— Za dwa niech kto inny robi. Ja panu powiem: da pan pięć, to interes będzie...

Targowali się jeszcze, pan Anastazy skrobał się kilka razy po głowie, gdy Herszko w natarczywy sposób dawał mu znaki, żeby się zgodził. Wreszcie stanęło na tem, co Winower żądał, i napisano potrzebny cyrograf.

Po tej operacji szanowny właściciel Dychawicy zaczął opowiadać faktorowi szczegóły o tym majątku, ile jest czego, jakie stosunki miejscowe, co można jeszcze zrobić dla poprawy...

— Tysiące fur szlamu leży nad stawem nietkniętych od wieków,

— Niech oni sobie leżą — przerywa żydek z miną lekceważącą.—Jak ja jemu każę coby kupił, to on kupi. A jaka cena?

Pan Anastazy dawniej byłby szczęśliwy, gdyby mu kto dał sześć tysięcy za włókę, teraz, mając Winovera za sobą, podniósł do ośmiu.

'P-1 Żyd wydobyl książeczkę notatkową, coś szybko w niej ołówkiem pisał, kombinował, i składając napo- wrót do kieszeni, powiada:

- On tyle nie da!
 - Bój się Boga/" Dychawica warta... W sąsiedztwie niedawno sprzedali Brzozowicę po dziesięć tysięcy...
 - Nu nie da, bo on tyle nie ma... On da gotówki sto dwadzieścia tysięcy.
 - Zostawię resztę na hypotece...
 - Nie, to dużo...
 - Na długi termin...
 - Nie, nie—mówi żyd, potrząsając głową.—On- by może dał, ale matka jego żony nie pozwoli.
 - To zostawię na amortyzację jak Towarzystwo kredytowe...
 - Tak, to może, ale pan spuści co...
 - Naturalnie, że spuszczę... Otóż jak tylko zejda przymrozki, przyjeżdżajcie.
 - Na co mają schodzić! Lepiej niech one będą, bo piasków nie ma... My przyjedziemy zaraz w drugim tygodniu. Niech tylko będzie w pałacu porządek i te ranżerye...
- Skrzywił się trochę pan Anastazy przy wzmiance o oranżeryi.
- Bo to widzisz ta oranżerya niby jest, ale trochę...
 - Ranżerye musi być!—zawoła żyd stanowczo.
 - Niema okien...
 - Nu, to kazać zrobić.
 - Niema tego, jak się nazywa, kwiatów, co zostało, żona poprzenosiła do pokojów...
 - Kwiaty muszą być, a jak niema, przenieść i kupić nowe...

— Zabiłeś mi klina dalibóg!... — mówi, spoglądając znacząco na Herszka — bo to kosztuje, a jak nic z tego...

— Jakto nic, kiedy ja mówię, że interes jest! Zona pewno z nim pojedzie, a ona chce ranżerye...

Omawiali jeszcze dość długo różne sprawy Dychawicy, a Winower dawał wyczerpującą informację, jak ich przyjąć, o czym z nimi mówić, co im dawać jeść, a pan Anastazy nie mogąc już spamiętać wszystkiego, notował ołówkiem, gdy zachwycony rozumem nowego współnika Herszko ciągle cmokał ustami, rozkosznie kręcił głową i przebierał nogami. Ukończywszy konferencję z panem Anastazym, Winower poszedł do Alfreda, przybrawszy bardzo zasmuconą minę.

— No i cóż? — pyta niecierpliwie, gdy faktor wszedł do gabinetu. Matka pani Alfredowej i sama pani siedziały rozpromienione, jak się zdaje pod wrażeniem opowiadania Alfreda o cudach Dychawicy.[#]

— Jest wszystko, ale...

— Więc mów, cóż taką masz krzywą minę?...

— Bo ja myślę, co z tego nic nie będzie...

— Winower zawsze odradza interesa, których sam nie stręczy—odzywa, się z pretensją Aniela.

— Daj że pokój, niech mówi.

— Pan Anastazy jest to obywatel, który zrobił pieniądze na dachu...

— Zwaryowałeś—rzecze śmiejąc się pan Alfred— któż pieniądze robi na dachu.

— Et!—wtrąca staruszka, wstając z krzesła i machając ręką. — Ja ci zawsze mówiłam, że Winower jest za głupi na takie rzeczy... On dobry jak idzie o spra

wunki dla obywatela, o wyszukanie pisarza lub ekonoma...

— Mówże dalej...

— Zrobił majątek na dachu, co jest Festung w Modlinie i kupił za to Dychawicę —
mówi dalej spokojnie Winower.

— Więc to nie szlachcic?

— Ja nie wiem, czy on szlachcic, tylko jego żona jest jakaś mała hrabina... a ta
Dychawica była jej brata. Pan Anastazy to nie ma takiej głowy mądrej i na gospodarstwie się
nie zna.

— Ja też zaraz pomyślałem, że tam bieda umysłowa—wtrąca. Alfred.—Ma naprzykład
wody mineralne, ma węgiel kamienny, i o tem mówi jakby o Ameryce... No, ale chce
sprzedać?

— Onby sprzedał, bo ten zięć, co z jego córką się żeni, chce trzydzieści tysięcy, ale pani
Anastazy jego namawia, żeby nie sprzedawał, ale pożyczył pieniędzy.

— Kto mu dziś na dobra pożyczczy — odzywa się z powagą pani.

— A ty wiesz, gdzie szuka pożyczki?—pyta zakłopotany trochę Alfred.

— Wiem. Był u tego adwokata co się nazywa Adamski... był u Imerwara...

-r- I cóż?

— Ale i ja byłem u nich—mówi z powagą Winower—i ja nie kazałem jemu pożyczać...

— Wybornie—zawoła Alfred.—No widzisz Aniel- ciu, że Winowor nie taki głupi, jak
się wydaje...

— Pani Anastazowa możeby i zgodziła się sprzedać, ale jej żal pałacu i ranżeryi. Ona
przepada za

kwiatami... Ogród tam jest jak u księżniczki... Tam w ten ogród jest Insd z wodą, na około, na którym pływa taka wielka gęś zagraniczne jak w Łazienki.

Pani Alfredowej tylko oczy zaświeciły się z radości, i wstając, zbliżyła się z uśmiechem do fatora.

— No, no, Winowerku, postaraj się, żebyśmy tę Dychawicę kupili, a nie będziesz żałował...

— Jaby tylko radził panu robić interes zaraz, bo jak on dostanie pieniądze, to nie sprzeda...

— Oczywiście, pojedę zaraz—powtarza Alfred.— A nie wiesz kiedy on wraca do domu?

— Nie wiem. Możeby się pan z nim tu jeszcze rozmówił w hotelu.

— A to na co! Ze szlachtą trzeba ostrożnie, ja ich znam; zarazby myślał, że ja chcę gwałtem i pokazywałby fanaberye. Ci obywatele wiejscy to wszyscy są niezmiernie przebiegli.

— A jakby on tu sam przyszedł?

— Tak co innego; niech on się mię prosi, a nie ja jego...

— Gdzieżby on ci przyszedł — odzywa się Aniela—to są ludzie dumni.

— Dlaczego niema przyjść—mówi żyd—ja jemu powiem, co pan mu pożyczycy te trzydzieści tysięcy.

— Broń Boże, ani myślę!

— Ny, co to szkodzi obiecywać...

— Chyba tak. Więc idź i próbuj...

Próba się udała, i pan Anastazy z pokorą i wielce zakłopotaną miną znalazł się na herbacie u państwa Alfredów. Musiałbym zamiast opowiadania napisać tu choćby jeden akt komedyi pod tytułem: Trafiła kosa na

kamień, żeby dać czytelnikom jakie takie wyobrażenie

0 doskonałości gry tego rodzaju dyplomatów, przekonanych o swojej wyższości jednego nad drugim. Pan Anastazy udawał hreczkosieja, który Bogu duszę winien,

1 plótł niestworzone rzeczy o swoim dyletanckim gospodarstwie na wsi. Alfred przeciwnie, żartując sobie z jego naiwności, wyciągał coraz bardziej na słówka, z których widocznym było, że pan Anastazy bardzo ma-

* łą rolę odgrywa w domu, i w jakich z tego powodu zostaje tarapatach. Wstrzymując się od śmiechu gospodarz tylko od czasu do czasu ruszał ramionami i dawał tajemne znaki kobietom, jaki to paradny egzemplarz obywatela mają przed sobą... Ze swój strony obie panie sadyły się na oznaki grzeczności i uprzejmości dla Anastazego, tak dalece, że stara matka zajęta gościem zapomniała o kontrolowaniu Piotra, a ten znowu korzystając ze swobody poprostu rabował śmiało i za wszystkie czasy cukiernicę i karafkę z arakiem.

Anastazy, trzymając się jednej metody, mówił lardzo mało o samej Dychawicy, mimo, że kobiety zarzucały go ciągle pytaniami o ten pałac, o gondolę na stawie, o położenie dworu, ilości pokoi, okien, drzwi i t. p. Udając dobrodusznie naiwnego, Anastazy nie potrafił narysować planu rozkładu apartamentów, czego się domagała pani Aniela, a ha wszystko tylko odpowiadał:

— Jeżeli państwo dobrodziejstwo zechcą nam zrobić ten zaszczyt, to proszę przyjechać choćby na parę tygodni... Ja mam tak zakłopotaną głowę, że dalibóg- - nie pamiętam nawet, jak to wszystko wygląda.

Po jego odejściu, nikt już w domu pana Alfreda nie wierzył, że Dychawica może być nie ich; rozmawia-

no więc o wszelkich szczegółach przyszłego urzędzenia się na wsi, dysponowano pokojami, ustawiano meble, zdecydowano kupić bilard, a nawet sprzeczano się, komu w sąsiedztwie odda się pierwszą wizytę — albowiem Anastazy o tem sąsiedztwie dał im wyczerpujące sprawozdanie.

III.

W dwa tygodnie po zabraniu znajomości z panem Anastazym, jechali Alfredowie do Dychawicy. Byliby pojechali prędzej, lecz Winower codzien wynajdywał różne przeszkody, aby daó czas sprzedajacemu poczynić odpowiednie przygotowania.

Dzień był pogodny, choć mały przymrozek pościął piaski na drodze wiodącej do Dychawicy, a że czwórka gniadoszów pomykał żwawo, więc aspiranci na dziedziców rozkoszowali się taką przejażdżką. Pani Aniela, rozsiadłszy się wygodnie w powozie, pieściła się myślą, jak to zaimponuje sąsiadkom wspaniałą aksamitną suknią z koronkami, którą już dla pierwszych wizyt zamówiła. Przymrużywszy oczy, co podług niej należy do dobrego tonu, układała w myśli cały szereg frazesów, którymi powita panią Anastazową, zaś mąż, otoczony gęstymi kłębami dymu z papierosa, roił o sławie postępowego gospodarza w Dychawicy, o zyskanem poszanowaniu współobywateli, o godnościach z wyboru, którymi go wdzięczni rodacy zaszczyca, albowiem bądź co bądź, pokaże tej zapleśniałej szlachcie, jakim powinien być

obywatel ziemski. Wszystko, co kiedyś wyczytał w cennikach i powieściach o powołaniu ziemianina, o jego obowiązkach względem kraju, sąsiadów i tego biednego ludu włościańskiego—stało mu teraz przed oczami.

— Zobaczą co to są ludzie nowi—myślał, przypatrując się lichym chatom rozrzuconym kupkami wśród piasków.—Okropność, jak tu wszystko zaniedbane! Ani jednego drzewa przy drodze, kiedy zagranicą najpiękniejszych owoców dostarczają drzewa sadzone przy gościńcach publicznych... A jaki to lud ponury, zbiedzo- nym. niechlujny!... Boże drogi, niewielka różnica od zwjrząt... No, mam nadzieję, że to będzie inaczej u mnie; ja rozbudzę na nowo ich dusze, zaszczipię po- lczucie godności człowieczej... Ja będę dla nich trąbą iarchaniola, która ich podniesie z grobu!

Wtem stuk na progu bramy, przez którą wjeżdżało się na dziedziniec pałacu w Dychawicy, boleśnie przerwał jego medytacje. Powóz tak skoczył nagle, że pan Alfred, uderzywszy głową o pudło, dostał porządnego guza. Turkot po nierównym bruku, strzelanie z bata, szczekanie zgrai psów i krzyk przestraszonej tem wszyst- ;kiem pani towarzyszyły im aż do ganku.

Tu oczekiwała już cała rodzina państwa Anasta- ' zych. On sam otworzywszy drzwiczki, chwycił pod rę- j kę Alfreda, panią wyniósł na rękach jakiś opalony, w myśliwskich butach dryblas, a dwie kobiety, to jest pani Anastazowa z córką, chwyciwszy ją też na ganku pod ręce, razem z gromadą psów płaczących się pod no- t gami, wprowadziły prędko przez obdartą sień do pokory ju, a z tego jeszcze dalej do paradnego salonu. Nie da- | no przyjść do słowa przelęklej kobiecie, nie pozwolono K jej zdjąć futra w pierwszym pokoju, lecz za to w salonie

—

rzucili się wszyscy jak na rabunek. Anastazy, syn, córka, matka, lokaj, każde rwało z przybyłych jakieś ubranie, uciekając z nim w różne strony, tak, że biedna pani Aniela, odurzona podobnego rodzaju usłużnością, nie mogła się zdobyć na prośbę, aby jej oddano chustkę do nosa, którą zostawiła w zaręczawku.

— A, pani dobrodziejko, jakież zaszczyt, jakie szczęście tego! — wołał sam gospodarz, cmokając raz po raz drobne rączki Anieli...

— Nigdybyśmy się takiej łaski nie spodziewali— dogadywała sama Anastazowa, osoba dobrej tuszy, o rumianych policzkach i czarnych wyrazistych oczach, sadzając gościa na samym środku wielkiej jak arka Noego kanapy.—Józiu, może poduszkę dać pani—woła na córkę—Kasiu... poszukajno stołeczka pod nogi.

— Poszedł precz Zagraj!... Precz Zagraj!... Na tu Wanda! — krzyczeli naraz ojciec, syn, lokaj, ciągnąc w bardzo komiczny sposób za nogi czarnego ogara, który skomlał rozpaczliwie ani chciał opuścić stanowiska z pod kanapy, na której siedziała Alfredowa.

Gospodarz poznał gości ze swoją rodziną a gdy pociągnął Alfreda do drugiego pokoju na wódeczkę, obie panie przesadzały się w wynajdywaniu dla pani Alfredowej komplementów.

— Mamy do pani wielki żal — odzywa się matka.

— Do mnie, a to za co?—pyta ze strwożoną miną Aniela.

— Zbałamuciła mi pani męża. Od czasu, jak powrócił z miasta, o niczem i o nikim już nie mówi, tylko o pani... Tak było u pani Szafrankiewicz, to podawano, taką miała suknię, to mówiła, słowem nikt, tylko pani Szafrankiewicz na ustach i na myśli.

— Anastazy historyje opowiada, jaki to tam szyk u państwa.

.— Przepraszam—przerywa córka—tatko mówił, że dystynkcya.

— Ale moja Józiu, jakże możesz komponować słowa—wyraźnie słyszałam szyk...

— To było kiedyindziej, mama nie pamięta; ja r przecież jestem żywa, jak tatko mówił: panie te mają dystynkcję jak księżniczki.

Matka miała chęć oponowania, lecz panna Józefa powołała się na świadectwo Kazia.

— Prawda Kaziu, słyszałeś, co?

Kazio, właśnie ten opalony Samson z czarną pokręconą jak u murzyna czupryną, stał przy oknie, obserwując gonitwę młodego legawca z indykami. #Zaga- dnięty nagle, poruszył się, oczy wytrzeszczył, usta otworzył i zamknął, ale nic nie powiedział.

Pani Alfredowa spojrzała w jego stronę, a chło- pak spłonął jak piwonia. Jest to wysoki, bardzo niezgrabny, lat może dwudziestu młodzieniec, ubrany w szaraczkową czamarkę z zielonemi wyłogami. Skoó- ' czył trzy klasy gimnazyalne przed dwoma laty i miał iść na praktykę gospodarską do jednego hrabiego, ale ojcu jakoś schodziło z tem oddaniem, więc, jak to mówią, wisiał przy papie, ćwicząc się w strzelaniu do kaczek, polowaniu z chartami i miłosnych praktykach wiejskich. W chwilach wolnych od tych zajęć wydawał obroki dla koni cugowych, bo ekonomowi nie można było dać kluczków od spichlerza, i po nocach czatował z karbowym na szkodników wypasających łąki. Dochód z tak zwanej „zaimki" wyłącznie już należał do niego.

Podano obiad, pan Anastazy z całą galanterią*

w prysiudach, podał ramię pani Alfredo wej, za którą idąc nasze damy podziwiała wspaniałość jej sukni, niby to szeptem, lecz tak, że wszystko słyszała.

— No, szanowny gościu nasz—zapropomował gospodarz — napijemy się po szlachecku wódeczki, i nalawszy prawdziwie bernardyński kielich przepił do Alfreda.

Żeby się nie pokazać nowicyuszem przyszedł obywatel jak stary gracz wychylił także, a choć czuł, że to za wiele na niego, jednak przy obiedzie podązał za panem Anastazym, który co parę minut wznosił nowe, czasami nawet dowcipne toasty.

Na dworze, a jednocześnie i w umyśle Alfreda mrok zapadał. O oglądaniu majątku naturalnie dziś nie było mowy, więc tymczasowo zaproponowała gospodyni zwiedzenie pałacu. Kazio niósł świecę naprzód, obie panie postępowały za nim, a panowie całując się i ściskając co chwila, stanowili straż tylną, nie szczędząc sobie różnych, czasami trochę dwuznacznych dowcipów. A pokojów tych w pałacu było dosyć — większa część pustych, obdrapanych, z po wybij anemi szybami, przegniłą podłogą i szczątkami dawnych stiukowych ozdób na sufitach. Przy świecy nie raziło to, tembardziej, że w głowie pana Alfreda było nadzwyczaj jasno... Śmiał się głośno, projektował, co to można zrobić z tego mieszkania. Anastazy zaś przyświadczał i z miną dobrotliwego prostaczka przyznawał otwarcie, że o takich rzeczach nie ma najmniejszego wyobrażenia.

Gdy panie wkroczyły do spiżarni, Alfred powiada:

— Co my tam będziemy wdawać się z kobietami w ich sprawy, pójdźmy gadać o naszych rzeczach.

I poszli, a zasiadłszy przy butelczynie, rozpoczęli

na seryo traktować o Dychawicę. Tymczasem pani Al- fredowa, zostawszy w spiżarni, nie mogła wyjść z podzi- wienia nad obfitością zasobów, które jej przedstawiano. Po ścianach wisiało kilka olbrzymich pości słoniny, w towarzystwie różnych wielkości szynek; z powały spuszczały się na sznurach objęte drewnianymi kleszczami sadła, tu parę zajęcy, tam sarna, tu pułki zastawione słojami, słoikami, garnkami. Na podłodze beczki z mąką i kaszą, tam faski z masłem—tu rzędy serów, a w jednym kącie na ławach rzędem ustawione ogromne garnki nalane mlekiem. Pani Aniela, gospodarując w mieście, gdzie codzień kupuje się wszystko na grosze, była olśniona taką obfitością; zaś pani Anastazowa coraz nowe pokazywała jej rzeczy. To beczki ogórków, to wianki grzybów, wędliny, ptactwo domowe oskubane, zapasy orzechów, miodu, suszonych owoców, a wszystko swojego przygotowania i pochodzenia z Dychawicy.

Dlatego też, kiedy po kolacyi zaprowadzono ich na noc do przygotowanego pokoju, mówi ona do męża:

— Otóż na wsi aż miło! Nie masz pojęcia Fredziu, co oni mają zapasów. Dopiero to będzie mameczka uszczęśliwiona, jak się dostanie do tego raj!

— Uczciwi ludziska!—dodaje Alfred—przyjmują nas po królewsku, to nie tak jak w mieście, gdzie cedzą przez zęby każde słówko. Na wsi tylko jest szczerść i prawda w życiu... Bo proszę cię, czem my jesteśmy dla nich? prostą znajomością i to niedawno, a jacy to uprzejmi!... Radbyin, żeby się dało skończyć... Powiem ci—dodaje, nachylając się do ucha żony—że trzeba się uwinąć, bo o ile mogłem wydobyć parę słów z tutejszego ekonoma, spodziewają się jakiegoś stryja czy

wuja, który ma im pożyczyć pieniędzy... Napisałem dlatego parę słów do Winowera, żeby przyjechał...

Na drugi dzień państwo z Warszawy spali do dziesiątej. Okienice były szczelnie zamknięte, a że wsi jest cisza, więc nieprzerywało nic spokoju mieszczu' chom. Lecz zaledwie posłyszano pierwsze chrząknięcie Alfreda, już za drzwiami czatowała pokojówka do usług. Za nią kręcili się pani i panienka, sam pan i panicz, a gdy goście weszli do sali jadalnej na śniadanie, była taka obfitość przyborów do kawy, takie ze strony gospodarstwa zapraszanie, wreszcie takie wszystko wyborne, świeże i smaczne, że Alfred wstając od stołu, nie mógł wytrzymać i powiada:

— Jak Boga kocham moi państwo, jeżeli będziemy ciągle tak karmieni, to ja nie będę się mógł ruszać!

Śmiano się z takiej szczerości kochanego pana Alfreda, całowano się, żartowano, aż wreszcie zaproponował gospodarz obejrzenie gospodarstwa.

— Wprzód jednak przetrącimy co — mówi pan Anastazy — ja panie dobrodzieju na czczo wychodzić z domu nie mogę.

Więc przetrącili po kieliszku anyżówki, zakąsili suszonymi owocami, wędliną, wypili po lampeczce porteru, i puścili się do ogrodu.

— Ech, panie dobrodzieju—ręczę Anastazy, sprowadzając gościa na dół ku obszernej sadzawce — żeby to człowiek miał trochę lepiej w głowie, coby tu się dało zrobić z tego ogrodu! Ale to dawniej rodzice nasi nie dbali bardzo o edukację, ot, chowało się w domu jak u Pana Boga za piecem. Zresztą i nie ma na to. Proszę pana, ten staw pobrać głębiej, wyczyścić, ta m)'

stek postawić na kępę, tam wyciąć widok na wieś... Cudowna szwajcarska panorama...

Alfred jak wódz rozpatrujący teren przed bitwą, obejrzał się tu i tam, brwi ściągnął i wyciągnąwszy rękę z laską, nakreślił zdumionemu Anastazemu cały plan przyszłego przekształcenia ogrodu.

— Inspekta ztąd precz... szkółka precz, tu klomb dywanowy, tu grupa drzew dzikich! Żadnych kwadratów, bo to jest monotonnem i nuży oko...

Anastazy oczy wytrzeszczył, słuchając tego wszystkiego z nabożeństwem, potakiwał kiedy niekiedy i wzdychał nad swoją nieświadomością, a wreszcie, uderzając się co chwila w czoło, dziwił, jak on siedząc tu lat tyle ani pomyślał, że coś podobnego da się zrobić.

Z ogrodu poszli obejrzyć zabudowania gospodarskie. Alfred i tu okazał się mistrzem, narzekając na niepraktyczny rozkład.

— Za granicą nie tak sobie ludzie radzą. Ja te budynki postawiłbym w krzyż, uważa pan dobrodziej, tak—mówi, kreśląc laską po piasku plan tych zabudowań.—Tu w spojeniu krzyża stoi maszyna parowa i panie dobrodziej, obsługuje wszystko. W jednym ramieniu stodoła i młocarnia, w drugim holendernia, w trzecim stajnia na konie; tu młyn, tu sieczkarnia a wszystko samo młóci, czyści, rżnie sieczkę, paszę gotuje... Wszędzie kolej prowadzi do stajen i obór, do spichrza—zakręcisz panie dobrodziej i jak w zegarku, a ludzi prawie nie potrzeba...

W ten sposób idąc dalej, nasz bohater krytykował wszystko, ucząc zawstydzonego Anastazego, jak to być powinno w porządnym gospodarstwie. Naturalnie, że na woły, krowy, konie, marnujące czas na przebiera-

niu czystej słomy przy żłobach, ledwie, że spoji^ł; w stodole tylko kazał sobie wykruszyć parę kłosów zboża, ziarna zgryzł w zębach i uznał, że mają dosyć glutenu. Służba dworska, widząc, że sam dziedzic chodzi koło niego z taką pokorą i attencją, spoglądała zdziwionymi oczyma na tego wielkiego pana z Warszawy. Parobcy i dziewczki chwytały go energicznie za nogi, a wielko marsowaty gumienny, ubrany już na pół z mieszczkańską, w żaden sposób nie dał się nakłonić do włożenia czapki na głowę.

— Jaśnie panie, ja wiem co się komu należy—mówił ze znaczącą miną, chowając czapkę za siebie.

— Poczciwości człowiek — szepcze pan Anastazy, pokazując na owego Izydora. — A wierne to jak pies... Ja się tam z owymi surdutowymi ofycyalistami nie wdaję; wszystko to w rumel próżniacy i panowie. Mam ja ich rządów poty... wyprowadzili mnie oni dobrze, A taki prosty chłop najlepszy. Jak mi przyjdzie fantazyja, zhukam go panie łaskawy, z błotem zmięszam i wysłucha cierpliwie. Nie bez tego, żeby czasami coś tam nie chapnął, ale przynajmniej mało, bo głupi i potrzeby jego niewielkie, a taki pan rządca uczony to chce żyć lepiej odemnie. Pani w kapeluszach, dzieci do szkół, a to z czego?... Radzę panu łaskawemu z dobrego serca nie wdaj się z tymi panami—ot prosty a sprytny i gorliwy, więcej będzie użyteczny ze swoim chłopskim rozumem; przynajmniej fanaberyi nie ma żadnych.

Gdy przyszło obejrzyć mapę dóbr, pokazało się, że jest, ale bardzo podarta i bez rejestrów pomiarowych, które pewien gępmetra jeszcze przed pięciu laty gdzieś zawieruszył.

— Filut to był nad filutami—mówi Anastazy.—

Kazałem mu panie łaskawy przemierzyć jeden kawałek lasu, a on jak zmiarkował, że tu daleko więcej jest gruntu niż w registrach, napiera koniecznie, żeby na nowo przemierzyć całą Dychawicę. Ale ja sobie myślę, toć mi tam nie ucieknie, co jest w ziemi to jest. Więc panie łaskawy, pokręcił, pomachlował, papiery w kupę zawinął i pojechał. Ja tu panie potrzebuję coś w pół roku zajrzeć do mapy, rozwijam—registrów nie ma. Piszę do niego, a on odpisuje: wszystko zostawiłem; zresztą jeżeli Wpan rozkaże, gotów jestem zrobić nowy pomiar. A, myślę sobie, jestem w domu i wiem o co ci idzie? Mnie też nie w ciemną bili i powiadam: dziękuję uniżenie.

— No, ale jakaż rozległość całych dóbr? — pyta Alfred.

— Najmniejsze dziecko z okolicy powie panu łaskawemu, że Dychawica ma przeszło siedmdziesiąt włók... to rzecz znana i ja tu mam zanotowane u siebie z dawnych registrów... Zresztą ten geometra Pręćński mieszka w Warszawie, i dość mu zaproponować, to on Dychawicę zmierzy za darmo. Powiada: pan dobrodziej dasz mi pięć procent wartości tego, co ja wynajdę więcej przestrzeni w Dychawicy, a ja nowy pomiar zrobię.

Nareszcie trzeba było zajrzeć w pole i do lasu.

— Przetnącimy i pan dobrodziej pojedzie — mówi Anastazy. — Dam panu Izydora, on tutaj urodzony, i każdy skrawek ziemi zna lepiej niż swoje sumienie.

— Wolałbym, żeby sam pan dobrodziej pojechał.

— A, nie, nie, nie...—woła, trzepiąc rękami różowy człowieczek. — Niech pan sobie ogląda, jak chcoj i rozpytuje się swobodnie. U mnie każdy interes idzie

uczciwie i nie chcę jak inni wychwalać swego majątku, albo coś ukrywać, albo w innym świetle przedstawiać. Targować się mogę do ostatniego, ale żadnych takich...

Podobała się niezmiernie ta otwartość sprzedającego, więc przetrąciwszy, wsiadł Alfred z karbowym do bryczki i wyjechali za bramę dziedzińca. Jak powiedziałem wyżej, było to na wiosnę i jeszcze miejscami śnieg leżał na polach, a ziemia tak grzęską, że gdy spróbowaliśmy wejść na rolę, nabrało się panu Alfredowi błota przez wierzch kamaszy.

— Tam na górce będzie suszej—mówi Izydor.

— A niech licha porwie takie suszej — odpowiada cofając się do bryczki. — Nie głupim brnąć po kostki w błocie... I z bryczki zobaczę, co mi potrzeba; proszę mi dać tylko próbkę ziemi w papier...

Jeździli w taki sposób tylko po drogach i brali próbki, a pan Alfred z bryczki oglądał pola i lasy, łąki i pastwiska zalane wodą. Dla takiego dyletanta, jakim jest pan Alfred, był to jeszcze najpraktyczniejszy sposób oglądania. Wieś znał tylko z gościny u dawnych kolegów lub protektorów matki, gdzie go na wakacje zapraszano. Raz tylko miał sposobność przypatrzenia się bliżej tym rzeczom, gdy go adwokat wysłał z komornikiem na detaksację pewnego majątku, którego, prowadził sprzedaż przymusową. Obecnie wiedział, że w tej okolicy płaci się tyle a tyle tysięcy za włókę, więc skoro inni tak jęli i on może. Najbardziej jednak zwróciły jego uwagę owe gromady kamieni tu i owdzie widniejące na polach.

— A przynieś no mi parę mój przyjacielu — rzecze do karbowego.

Izydor przyniósł, Alfred obejrzał i powiada.

— Toż to takie, jakich na bruki używają w Warszawie.

— Takie proszę pana...

— A ile się płaci furmanka ztąd do Warszawy?

— Różnie jak czas po temu. Zimą przy dobrej drodze pojedzie chłop za ośm złotych.

— Hm — pomyślał sobie pan Alfred — trzy fury powinny zabrać sążęń — a sążęń kamieni brukowych w Warszawie kosztuje dziś pięćdziesiąt rubli. Uśmiechnął się zadowolony ze swego pomysłu, bo policzywszy koszt transportu nawet na czterech furmankach, zostanie mu na czysto za sążęń około czterdziestu rubli... Świetny interes! W Dychawicy tych sążni może być tysiące...

W ten sam sposób oglądało się las, który jak wiele lasów naszych, przy drogach i od wjazdu wyglądał nieźle dla oka ludzkiego, a dalej w głąb pan Alfred nie j miał ochoty się zapuszczać. Izydor tymczasem opowiadał mu różne historye o polowaniach; jak dziki raz napadły panicza, że musiał schronić się na drzewo, jak sarny przechodzą tu gromadnie z sąsiednich lasów hrabiego, ile tu lisów i zajęcy zabito przeszłej zimy, jak gajowy raz przyniósł cietrzewia, wreszcie jak poszukiwane są i drogo płacone pnie sławnych sosen, które wykopują włościanie na łuczywo. W ogóle Izydor był nadzwyczaj wstrzemięźliwym w odpowiedziach i zachowywał się jak na prawdziwego dworskiego dyplomatę przystało, to jest, że trzeba było wszystko z niego ciągnąć.

— Jakże tu, o robociznę trudno?

— Tak, różnie proszę jaśnie pana. Czasem to

tyle się tego najdzie, że trzeba odpędzać, a czasem dwoje ludzi nie znajdziesz, choćbyś dwa złote płacił.

Tak samo było „różnie” ze zbiorami zboża co do ilości kop lub wydatku, tak samo „różnie” z propinacją, wełną z owiec, ceną i t. p.

— Może być, że to jest uczciwy człowiek—pomyślał sobie Alfred—ale że ograniczony, to nie ulega wątpliwości.

W dwie czy trzy godziny obejrzano cały obszar włók siedmdziesięciu, i kiedy Alfred wrócił znużony, głodny, zziębnięty — zastał już dwóch swoich faktorów. Pan Anastazy wystąpił z rejestrami gospodarskimi, które od lat kilku bardzo porządnie, bo dla towarzystwa ubezpieczeń prowadził. Dalej przedstawił wartość budowli asekurowanych, która blisko trzecią część wartości całego majątku wynosiła, wreszcie wykaz gotowych dochodów, które stanowiły już kwotę dającą pięć procent od ceny żądanej za Dychawicę. Propinacja, młyn, ryby, wydzierżawianie pastwiska w lesie, pacht z krów, orzechy, grzyby, drzewo z lasu, pnie, trawa z miedz, owoce z sadu, dzikie gruszki z drzew stojących w polu, kapuś nisko w ogrodzie i wiele innych tego rodzaju pewnych źródeł dochodu obliczone były skrupulatnie podług ksiąg rachunkowych.

— Niech pan dobrodziej mi wierzy—dodaje z nieśmiałością Anastazy—żem tu jeszcze nie zamieścił dużo rzeczy, jak naprzykład dochodu z maku i czarnej malwy, dochodu z pszczoł (było siedm uli wszystkiego) z kwiatu róży na konfitury, z chowu indyków, z agrestu...

— Ech, takie drobnostki!...

— Nie panie dobrodzieju, to nie są drobnostki— przerywa Anastazy — wszystko to zebrawszy grosz do

grosza, stanowi znaczną sumę... Ale to już jest dochód mojej żony... z którego ona cały dom oporządza.

— A co też kosztuje utrzymanie gospodarstwa?— zagadnął Alfred.

— Niewiele panie dobrodzieju. Podatki coś parę set złotych, płace służących także, a robociznę prawie wszystką mamy z odrobków. Da się tam zagonów trochę pod kartofle, to pozwoli się sąsiednim wsiom pastwiska, to tam trochę trawy wykosić z zarośli, i dzięki Bogu zbierze się wszystko na czas... Ot niech pan dobrodziej patrzy—mówi otwierając księgę—jeszcze mam z przeszłego roku osmdziesiąt pięć dni niewyrobionych...

— Az włościanami jak sprawa?

— Skończona... chwała Bogu! ślicznie, pięknie odgraniczeni. Tam choć trochę mają zbieraniny w lesie, pastwisko na kawałeczku pola i jesteśmy w serdecznej zgodzie... A już to lud tutaj jest poczciwy, spokojny i z wielką przychylnością dla dworu... Niechbym o północy poszedł do którego gospodarza o furmankę, czy o pomoc jaką—natychmiast pojedzie, zrobi, a o zapłatę nawet się nie upomina... Da mu się tam co bądź i jeszcze w rękę pocałuje; już to mogę się pochwalić, że z chłopami jestem dobrze...

Targi o cenę majątku skończyły się dość prędko. Alfred, obliczywszy wszystko na prędcę, (a ma do tego dar jedyny, doszedł, że płacąc tysiąc rubli za włókę, płaci tylko budynki i wartość drzewa w lesie, ziemia i gotowe dochody pozostają mu darmo... Dochody te z Dychawicy pokryją z nadmiarem wszystkie wydatki, procenta od długów hipotecznych tak, że gotówka za zboże pozostanie wyłącznie dla niego... Świetny interes rzeczywiście! ale też trzeba mieć takie szalone szczęście,

jakie ma Alfred, żeby trafić na podobnego niedołęgę, jak pan Anastazy, który nawet nie jest w stanie obliczyć wartości własnego majątku!

— I tacy ludzie — myślał sobie dumny ze swego szczęścia pan Alfred — mają utrzymać narodowość i w kraju przodować!... Zbutwiały, jak Boga kocham zbutwiały plemię... skazane na zaturę...

Gdy ułożono już wszystkie punkta, bo Alfred nie był twardym w drobnostkach, pan Anastazy z powodu; że była już dziesiąta godzina wieczór, zaproponował spisanie punktów przedugodowych na jutro. Alfred już się miał zgodzić, kiedy tręca go Winower.

— Niech pan nie pozwala; ona jemu nie da sprzedawać—szepcze do ucha!

— A na co odkładać—rzecze Alfred stanowczo— robić, to robić zaraz,..

— Ale panie dobrodzieju —sumituje się zakłopotany gospodarz—ja muszę jeszcze poradzić się z Regin- ką, pan dobrodzieju także ze swoją żoną...

— O, nie, moja Anielka zupełnie mi ufa i co ja zrobię! wszystko dla niej dobre!

— Mój Boże—mówi, wzdychając ciężko Anastazy—jak pan dobrodzieju szczęśliwy, mając taki porządek w domu. Ja nie mogę bez Reginki... Zresztą tak jakoś cała rzecz poszła nagle... ani wiem, co z nami będzie...

— Niech pan nie ustępuje!—szepcze znowu faktor Alfredowi.

— A panie dobrodzieju, słowo się rzekło, przecież rzecz skończona—nalega Alfred. — Jeszcze nie tak spóźniona pora, to nie wiele czasu zabierze napisanie punktów.

— Ot, zajechał mię pan dobrodziej tak temi słowami, że dalibóg nie wietn, jak tu wyjść z tego. Strach mię ogarnia, co Reginka powie, ona taka przeciwna sprzedaży...

— Ny — wtrąca żyd z pewną zuchwałością — cóż to pani nie wie, po co my tu przyjechali?...

— Idźno idź, kusicielu przebrzydły! — ofuknie zmieszany i zaambarasowany gospodarz. — Wy to tak jak judasze chcielibyście zaraz człowieka utopić, powiesić, zjeść...

— Przecież pana nikt nie przymusza — wtrąca z ironią Alfred — i gdybym był wiedział, że pan dobrodziej sam nic nie może, nie tracilibyśmy czasu napró- żno... przecież my nie dzieci.

— Łaskawco, bój się Boga, nie naciskaj. Dobra sprzedać, to nie bułkę za grosz... A gdzież ja się teraz podzieję nieszczęśliwy.

— Jakto, z pieniędzmi wielmożny pan nie wie gdzie się podzieć! — mówi sarkastycznym tonem Winower.—Czy to świat mały... Daj Boże każdemu taką biedę!...

— Daruj kochany łaskawco — odzywa się, obejmując wpół Alfreda i całując go w oba policzki—ja ten tego się nie cofam, ale muszę pójść do Reginki...

— I owszem idź pan, tylko zapewniam, że jeżeli dziś nie skończymy, jutro dodnia wyjeżdżam. Mam tyle interesów na głowie i nie mogę tracić czasu na próżne gawędki.

Stary wybiegł z rozpaczą do sąsiednich pokoi, a obaj żydzi dalejże operować Alfreda.

— Niech pan jego nie puści!... Na co było po

zwoić do żony!... Niech pan jej powie, co w targu żartów nie ma... jaśnie pan jest za miękki pan...

— Ależ dajże mi pokój! — woła nieco wzburzony Alfred, opędzając się krok w krok chodzącym za nim faktorem — od waszego klekotania aż w głowie mi trzeszczy!

Tymczasem nasz Anastazy przechodząc przez pokój. w którym siedziały kobiety, skinął na żonę.

— Matko! proszę cię na słówko...

Żona wstała i poszła za nim.

— No, chwała Bogu skończone,—mówi, zamykając drzwi za sobą.

— I jakże?

— Doskonale, to dobrodziej, którego nam Pan Bóg zesłał jak mannę' żydom. Wiesz, ażem odetchnął... W imię Ojca i Syna... bo już było tak źle, tak źle, że za tydzień Dychawicę sprzedałoby Towarzystwo i my z kijem!...

Pani Anastazowa uścisnęła męża.

— Chwała Bogu... Tylko mój drogi nie przeciągaj struny, jak to już nie raz było, żeby nie pękła! Zdaje mi się zanadto żądasz Nastku... Trzeba mieć sumienie... to jacyś dobrzy ludziska...

— Wyborna jesteś ze swemi skrupułami!—zawoła, śmiejąc się i zacierając ręce małżonek.—Głupi daje, mądry bierze, tak było od początku świata i tak będzie.

— No, ale przecież?

— Każdemu wolno cenić swoją pracę, jak mu się podoba!

— Jednakże...

— Cóż jednakże, cóż? Nie zrobili toż samo ze mną,

bę?... Nie złapali mię tak samo?... powiadam ci, żebym ^T chciał trzydzieści tysięcy więcej, byłby dał, na moją ^ uczciwość... No, ale ja nie taki i nie chcę zdzierać skó- Bfe: ry... Otóż, moja droga, gwałtem nalega żeby dziś zaraz pisać umowę, a ja powiedziałem, że muszę się z tobą | naradzić i wyszedłem...

— Zkąd taka łaska—nigdy tego nie bywało—od- ' powiada pani z wyrazem zdziwienia.

— At, jakaś ty niedomyślna! Chcę ci napędzić 1 tysiączek rubli porękawicznego, a ty się dziwisz. Trze- ł ba, tedy żebyś panie dobrodzieju wpadła z żalami, jak to wy umiecie, że nie chcesz pozwolić na sprzedaż! fc— Ej przerachujesz się!

— Zapalił się, mówię ci, jak kot do mleka.*. A ty- 'f jsiąc rubli zda się przecież... kupisz sobie jedwabną suknię i futerko... dla Józi także coś. Dobrzeby było, L żeby i ona tak trochę pomogła—hę? powiedz jej...

— Anastazy czy to tak ładnie!...

— No, no, no...

— Ja tego nie zrobię!

— Zrobisz!—zawołał niecierpliwie pan Anasta- zy. — Nie myślę znowu zakładać warsztatu blacharskie- go dla twoich dziecinnych skrupułów. Co za drażliwość ' niepotrzebna... Nie bój się, niewiele nam się zostanie jak wszystkie długi popłacimy Winower już nastrojony * *i szepnie o porękawiczne. No, no, krzywdy mu się nie robi, na pieniądze nie pracował.

Wyszedł, a pani Regina zostawszy sama tylko, westchnęła głośniejszym, wolnym krokiem okrążyła pokój, w którym siedziała Alfredowa z córką i chociaż nie • z tak desperacką miną, jak sobie mąż życzył, odegrała jednak narzuconą jej komedię.

— No, róbże pan dobrodziej co chcesz z kobietami! — odzywa się rozkładając obie ręce p. Anastazy. — Jak Boga kocham przyjdzie człowiekowi zwaryować albo w łeb sobie palnąć!..,

Nastąpiła chwila uroczystego milczenia. Pani siedzi przygnębiona na krześle i zakrywa oczy ręką, pan znowu z pociesznie rozpaczliwy miną chodzi tu i tam, coś mruczy, rękami wywija, chwytając się od czasu do czasu za głowę. Z swej strony Alfred jest rozdrażniony, zły, bo wzrusza ciągle ramionami, a z oczu tryskają mu iskry niecierpliwości... Co do żydów, to ci udając poszanowanie dla boleści, stoją jak słupy i nie śmia się poruszyć. Nareszcie pan Anastazy kołując po sali, nieznacznie otarł się o Winowera, a ten przystąpił na palcach do Alfreda...

— Niech jej pan da porękawiczne — szepcze mu do ucha.

— Proszę łaskawej pani — odzywa się delikatnie Alfred — trzeba być na wiele przykrzejszych rzeczy przygotowaną w życiu. Zresztą postaramy się ile możliwości osłodzić pani tę boleść rozstania z Dychawicą; będzie i porękawiczne...

— Tysiąc rubli! — dodaje głośno Winower, a widząc, że cyfra tysiąc wywołuje pewien niesmak na twarzy Alfreda, zaczyna mu z całą natarczywością machać ręką i głową jakby mówił: Dać, dać, co tam!

Po wielu jeszcze w ten sposób odegranych scenach żalu podano sobie ręce uroczyście. Panowie i panie uściskali się po kilkakroć, a żydzi prawie tańcowali z radości. Pani Regina, gdy Alfred z rozczulenia całował jej ręce, zdaje się, że tem razem szczerze żegnała go krzyżem świętym życząc jak najlepszego powodzenia.

Najgorzej ze wszystkich wyszedł na tem Kazio, albowiem nie mogąc się doczekać końca targów, usnął w sąsiednim pokoju na sofie, a choć go zbudził Herszko i popchnął do salonu, to blask światła tak raził jego oczy, że mimo energicznego tarcia nie był ich w stanie otworzyć i udao także desperacyę. Szczęściem ojciec posłał go do piwnicy po wino na litkup i tem uwolnił z przykrego położenia.

— Jeszcze nie trzeba wina!—zawołał Winower— naprzód napisać tranzakcyę.

Sprzeczano się na tym punkcie czas jakiś i Alfred usiadł do stolika. Trzeba przyznać, że na tych rzeczach znał się lepiej od pana Anastazego, jako pracujący kiedyś w kancelaryi mecenasa, dlatego spisanie punktów poszło mu dość gładko.

— A to mię pan dobrodziej opisałeś jak węża, hę?—powiada Anastazy, czytając umowę.—Na co tu te prze miary w ciągu roku, dziecko wie każde we wsi, ile ma włók Dychawica... nadarmo chcesz pan wyrzucać pieniądze.

— No, a jakże?

— Tak ryczałem sprzedaję co jest... co pan dobrodziej widział... i kwita! Albo to świadectwo z kasy o zaległych podatkach? Na co świadectwo? Pojedziemy razem do powiatu, zapłacę przy panu, co się należy i koniec.

Zgodził się Alfred na tę ostatnią propozycyę, ale od pierwszej nie odstąpił.

Długo musiałbym opisywać wszystkie szczegóły umowy i sprzeczki, jakie się przy pisaniu wywiązały, ograniczę się więc na tem, że chociaż Dychawica sprzedawała się bez inwentarza, pan Anastazy obiecał zosta

wić coś na zapomogę, a pani zaopatrzyć nową gospodynię w niektóre statki gospodarskie i zapasy. Jednakże tych obietnic do umowy nie wciągano, bo to jest rzecz święta i honorowa jak zapewniał Anastazy.

— Na cóż tam zaśmiecąc akt takimi drobnostkami jak magiel, beczki na kapustę, bryczka, słoiki i inne rzeczy. Nawet trochę mebli zostanie, bo ja panie dobrodzieju kiedy mam do czynienia z porządnymi ludźmi, także potrafię być jak się należy.

Pani Alfredowa była tego samego zdania, więc i mąż, chociaż to formalista jak każdy prawnik, nie śmiał się sprzeciwić.

Gdy przyszło do umówienia kwestyi wiosennych obsiewów i obliczenia ilości morgów i korcy ziarna na posiew, a także wywózki nawozów, pan Anastazy powiada:

— Ot wie pan co, te wszystkie opisy nasze nie podobają mi się. Ja oczywiście będę musiał często wyjeżdżać, bo przecie trzeba się starać o jakieś inne locum, więc za te obsiewy nie mogę ręczyć. A wierz mi pan dobrodzieju, tyle go szanuję a nawet, prawdę powiedziawszy kocham, że nie chciałbym, aby pan narzekał, że źle, albo nie tak jak potrzeba zrobione. Więc panie dobrodzieju oddam mu do dyspozycji ludzi i inwentarze, oddam cały zapas krescency i niech pan sam sobie sieje. Pańskie oko konia tuczy, ja to wiem.

Alfred uściśnął rękę pana Anastazego.

— Dobrze—mówi—ale ileż tego zboża jest?

— Widział pan przecie tyle a tyle sąsieków owsa, tyle jęczmienia, stożek grochu, tyle kopców kartofli. U mnie rejestra w porządku. Ażebym ja tam już nie miał co do rządzenia w pańskich stodołach, jto niech

pan weźmie i resztę żyta i pszenicy, a za to pan zapłaci służbę za ten kwartał i da im ordynaryę. No i dla nas potrzeba będzie aby dobiedować do lipca. Dla koni obrok i siano, dla dworu trochę pszenicy, trochę żyta, ot co na dom nasz mizerny.

Obaj faktorowie byli za tem, Alfred któremu pilno było zostać obywatelem, nie długo się namyślał. Chodziło tylko, kto będzie dozorował.

— Przyśle pan swego człowieka...

— A może sam będzie łaskaw — dodaje z uprzejmością, pani Regina. —

Wyprzątniemy pokój dla pana.

— Ech, gdzieby tam młody małżonek oddalał się od rodziny!—dodaje, śmiejąc się pociesznie Anas.taży.— Myślisz, że pani Szafrankiewiczowa jest taką jak ty, co mię tylko wypędzasz z domu, jedź, jedź... .

| • f — Co też gadasz Anastazy...

— Ho, ho, nie bój się, ja cię rozumiem dobrze, za stary jestem, prawda? Dawniej, przypomnij sobie, gdzie ja, to i ty zaraz...

— Więc jakby i pani była łaskawa z panem — przerywa gospodyni, udając że nie słucha paplaniny męża —to i owszem. Możemy dać jeszcze jeden pokój, albo dwa i kuchenkę...

Pani Alfredowej podobała się ta nowość, a że i jemu, jak powiedzieliśmy wyżej, pilnetn było obywatelstwo, więc poszeptawszy trochę między sobą, zgodzili się zaraz przenieść do Dychawicy.

— I ogrodu sobie pani dopilnuje...

•— Prawda — mówi Alfred—w ogrodzie dużo będzie roboty... Tylko jakże ze służbą i stołem?

— Au nas — rzecze pani Anstazowa — żyjemy skromnie, co Bóg dał, to się z państwem podzielimy.

Pani Aniela nie chciała na to przystać, więc obmyślono taki sposób, że kucharz państwa Anastazych gotować będzie oddzielnie dla nowych dziedziców, co sobie zadysponują. Da mu się tam parę złotych i będzie kontent, a nie zrobi się nikomu subiekcyi.

Ułożyło się tedy wszystko ślicznie, ładnie i zgodnie, jak powinno być między ludźmi. Pan Alfred żeby być tak samo skrupulatnym dla innych jak dla siebie, wypisał w umowie, ile ma się dawać czego na potrzeby państwa Anastazych: zboża, kartofli, ogrodowizn i t. p.) których służących się wyłącza na ich usługi, słowem opisał wszelkie szczegóły tymczasowego między stronami stosunku. Pan Anastazy wziął zadatku trzy tysiące rubli, reszta miała się płacić przy kontrakcie w bypotece na S-ty Jan, w którym to czasie dobra będą mu oddane w posiadanie. Jednak, gdyby wprzód jeszcze potrzebował jakich trzydziestu tysięcy złotych, to Alfred w ciągu miesiąca obowiązuje się sumę na rachunek zaliczyć.

Już było po północy, gdy punkta przedugodne podpisano, więc litkup ograniczył się na wypiciu po kieliszku szampana, który i panie z odwagą wychyliły. Następnie jeszcze raz się ucałowano, winszując i życząc najlepszego powodzenia i porozchodzono się na spoczynek.

Otóż, bodaj to u nas interesa załatwiać! Naprzykład teraz, wszyscy byli z siebie i drugich zadowoleni, a najbardziej sam Alfred z tego, że kupił za bezcen Dychawicę. Całą noc oka nie zmrużył, a myślał, kombinował, jak on ten pałac wyre&tauruje, jakie i gdzie da obicia, nowe posadzki i szyby, ile to wszystko będzie kosztowało, wreszcie jaki ma sobie zamówić garniturek do gospodarstwa na lato.

Brnąc w myślach coraz dalej, wspominał na swoją przeszłość i poczuł się dumnym. Ktoby to przed sześciu laty powiedział, że ja dziś będę panem i właścicielem tak obszernego majątku!... I rozśmiał się do siebie i szepnął parę słów podziękowania Panu Bogu, albowiem i powodzenie tak samo jak bieda czyni nas więcej nabożnymi.

Przeciwnie pan Anastazy spał jak zabity, pier- wazy raz podobno od lat trzech; pani śniła się materyal* na piernikowa suknia, ubrana morderowym aksamitem z długą na dwa łokcie powłoką, a panna Józefa, obliczywszy w myśli, ile teraz może jej się dostać w posagu, przemyśliwała, w jaki sposób da poznać panu Wacławowi, że jej o niego nie chodzi... Zarozumialec, drożył się ze swoją osobą.

A. Wilczyński.—Tom XIX.

1Y.

Jeszcze Szafrankiewicz nie wrócił do Warszawy, a już gruchnęła wieść między znajomymi, jaki to znowu świetny interes zrobił. Winszowano mu, zazdroszczono, a miłość własna jego rosła, dowcip i humor stawał się jowialniejszym... Już dawano mu odstępnę za Dychawicę, już sprzedał las i wziął za niego tyle, co dał za majątek — słowem, żydzi nie żydzi głosili o jego powodzeniu a skutkiem tego w kółku znajomych okrzyczano go geniuszem, którego w krótkim czasie czekają miliony.

Pragnąc jak najprędzej przenieść się do dóbr swoich, podwoił działalność, żeby pozłatwiać sprawunki nieodzownie do nowego stanu potrzebne. Od rana więc do nocy razem z małżonką jeździł po sklepach, kupował, sprowadzał, pakował i wysyłał do Dychawicy tak, że w tydzień już był gotowym do drogi. W tym czasie również złożył mu uszanowanie dotychczasowy pachciarz z Dychawicy, żyd niezmiernie uniżony, po-

korny i tak zastraszony, że państwo Szafrankiewiczowie mieli sto pociech, opowiadając, jak ten parafialny żydek przewracał się po posadzkach ich salonów, jak zapomniał języka w ustach, kiedy go Alfredek zapytał ostro, po co tu przyjechał. Jemu chodziło, o dalsze utrzymanie się przy pachcie, dlatego radził nabyć wszelkie inwentarze od pana Anastazego, które jako miejscowe już znają się z trawą tamtejszą i chorować nie będą. Zydek ten w nadmiarze przychylności udzielił mnóstwo rad i informacji co do owego inwentarza, odkrył tajemnicze wady niektórych przedmiotów, młó- carni nie radził kupować, bo jest klekot, słowem okazał wielką życzliwość i usługi Alfredowi, które go informowały o stanie tych inwentarzy.

— Ależ pan dobrodziej ma oko!—mówił zakłopotany Anastazy — słysząc wymieniane przez Alfreda wszystkie niedostatki. — Raz tylko był pan w oborach i stajniach a wszystko widział...

— Ha, panie ja tak! — odpowiedział kupujący. — Dzięki Bogu bystrości umysłowej wcale mi nie brak...

I skutkiem tego znowu za pół darmo nabył cały inwentarz żywy i martwy ryczałtem, co jest na gruncie, z małemi wyłączeniami dla pana Anastazego, dla pani, panienki, panicza i innych kilku osób zasłużonych tej rodzinie.

Dzień był prawdziwie wiosenny i ciepły, kiedy państwo Szafrankiewiczowie nową czwórką siwoszów, umundurowaną w nowe także, błyszczące chomonta angielskie i zaprzęzoną do powozu, jechali rzemiennym dyszlem do dóbr swoich. Mogli jechać koleją żelazną, lecz pani Aniela dla przyczyn, o których nie wypada mi się rozpisywać, nie mogła znieść jednostajnego drżenia

wagonów po żelaznych relsach. Zresztą, powóz był tak wygodny, czas tak piękny, podróż tyle urozmaicona owymi popasami w karczemkach wiejskich, że państwo czuli się nad wyraz uszczęśliwieni, podziwiając śpiew skowronków, zjadając smaczne zapasy wzięte na drogę, pijąc mleko po drodze i obdarzając wiejskie dzieci cukierkami. Matka Anieli jechała także, pierwszy raz z taką paradą, więc i na jej poważnym obliczu znać było pewną dumę i niecierpliwość. Ca parę minut wychylała głowę, pytając się stangreta o nazwiska wsi, przez które przejeżdżali i ciągle nakazywała, aby dał znać, gdy pokaże się pałac w Dychawicy. A ten stangret nowy, to również nie był zwyczajny wiejski woźnica, chłop przebrany w liberyę, ale prawdziwy stangret, mistrz w swoim zawodzie. Od młodości służywał po różnych wielkich panach i na wsi i w Warszawie, a tylko wypadkiem w ostatnich czasach dostał się na stróża kamienicy, w której mieszkali państwo Szafrankiewiczze. Kiedy dowiedział się, że pan Alfred nabył Dychawicę, i kiedy zobaczył przyprawioną z targu pragskiego czwórkę siwków, z tęsknoty za wsią zaoferował swoje usługi nowemu dziedzicowi i został przyjęty. Miał on długie konopiaste wąsy, które zwykle pełną dłonią na boki twarzy odsuwał — miał policzki i nos zanadto rumiane, wpadające w kolor fioletowy, wreszcie własne w skórę obszyte biczysko.

Rzeczywiście czwórka siwoszów pod jego wprawną ręką zła jak czworo dzieci, a kiedy się zamachnął i huknął z bicia nad nimi, to obie kobiety chwyciły się za poję surduta Alfreda ze strachu, myśląc, że jaki rozbójnik strzelił na drodze z rewolweru.

Przy każdym popasie, Alfred już "jako fachowy

obywatel, pomimo błota wysiadał z powozu, klepał konie, obserwując, czy bardzo się pogrzały, i własną ręką nakrywał je derami.

— No, jakże, idą dobrze?

— Tak tam jaśnie panie — odpowiada mu mistrz z kozła. — Żeby ta naręczna miała taki krok jak tamten w lejcu, to by uszło... Ale on brewiter jaśnie panie jest podpalony i jaśnie pan musi go sprzedać. Ten znowu wierutny kapcan... jak to łeb trzyma... No, podnieśże... gdzie jemu do powozu!...

Szymon należał do rzędu tych ludzi, którzy już rodzą się na krytyków, dlatego wszędzie musiał jakąś upatrzeć wadę. Szczęściem tylko dla nas powieścio- pisarzy, Pan Bóg nie dał mu rogów, to jest daru wypowiedania swoich zapatrywań na papierze — mielibyśmy się z pyszna. A tak musiał zdolności swoje krytyczne zwracać do koni, do powozów, do uprzęży, m ioteł smarowidła lub zgrzebla,, które to rzeczy, prócz jego własnego bicza, były wierutnem tałająstwem i tandetą Taka pesymistyczna opinia S^ynun-i zatruła dosyć przyjemnych chwil państwu Szafrankiewiczom, lecz że imponował im sztuką powożenia czwórką i przeszedł koneksyami u wielkich panów — musieli go szanować i znosić. Słowo w słowo powtarza się też sama histo- rya między artystami, literatami a ich rec3nze ntami!..

Nareszcie samym wieczorem, przy dźwięku żabich chórów z sąsiednich m okradli, maj tak z kozła zawołał

— Dychawica!—i trzy głowy naraz wychyliły się z powozu.

— Nasz las!—powiada Alfred.

— Gdzie las, proszę cię Fredziu, pokaż mi las?— pyta się Anielka.

— No ten, do którego wjeżdżamy... A co Szymonie, prawda, że kapitalny las?

— Tak tam jaśnie panie uszedłby, żeby nie ta sośnina.

— A cożeś ty chciał innego?

— Ha, żeby to były dęby albo chociaż grabina, to co innego... Sośnina jaśnie panie, to nie drzewo. Wyjechali na pole po drodze piaszczystej, konie zwolniły kroku, więc Alfred każe popędzać.

— Niechże jaśnie pan pogania, kiedy piasek!

— A w lesie jak była glina, mówiłeś tak samo, że ciężko.

— Bo droga najlepsza, jak nie jest ani piasek ani glina.

— Mój Szymonie — przerywa mu nowy dziedzic, gdy skręcano ku dworowi — palnijno z bata, niech wiedzą, kto jedzie.

— Ech, proszę jaśnie pana, nie ma dla kogo. Takiemu blacharzowi z pozwoleniem^ to żaden trzask z bata nie jest nowiną.

— Jakiemu znowu blacharzowi?

— A juści temu Anastazemu, od którego jaśnie pan kupił oną Dychawicę. Czy ja go to nie pamiętam, jak u hrabiego siedział na dachu i kuł blachę.

Nie było już czasu rozpytywać się dalej o owe blach arstwo, bo powóz cicho, stępo zatoczył się przed ganek. Wszędzie ciemno, żywej duszy nie ma, bo państwo pojechali w gościnę do Staworzyska.

— Przyznam się, że niegrzecznie — pomyślał Alfred — przecież napisałem, że dziś przyjadę — i kazał sobie otworzyć pokoje dla siebie przeznaczone.

Tu po wniesieniu mebli, które wczoraj przywiezio

no z Warszawy, wszystko było jak w izbie stolarza, przeznaczonej na opakowanie mebli. Paki i rzeczy poobwijane słomą i rogożą stały i leżały jak je położono, nie było ani jednego krzesła, gdzieby kobiety usiąść mogły, nawet świecy z lichtarzem, a tylko lampka kuchenna, z którą wprowadziła nowych dziedziców dziewczka folwarczna.

Zawołano karbowego, ten się tłumaczył, że pan Anastazy nie kazał nic ruszać, póki państwo sami nie przyjadą, boby mogło co zginąć. Zrzuciwszy tedy pychę z serca, Alfred z karbowym rozpakowali parę mebli, a panie tymczasem ulokowały się w sąsiednim pokoju państwa Anastazych, Toż samo było z kolacją; pani wszystko zamknęła i klucze zabrała z sobą, musiano więc poprzestać na dojeździe resztek wziętych na drogę zapasów i położyć się pokotem na słomie, którą karbowy kazał przynieść ze stodoły.

Tak więc nie bardzo różowo odbył się pierwszy nocleg nowych dziedziców w Dychawicy, a snów nie musieli mieć bardzo przyjemnych, bo co chwila budziło ich szczekanie psów pod oknami, które dwa razy musiał odpędzać sam Alfred, wstając z łóżka, a wreszcie dość hałaśliwy przyjazd państwa Anastazych nad ranem.

- A co?—pyta karbowego—przyjechali.
- Przyjechali—odpowiada ziewając—i markotno im, że państwa nie było.
- Mieliśmy dla nich siedzieć—wtrąca sucho panna Józefa—cóżto królowie jacy?
- Nic jeść nie mieli, ani spać na czem.
- Prawda, mój Boże — odzywa się sama pani — wszystkie klucze zabrałam, nikt mi nie przypomniał...

- Przepraszam, bo mówiłam mamie, ale mama powiedziała: co mi tam!
- To źle—dodaje, kręcąc głową pan Anastazy.
- Jak też możesz mówić moja Józiu, że ja powiedziałam: co tam...
- Dobrze pamiętam, mama chowała kluczyki do kieszeni, a ja mówię...
- Wszystko nieprawda.
- Jak mameczkę kocham...
- Ty mnie kochasz a wmawiasz, co nie było... Ja nawet nie mam zwyczaju używać słów takich.
- A przecież...
- Moja kochana — przerywa matka —chcesz, się znowu sprzeczać. Jaka ja nieszczęśliwa jestem, że wszystkie moje słowa musisz przekręcać...
- Zaczynacie się już kłócić!—r przerywa Anastazy—a swoją drogą głupstwo się zrobiło...
- Wielka rzecz—dodaje panna Józefa — przyjechali, to dobrze. Widzę, że tatko robi sobie z nich Bóg wie co... Za cóż mamy się im wysługiwać?
- Cicho bądź! — przerywa już zniescierpliwiony ojciec — że też ty musisz we wszystko swoje trzy grosze wsadzić. Moje kochane, widzicie— ciągnie dalej, odsuwając się w dalszą stronę pokoju, żeby karbowy nie dosłyszał— jak będziemy z nimi tak postępować, to ucieknie.
- A zadatek dwadzieścia tysięcy!
- Daruje i ucieknie, przynajmniej jabym to zrobił na jego miejscu.
- Niech ucieka...
- Przepraszam, ja sobie tego nie życzę. Tyle co on dał za Dychawicę, nikt nigdy nie da. Trzeba

z nimi być dobrze, dopóki nie wyciągnę jeszcze tych trzydziestu tysięcy na rachunek szacunku... potem już nie ucieknie.

I skutkiem tej narady rozpoczęły się znowu nazajutrz czułości, nadszkakiwania, przepraszania tak, że jakoś nowi dziedzice zapomnieli o przykrościach pierwszego noclegu. Pan Alfred objął gospodarstwo, oddano mu klucze od pustego spichrza i od stodoły, a jednocześnie zjawiała się cała gromada służby folwarcznej żądając ordynaryi.

— Młócić!

— Maszyna zepsuta.

— Cepami!

— Wolno to pójdzie, jaśnie panie, bo chrzciny są u Nowaka i cała wieś tam pije — mówi karbowy — a parobcy muszą tłuc owies, bo nie ma na obroki i słomy dla bydła.

Więc rada w radę z arendarzem, daje się pieniądze i każe się kupić zboża na ordynaryę i dla państwa Anastazych na potrzeby domowe.

Parobcy rzeczywiście tłuką po całych dniach ten owies, i tyle go się namłóci, ile właśnie potrzeba dla koni cugowych państwa Anastazych. Panicz Kazio stoi przy sprzęcie i wszystko zabiera.

— Albo to owies! -mówi krytyk Szymon, oglądając słomę wyrzucaną z sąsiedka do młócenia. — Ziarno obleciało przy zbiorze... Niech jaśnie pan patrzy, gdzie tu owies!

Prawda, że mało co, bo czterech młocków ledwie pół korca na dzień z tej mierzwicy wyciśnie. Kiedy Alfred wspomina o tem przed Anastazym, on się uśmiecha:

— Tak to i młóca, proszę pana dobrodzieja — wszystko zostaje w słomie. Jest to owies koszony i nie wiązany, a jeżeli ziarno obleciało, to tam się na spodzie znajdzie... Panie dobrodzieju, tylko przypilnować młó- cków; bo oni potrafią piąte przez dziesiąte wymłócić.

Nie będę opowiadał, ile naraz i jakich kłopotów spadło na Alfreda. Tu płac podatki, pensye służącym, tu najmuj do roboty, sprowadzaj majstra do maszyny, reperuj wozy i uprzęż, bo nawet po drzewo nie ma czym jechać do lasu — a pan Anastazy ciągle mu tłumaczy, że to tak bywa przy gospodarstwie, że wszystko rozkradli, połamali przez ten tydzień, jak się dowiedziano, że Dychawica sprzedana.

Pani Aniela siedziała w pokoju, czytała romanse, grała na fortepianie i codzień chodziła z mężem na przechadzkę, szukając fiołków. Wieczorami zapraszano wszystkich na kolację do państwa Anastazych, gdzie zaprzyjaźniwszy się z panną Józefą, pani Alfredowa prowadziła szerokie dysputy o kroju sukien, objaśniając panienkę o modach terażniejszych "w Warszawie. Krajały, przymierzały, prasowały po całych dniach, gdy starsza pani dysponowała kucharzowi państwa Anastazych obiady i zajmowała się małym ich gospodarstwem.

Chociaż matka pani Szafrankiewiczowej nie miała, żadnego pojęcia o wsi, to jednak od razu dostrzegła, że Dychawica nie jest tem, czem ją Alfred przedstawiał, stangret zaś Szymon kontent, że ma przed kimś wygadać się ze swojemi krytycznemi poglądami, co godzina znosił jej różne, nieco dwuznaczne tak o majątku jako też i rodzinie państwa Anastazych wiadomości. Staruszka była ciokawa i skąpa," więc martwiło ją niezmiar-

nic, że Alfred musi tyle wydawać pieniędzy, czuła ona instynktem, że tu coś brakuje, ale nie mogła znaleźć nikogo, ktoby jej te rzeczy wytłumaczył. Próbowwała wyciągnąć za język kucharza, ale ten okazał się tak bałwochwalczym zwolennikiem państwa Anastazych, że podług niego byli to ludzie najlepsi, najzacniejsi, których do rany możnaby przyłożyć, a znowu sama Dychawica perłą między majątkami w okolicy. Gdy kucharz w ten sposób zaczął rozpowiadać, ile to tu w tym a tym roku było kop pszenicy, żyta i innego zboża, jak to wszystko nie mogło się pomieścić w stodołach, ile to tu krowy mleka dawały przeszłego roku, jakie bywają owoce w ogrodzie, ryby w stawie i t. p., to staruszce gładziło się czoło i pocieszała się, że to nie tak źle jak się jej zdawało. Karbowy znowu trzymał się wciąż zimno jak marmurowy dyplomata i udawał takiego dobrodusznego prostaczka, że nie warto było go nawet zaczepiać. W dodatku i Szymon ten wierny sceptyk, rozpatrując się coraz więcej w Dychawicy, ustępował ze swoim pesymizmem, a natomiast chwalił samą panią Anastazowę, od której pokryjomu dostawał dwa razy na dzień po kieliszku to słodkiej wódki, to araku i małą przekąskę. Zresztą cała rodzina Anastazych czciła i szanowała staruszkę jak świętą, nie nazywając inaczej jak panią sędziną dobrodziejką, a to z tej przyczyny, że ś. p. nieboszczyk jej mąż zastępował jako kupiec raz jeden sędziego trybunału handlowego. Takie nadszkakiwania i honorowanie bardzo się staruszce podobały i sama chętnie powtarzała, że ci Anastazowie to bardzo poczciwi i dobrzy ludziska.

Co do Alfreda, to ten może i widział niejaką pustkę w Dychawicy, lecz pod urokiem nowości zachwycony

był obszarem majątku, obiecując sobie, że jak tu wszystko doprowadzi do porządku, dochody będą mu płynęły drzwiami i oknami.

— Przyznasz Anielko—mówił do żony—że to co innego mieć ziemię, a co innego np. dom w mieście. Za te same pieniądze tam kupa gruzów a tu obszar milowy, niby jakie księstwo niemieckie. Doprawdy, że przyjemnie jest powiedzieć sobie: to wszystko moje!...

Nie czekając sporządzenia urzędowego kontraktu w liypotece, wziął się energicznie do porządkowania Dychawicy. Naraz rozpoczął tyle robót w polu, w ogrodzie, w pałacu, w zabudowaniach, że takie zakipiało życie na folwarku, jakby przy rozpoczęciu budowy nowej kolei. Zjechało się mnóstwo majstrów, zwożono materiały, przekształcano ogród, budowano most na kępę, a ludzie we wsi nie mogli nas tarczyć robotnika. Pan Anastazy po cichu zacierał ręce z radości, że tak się nowy dziedzic awanturuje.

— No, chyba nie ucieknie przed terminem — mówił do córki, która była jego powiernicą. A przybierając delikatną powagę w obec Alfreda, odzywał się czasami, niby to karcąc gorączkowe forsowanie się Alfreda.

— Nie tak nagle, nic tak panie dobrodzieju. Wiele rzeczy mogłoby, zostać, ot trochę poprawić, bo to wszystko niezłe...

— Ech, proszę pana — odpowiada z fantazyą—ja nie umiem na połowę rzeczy robić. Musi być wszystko w porządku... Nie mogę patrzeć na nieład.

— Ha, kto wie, czy pan niema racji. Ja na to ani głowy, ani pieniędzy nie posiadałem. Wy młodzi inaczej jesteście wychowani.

Jednakże widocznie jeszcze niedowierzał Alfre

dowi, czy nie drapnie z Dychawicy, bo pewnego razu, odebrawszy jakiś list z Warszawy, bardzo pokornie i unizenie prosił na rachunek szacunku czterdzieści tysięcy złotych.

— Trafia mi się niezłe kupno chałupy w mieście, ale żądają gotówki zaraz. Patrząc na pana dobrodzieja, jak się to powinno gospodarować na wsi, widzę, że trzeba zejść z pola i dać sobie pokój... Grdyby mi kochany pan wygodził, to i prędzej bym się ztąd wyprowadził i procencik jaki bym za ten czas zapłacił...

Stara matka pani Alfredowej wystąpiła, że byłoby lepiej przy kontrakcie, a pocichu radziła poradzić się prawnika, ale on tylko rozśmiał się z tych rad matki i pieniądze dał za przywatnem pokwitowaniem.

Anastazowie rozpływali się nad jego szlachetną i prawdziwie obywatelską usłużnością.

— O tak, to rozumiem obywatela — powtarzał Anastazy z widocznym rozrzewnieniem.

— Cóż wielkiego — odpowiadał Alfred — dziś czy za dwa miesiące dać, czy to nie jedno... Mam gotowe pieniądze...

Po takim akcie wspaniałomyślności i wdzięczności stron obu upłynęło parę dni cicho, gdy trzeba nieszczęścia, że pani Anastazowej zabrakło słodkiej wódki dla stangreta Szymona. Przyszedł raz, jak zwykle rano, powiedziano mu, że nie ma; przyszedł na drugi dzień — nie ma. Okoliczność ta bynajmniej go nie zraziła, bo przyszedł znowu raz trzeci. Takie natręctwo jegomości o dużych konopiastych wąsach naturalnie, iż musiało rozgniewać pannę Józefę.

— Czego to Szymon tak się naprzykrza — odezwa-

ła się porywcz. — Cóżto u nas szynkownia, czy co .. Szczególniejsza śmiałość.

Ze spuszczonego nosem, lecz jednocześnie z uczuciem obrazy i zemsty kipiącej pod liberyjnym surdudem mistrza kozła, wyszedł Szymon z pokoju do stajni. A że właśnie zwożono siano ze stoga i furman państwa Anastazych, korzystając z tego, wielkimi wiązkami nosił je wciąż na pułap swej stajni—oburzyła go ta niepomierna chciwość.

— Co mi ty tu będziesz wybierał najlepsze siano dla swoich chabetów... A moje co będą jadły, hę? Z poddaszków!... Położyć mi zaraz!

Jasiek, chociaż nie miał takich wąsów ani fioletowego nosa, jednak nie wolny był od furinańskiej ambi- cyi. Spojrzał pogardliwie na Szymona i robił swoje.

— Położysz czy nie! —krzyknął Szymon wyrывая mu wiązkę siana, przyczem zachwiał się Jasiek i potoczył...

Jak na to, panicz Kazio szedł właśnie do stajni i zobaczywszy, co się dzieje, przyskoczył do Szymona.

— Precz ztąd!—zawołał—Jasiek, bierz siano.

— Niech pan sam idzie precz — odpowiada Szymon, nadstawiając się hardo.

— Ja tu pan, rozumiesz!

— Nieprawda, bo mój pan jest tu pan!

Lecz jeszcze ten wyraz pan nie wybiegł z ust jego, gdy spicruta panicza prześliznęła mu się po twarzy. Z bólu i gniewu, nie wiele myśląc, porywa za widły stojące przy drzwiach stajni i obces na panicza. Ale panicz nie myślał oczekiwać ataku, bo wzięwszy nogi za pas, jak jeleń poskoczył ku pałacowi. Szymon, nie zważając na ból i krew płynącą po twarzy zanim... To

szczęście, że Kazio miał młode nogi i zdążył wpaść do ganku i drzwi za sobą zatrzasnąć, inaczej niezawodnie dostałoby mu się toż samo, co się dostało drzwiom to jest kilka silnych uderzeń widłami.

Zrobił się straszny hałas. Parobcy i ludzie wożący siano, stanęli jak wryci ze zdumienia, dziewczki wybiegły z piekarni, psy nawet zaczęły ujadać na Szymona.

Blady, bez tchu, wpadł do pokoju pan Kazio, i długi czas zatrwożona rodzina nie mogła się dowiedzieć, co się takiego stało; bełkotał ustami pokazując ręką na stajnię i powtarzając: Chciał zabić... Szymon... widły...

Ze swej strony oszalały z bólu i zniewagi Szymon z pręgiem na twarzy wpadł do mieszkania państwa Al- iredów.

v * — A to co?

— Tak jaśnie panie, zabijają sługi jaśnie pana.

— Kto, gdzie?

— A któżby jak nie ten Kazio, ten co krzywdzi jaśnie pana!...

— Cicho, cicho Szymonie...

— Oho, nie będę cicho! Jak Boga Najwyższego kocham, jaśnie panie, tak prawda...

Wszystko powiem, niech będzie co chce... Najlepsze siano biorą... owies, z pod cugów biorą... Tak jest, noszą z plewami, rabują, kradną jaśnie pana i rozbijają!

Panie obie, widząc sromotnie pokrwawioną twarz, jego, przyniosły wodę, a gdy po zmyciu pokazała się na palec może gruba i sina pręga—podniosły krzyk zgrozy*

Słuchając opowiadania faworyta, pan Alfred aż zbladł z gniewu, a z oczu sypały mu się prawdziwe rakiety. Nic nie mówiąc, zacisnął pięście i wybiegł.

Zdaje się, że i pan Anastazy był w tem samym usposobieniu, skoro jednocześnie, bardziej czerwony niż zwykle, pędził do ganku wprost do mieszkania nowego dziedzica. Matka pani Alfredów ej, która patrzyła oknem na to wszystko, przysięga, że lecieli jak dwa koguty i drżała, ze strachu, co to będzie kiedy się zetkną.

— Mówię panu — opowiadała mi potem — byłam przekonaną, że rozprysną się jak dwa gliniane garnki.

— A proszę ja pana...

— I ja proszę pana...

— Ja bardzo proszę...

— I ja bardzo proszę! — wołali naraz w zapalczywości.

— Do licha! — krzyknie donośnym głosem Alfred — pozwól mi pan mówić!

— Ja bardzo proszę, pozwól pan mnie — odpowiada, mrugając oczami Anastazy. — Jestem starszy, więc choćby przez wzgląd...

— Dobrze, słucham. Syn pański obił mojego człowieka.

— A pański człowiek chciał zabić mojego syna.

— To kłamstwo!

— I to co pan mówisz jest kłamstwo!... Niech pan dobrodziej się nie unosi...

— I owszem ja się nie unoszę, ale proszę zobaczyć... Twarz ma przeciętą... To jest niegodziwość, to jest zbrodnia wołająca o pomstę.

■ — Proszę pana ciszej; ludzie nas słuchają, a zły przykład oddziaływa!

— I owszem niech słyszą, jak się obchodzą z ludźmi synowie obywatelscy! To jest barbarzyzm... Jakiem prawem kto śmie znieważać mojego służącego...

— Proszę ciszej — mówi z pewnem szyderstwem w głosie Anastazy—nie trzeba być takim liberałem, bo to może na nim samym się odbić...

— Ja się nie boję!... Nie mam zwyczaju obchodzenia się z ludźmi jak z bydłem...

— Facecya, panie dobrodzieju... nowe doktryny— a skutek ich, że ten pijanica ośmielił się porwać na mojego syna... Ma szczęście, że tam mnie nie było, zabiłbym na miejscu, jak Pana Boga kocham... Co to jest porwać się na mojego syna...

— Bądź co bądź, ja pana dobrodzieja bardzo proszę, zdaleka od moich ludzi. Ja tu jestem panem, ja rządę i ja mam prawo...

Pan Anastazy uśmiechnął się ironicznie i tonem stanowczym zawołał:

— Za pozwoleniem, dopóki tu mieszkam, to ja pan i w hipotece i tu na swoich śmieciach... Jeżeli pan chcesz zgodnie... to dobrze... a jeśli nie...

— To co?

— Poradzimy sobie!

— Dobrze, i ja sobie poradzę i zobaczymy, kto tu pan. Czy ten co dał pieniądze i dopełnia swych zobowiązań...

— Nie bardzo dopełnia—przerywa Anastazy.— Nie mam tego co dla mnie zastrzeżone, ani mleka, ani owsa, ani zboża, ani opału...

— Ja temu nie winien, że krowy mleka nie dają i giną z głodu. Ja temu nie winien, że zamiast zboża dałeś mi pan słomę, ja temu nie winien, że niema w całym gospodarstwie ani jednego wozu, którymby można posłać do lasu...

— Za pozwoleniem mój młody panie — przerywa

A. Wilczyński.—Tom XIX.

mu z ironią, A nastazy —mam zastrzeżone w umowie, tyle a tyle powiniener[^] mieć, o innych rzeczach nie chcę wiedzieć.

— Tak!—krzyknie Alfred.—Otóż ja panu pokażę, że pan musisz wiedzieć.

— Pan dobrodziej oglądałeś sam... i zgodziłeś się. Czy jest, czy niema, to dla mnie obojętne. Dlatego zapowiadam panu dobrodziejowi, że wszystko mieć muszę, i na żadne awantury nie pozwolę.

— Tak, to bardzo uczciwie ze strony pana, nie ma co mówić. Otumanić kogoś a potem...

— Panie!—zawoła stary z groźną miną—w interesie nie ma żadnych otumanień. Nie moja wina, jeżeli kto bierze się do rzeczy, na której się nie zna. Ostrzegam, że ubliżyć sobie i dać się krzywdzić nie pozwolę. Przyjdzie termin, wypłacisz pan szacunek, dobra oddam, a do tego czasu ja tu pan, ja rozkazuję, i jeżeli pozwoliłem panu mieszkać tutaj, to nie na to, żeby mi pokazywano jakieś finty... Z tym jestem dobrze, kto ze mną dobrze, a tego pijaka za to, że śmiał się targnąć na moje dziecko, rozumu nauczę.

— A ja—mówi już prędko Alfred—nie pozwolę, aby mu jeden włos spadł z głowy. Jak mię pan widzisz tu żywego, nie pozwolę!

— Zobaczymy!

— Zobaczymy!...

I przy tych słowach rozeszli się, powtarzając ciągle swoje: zobaczymy, dobrze, zobaczymy.

Otóż to, co się nazywa na świecie zgoda, przyjaźń i zyczliwość ludzka. Wczoraj jeszcze całowano się, mówiąc wyszukane grzeczności, przesadzając się w oz na-

kach wzajemnego szacunku, a dziś tacy wrogowie, że jeden drugiego w łyżce wody by utopił...

— Uniosłeś się zanadto! — perswaduje Alfredowi
żona.

— Ja?... Nie! moja droga, ja chcę być tylko dla każdego sprawiedliwym. Jak on śmiał uderzyć mojego człowieka... Stare nawyknięcia, jakieś fanaberye... Hola mój panie, hola... zaskarżę do sądu.

— Daj pokój—przekłada matka—prości ludzie do tego przywykli.

— Nie daruję, jak Boga kocham...

Ze swej strony, pani Anastazowa, złożwszy ręce jak do pacierza, zbliżyła się do zasapanego i z gniewu trzęsącego się jeszcze małżonka.

— Moja kochana, daj mi pokój ze swoją modlącą miną...

— Czy to warto... Nastusiu jak mię kochasz... Wybił go...

— Jak on śmiał gonić za moim synem z widłami... A ten z pozwoleniem młokos jeszcze mi z morałami występuje...

— Zlituj się, tyle nam zrobił dobrego, dał ci zaliczkę bez procentu...

— Wielka rzecz, to zapłacę procent!

— A jak się hardo stawiał—dorzuca córka.—Faryzeusz, wydawał się taki słodziutki, taki ustępujący...

— Hołysz panie dobrodzieju, chwycił żonę dla pieniędzy i będzie mi tu nosa zadzierał... Pracuj na pieniądze jak ja, pracuj tak ciężko, a zobaczysz, jak ci to będzie, gdyby twoje dzieci ktoś poniewierał! Niech Jasiek zaprzęga do bryczki!—A zwróciwszy się do panny Józefy, powiada: — Wypisać mi rachunek, co się dlanas z produktów należy i posłać, żeby mi natychmiast wszystko tu było, bo inaczej fora ze dwora. Zarząd panie dobrodzieju odbieram na siebie, a ty fanfaronie możesz mię procesować, jak ci się podoba.

Zona próbowała jeszcze wystąpić z perswazyą, że tego mleka i innych produktów ma i tak dosyć, że najlepiej dać pokój i nie rozdrażniać stosunków, bo to jeszcze młody i gorączka, a nasz Kazio zanadto sobie lubi pozwalać. Lecz oboje, to jest ojciec i córka zagadali ją zupełnie.

— Niech przepadnie wszystko, niech rozdram ubogim, niech w błoto wpakuję, a on musi dać wszystko co napisane. Ja panie dobrodzieju jestem człowiek uczciwy i dotrzymuję, com się zobowiązał, ale niech każdy ze mną tak samo postępuje...

Zaturkotała bryczka przed gankiem, i pan Anastazy, nie mówiąc, gdzie i po co jedzie, wsiadł jeszcze cały zasapany z irytacji. Konie ruszyły za bramę dziedzińca, co zobaczywszy Alfred, udał się do ludzi pracujących w wozowni. Potrzebował koniecznie przed kimś się wygadać, zaczepił więc pachciarza, który w bardzo niewinny sposób kręcił się koło obory...

— Nie wiesz, gdzie on pojechał?

— Nie wiem, zdaje mi się, że do wójta. Z przeproszeniem jaśnie pana, co takiego się stało między jasnymi panami?

Alfred szeroko i głęboko opowiedział rzecz całą, nie szczędząc dosadnych słów na odmalowanie swego adwersarza.

— Niech jasny pan tak głośno nie gada — przestrzega żyd, obracając się na wszystkie strony—jeszcze zaraz doniosą./.

— I owszem, niech wie, że jest taki.

— Nie radzę jaśnie panu z nim zaczynać. To jest nie taki pan jak inni obywatele z okoliczności... On taki bardzo spreczny i na prawie się zna lepiej niż się- dzia...

— I ja się znam, nie boję się.

? — Jak chce jaśnie pan, ale na mój głupi żydowski rozum, niech on siedzi cicho do świętego Jana. Co on i już zrobił jaśnie panu to dobrze, tylko niech będzie na ; tem konieć... On jest taki mściwy, co niech Bóg broni...

W godzinę może potem wrócił pan Anastazy od * wójta i kazał do siebie przywołać sołtysa.

— Słuchaj—mówi, podając mu kartkę z pieczęt- r ką urzędową—tu stoi rozkaz, żebyś wziął dwóch ludzi,

związał tego rozbójnika Szymona, wiesz furmana od te- t go pana z Warszawy, i natychmiast odstawił do kance- laryi.

Sołtys przyjął kartkę, podrapał się parę razy w głowę, narzekając, że ludzie zajmują się robotą i nie ma komu brać się do takich rzeczy, ale pan Anastazy przy- Kazał ostro, że tak być musi...

Nie wierzył jeszcze dziedzicowi ów sołtys i poszedł do szynku, aby mu ten rozkaz propinator przeczytał. | Rzeczywiście tak stało, więc zawes_wawszy dwóch gospo- I darzy i uzbroiwszy ich w pałki j_a_k_o oznakę stróżów z urzędu, przystąpił do spełnienia rozkazu władzy. Dano znać panu Alfredowi i ten przybiegł natychmiast. Polecenie było wyraźne, więc co tu oponować.

— Ja go sam zawiozę — posiada do sołtysa, rozkazując zakładanie koni do bryczki. Urzędnik wiejski niema nic przeciw temu, ale obstaje, żeby obadwaj stróże jechali z aresztantem. Wsiadło ich tedy trzech na

koziół małej bryczki, Szymon w środku, stróże z pałkami po bokach, pan z tyłu i tak zajeżdżają do wsi sąsiedniej, gdzie jest rezydencja urzędu gminnego. Przed nowym, na podmurowaniu wzniesionym domkiem, na ławeczce ganku siedzi pan pisarz gminny i pali papierosa. Alfred rekomenduje się kto jest i przedstawia sprawę, jak się to stało z owym Szymonem.

— Panie dobrodzieju łaskawy — powiada ów pisarz, figurka nadzwyczaj wątła i giętka w zaplamionym czarnym surduciku — ja o tem nic nie wiem. Pan dobrodziej będzie łaskaw do kancelaryi, poszlę zaraz po wójta.

— A gdzież wójt?

— Tu w karczmie naprzeciwno, bo to proszę pana dobrodzieja, dziś było nabożeństwo za jego rodziców, więc taki tu zwyczaj, że się częstuje sąsiadów..

Posłano po owego dygnitarza, ale upłynęło dobre pół godziny, nim się pokazał. Chłop to jeszcze młody, z krótko ostrzyżonemi włosami, z kraciastą chustką na szyi, której pąsowy kolor nie wiele się różni od koloru twarzy pana wójta. Na sobie ma długą po cholewy, fałdowaną, z ciemno-zielonego sukna kapotę na podobieństwo surduta używanego przez drobną szlachtę w tej okolicy — na nogach zaś wcale zgrabnie skrojone buty.

— A to to pan nowy dziedzic z Dychawicy?—mówi siadając sam i zapraszając Alfreda, żeby usiadł, — A po co to pan takie hultajstwo z Warszawy sprowadza na służbę. Czy to u nas niema ludzi do koni?... A gdzież jest ten ptaszek, co to widłami goni panów... Pójdzie tu bratku, toś to ty taki... A wsadźcież go tam do hareśtUj niech on wie, czem to koza pachnie.

— Właśnie panie wójcie — rzecze Alfred — ja chciałem rzecz wyjaśnić!

— A paszport masz, jakże ci tam?

— Nie ma, bo ja go zabrałem prędko z Warszawy, jednak mu nadeszła. Otóż widzi pan wójt, jak go potraktował syn pana Anastazego...

— Mało mu jeszcze dał, co to znaczy taki prązek na gębie... My tu poradzimy sobie i takimi chwatami do wideł. Niechno pan pisarz zapisze go do książki, a w czwartek będzie sprawa...

— Panie wójcie, on nic nie winien, to co powiedział pan Anastazy na niego, jest nieprawdą, są świadkowie.

Urzędnik spojrzawszy wielkimi oczyma na Alfreda, zdziwiony jak może jeden pan powiedzieć, że drugi pan mówi nieprawdę,

— Zawezwie się i świadków, a jakże, to prawda się wyda.

— Więc pocóż go aresztować; on nie ucieknie — •rzecze Alfred — dostawię go na każde żądanie i ręczę...

— Kiedy takie prawo jest, że musi oczekiwać sądu w hareszcie... Naczelnik powiedział — mówi ciszej, nachylając się do ucha Alfreda—żęły dawać oko na różnych imgabundów z miasta, a jeszcze takich co paszportu nie mają. Naczelnik mówi: ty wójcie będziesz mi za wszystko odpowiadał, bo ty jesteś jako król na całą gminę, i wszystko na twojej głowie jest. Masz pisarza na to, coby ci prawo wyczytał, a podejrzanych ludzi teraz jest dosyć po świecie... o jest!...

— Dobrze, mój wójcie, ale jakże ja zostanę bez człowieka?

— Na to ja już panu nie poradzę. Niech pan przyjmie sobie innego, a z jego zasług potrafi.

— Jeżeli tak ma być, natychmiast jadę do naczelnika i będę się skarżył...

— Niech ta pan jedzie; naczelnik powie panu toż samo, że awanturników bez paszportu trzeba zamykać. Ja i naczelnik to jesteśmy jedność...

Zwrócił się jeszcze Alfred do pisarza, lecz ten z całą słodyczą w głosie zapewnił, że on tu nic nie znaczy i że wójt jest wszystkim.

— A niech też pan każe mu tu jeść przysłać, bo gmina nie ma pieniędzy na haresztantów i każdy musi być o swoim...

Zamknęli tedy pana Szymona, który jakoś wobec wójta spokorniał, a gdy pan Alfred zirytowany tem wszystkim już miał wsiadać na bryczkę, uprosiwszy jednego ze straży, aby powoził końmi, zatrzymuje go wójt z miną konfidencyonalną.

— A kiedy ja tam mogę przysłać do lasu po swoje chojary?

— Jakie chojary?

— Nie wie to pan, że ja tam mam kupione od pana dziedzica dziesięć chojarów... Z pomocą Bożą wziąłem się do budowy chałupiny, to też chciałbym to drzewo zwlec do wsi.

— O niczem nie wiem—rzecze zdziwiony Alfred— las dla wszystkich jest zamknięty i nic nie wydaję.

— Toć tu jest asygnacya pana Anastazego—mówi, podając kartkę.

Alfred przeczytał — rzeczywiście było to pozwolenie na wywóz dziesięciu sosen z lasów dychawickich,

świeżym atramentem napisane, choć datowane z lutego...

— Niech on wyda, skoro napisał—rzecze, oddając wójtowi kartkę.

— Ha, to się jutro poszle. Toó wielmożny pan jeszcze nie dziedzić w hypotece... I podobno różnie tam będzie z tem kupnem...

— Jakto różnie?

— Powiadają z przeproszeniem, że siła pieniędzy jest do płacenia panu Anastazemu.

•— Cóż z tego, zapłacę w terminie...

— Bóg to tam wie, a teraz niech się pan darmo nie sprzeciwia z temi chojarami, bo to się na nic nie zda. Toó i Lejzor ze Smarzewa wywozi het codzień ono drzewo, a tak samo kupił jak i ja...

Nie słuchał dalszej gadaniny wójta, lecz zły i zgryziony powrócił do domu. Przejeżdżając koło okien państwa Anastazych, widział, jak on sam, córka i syn stojąc, przypatrywali się z szyderczą miną temu powrotowi nowego dziedzica bez Szymona. Stary nawet otwarcie zacierał ręce z radości, a syn śmiejąc się w oczy Alfredowi, pokazywał palcem na nowego furmana w siermiędze.

— No i cóż?—pytają go obie kobiety.

— Nic... Wszystko są łotry, z pod jednego stempla, ale ja im pokażę!... Wójtowi dał asygnatę na dziesięć sosen z mojego lasu... Jadę natychmiast do powiatu...

— I nas tu zostawisz?—zawołały jednocześnie.

— Muszę, inaczej gotowi nas powypędzać... A to człowiek, a to obywatel!

— I ja z tobą. jadę—mówi żona.—Za nic w świecie nie zostałabym tu sama.

— I ja nie zostanę — dodaje płaczącym tonem matka.

— Żebyś ty słyszał mój drogi, co oni tu na nas wygadują... Przeze drzwi wszystko nas dochodzi, a ciągle ktoś podsłuchuje z tamtej strony; musiałam watą zatkać dziurkę od klucza... Tośmy się dostali, hę?

— A myślałam sobie nieraz, mój Alfredku—wtrąca staruszka — żebyś też był ostrożny... Trzeba było wezwać kogoś mądrzejszego do narady.

— Tak, bardzo dobre myśli i rady teraz! — odpowie dość opryskliwym tonem Alfred.—Czemuż to mama wprzód nie mówiła...

— Nie śmiałam, mój drogi zięciu, ale jak was kocham, myślałam, że skoro oni tak nadskakują z początku, to coś złego zrobią na końcu. I widzisz, na mojem się stało... Potrzebne było dawać mu tyle naprzód pieniędzy, żeby cię miał w rękach... A nie lepiej to było powiedzieć: wyprowadzaj się acan wprzód, a ja wtedy zapłacę...

Biadała jeszcze i marudziła o tem, jak to się powinno było zrobić, a nie zrobiło, lecz Alfred wcale tego nie słuchał, przyszła mu bowiem nowa myśl do głowy, że niezawodnie Anastazy, spostrzegłszy jak tanio sprzedał Dychawicę, chciałby się pod jakim pozorem wycofać z tego interesu i dlatego umyślnie mu pokazuje takie finty. Naturalnie, że trzeba być podobnie naiwnym dyletantem, jakim był pan Alfred, i mieć tyle przekonania o swoim szczęściu do robienia świetnych interesów, żeby coś podobnego pomyśleć. Wpadłszy raz na ten pomysł, dumiał tylko jakby podobnej akcyi przeszko-

4zić. Tysiące różnorodnych projektów snuło mu się po głowie: to chciał z pomocą ludności wiejskiej, która okazywała mu swoją życzliwość, zrobić formalny zajazd -szlachecki na państwa Anastazych i wyrzucić ich za granicę Dychawicy, to wyzwąć starego na pojedynek, to udać się do sąsiadów o polubowne pośrednictwo, lub wreszcie pojechać do adwokata i oddać całą sprawę w ręce sądów. Kiedy się tak biedzi, karbowy Izydor przynosi mu depeszę od pana dziedzica, z żądaniem wydania natychmiast zalegających wiktuałów podług umowy lub zapłacenia ich gotówką po cenach na targu praktykowanych, inaczej bowiem zmuszony będzie odebrać cały zarząd majątku na siebie.

— Ot wylazło szydło z worka!—mówi, podając żonie karteczkę—czytaj co tam stoi na końcu.

— Sądzę, że oddać—rzecze Aniela — niech sobie rządzi do świętego Jana, zamiast, co ty masz wydawać ze swojej kieszeni, niech on wydaje...

— Otóż panie nie oddam i tego, co on żąda, nie zrobię... Rozumiem doskonale, do czego to dąży... Chce się wykręcić od sprzedaży... Ale też trafił nie na głupca... Muszę jechać natychmiast do miasta, tu nie ma chwili do stracenia i zagramy sobie z panem Anastazym na grubą grę... Coby ludzie powiedzieli, gdybym oddał zarząd!

— Nie rozumiem, o co idzie...

— Moja kochana, znasz to przysłowie: beałus qui łenet... no to dosyć! Uprosiłem pachciarza i tego stolarza z Warszawy, który posadzki robi do salonu, żeby tu mieli opiekę nad wami, a sam jadę... Bądźcie spokojne, stolarz to człowiek porządny i nie pozwoli wam przykrości robić...

Więc pojechał, a kobiety zmartwione tern wszystkim, pozostały same. Przychodzi czas obiadowy, posyłają jak zwykle służącą do kuchni dworskiej po obiad, który im kucharz państwa Anastazych gotował, a tu zamiast obiadu przynosi pokojówka te same surowe wiktuały, które pani starsza rano wydała do gotowania.

— Powiedział kucharz, że nie ma czasu, bo państwo spodziewają się gości i musi piec ciasta na wieczór—rzecze służąca, stawiając wszystko na stole...

Co tu robić? Kobietom jeść się chce, kuchni swojej nie mają, statków żadnych nie mają, więc posyłaj po wsi, pożyczaj, i gotuj na kominku pokojowym jak bądź i co bądź aby głód zaspokoić. Siedzą, płaczą i medytują matka z córką, gdy pan Alfred, jadąc do miasta, wstępuje do leśnego i nakazuje mu pod wszelką groźbą, aby się nie ważył jednego drewna komubądź wydać z lasu, bez jego asygnacyi. Przy tej okazji dowiaduje się, iż rzeczywiście Lejzor z miasteczka już przeszło sto sztuk sosen wywiózł, a ściętych ma jeszcze sześćdziesiąt.

Leśny, który już wiedział od pana Anastazego, że nowy dziedzic obejmuje zarząd, wypędził natychmiast robotników żydowskich, a Alfred pojechał dalej. W powiatowym mieście przedstawił się naczelnikowi i zaniósł skargę na wójta.

— Tak słuchaj pan—mówi ów naczelnik—jak wy mogli wejść w interes z takim Anastazym. To jest krętacz pierwszego stopnia i ja jego mam już póty. U niego podatki zalegają z dwóch lat i ja dał rozkaz sprzedania mu wszystkich inwentarzy...

— Wszak powiedział mi, że zapłacone!

— Co on powiedział wam, to wy nie wiercie... to jest kłamca.

— Ale o tego człowieka zaaresztowanego — mówi Alfred — niech pan naczelnik będzie łaskaw dać rozkaz, aby go wypuszczono. On nie ma paszportu, to prawda, jednak ja za niego ręczę i za parę dni ten paszport złożę.

— Tak on bez paszportu jest?

— Wyjeżdżałem pilno z Warszawy...

— Au was paszport jest?

— Jest — mówi podając papier naczelnikowi.

— Wy w porządku, a jak u waszego człowieka nie było paszportu, tak wójt w prawie jest i wy zapłacicie -sztraf... Wasz wójt to bardzo porządny jest, ja jego znam i wy powinni jego szanować, choć on prosty jest człowiek, ale honorowy i wasz zwierzchnik.

Pana naczelnika ktoś odwołał do kancelaryi, więc się skończyła audyencya. Nie było co robić, tylko marsz do miasta gubernialnego, gdzie była także rezydencya Trybunału. Odszukawszy jednego ze zdolniejszych adwokatów, przedstawił mu obszernie stan swojej sprawy i nader przykre położenie w Dychawicy. Pierwsze słowa, któremi przemówił adwokat do niego były:

— Zlituj się pan, jak mogłeś wchodzić w interes z tym panem, nie zobaczywszy wprzód hypoteki? Pan Anastazy znanym tu jest w całej okolicy jako bankrut goniący ostatkami, który nie przebiera w środkach, aby tylko dostać zkądś pieniędzy. Nie znam wartości owej Dychawicy i nie mogę ocenić, czy pan dobry lub zły interes zrobił, lecz nie pojmuję, jak można kupować majątek i dawać tak grubą zaliczkę na prosty podpis... Nim będę w możności udzielenia panu jakiegobądź rady, musimy naprzód pójść do hypoteki...

Coś nakształt dreszczy przeszło po sercu Alfreda;

z junaka* robiącego świetne interesa, zrobiło się powolne jagnię — chciał się tłumaczyć, że wciągnęli go żydzi, że Dychawica jest znakomitym majątkiem, ale adwokat tylko się uśmiechał, patrząc na niego, co go do reszty zdekoncertowało.

Strach, jak księga wieczysta Dychawicy była za- smarowaną! Przez dwie godziny bez odpoczynku wertowali obadwaj pozycję za pozycją i gdy zsumowali razem cyfry długów, pokazało się, że cały szacunek, za który Dychawica była kiedyś przez pana Anastazego kupiona, jest już wyczerpany, prócz innych zobowiązań, służebności i innych ciężarów wieczystych. Przyjmując nawet szacunek, za jaki Alfred ją kupił, owe sto tysięcy, które miały zostać przy gruncie jako suma amortyzacyjna, już w większej połowie pobrane były przez sprzedającego zadatkiem i zaliczką. Zamiast więc stu dwudziestu tysięcy, Alfred potrzebował wyłożyć gotówką sto pięćdziesiąt. W dodatku, przekonano się, że dobra te wystawione są na sprzedaż przez Towarzystwo kredytowe, a licytacja naznaczona za tydzień...

— Zle!—co tu robić?

— Nie ma innej rady — powiada adwokat—tylko zapłacić raty Towarzystwu, aby cofnięto licytację i drogą procesu zabezpieczyć to, co pan dałeś, na Dychawicę. Inaczej do świętego Jana może wejść tylu dłużników do hypoteki, że pan nic nie dostaniesz...

Więc płąć, pisz pełnomocnictwa, płąć znowu stemple, wpisy, wysyłaj pozwy, a wszystko nagle, bo chwili jednej nie ma do straceni^. Jednakże w tem nieszczęściu trafiła się Alfredowi jedna pociecha. W zajeździe spotkał znajomego żyda, dostawcę kamieni na bruki i drogi publiczne, który oświadczył gotowość zakupienia

od niego dwustu sążni z dostawą na wskazane punkta. Kupiec wprawdzie ofiarował niską cenę, bo coś trzydzieści rubli za sążeń, lecz Alfred podług swego obliczenia. i tak zarabiał po dziesięć rubli na sążniu — więc umowę zawarto, nowy dziedzic Dychawicy wziął zadatek i wracając do domu cieszył się z świetnego interesu, który mu napędził ni ztąd ni zowąd parę tysięcy rubli...

— Muszę tylko utrzymać tę sprzedaż w tajemnicy, bo to zaraz wszyscy rzuciliby się do tego interesu, a tak ja sam będę przez parę lat mieć ładny docho- dzik... A siedzą tu wszyscy od tylu lat, czy przyszło któremu na myśl korzystanie z tych kamieni, zalegających niepotrzebnie ich pola!...

W Dychawicy zastał kompletny chaos. Wypowiedziana wojna przez pana Anastazego wrzała na wszystkich punktach. Obie kobiety zabrudzone sadzami od garnków,, siedzą i płaczą w zadymionym pokoju; kominiek, na którym przymuszone są gotować jedzenie, od kilku lat nie był używany, więc wszelkie lufta są zasypane, a dym wali na zewnątrz. Po mleko i śmietankę muszą posyłać na wieś, bo wszystkie krowy nie dają tyle mleka, ile się należy państwu Anastazym. Człowiek, którego tymczasowo najął do koni na miejsce Szymona, przychodzi po obrok, a tu przy śpichrzu wisi druga kłódka, którą Kazio zapewne z polecenia ojca zawiesił. Toż samo jest przy stodołach, przy wozowni i piwnicach, a karbowy Izydor i wierny pachciarz boją się przyjść do pana Alfreda, żeby się nie narażać na gniew pana Anastazego. Wszelkie roboty w polu, w ogrodzie i około sprzętów gospodarskich zostały wstrzymane, a gromada rzemieślników i wynajętych ludzi ze wsi czeka w sieniach, upominając się o zapłatę i straty z powodu do

znanego zawodu. Nic więc dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy wyczerpała się wszelka cierpliwość Alfreda. Porwał za czapkę, a choć była to już późna godzina, postanowił iść do pana Anastazego.

— Niech co chce będzie!—zawołał, zmierzając ku drzwiom—ale ja jego nauczę!

Obie kobiety łap go za poły surduta.

— Alfredziu... zlituj się, nie chodź!

— Zięciu, jeżeli Boga masz w sercu... patrz Anielka mdleje...

Mimo więc szalonego gniewu, który nim miotał, ze względu na stan żony, wymagającej pewnego oszczędzenia jej zdrowia—zdecydował się nie iść a napisać list do swego adwersarza. Siada, porywa ćwiartkę papieru i pisze jeszcze prędzej niż artyści na scenie, kiedy im wypadnie z roli wdać się z kim bądź w koresponden- cyę... Służąca niesie depeszę, i za parę minut wraca z odpowiedzią na tymże samym liście u dołu skreśloną...

„Hobię to, co mi sumienie nakazuje i prawo pozwala, dlatego żartuję sobie z wszelkich pogrózek i niedojrzałego ich autora.”

Charakter pisma był kobiócy, widocznie kreśliła go panna Józefa, osoba edukowana nJ pensyi w Warszawie; stary Anastazy nie byłby się zdobył na taką stylizację.

— Dajcie mi rewolwer! — krzyknie, rzucając list na ziemię. Lecz nim dokończył to słowo: rewolwer, już pani starsza rzuciła się do drugiego pokoju, chwyciła wiszące na ścianie to niebezpieczne narzędzie śmierci, i dalszje w nogi z nim do sieni, z sieni do ogrodu gdzieś daleko ku sadzawce, między stare wypróchniałe lipy.

wetknąwszy rewolwer w jedną z dziupli, odetchnęła i ze swobodniejszą myślą wróciła do pokoju.

Przez całą noc Alfred nie mógł oka zmrużyć. Zło-ść, gniew, oburzenie z chęcią wywarcia przykładowej zena-sty, nurtowały w nim jak wichher między szczątkami opu stoszałego zamczyska. Wśród tak szczęśliwej dotąd nawigacyi po falach powodzenia pierwszy raz w życiu trafił na tak dokuczliwą rafę, i to w osobie takiego mizernego ex-blacharza, człowieka prawie bez żadnej edukacyi, który w tak obłudny sposób potrafił zaciągnąć go w swoje sieci. Obrażona ambicya nie pozwoliła mu dojrzeć własnej lekkomyślności; widział tylko niepraktykowaną w życiu złość ludzką i czuł się wobec niej bezsilnym. Zapewne, że taki stan duszy młodego zarozumialca nie może być godnym zazdrości...

Nad ranem dopiero usnął, lecz wkrótce obudził go jakiś niezwykły turkot i hałas przed domem. Przyjechał wójt z pisarzem i strażnikiem ziemskim i żądał widzenia się z panem.

— Cóż za interes sprowadza panów tak rano? —• pyta, ubrawszy się czemprowadziej w szlafrok.

Wójt z łańcuchem i medalem na szyi wszedł z wielką butą do pierwszego pokoju, strażnik z szablą, która mu brzęczy, uderzając o podłogę, a pisarz z pokornie- teńką miną, pochrząkując ciągle, wsunął się jak cień za nimi, i zdawał się upatrywać miejsce, gdzieby mu było najdogodniej stanąć, aby nikomu nie przeszkadzać.

— A cóż jak nie bieda — odpowiada wójt, rozsiadające się na kanapie z fantazyą nagle spanoszonego waszmościa.

Tymczasem zbudzone kobiety w drugim pokoju,

A. Wilczyński.—Tom XIX.

jedna za drugą uchylają drzwi i kolejno pokazują swoje zakrzywione nosy.

— Fredziu!—woła strwożonym głosem żona.

— Cóż chcesz? — odpowiada dość opryskliwie, zbliżając się ku drzwiom.

— Po co oni przyjechali?

— Albo ja wiem...

— Może ciebie aresztować, co?... Mój drogi Al- fredku — szepcze, ciągnąc go za rękaw do sypialni — pójdz tu, ja cię wypuszczę tylnymi drzwiami do ogrodu.

— Pewnie za ten rewolwer! — dodaje staruszka załamując ręce.

— Za jaki?

— Za ten, który schowałam wczoraj w lipie... Wystaw sobie, byłam przed chwilą w ogrodzie... i nie ma go... pewnie ktoś znalazł i zaniósł go do wójta... O ja nieszczęśliwa, cóżem ja dobrego zrobiła!...

Co sobie w tej chwili myślał Alfred, to nie wiem, lecz zaciąwszy zęby, udał, zapewniając strwożone kobiety, że nie spodziewa się żadnego niebezpieczeństwa, a tylko prosi, aby mu nie przeszkadzały w rozmówieniu się z wójtem.

— Cóż to za bieda? — mówi, wracając do pierwszego pokoju, gdzie wójt, poczęstowawszy tabaką pisarza i strażnika, z nimi razem kicha z taką zapalczy- wością, iż nie jest w stanie odpowiadać.

— A toć one podatki z Dychawicy...

— Jakie? Wszakże zapłaciłem bieżące aż do świętego J ana!

— To ta nie o terazniejsze idzie ale o dawne... Niechno pan pisarz przeczyta, co pisze naczelnik.

Pan pisarz wyjął z pod surduta zamkniętą tłkę i chrząkając, kichając, na palcach zbliżył się do stołu.

— Panie dobrodzieju dziedzicu—mówi przewracając karty — należy się z Dychawicy tego podatku tyle, tego tyle, i znowu tyle z lat tych a tych, summa summarum tysiąc kilkaset rubli.

— No to przecież nie odemnie! — mówi Alfred ze śmiechem, odsuwając papiery. — Proszę iść do pana Anastazego!

— Byliśmy proszę pana dziedzica, a on nas odesłał tutaj... Pokazał kontrakt z wielmożnym dziedzicem, i powiedział, że to wszystko wielmożny dziedzic wziął na siebie.

— Kłamstwo!—zawoła Alfred—ja nie jestem jeszcze urzędowym dziedzicem Dychawicy...

— Ehe, wielmożny dziedzic ino tak żartuje — odpowiada wójt, patrząc się figlarnie w jego oczy.

— A dlaczegóż to leśniczy nie chciał mi wydać mojego drzewa z lasu, mówiąc, że wielmożny pan zakazał. Gajowy by tam nie słuchał nieprawdziwego dziedzica, aha?

— Nie wydał i nie wyda, ani gałązki! — przerywa gniewnym tonem Alfred—tak samo i podatku nie zapłacę, bo do mnie nie należy...

— Ha, to zrobimy sekwestrację, jak kazał naczelnik. Niechno pan panie strażnikowi każe zawołać sołtysa i świadków... A pan panie pisarzu, pisz jak się należy. W_f — Możecie robić, co wam się podoba, a ja nie dam ani grosza...

Przyszedł sołtys i dwóch gospodarzy ze wsi, pisarz Wyjął z teki papier, przyciął pióro, odkorkował kała-

marz z atramentem i rozpoczął protokół sekwestracji. Pospisywano wszystkie meble, rzeczy, jakie się w pokojach znajdowały, wójt chodził sam i wskazywał różne przedmioty, a cała świta złożona z bosych świadków i strażnika brzęczącego szablą, postępowała krok w krok za nim... Potem wynieśli się do wozowni, opisali konie, powóz, bryczkę, które sobie sprowadził pan Alfred, omijając wszystkie przedmioty, które podług wskazówek karbowego, są pana Anastazego własnością. Gdy skończono, cała kawalkata wróciła do pokoju, pisarz znowu skrobał piórem dość długo, a gdy zamknął protokół, wójt wstał, z kieszeni wyjął chustkę w niebieskie kraty, z niej odwinął pieczęć i połowę puszek od szuwaksu. Z całym amatorem i niezwykłą wprawą kilka razy wpuszczał wójt ową pieczęć do puszek, żeby nabrała tuszu, a potem z powagą wycisnął ją na protokóle.

— Niech pan dziedzic podpisze.

— Nic nie podpiszę—odpowiada Alfred.

— Słyszycie moi ludzie—odzywa się wójt, obracając się do sołtysa i drugiego gospodarza — będziecie świadczili, jako pan nie chciał podpisać.

Strażnik zaś spojrział bardzo podejrzliwie na takiego obywatela, który śmie opierać się rozkazom wójta.

— No, sołtysie, pamiętajcie, coby mi tu nic nie zginęło z tego, co się tu zapisało, bo to wszystko będzie na was.

Sołtys okrutnie się skrzywił i drapał po głowie nie wiedząc, jaki tu dozór nad pańskimi rzeczami rozciągnąć.

— No, no, nie drapcie się, a pilnujcie.

— Cóż ja tu będę dzień i noc stróżował...

— Jat chcecie to róbcie, możecie nająć człowieka, aby tylko nic nie zginęło, jak przyjdzie licytacja... bo zapłacicie.

To powiedziawszy, wójt wyszedł nawet się nie pokłoniwszy nowemu dziedzicowi; toż samo zrobiła jego świta prócz pisarza, który z wielkiej attencji cofał się tyłem do drzwi i kłaniał, kłaniał, nawet jeszcze z dziedzińca.

Po tym wypadku w całej wsi gruchnęła wiadomość, że nowego pana z kretesem zafantowali, że jest bankrut i że pan Anastazy już nadal zostanie dziedzicem Dychawicy. Komu więc należał się jeszcze z dworu grosz jaki, dążył i nagabywał, żeby mu koniecznie zapłacono.

Nie było innej rady, tylko znowu jechać do powiatu i do gubernii, a tu sołtys powiada: ja nie dam ani bryczki, ani koni, bo są pod haresztem. Więc musiał nająć pan Alfred chłopską furmankę i wlec się całe pół dnia dwie mile drogi. W powiecie nie udał się wprost do naczelnika, ale do któregoś z mniejszych urzędników i po całodziennym czekaniu, podawaniu próśb, przyrzeczono mu, że sekwestracja będzie cofnięta, jednak podpisze deklarację, że ręczy za pana Anastazego.

Musiałbym parę tomów pisać, chcąc opowiedzieć czytelnikom o wszystkich sposobach wzajemnego dokuczania jednej i drugiej strony. Kto kiedy w życiu swoim miał złego sąsiada, to wie doskonale, jak złośliwość i obrażona ambicya człowieka płodną jest w pomysły, gdy idzie o robienie na przekór nieprzyjacielowi, naturalnie w sposób jak można dokuczliwy. Kiedy u pań

stwa Anastazych było najwięcej gości i bawiono się wesoło, albowiem sprawa z Alfredem bynajmniej nie psuła im dobrego humoru. Alfred posyłał mu woźnego z do« ręczaniem pozwów, wyroków i innych pasztetów sądowych. Nawzajem, kiedy pani Alfredowej pękała głowa od bólu, Kaziowi zachciało się bić psy przed gankiem i przestrzelać broń tuż pod oknami. Do ogrodu, w którym już były porobione klomby i rabaty zasiane kwiatami, wpuszczano na noc konie cugowe na trawę a w dzień czworonożne zwierzęta, plądrujące tam z całą swobodą. Alfred kazał sobie urządzić łazienkę z desek na rzece do kąpieli — co rano znajdował deski powyrywane, ławeczkę i schodki zniszczone. Panna Józefa pod pozorem kopania chrzanu kazała powybierać najpiękniejsze krzaki róż i innych roślin i te rozsyłała w prezencie sąsiadkom. W oranżeryi mało co zostało kwiatów, szyby w inspektach codzień ktoś tłukł kamieniami, pan Kazio z chartami polował po zbożach, a cały dom państwa Anastazych tak się rozsmakował w rybach, że dzień w dzień zaciągano niewodem po stawie, a największe szczupaki i liny brano na kuchnię pańską.

We wsi również chłopcy wystąpili z pretensjami do pastwisk, nie dali łąk zatykać na trawę, w lesie gajowy nie mógł się opędzić od szkody, a z tego mnożyły się skargi w gminie, do komisarza włościańskiego, do naczelnika powiatu, dalej sądy, zjazdy, śledztwa, protokoły, z czego pan Anastazy śmiał się i zacierał ręce, powtarzając:

Niech on wie, ten młokos, panie dobrodzieju, <50 to ze starym graczem zaczynać!

— Żem ja to wszystko przetrwał i nie osiwiiał, że żona się nie rozchorowała, a matka nie rozkołatała mi głowy wymówkami — powtarzał później Alfred przede- mną—to tylko Opatrzności Bożkiej przypisać muszę.

Nakoniec przeszedł ten nieszczęśliwy miesiąc, a że pan Anastazy rzeczywiście kupił jakąś wioseczkę za Wisłą i potrzebował się tam wyprowadzić, więc przyjechał na termin do kontraktu w hypotece. Przy interwencji obrońcy Alfreda, udało się jakoś bez głośniejszego wybuchu skończyć układy.

— Niech się upokorzy i przeprosi! — wołał w zajeździe, rozrzucając się pan Anastazy.—Ja jestem człowiek uczciwy i nikomu w drogę nie wejdę, ale panie dobrodzieju, jak kto przedemną nosa zadziera i stroi jakieś finfy—to do ostatniej koszuli się wyprzedam, a nie daruję... Fanfaron, on śmiał mi powiedzieć i napisać, że jego pijaczyna Szymon więcej u niego wart niż my wszyscy!...

Ośm dni jeszcze zastrzeżono do wyprowadzenia się panu Anastazemu z Dychawicy i przez ten czas już było zawieszenie broni. Stary dziedzic ogłosił licytację na różne niepotrzebne sprzęty, a co nie mógł sprzedać, przysłał Alfredowi wykaz tych rzeczy wraz z ceną i pro- pozycją, czyby nie kupił. Naturalnie, że o zostawieniu czegoś bądź, jak to było ustnie przyrzeczone, nie mogło być mowy.

— Powiedz panu, że nic nie kupię i nic nie potrzebuję—odpowiedział posłańcowi.

— Ot i w tem znać, jaki to człowiek! — mówi do żony i znajomych Anastazy, gdy mu taką odpowiedź przyniesiono.—Ja wiem, że musi potrzebować i potrze

buje takich rzeczy, bo nic nie mają, ale żeby mi i tern na złość zrobić, to woli dwa razy tyle zapłacić za nowe, aby tylko na złość.

— Zostawić im te graty — odzywa się pani Regina—mało co warte, a obiecaliśmy przy umowie...

— Wolę spalić, stłuc, rozdać! — krzyknie z zapal- czywością Anastazy — a na obwinienie palca nic nie zostawię... I powiadają ludzie: Anastazy daj pokój, nie drzyj się... Dobrze wam mówić, ale żebyście wy trafili na taką gadzinę, tobyście się przekonali, że najłagodniejszego człowieka wyprowadzi on z cierpliwości.

Więc jakby na zakończenie zemsty rozdano te rzeczy służącym i ludziom ze wsi, a panna Józefa własną ręką tłukła przez dwie godziny w spiżarni wszystkie słoiki, garnki i to co się stłuc dało, zaś pan Kazimierz własnoręcznie wyjmował gwoździe i haki ze ścian, klamki i klucze ze drzwi, rujnował piece, wyławiał gołębie, tak, że gdy ostatnia fura wyjechała za bramę dziedzińca, w pałacu Dychawicy została taka przerażająca pustka, jakiej by w dawnych czasach nawet Tatarzy nie zostawili.

Nie mówię już i o oborach, o tein, co i w jaki sposób wyłączono ze sprzedaży Alfredowi inwentarzy; jak podczas wycieczek jego do sądów pozmieniano krowy i konie i uprzęż — bo o tem dowiedział się dopiero później, kiedy rozwiązały się języki służbie, arendarzowi i chłopom we wsi. Ci ostatni jednak, pomimo najdotkliwszego obchodzenia się z nimi pana Anastazego, gdy na pożegnanie dostali trzy garnce wódki, gromadą odprowadzili go do samej granicy i wszyscy bez wyjątku spłakali się jak bobry żałując wielmożnych państwa...

— Zobaczmy! — powtarzał Anastazy opowiadając te sceny w miasteczku — czy jego też tak będą żegnać i czy potrafi zasłużyć sobie na taką miłość ludu... Z naszym chłopem to trzeba umieć. Można go zgromić panie dobrodzieju, ale jak mu się da czym łzy obetrzeć, to się przywiąże jak pies!...

Y.

Jak po przejściu przez takie biczowanie na samym wstępie do obywatelskiego zawodu, potrafił podnieść się nasz Alfred i wziąć energicznie do uporządkowania Dychawicy na to odpowie nam jego młodość. Boże drogi, ile to w tych latach człowiek niedoświadczy i biedy i przykrości i upokorzenia, a wszystko przejdzie, jak kropla deszczu po kryształowej szybie. Przyczepi się czasem tu i owdzie jakaś matowa plamka, lecz i tę błysk cieplejszego słońka lub źródła czystszej wody potrafi zmyć i uprzątnąć. Z wiekiem, przyjdą nowe, więcej poważne burze, a wtedy dawniejsze z młodości wydają się już mglistymi wspomnieniami, nad którymi i śmiać się nie warto. Młodość pełna nadziei wszystko zniesie i brzemienia nie poczuje, gdy przeciwnie wiek późniejszy, jak nieoszlifowany dyament bez połysków tęczy, naprawdę ryje i rysy zostawia na tej tablicy żywota...

Przez ciąg lat, w których nie zgłaszał się do mnie Alfred, słyszałem tylko, będąc raz w Warszawie, że z powodu owego świetnego interesu z kamieniami zrobił się głośnym w ten sposób, jak niegdyś ś. p. Zabłocki,

handlujący mydłem. Ktoś ze znajomych mówił mi, że teraz nie powtarzają ludzie: wyszedł jak Zabłocki, ale jak Szafrankiewicz na kamieniach, pokazało się bowiem, że jak zaczął dostarczać owych kamieni, to na pierwszym transporcie dołożył coś po piętnaście rubli na sążniu. Skończyło się więc, że kupiec, dawszy podówczas coś trzysta rubli zadatku Alfredowi, nie zwolnił go z kontraktu, dopóki nie odebrał i tego zadatku i dwóch tysięcy rubli odczepnego. Wspólny nasz kolega szkolny Bonifacy coś bardzo dwuznacznie poruszał mi głowę, kiedy go pytałem, jak się powodzi Alfredowi.

— Rzuca się zanadto i zdaje mi się, niedługo przeszasta tych sto pięćdziesiąt tysięcy posagu. Nie wierzę ja dziś w te wszystkie świetne interesa... ho, ho, ludzie nie są tak ograniczeni, aby dali na sobie dużo zarabiać!

— Ja znowu sądzę, że Szafranek ma szczęście... Pamiętasz, on zawsze był jak kot, który na nogi upada...

— I to być może, bo słyszałem coś, ale szczegółów nie pamiętam, że umarł wuj czy stryj jego żony bardzo bogaty piwowar i albo jemu coś zapisał, albo oddał mu opiekę nad córką, dość, że z tego znowu mu coś kapnie...

Tych kilka słów Bonifacego dało mi wiele do myślenia. Wyrażenie w liście Alfreda: „Mamy dla ciebie coś, o czym się dowiesz, jak przyjedziesz”—jak raz licuje z tą historią o zmarłym piwowarze i jego córce. Droga ze stacyi kolejowej do Dychawicy była kaducznie piaskista*. Cztery konie zaprzężone do lekkiego wolanta, który przysłał po mnie Alfred, wlokły się noga za nogą, a piasek z kół sypał się tak, iż zdawało się, że to woda się leje. Wśród więc takiej jazdy człowiek ma dość cza

su na rozpuszczenie cugli swym myślom; budowałem też wiele na owym domyśle co do przeznaczonej dla mnie córki piwowara, rozbierałem wszelkie ewentualności, jakie nastąpić mogą, a przede wszystkim paliła mię ciekawość, jak też ona z powierzchowności wygląda.

Przedemną na koźle, w jasno-piaskowej liberyi, z guzami wielkości talarów, siedział i kiwał się na wszystkie strony znajomy czytelnikom Szymon, krytyk z urodzenia. Cera jego twarzy teraz już koloru rydza po pierwszym przymrozku, ale mimo to wichowate wąsy dają mu minę prawdziwie pańskiego sługi.

— Szymonie — odzywam się do niego z intencją dowiedzenia się czegoś o tej pannie — jakże się tam panu wiedzie?

— Tak tam, jaśnie panie, uszłoby, tylko żeby nie dawał takiego posłuchu żydom.

— Albo co tam ci żydzi?...

— Jakto żydzi, aby tylko człowieka do złego namówić. Ot i teraz mają chęć na las i koniecznie turbu- ją pana, żeby im sprzedał a w tem miejscu folwark wybudował... Nieraz mówię panu, co mu po folwarku na piaskach, ale jemu tak żydzi zakręcili głowę, że już z chłopami zrobił ugodę o zwolnienie zbieraniny i- dał im sztuk lasu takiego, że ha!

— No, ale zdrowi wszyscy we dworze — przerywam, żeby dojść do mego celu.

— Byliby zdrowi, jaśnie panie, żeby nie sama pani i te dzieci.

— Więc mają dzieci?

— Ha niby to mają...

— Cóż to niby; przecież jak kto ma dzieci to ma...

— Ech, kiedy nasze, z przeproszeniem jaśnie pana,

/

okrutna biedota. Starszy panicz ma trzy lata i jeszcze nie chodzi, a panienka...

— Cóż panienka...

— Powiadają—mówi—że jest bez skóry...

— Co też pleciesz!...

— Ej, proszę jaśnie pana, bo ja raz słyszałam, jak panna Lojza mówiła z naszą panią, że naprawdę panienka ma taką delikatną skórę, jakby jej nie miała.

— A któż to ta panna Lojza?

— Albo to jaśnie pan nie wie? — odpowiada, odwracając się z kozła i spoglądając na mnie filuternie.

— Naturalnie, że nie wiem...

On się znowu obejrzał z uśmiechem niedowierzania.

— Czegóż ty się śmiejesz, co?...

— Bo jaśnie pan chce sobie zażartować z Szymona... Nie bój się pan, i ja też coś wiem...

— Powiedz, bo ja rzeczywiście nic nie wiem...

— Magdusia, która jest przy pani, powiedziała mi dziś: Szymonie, dostaniesz dobry tryngeld, bo jedziesz po kawalera dla naszej panny Lojzy...

Była to zręczna przymówka o dobry tryngeld, a zarazem potwierdzenie moich domysłów. Udałam, że przyjmuję narzuconą mi rolę i zaczynam dalej:

— A zkadże twoja Magdusia wie o tein?

— Oho, ona dużo wie, bo jest przy państwie i słyszy nieraz, jak państwo z sobą gadają...

—• A ta panna Lojza, czy jak tam, to młoda, ładna?

— Czy jej to pan nie zna?—mówi już poufale.

— Nie znam. Więc jakże, młoda?

—■ Jużci nie stara, bo na co by jej kawalera.

- A ładna?
- Ujdzie, proszę pana, taka sobie jest zażywna jak nieboszczyk jej ojciec?
- Znałeś ojca? •

— Oho, któżby go nie znał! Miał browar na Solnej i jaki browar!... On proszę pana jeszcze mówił z niemiecka do każdego: „ty moja brat,” a' nasza pani to jest niby po jego siostrze. Oni co prawda to są, nie z panów, ale nasz pan za to już prawdziwy z ojca i dziada...

Wjeżdżaliśmy właśnie w granicę dóbr Dychawicy, i trzeba przyznać, że od razu droga się poprawiła. Alfred kazał nawozić gliny na piaski i okopać drogi rowami tak, że Dychawica przedstawiała się wcale dobrze. Pola były starannie zorane i zasiane, zagony prościu- teńkie, tu i owdzie słupki oznaczające płodozmian, a przy wjeździe do wsi, ogromny, sztucznie zamykający się kołowrot.

Zbliżając się ku domowi, widziałem wcale porządną karczmę i kuźnię w stylu gotyckim, dalej kilka na pół wystawionych budynków z polnych kamieni pospajanych wapnem, co dawało im pozór słoju marmuru, a gdym się dostał na dziedziniec—odrestaurowany pałac z cienką fontanną i gazonem z kolorowych roślin bardzo przyjemne robiły wrażenie.

Z ganku ocienionego spuszczałemu się splotami dzikiego wina wybiegł na spotkanie moje Alfred. Trochę zmęźniał, opalił się, a zapuszczona broda czarna jak kruk robiła zeń kompletnego wieśniaka. Nie mogę powiedzieć, żeby mię nie przyjmował serdecznie; owszem, może zanadto jak szkolnemu koledze i porównaniu z jego świetną sytuacją mizerakowi, nadskakiwał.

Zaprowadzo mnie do gościnnego pokoju nad gankiem głównym, a że właśnie czekano z herbatą,, śpieszyłem się oczyścić z drogi, by zejść na dół.

— No jakże ci się podoba Dychawica?

— Pańska rezydencya!

— Prawda — rzecze zadowolony.— To tak, czego ja się dotknę, muszę na swój gust przerobić... Ale żebyś wiedział co tu przedtem było, co ja przeszedłem z poprzednim właścicielem!... Opowiem ci to kiedy przy wolniejszej chwili. Historye, tylko spisać i podać do gazet...

— No, a jakże pod względem dochodów?

— Ot zaraz znać praktycznego człowieka, zupełnie jak Luiza... Aha muszę cię uprzedzić, że u nas bawi siostra cioteczna żony, moja pupilka panna Ludwika Sztrumpf (czy Sztramf... bom nie dosłyszał dobrze na zwiska).

I powiedziawszy to, spojrzął się na mnie znacząco, a ja nie miałem co lepszego do roboty, jak poczerwienieć po studencku.

•— Powinniście sympatyzować z sobą, bo ona kubek w kubek taka jak ty...

Udałem, że tego nie słyszę i zacząłem swoje dalej o powodzeniu Alfreda.

— No, jeszcze to Dychawica nie to, co będzie za lat dwa, trzy; ale już dziś mam na czysto sześć procent od kapitału.

— Bardzo dobrze.

— Ech głupstwo takie dobrze. Ja muszę wydobyć dwadzieścia. Stawiam piec wapienny, młyn przerabiam na turbinowy, sprowadzam wodę o pół mili... i tyle innych robót mam pozaczynanych...

— A żona, dzieci zdrowa? — pytam spostrzegłszy się, że wypadło od tego tego zacząć.

— Ech! — odpowiada ciszej, machnąwszy ręką i oglądając się, czy kto nie słyszy—to kurczęta a nie ludzie... kwęka, narzeka, ale ja się do tego przyzwyczaiłem. Trudno, proszę cię, płakać ciągle nad nimi... Chorowite to już z natury, ciągle w lekarstwach, zapu-chnięte... Ot żeby taka była zdrowa i tęga jak Luiza, to mi kobieta—lecz mówię ci... I jak się będziesz kiedy żenił, pamiętaj nie bierz słabowitej, bo to ci zatruje życie...

Westchnął, a że ja byłem już gotów, więc zabieramy się do wyjścia.

— Słuchajno Stasiu—odzywa się nieco zakłopotany, zatrzymując mię przy drzwiach.— Nie mów tam przy Luizie, kto ty i czym ty jesteś...

— A to dlaczego?

— No tak, uważasz, my z żoną powiedzieliśmy jej, że ty jesteś obywatelem ziemskim... U takich mieszczan Niemców to wiele znaczy... że macie posiadłość niezłą...

— Powiedz mi, co miałeś za cel — mówię nieco urażony — i dla czego ja się mam wypierać mojej sy- tuacyi?

— Zdaje mi się, że ci pisałem. Luiza jest bardzo bogata, najmniej trzykroć — dodaje ciszej, szepcząc mi do ucha...

Mowa ta wywołała uśmiech ironii na moje usta...

— Więc ja mam udawać, czym nie jestem — rzeknę, patrząc mu w oczy.—Mój drogi, źle mię znasz!

— Kiedy ty mój Stasiu — przerywa, obejmując

w pół—zawsze inaczej sobie te rzeczy tłumaczysz. Nie idzie o to, żebyś... tego...

— Kłamał—odpowiadam za niego.

— Ale cóż znowu! Nie ma potrzeby kłamać, ale również nie ma potrzeby mówić o sobie prawdy... Ludzi nie przerobisz, trzeba trochę poblagować. Wierz mi, prosta i otwarta droga wiedzie tylko do biedy... Chcesz czems być i coś mieć — inaczej nie dojdiesz... Świat taki teraz, chce polityry... połysku. A przyznam ci się, warto dla trzechkroć, chociaż będzie więcej—mówi dalej, widząc, że trzykroć nie robią na mnie wrażenia—z pewnością czterykroć, bo to są różne zakłady.

— Mój Alfredku—odpowiem na to—dziękuję ci za twoją życzliwość, ale widzę zapaliłeś się do tego projektu. Ani ty wiesz, czy jej się spodobam, ani czy ona mnie się spodoba...

— O ciebie się bratku nie boję. Co to jest proszę cię, czterykroć... Całe życie jesteś sobie już panem i drwisz z takiego tam urzędowania...

— Czyż to pieniądze tylko...

— Wiem, wiem—przerywa mi—ale tu jest wszystko przy tem. Panna zdrowa, przystojna, wykształcona i jak jeszcze... Była na pensyi zagranicą, to nie to, co moja... Dobra Anielczysko, kocha mię na zabój, no ale głową nie grzeszy... co tam przed tobą ukrywać. Ho, ho, gdybym ja miał wtenczas taki rozum jak dziś... Więc chodźmy i nie rób ceremonii tam, gdzie nie warto... Zresztą ja już tak powiedziałem o tobie i sądzę, nie zechcesz mię kompromitować... Alboż to nie jesteś synem obywatelskim!... Cóż z tego, że ojciec zwinął gospodarstwo...

Zeszliśmy na dół, przechodząc do jadalnego poko-

A. Wilczyński.—Tora XIX.

ju przez kilka zbytkownie chociaż bez smaku umeblowanych salonów. Sama pani jeszcze bardziej zwiędnięta i skrzywiona, z podwiązaną twarzą, ubrana jednak podług ostatniej mody, przyjęła mię bardzo uprzejmie, ale zawsze z pewną ceremonialnością obywatelską. Zapytawszy, jak mi się podoba Dychawica i ich pałac, rozpowiedziała zaraz, jaki to oni mają przepyszny ogród, jakie kwiaty, jaką altankę na wyspie, a potem ni ztąd ni zowąd zeszła na jakąś sąsiadkę najbliższą, panią Jeziernicką, która we wszystkim stara się ich naśladować.

— Proszę pana, niech ja dziś sprowadzę sobie z W arszawy nowy kostium, ona za parę dni musi mieć podobny. Prawda panie, jak to z jej strony nietaktownie?...

— Sądzę, że pani to sprawia przyjemność—odzywam się, aby coś powiedzieć.

— A, dziękuję panu za taką przyjemność. Nie mogę się nigdzie pokazać, żebyim [nie zobaczyła drugiej siebie. Nie dosyć na tem, ale naśladuje całe urządzenie domu, nakrycie, sposób podawania... A taka ciekawa, że jak przyjedzie do nas, wszędzie musi być, każdą drobnostkę obejrzeć... Doprawdy nieznośna jest i do tego lubi słodkie oczy robić do mężczyzn. Mój Fredzio umyślnie ją drażni, okazując attencyę, ja się gniewam na niego i powiedz pan, czy nie mam racyi?

— To są żarty moja duszko—przerywa mąż.

— I tego być nie powinno; wszelki fałsz jest dla mnie wstrętnym... Prawda panie?...

— Zapewne — mówię — ale pewne względy towarzyskie...

Właśnie w tej chwili służący wniósł samowar, a za

nim weszła słusznego wzrostu o śniadej cerze i mocnych czarnych włosach panna Ludwika. Nad spodziewanie moje ubraną, jest skromnie, bez żadnych świecideł, lecz za to z fartuszkim, który jej cały biust aż pod szyję okrywa.

W spojrzeniu i w ruchach jej nieco szorstkich znać, że więcej jest zajęta samowarem, który służący na oddzielnym stolyczku ustawia, niżeli mną, którego Alfred rekomenduje. Rzuciła obojętne spojrzenie, ukloniła się ceremonialnie i zabrała do naparzania herbaty. My z panią Alfredową kontynuujemy dalej rozmowę o pani Jeziernickiej i drugiej, śpiewającej sąsiadce, a panna Ludwika, nie zwracając na nas uwagi, biega od samowara do stołu i napowrót, ciągle coś przynosi, ustawia, zabiera lub informuje służącego tak, że zdaje się jest tutaj panną służącą do gospodarstwa. Parę razy próbuje Alfredową wciągnąć ją do rozmowy z nami, pytając, dlaczego nie wzięła szafirowej sukni, w której tak ślicznie wygląda, lecz ona, odpowiedziawszy coś krótko, dzwoni dalej kluczykami, jakby ją nasze towarzystwo nic a nic nie obchodziło. Dopiero podając mi z tacy filiżankę z herbatą, spojrzała na mnie.

— Może pan sobie dosłodzi—rzecze—bo ja jeden tylko kawałek cukru włożyłam.

— Dziękuję pani, właśnie pijam herbatę bez cukru...

— Tak — mówi, przypatrując mi się ciekawie — przepraszam, do drugiej już nic nie wrzucę...

I rzeczywiście nie wrzuciła, ale też więcej nie odezwała się przez cały wieczór. Obserwowałam ją, przyznaję się, z wielkim zajęciem: jest sobie ani brzydka ani ładna, i jak powiedział Szymon, rzeczywiście zaży-

wna. Oczy tylko ma duże, czarne i błyszczące, lecz te spoglądają tak obojętnie, jakby w jej duszy cały świat myśli drzemał, lub jakby chciała okazać filozoficzną wzgardę dla wszystkich i wszystkiego, co ją otacza. Rączki tylko, zanadto pulchne, przebierały tak zręcznie przy krzątaniu się koło stołu, że migwały się niby purpurowe światełka w kalejdoskopie.

Nie pamiętam, żebym kiedy bądź nudniej przepędził wieczór. Alfred przy żonie nie lubił rozmawiać, więc chodził po pokoju, medytował, zaglądał do okna, obserwując, czy będzie na jutro pogoda, a żona jego plotła mi niestworzone rzeczy o swoim powodzeniu salonowym między sąsiadkami i ich barbarzyńskim ubraniu. Około dziesiątej powiedzieliśmy sobie wszyscy dobranoc i ja znużony, powlokłem się na górę. Przyznaję, że takie obejście się panny Ludwiki nieco zadrasnęło moją miłość własną. Nie podobała mi się, lecz swoją drogą to jej milczące zachowanie się wyglądało na prawdziwą, umyślną niegrzeczność, jeżeli nie brak wychowania. Widocznie się nie podobałem, albowiem niepodobna, żeby nie wiedziała o projektach Alfreda.

Jeszcze się nie położył spać, gdy słyszę, stąpa % po schodach kolega.

- No, wiesz ci — odzywa się już w progu.
- Czego? — pytam z kwaśną miną.
- Podobałeś się Ludwice!
- Nie żartuj! Wszakże nie odezwała się do mnie ani słowem.
- To nic nie znaczy, kobiety mają często takie kaprysy i takie przeciwieństwa, że niczem ich nie potrafią usprawiedliwić... Ale co do ciebie, powiedziała mi

otwarcie: Musi być gospodarny człowiek, jeżeli pija herbatę bez cukru...

— Więc z tego się podobałem?

— Z czegoś, dosyć, -że się jej podobałeś i zobaczysz jak ona się z tobą rozgada, to się przekonasz, że nie jest wcale głupią. Ma swoje fanaberye, bo któ- raż ich nie ma?!... Lubi udawać ponurą i szorstką, ale serce tam złote. Wystaw sobie, że zobaczywszy, jak to u nas gospodarstwo kobiece idzie, od razu wszystko wzięła sama do ręki i jest teraz jak w zegarku. A w Dychawicy zakochana po uszy; powiada, że za nic w świecie nie chciałaby już mieszkać w mieście...

— Przed kilku dniami, wydała się z tem, że jak tylko pójdzie za mąż tak zrobi facyendę ze mną na browar w Warszawie.

— I ty byś się zamienił?

— Dlaczego nie?

— Tyłeś tu pracy swój włożył...

— Ja pracy nie żałuję, ale też nie przywiązuję się do miejsca. Przeciwnie duch mój nieustannie łaknie nowego terenu do działania a. Przyznaję, że trochę by mi było żal rozstawać się z tym majątkiem, który dopiero zacznie przynosić doŁody, ale dla mnie w mieście odpowiedniejsze pole... Tu zaczynam się nudzić...

Długo jeszcze w noc rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Opowiedział mi całą historię kupna Dychawicy i awantur z panem Anastazym, omijając naturalnie to, coby niekoniecznie dobrze mówiło o jego lekkomyślności przy kupnie, a kiedy ja już zacząłem mimowoli ziewać, podaje mi rękę na pożegnanie.

— No, mój kochany Stasiu, spij-że tu smacznie i pamiętaj, co ci się będzie śniło, uważam cię bowiem

już na pół za dziedzica Dychawicy... Tylko śmiało, a zaręczam, wszystko się uda... Wierz mi, Dychawica warta tego zachodu, majątek śliczny, uporządkowany i możesz sobie tu żyć jak u Pana Boga za piecem.

Kiedy sobie dziś przypominam tę filuternie uśmiechniętą minę, z jaką mówił Alfred o wygodach życia w Dychawicy, to dziwię się, że wówczas po jego wyjściu nie poczułem zapachu siarki, który to podług gadki ludowej pozostawia zawsze szatan kusiciel. Lecz wówczas, przyznaję, zbyt dobrodusznie dałem się złowić na wędkę owej pokusy i jakkolwiek wstawszy rano nie pamiętałem co mi się śniło, ale z większym daleko interesem niż wczoraj przypatrywałem się z balkonu różnym widokom na pola i lasy i łąki rozścielające się w falowatych zagięciach pod moimi stopami.

Czytelniczkom moim, z którymi już od tak dawna prowadzę częstą gawędę, należy się prawda. Czego się mam zapierać, pokusa Alfreda zrobiła swoje, bo ten przegląd Dychawicy z balkonu sprawiał mi pewną przyjemność, pod wrażeniem której widziałem wszystko w daleko piękniejszych kolorach, niż było w rzeczywistości. Mimo uporczywego odtrącania wszelkich ułudnych widoków przyszłości, jednak ciągle mi się zdawało, że ktoś szepcze mi do ucha: „To wszystko może być twoje...”

Na obszernym dziedzińcu folwarcznym rozpoczynał się zwyczajny ruch gospodarski. Parobcy wytaczali wozy z pod szopy, jeden smarował koła, maszcząc je z całą systematycznością czarną kiścią, umaczaną w maźnicy; inny obijał podkółkiem zaschłe błoto na sprychach, ten wyciągał drabiny, ów porządkował części pługa, ów wyprowadzał konie już ubrane ze stajni,

a tamten gdzieś w Kącie zdejmował jarzma ze ściany. Ekonom w białej perkalowej katance, chodząc tu i owdzie po stajniach i oborach wypędzał leniwych, a krzyczał i wywijał harapem tak, że zdawało się, cała ziemia powinna się trząść pod jego nogami. Pomimo to poważni parobcy nie myśleli przyspieszać tempa swej roboty i spacerowali równie powoli jak wprzód, noga za nogą, od przedmiotu do przedmiotu, stając i przeciągając się rozkosznie, gdy się tylko ekonom odwrócił. Dwóch nawet, którzy się zapóźnili ze śniadania z piekarni, idąc ku gumnom, figlowali, zrzucając jeden drugiemu czapki z głowy, jakby ani ekonom ani jakabądź robota na świecie nie istniała.

Od obór z drugiej strony dwie dziewczki na pół w negliżu, z zawiązanymi na głowie niby to chustkami, niosły na drążku duży ceber mleka, a za nimi krok w krok postępował chudy, w zaplamionym chałacie żyd pachciarz, chwytając co chwila za ramię, którą z kobiet ilekroć przechylał się ceber, a piana z mleka pluskała na ziemię.

Ze wsi zwlekali się najemnicy z kosami, cepami lub grabiami, które nieśli jak żołnierze karabiny na ramionach. Dziewczyny chichotały, wsadzając żółte kwiaty we włosy, chłopaki dokuczali im, zaczepiając to jedną to drugą, a karbowy, otworzywszy z okropnym skrzypem wrota stodoły, wydawał wiązki siana fernalom, jadącym w pole z pługami.

Przed domem folwarcznym znowu ruch inny. Gromady domowego ptactwa zbiegły się tuż przed sienią na wołanie niemłodej już i trochę łysej z siwymi włosami gospodyni. Pani ta dosyć okrągłej powierzchowności, nadziawszy okulary na nos, tak przeraźliwie krzy

czącym głosem wzywała swoich podwładnych, że nawet pawica, siedząca na lipie w drugim końcu dziedzińca, sprowadziwszy z gałęzi na ziemię dwoje szarych z czubkami gagatków, pędziła co tchu ku miejscu, gdzie rozdają śniadanie. Lecz nie sama ona dążyła ku folwarkowi. Ze wszystkich kątów zabudowań, z po za sztachet ogrodzenia, z parkanów od ogrodu i wreszcie jakby z pod ziemi, wyciągniętym klusem z podaną naprzód szyją dreptały kury, koguty i kurczęta. Nie brakło i kołyszących się a skrzekliwych kaczek, pstrokatych, z czerwonymi kolczykami pantarek; skradały się z boku indyki, chociaż to dla nich ten bal dawano, zlatywały się Bóg wie z kąd gołębie, a poczciwe i rubaszne wróble z junacką miną jak kule spadały z topoli i nie zważając na opryskliwe obejście innej skrzydlatej rzeszy, porywały z ziemi, co się dało.

Tuż obok obozowiska ptasiego, wyniosła Hebe folwarczna olbrzymi cebrzyk ze strawą dla pewnych zwierząt, a włożywszy zieloną siekaninę pomiesznaną z kartoflami do korytka, doniosłym głosem zaczęła nawoływanie. Leżący pod przyzbą kudłaty i wyburzały od starości kundel Burek, poczuwszy zapach strawy, podniósł się ciężko z miejsca i poszedł oglądać, co tam dano do jedzenia, podczas gdy wychudzona i laskonoga zgraja pędziła ze wszech stron cisnąc się do jadła, pomimo gniewnych pomrukiwań Burka.

Stojąc na ganku, patrzyłem z wielkim zajęciem na ten ożywiony ruch wszelkiego stworzenia, obłany żółtawem i ciepłym światłem rannego słońca. I czułem, że w duszy było mi różniej, że wszystko rozpogadzało się pod tym wrażeniem, a nawet duże rączki panny Luizy wydawały mi się w tej chwili mniejszemi, zaś oboję

tne spojrzenia czarnych jej oczu nabierały poetyczno- melancholijnego wyrazu.

W pałacu jeszcze kompletna cisza; okienice pozamykane i państwo śpią. Zszedłem na dół do głównej sieni, a odsunąwszy rygle drzwi, dostałem się na ganek. Chciałem pójść do ogrodu i szukałem oczami furtki, która jak raz mieściła się koło domu folwarcznego.

—■ Proszę pani — odzywam się do gospodyni, częstującej kury...

Lecz ta na pierwszy dźwięk obcego głosu rzuca blaszany garniec z pośladem na ziemię i krzyknąwszy umyka do sieni...

Ogród rzeczywiście wspaniale wygląda; znać, że tu musiała być kiedyś rezydencja pańska, bo są jeszcze ślady angielskiego parku, są zacienione z przygiętej grabiny ulice, jest coś w rodzaju dawniej tak upowszechnionych labiryntów, w których wązkie uliczki tak się kręcą i majaczą, że w nich nie zginąć, ale zawrotu głowy dostać można. Dziś boczne części tego parku zamienione są w ogrody warzywne, spuszczone się trzema kondygnacjami coraz to niżej ku stawowi... Średnia część przed samym pałacem przeznaczona jest na kwiaty i trzeba przyznać, dość gustownie urządzona. Na schodkach prowadzących z werendy do grodu, stoją oranżeryjne rośliny, kolczaste aloesy, pomarańczowe drzewa, wychudzone tuje i mnóstwo kwitnących oleandrów. Dalej wspaniały klomb, na środku którego z brzoźowych kijków urządzony kosz przepelniony jest tysiącem roślin, a te, zwieszając się po za brzegi na dół, doskonale naśladują bukiety, które na stołach salonów naszych stawiamy.

Patrzę na zegarek — ósma a w pałacu jeszcze ci

cho, więc błędę tu i owdzie koło oranżeryi, koło inspektów, aż wreszcie spuszczam się ku stawowi wzdłuż wąskiej ścieżki obsadzonej lasem dorodnych malin. Nagle z po za tej zieleni podnosi się tuż obok postać kobiety... Przypatruję się — to panna Ludwika w rannym stroju, z białą chusteczką lekko zarzuconą na głowę, z pod której wymykają się gdzieś na czoło drobno zwinięte papiloty... Boże drogi, któż z nas młodych i starszych nie zadrżał kiedy wobec takich papilotów uwiecznionych na owej uroczej Zosi w Panu Tadeuszu! Zadrzałem i ja, zapłoniłem się daleko więcej niż sama winowajczyni, ta bowiem spostrzegłszy mnie, ani myślała uciekać jak jej pierwowzór Mickiewiczowski, tylko dźwigając potężny zasób ogórków w fartuszku, śmiało i bez jakiej bądź żenady zbliżała się ku ulicy.

-r- Dzień dobry panu! — mówi z tem samem co wczoraj obojętnem spojrzeniem czarnych błyszczących oczu.—Pan widzę nudzi się w Dychawicy; nasi państwo Alfredowie nie wstają tak rano.

— Owszem, rozkoszuję się pięknem położeniem ogrodu i bogactwem tych kwiatów, których tu moc wielka.

— Pan lubisz kwiaty?

— Przepadam za niemi... .

— A ja przeciwnie wolę owoce, które przedstawiają rezultat pracy. Kwiat bawi oko i skłania do marzeń, ale chleba nie daje, tymczasem ludzie żyją chlebem...

— Nie samym, jak mówi ewangelia—rzeknę z pewnym uśmiechem.

— To dobre jest w ewangelii, ale nie w życiu praktycznem. Myśmy za długo może bawili się kwiatami

i sądził, czas byłoby pomyśleć o chlebie. Patrz pan, czy i te ogórki nie mają w sobie coś poetycznego? takie zdrowe, jędrne, że patrząc na nie apetyt się podwaja...

Słowa te oblały mię trochę zimną wodą, choć mi się jeszcze zdawało, że to ze strony panny Ludwiki jest tylko pozorny atak; do którego wszystkie córki Ewy mają szczególniejszy pociąg. Bronię tedy mojego przekonania o duchowym chlebie życia, bronię z całym zapalem młodości na zasadzie poczucia piękna, wrodzonego każdej ludzkiej istocie, lecz widzę, że panna uśmiecha się tylko dwuznacznie, a idąc ze mną, ku pałacowi, co chwila zwraca się to tu to tam, żeby zdjąć albo liszkę z drzewa, albo wyrwać niepotrzebny chwast z grządki.

— Dziwna rzecz, jak panowie wszyscy jesteście marzycielami, rozplywającymi się w zachwytach, dlatego z was wyrastają nie mężowie, ale dyletanci, jak na przykład ten mój kuzynek Alfred... Ja przyznaję się panu, wychowana byłam między ludźmi pracy i praktyczniej może zapatruję się na te rzeczy, dlatego lekkomyślność nasza wydaje mi się zbrodnią...

— A czemuż pani nazwie praktyczność posuniętą do materializmu — przerywam w dalszym ciągu dysputy.

— Poczuciem obowiązku człowieka, który przede wszystkim jeść potrzebuje.

— Zawsze ten chleb powszedni...

— Naturalnie, skoro pierwszy krzyk dziecka po urodzeniu jest wołaniem o chleb, a potem skoro woła o niego rodzina. Panowie jak chcecie idealizujecie sobie, podług mojego widzenia rzeczy bez chleba nie ma ojczyzny, nie ma potęgi i siły... Dla mnie człowiek próżny i żyjący kosztem społeczeństwa, pod jaką bądź

formą, jest tak samo godzien kary, jak złodziej zakradający się do cudzej kieszeni... Jeżeli kiedy pójdę za męża, to przedewszystkiem nauczę moje dzieci, aby osobiście potrafiły zapracować na siebie; niech umieją przynajmniej to, co zwierzęta dzikie, które tak nisko względem siebie stawiamy...

Anim się spodziewałem, żeby młoda, dwudziestoletnia panna mogła w ten sposób surowo świat sądzić; czując przeto, że oddaliśmy się w naszych przekonaniach na dwa przeciwległe sobie bieguny, nie miałem ochoty bronić swoich poglądów. W dalszej dyskusji wypowiedziała bez ogródki opinię o kuzynie Alfredzie, który podług niej nie dorósł nawet zadania do zarządu funduszami żony...

— Patrz pan, godzina blisko dziewiąta, a on śpi jeszcze. I to się nazywa praca na wsi, praca, mająca służyć za przykład dla całej czeladzi...

— Jednak uporządkował majątek—przerywa, pokazując ręką do koła.

— Ale czy produktywnie? — odpowiada, poruszając głową. — Nie wielka rzecz, mając pieniądze cudze, robić nakłady i różne eksperymenty dla zadowolenia własnej fantazy i zarozumiałości; jednak proszę poczekać, na długo to wystarczy?... Dziś widzę, że już się kręci i chciałby pozbyć się Dychawicy... "Wiem nawet o jego planach..."

Przypadkiem, czy też umyślnie spojrzała na mnie w tej chwili, a ja zapłonilem się i spuściłem oczy ze wstydu przed samym sobą, że mogłem dziś jeszcze rano pomyśleć o odegraniu względem niej tej samej roli co Alfred. Mimo profesorskiego trochę tonu i szorstkości, z jaką dysputowała, nie mogłem odmówić pewnej racji*

• nalności jej dowodzeniom, i od razu powiedziałem sobie, że panna Ludwika nie dla mnie, i że stawiając za przykład Alfreda, daje mi poznać, że wie o moich zamiarach.

Przed pałacem rozeszliśmy się każde w swoją stronę, a poczuwszy pewną gorycz, jakby z pogrzebanej na- jj- dziei, straciłem na humorze... Niechcąc się przyznać do porażki, starałem się przyczynę jej złożyć na wygó- : rowaną pychy wzbogaconej mieszczańki. Jestto najzwyczajniejszy sposób pocieszenia miłości własnej kosztem Ł drugich.

— A, wiesz, wiesz!—odzywa się we drzwiach ? stojący Alfred, gdym z pochyloną głową wchodził po schodach na werendę. — Widziałem, jakieście gruchali do siebie.

— Dajże też pokój z gruchaniem i twojemi domy- p słami. Spotkaliśmy się przypadkiem.

— Dobrze, dobrze, rozumiem ja takie przypadki... Pamiętam, kiedy się starałem o Anielkę, tak samo miałem codziennie kilka takich przypadków... Brawo... dosko- js. nale się sprawiasz!

— Daję ci słowo honoru, przypadkiem.

— No, no, no—mówi, śmiejąc się i klepiąc mię po I ramieniu.

— Więcej ci powiem—dodaję już rozdrażniony— to nie jest żona dla mnie!

— A to dlaczego?

— Bylibyśmy całe życie jak niebo i ziemia... Ona jest z gruntu przekonana pozytywistycznych, a ja dzięki

; * Bogu jeszcze mam trochę w duszy uczucia.

— Nie bój się, wyrównacie swoje zapatrywania przy półmilionowym majątku...

Czynię tu uwagę, że ten majątek panny Ludwiki od wczoraj urósł o dwakroć.

— Nie chcę i jej, i jej pół miliona!... Proszę cię, nie mówmy o tem więcej.

— Co ci się znowu stało!... To jest kobieta, nic więcej, a u kobiet wiesz, jak pogoda jesienna, gusta zmieniają się na zawołanie. Mój drogi, co ona codzień nagada, a ja puszczam to mimo uszu... Jednak powiem ci, iż rzeczywiście jest praktyczną, widzę to po zarządzie gospodarstwa, który prowadzi z amatorstwa, a jednak wzorowo.

Przy śniadaniu, oblicze panny Ludwiki wydało mi się obliczem satyra. Spoglądała już śmieiej na mnie, lecz jak mi się zdawało, z wyrazem pewnej złościwości.

— Dlaczego nie włożyłaś swojej sukienki w liliowe paseczki?—odzywa się pani Aniela, która wciąż myśli tylko o sukniach, a której się zdawało, że Ludwika za skromnie wygląda przy gościu w perkalowej bluzie.

— Ach moja droga, mnie to tak mało obchodzi. Każda jest dobra, aby cała i czysta.

— W tamtej prześlicznie wyglądasz... Pan Stanisław jest znawcą na takie rzeczy. Prawda panie— mówi, zwracając się ku mnie— że kolor liliowy dla brunetek bardzo do twarzy.

— O, jeżeli pan Stanisław ma być takim znawcą—odzywa się panna — to spotka wszy mię rano w zaniedbanym negliżu i do tego zrywającą ogórki, mógł się kompletnie rozczarować... Prawda panie, że nie wyglądałam na rusalkę?

— Przyznam się pani — rzeknę dość obojętnie — nie uważałem, jak pani była ubrana...

- Jakże można! — przerywa zgorszona Alfredową.
- A widzisz, że panowie nie tak bardzo patrzą na nasze ubranie...
- Naturalnie, gdy mają przed sobą takie pałace oczy, jak twoje figlarko—dodaje

Alfred.

— Stare facecye!... Dalibóg, mógłbyś się nauczyć czegoś nowszego z komplementów... Wierz mi, te są już zanadto spłowiałe — odpowiada, kręcąc się koło stołu 'Ludwika, a zwróciwszy się do mnie, zapytuje:

- Pije pan drugą szklankę?
- I owszem, proszę...
- Po tak ciężkiej rozmowie naszej pewnie pan potrzebujesz pokrzepienia?
- Moja droga, powiedz o czemeście mówili—wtrąca znowu Aniela. — Pewnie o

bozkiej grze naszej Mo- drzejowskiej... Ach, Alfredzie kochany, jeżeli masz Bo- . ga w sercu, zawieź mię na Modrzejowską do Warszawy... I ty pojedziesz z nami Ludwiko, prawda? Ty się tak nudzisz u nas... Ach Modrzejowską, przepadam za nią, jaka ona jest śliczna w tej fryzce, gdy gra Ma- ryę Stuart!

— Nie — rzecze Ludwika — nie jestem ciekawa zobaczenia fryzek pani Modrzejowskiej i teatralnych tragedyi między królowemi. Alboż to mało i tutaj prawdziwych tragedyi, rozdzierających serce uczciwego człowieka!

— Więc na pani jeszcze robią wrażenie trage- dye?—odzywam się z pewnym sarkazmem.

— Naturalnie, że robią, lecz w formie oburzenia na niedołęztwo ludzkie. Groza dla samej grozy wcale mię nie przeraża, ale wszelka niesprawiedliwość wstrz

sa mną choćby dlatego, że jestem kobietą i nie mam dostatecznych sił, aby przeciw niej walczyć.

— Tym sposobem lubi pani walkę?

— Namiętnie. ^Człowiek dopóki tylko walczy— to żyje. Poddanie się lub wszelka apatya, jest abdyka- cyą życia...

— Okropność Ludwisiu, co też ty wygadujesz — rzecze Alfredowa, zakrywając oczy rękami.—I tybyś się mogła bić?

— I jak jeszcze — odpowiada z dziwnym uśmiechem.—Niecierpię wszelkiego mazgajstwa. Ale cóż, jestem tylko zwyczajną kobietą, skazaną, żeby przyszedł mój pan uważał mię za lalkę, przeznaczoną do przymierzania sukien. Wszak my dla panów jesteśmy mniej więcej przyjemną albo korzystną zabawką...

— A wychowanie dzieci?—odzywam się i ja—czyż to nie jest naj ważniejszym zadaniem kobiety?...

Jak na złość rozmowę naszą zakrawającą na utarczkę lekkiej kawaleryi przerwało wejście Szymona, który oświadczył, że konie czekają.

— Pojedziesz ze mną do lasu?—zapytuje Alfred.— Mam obejrzeć tę część, którą chcę wyciąć i sprzedać, a ty jako znawca możesz mi poradzić.

— Więc koniecznie postanowiłeś pozbyć się tej jedynej ozdoby, mającej jakąś wartość w Dychawicy?— zaczepia go panna Ludwika.

— Ha trudna rada — odpowiada z lekkim uśmfc- chem Alfred—mam swój w tem rachunek.

— Dziwna rzecz, jak twoje rachunki zawsze się kierują do tego przedmiotu, z którego najłatwiej gotówkę wyciągnąć... Ot, gdyby to rachunek twój kazał ci zasiać las na tych jałowych wydmach, które stoją bez

użytecznie i zasypują sąsiednie pola, to powiedziałabym, że pracujesz produktywnie dla przyszłości kraju i własnej rodziny... Wielka sztuka, czerpać gotówkę z biór- ka i żyć nią dopóki nie zabraknie...

— Ej, moja Ludwisiu — rzecze na to już podrażnionym tonem mój Alfred — musiałaś źle spać dzisiaj, że tak hojnie sypiesz morałami!

— Prawda, że jest w bardzo złym humorze — dodaje Aniela. —No, jedźcie panowie, jedźcie i wyciągnijcie za las jak najwięcej, bo może z tego zostanie co i dla mnie na podróż zagranicę. Pamiętasz Alfredku, obiecywałeś, kiedyś się starał o mnie, że co rok wyjedziemy sobie na parę miesięcy, to do Włoch, to do Szwajcaryi* a dotąd ani razu nie byliśmy nigdzie...

Przez całą drogę do owego lasu Alfred był milczący; widocznie irytowały go złośliwe uwagi panny Ludwiki, a nie mógł przeciw niej mówić, żeby jej w złym świetle przedemną nie wystawiać.

Obejrzelśmy las dobrze już przecięty, jednak mający jakąś wartość w Dychawicy; ma więc Ludwika ra- cyę, że sprzedaż tego kawałka wielką krzywdę wyrządzi majątkowi, témbardziej, że ziemia pod nim licha, a po- zycya górzysta i niezdatna pod uprawę. Powiedziałem to wszystko Alfredowi, powiedziałem również, że drzewo zdatne tylko na sążnie, materyałowego bardzo mało.

— Więc jak sądzisz, co wart jest morg?

— Czterdzieści do pięćdziesięciu sążni najwyżej da się wyrąbać z morga i wybrać kilkanaście belek, a za to młodzież, która bardzo pięknie zarasta, zniszczy się na nic... Dlatego radzę, daj pokój sprzedaży...

— Więc kup Dychawicę! — mówi na sery o. — W A. Wilczyński.—¹Tom XIX. 9

Potrzebuję w tych czasach pieniędzy na inne przedsięwzięcia, do których się zaangażowałem.

— Czy ty żartujesz, czy o drogę pytasz?—mówię, patrząc mu w oczy.—Za cóż ja mam kupować twój majątek, czy z tych dziesięciu palców?...

— Skończ z Ludwiką, a będziesz miał. Wierz mi, Dychawica jest ładna majątność, ale ja już jestem nią znudzony... Co do Ludwiki, trzeba się tylko zakręcić dobrze a pójdzie za ciebie... Tylko śmiało, nie jest ona tak straszną jak się wydaje—a ty jesteś mężczyzna przystojny... umiesz się podobać...

— Zlituj się, do czego to podobne... Ani myślę o tem! Ona potrzebuje nie takiego męża jak ja, a na mnie sprawia wrażenie, jakbym sobie lód przykładał do piersi...

— Zostań jeszcze z tydzień u nas a zobaczysz, że to się zmieni. Ja pod tym względem mam swoją praktykę, i wiem, że Ludwika umyślnie pozuje na oryginalność...

— Zostać mogę, bo mam urlop dłuższy i dobrze mi u was.

— Ale jeżeli się z nią ożenisz, kupicie Dychawicę?

— Proszę cię, nie rachuj na to...

— Swoją drogą ja zaczekam z lasem do twego wyjazdu.

Zostałem tedy w Dychawicy, ale chęć starania się
o względy p. Ludwiki zupełnie mnie opuściła. Gospodarz po całych dniach zajęty był
konferencyą z żydami, którzy prawie nie wyjeżdżali z Dychawicy. Przytem
i dawny humor i rezolucyjność jakoś go opuściły, a natomiast wszystko drażniło, szczególnie
jeżeli ktoś żądał od niego pieniędzy. Nie chcąc mu się narzucać swoją osobą, włączyłem się
po całym gospodarstwie i chociaż bardzo mało znam się na*tem, dostrzegłem jednak, że tu
panuje prawdziwy chaos. Wszędzie mnóstwo poroz- poczynanych robót niby to
melioracyjnych, a nic nie skończone i jak się należy nie przeprowadzone. Tu jakieś kopią się
rowy po łąkach, tu młyn stoi, z powodu przeróbki całego mechanizmu wewnętrznego, tu się
szlamują kanały, tam gromadzą i przyrządzają komposty, tu jakieś pola doświadczalne, a
wszystko bez ładu i składu.

W ogrodzie mnóstwo kopaniny i sadzenia nowych

drzew, w oborach próby z różnemi gatunkami bydła, w owczarni toż samo z krzyżowaniem owiec — a w polu, chociaż na oko uprawa porządnie wygląda, to jednak na zagonach więcej perzu niż. pszenicy. Jednem słowem dyletentyzm i fantazyja natażnym kroku, systemu żadnego, wszystko zkadś, gdzieś połapane—a takie rzeczy dobrze kosztują i w rezultacie żadnej korzyści nie przynoszą. Parę razy próbowałem zaczepić Alfreda w tej materji, czyniąc bardzo oględne uwagi, lecz tak mię zagadał, że ja się na tem nie znam, że to są rzeczy konieczne, doświadczeniem sprawdzone i w przyszłości korzystne, że myślę sobie: „a może ma rację” — i dałem pokój.

Sama pani wstawała dopiero o jedenastej lub później, a widzialną była przy obiedzie. Co zaś do panny Ludwiki, tę spotykałem częściej, ale już do rozmowy nie przychodziło. Z balkonu mego pokoju doskonale mogłem obserwować przez otwarte okno, co się dzieje w mieszkaniu dzieci państwa Alfredów i rzeczywiście nie mogłem się wydziwić szczególniejszej troskliwości, z jaką Ludwika chodziła około tych biednych i zapomnianych istot. Co rano sama nacierała je zimną wodą, ubierała, czesała, uczyła pacierza, karmiła i wynosiła do ogrodu, sadzając w piasku. Dwadzieścia razy przynajmniej na dzień zaglądała do nich, strofowała służącą, a mimo że jest prędkiego temperamentu i że dzieci płakały nieustannie, ani razu nie dostrzegłem najmniejszego z jej strony zniecierpliwienia się; przeciwnie, traktowała je z możliwą delikatnością i wyrozumieniem.

Przyznaję, że to mi się bardzo podobało w panie Ludwice; bo oznaczało że ma charakter i jak chce,

może być nie tak szorstką, jak naprzykład w obejściu z Alfredem i ze mną. Widocznie nie podobały jej się plany nasze co do małżeństwa, i umyślnie dawała nam to poznać. A w tem przekonaniu utwierdziła mnie jeszcze następująca okoliczność. W pierwszą niedzielę po moim przyjeździe zebrało się kilka osób z sąsiedztwa w Dychawicy. Pomiędzy innemi była i owa pani Jezierzyńska, naśladowująca panią Alfredową, z kuzynem swoim młodym dzierżawcą, jak się zdaje, aspirantem do rączki panny Ludwiki.

Młodzieniec ten, wysoki blondyn, przyjemnej powierzchowności, tak widocznie nadszalał pannie, z taką poufałością pomagał jej przy nalewaniu herbaty i tak żartował swobodnie, że zdawało mi się, musiał mieć pewne prawa do tego, skoro panna Ludwika nie tylko się nie gniewała, lecz owszem rozmawiała z nim żywo, pozwalając się prowadzić pod rękę w ogrodzie i słuchała z uśmiechem banalnych opowiadań o różnych figlach i niegrzecznościach wyprawianych przez niego i jego przyjaciół obywatelskich, damom na jakimś balu składkowym w miasteczku. Zauważyłem wreszcie i to, że tym razem moja surowego oblicza karnodziejka ubrana była bardzo starannie w owej jedwabnej sukni w paski, w której, zgodnie z zapewnieniami Alfredowej, było jej rzeczywiście do twarzy...

Okoliczność ta, przyznaję, trochę podrażniła moją ambycję i powiedziałem sobie, że tej komedyi ze mną nie daruję. Przez cały wieczór nie zbliżyłem się do niej ani razu, lecz udając niezmiernie zajętego rozmową Alfredowej z panią Jezierzyńską, z dowcipem, który niewiadomo z kąd mi się brał, wtrącałem się do ich gawędki, trawestując opisy różnych mód i naśladowując wielkie

panie, jak to one obchodzą się w salonach z powłokami swych sukien. Pani Jezierzyńskiej, osobie młodej, przystojnej i wesołej — usta nie zamykały się od śmiechu, a nioja gospodyni upewniała, że dawno już tak się nie ubawiła jak dzisiaj. Skutkiem takich tryumfów, przy kolący i pan Jezierzynski podniósł ostentacyjnie zdrowie wesołego Warszawiaka, a pani oświadczyła, że uważałyby to sobie za obrazę, gdybym w tym tygodniu sam albo też z państwem Alfredostwem nie odwiedził ich ubogiego domku w Siechowie.

— Pojedziemy, dobrze? — pyta mnie poufnie Alfredowa — a przekonasz się pan, że tam jest chybiona kopia Dychawicy...

Kiedy się już rozjechali wszyscy a panna Ludwika pozostała jeszcze kilka chwil na ganku, nie mogłem się powstrzymać, żeby jej nie zaczepić.

— Spodziewam się, że dzisiejszy wieczór spędziła pani bardzo produktywnie.

— Rzeczywiście—odpowiada prędko—nauczyłam się mierzyć szlachetność charakteru synów obywatelskich, z jakim umiecie panowie lekceważyć córki mieszczańskie nie mające takiego posągu, o który wartoby się starać...

— Dlaczegoż pani tę apostrofę stosuje i do mnie?

— Wszyscy jesteście podobni do siebie. Różnica tylko taka, że jeden więcej, drugi mniej oględny, gdzie nie idzie o interes... Dobrej nocy panu!

Zawinęła się i poszła, a ja nie mogłem się zoryentować co do znaczenia tej apostrofy. Dopiero, znalazłszy się u siebie, zacząłem przypominać sobie wszystkie okoliczności rozmowy z Alfredem, i wpadłem na domysł, że dzięki jego usłudze panna Ludwika bierze mię ró

wniez za obywatela starającego się bogatem ożenieniem podreperować swoją sytuację.

— Ha, teraz rozumiem jej nieprzyjazne usposobienie i rozumiem, co znaczyło to wyrażenie o traktowaniu córek mieszczańskich... Wszak ten pan opowiadał jej cały wieczór o śmiesznem znalezieniu się panien na balu w miasteczku i o swem bohaterstwie z jakim pła- tał niegrzeczne figle tym nieszczęśliwym ofiarom.

Byłem zirytowany na Alfreda i postanowiłem zaraz nazajutrz objaśnić pannę Ludwikę o mojej rzeczywistej sytuacji. Na sposobność nie potrzebowałem długo czekać, bo już od rana znajdowała się przy dzieciach, siedzących w ogrodzie pod wielkim parasolem.

Zbliżając się do tego miejsca, jak raz spotkałem obcego posłańca, doręczającego olbrzymiej wielkości bukiet pannie Ludwice.

— Prawda panie — odzywa się do mnie po przywitaniu — że uczucia pana Albina (kuzynkowi pani Je- zierzyńskiej było Albin na imię) bardzo rano wstają?

— Ja sędzę, że po tak mile przepędzonym wieczorze, jakim był dla niego wczorajszy, wcale się nie kładły...

— Tak pan przypuszcza?

— Choćbym wątpił, to sama wielkość bukietu przekona panią o wielkości uczucia, a wiadomem jest, że wszelkie uczucia silne sen odbierają.

— Tym sposobem pan musiałeś spać doskonale?

— Przeciwnie...

— Jakto? —przerywa, spoglądając na mnie z wy- razem figlarnej ironii, po za którą przebijało się coś na- kształt zadowolenia. —I panu przeszkadzał nadmiar uczuć?

— 1:36 —

— Tak jest, tylko że nie tak przyjemnych.

— A, ciekawa jestem jakich! Wszak obie panie słuchające dowcipów pańskich nie mogły się na sekundę powstrzymać od śmiechu. Pokazuje się, że talent panów, gdy idzie o wyśmiewanie kobiet, nie traci nic ze swej mocy, chociażby szło o panie z waszych sfer towarzyskich...

— Co do mnie, to przyznaję się pani, że wczoraj najzupełniej improwizowałem.

— Nie chce mi się wierzyć; opowiadania pana miały cechę zupełnej prawdy.

— Więc pani raczyła zwracać na nie uwagę pomimo tak zajmującej rozmowy z panem Albinem?

— Ach proszę pana, kogóżby taka prawdziwa improwizacja nie porwała! Dla niej musiałam rozdwoić moją uwagę.

— I nie wierzy pani, że to była improwizacja?

— Nie wierzę.

— A gdybym panią zapewnił, że tych sfer, o których rozповідаłem, zupełnie nie znam, że nigdy moja noga nie była w wielkich salonach...

— A gdzieżby się syn obywatelski chował, jeżeli nie na więcej lub mniej woskowanych posadzkach!...— mówi, poruszając głową z wyrazem powątpiewania. — Wszak to konieczne dla panów edukacyi...

— Naprzykład w lesie, jak ja...

— Na polowaniach może?

— Nie pani, w ciężkiej i niewdzięcznej służbie leśniczego.

— Pan leśniczy, pan?—przerywa, wybuchając głodnym śmiechem.

— Daję pani słowo honoru, że tak jest. Wprawdzie nie mam tego zaszczytu, być policzonym do grona sług którego z wielkich panów, ale mimo to jestem słu* gą rządowym od lat sześciu, jako leśniczy, pobierający pensji tysiąc dwieście złotych rocznie.

Spojrzała na mnie zupełnie inaczej niż wprzód, lecz sądziła widocznie, że to jakaś z mej strony mistyfi- kacya, bo odzywa się po chwili:

— A cóż mnie Alfred mówił, że pan jesteś obywatelem ziemskim... synem szlacheckim...

— Rzeczywiście rodzice moi gospodarowali na wsi i ja pochodzę ze szlacheckiej rodziny, jednak gdy to gospodarstwo nie bardzo im dopisywało, wziąłem ich do siebie i pchamy razem biedę na leśniczówce...

— I to jest prawda?

— Sądzę, że pani nie możesz powątpiewać, bo nigdy się mojej sytuacji nie zapierałem. Jeżeli Alfred inaczej mię przedstawił, to zapewne powodował się dobrem sercem i życzliwością dla mnie; sądził, że taki tytuł może...

— No, no, dokończ pan — nalega, śmiejąc się wesoło. A kiedym ja milczał, ona mówi za mnie: — Zjednać panu życzliwość i sympatyę jego bogatej kuzynki. Czy tak?

— Nie śmiem zaprzeczać, skoro domyślność pani jest tak wielką. Ale ponieważ pani od razu wystąpiła tak wrogo przeciw mej osobie, nie miałem sposobności wprzód objaśnić jej, kim jestem...

— Szczerłość należy się za szczerłość. Alfred niezawodnie przedstawił panu, że jestem bardzo posażna panna.

— Tak jest, i właśnie dla tego samego chciałem

upewnić panią, że moja praca wystarcza na potrzeby rodziny, i że nigdy nie miałem zamiaru polować na cudzy majątek...

Widziałem, że słowa moje cokolwiek dotknęły pannę Ludwikę, bo zarumieniła się lekko, a oczy błysnęły żywiej.

— Właśnie i ja przyznaję się do większego jeszcze grzechu, bo rzeczywiście moje bogactwo należy do bardzo fikcyjnych rzeczy...

— A jednak musi być, jeżeli Alfred pragnie zamienić na niego Dychawicę.

— Zapewne, jeżeli na tej Dychawicy nie ma się nic, to dobre i coś z walącego się browaru, który mi pozostał w spadku po ojcu. Wierz mi pan, przez kilka lat prowadziłam wszystkie rachunki nasze i znam doskonale sytuacją całego majątku. Browar nasz jestto rudera, dziś płacą z niego kilka tysięcy złotych dzierżawy, ale za lat trzy lub cztery, jeżeli się nie włoży w jego restaurację znacznej sumy, runie i zostanie tylko wartość placu. Ja nie mam z tego powodu żadnej preten- syi do nieboszczyka ojca; był to człowiek prosty, ale pracowity i poczciwy, przyszedł do kraju jako ubogi czeladnik piwowarski, więc to, co zostawił, jest aż nadto dla mnie, bo świadczy, że z niczego dorobił się jakiej takiej fortunki...

Bylibyśmy może w ten sposób jeszcze rozmawiali dłużej, lecz właśnie przewrócił się malec Alfreda i tyle narobił krzyku, że przełknięta panna Ludwika, chwyciła go czempredzej na rękę i pobiegła do pokoju.

Przyznaję się, że powyższe wyznanie moje zdjęło mi wielki ciężar z serca. Zauważyłem także, iż panna Ludwika Od tej chwili zupełnie była inną. Miejsce

szorstkości, z jaką, mnie poprzednio traktowała, zajęła swoboda obejścia, okraszona dobrym humorem i dowcipem, z jakim żartowała z Alfreda za tak niefortuną z jego strony mistyfikację.

— Mój kochany — rzecze on raz do mnie wzruszając litośnie ramionami — nie urodziłeś ty się na człowieka, mogącego mieć pretensję do świetnego interesu... Umrzesz na swojej leśniczówce i kwita!... Chciałem dalibóg po naszej starej przyjaźni zrobić coś dla ciebie; szczęście samo lazło ci w rękę, nie moja wina, żeś do takich rzeczy niezdolny... Kiedy tak sprawa stoi, las sprzedaję, i pożegnaj się z Dychawicą...

Zdaje się, że musiał nieźle sprzedać, bo zaraz poprawił mu się humor i kupił sobie trzecią z rzędu żniwiarkę, którejśmy na rzadkim owsie przez parę dni próbowali, a po której na przyszłe żniwa obiecywał sobie wiele korzyści.

Czas odjazdu mego już się zbliżał, siedziałem w Dychawicy przeszło dwa tygodnie, a na sumieniu ciążyła mi bardzo przyrzeczona wizyta do państwa Jezierzyńskich. Nie miałem żadnej chęci jechania i odkładałem z dnia na dzień, gdy pewnego razu przypomina panna Ludwika.

- Dlaczego pan nie jedzie do Siechowic?
- Proszę pani, po co?
- Choćby przez wdzięczność dla pani „Jezierzyń- skiej, która za panem przepada...
- Na co mi to wszystko?
- A jednak tak ją pan żarliwie bawiłeś...
- Co do mnie, to prawda, lecz znam tu w Dychawicy inną jeszcze osobę, której pilniej może niż mnie jechać do tych Siechowic, choćby dla tego, żeby podzię-

kowaó osobiście za ten olbrzymi bukiet z georginij i pocieszyć stęsknione serce.

— Ocho, na nic się nie zdały takie wymówki—rzecze panna Ludwika, jakby chciała przytłumić moje wywody. —r Przyznaj się pan lepiej, że starałeś się podobać pani Jezierzyńskiej.

— A pani panu Albinowi...

— Swoją drogą ja, a pan odpowiedz mi na moje pytanie...

— Niech pani odpowie na moje?

— Dobrze, ale pan wprzód.

— Otóż, przyznam się pani szczerze, robiłem to nie dla pani Jezierzyńskiej, ale na złość komuś innemu.

— Naprzykład komu? jej mężowi?

— O, nie... nie zadawałbym sobie tej subiekty.

— Więc komu?

— Ja już powiedziałem swoje, więc proszę niech pani raczy powiedzieć swoje, to jest: co znaczyła ta nadzwyczajna uprzejmość dla owego Albina?

— Może to było również na złość komuś...

— Doprawdy? — odzywam się, czując, że jakoś mi się gorąco robi, gdy panna spostrzegłszy moje zakłopotanie oblała się potężnym rumieńcem...

Położenie nasze było arcy-fatalne, któregom ani przewidywał, ani przypuszczał, ztąd jednej i drugiej stronie zabrakło animuszu do dalszej rozmowy. W takich razach, przypomną sobie młodzi czytelnicy moi, chwila jedna, słowo jedno decyduje o wszystkim, a słowo to nie kto inny, tylko mężczyzna wymówić powinien; takie są prawa i zwyczaje towarzyskie. Tymczasem ja zapomniałem języka w ustach i musiałem kaducznie

śmieszoną mieć minę, gdy przytłumionym głosem, niby echo własnych myśli, wypadły z ust moich te wyrazy:

— Chciałem pani zrobić naprzekór...

— Zdaje się że i ja nie komu innemu jak panu, szepnęła tak samo cicho i nieśmiało.

A że nasze ręce jakoś w tej chwili znalazły się przypadkiem blisko siebie, więc wzajemnie ich uściśnię- nia dopowiedziały reszty, o której nie mam potrzeby szeroko i długo rozpisywać się przed czytelnikami...

— Tylko mój drogi panie Stanisławie... (uważacie państwo zaraz się znalazł ten wyraz drogi) — mówi ona zwieszając się na mojem ramieniu, było to bowiem podczas niewinnej przechadzki po wyspie stawu — ani słowa o tem przed Alfredami...

— Dobrze, ani słowa... Ja pojedę jutro.

— Nie pojedziesz pan jutro—zaprzecza pieszczotliwym głosem.

— Dobrze, nie pojedę jutro...

— A jak pan będziesz już w domu, napiszę do ciebie, żebyś przywiózł matkę swoją do Warszawy. Chcę koniecznie, żeby mię naprzód poznała i pobłogosławiła. Nie mam swojej, dawno już spoczywa w grobie—jestem sierota, jak pan widzisz, a tak potrzebuję matczynego serca! Pojechałabym sama do niej, lecz uważ pan sam, nie wypada...

Ułożyliśmy wszystko, jak co ma nastąpić i wróciliśmy do pałacu napozór niby obojętni. Lecz ktoby miał więcej czasu niż Alfred, a mniej przymykał znużone powieki niż pani Aniela, byłby z jednego spojrzenia na nas poznał, co się tu święci. Ale oni oboje więcej byli zajęci swojemi interesami niż dwojgiem kochających się ludzi, więc udała nam się tajemnica.

Przy wyjeździe moim, który niestety trzeciego dnia nastąpił, Alfred pożegnał mię daleko chłodniej niż przy powitaniu, a nawet odesłał bryczką i fernal- skierni końmi do stacyi kolejowej. Pani zaś, przytrzymawszy dłużej moją rękę w delikatnych aksamitnych dłoniach swoich, rzekła prawie z wyrzutem:

— Niedobry pan jesteś! Z przyczyny pana nie będę miała jasnej zielonej sukni adamaszkowej którą mi obiecał Fredzio na wesele Ludwini. A już sobie taki śliczny wybrałam fason z ostatniego żurnalu...

)

VII.

Kiedy moja poczciwa matka i siostra znalazły się razem z Ludwiką w jej mieszkaniu w browarze, tak się od razu pokochały i przyłgnęły do siebie, że ja mało co mogłem nacieszyć się moją narzeczoną... Po całych dniach gadały tylko i gadały i radziły i wywnętrzały się ze swemi uczuciami, ^ze swemi projektami na przyszłość, że ja każdego wieczora późno w nocy musiałem je gwałtem rozdzielać, żeby dały pokój i spać poszły.

Ułożono tedy, że ślub nasz odbędzie się we wrześniu w Warszawie, cichutko, wobec najbliższych krewnych, ma się rozumieć i państwa Alfredów, że ja postaram się o urlop na trzy miesiące, przedstawiając młodszego brata, także poświęcającego się zawodowi leśnemu, na zastępcę, że rodzina moja przez ten czas zamieszka w Warszawie w domu Ludwiki a my zaraz po ślubie wyjedziemy zagranicę...

Powstałem przeciwko wyjazdowi, przypominając narzeczonej, jak to ona zapatrywała się niedawno na obowiązki obywatelskie naszej młodzieży, która przede- wszystkim powinna myśleć o chlebie.

— Mój drogi—rzecze mi-seryo—i dziś jestem tego samego zdania, bo ten wyjazd nasz za granicę właśnie z tem stoi w związku...

Dopytywałem się, prosiłem, błagałem wszystkie kobiety, żadna z nich ani słowa więcej nie chciała mi powiedzieć. „Pojedziesz, to się dowiesz” — była jedyna odpowiedź.

Na dwa tygodnie przed ślubem zawiadomiliśmy Alfredów o naszych zamiarach, prosząc o przybycie do Warszawy. Zaproszenie to musiało tam wywołać wielkie zdziwienie i zamieszanie, bo zaraz na drugi dzień otrzymała Ludwika telegram od pani Anieli, zaklinający na wszelkie świętości, żeby odłożyć dzień ślubu choćby o tydzień, gdyż nie będzie mogła tak prędko przygotować sobie owej zielonej sukni adamaszkowój, musi bowiem czekać na nowy żurnal, który dopiero za dziesięć dni przyjdzie z Paryża. Do mnie znowu napisał Alfred całą litanię zachwyków, życzeń i uniesień nad moją dyplomatyczną zręcznością, nie wątpiąc, że skoro tak mądrze rozpocząłem, zrobię w przyszłości świetną karyerę... W dopisku jednak stało tyli kilka słów:

„Jeżeli chcesz, można odkupić sprzedany las w Dychawicy od Berka Langnera. On teraz sam widzi, że się orznął i za małą kwotę gotów odstąpić od kontraktu. Napisz mi zaraz, czy sobie życzycie, a ja tu z nim ostrożnie zacząć traktować.”

Pocziwy koleżka był pewny, że zamiana browaru na Dychawicę niezawodnie nastąpi ani wątpiąc, żeby dla takich dobrodusznych chudopachołków jak my, pałac i ogród w tym majątku nie były szczytem marzeń.

Odpisałem mu ni to ni owo, lecz kiedy przyjechali oboje na ślub, on był w najlepszym humorze, kompono

wał wierszyki do toastów i nieustannie kazał mi sobie dziękować, że to jego swatom winienem to szczęście, jakie mię spotkało... Przeciwnie znowu pani była wielce zmartwioną tem, że nie odłożono wesela i że jasnozielona jej suknia daleko gorzej wyglądała od popielatej sukni ciotki Buferowej, a to dlatego tylko, że miała najświeższy fason i obszyta była podwójną koronką u dołu, gdy jej zielona miała jedną i to znacznie węższą.

Zdawałoby się, że wszystko już skończone: Numa poszła za Pompiliusza, i czytelnikom nic więcej się od autora nie należy. Tymczasem wcale tak nie jest. Mam jeszcze na sumieniu dwie ważne tajemnice, które jakkolwiek z wielką obawą, żeby nie rozczarować czytelniczek, muszę tu wyjaśnić...

Wystawcie sobie, pogniewaliśmy się na dobre z Alfredem, ale tak, że dzisiaj nietylko nie mówimy do siebie wcale, ale się nawet spotkawszy na ulicy nie kłaniamy. Smutna to rzecz, gdy między familią przyjdzie do takiej ostateczności i ja byłbym może ustąpił nie tak co do zamiany browaru na Dychawicę, bo o tem nie myślałem, ale co do udzielenia mu hypoteki naszej realności na zaciągnięcie trzech tysięcy rubli długu, który on nawzajem byłby nam na swoim majątku zabezpieczył. Ale Ludwika uparła się, że nie i nie, że to mu na nic się nie zda, bo i tak musi zbankrutować, a my na dorobku takiej sumy nie mamy do stracenia i sami potrzebujemy kredytu. Kiedym mu to wszystko napisał jeszcze przed wyjazdem zagranicę otrzymaliśmy list z tak •gwałtownymi i nawet ordynaryjnemi wymyślaniami, że doprawdy wstyd mi przytaczać go tutaj czytelnikom. Była tam mowa o niewdzięczności z naszej strony, o mojej niepohamowanej chciwości, fałszu, obłudzie, faryzeu-

szostwie i tylu innych wadach, że doprawdy, gdybym się choć w jednej dziesiątej części poczuwał do tego, powinienem się na pierwszej lepszej gałęzi w Saskim ogrodzie ze wstydu i rozpacz powiesić.

„Zgubiłeś mię — pisał pan Alfred — i przyprowadziłeś do nędzy nieszczęśliwą Anielkę i tych dwoje ukochanych aniołków. Nie wiedziałem, że przy sercu swem trzymałem i ogrzewałem dwie żmije, które mię jadłem swoim zatrąły...”

Druga sprawa daleko ważniejsza, którą, obawiam się, zgorszona będzie znaczna część szlacheckich moich czytelników, jest ta, że... nie mam odwagi się przyznać... że... zostałem piwowarem!

Tak jest, energiczna moja małżonka po to tylko wywiozła mię zaraz po ślubie za granicę, żeby poprostu oddać nie na trzy miesiące, ale na caluteńki rok do terminu w szwechackim browarze pod "Wiedniem... Boże drogi, co ja się namartwiłem, usłyszawszy ten wyrok, który aprobowały bez żadnej litości moja kochana matka i siostra, a który na klęczkach i ze łzami w oczach wygłosiła mi pani Ludwika.

Były chwile, daję słowo, że myślałem o rozwodzie, lecz panie, czego to kobieta nie zrobi jak zechce! Rzucałem się, gniewałem, a mimo to przypasałem fartuch niebieski i woziłem taczkami worki z jęczmieniem na mielcuch, przerabiałem ten jęczmień, gotowałem piwo po nocach, robiłem drożdże, zaprawy, odprawy, -a nawet dźwigałem beczki jak najprostszy posługacz w browarze.

Zona mieszkała ciągle zemną i dodawała mi odwagi, ilekroć zasmolony, przemoczony i zdźwigany jak ostatni koń woziwody, wracałem do domu. Wytrzymałem dzięki tylko mojej szlacheckiej kompleksyi, która

mimo narzekań i utyskiwań na nasze niedołęztwo, mimo najrozmaitszych a dojmujących prześladowań musi być z najhartowniejszej stali, skoro to wszystko wytrzyma.

No i wróciłem do Warszawy, porzuciwszy moje leśniczostwo, a wróciwszy przekonałem się, że mię kochana moja Ludwika, prawdę powiedziawszy, trochę oszukała. Prócz bowiem tego browaru, który znowu nie był taką rudera, jak utrzymywała, znalazła się jeszcze na pewnej kamienicy ulokowana spora suma hy- poteczna, za którą znowu przyprowadziliśmy nasz browar do należytego porządku. I dzięki Bogu, od razu poszło nam dobrze.

Nasze piwo ludzie piją i chwalą, że zdrowe, i byłoby mi już niezgorzej na świecie, gdyby nie ta nieszczęśliwa Dychawica, z którą muszę się spotkać tak często w inseratach dzienników, że wciąż jeszcze jest do sprzedania.

Słyszałem, że Alfred wyprzedawszy wszystkie inwentarze, budowle i co się dało wywieźć z gruntu, ma zamiar rozparcelować Dychawicę między włościan i szlachtę w tamtej okolicy, i jak utrzymuje sa,m, zrobi jeszcze na tem świetny interes.

Daj mu Boże, bo podobno zasłużył na to, przebywszy tyle nieszczęść domowych! Zona mu ciągle chora i lekarze nie wychodzą z domu: oboje dzieci pomarły, a on kompletnie posiwiął, choć nie traci nadziei, że jeszcze na wierzch wypłynie. My z Ludwiką nie myślimy o świetnych interesach, ale aby tylko szło tak samo da* lej, to jakoś przewiniemy się przez świat i życie.

KONIEC.